

PAUL FEVAL

SYNOWIE MARKIZY de BELCAMP

Przekład : Halina Popławska

Prolog

PEWNEJ NOCY W LONDYNIE...

1. Sztuka wykrywania winnych oraz księga zadziwiających przygód Jana Diabła, zwanego Kwakrem

(Czternastego marca 1817 roku Gregory Tempie, główny intendent Scotland Yardu, siedział, oparłszy czoło na rękach, przy długim biurku z czarnego dębu, pogrążony przypuszczalnie w skomplikowanych obliczeniach oraz dedukcji, ożyli wyciąganiu wniosków, które taką sławą okryły jego imię w rocznikach londyńskiej policji, czyniąc zeń najdoskonalsze zwierciadło detektywa bez lęku i skazy. Na biurku, którego blat zalegały zazwyczaj stosy papierów, można było bez trudu policzyć znajdujące się przedmioty.

Przed intendentem leżała gruba teczka akt z następującym napisem na okładce: Morderstwo Konstancji Bartolozzi, 3 lutego 1817 roku; po lewej stronie widać było chusteczkę z cienkiego płótna i list; chusteczkę, na której widniało kilka plamek krwi, znaczyły inicjały R. T.; te same inicjały widniały na liście w miejscu podpisu. Wreszcie po prawej ręce siedzącego bieląło z pół tuzina kartek korekty drukarskiej, poprawionych i opatrzonych przypisami.

Gregory Tempie znajdował się w owym czasie u szczytu sławy, na którą zasłużył jako niezrównany agent policyjny. Był to mężczyzna może pięćdziesięcioletni, małego wzrostu, chudy, lecz nieźle zbudowany i pomimo drobnej postawy i niezbyt krzepkiego wyglądu, obdarzony niezwykłą wprost energią. Jeśli chodzi o rysy twarzy, dumny był z niewielkiego podobieństwa do starego Walpole'a. Czoło miał ogromne pod siwiejącą blond grzywą gęstych włosów, zapadłe skronie i wystające kości policzkowe wskazywały na szkockie pochodzenie, dół twarzy wydłużał się na kształt wrzeciona.

Poprzez konwulsyjnie zaciśnięte suche palce widać było niezwykły blask szeroko rozwartych oczu, których wypukła gałka znamionowała olbrzymią pamięć, jeśli wierzyć teorii Galla .

Wpatrywał się intensywnie w gruby szary papier, na którym czerniało nazwisko Konstancji Bartolozzi; jego wzrok wyrażał tek strasz- lązaji liwy i pełen rozpaczys wysiłek, że widać było wyraźnie, jak zaciętą jest wałka, którą toczy na polu domysłów d przypuszczeń; oddech jego był przyśpieszony, a po bładych policzkach spływały strużki potu.

Noc już zapadła. W obszernym pokoju paliła się tylko jedna lampa ^w na biurku. Poprzez zielony abażur światło sączyło słaby blask na ^w półki przegródkami, którymi od góry do dołu zastawione były ^w cztery ściany gabinetu, oraz na małe zielonkawe szybki okien, za jcię ^w którymi widniały mocne żelazne kraty. W każdej przegródce półek stały tekturowe teczki akt. Według ogólnego mniemania Gregory Temple przechowywał w tej ponurej bibliotece klucz od wszystkich zagadek ^{k6w}

kryminalnych przeszłych, terażniejszych i przyszłych. Była to czar ^w na księga trzech królestw i, jak mówiono, niejeden szlachetnie uro- ^w iyii dzony lord miał tam swoją pozycję, równie dobrze jak ostatni zło

dziej z Saint-Gilles, a nawet oskarżano Jerzego księcia Walii, regenta i następcę tronu, że nieraz szukał w tym arsenale broni prze ^w ciwko żonie swej Karolinie Brunszwidkaej.

■ Przeszło godzinę słynny detektyw siedział tak w nieruchomej ciszy gabinetu, ze ^w wzrokiem wbitym w nazwisko zmarłej. Wreszcie ^w przesunął dłońmi po czole, jak gdyby pragnął odpędzić chmurę ^w ło- ^w poi czącą myśli.

– Konstancja Bartolozzi – wyszeptał powoli – primadonna Teatru Księżniczki, lat czterdzieści... wszyscy wierzą w wieczną młodość tych aktorek... Zmarła w swoim łóżku, w nocy z 3 na 4 lutego,

Beizamordowana w coraz częściej spotykany sposób, który przeraża naj ^w odważniejszych, a który nazwałbym "metodą chirurgiczną"... gdyż

■ zabija pewnie, szybko i bez śladów... jak gdyby medycyna w tym przeklętym wieku ^w miała służyć zbrodni.

Zakrzywione palce wyprostowały się przykrywając nazwisko wy- ^w l ^w pisane na aktach, ^w te,

– Pierwszy raz – wymówił przez zaciśnięte zęby – pierwszy raz zawodzi ^w mnie moja metoda. Czuję, że błędę z zawiązanymi oczami. Otaczają mnie ^w ciemności. Obawiam się, że zwariuję. – Niecierpliwa dłoń zwichrzyła siwiejące na ^w skroniach włosy.

– A czy po raz pierwszy? – zapytał cicho, podczas gdy spojrzenie błędziło ^w po grzbietach ustawionych na półce akt, zatrzymując się na następującym napisie: "Morderstwo generała O'Brien – Jan Diabeł – Praga 1813".

W tej chwili zastukano raz jeden do drzwi.

– Wejdz, Ryszardzie! – zawołał żywo pan Temple.

Zaledwie jednak wymówił to imię, twarz jego zachmurzyła się jeszcze bardziej.

– Proszę, James – poprawił się sucho.

Drzwi otwarły się ukazując wysoką i zgrabną sylwetkę młodego człowieka rysującą się ^w wyraźnie na tle białej ściany korytarza. Przybysz ubrany był z tą surową elegancją, ^w cechującą prawdziwego dżentelmena: frak, czarna kamizelka i także spodnie, biały ^w krawat zawiązany modą Brummela, który był wówczas lwem londyńskich salonów. ^w Twarz o regularnych rysach, na którą abażur lampy rzucał cień, wydawała się ^w młodzieńcza, przystojna i bardzo łagodna.

Gregory Temple przeszył go przenikliwym spojrzeniem i czyniąc bezskuteczne ^w wysiłki, by ukryć gorączkę niecierpliwości, spytał:

– Co nowego, James? Czy jest już pan na tropie Ryszarda Thompsona?

– Nie, panie – odparł przybyły z szacunkiem.

Znamy wszyscy ten dziwnie melodyjny męski głos, który w górnych rejestrach ^w przypomina kobiecy kontralt. Wystarczy raz go usłyszeć, by nigdy już nie zapomnieć ^w jego brzmienia. Taki właśnie głos miał młody człowiek.

– Nie do wiary! – wykrzyknął pan Tempie wzburzony. – Czy pochłonęła go ziemia? James Davy, jest pan bardzo młody, mimo to pokładam w panu wielkie nadzieje. Czyż ucieczka Ryszarda nie przemawia przeciwko niemu?

– Jeszcze badam – odparł oschle zapytany, wchodząc do wnętrza biura. – Są tu trudności specjalnej natury. Będę wierzył, że Ryszard Thompson jest uczciwym człowiekiem, dopóki nie zdobędę dowodu, że jest inaczej.

– Dopóki nie zdobędzie pan dowodu... – powtórzył intendent.

– Wdem, że zaplątał się w jakiś romans – ciągnął James. – Ale z kim? Jeszcze nie odkryłem. Był pańskim sekretarzem i przyjacielem, musi więc dużo wiedzieć, gdyż każdy, kto ma z panem styczność, wiele uczy się i korzysta...

Zaciśnięta pięść pana Temple'a opadła na blat biurka.

– Wolałbym wierzyć, że nie żyje – pomyślał głośno.

– Naturalnie, proszę pana – zgodził się James – lecz nie ma pan wyboru. Dotarłem do domu jego matki, Fanny Thompson, w hrabstwie Surrey. Wesola siedziba, pełna komediantów. Fanny

zamierza wrócić do Teatru Księżniczki, gdzie śmierć Konstancji Bartolozzi zwolniła miejsce.

Ołówek pana Temple'a nakreślił nową uwagę na kawałku papieru, wypełnionym notatkami.

– Fanny Thompson – ciągnął niewzruszony James Davy – do szaleństwa kocha syna. Gdyby Ryszard umarł, dom jej okryłaby żałoba.

– Czy to prawda, że w domu Fanny Thompson wychowuje się małe dziecko? – zapytał intendent, zajrzawszy do notatek.

– Prawda, dziecku na imię Ryszard, jak pańskiemu byłemu sekretarzowi.

Pan Tempie skinął na młodego człowieka, który zamknął drzwi i zbliżył się do biurka.

– Dziękuję, James – powiedział – robi pan, co może... Ponieważ zajął się pan sprawą Ryszarda, przypuszczalnie nic pan nie wie o tej dziewczynie, która była damą do towarzystwa u Konstancji Bartolozzi, zdaje się Sara O'Neil...

– Sara O'Neil będzie tu za chwilę – przerwał James Davy.

– Tu! – wykrzyknął pan Tempie i drgnął. – Więc ją odnaleziono?

– W hoteliku w Lambeth, przebraną za chłopca.

– Kto ją wytropił?

– Ja.

– W jaki sposób?

– Stosując jak najdokładniej, a jeśli mogę się tak wyrazić, niewolniczo, system kalkulacji i możliwości opisany w pańskiej książce.

Gregory Temple rzucił melancholijne spojrzenie na rozsypane na biurku kartki korekty drukarskiej. Po czym uściśnął rękę pomocnika.

– Bardzo pan błady – powiedział serdecznie młody człowiek.

– Wczoraj wieczorem – odrzekł pan Tempie – lord najwyższy sędzia mówił o mnie na posiedzeniu Rady. Jego Wielmożność powiedział: "Gwiazda głównego intendenta policji zachodzi". Dziś rano o mało nie strzeliłem sobie w łeb.

– Pan!... Gregory Temple, mocny człowiek...

– Powstrzymała mnie myśl o córce, o mojej biednej, drogiej Zuzannie... Gdyby nie ona...

– Cóż pana obchodzi gadanie starego lorda? – wykrzyknął Davy.

– Moja gwiazda zachodzi – szepnął przygnębiony intendent – tak, zachodzi.

– Nigdy umysł pana nie cieszył się taką bystrością.

– Ze mną już koniec. Jego Wielmożność wysunął nazwisko mego ewentualnego następcy.

- Któż to?
- Ryszard Thompson.
- To szaleństwo! Oszukano pana!

Intendent potrząsnął głową.

– Od trzeciego lutego do czternastego marca minęło trzydzieści osiem dni – powiedział cicho. – To bardzo długi okres czasu. Trzydzieści osiem dni bezskutecznych poszukiwań dla Gregory Temple'a... Jego Wielmożność ma rację, starzeję 6ię.

James – podjął po chwili uspokojony – wiem, co jesteś wart. W przyszłości staniiesz się jednym z luminarzy naszego zawodu... Ale to były ostatnie lekcje, mój synu, jak o powiedziałem, kariera moja skończona.

Młody człowiek usiadł obok mistrza, jak gdyby ich wspólny smutek zezwalał na taką poufałość. W ten sposób twarz jego znalazła się w kręgu światła, a jego rysy wystąpiły nagle z mroku: twarz ta była piękna jak u kobiety.

– Sara O'Neil czeka na dole – krzyknął głos z korytarza.

– Wprowadzić ją – odpowiedział pan Tempie, jak gdyby budząc się ze snu, po czym zdjął abażur i ustawił lampę za plecami, by pozostać w cieniu, całe światło kierując na gościa.

Sara O'Neil była Irlandką, lat osiemnastu lub dwudziestu, wysoką i zgrabną. Pana Temple'a uderzyła jej uroda, olśniewająca mimo męskiego stroju. Gdy spojrzenie jej napotkało wzrok Jamesa Davy, przelotny błysk zapalił się w jej czarnych źrenicach. Wyglądało to jak wyrzut. James Davy stał niaporuszony. Dwaj policjanci, którzy wprowadzili Sarę, opuścili pokój.

Dziewczyna była z gołą głową. Na męskim ubraniu miała narzucony obszerny czerwony płaszcz bez rękawów, jeden z tych płaszczy, które tak pięknie drapują dziewczęta z Connaught. Pod uważnym wzrokiem intendenta spuściła oczy, jednak śliczna jej twarz otoczona koroną wspaniałych czarnych włosów nie zdradzała lęku ani niepokoju, chwilami zdawało się, że uśmiech błąka się dokoła pełnych warg.

Po kilku minutach milczącego badania przybyłej Gregory Temple przerwał ciszę:

- Służyłaś u pani Bartolozzi jako pokojówka?
- Czytałam jej role, milordzie – odpowiedziała Sara – spałam też w jej pokoju, gdyż obawiała się nocą być sama.
- Czego się obawiała?

- Ludzi, którzy bywali u niej za dnia.
- Członków Bractwa Oswobodzicieli?
- Zdaje mi się, że tak ich nazywano.
- Czy znasz Ryszarda Thompsona?
- Był u nas z matką.
- Często?
- Dwa razy.
- Czy był kiedy sam?
- Nigdy.

Gregory Temple skrzyżował ręce na kolanach i przyjrzał się uważnie dziewczynie.

- Niczego się od niej nie dowiemy – mruknął zniechęcony I – niech wyjdzie.
- Mistrzu – odezwał się James Davy tonem pełnym szacunku f-¹ - czy pozwoli mi pan zadać jej kilka pytań?

Dziewczyna spuściła oczy ściągając brwi. Intendent skinął przyzwalająco.

- Dlaczego ukryłaś się po zabójstwie Konstancji Bartolozzi? – spytał młody człowiek.

- Przestraszyłam się – odparła dziewczyna – Irlandczykom nietrudno trafić do więzienia.
- Jednakże odpowiadasz teraz bez obawy.
- Trzeba się wreszcie zdecydować, milordzie... zresztą nie zamierzam kłamać, moją niewinność i tak łatwo udowodnić: nie obawiam się sprawiedliwości. \
- Czegóż się więc bałaś?
- Kwakra.

Wymawiając to słowo głos Sary ścichł jak gdyby mimo woli. Intendent poruszył się.

- Mistrzu – przerwał James Davy – czy mogę pytać dalej?
- Pytaj, pytaj! – odparł Gregory Temple, którego głos zdradzał ledwie dostrzegalne poruszenie. – Nieprzeciętny z pana chłopiec.

Młody człowiek zamyślił się chwilę.

- Saro – zwrócił się do dziewczyny – kogo określasz mianem “Kwakier”?
- Piękna Irlandka spojrzała na niego zdziwiona.
- Tego, kogo wszyscy tak nazywają.
 - Czy to Jan Diabeł?
 - Zapewne... Czy jego nazywają Kwakrem?
 - Dlaczego obawiasz się Kwakra?

Sara zawałała się, wreszcie odparła z widoczną odrazą:

Gdyż widziałam, jak zabił Konstancję Bartolozzi.

James Davy obrócił się w stronę intendenta. Gregory Temple milczał, oparty łokciami na stole. Światło lampy stojącej z tyłu otaczało jego głowę jak gdyby srebrzystą aureolą. Oczy płonęły w cieniu, a spojrzenie oplatało dziewczynę jak sieć.

- Niech Bóg pana skarże, milordzie – szepnęła nagle onieśmielona Irlandka – jeśli będą musiała żałować, że powiedziałam prawdę.

t– Jesteś wolna i ręczę ci honorem, że wolna pozostaniesz – zapewnił intendent i podnosząc rękę dodał: – Nie obawiaj się, jesteś pod opieką prawa.

Sara chwilę zbierała myśli, po czym zaczęła:

- Signora mocno spała, może była druga, gdy zbudził mnie nagle szelest. W świetle nocnej lampki ujrzałam, jak z sąsiedniej garderoby wyszedł mężczyzna, w którym poznałam księcia Aleksego... Spędził u nas wieczór... Wydało mi się, że śnię, gdyż sama odprowadziłam księcia do wyjścia.

Książę Aleksy! – powtórzył pan Tempie – jeden z członków tajnego bractwa zbierających się u twej pani?

- Nie... nie było żadnego zebrania, cały wieczór grano w wista.
- To przybrane imię. Kto wie, może to Jan Diabeł.

.TT- Tak... Jan Diabeł... Kwakier... wtedy nie wiedziałam, że to Kwa- kier. Podszedł tak cicho do łóżka signory, że nie słychać było jego kroków... myślałam, że chce ją okraść, gdyż na nocnym stoliku stało złote puzderko wysadzone diamentami, prezent księżny Walii, i diamentowe kolczyki. Ale Kwakier nie dotknął nawet pudełeczka ani kolczyków. Położył lewą rękę pod głowę signory, a prawą oparł na jej gardle. Pani głęboko westchnęła, ale nie poruszyła się. Kwakier wytarł palec chusteczką, gdyż skaleczył się szpilką przy kaftaniku... W pierwszej chwili podniosłam się na łokciu, a potem nie mogłam ani wstać, ani wydobyć głosu. Gdy Kwakier obróciwszy się zobaczył mnie, położył palec na ustach, następnie skinął mi ręką, jak to czynił zawsze, i wszedł do garderoby. Kędy wyszedł z domu? Jeden Bóg to wie, gdyż wszystkie drzwi były zamknięte.

Skoro tylko mogłam wstać, pobiegłam do pani. Nie przypuszczałam, że stało się jej coś złego. Pragnęłam ją obudzić, ale ona już nie żyła – umarła we śnie. Na dywanie znalazłam tę oto chusteczkę... Poznaję ją... te brązowe plamki to ślady krwi Jana Diabła.

– I jesteś zupełnie pewna – zapytał intendent – że ten fałszywy książę Aleksy nie był podobny do syna aktorki Fanny Thompson?

– Najzupełniej pewna, milordzie.

– A jednak chusteczkę znaczą inicjały R. T... Ryszard Thompson.

– Doprawdy nie rozumiem.

– Jest w Londynie dziesięć tysięcy osób posiadających te same inicjały – szepnął Davy – a wiadomo, że ludzie typu Kwakier posługują się skradzioną chusteczką.

Pan Tempie wziął list, leżący obok chustki.

– Czy przypominasz sobie, jak czytałaś ten bilecik swojej pani?

– Tak – odpowiedziała Sara. – R. T. w podpisie to Ryszard Thompson.

Zawiadamiał, że będzie wieczorem, i przyszedł, o die pamiętam, by prosić o przedłużenie terminu długu, który jego matka spłacała mojej pani.

Pan Tempie zapisał coś na kartce z notatkami. — A co zrobiłaś przekonawszy się, że pani Bartolozzi nie żyje? – spytał James.

– Uciekłam.

– Dlaczego nie złożyłaś meldunku w policji?

– Kwakier położył palec na ustach.

– Ale teraz mówisz...

– Teraz nie boję się niczego.

– Dlaczego?

– Gdyż Kwakier pozwolił mi mówić.

James Davy otwierał usta do następnego pytania, intendent ruchem ręki nakazał mu milczenie i wstał.

– Saro O'Neil – (powiedział surowo bardzo stąd blisko do więzienia Newgate. Za godzinę możesz leżeć pod "prasą" i wrzeszczeć o litość, przygnieciona ciężarem dwóch tysięcy funtów. Proszę mi nie przerywać, nie jesteś oskarżona i nikt nie pragnie twej zguby, jednakże dla dobra sprawy wiedz, że sam oddałbym natychmiast połowę krwi, by poznać prawdę. Widziałaś ponownie człowieka, którego nazywasz Janem Diabłem, gdyż, jak mówisz, on to właśnie zwolnił cię z milczenia. Jeśli powiesz mi, gdzie teraz znajduje się Kwakier, wyliczę ci sto gwinei; jeśli nie zechcesz powiedzieć (dzięki Bogu, tortura istnieje jeszcze w Anglii, choć król i parlament od lat nakazują jej zniesienie), niech mnie Bóg skarże, lecz biada ci, Saro O'Neil, jeśli nie zechcesz mówić!

Spojrzenie jego zaciążyło na pięknej Irlandce, która zbladła jak płótno. Gdy Gregory Temple usiadł i jego wzrok zmienił kierunek, źrenice dziewczyny zerknęły sę błyskawicznie z oczami Jamesa Davy, którego powieki opadły dyskretnie. Sara natychmiast odzyskała całkowity spokój.

– Milordzie – powiedziała z prostotą – każdy wie, że Gregory Temple jest człowiekiem sprawiedliwym i obdarzonym wielką prze-

nikliwością; nie pójdę "pod prasę" do więzienia Newgate, tego jestem pewna, ale jestem także pewna, że nie otrzymam stu gwinei. Kwakier pozwolił mi mówić w chwili, gdy odpływał z Londynu. Dał północno-zachodni wiatr, doskonała pora, by żeglować Tamizą, a minęło już od tego czasu dwadzieścia cztery godziny. I jeśli statek nie zatonął, Kwakier musi być już daleko.

Intendent pomyślał chwilę. Następnie postawił na miejsce lampę, przykrył ją abażurem i usiadł plecami do obecnych.

– Czy mogę odejść? – spytała Sara.

– Przedtem musisz nam przynajmniej podać rysopis tego nędznika! – wykrzyknął James Davy jak żołnierz, który pragnie wystrzelić ostatni nabój.

Pan Tempie wyciągnął się w fotelu. Sara odpowiedziała uprzejmie:

– Milordowie wiedzą równie dobrze jak ja, że Kwakier ma na swe usługi całą galerię twarzy. Widziałam go dwa razy w życiu, lecz gdyby za drugim razem nie powiedział mi “oto jestem”, mogłabym przeżyć wiek obok niego, niczego nie podejrzewając. W noc zbrodni był to mężczyzna trzydziestoletni, młody, o bladej twarzy, z jasnymi wijącymi się włosami, wzrostu mniej więcej pana Tesmple'a, może odrobinę wyższy; oczy miał niebieskie, nos cienki i orli, usta różowe, jak usta kobiety... A wczoraj na Thames Street podszedł do mnie człowiek czterdziestoletni, gruby, ze szpakowatą brodą i wyglądał...

– Wyjdź! – rozkazał zmęczonym głosem intendent.

Przeprowadził ją wzrokiem do drzwi. Brwi miał ściągnięte. Zanim opuściła korytarz, nacisnął miedziany guzik wystający z muru w zasięgu jego ręki. Za ścianą rozległ się dźwięk dzwonka i żółta twarz ukazała się w okienku obok biurka.

– Schodzi teraz po schodach dziewczyna, panie Foster.

– Tak, Sara O'Neil.

– Dobrze... Niech dwóch ludzi śledzi ją dniem i nocą!

Żółta twarz w okienku pochyliła się na znak posłuszeństwa i znikła.

Pan Tempie przysunął akta przerzucając papiery z roztargnieniem.

– Starzeję się – szepnął. – Jego Wielmożność lord najwyższy sędzia ma orle spojrzenie! – Następnie dorzucił tak cicho, że nawet James Davy nie dosłyszał: – Ta piękna dziewczyna była naszą ostatnią szansą.

Intendent londyńskiej policji znieruchomiał pogrążony w gorzkim rozmyślaniu, po czym spytał nagle:

– Co pan o tym myśli, James?

– Zeznanie tej Sary O'Neil... – zaczął młody człowiek.

Gregory Tempie wzruszył ramionami, a wykrzywione usta usiłowały się uśmiechnąć.

– Bzdura! – wykrzyknął. – Ona jest tylko narzędziem. Pływamy w mętnej wodzie! Byłem raz świadkiem, jak pewna staruszka nagle zaniewidziała. To bardzo smutne, ale i ciekawe. Czy myśli pan, że zawołała: “Nic nie widzę”? O nie, ona powiedziała po prostu: “Niech nas Bóg strzeże, oto słońce zagasło”... I ja taki jestem, przyjacielu, staram się stawić czoło porażce, ale fakt pozostaje faktem. Słońce nie zagasło, to ja tracę wzrok.

Odsunął teczkę jedną ręką, podczas gdy zaciśniętą pięścią drugiej uderzył się w czoło. Łagodne i bystre spojrzenie młodego człowieka nie schodziło z jego twarzy.

– Czy ona mówi prawdę, czy kłamie – ciągnął Gregory Tempie tonem gorzkiej pogardy – to mało nas obchodzi. Podczas śledztwa kłamstwo pomaga tyleż, a może i więcej niż prawda; masz na tyle doświadczenia, by o tym wiedzieć. W sprawie Munro i Tornhilla posuwałem się szybkim i pewnym krokiem pośród sześćdziesięciu fałszywych świadków. W tych aktach są trzy rysopisy Jana Diabła, a wszystkie trzy są sprzeczne, zaprzeczają też rysopisowi, który nam przekazała Sara... Tracę wzrok, James, przestaję widzieć słońce; mam głębokie przeświadczenie, nieugięte i absolutne, że Jan Diabeł nie istnieje.

Podniósł oczy na młodego człowieka, który słuchał go ze spokojną uwagą.

Gdy znowu odwrócił wzrok, James stłumił westchnienie, a wargi lekko mu drgnęły.

– Sara nic nie widziała – podjął Gregory Tempie, którego głos nabierał pewności, w miarę jak posuwał się naprzód w pracy myślowej – przysięgnę na zbawienie duszy, że nic nie widziała. Choć nisko upadłem, potrafię jeszcze odróżnić szczere zeznanie od wyuczonyj roli... Czy mielibyśmy zbrodniarza, gdybyśmy schwytali człowieka, który podsunął jej to fałszywe zeznanie? Czy morderca w ogóle istnieje? Przypatrzmy się sprawie. Jedynym pewnym elementem, jaki posiadamy, jest nagła śmierć pewnej kobiety, zmarłej w swej własnej sypialni, we własnym łóżku, przy zamkniętych

drzwiach, których zamki nie wykazują najmniejszego śladu włamania. Na ciele zmarłej nie znaleziono żadnej oznaki gwałtu, chyba tylko maleńki ślad na szyi, jak po naciśnięciu palcem. Trzech doktorów z Królewskiej Akademii badało zwłoki z wielkim namaszczeniem. Pierwszy orzekł, że śmierć spowodował ucisk fiszbinu, i wygłosił długie przemówienie o złym wpływie gorsetów; drugi stwierdził, że są to objawy raka,

a czcigodny kolega nade posiada poczucia zdrowego rozsądku. Natomiast trzeci nazwał obu poprzedników osłami i oznajmił, że przyczyną śmierci jest symptom często obserwowany u śpiewaków płci obojga, spowodowany wysiłkiem. Autopsja wykazała pęknięcie naczynia, a gdy im powiedziałem – ja też jestem trochę lekarzem, gdyż trzeba wszystko umieć, by zostać głównym intendentem policji – gdy więc im powiedziałem: “panowie, ucisk dokonany w tym miejscu w taki a taki sposób ręką lekarza spowodował natychmiastową śmierć”, nasi trzej mędracy wykrzyknęli: “A co, nie mówiłem?” Gdyż okazało się, że i oni tak samo myśleli, tylko zapomnieli wyrazić to słowami... Ponadto zeznania służby Konstancji Bartolozzi sprzeczne są z zeznaniami tej dziewczyny. A któż wprowadził do sprawy imię Jana Diabła lub Kwakra? Wszyscy i nikt. Jeden tylko fakt jest oczywisty, Davy, starzeję się!

Na Boga! – ciągnął dalej z błyskiem wściekłości w oczach – zburzyłem ich głupią rutynę! Zdaje się, że byłem silny, gdyż potrafiłem zgnieść te nieszczęsne pułapki, które od czasów potopu rdzewieją na strychu policji! Stworzyłem system detektywistyczny, wynalazłem narzędzie proste, logiczne i mocne: czyż nie warto mi za to ukręcić karku?

– Nieraz myślałem, mistrzu – młody człowiek podszedł do biurka – że cała ta sprawa może być spiskiem uknutym przeciw panu.

Żrenice intendenta przygasły, pojawił się w nich wyraz nieufności.

Ach taki powiedział z zimnym uśmiechem – więc pan o tym myślał... Pomylił się pan. Jan Diabeł jest widmem, ale morderca istnieje; ukrywa się za plecami Jana Diabła. A wie pan, gdzie znajdę prawdziwe nazwisko mordercy, kryjącego się za upiorem? Powiem panu, jeśli pan jeszcze nie odgadł. Znajdę je na dużej tablicy w westybulu, gdzie są wypisane nazwiska wszystkich urzędników policji londyńskiej.

– Jak to? – wykrzyknął Davy – czyżby pan sądził...

Pan Tempie objął go błyskawicznym spojrzeniem.

– Pańskie zdziwienie nie jest naturalne – powiedział.

– Toteż już się skończyło – odparł spokojnie młody człowiek. Zapomniałem o Ryszardzie Thompsonie.

Czoło pana Tempie'a opadło ciężko na złożone ręce. ||||| Ryszard – szepnął. Czy dobrze pan zrozumiał naturę i znaczenie moich podejrzeń? Tak bardzo go lubiłem, że polubiłem i pana z początku tylko dlatego, że pan go bronił; ale minęło dwadzieścia

siedem lat od chwili, gdy przestąpiłem po raz pierwszy próg tego pokoju i nigdy jelseż ziemia nie usuwała mi się spod nóg tak jak

obecnie... Chociaż nie... raz jeden, tak, ale zbrodnię popełniono daleko, a mnie zaślepiła uczucie do ofiary... Jak i teraz, chodziło o ta-, jemnicze bractwo, niemieccy rycerze Róży i Krzyża... Wydawało mi się, że jak w obecnej sprawie rolą ich było zmylić ślad i wprowadzić policję na fałszywy trop. I rzecz dziwna, to samo imię Jana Diabła słyszałem i wówczas.

Wzruszył ramionami i milczał przez chwilę, po czym podjął bardziej stanowczym tonem:

– Tak samo jak ja wniosłem nową metodę do badań, morderca również unowocześnił swój proceder. Gdy po raz pierwszy użyto armaty do oblężenia cytadeli, mury forteczne straciły znaczenie. Tylko szermierka jest sztuką, ale nie każdy zna ripostę na skomplikowane pchnięcie, obmyślane przez znakomitego fechtmistrza. Ten, kto teraz stoi mi na drodze, jest jakimś Vaubanem, zabawiającym się moją artylerią, i Saint Georgesem, drwiącym z mojej szpady. Zna moje sposoby atakowania, a ja nie mogę zrozumieć, jak odparowuje moje ciosy. Wszystko, co mnie otacza, jest dziwne, podobne do gorączkowego majaczenia. Czasem wydaje mi się, że świadkowie wymyślili tę nikomu nie potrzebną zbrodnię, czasem znowu nazwisko zmarłej prześladowuje mnie jak przekleństwo. I nic, nic dokoła mnie, tylko ciemności. Po namyśle jednak rozpoznałem moją własną broń. System mój to klucz otwierający wszystkie zamki: jeśli się ukradnie zamek, na cóż potrzebny klucz? Ale zręczność wykonania zdradza robotnika i z całą pewnością mogę powiedzieć, jak gdybym trzymał rękę na ramieniu winnego: wzięłeś broń z mego arsenału, użyłeś na zło to, co ukułem dla dobrych celów, znam cię, jesteś moim uczniem!

Po tych słowach wstał. Jego wyostrzony wzrok zdawał się przenikać zasłonę kryjącą prawdę. Promieniował niezwykłą siłą i potęgą skupienia, która obok umiejętności analizowania przebijała każdą przeszkodę tak pewnie i z taką cierpliwością, jak pilnik przepiłowujący stal. Policzki Jamesa Davy okryły się bladeścią, przypuszczalnie z powodu wzruszenia, gdyż po raz pierwszy pojął wysiłek tego atlety w walce.

– Mistrzu – wyszeptał – miał pan innych uczniów oprócz Ryszarda Thompsona... - Nie mówię o Thompsonie – odpowiedział gwałtownie pan Tempie. – Wszyscy ci, którzy ze mną współpracowali, zostaną poddani próbie!

– Ma pan innych uczniów – ciągnął łagodnie Davy – nie tylko tych, co z panem współpracowali i mogli bezpośrednio korzystać z pańskich cennych lekcji.

–Co pan chce powiedzieć? – spytał zniecierpliwiony intendent.

Szczupły palec młodego człowieka wskazał rozrzucone na biurku kartki korekty drukarskiej.

– Mistrzu – dodał z większą pewnością – książka pana jest niebezpiecznym arcydziełem!

Na jednej z kartek widniały następujące słowa odbite tłustym drukiem: "Wydanie groszowe. Sztuka wykrywania winnych, przez Gregory Temple'a".

– Proszę mi wierzyć – dokończył z szacunkiem – policja nie powinna pokazywać klucza, gdyż wówczas zbrodniarz zmienia zamek.

Gregory Temple milczał. Czoło pokrył mu rumieniec, następnie śmiertelna bladeść. Ręce drżały od wysiłku, by opanować wzruszenie. Pozbierał rozrzucone kartki drąc je jedna po drugiej; było to bezapelacyjne potępienie.

Gdy ostatnia kartka uległa zniszczeniu, na placu przed Scotland Yardem dał się słyszeć hałas, krzyki, tupot biegnących nóg i wybuchy śmiechu. Wkrótce zachrypli

głos górujący nad zgiełkiem oznajmił, zgodnie z angielską formułką, ostatnią nowość groszowego wydania, która świeżo wyszła spod prasy.

–Wielka atrakcja! – darł się zachrypiły krzykacz uliczny. – Ostatnia nowość, nikomu me znana! – Panie i panowie, kupujcie "Przedziwne przygody Jana Diabła, zwanego Kwakrem" z portretem autora i z wizerunkami słynnej i nieszczęsnej Konstancji Bartolozzi oraz pana Temple'a, intendenta policji...

Ostatnie słowa zginęły w nowej fali wrzasków, śmiechu i gwizdania.

–Ojciec zostawił mi niewielką fortunę – powiedział Gregory Temple z trudem, przez zaciśnięte zęby. – Pracowałem tu dniem i nocą przez dwadzieścia siedem lat i jestem biedny. Zniszczyłem moje dzieło, jedyny majątek córki, gdyż pan powiedział prawdę: książka ta to owoc pychy, wydać ją to niebezpieczne wyzwanie. Teraz jestem stary; lord najwyższy sędzia znieważa mnie, lud zabawia się moim kosztem, a jutro król mnie stąd wypędzi. To zwykły porządek rzeczy, Jamesie Davy; ale nie skarżę się, wprost przeciwnie, chcę wypić do dna kielich goryczy... bądź tak dobry, zejdź i kup mi ten pamflet, który sprzedają pod oknami.

– Mistrzu... – wyjąkał młody człowiek.

– Rozkazuję panu kupić to.

Davy skłonił się i wyszedł. Intendent wstał, czekał powrotu pomocnika stojąc pośrodku pokoju. Gdy Davy wrócił, Gregory Temple, sztywny i wyprostowany, wzdął broszurę mokrą jeszcze od farby drukarskiej. Na pierwszej stronie widniała jedna z tych wulgarnych i ponurych rycin, w których karykatura angielska naśladuje wyłącznie błędy wielkiego swego ojca Williama Hogartha fi Rysunek przedstawiał wagę z otwartą trumną w środku, ze zwłokami kobiety i podpisem: "Konstancja Bartolozzi". W górze zuchowaty łotrzyk Jan Diabeł, zwany Kwakrem, łatwy do rozpoznania dzięki ogromnemu kapeluszu, pełen durny, rozdawał egzemplarze broszury; w dole przysiadł intendent policji, uderzająco podobny, obdarzony setką oczu mitycznego Argusa zaklejonych plastrem. Z ust każdej z tych postaci wypływał napis, nieodzowna pointa karykatury, mającej cieszyć Johna Bulla. Bartolozzi mówiła: "Czekam", Jan Diabeł krzyczał: "Idę w górę", a Gregory Temple odpowiadał: "Spadam".

Intendent policji długo w milczeniu przyglądał się rycinie. Następnie usiadł przy biurku, wziął szeroką kartkę papieru i pewną ręką nakreślił następujące słowa:

Do wielce szanownego Franciszka Taylora, markiza d'Headfort, hrabiego Bective z Bective Castle, wicehrabiego Headfort, barona Headfort, barona Kenlis, lorda najwyższego sędziego Zjednoczonego Królestwa.

MILORDZIE,

mam zaszczyt złożyć na ręce Waszej Wielmożności rezygnację ze stanowiska naczelnego intendenta policji w głównym biurze Scotland Yardu. Boże, chroń króla! Gregory Temple.

Gdy złożył i zaadresował powyższe pismo, zebrał prywatne papiery do teczki i wyciągnął rękę do Jamesa Davy mówiąc:

– Nigdy tu nie wrócę; zanim jednak opuszczę to biuro, poczynię odpowiednie kroki, co do pańskiego awansu. Za kilka dni, a może nawet jutro, otrzyma pan nominację na zastępcę komisarza, zasłużył pan na to.

– Dziękuję, mistrzu – odparł młody człowiek biorąc go serdecznie

za obie ręce – jest pan szlachetny i dobry do końca. Z bliska czy z daleka, będę zawsze pańskim oddanym sługą.

Pan Temple, stojący już na progu, zatrzymał się.

– Biorę pana za słowo – powiedział poważnie. – Odtąd moje życie będzie nieustannym pojedynkiem z zuchwałym bandytą, kryjącym się pod imieniem Jana Diabła. Pomóż mi odkryć trzy rzeczy; jakich wrogów miała Konstancja Bartolozzi, komu przeszkadzała za życia, komu jej śmierć przyniosła korzyść.

– Mistrzu, pomogę panu ze wszystkich sił – odpowiedział James Davy.

Gregory Temple przestąpił próg gabinetu. Gdy drzwi się za nim zamknęły, James przez chwilę nasłuchiwał oddalających się kroków intendenta, a gdy ostatnie echo zamarło na korytarzu, uśmiech pojawił się na jego ustach. Zasuwał zasuwę u drzwi i wzięwszy lampę z biurka obszedł półki oświetlając napisy na grzbietach akt, po czym wyjął dwie teczki. Na jednej widniał napis: "Morderstwo generała O'Brien – Jan Diabeł – Praga 1813". Na drugiej znajdowały się tylko dwa nazwiska: "Helena Brown – Tom Brown". Następnie wyjął zawartość teczek, układając dokumenty na stole w stertę.

Przysunąwszy fotel pana Temple'a do kominka usiadł tak, że wystarczyło wyciągnąć rękę, by wziąć z biurka potrzebny dokument. Wyglądał jak systematyczny człowiek porządkujący papiery, odkładając na bok potrzebne kartki, resztę wrzucając w ogień.

Stosik zmniejszył się w mgnieniu oka, widać mało zawierał ważnych dokumentów. Wszystko prawie spłonęło, dwa tylko papiery dostały się do portfela Jamesa Davy.

Młodzieniec wstał, wsunął na miejsce puste teczki i wybrałszy z pudełka cygaro, wziął z biurka list podpisany inicjałami R. T., by go spalić. Jednakże po chwili namysłu dołączył list do reszty papierów, mruknąwszy: – Tb jeszcze może ani się przydać...

Włożył rękawiczki i obiegnął uważnym spojrzeniem gabinet, jak gdyby zadawał sobie pytanie: "Czy to wszystko?" Tak, to było wszystko. Następnie nacisnął miedziany guzik, wywołujący żółtą twarz w okienku.

–r Panie Foster – rozkazał, gdy twarz ukazała się w otworze – proszę natychmiast wysłać ten list do lorda najwyższego sędziego... i proszę mi dać medal fkonstabla.

Pan Foster jedną ręką wziął dymisję intendenta, a drugą podał własny medal, który młody człowiek zawiesił na szyi ukrywając pod frakiem i wyszedł pogwizdując arię z francuskiej opery.

2. Robinson i Turner, czyli dwaj wierni piwowarzy

Minęła ósma. Alaster Grant, właściciel salonu ostryg na Bank Corner, siedział przed jednym z tych komfortowych kominków londyńskich, wesołych jak grobowiec, których palenisko, umieszczone trzy stopy nad ziemią, pali twarz pozwalając ziębnąć nogom. Alaster Grant był zuchem, skrojonym na miarę buldoga, w dzień nic nie robił i nawet nie myślał; wieczorem zaś lubił odpocząć po tej podwójnej pracy.

Gdy nieposzlakowanie elegancki, młody dżentelmen, o szlachetnej twarzy, został wprowadzony przed oblicze gospodarza, odezwał się bez wstępów:

– Alasterze Grant, wolno panu, jak każdemu poddanemu króla, przyjmować w swoim domu, kogo się panu podoba, oraz sprzedawać swoje artykuły z jak największym zyskiem, jednakże centralne biuro policji może ze swej strony zastosować do pana ogólnie przyjęte prawo, nakazujące, by wszelkie kawiarnie, tawerny i szynki były zamknięte od północy do szóstej rano.

– To właśnie pora mojego utarguHg odpowiedział Alaster Grant. Salony ostryg są rzeczywiście lokalami specjalnymi, w czysto angielskim stylu, gdzie całą noc podaje się małże, mięczaki i homary, portwein i sherry. Lokal Alastera Granta był modny; gdy kończyło się przedstawienie w teatrach, goście zapełniali salon ostryg.

Młody dżentelmen uchylił fraka pokazując medal konstabla zawieszony na szyi.

– Jestem James Davy ze Scotland Yardu – dodał.

Czerwona twarz Alastera Granta nie okazała niepokoję. Zapytał obcesowo:

Co mi zarzuca policja? — To, że przyjmuje pan zagranicznych szpiegów — odparł elegant. — Mamy o tym raporty.

— Niech mnie Bóg skarże! — wykrzyknął Grant śmiejąc się hałaśliwie — przyjmuję każdego, kto płaci, i drwię sobie ze szpiegów zagranicznych... Czego pan chce?

~ Chcę, by zatrudnił mnie pan na dzisiejszy wieczór w charakterze garsona.

— Chce pan pełnić u mnie funkcje policjanta?

— Tak.

Alaster Grant spojrział spod oka na swego rozmówcę. — Jeśli aresztuje pan kogo w moim lokalu... — zaczął.

— Rączą słowem, że do tego nie dojdzie — przerwał James.

Twarz właściciela wypogodziła się.

— Saunder! — zawołał.

Na wezwanie zjawił się drobny Szkot, w fartuchu z szarego płótna, z serwetą w rąku. '

— Saunder — powiedział Alaster Grant — angażuję tego oto dżentelmena jako garsona. Dasz mu, co potrzeba, i jeśli chce, może zacząć pracę.

To mówiąc odwrócił się do rozpalonej do czerwoności kraty kominka. Po chwili James Davy ubrany był również w fartuch z szarego płótna i miał w ręku serwetę.

Anglicy, choć nie doceniają uroku zupełnego odosobnienia, nie lubią jednak hałaśliwych wspólnych posiłków. W ich restauracjach na próżno szukać gabinetów lub wielkiej sali, gdzie goście poszturchują się po bratersku, a udzielająca się wesołość ogarnia wszystkie stoliki, tworząc oszałamiający w swej radości koncert. Wynaleźli więc coś pośredniego. Dokoła sali ciągnie się u nich podwójny rząd jak gdyby wielkich trumien, podobnych do konfesjonałów, tulących się do kościelnych murów. Nazwa odpowiada rzeczy, gdyż Anglicy nie wstydzą się swych dziwactw i rzadko starają się ukryć ich ponurą brzydotę. Te miejsca zabawy nazwano więc pudełkami (boxies). Nie bądźmy jedniak nietolerancyjni i pozwólmy Anglikom zabawiać się na swój sposób.

W jednym z takich "boksów" przeznaczonych dla gości siedziało przy stoliku dwóch dżentelmenów w średnim wieku, o wyglądzie budzącym szacunek. Przed nimi znajdowało się dwanaście tuzinów ostryg, a dwa dzbany portweinu stały po obu stronach ogromnego metalowego półmiska, na którym piętrzyła się góra mięczaków. Dwie olbrzymie pieprzniczki z przedziałkami >na cztery gatunki diabelskich sosów przyprawionych korzeniami i czerwonym pieprzem stały koło dzbanów. Na stoliku z jasnego żółtego drzewa nie było serwety, a tępo zakończone noże zastępowały widelce.

Obaj panowie nosili ciężką żałobę, a wygląd ich zdradzał wielki smutek; jednakże pożerali tłuste ostrygi z równym apetytem, a porto, ciemne jak zbrązowiałe złoto, znikало z dzbanów.

Jeden, gruby, o pudrowanych włosach z małym podrygującym warkoczem, podobny był do portretu Ludwika XVIII; drugi, wyższy i szczuplejszy, nosił perukę, której poźółkłe fryzowane "uszy" opadały mu na różowe policzki, jak peruka lalki. Jedząc uśmiechali się do siebie z przyjacielską poufałością, a za każdym razem, gdy podnosili szklanki, wymieniali porozumiewawcze spojrzenie. Zdawałoby się, że trudno spotkać dwóch osobników o bardziej niewinnej i bu- dzącej zaufanie fizjonomii, jak ci dwaj panowie w średnim wieku. ;

Jednakże niebezpiecznie jest sądzić ludzi po ich wyglądzie! Ci dwaj, tak niewinni na pozór panowie, byli właśnie owymi zagranicznym!! szpiegami. Przynajmniej tak uważał James Davy, - nowy garson, który zatrzymał się przy ich "boksie", zapuściwszy przedtem spojrzenie ,do wszystkich pozostałych. Oddalił innych obsługujących i stanął na straży za cienkim przepierzeniem wysokości człowieka, przez które ,, słysząc było każde słowo wypowiedziane przez nieostrożnych konspi^ ratorów.

– Tak, tak, kuzynie Turner – mówił w tym momencie gruby jegomość w pudrowanej peruce – zaledwie przeczytałem o tym w gazecie, natychmiast wsiadłem w pocztową brykę, a potem na statek.

– Ja także, drogi kuzynie Robinson – odparł szczuplejszy dżentel men we fryzowanej peruce – chciałem przynajmniej złożyć wieniec z nieśmiertelników na jej grobie.

– Taki był cel i mojej podróży. Niestety! Gdy pomyślę, że w tej samej restauracji... ostrygi zawsze są doskonale u Alastera Granta... zechciej sobie przypomnieć, jak bardzo lubiła je Konstancja!

Dało się słyszeć podwójne westchnienie, następnie Turner odpowiedział: < – Biedna Konstancja lubiła także portwein, choć wołała ^sherry..> Czy to możliwe, że tak nagły i okrutny wypadek odebrał ją nam w kwiecie lat! Twoje zdrowie, kuzynie Robinson!

– Dziękuję z całego serca. Twoje zdrowie, Turner. Przyjrząwszy się dobrze obu jegomościom, łatwo było zauważyć w ich stroju i manierach coś cudzoziemskiego; harcap grubego Robinsona i loczki u peruki Turnera pachniały kontynentem. James Davy nie mylił się. Chwilowo jednak to, co mówili, nie zagrażało pokojowi w Europie.

Turner wyjął z kieszeni obszernego fraka koloru orzecha laskowego okrągłą tabakierkę ozdobioną portretem pięknej, młodej kobiety, ubranej po turecku, z olbrzymim turbanem na głowie, a Robinson spojrzawszy na miniaturę, wzniósł oczy w niebo.

– Oryginał znajduje się na moim portycygarze – powiedział. Turner uśmiechnął się z dumą i odparł stukając w tabakierkę: '

– To jest oryginał.

– Pan się myli! – zawołał z żywością Robinson, a jego proszące spojrzenie wstrzymało energiczną odpowiedź na wargach Turnera.

– Niech jej obraz pozostanie wśród nas – rzekł z namaszczeniem – niech jej pamięć zetrze wszelkie nieporozumienia między nami! Czy przypominasz sobie, jak występowała w tym stroju w "Buncie w seraju"?

– Czy pamiętam? Jakże ona śpiewała tę wielką arie!

– A figlarny duet, kuzynie Turner?

Zamilkli, gdyż serca ich przepełniło wzruszenie i każdy w milczeniu połknął tuzin ostryg.

– Czy wiesz, przyjacielu, że miała już czterdzieści lat? – podjął po chwili Robinson, topiąc smutek w szklance porto.

– Tak, tak – odparł Turner – gdy poznałem ją w teatrze w Lyonie, w 1799 roku, jesienią... osiemnaście lat temu... miała już wszystkie ząbki.

Ja poznałem ją w teatrze w Brukseli, w 1798... akurat przed dziewiętnastu laty... umiała już chodzić... widzisz, mój drogi, nie starzała się, to pewne...

Znowu wypili i ręce ich spotkały się nad metalowym półmiskiem, na którym zostały jedynie skorupy ostryg.

– Garson! – zawołał ociężałe Turner.

James Davy znajdował się na stanowisku za przepierzeniem. Zjawił się natychmiast. Pan Robinson powiedział smutno:

–■ Prosimy o rybę.

Davy, szybki i nadskakujący, jak gdyby całe życie nic innego nie robił, oddalił się, a po chwili wrócił, niosąc na tacy przybory do herbaty, gotowanego łososia, szpikowanego szynką i sardelą, płaty jesiotra ułożone na warstwie siekanych krewetek i dwa patyki, na które nadziano drobne szczupaczki w pieprzonym sosie.

Zagraniczni szpiegowie zaatakowali najpierw sos z jednakowym apetytem. Widocznie nie nadeszła jeszcze pora na sekrety stanu, gdyż gruby Robinson odezwał się, dolówając do herbaty trzy ćwierci wódki:

7- Zdrowy rozsądek wskazuje, że między nami nie może być mowy o rywalizacji, drogi przyjacielu i kuzynie. To pewne, że kochane dziecko przez dwadzieścia prawie lat nie mogło się zdecydować, jednakże nie mam do niej żalu i odrzucam myśl, że choć przez chwilę chciała nas oszukać.

– Oczywiście – zawołał pan Turner z ogniem i pełnymi ustami – nie wolno znieważać świeżej mogiły!... Na to, by dokonać wyboru, trzeba czasu, prawda?

– Naturalnie, a tu wybór był tak trudny!

– Widziała w nas dwóch dżentelmenów w jednym wieku, o prawie jednakowej fortunie i takiejże uczciwości. Ja sam wahałbym się na jej miejscu.

– Ja również!

– Tym bardziej że była kobietą ostrożną...

– O tak, i przewidującą!

– Wielkiej dyskrecji!

– Znała świat i ludzi!

– Drogi przyjacielu – zawołał pan Turner głosem drżącym ze wzruszenia – te wspomnienia sprawiają mi bolesną rozkosz!

– Mogę powiedzieć to samo, drogi, kuzynie. Niegdyś byliśmy współnikami w interesach, los złączył nas na polu uczuć... niczego przed sobą nie ukrywajmy, dobrze? Opróżnijmy do dna czarę wynurzeń.

– Jestem gotów. Pytaj.

– Rad bym się dowiedzieć – zaczął Robinson – kiedy to biedna Konstancja obiecała ci, że zostanie panią Turner.

– W maju 1809 roku... O słodkie wspomnienia!

– W maju 1808 roku zgodziła się zostać moją żoną – westchnął Robinson.

– W maju! – powtórzył Turner z uczuciem. – Najlepszy to miesiąc do tego rodzaju transakcji. Wiosna...

– Przebudzenie natury...

– Pierwsze fiołki, róże...

Przez chwilę zapomnieli o łososiu i jednocześnie sięgnęli po portfel. Na stoliku leżały obok siebie portycygar Robinsona i tabakierka Turnera, obie ozdobione uśmiechniętą miniaturą sułtanka w turbanie. Dwaj przyjaciele jednocześnie wyjęli z portfeli dwa jedwabiste arkusiki tego samego gatunku papieru.

W tym czasie James Davy zapuszczał wzrok przez szparę w przepierzeniu. Jego usta, tak piękne i czysto zarysowane jak usta kobiety, uśmiechnęły się drwiąco.

“Z chwilą gdy opuszczę teatr – odczytał głośno grubas, z trudem hamując wzruszenie – obiecuję poślubić pana Williama Robinsona, piwowara w Lyonie (Francja) do którego należy od dawna moje serce”.

– “Z chwilą gdy opuszczę teatr – przesyłabizował drżącym głosem Turner – obiecuję poślubić pana Francka Turnera, piwowara w Brukseli (Niderlandy), do którego należy od dawna moje serce”.

I obaj jednocześnie odczytali podpis:

“Konstancja Bartolozzi” – i każdy z nich otarł ukradkiem szczerą łzę żalu.

xNastępnie spojrzeli na siebie nieco spłoszeni, obawiając się, że na wargach rywala ujrzą drwiący uśmiešek.

– Kuzynie – podjął nieśmiało piwowar z Lyonu – czy wiesz, że w podobnej sytuacji Francuzi dawno by się pojedynekowali?

– Flamandowie porznęliby się jak barany – odparł piwowar z Brukseli.

- Tymczasem my, Anglicy...
- Prawdziwi Anglicy, do licha!
- Dżentelmeni, do diabła!
- Saksonowie starej daty, nieprawdaż, Robinson?
- To jeszcze jedna więź między nami, co, Turner?

Zamiast odpowiedzieć Turner wstał, obszedł stolik i chwycił Robinsona w objęcia.

- Więź mocna jak stal Hf rzekł uroczyście, po czym wrócił na miejsce.
- Chcę ci wszystko wyznać –I wykrzyknął Robinson, nakładając na talerz solidną porcję łososa – nic nie zataję. W zamian za daną mi obietnicę wysłałem jej własnoręcznie napisany testament, w którym ustanawiałem ją jedyną spadkobierczynią mego majątku.

jijj Zrobiłem to samo – odpowiedział Turner – mogę więc tylko pochwalić twój postępek.

James Davy nie podglądał już przez szparę w przepierzeniu. Stał wyprostowany, skrzyżowawszy ręce na piersiach. Słuchał z natężoną uwagą.

Robinson i Turner rzucili się na jedzenie, unikając wzajemnie swego wzroku. Uważny obserwator zrozumiałby, że worek ze zwierzeniami nie został jeszcze opróżniony i że najważniejsze pozostało do wyznania-

- Do licha! – odezwał się nagle Robinson, bardziej skłonny do wynurzeń myśli, co chcesz, Konstancja dała mi do zrozumienia, że nasz związek... rozumiesz mnie chyba?... nie był bezpłodny... i że uropze dziecię...

– Jasnowłosy cherubinek... – westchnął Turner.

– Czekają tylko na dzień naszego ślubu, by nazwać mnie ojcem – zakończył grubas.

• – Takim samym godnym stylem zawiadomiła mnie o szczęśliwym wypadku! – szepnął Turner.

– Więc w ten sposób... – dokończył Robinson – rozumiesz chyba... testament mój objął także tę młodą latorośl...

– Rozumiem, zrobiłem to samo. Twoje zdrowie, kuzynie!

– Twoje zdrowie!

– Ileż i między i nami i podobieństwa – podjął Turner z przejęciem. – Synowie dwóch sióstr!

– Obaj piwowarzy!

– Obaj milionerzy, dzięki Bogu!

– Wielbiciele tej samej kobiety...

– Jednakowo potraktowani...

– Równie szlachetnie, kuzynie!

– O tak, jak najszlachetniej! Obaj wdowcy w jednym czasie.

– Ojcowie-koledzy, jeśli można się tak wyrazić.

– Na naszym miejscu Francuz topiłby...

■^ Belg śmiałyby się do rozpuku, lecz ja twierdzą, że to mało być kuzynami, jesteśmy jak bracia!

– Bracia bliźniacy, takie jest moje zdanie.

\-^ -Powiedz mi, Franek, kiedy spotykałeś się z nią?

– Zawsze w maju, drogi Williamie; ofiarowywała mi pierwszą połowę miesiąca. A ty?

– Też w maju. Poświęcała mi drugą połowę. Tręcili się szklankami.

– Co powiedziałby Francuz? – spytał Robinson, spoglądając na towarzysza przez szkło kieliszka.

– Co rzekłby Belg, przyjacielu?

-T7 Francuz nie szanuje niczego – zaopiniował grubas. – Francuz zauważyłby niewłaściwie, że rok ma dwadzieścia dwie połówki miesiąca.

Turner wzruszył z pogardą ramionami.

– Belg nieomieszkałby dodać, że mogliśmy mieć dwudziestu dwóch rywali podczas pozostałych jedenastu miesięcy... Dzięki Bogu, jesteśmy Anglikami!

– Prawdziwymi Anglikami!

– Niech Bóg skarże Niderlandy!

– Niech piekło pochłonie Francję!

– Niech żyje wesoła Anglia!

Ponieważ sprawę załatwiono, a z łososia zostały tylko ości, Turner zapytał Robinsona, czy podać mu plasterek jesiotra.

– Biedna Konstancja patrzy na nas z nieba – rzekł mieszając siekaninę krewetek posypaną pieprzem.

– Niech więc będzie ze mnie zadowolona! – wykrzyknął Robinson – poświęcę się dla jej pamięci! Turner – dodał z godnością – oświadczam uroczyście, że zrzekam się dziecka na twoją korzyść.

– Czy myślisz, bracie, że zgodzę się na podobne poświęcenie? – zawołał Turner.

– Jeszcze mnie nie znasz!

– Tak, tak – przerwał śmiejąc się Robinson. – Rozumiem cię i aprobuję, jak zawsze. Wszystko dla biednej Konstancji, nieprawdaż? Co zaś do latorośli, nie będziemy o niej więcej mówić! Wobec tego, Franek, nie masz spadkobiercy?

– Ty podobnie, Williamie?

– Mam ze cztery miliony uczciwie zebrane.

– Ja mam trochę więcej, Williamie. Biorąc pod uwagę wysokość procentów wypłacanych od kapitału, wyniesie to z pięć milionów.

– Dziewięć milionów! – obliczył James Davy, nie opuszczający stanowiska.

– Do licha – rzekł Robinson. – Czy pomyślałeś o jednej rzeczy? Jeśli, na przykład, jutro umrzemy, to latorośl, którą wydziedziczyliśmy za wspólną zgodą, stanie się dziesięciokrotną milionerką albo, jeśli unieważnimy testamenty, to nasze miliony dostaną się synowi tej istoty, która nas niegdyś wygnała z Londynu, okrywając hańbą naszą rodzinę.

– Synowi Heleny Brown – szepnął Turner zdławionym głosem. – Temu bandycie Tomowi Brown. – Po czym dodał: – Mówią, że matka zmarła w Sydney, pod razami batów...

– Twierdzą, że syn zginie na szubienicy w Tyburn! – dodał Robinson.

James Davy, oparty o zewnętrzną ściankę "boksu", słuchał nieruchomy jak posąg. Tylko na wzmiankę o Helenie Brown ciałem jego wstrząsnął nagły dreszcz i powieki opadły na gorejące źrenice.

– Garson! – wrzasnął Turner.

– Do usług, panowie.

– Langustę w imbirowym sosie zamiast wykałaczki i dzbanek starego sherry, które nam tu podano w ubiegłym roku, w maju.

– I herbatę –• dodał Robinson – i francuską wódkę, a żywo! Davy jak strzała przemierzył salon, przypuszczając, że zbliża się najważniejszy moment rozmowy, i obawiając się uronić choć słowo; na próżno jednak śpieszył się. Gdy wrócił, rozmowa posunęła się już daleko.

– Gdyby żyła biedna Konstancja – mówił z uczuciem Robinson – nigdy by podobna myśl nie przyszła mi do głowy, przysięgam.

– Ze mną działo się to samo – odpowiedział Turner – tylko tak niepowetowana strata...

_____ Masz rację, niepowetowana... Czyż jednak nie wolno nam pomyśleć o zbliżającej się starości?

– Mamy chyba prawo...

– Nawet najczulsze wspomnienie nie zastąpi ludzkiego towarzystwa podczas długich zimowych wieczorów.

– Jasne... Potrzebny ktoś przy kominku.

– Nie powiem, bym spodziewał się, że (ktoś potrafi ją zastąpić... – westchnął grubas.

– Nigdy! Nikt jej nie zastąpi! – przerwał drugi.

– Jednakże... – ciągnął Robinson, biorąc portcygar i wsuwając go do kieszeni, jak gdyby obawiał się tureckiego portretu, niemego świadka zdrady – jednakże...

– Tak – powtórzył Turner chowając ukradkiem tabakierkę gestem zdradzającym wyrzut sumienia. Po czym spytał półgłosem:

– W jakim wieku twoja?... moja może trochę za młoda, ma lat osiemnaście... ale rozsądek, doświadczenie, po prostu anioł.

– Moja ma tylko lat szesnaście – wyznał czerwieniąc się jak dziewczynka, gruby Robinson. – Jednakże jeśli chodzi o rozum, dałbyś jej lat trzydzieści.

– Jesteś zaręczony? – Tak, a ty?

– Żenię się zaraz po powrocie.

– Do diabła! – wykrzyknął Robinson – dobry z ciebie numer, kuzynie, znalazłeś doskonałą lokatę dla swoich milionów! Pozwól mi wypić zdrowie przyszłej pani Turner!

– Pod warunkiem, że ja wzniosę toast za zdrowie pani Robinson, do wszystkich diabłów!

– Brawo! Mam zamiar opuścić Lyon.

– Ja wyjadę z Brukseli.

– Osiedlisz się pewnie w Londynie?

– Naturalnie... nasze żony zaprzyjaźnią się.

– Czasem – szepnął Robinson ze łzami w oczach – zaprowadzimy je na grób biednej Konstancji...

– Nauczmy je kochać tę... – mruknął Turner – tę, która... która...

Byli już zupełnie pijani i z trudem wstali.

– Za zdrowie naszych dam! Wszystkich trzech! – zawołał Robinson, opróżniając dzban z resztek sherry.

– Niech powiesz Tomu Browna, naszego siostrzeńca! – dodał Turner, usiłując wyjść oknem.

Ocł kilku minut blada twarz Jamesa Davy ożywiła się po drugiej stronie cienkiej ścianki i uśmiech zadowolenia przesunął się po wargach. Czy po to przyszedł, by dowiedzieć się o matrymonialnych: zamiarach Robinsona i Turnera?

Gdy dwaj wierni piwowarzy wstali nareszcie od stołu, Davy doprowadził chwiejących się do drzwi restauracji. Następnie udał się do pokoju właściciela, gdzie Alaster Grant przypiekał przed komina kiem apoplektyczną twarz.

– Zagraniczni szpiedzy odeszli – oznajmił.

fjl Czy przynajmniej zapłacili? – spytał Grant.

Davy rzucił na stół cztery suwereny i dodał poważnie:

– Dziś wieczór uratowaliśmy od zguby dynastię angielską i kościół protestancki.

– Jestem Szkotem i anabaptystą – odpowiedział Alaster Grant, chowając do kieszeni, bez cienia wyrzutów, pieniądze wroga. – Tyle mnie to obchodzi, co zeszłoroczny śnieg.

3. Biografia Kwakra

Za Covent Garden, wśród zawilego labiryntu uliczek, dziś już w części zburzonych, zwanego Storegate, biegł wąski, kręty i długi zaułek pozbawiony nazwy, który nędzni

mieszkańcy tej dzielnicy nazywali Low Lane (aleja nizin). W połowie zaułka, w jego najszerszej części stał dość duży budynek, z nie tynkowanym murem zamiast fasady, urywającym się na wysokości drugiego piętra; jak mówiono, budynek ten wystawił słynny pedagog Józef Lancaster, przeznaczając go na pierwszą szkołę nowego systemu nauczania.

Tylko front był jako tako wykonany robotą murarską, resztę, zanim jeszcze oddano dom do użytku, pokrył sadzami czarny oddech Londynu.

Nad drzwiami tej rudery chwiał się szyld przyczepiony do żelaznego drąga z następującym napisem: „Will Sharper's spirit shop”. Można powiedzieć bez przesady, że szyld ten wyglądał, jak gdyby znajdował się o sto mil od wszelkiego cywilizowanego kraju. Na początku XIX wieku w Londynie były takie dziwne miejsca, wydawałoby się niemożliwe w naszej epoce, że nasuwa się pytanie, czy rze-

czywiście średniowieczny Paryż kiedykolwiek znajdował się w stanie tak strasznego zaniedbania. Pewne części City, Saint Gilles, Spital Fields oraz haniebne zakątki, które następnie przekształciły się w bogatą dzielnicę doków, opierały się wszelkiemu opisowi; były tam setki uliczek niedostępnych dla policji; w mgliste dwie, w samo południe, na tyłach Wieży napadano na przechodniów, a w zaułku Low Lane, o jakie pięćdziesiąt sążni od teatru, gdzie nasz Talma grał Szekspira, potrzeba było ulewy, by splukać krwawy rynsztok płynący ulicą.

Londyn nie znał jeszcze w owym czasie skromnego uosobienia Opatrzności ulicznej, zwanej “policeman”; byli tylko posterunkowi, straż nocna i konstable; nigdy jeszcze żaden, policjant nie pokazał pokrytej ołowiem pałki w okolicach tej spelunki, której bezczelny szyld widziałem na własne oczy w roku 1845: “Wili Shairper's spi- rit shop”, co w tłumaczeniu na francuski dałoby “Szynk Wilhelma Rzezimieszka”.

Naprzeciwko wyżej wymienionej ruiny, po drugiej stronie zaułka, widniały rozwalone rudery, schronisko dla setek włóczęgów. Jedno tylko zapuszczenie sieci w te ohydne okolice, dokonane w odpowiednim momencie, zapełniłoby więzienie Newgate od piwnic do strychu. Dwa domy, stojące po obu stronach zburzonych ruder, uprawiały proceder, którego nie można wymienić. Od rana do nocy rozlegały się stamtąd dzikie wrzaski nie kończącej się orgii. Dwa kramy pawn- brokers – lichwiarzy głodomorów, pożyczających pod zastaw – tuliły się do brudnych murów.

Knajpa, poprzedzona tym przedsionkiem nikczemności, była obszerna jak kościół; jednakże ta rozległa przestrzeń ziała ohydą, gdyż sufit z sosnowych desek wznosił się zaledwie na sześć cali nad głowami klientów. Z pół tuzina kopających lamp ustawionych na ziemi lub na beczułkach służących za stoliki rozświetlało ciemności czerwonym i mdłym blaskiem. Na ziemi zasłanej wilgotną słomą i odpadkami, roiło się prawdziwe ludzkie mrowisko: mężczyźni, kobiety, dzieci ■ – dużo kobiet i dużo dzieci.

Jak już wiadomo, tylko fasada, choć porysowana i spękana, znała robotę murarską, reszta podobna była do dużej jszopy naprędce skleconej. W klepisku widniały wielkie dziury, w których całe “towarzystwa” usadowiły się wygodnie, grając w karty. Musiał tam być niegdyś ogród, gdyż cienkie paie, spiłowane na dwie stopy nad ziemią, dotąd spełniały rolę stołków.

François Joseph Talma (1763–1826) – wielki francuski aktor tragik.

Na prawo od drzwi wejściowych, których próg znajdował się trzy stopnie poniżej błota ulicy, cztery puste beczułki podtrzymywały zbite sosnowe deski, służące za kontuar, otoczone palisadą z nie ociosanych żerdzi, jak to spotyka się na wsi. Na kontuarze w wystudiowanym nieładzie stały dzbanki, butelki, dzbany, a nawet małe beczułki z trunkami, które cieszyły się wówczas powodzeniem wśród ludu Londynu. Arak, irlandzki porter, szkocka wódka i dżin, iponu- ry i pamiętny dżin, napój

bezwstydnie zatruwany, który zabija trzy razy szybciej niż najmocniejsza wódka. Cieszy się on największym powodzeniem w Anglii. My we Francji mamy absynt.

W (knajpach, gdzie króluje dzin, a nie wódka, ani wino, ani inne napoje nie znajdują amatorów; jednakże u Sharpera sprzedawano wszystko. Jenny Faddock, wdowa po Janie Diablu, dostarczyłaby, gdyby kto zażądał, johanisberga w obtłuczonej szklance lub laci- macristi w wyszczerbionej misce. Jenny Paickdock była to Szkotka, wzrostu pięć stóp i sześć cali, silna i zbudowana jak mężczyzna, jednakże z przepicia blada, wymizerowana, drżąca, o płonących oczach. Siedziała za kontuarem, gdyż władza w knajpie Sharpera przypadła teraz kobiecie. Dwóch mężczyzn o lajdackim wyglądzie i dwie dziewczynki lat czternastu spełniały jej rozkazy. Pod kontuarem, między beczkami, mały dwunastoletni Żydek o zaostrzonym pyszczku służył jako ogrzewadło gospodyni oraz sprzedawał tytoń z kontrabandy.

Naprzeciwko kontuaru, na lewo od wejścia, znajdował się rodzaj zagrody, czyli czterdzieści stóp kwadratowych błota, otoczonych kawałkami starej blachy, gdzie stały stoliki i stołki. Była to "rozmównica", specjalnie zarezerwowana dla dam i dżentelmenów z wysokiego towarzystwa, dla "nadętych", jak ich nazywano w szynku. Można tam było wejść za opłatą jednego penny od pary, jeśli kto był na tyle próżny, by tak drogo płacić za dogodzenie miłości własnej.

Mniej więcej sześćdziesiąt kroków j prowadziło od wejścia w głąb spelunki, ginącej w kłębach dymu. W połowie znajdował się "salon", równie odgradzony jak i "rozmównica". W "salonie" tym, tak samo jak u Alastera Granta, były "boksy", jednakże przepierzenia chwiejące się i ohydnie zmurszałe nigdy nie gościły zagranicznych szpiegów. Byli tu sami Anglicy, od kapelusza z oberwanym rondem pochwytawszy do dziurawych butów bez podeszew i podartego fraka bez rękawów.

Nad "salonem" pułap wznosił się nagle, zarówno jak i klepisko, gdyż teren podnosił się tworząc jak gdyby rodzaj amfiteatru.

Był to naprawdę amfiteatr w całym znaczeniu tego słowa, w tym

słynnym miejscu, które chlubnie zapisało się w archiwach londyńskich mętów; przez z górą dwadzieścia lat, dwa razy w tygodniu w poniedziałek i piątek, Tomasz Paddock, zwany Janem Diabłem, jeśli nie siedział w więzieniu, wygłaszał publiczne wykłady "rozumowanego oszustwa". Wszechwiedząca policja była o tym poinformowana, jednakże Dow Lane jest schroniskiem nietykalnym i gdzie indziej, a nie pod zadymionym pułapem Sharpera, Tomasz Paddock wpadł w potrzask.

Tomasz Paddock lub Jan Diabeł cieszył się ogromną popularnością. Ten dziwny profesor z wielkim powodzeniem zastąpił innego profesora, Józefa Lancastera, który był na tyle naiwny, że pragnął uczyć jedynie dobrego, co rzecz prosta nie powiodło mu się. Wesołej Anglii, więcej niżby się zdawało, zależy na reputacji ekscentryczności; podobna jest w tym do tych nieszczęsnych dzieci, skazujących siebie na potępienie, byle tylko uchodzić za rozpustników. Johna Bulla oczaruje ten, kto potrafi chodzić na głowie. Nie tylko przyszli złodzieje słuchali wykładów Tomasza Paddocka; wykłady te właściwie były odpowiedzią na książkę intendenta policji Gregory Temple'a, który pouczał, jak "wykrywać winnych", a nie wiadomo czyja oryginalność była bardziej niebezpieczna.

Żaden z nich nie był nieomylny: widzieliśmy upadek Gregory Temple'a; ze swej strony, Jan Diabeł, pierwszy tego imienia, pozwolił się pewnego ranka zaprowadzić do Tyburn, gdzie stała jeszcze szubienica, i więcej nie wrócił. W knajpie na Low Lane, prowadzonej przez niepokieszoną wdowę, całą noc trwała ciężka żałoba, dzin lał się strumieniem, a wszyscy uczestnicy tej pogrzebowej orgii legli pokotem w błocie, pijani w sztok. Jednakże śmierć jednego człowieka nie może zniweczyć instytucji, wobec

tego Tomasz Paddock dostał godnego następcę na katedrze filozofii i gdy jakiś złoczyńca, wyniesiony ponad przeciętność dzięki zdolnościom i geniuszowi, dokonał całego szeregu zbrodni urastając do postaci legendarnej, podziw drobnych łotrzyków nadawał mu chlubne przydomko Jana Diabła.

Okolo jedenastej wieczorem knajpa Sharpera była tak zatłoczona jak blaszane pudełko, w którym nasi rybacy zamykają żywe przynęty, by kielbce z Sekwany trafiły na patelnię.

Przez całą długość olbrzymiej hali widać było walające się w słomie i błocie postacie, niektóre nieruchome, zamroczone dżinem. W "rozmównicy" kilku niebieskich ptaków niższego rzędu, nie tak może nędznych jak reszta otępiałej zgrai, udawało wielkich panów traktując wódką uliczne dziewczyny.

Większość z tych ostatnich, dziwne to jakieś przekleństwo angielskiego występku, nie osiągnęła jeszcze wieku kobiety i spod jednoU tej maski, jaką dżin nakłada na twarze swych ofiar, przebijał czasem naiwny uśmiech dziecka.

Dym fajek słał się tak gęstą chmurą, że najbystrzejszy wzrok nie mógł przebić ciemności i nic nie było widać dziesięć kroków od wejścia; poprzez duszące opary dostrzec było można jedynie jakiś: kłębiący się tuman i niewyraźne światła lamp. Hałas nie był tak wielki jak na przykład w szynkach francuskich; przypominał raczej głuchy szum, w którym słycać było pobrzękiwanie cynowych kubków i miedziaków. Od czasu do czasu z ogólnego szmeru wybijało się przekleństwo, ; bluźnierstwo lub pogróżka. Były tam samotne kobiety, zupełnie pijane, które śpiewały ponurą i monotonną pieśń; inne zanosiły się kaszlem, przechodzącym w rzężenie.

Dostrzegało się w tym gronie nędzy kilku mocnych i zdrowych chłopców. Na przykład Noll Green, zapaśnik z Southwark, i Dick z Lochaber, pijus nad pijusy, który zarabiał na życie wypijając za jednym zamachem wiadro piwa na Trafalgar Square; poza wykonywanym zresztą oficjalnie zawodem – dwaj zuchwali bandyci Wracali z daleka, gdyż obaj byli deportowani do Nowej Południowej Walii, skąd udało im się wyrwać w towarzystwie syna słynnej Heleny Brown, zmarłej w Sydney pod razami batów. Noll miał wzrost Herkulesa, stawiano na niego siedem przeciw jednemu, gdy walczył w sali boksu na White Chapel; Dick, nieco niższy i nie tak barczysty, posiadał elastyczny żołądek: zdolność bardzo cenna, która przyczyniłaby się do jego fortuny, gdyby umiał porządnie się prowadzić. Nie było w Londynie gapia, który by chętnię. nie zapłacił jednego penny, by zobaczyć, jak Dick puchnie w oczach, wypijając jednym tchem wiadro piwa.

Noll i Dick zostali skazani na deportację za zabójstwo, policja następowała im na pięty. Dicka uważano za bardziej zręcznego i niebezpieczniejszego od Nolla, który pomimo swej atletycznej budowy i herkulesowej siły nie ośmielał się nigdy zaatakować towarzysza.

Siedzieli teraz przy wspólnym stoliku w "rozmównicy", pijąc poncz z szesnastoletnim może chłopcem, którego mrugające oczy i pomarszczona twarz dziwnie kontrastowały z ich kwitnym wyglądem. Twarz chłopca była niezwykle inteligentna, śmiała i chytra jedno / cześnie.-W ręku trzymał cieszącą się powodzeniem broszurkę SgjuS tytułem: "Księga zadziwiających przygód Jana Diabła, zwanego Kwakrem". Chłopiec nazywał się Ned Knob.

Większość zgromadzonych nie umiała czytać, broszurkę kupiono jedynie dla ryciny, która cieszyła się ogromnym powodzeniem. Na-
xklejono ją w różnych miejscach na deskach zastępujących ściany, nawet na głowie Jenny Paddock. Ci, którzy coś niecoś liźnęli z nauki alfabetu, sylabizowali z trudem strzępy zdań, ale mały Ned Knob, dawny kancelista adwokacki, wypędzony za kradzież, był prawdziwym uczonym i czytał głośno i wyraźnie najciekawsze ustępy, dla pouczenia gawiedzi.

Dokoła balustrady otaczającej "rozmównicę" zebrali się ciekawscy, by posłuchać lektury.

... Pewnego dnia Szatan zjawił się w dzielnicy Saint Gilles, by zabrać do piekła jakąś nieszczęsną ofiarę. Znalazł tam pijaną Irlandię, wygłodzoną, gdyż od tygodnia nic nie jadła. Rozsiadła się wygodnie na kupie błota, ogryzając szczękę psa zdechłego na wściekliznę. Tak się spodobała Szatanowi, że zatykając nos poszedł do niej w konkury. W taki to sposób, po dziewięciu miesiącach, urodził się w pustej kadzi po dżinie Jan Diabeł, mając w ustach trzydzieści dwa wilcze zęby i kwakerski kapelusz na głowie.

Gdy miał trzy miesiące, ukradł fajkę mamce, która zamiast mleka poila go czystą wódką z ziemniaków; gdy miał cztery miesiące, podpalił towarzystwo wstrzeźliwości; gdy miał sześć miesięcy, wsiadł na osła i udał się do uniwersytetu w Oksfordzie, gdzie przyjęto go z otwartymi ramionami, jako że rumak, którego dosiadał, był spokrewniony ze wszystkimi (tamtejszymi doktorami).

Gdy skończył rok, za szylinga i sześć pensów sprzedał rektora na jarmarku w Cambridge i król zapragnął go zobaczyć.

Przybył na osle do pałacu Saint James. Księżę Walii zapytał go:

– Powiedz mi, mały, co jest największego w trzech królestwach?

– Szlafmyca Waszej Królewskiej Wysokości – odpowiedział Jan Diabeł.

Księżę Walii był zaniepokojony. Chciał koniecznie wiedzieć, dlaczego w Szkocji, Anglii i Irlandii nie istniało nic większego od jego szlafmycy; lecz król kazał mu być cicho, a księżniczki udały, że się rumieniają.

Jan Diabeł skłonił się Jego Królewskiej Mości i z kolei zapytał:

– Najjaśniejszy Panie, czy wiesz, co najmniej kosztuje, a przynosi największy dochód?

– Irlandia – odpowiedział król bez namysłu.

– Bengali – zawołał następca tronu.

– Podatek od dżinu! – dodała księżniczka Karolina, która śmiała się jeszcze, przypominając sobie szlafmycę dostojnego małżonka.

Jan Diabeł wzruszył ramionami i odrzekł: – I psom nie zdałaby

się do niczego taka mowa... To papier, z którego robi się fałszywe banknoty Banku Angielskiego.

Król widząc, że tak jest mądry i skromny, uderzeniem pięści podbił mu oko i mianował go kuchcikiem w zamku Windsor, z prawem użytkowania piwnic zamkowych i tytułem szkockiego baroneta. Król, jak widzicie, był szlachetnym panem, dlatego zwariował.

Gdy miał dwa lata, Jan Diabeł wstąpił do służby w konnej gwardii. Księżniczka Karolina, widząc, jak piękny z niego żołnierz, chciała go pozłocić i oprawić w ramki. Postanowiono, że Jan dostanie apartament z osiemnastu pokoi i sto tysięcy funtów szterlingów na wydatki toaletowe, ale księżę Walii, małżonek księżniczki Karoliny, wyszedł z szafy, gdzie się ukrywał wraz z licznymi świadkami, kupionymi za pięć szylingów od osoby, dwoma adwokatami, notariuszem, woźnym i sędzią wraz z pisarzem. Trzeba było stawać w sądzie i Jan Diabeł byłby skazany na grzywnę jak wielu innych, gdyby metryka urodzenia nie wykazała młodego wieku oskarżonego.

Wtedy wbił sobie do głowy, że musi zostać sekretarzem Stanu i wdrapał się na kopułę Świętego Pawła, by zobaczyć, skąd wieje wiatr w polityce. Gdy był już na szczycie, zauważył, że zapomniał okularów; bedel pożyczył mu szkieł wielkiego Newtona, który gdzieś tam w sąsiedztwie jest pochowany, i Jan Diabeł ujrział dwie nieprzeliczone armie, a z tej odległości żołnierze wydawali się mrówkami. Jedną z tych armii to byli wigowie, drugą – torysi. Jan Diabeł zobaczył regenta wśród wigów, wobec czego wywnioskował, że ten lojalny księżę ma zamiar popierać torysów, więc

zaczął zbiegać po cztery stopnie, by ofiarować swe usługi Wellingtonowi, stojącemu na czele torysów, gdy spotkał Szatana, swego czcigodnego ojca.

– Masz już cztery lata – powiedział Szatan – czas zastanowić się nad wyborem kariery. Nie wszystko złoto, co się świeci, a dobro źle nabyte nie przynosi pożytku. Posadzka dworu jest śliska, w pałacu nie znajduje się szczęścia; z drugiej strony niewygodnie mieszkać w chałupie. Jeśli chcesz zachować niewinność, wstąp do bractwa londyńskich złodziei.

Łatwiej to powiedzieć, niż wykonać. Każdy może otrzymać dyplom doktorski, jednakże by zostać członkiem bractwa wielkiej rodziny złodziei, należy zdać bardzo wiele egzaminów. Jan Diabeł przebył siedem lat w szkole Tomasza Paddocka, choć już pierwszego dnia wykradł śniadanie, obiad i kolację z kieszeni mistrza. Jako pracę dyplomową otrzymał zadanie wykradzenia srebrnego dzwonka spi-

kera Izby Gmin w ciągu dwóch godzin. Po godzinie i dwudziestu minutach wrócił niosąc na głowie mównicę wraz z dzwonkiem.

Gdy miał dwanaście lat, przyszła mu chętka odbycia morskiej podróży. Wyruszył do Nowej Południowej Walii w charakterze skazańca; zapłacił za przejazd trzema uderzeniami młotka w głowę asesora, który zmarł. Ponieważ nudził się pod pokładem, przepiłował kajdanki włosem moczonym w occie i zdołał namówić towarzyszy do buntu, wskutek czego zakuto załogę, a pasażerowie zawładnęli statkiem. Jak nakazywała sprawiedliwość, Jana Diabła okrzyknięto kapitanem i statek przybił do portu Jackson, gdzie dawny kapitan i oficerowie i marynarze, uchodząc za zbrodniarzy, zostali skierowani na roboty do stoczni. Jana Diabła i jego towarzyszy fetowano tymczasem, jak gdyby rzeczywiście byli oficerami admiralicji.

Stanowisko gubernatora kolonii bardzo mu się spodobało i Jan Diabeł myślał już, by się ustatkować, co wcześniej czy później musiało nastąpić, jednakże zakochał się w pięknej Szkotce, cenionej tam na wagę złota, gdyż była jedyną kobietą w kolonii poniżej pięćdziesiątki. Nic też dziwnego, że gubernator, szeryfowie, sędziowie, delegaci, kontrolerzy i komisarze wyrwali ją sobie wzajemnie.

Porwać kobietę w Sydney to nie to, co przynieść na głowie mównicę z Izby Gmin! Kobiety są tam rzadkością i strzeże się ich jak cenne zwierzęta w naszym ogrodzie zoologicznym. Jan Diabeł ukrył piękną Szkotkę w beli wełny i tak załadował ją na statek; zatęsknił bowiem do kraju. W drodze po raz pierwszy przeczytał wspaniałe dzieło Gregory Temple'a, głównego intendenta policji, stanowiące jak gdyby praktyczny podręcznik lekarski, które należałoby raczej zatytułować "Sztuka kradzieży, czyli jak kraść, by nie zostać wykrytym", autor bowiem umieszcza napisy nad pułapkami i zapala lampy przy zastawionych siódlach. Jan Diabeł kończył właśnie dwudziesty rok życia, gdy przybił do Plymouth; wraz z piękną Szkotką, która teraz była lady Janową Diabłową przybył do Londynu i poświęcił się całkowicie wolnemu handlowi. Tomasz Paddock umierając powiedział: – Moim następcą jest Kwakier (Jan Diabeł nosił duży kapelusz ofiarowany mu przez ojca Szatana). Jan Diabeł nie zawiódł nadziei Tomasza, a pod jego rządami nauka poczyniła znaczne postępy".

W tym miejscu następował opis najważniejszych wyczynów Jana Diabła, pomieszanych z prawdą i bajkami, gdzie wśród karygodnych i krwawych zbrodni, przewijały się głupie fanfaronady. Koło słucha-

| Spiker – w Wielkiej Brytanii przewodniczący Izby Gmin.

czy powiększyło się, ze wszystkich kątów spelunki ścigali ciekawi, by posłuchać lektury. Dokoła czytającego widać było rozszerzone oozy i rozwarte zdumieniem usta. Dick i Noll dumni byli ze swego towarzysza.

"...Pewnej nocy – podjął mały Ned Knob – trochę więcej niż miesiąc temu, miss Zuzanna, córka Gregory Temple'a, przyniosła ojcu do łóżka grzane piwo. Drzwi domu

były zamknięte, sztaby założone, a intendent, nim udał się na spoczynek, zapuścił kraty u wylotów kominka i zajrzał pod wszystkie łóżka.

Była może druga po północy, gdy Gregory Tempie ujrzał przy łóżku wysokiego człowieka, ubranego na czarno, w kwakerskim kapeluszu na głowie. Zgadujecie, kim był nieznajomy; Gregory Tempie, nie głupszy od was, od razu poznał Jana Diabła, choć nigdy przedtem go nie widział.

– Którędy pan wszedł? – zawołał, chwytając nabity pistolet leżący na nocnym stoliku.

Nieznajomy nie odpowiedział, uważając widocznie to pytanie za zbyt niedyskretne. Gregory Tempie nie stracił zimnej krwi i widząc uśmiech pod szerokim rondem kapelusza, wymierzył w serce i nacisnął cyngiel, ale strzał nie padł: nabój został wyjęty. Intendent policji chciał wyskoczyć z łóżka, ale przytrzymała go stalowa dłoń przybysza.

– ■ Gregory Tempie – powiedział nieznajomy – jestem synem kobiety, którą zabiłeś, obiecałem matce pomścić ją..."

– Słuchajcie, słuchajciel – zaszemrało zgromadzenie, podczas gdy Ned Knob nabierał oddechu do dalszej lektury.

4. Potrójny paszport

Mały kancelista adwokacki powiódł bezczelnym spojrzeniem po zebranej ciżbie, łaknącej sensacji.

– Zgraja chamów ■ – I wycedził odgryzając kawałek skręconego tytoniowego liścia, który wypełnił jego zapadnięty policzek – czyż sądzicie, że Jan Diabeł zabił intendenta policji? Działo się to przed pięciu tygodniami, a Gregory Tempie jeszcze żyje!

– Dalej, mały! – powiedzieli jednocześnie Dick i Noll – czytaj! "...I obiecałem matce pomścić ją.

Intendent policji chciał się bronić, ale trzymała go żelazna ręka.

– Z łatwością mógłbym cię udusić – ciągnął nieznajomy – i widzę, że zdajesz sobie doskonale sprawę z moich intencji, ale nie tak skończę z tobą> panie Tempie; zniszczę cię w twojej dumie. Cieszysz się sławą króla detektywów, ogara, obdarzonego niezawodnym węchem, wyostrzonym słuchem i przenikliwym okiem. W tym cały twój honor, dbasz o niego bardziej niż o życie... Panie Tempie, zabawię się pana kosztem i wykażę całemu Londynowi, całej Anglii, że z pana tylko zręczny szarlatan: oko twoje jest ślepe, ucho głuche, a węch przytępiony...

– Nie boję się tego! – zawołał intendent, w którym próżność silniejsza była niż obawa.

Nieznajomy uśmiechnął się tylko i odpowiedział:

– Przyjmuję wyzwanie. Jestem Jan Diabeł, zwany Kwakrem. Dziś wieczór, między jedenastą a pół do dwunastej, zabiłem panią Konstancję Bartolozzi, primadonnę Teatru Księżniczki. Nie ruszyłem ani złotego puzderka wysadzanego diamentami, ani diamentowych kolczyków na jej stoliczku, by panu pokazać, że nie powoduje mną chciwość. Zabójstwa dokonałem pod pańskim adresem i przykro mi, że biedna signora na tym ucierpiała; wybrałem ją, gdyż była bardzo znana, a jej śmierć narobi wiele hałasu, zresztą wszyscy jesteśmy śmiertelni... Znajdzie pan ślad mego palca na jej szyi, mój list wśród jej korespondencji i moją własną chusteczkę splamioną krwią na dywanie: te punkty widzowie z galerii zapiszą na pańską korzyść, jednakże w odpowiednim czasie dowiedzą się, że je panu pozostawiłem z rozmysłem... A teraz do dzieła, Gregory Tempie, sławny detektywie, wielki rachmistrzu możliwości, słynny dedukcjonisto; daję ci czterdzieści dni, zanim palniesz sobie w łeb!

Wizja rozwiąta się tak samo nagle, jak się pojawiła. Rankiem, po nocy pełnej gorączkowych koszmarów, głównego intendenta obudził komisarz z Marylebone raportem o zamordowaniu Konstancji Bartolozzi.

Mija trzydziesty ósmy dzień od tej nocy. Gregory Tempie «pracuje od rana do wieczora i od wieczora do rana. Szuka, przetrząsa, węszy, brnie coraz dalej, oblicza z dziką zaciekłością, porusza góry wywodów, wniosków i możliwości – a morderca signory Bartolozzi spaceruje spokojnie po Londynie; Gregory Tempie przygotowuje trzydzieste wydanie "Sztuki odkrywania winnych", lecz tu nic nie odkrywa. Lord najwyższy sędzia powiedział już na Radzie: "On się starzeje" (patrz rycina)! Sdgnora Bartolozzi wciąż czeka (patrz rycina), a Jan Diabeł pęka z .uciechy (patrz rycina)!

Tak przedstawia się sprawa dziś, to znaczy 14 marca 1817 roku.

Autor tej ważnej publikacji (może sam Jan Diabeł?) stawia sto swi nei przeciw sześciu pensom, że Gregory Tempie zwariuje, jeśli przedtem nie umrze na wściekliznę".

Zakończenie przyjęto szalonym śmiechem i oklaskami.

– Gwiazda intendenta gaśnie! – wrzeszczano oglądając ryciny.

– A aktorka czeka!

– Jan Diabeł zadowolony rozwala się na desce!

Mały Ned Knob rozmyślał popijając uczciwie zarobiony dżin.

Nagle usłyszał gwizd, a po chwili ktoś po raz drugi gwizdnął na ulicy. Gwizd był tak ostry, że przebił panujący w szynku hałas. Dick i Noll zecnwali się jednocześnie, a po dzikim harmiderze w sali zapadła grobowa cisza.

– Co to? – spytał Ned wstając. – Do licha, w tym coś się kryje!

Dick i Noll spoglądali na siebie niezdecydowani. Wszystkie oczy były skierowane na dwóch siłaczy.

W nagłej ciszy jeszcze dwa razy rozległ się ten sam gwizd. Było w tym wołaniu coś nakazującego.

Dick i Noll rozepchnęli zebranych i pracując łokciami dotarli do wyjścia. Zanim przestąpili próg, Dick obrócił się mówiąc:

– Jeśli ktoś z was ośmieli się iść za inami...

– Zabiję go! – dokończył Noll.

Szare przenikliwe oczka małego Neda zabłyśły pod zmierzwioną czupryną. Drzwi zamknęły się za dwoma przyjaciółmi, a klienci szyntou wrócili do poprzednich zajęć. Znowu zaczęto grać w karty, z zatrutej fontanny trysnął dżin, zapłonęły poczerńiałe fajki. Nikt nie pragnął narazić się pogrożkom Nolla.

Ned Knob podszedł do kontuaru. Jenny Paddock odwróciła od niego wzrok. Ned wspiął się na palce i szczypiąc w ramię olbrzymią Szkotkę, zagadnął:

– Czy to on?

– Kto taki? – warknęła ogromna szynkarka.

– Kwakier?

– Idź, zobacz! – odparła wzruszając ramionami.

Ned Knob posunął się ku drzwiom, lecz nie ośmielił się przestąpić progu. Policzki miał trupio blade, wargi drżały mu ze strachu. Powodowało nim pewnie coś innego, nie tylko ciekawość, a walka między lękiem a pasją poznania uperliła potem jego czoło. Raptem powziął decyzję – przemknął cicho między tłumem, przeskakując przez leżące na ziemi ciała. W głębi szynku widniała podłużna szpara, powstała wskutek wyjęcia deski, a służąca do wentylacji tej kloaki. Nikt oprócz małego Neda nie mógłby precisnąć się

przez tę dziurę. Ned przesunął głowę, potem z trudem, pozostawiając kawałki materii na nieheblowanych bokach tarcic, wydobył się na zewnątrz. Znalazłszy się na dworze, zaczął posuwać się dokoła baraku, starając się stąpać jak najciszej. Dotarł tak do uliczki na ty- - łach, wijącej się wśród zrujnowanych ruder, służących za sypialnię dla

większości klientów knajpy. Lokatorzy leżeli pijani u Sharpera i w ruderach nie było nikogo. Ned jak kot wśliznął się między gruzy. . Chwilami przystawał nasłuchując. Wreszcie uchwycił szmer głosów, . dochodzący jak gdyby spod ziemi. – Piwnica! – szepnął.

Zamiast iść dalej zawrócił i znalazł się wkrótce na skraju uliczki, przed jedynym jeszcze trzymającym się występem muru. W dole, przy samej ziemi, było małe piwniczne zakratowane okienko. Ned położył się rezolutnie w błocie, przysuwając głowę do krat. Pierwsze - słowa, jakie usłyszał, dały mu poznać, że przybywa za późno i że przynajmniej połowa rozmowy jest dla niego stracona.

Mówiący głos był tak melodyjny, że mimo niewątpliwie męskiego brzmienia Ned wziął go w pierwszej chwili za głos kobiety. Wytężył .: wzrok, starając się przebić ciemności, jednakże, choć sklepienie piwnicy było na pół rozwalone, nic nie dojrzał.

– Pomyślałem o was, gdyż jesteście starzy specjaliści – mówił j ten przedziwnie melodyjny głos.

Mały Ned cofnął się; wydawało mu się, że wystarczy wyciągnąć jg rękę, a dotknie mówiącego. “Gdzie ja słyszałem ten głos?” – myślał. Zapaśnik i pijak milczeli. Głos więc mówił dalej:

– Koledzy, mam dla was robotę na dziś wieczór, lecz widzę, że jak na starych kompanów zbyt długo zastanawiacie się w wyborze między fortuną a szubienicą! “Zagroził im! – pomyślał Ned. – To musi być ktoś znaczny, jeśli “■ może grozić Nollowi Green i Dickowi' z Lochaber!”.

– Gdybyśmy mieli pracować razem, to może... – zamruczał pijak – ale Noll tu, ja tam...

– Jaka zapłata? – spytał zapaśnik.

– Każdemu sto funtów gotówką z góry, a po wykonaniu roboty po czterysta funtów na głowę, w Paryżu.

“W Paryżu – powtórzył w myśli mały Ned. – Tysiąc funtów! Za co można płacić tysiąc funtów tym dwom lajdakom, którzy za dziesięć gwinei podpaliliby Londyn?”

– Staralem się już wyjechać, panie – powiedział Noll z ociąga- , niem. – Ale ten łotr Tempie ma teraz swoich ludzi na statkach...

x__ O mało nie wpadłem w pułapkę – zawołał Dick – cała policyjna sfera pęta się koło Mostu Londyńskiego... NiemożHwe wsiąść na jakikolwiek statek!

– Drwię sobie z Mostu Londyńskiego, koledzy – odparł niezfnft jomy – niepotrzebne nam statki. Mam piękną barkę pod Blackfriars...

– Żeby przebyć Kanał? – zakrzyknęli jednocześnie obaj bandyci.

– Nie takie rzeczy robiliśmy w życiu, tam w Sydney, pamiętacie? Nie potrzeba przebywać Kanału, tylko płynąć Tamizą wraz z odpływem morza do przylądka Exmouth pod Greenwich. Czeka tam szalupa i wasz przejazd już opłacony, twój, Noll, do Andresolle, po drugiej stronie Calais, a twój, Dicku, do małej zatoczki Alikerque na południe od Ostendy. A oto paszporty otrzymane z francuskiej ambasady i z niderlandzkiego poselstwa...

“Do licha! – myślał Ned – (to dopiero afera!”

Posłyszał, że w piwnicy krzesano ogień. Siarkowa zapałka dotknęła hubki i zapłonęła. W tym nagłym oświetleniu Ned ujrzał dwóch przyjaciół w towarzystwie nieznanego, ubranego na czarno, którego twarz całkowicie ginęła dla patrzącego z góry pod szerokim rondem kwakerskiego kapelusza.

Dick trzymał paczkę zapalek. W rękach nieznanego widniały dwa paszporty.

– Rysopis pasuje do każdego z was. Oto twój dokument, Noll, i mogę przysiąc, że nigdy nie miałeś tak zgodnego z prawem.. Jesteś tu hrabią, mój chłopcze. Musisz

wyglądać i zachowywać się odpowiednio do tytułu. Jesteś hrabią de Belcamp, rozumiesz?

– Hrabia de Belcamp – powtórzył zapaśnik jak dziecko uczące się lekcji.

Ned zadrżał usłyszawszy to nazwisko, a jego kocie oczy zabłyśły.

“Mąż Heleny Browtn nazywał się markiz de Belcamp! – pomyślał. – Mieliśmy te aikta w naszej kancelarii”.

– Hrabia Henryk de Belcamp – powtórzył Kwakier powala i dobitnie syn. emigranta francuskiego, wychowany w Anglii. Powtórz!

Noll powtórzył.

– Powtórz ty także, Dicku.

– To samo? – spytał zdziwiony Dick, podczas gdy Kwakier podawał mu drugi paszport. – Czy Noll i ja będziemy tym samym człowiekiem?

– Tym samym – odpowiedział spokojnie nieznajomy – obaj będziecie tym samym człowiekiem

Dick i Noll powtarzali | trudem:

– Hrabia Henryk de Belcamp, syn francuskiego emigranta...

A po chwili dodali z grubym śmiechem:

– Ale heca!

“Obiecuję sobie rozwiązać tę zagadkę” – myślał mały Ned, którego paliła gorączka ciekawości, i jeszcze bliżej przytknął głowę do krat okienka.

– Co dalej? – pytał Kwaki er.

– Statek w Blackfriars – odparł Noll.

– Szalupa w Exmouth, za Greenwich – dodał Dick.

– Ja do Andresolle.

– Ja do zatoki Alikeraque.

– Stamtąd jedziemy... – podjął zapaśnik – ja do...

– Dość – przerwał Kwakier – jestem pewien, że niczego nie zapomnicie.

Właśnie tego dalszego ciągu ciekaw był mały Ned.

Zgasła ostatnia zapałka, Ned usłyszał brzęk złotych monet.

ljjj Ale nie dziś wieczór, panie Tomie! – zaprotestował zapaśnik.

– Tomie! – powtórzył Ned. – Tom Brown! Tak, przecież to On. Wiedziałem, że znam ten głos, muszę tylko zobaczyć twarz.

– Pozwól nam, panie, przynajmniej na pięć minut wejść do knajpy Sharpera – prosił Noll – pięć minut, żeby powiedzieć słówko małemu Nedowi... mamy przecież żony!

– W drogę! – powtórzył rozkazująco Kwakier.

Ned ledwie zdążył zniknąć między gruzami. Trzej rozmówcy wyszli z piwnicy i przeszli koło niego skręcając w uliczkę. Nieznajomy, wyższy i szczuplejszy, otulony czarnym płaszczem, którego podniesiony kołnierz dotykał runda kapelusza, szedł między Nollem i Dickiem. Noc była ciemna i Ned nie mógł dojrzeć jego twarzy.

Skręcili w prawo i zeszli ku Tamizie siecią wąskich uliczek, które z tej dzielnicy czyniły prawie dziewiczą puszcę.

Ned, opuściwszy ostrożnie kryjówkę, posuwał się za nimi w odległości dwudziestu lub trzydziestu 'kroków. Podczas drogi trzej towarzysze zamienili zaledwie kilka słów zniżonym głosem. W chwili gdy dochodzili do wybrzeża, znalazłszy się u wylotu ciemnego i wąskiego zaułka, Ned, posuwając się bezszelestnie wzdłuż murów, zdołał pochwycić parę słów.

– Po co list – mówił Noll kiedy my i tak nie umiemy czytać.

– W liście będzie tylko biała, nie zapisana kartka, lecz wy zrozumiecie jej znaczenie. Gdy otrzymacie taki biały list, będzie to znaczyło: dziś wieczór, między dziesiątą a północą!

– A do tego czasu?

– Dobrze żyć i czekać znaku.

xKwakier wyprzedził towarzyszy i poszedł naprzód piaszczystym wybrzeżem, wzdłuż zakotwiczonych tam barek i stateczków, po czym ciemnymi schodami zszedł nad sam brzeg wody i otworzył kłódką przytrzymującą łańcuch eleganckiej łodzi, używanej do połowu ryb. Był odpływ morza. Dick i Noll wsiedli do barki.

– Hrabia Henryk de Belcamp! – powiedzieli jeszcze raz jednocześnie.

– Nie ruszajcie się, zanim nie otrzymacie białego listu.

– Rozumiemy. Do widzenia!

– W Paryżu, w oznaczonym miejscu – odpowiedział Kwakier czyniąc ręką pożegnalny gest – szczęśliwej drogi!

Łódź sunęła wśród kotwicznych lin w stronę cieśniny. Kwakier powoli wchodził po schodach. Ned usiłował dojrzeć twarz nieznanego, lecz brzegi Tamizy nie są tak oświetlone jak wybrzeża Sekwany, ponadto podniesiony kołnierz płaszcza i opuszczone rondo kapelusza udaremniały wszelkie wysiłki.

Gdybym miał iść za tobą do piekła, dowiem się, kim jesteś – powiedział sobie z wściekłością.

Zamiast zagłębić się w uliczkę, Kwakier skręcił w stronę mostu. Na rogu przystani stał elegancka powozik-tilbury, którego pilnował młody człowiek o bardzo bladej i smutnej twarzy. Kwakier wskoczył na stopień, a rączy koń skrzesał ognia kopytami unosząc lekki powozik | wprawiając w osłupienie małego Neda.

x– Ryszardzie – odezwał się ten, którego nazywamy Kwakrem, do bladego młodego człowieka trzymającego lejce – dalszy pobyt w Londynie stał się dla ciebie niebezpieczny.

Cugle zadrżały w rękach młodzieńca, gdy odpowiedział:

– Czy dowiedziałeś się czegoś nowego, James?

– Cały dzień pracowałem dla ciebie, Ryszardzie, i Bóg mi świadkiem, że mimo obciążających cię dowodów, wierzę w twoją niewinność.

– Niech cię Bóg błogosławi, drogi przyjacielu!

■– Jednakże wszystko sprzysięgło się przeciw tobie, mój biedaku, niczego nie brak w papierach Bartolozzi, nawet kwit stwierdzający dług twojej matki, Fanny Thompson... To cię najbardziej obciąża. Musisz uciekać!

Nie zobaczywszy się z Zuzanną! – wyszeptał młody człowiek, którego głowa opadła na piersi, a ręce puściły cugle.

–Bądź mężczyzną, Ryszardzie – powiedział Kwakier, biorąc lejce i zatrzymując powóz u wejścia do skromnie tWyglądającego domu przy Strandzie, na którego drzwiach miedziana tabliczka głosiła; "Biuro mecenas Wooda". –Jesteśmy tego samego wzrostu i mamy tyle samo lat, kolor naszych włosów jest prawie jednakowy; wiesz, że moje pieniądze należą do ciebie i jeśli będzie trzeba, dam ci moją papiery... Ponadto licz na mnie, jeśli chodzi o dziecko!

Ryszard Thompson uściśnął przyjaciela i podniósł kołatkę u drzwi z miedzianą tabliczką.

Smagnięcie biczem uniosło powozik, tilbury podskakując po wyboistym bruku skręciło na Charing Cross i wjechało w Picadilly. Za Hyde Park Corner, między szpitalem a Cadogan Square, wznosił się nowy dom, na którego szczycie ukazywała się rzecz tak dziś zwyczajna, a tak rzadka w owym czasie: -komin parowy. Dom był duży i wyglądał zamożnie; przypuszczalnie znajdował się tam jakiś poważny zakład

przemysłowy. Na frontonie, pod oświetloną tarczą, złociło się nazwisko właściciela firmy: "Percy Balcomb i Spółka". |

Kwakier zeskoczył na chodnik. W Londynie każdy gość z góry zaznacza swą pozycję w hierarchii społecznej uderzeniem kołatki: jest cała gama tych dźwięków wznosząca się półtonami lub opadająca, od gwałtownego stukania Jego Wielmożności milorda, do delikatnego skrobania nic nie znaczącego biedaka, który przychodzi prosić o sześć pensów jałmużny. Uderzenie młotka Kwakra było szybkie, głośne, rozkazujące.

Drzwi otwały się natychmiast. Przybysz wszedł do gabinetu ogromnego jak salon, gdzie 6tało wiele stołów zarzuconych planami i rysunkami. Na biurku, królującym pośrodku gabinetu, leżało wiele nie rozpieczętowanych listów, adresowanych do firmy Percy Balcomb i Spółka, oczekując spojrzenia pana.

Kwakier szybko rozdarł koperty, rzucając wzrokiem na każdy list po kolei, po czym zadzwonił. Na progu bocznych drzwi ukazał jji młody dżentelmen.

– Co nowego, Perkins? – spytał Kwakier.

– Nic dobrego, milordzie. Inżynierowie są przeciwko mojej maszynie o sile ośmiuset koni; mówią, że tak samo trudno ją zbudować, jak wieżę Babel! |

– Czy jesteś pewien swego, Perkins?

– Tak, milordzie.

– Wobec tego niech sobie inżynierowie gadają, co chcą, wybierz tylko najlepszych w Londynie robotników.

– Inżynierowie pytają, czy Jego Wielmożność zamierza wyekwipować flotę wojenną.

Kwakier uśmiechnął się z powagą.

—Czy są jakie wiadomości z wybrzeży Afryki? – zapytał.

– Tak, milordzie... Wszystko w porządku nad rzeką Couango, choć drzewo trzeba sprowadzać z głębi ładu, a czarni to niebezpieczne sąsiedztwo. Statek typu fregata, jak Jego Wielmożność miał fantazję zamówić, w stoczni amerykańskiej kosztowałby o połowę taniej.

– A odpowiedź z Mobile?

– Bardzo dokładna! Jankeśów nigdy nie trzeba prosić, by raczyli zarobić pieniądze. Mamy kosztorysy na całe uzbrojenie, począwszy od armat kalibru 48 do haków potrzebnych do abordażu... Trzy brygi są w stoczni... W czerwcu będzie pan musiał zapłacić cztery miliony, milordzie.

— Zapłacimy, Perkins.

,-| A drugie cztery miliony w lipcu, jeśli sprawa z Couango dojdzie do skutku.

→ Ja zacząłem tę sprawę, Perkins, i ja zapłacę.

Dżentelmen skłonił się.

– Milordzie – podjął po chwili – potrzebowalibyśmy trzech tysięcy pięciuset funtów w tym tygodniu.

Kwakier otworzył jeden z listów i wyjął z niego weksle, które starannie obejrzał.

j|l Óto kwit na trzydzieści osiem tysięcy florenów i austriackich płatnych w banku Rothschilda – powiedział.

– Z Pragi? – szepnął Peukins. – Pieniędzmi otrzymywanymi od roku z Pragi zarobiłby pan milion funtów budując maszyny parowe o sile 100 i 150 koni na użytek handlowy.

Kwakier wstał i wyciągnął do niego rękę.

– Przybywamy z daleka, Perkins – powiedział – a idziemy jeszcze dalej. Nie po to założono firmę Percy Balcomb, by zarobić milion.

W godzinę potem James Davy w eleganckim wieczorowym stroju, jaki nosił w biurze intendenta policji, wchodził po wysłanych miękkim dywanem schodach wytwornego hotelu Buckingham na Grosvenor Square. U drzwi największego apartamentu na pierwszym piętrze czekał na niego lokaj w liberii. Za nim postępował wyfraczony dyrektor hotelu, trzymając pod pachą rejestr gości, oprawny w czerwony aksamit.

– Pan hrabia raczy wybaczyć – powiedział po francusku – będę niezwykle zaszczycony podpisem pana hrabiego w rejestrze gości. Anglia jest wolnym krajem, dzięki Bogu, ale Gregory Temple, intendencja policji, mało przejmując się konstytucją; wymaga sprawdzania paszportów wszystkich cudzoziemców od czasu tej nieszczęsnej afery Konstancji Bartolozzi.

James Davy natychmiast wyjął z portfela i podał paszport, opatrzony pieczęciami kancelarii królewskiej. Podczas gdy dyrektor rozwijał dokument, wziął pióro i wpisał do rejestru:

“Hrabia Henryk de Belcamp”.

– Hrabia Henryk de Belcamp! – odczytał głośno z szacunkiem hotelarz w nagłówku paszportu. – Składam podziękowanie Jego Wielmożności.

Po czym skłonił się i odszedł, otrzymawszy rozkaz, by natychmiast podano kolację w apartamencie pani hrabiny de Belcamp.

Jego Wielmożność minął salon i wszedł do wspaniałej sypialni pani hrabiny. W głębi alkowy, wśród piany koronek, uśmiechała się okolona czarnymi włosami urocza twarzyczka Sary O'Neil, pięknej Irlandki.

1. Szaraban

Daleko pozostawiliśmy Londyn i jego ponure szaleństwa. Opuszczając stolicę Anglii, podróżny nie strząsa pyłu z trzewików, bowiem dwadzieścia tysięcy mioteł i trzysta maszyn miesi bez przerwy wielkomięjskie błoto, nie mogąc nigdy oczyścić miasta. Dzięki szczęśliwemu zastosowaniu makadamu od kilku lat i Paryż poznał błotniste wspaniałości, dotychczas zdawałoby się nieodłączną część londyńskiej ulicy; nasze bulwary, pogrzebane pod wstrętym osadem, wracają do stanu rowów d'fos z czasów swego dzieciństwa, i mimo bezradnej armii zamiataczy, bronią zwycięsko Paryża, Notre Dame, Giełdy i Tuileriów przed inwazją innego Paryża, leżącego o dziesięć kroków – w rzeczywistości zaś odległego o sto mil – na przeciwnym brzegu wielkiej “żółtej rzeki”.

W chwili gdy powracamy do naszej opowieści, nie jesteśmy już ani w Londynie, ani w Paryżu; dokoła nas roztacza się pogodny krajobraz znad brzegów rzeki Oise, obłany wesołym słońcem pierwszych dni maja, trzy godziny dylizansem od Placu Opery.

O ósmej rano, drogą z Paryża do Isle-Adam, na ślicznej angielskiej klaczy, cwałował młody jeździec w eleganckim stroju do konnej jazdy. Jeździec wydawał się bardzo młody: ciemnoblonde falujące włosy okalały przystojną twarz, a ruchy konia uwydatniały smukłość jego figury. Na pierwszy rzut oka, można mu było dać nie więcej niż dwadzieścia dwa lata, jednakże głębokie i spokojne spojrzenie wskazywało, że był starszy.

Wesoły wietrzyk poruszał nagimi jeszcze gałęziami wysokich drzew, szeleszcząc wśród pokrytych młodym listowiem zarośli i strząsając śnieżną zamieć z ukwieconych jabłoni. Ani jednej chmurki nie było na czystym błękitnie nieba, tylko w szarzejących w oddali dolinach, opasanych kapryśną linią wzgórz, biegła pędzona lekkim wiatrem

xbiaława mgła, delikatna i przezroczysta jak ślubny welon, zza którego różowieje uśmiechnięta twarzyczka panny młodej. Welon mgły co chwila zmieniał miejsce, zakrywając jedno, a odkrywając inne części, uroczego krajobrazu. Czasem, gdy wiatr

wiał silniej, ukazywał się nagle strzęp szmaragdowozielonej łąki lub pomarszczony, srebrzysty obrus stawu. Był to uroczy pejzaż raj, jakim są te strony, pełne zieleni, skał, soczystej trawy, wody rwącej lub spokojnej, starych zamków, stanowiących dumę okolicy, i cichych lasów, schronienia dla myśli.

Dwie mile za Saint-Leu-Taverny, blisko wioski, którą ze względu na dyskrecję nazwiemy Miremont, leśna droga prowadzi na rozstaje, skąd sześć odnóg, używanych przeważnie przez myśliwych, biegnie w las, nie licząc głównego traktu. Na rozstaju stoi co prawda drogowskaz, jednakże zgodnie z tradycją nic nie wskazuje. Młody jeździec okrążył słup, usiłując na próżno odczytać zatarte czasem i deszczem litery. Dwie tylko nazwy pozostały widoczne: Paryż i Isle-Adam.

“To pewnie na prawo – pomyślał kierując klacz na północo- -wschód. – Niestety dwie drogi wiodą w tę stronę i każda z nich może mnie zaprowadzić do miejsca, gdzie nie chciałbym się znaleźć. Poczekajmy”.

Puścił wolno cugle, a szlachetne zwierzę, zamiast szczytać rosnącą na skraju drogi trawę, stało z wysoko podniesioną głową – znak doskonałego wychowania. Można było spodziewać się, że podróżny nie będzie długo czekał, gdyż drogą jeździło wiele wozów. Jednakże zanim doczekał się pierwszego Woźnicy, usłyszał skrzyp kół, któremu towarzyszyły wesołe śmiechy i młode głosy. Z jednej z leśnych dróg wypadł szaraban z trzema dziewczętami, przelatując jak huragan przez rozstaje. Jeździec zdjął kapelusz i otwierał usta, by zapytać o drogę, lecz szaraban minął go tak szybko, że nie zdążył zadać py-; tania. Odpowiedzią na powitalny gest był uśmiech trzech zarumienionych twarzą i szaraban, uniesiony galopem potężnego konia z rozwianą grzywą, znikł wśród drzew.

W tej chwili rozległ się znów tętent koni oraz wybuchy śmiechu. Tym razem było to trzech młodzieńców na trzech biednych roboczych szkapach, pokrytych potem, opornych, bo padających ze zmęczenia.

– Hola, proszę pana – zawołał jeden z nich ujrawszy jeźdźca. – Kędy pojechały?

Był to wysoki młodzieniec, o inteligentnej twarzy i wojskowym wyglądzie, nie żaden stary wojak, gdyż miał najwyżej dwadzieścia pięć lat, jednakże przywykliśmy od końca ubiegłego wieku do niejednej złamanej kariery. Każda rewolucja, jak i każda restauracja, ma zarówno zwycięzców, jak ofiary. Młody człowiek był ofiarą, choć na to wcale nie wyglądał. Służył jako (podporucznik w Wielkiej Armii. Obecnie studiował prawo. Nazywał się Robert Surrisy

Dwaj inni wlekli się na nieszczęsnych szkapach kilka kroków w tyle. Jeden z nich był przystojnym młodzieńcem o otwartej i dumnej twarzy, na której malowało się tyle melancholii, ile było radości w rysach Roberta Surrisy. Laureat Herbet w niczym nie przypominał swego przyjaciela. O ile tamten był żywy i radosny, o tyle ten smutny, nieśmiały i marzycielski. Zresztą byli nierozłączni jak dwaj bracia. Laurent studiował medycynę.

Trzeci jeździec dosiadał rumaka podobnego do osła. Nazywał się Fcrandeau i był uczniem Ludwika Davida, wielkiego malarza obrazów historycznych. Pracował mało, ale wierzył w swój talent mimo jednogłośnie przeciwnej opinii. Nie był ani piękny, ani zgrabny, lecz robił przyjemne wrażenie niezmaconym dobrym humorem i uśmiechem, który nigdy nie schodził z jego twarzy. Spojrzenie jasnych,

»

roześmianych oczu, przedzielonych zbyt szerokim nosem jak u Murzyna, wesoły grymas wielkich ust, w których bielily się zdrowe i mocne zęby, bezbarwne włosy, utrzymane w stanie dziewiczej puszczy, wreszcie ubranie, zmieniające nazwę w zależności od epoki, będą zawsze charakterystyczne dla malarzy, którym się nie

powiodło w życiu. Férandeau odznaczał się intelektualną krótkowzrocznością, gdyż nic nie widział poza końcem swego szerokiego, lecz krótkiego nosa.

Po chwili czwarty jeździec wyłonił się z jednej z bocznych dróg. Dosiadał osiołka podobnego do kozy. Nazywał się Briquet, znaleziono go w godzinę po urodzeniu w kącie jednego z atelier malarskich Paryża. Był niezaprzeczenie paryżaninem, co stanowiło powód do niezwyklej dumy. Briquet spełniał obowiązki lokaja u trzech przyjaciół, pacykując niekiedy pod okiem Férandeau. W razie konieczności zajmował się i kuchnią. Był drobny, niepozorny, lecz wytrzymały, leniwy, lecz zdolny do ciężkiej pracy, tchórzliwy, lecz odważny jak szatan w razie potrzeby, bardziej powściągliwy w jedzeniu niż wielbłąd na pustyni w czasie głodu, choć mógł pożreć po obiedzie udziec barani wraz z kością; słowem, był to urwis, a jednocześnie oddana istota.

Na pytanie Roberta jeździec dosiadający angielskiej klaczy wskazał drogę, którą pomknął szaraban.

– Usługa za usługę – dodał grzecznie. – Jestem tu obcy, chciałbym znać drogę do zamku Belcamp.

Robert, zagłębiający się już w las, zawrócił konia. Reszta przyjaciół stanęła, spoglądając na nieznanego z nagle obudzoną ciekawością. Gdyby wierzyć niemieckiemu przysłowiu, że nieczyste sumienie obawia się ludzkiego wzroku, można by sądzić, iż sumienie młodego nieznanego było niezwykle czyste, gdyż wszystkie te skierowane na niego spojrzenia wywołały jedynie spokojny uśmiech na jego usta, a Robert zawołał:

– Pan wybaczy, że nie odpowiedzieliśmy od razu na pańskie pytanie, ale przyszło nam na myśl... Nasz czcigodny przyjaciel, pan markiz de Belcamp, oczekuje przyjazdu syna... Nie chcemy okazać się niedyskretni... jeśli chodzi o drogę do Miremont, to ta sama droga, którą pojechał szaraban.

Młody jeździec po raz drugi zdjął kapelusz.

– Szczęśliwy jestem, panowie – powiedział głosem dziwnie melodyjnym i dźwięcznym – że od pierwszego kroku na rodzinnej ziemi spotykam przyjaciół mego drogiego ojca.

– Więc pan hrabia Henryk de Belcamp? – zawołał Robert z błyskiem w oczach. Laurent ścisnął już rękę nieznanego.

– W tych okolicach, panie hrabio – mówił Robert, witając z kolei przybysza – nie znajdzie pan ani jednej istoty ludzkiej, która by nie była oddana ciałem i duszą markizowi de Belcamp.

– Dziękuję – powiedział ze wzruszeniem młody hrabia. – Znam szlachetne serce mego ojca, ale obawiałem się, że po tak długiej nieobecności... jego wygnanie trwało dwadzieścia cztery lata i że urodziłem się w Anglii... obawiałem się więc, że różnice przekonań politycznych...

– Gdyby zaszła potrzeba, jutro biłbym się za Napoleona – odrzekł śmiejąc się Robert. – Mogę to mówić głośno, gdyż w pobliżu nie ma nikogo obcego, a panu ufam... pan markiz jest gotów każdej chwili umrzeć za króla... mimo to, sam chyba diabeł mógłby skierować moją szpadę przeciw temu, kto ma choć kroplę krwi rodziny Belcamp w żyłach... Zresztą pan markiz lubi swego "bandytę", jak mnie nazywa... Panowie, my tu gawędzimy, a ptaszki uleciały już daleko i tak łatwo ich nie złapiemy. Pozwoli pan, że będziemy mu towarzyszyć?

– Dziękuję serdecznie.

Kawalkada ruszyła w kierunku Miremont.

– Panowie – mówił po drodze hrabia Henryk głosem idącym wprost do serca. – Powiedzcie mi coś o moim ojcu. Wracam z bardzo daleka, prawie z końca świata, i liczę, że poinformujecie mnie o życiu tego zakątka, który chcę nauczyć się kochać jak dom ojczysty.

Jak panu wiadomo, pan markiz wrócił przed trzema laty – rzekł Robert, obdarzony największym talentem oratorskim z całej trójki. – Po powrocie tyle robił dobrego, że jego majątek na tyxn ucierpiał Nie znam się, co prawda, na interesach, ale tym lepiej, jeżeli zdobył pan w Indiach fortunę... życzę wszystkiego najlepszego panu markizowi, który, muszę dodać, był o pana bardzo niespokojny.

Ponieważ Robert dosiadał najszybszego rumaka z całej trójki, wtaa z hrabią Henrykiem wysforowali się naprzód, wyprzedzając o dobrych pięćdziesiąt kroków przyszłego lekarza i artystę, nie mówiąc o biednym Briquet, pozostawionym daleko w tyle.

– Co za intrygant z tego Roberta – mówił F^randeau. – Zobacysz wieczorem będzie już na "ty" z tym bohaterem z powieści spadłym wprost z nieba... Zresztą piękny młodzieniec, nie ma a elegancki...

– Podobny do ojca – odpowiedział z roztargnieniem Laurent. – Dziwne jednak, mimo że tak bardzo lubię starego markiza, nie czofe żadnej sympatii do jego syna.

_ Uprowadzenie, mój stary... Zresztą są jakieś niewytłumaczalne sympatie lub antypatie, trudno to zrozumieć... Mnie tam zresztą wszystko jedno!

– Masz szczęśliwe usposobienie – szepnął Laurent -r widzisz wszystko na różowo. Chciałbym już znaleźć się w Paryżu. Niepokoi mnie Robert, coś ukrywa... §fi[Głupstwo – przerwał malarz – po prostu kocha się w Jani

– To nie to... Robert coś przede mną ukrywa.

– Niemożliwe!

– Gdy byliśmy w Londynie, dwa razy jeździł potajemnie do Paryża... '

– Nie pytając cię o pozwolenie? Do diabła, zrobiłbym to samo, mając pieniądze!

– Wiesz dobrze, że stara Magdalena, jego matka, jest biedna, a Robert nie ma żadnych oszczędności – zauważył Laurent.

– Szukałem pana w Londynie – mówił tymczasem Robert. – Byłem tam z przyjacielem w bardzo smutnej sprawie/ o której musiał pan pewnie słyszeć, chodzi o zabójstwo pani Bartolozzi... wymawiając to nazwisko zwrócił na towarzysza dziwnie przenikliwe spojrzenie.

Koń hrabiego nagle potknął się, jak gdyby wędzidło zadrżało mu w pysku, jednakże jeździec zachował nienaruszalny spokój i odpowiedział z zupełną obojętnością:

– Rzeczywiście, dużo o tym mówiono podczas mego przejazdu przez Anglię.

– Pozna pan wszystkie nasze sekrety, panie hrabio – podjął Robert. – Nie zawsze byłem studentem prawa, a moje powołanie to nie kodeks karny... Pan markiz jest naszym doradcą i zna wszystkie nasze tajemnice. Opowie panu, dlaczego Laurent Herbet, mój przyjaciel, i jego siostra Jania zamieszani są w tę krwawą historię. To- warzyszyłem mu do Londynu, gdyż stolicę Anglii przedstawiono nam w jak najczarniejszych barwach; pan markiz jednak był tak dobry, że skierował nas do słynnego Gregory Temple'a, głównego intendenta policji, którego dobrze znał podczas swego pobytu na emigracji. Ale źle trafiliśmy, gdyż biedny Tempie, choć prowadził tę sprawę, już interesował się czym innym, a umysł jego, zdaje się, nie mógł podołać rozwiązaniu krwawej zagadki... Czy wie pan, że biedak zwariował?

– Miałem zaszczyt poznać osobiście tego wybitnego urzędnika – powiedział młody harbia, a najwnikliwszy obserwator odkryłby je- dynie lekki niepokój zwycięsko zwalczony – jednakże nie widrttflif/ go, odkąd złożył dymisję, i nie wiem o jego nieszczęściu.

– Znał go pan? – zdumiał się Robert. – Gdyśmy mówili, jak BH markiz niepokoi się o pana, okazało się, że nie wiedział w Ogjfiti< o pańskim istnieniu! §

Hrabia Henryk końcem palca dotknął z uśmiechem czoła:

– Drogi panie – dodał – pan także pozna moją biografię. Życie moje jest w zasadzie bardzo proste, lecz pewne szczegóły dodają mu romantyczności, przez co wydaje się awanturnicze. Był czas, gdy powierzono mi sprawy sprzeczne z dążeniem rządu angielskiego.

Tym razem Robert nie spojrział na swego rozmówcę. Zmienił się na twarzy, a na usta cisnęło się pytanie, które stłumił, rzucając obojętnie:

– Czy zna pan także Zuzannę Tempie, córkę intendenta? Jechała tym. właśnie szarabanem...

– Nie miałem zaszczytu być przedstawionym miss Tempie – odparł spokojnie hrabia Henryk, po czym dodał tonem grzecznego zainteresowania, którym ludzie dobrze wychowani pokrywają całkowitą obojętność: – Czy panna Tempie mieszka w okolicy?

– Panna Tempie mieszka w zamku Belcamp – odpowiedział Robert.

– A jej ojciec? – wargi młodego hrabiego lekko zdrząły.

– Bóg jeden wie. Czasem bywa w Londynie, czasem w Paryżu. Jego szaleństwo nie jest groźne dla otoczenia. Pan Tempie, jak dawniej, bada, węszy, poszukuje...

– Ale odwiedza czasem córkę?

– Nigdy.

Trudno ukryć niepokój przed przenikliwym spojrzeniem drugiej osoby w rozmowie prowadzonej w zamkniętym pomieszczeniu. Ale pod gołym (niebem, podczas konnej jazdy, tysiąc pretekstów pozwala zdradzić wzruszenie. Gdyby młodzi ludzie siedzieli przy kontakcie Robert Surrisy być może odgadłby stan duszy towarzysza, mimo niezwykłego opanowania, jakiego dał dowód hrabia Henryk. Młody żołnierz bowiem był bystrym i ciekawym chłopcem. Niczego się jednak nie domyślił, gdyż przeprosił Henryka za rozmowę nie mającą nic wspólnego z markizem de Belcamp.

– Hola! – krzyknął z daleka Fsrandeau – proszę się zatrzymać! inaczej ominie pana wspaniały widok!

Hrabia Henryk natychmiast ściągnął cugle. Z twarzy jego znikł

wszelki ślad niepokoju i z widocznym zadowoleniem spojrział na rozciągającą się u jego stóp panoramę.

Za lasem droga przecinała wrzosowisko, pokrywające wschodni stok najwyższego w okolicy płaskowzgórza, zwanego "Małą Szwajcarią". Nie był to jednak pejzaż z opery komicznej, jaki przywykliśmy podziwiać w operach, których akcja toczy się w Szwajcarii. Nie ma nic bardziej ubliżającego niż tak skarykaturowana przyroda. Szwajcarzy to dzielny naród, ponadto są synami Wilhelma Telia i pewnego razu ruszą na Paryż, by spalić Operę Komiczną.

Rozsunęta kurtyna lasu ukazywała szeroką wyrwę horyzontu. Droga, kręta i zakryta w wielu miejscach zaroślami oraz kępami brzoź, kasztanów i dębów, schodziła stromą krawędzią płaskowzgórza, zdając się gwałtownie opadać w dolinę. Na prawo i na lewo ciągnęły się wrzosowiska jak rozległy różowoliliowy dywan, upstrzony popielatą ziemią. Olbrzymie buki, odsłonięte przez niedawny wyrąb lasu, tworzyły ramy dla tego obrazu. Na drugim planie widniała rzeka Oise, której wąska i porośnięta wierzbami odnoga przepływała pod młynem, wpadając następnie do stawu, podczas gdy główne koryto wiło się wśród łąk, połyskując poprzez zieleniejące olchy, między pękami polnych gladiolusów.

Do starego kamiennego mostu tulił się dom młynarza, pokryty omszałą strzechą, skrzypiąc obracającym się bez przerwy kołem, czarnym i lśniącym od wody, które na dwu nutach śpiewało wiecznie tę samą piosenkę. Za mostem kłębił się spieniony wir spadającej z hukiem wody.

Wrzosowisko zstępowało łagodnie ku północy, dotykając starego dębowego lasu, posadzonego w szachownicę, którego dwa ramiona przechodziły w szeroką aleję wysadzaną dziesięcioma rzędami stuletnich wiązów, prowadzącą do stylowego zamku z czasów Henryka IV. Północna część płaskowzgórza opadała tarasami, górując wraz z zamkiem nad całą okolicą. Poniżej urocza wieś z kwadratową dzwonnica i strzelistą wieżą kościoła rozsypała białe domy kryjące się gdzieś aż w głębi doliny.

W dali widać było inne lasy, stawy, a na przeciwnym do zamku wzgórzu, na drugim brzegu rzeki, wznosił się śliczny biały pałacyk otoczony parkiem. Po kilku minutach milczenia Robert wyciągnął rękę wskazując stary zamek, którego dach, mokry jeszcze od porannej rosy, błyszczał w majowym słońcu. – Panie hrabio – powiedział – oto dom pańskiego ojca.

2. Most przy młynie

Hrabia Henryk de Belcamp zachwyconym spojrzeniem objął pejzaż stanowiący dumę Paryża, a Robert Surrisy z dobroduszną emfazą wskazywał mu rodzinne gniazdo.

Młody hrabia uśmiechem powitał zamek ojców, lecz Robert, przyglądający mu się z uwagą, na próżno szukał wzruszenia na jego twarzy. Nadjechali właśnie dwaj przyjaciele i Laurent, który usłyszał ostatnie słowa Roberta i tak samo jak przyjaciel ujrzał tylko obojętność w roztargnionych oczach przybysza, pomyślał z instynktownym wzrastającym uprzedzeniem: "To człowiek bez serca".

– Wspaniały widok! – zawołał Ferandeu, zatrzymując szkapę, która opuściła długie uszy i zaczęła hałaśliwie skubać młodą trawę. – Spójrzcie, panowie, jak droga wiodąca z młyna do zamku wspina się na płaskowzgórze... Gdybym ja, uczeń Davida, nie wstydził się malować głupich drzew i starych murów... Do diabła! Ależ te dzierlatki skręcają sobie szyje! – zawołał nagle z przerażeniem.

W połowie wzgórza, na nagłym zakręcie drogi, nad ziejącą przepaścią, szaraban z trzema dziewczętami wspinał się ku zamkowi, a z daleka zdawało się rzeczywiście, że wisi tuż nad doliną.

– Powozi Jania ■ – odparł Robert – nie ma się czego obawiać.

– Stąd niebezpieczeństwo wydaje się bardzo bliskie – zauważył hrabia.

– Ale Jania powozi – powtórzył spokojnie młody podporucznik.

~ Powinienesz być pozostać w szarabanie – zaniepokoił się Laurent.

pplai Panie hrabio – zawołał ze śmiechem Robert – biorę pana na sędziego! Siedziałem w szarabanie z trzema demonami, a siostra tego spokojnisia jest niesforniejsza od przyjaciółek. Nie uniknie pan, jak i my wszyscy, kaprysów panny Jani. Laurent, Ferandeu i Briquet jechali konno, gdy wtem na zboczach, ćwierć mili od Pontoise, ujrzeliśmy osiołka matki Mignot błędzącego po lesie. Wtedy Jania powiada mi: "Czy panu nie wstyd przydawać ciężaru biednej Cabri?..." Cabri to nasz siwek... Wysiadłem i Briquet schwytał osła, by odprowadzić go do domu... Miałem jechać konno koło szarabanu, ale te diaboliczne uknuły spisek, gdyż okazało się, że panna Jania pragnęła powozić, i rzeczywiście robi to świetnie! Nie zdążyłem wskoczyć na konia, gdy krzyknęły: "Wio, Cabri!" i klacz puściła się jak zając. Widział je pan, jak mknęły.

To mówiąc wskazał szaraban, który mimo spadzistości zbocza nie zwolnił tempa. W słońcu wyraźnie widać było suknie dziewcząt: dwie jasne | jedną czarną.

– Cabri więcej warta niż panów bucefały – zauważył hrabia. – Na szczęście niebezpieczeństwo | minęło, w drogę, panowie!

Szaraban zniknął właśnie za omszałą skałą, porośłą pokracznymi grabami, których grube i szare pnie odcinały się wyraźnie na tle zieleni pola. Henryk i były podporucznik zaczęli spuszczać się w dolinę, podczas gdy reszta przyjaciół pozostała, by napawać się pięknym krajobrazem, a Briquet rył swe imię na pniu starego buku. Była to jedna z

jego pasji: wszędzie, gdzie się tylko dało, podpisywał się w nadziei, że kiedyś stanie się sławny.

– Czy wie pan, panie hrabio – mówił Robert, ściągając cugle podczas stromego zjazdu – że dla pana dziś rano jeździliśmy do Pontoise?

– Dla mnie? – zdziwił się Henryk.

– Właściwie dla pańskiego ojca, zresztą to wszystko jedno... Za kilka dni imieniny pana markiza...

– Racja, świętego Honoriusza 1

– 16 maja!... Widać dawno nie składał mu pan życzeń!

– Bardzo dawno – szepnął podróżny.

– Teraz pan sobie powetuje. My zawsze uroczyście obchodzimy imieniny pana markiza. W tym roku panna Janina, ulubienica solenizanta, uparła się, by urządzić sztuczne ognie i iluminacje na esplanie przed zamkiem. Projekt ten bardzo spodobał się paniąkom, jak wszystkie zresztą pomysły panny Jani... i oto trzeci już raz jeździmy do miasteczka po zakupy: Szaraban wypełniony jest po brzegi racami, fajerwerkami, rakietami, petardami i ogniami sztucznymi jak artyleryjski jaszcz. Jest nawet nowy gatunek prochu, który, jak mówi pirotechnik, daje podobno nadzwyczajne efekty.

– To dosyć niebezpieczne – powiedział hrabia. – W Anglii używają go do fuzji myśliwskich, przy daleko idących środkach ostrożności.

– Zapakowaliśmy go dobrze w papier... O, znowu widać szaraban... zatrzymuje się na platformie... Zuzia i Żermena wysiadają... to bardzo miłe dziewczęta... panna Jania pojedzie dalej sama, teraz zawróci, raz jeszcze przejedzie most i złoży nasze zakupy u gajowego, tam przy nowym zamku, na lewo, widzi pan? To śliczny pałacyk. W tych dniach zwiedzał go jakiś przybysz z Paryża, jest bowiem do wynajęcia... Podobno dla damy, Angielki... Tym lepiej. Im więcej sąsiadów, tym weselej... panna Jania bardzo lubi tańczyć... Jeśli ma pan dobre oczy, panie hrabio, zauważ pan, że panna Jania jest najładniejsza ze wszystkich.

Znajdowali się akurat w połowie zbocza i przystanęli na skalnym występie, gdzie droga okrążając skałę, wydawała się balkonem wieżyczki średniowiecznego Zamku, zawieszonym ponad biegiem rzeki Oise. Poprzez nagie jeszcze gałęzie buków widać było wyraźnie opisane już wzgórze i pożegnanie trzech dziewcząt.

– Pan, zdaje się, powiedział, że to panna Janina Herbet? – rtt#xX hrabia Henryk.

– Zapamiętał pan – odparł z wdzięcznością Robert. – To urocza dziewczyna, niezwyklej dobroci, godna najlepszego losu.

Po tych słowach wysunął się naprzód, chcąc jak gdyby ukryć wzruszenie, zbyt głośno objawiające tajemnicę jego serca. Henryk raz jeszcze spojrzął obojętnie na dziewczęta.

– Powiedział pan cOś, co podnieciło moją ciekawość... – wycedził.

– Zauważyłem – przerwał Robert. – To sprawa pand Bartolozzi, prawda? Pewnie zadaje pan sobie pytanie, jaki istnieje związek między Janią i Laurentem a sławną włoską śpiewaczką, której kariera została przerwana tak tragicznie. Nie powiedziałbym tego pierwszemu lepszemu, ale pański ojciec jest naszym powiernikiem... W Londynie jak i w Paryżu włoskie nazwisko pomaga śpiewaczkom uzyskać sławę... Pani Bartolozzi urodziła się w tutejszej wiosce i nazywała się Konstancja Herbet.

Gdyby młodzi ludzie jechali obok siebie, nie uszłyby uwagi Roberta dziwna zmiana, chmura, która nagle przysłoniła pogodną twarz młodego hrabiego. Lecz na wąskiej drodze było miejsce tylko dla jednego koma. Henryk jechał z tyłu i opanował się gwałtownym wysiłkiem woli.

v-r Rozumiem – powiedział przywracając z trudem normalne brzmienie głosu. – Pani Bartolozzi była ich krewniaczką...

– Tak... krewniaczką... – szepnął młody oficer – nawet więcej...

– Czyżby... matką?

Jania nic o tym nie wie. Po wycofaniu się z teatru Konstancja Herbet miała zamiar osiedlić się w okokcy...

Hrabia Henryk opuścił głowę, czoło pofałdowały głębokie bruzdy.

W tej chwili spoza kępy drzew osłaniającej przeciwległy brzeg rzeki Oise usłyszano suchą, gęsto po sobie następującą detonację, a po niej krzyk kobiecy, któremu odpowiedział straszny, pełen przerażenia i niepokoju krzyk mężczyzny.

Potem nastąpiły szybkie wybuchy i syk, jaki zwykle towarzyszy eksplozji ogni sztucznych.

Robert z oalej siły prętem uderzył konia, biedne zwierzę szarpnęło się | bólu i ruszyło nierównym galopem Henryk lekko gwizdnął i angielska klacz pomknęła jak wiatr.

Ciągle słycać było krzyki i detonacje. Laurent, widząc wszystko ze szczytu pagórka, wołał jękliwie: – Moja siostra, mój Boże, moja siostra, na (pomoc! Robert i Henryk jednocześnie znaleźli się na zakręcie, gdzie droga, rozszerzając się nagle, opadała łagodnie ku mostowi, po czym wiała się drugim brzegiem. Straszny widok przedstawił się ich oczom. Ognie sztuczne i fajerwerki wybuchały co chwila, koń, oszalały ze strachu, pędził na oślep z rozwianą grzywą i rozdętymi chrapami. Szaraban stał w ogniu, a pożar szerzył się z taką gwałtownością, że tliła się już suknia Jani.

Dziewczyna, pochylona do przodu, blada a zdumiona, zachowała jeszcze resztkę spokoju, z całej siły ściskając lejce. Palił się dół jej żałobnej sukni, a wybuchające bez przerwy snopy różnokolorowych iskier, płomieni i dymu stanowiły tragiczne tło dla jej wspaniałej urody.

Po obu krawędziach mostu, szerokości zwykłej wiejskiej drogi, stały dwa kamienne słupy, a raczej dwa odłamy nie ciosanej skały. Tam groziło niebezpieczeństwo, gdyż Jania, nawet wyszedłszy cało z pożaru, mogła zostać zmiażdżona.

Z piersi Roberta wydobyło się ochryple rżenie. Staął w strzemionach, z uszu konia buchnęła krew.

– Hop, hop, hop! – zawołał cicho hrabia Henryk.

Klacz wyciągnęła się takim klusem, że brzuchem dotykała niemal ziemi

Robert znajdował się jeszcze w połowie drogi, gdy Henryk przelatował już most. Jednym słowem osadził konia i zeskoczył nie dotknąwszy nawet siodła. W tej samej chwili nadszedł rozpędzony szaraban, jak kamień rzucony z góry. W ręku hrabiego błysnęła broń i rozległ się odgłos strzału. Cabri zwała się w kałuży krwi. Henryk rzucił pistolet i chwyciwszy wpół Janię, podobną do pęku płomieni, skoczył w spieniony wir wody.

3. Przyjazd

Robert i Laurent, pochyleni nad parapetem, kierowali wzrok w spienione wiry, chcąc zbadać miejsce, skąd najlepiej skoczyć. Każda sekunda wydawała się wiekiem, a hrabiego Henryka i Jani nie było widać. Wyłynęli wreszcie, ale daleko za mostem, gdyż

prąd zniósł ich w dół rzeki. Jania straciła przytomność, a Henryk płynął ku brzegowi podtrzymując jej głowę nad wodą. Za młynem, nad wąską odnogą wpadającą do stawu, wznosił się pagórek porośnięty wierzbami. Tam na trawie Henryk złożył nieprzytomną ciągle dziewczynę. Ogień strawił cały dół żałobnej sukni, bufiaste rękawki oraz woal powiewający na słomkowym kapeluszu. Na pół obnażona, wydawała się nieżywa. Henryk był zupełnie sam z zemdloną, gdyż nisko zwieszające

się gałęzie wierzby oddzielały ich od świata, i hrabia musiał liczyć się jedynie z wiecznie otwartym okiem badającym najsłabsze głębie naszego sumienia...

Tych słów używa się zazwyczaj, gdy w powietrzu wisi zbrodnia. W tym wypadku działo się wprost przeciwnie, Henryk bowiem wyratował dziewczynę od trojakiej śmierci: rozbicia o skałę, ognia i wody. Przez chwilę twarz hrabiego miała dziwny wyraz. Nieubłagana i ponura maska budziła lęk. Klęczał przy zemdlonej dziewczynie, podtrzymując ramieniem jej głowę, a wielki palec jego ręki dotykał szyi Jani dokładnie w tym miejscu, gdzie Konstancja Bartolozzi zachowała po śmierci ślad ucisku; nad jego pochodzeniem tak zawzięcie dyskutowali trzej chirurdzy z Royal-College.

Hrabia Henryk przybrał niechcący pozę, w jakiej Sara O'Neil widziała fałszywego księcia Aleksego Orłowa pochylonego nad ofiarą w noc zbrodni.

Ktoś nadchodził; ile jednak czasu potrzebował Jan Diabeł, by ze śpiącej kobiety uczynić trupa?

Jania też spała, gorzej, była nieprzytomna.

Hrabia Henryk nasłuchiwał zbliżających się kroków, a jego uśmiech zdawał się mówić: mam czas, wystarczy sekunda do spełnienia zamiaru.

Jania miała siedemnaście lat. Wiatr zerwał jej kapelusz i czarne splecione włosy spływały na ramiona i ma trawę, powieki ocienione długimi ciemnymi rzęsami były na pół przymknięte, delikatny owal ślicznej twarzyczki-i dziecinne usta wskazywały, jak uroczo umiała się śmiać i radować.

Hrabia Henryk zmienił pozycję, już nie był podobny do mordercy u łoża ofiary.

Mięśnie jego twarzy rozluźniły się, prawą ręką odgarnął włosy Jani, mówiąc:

– Gdyby mnie pokochała!...

Gałęzie wierzby zakołysały się i w tej chwili dziewczyna otworzyła oczy błękitne jak głęboki lazur letniego nieba – Henryk przypuszczał, że są czarne.

Zza firanki wierzb wpadli Robert i Laurent, a Jania, podnosząc, wzrok na swego wybawcę, szeptała: To pan mnie uratował... dziękuję. Laurent otoczył siostrę ramionami, a Robert płacząc z radości całował jej ręce.

– Panie de Belcamp – powiedział Laurent Herbet – mam ją tylko jedną na świecie, życie moje (należy do pana).

– Belcamp! – powtórzyła Jania przymykając oczy. Robert rzucił się na szyję wybawcy, ściskając go jak oszalały.

– Panie hrabio – bełkotał – nie mam jeszcze prawa powiedzieć, jak bardzo ją kocham... jeśli będzie panu potrzebna nie ręką, nie pieniądze, lecz serce, wystarczy jedno słowo, a zobaczy pan, co warta wdzięczność żołnierza!

– Hrabia Henryk... – szepnęła Jania, zapadając znowu w omdlenie.

W kuchni zamku Belcamp panowało wielkie poruszenie. Już poprzedniego wieczoru nadeszły kufry hrabiego Henryka, o którym służba coś niecoś słyszała, choć nikt w zamku go nie znał. Zazwyczaj w domu człowieka o takiej pozycji jak pan markiz de Belcamp, wdowca, którego jedyny syn spędza czas na podróżach, znajduje się -przynajmniej jeden portret zmarłej pani i nieobecnego syna. W zamku Belcamp żaden wizerunek nie przypominał rysów markizy ni podróżującego spadkobiercy, imiona ich, co prawda, często zjawiały się na ustach służby, zaciekawionej tajemniczością, jaka otaczała te osoby. W końcu trzeba się było zgodzić, że nikt nie wiedział ani o zmarłej pani, ani o synu pana markiza. To jednak dziwniejsze, że życie starego markiza, jasne i wszystkim znane, nie, kryło cienia jakiegokolwiek tajemnicy.

I jeśli w jego życiu istniała tajemnica, wynikała stąd, że życie markiza de Belcamp dzieliło się na dwa różne okresy. Jego francuskie otoczenie nie znało jego otoczenia z Londynu. Z emigracji przywiózł ze sobą jednego tylko kamerdynera Anglika, łagodnego i milczącego starca, który zmarł kilka miesięcy po przebyciu Kanału. Co do

reszty służby, markiz, pozostawiwszy za sobą pobyt na emigracji, uległ naturalnej chęci, by zaangażować dzieci tych, którzy niegdyś służyli jego przodkom.

William, stary angielski kamerdyner, za życia nie cieszył się we Francji popularnością, był nieprzystępny, a jego zła francuszczyzna wykluczała wszelką poufałość. Po śmierci jednak szczerze go żałowano, gdyż jak (mówiła pani Etienne, kucharka zamku Belcamp, któregoś dnia mógł wreszcie przemówić.

– Jest to bowiem irytujące – dodawała – nie znać dokładnie smutnych dziejów życia tak dobrego pana.

Pani Etienne dobrze gotowała, a jeśli czasem powinęła jej się noga, działo się to, jak sama mówiła, z braku "niewagi".

Za pomocników służyli jej Julek, urodzony w sąsiedniej wiosce Miremont, zaznajamiający się dopiero z arkanami służby, oraz Anusia, ładna dziewczyna z Isle-Adam, spoglądająca na daleki Paryż, jak niegdyś Żydzi na Ziemię Obiecaną. W owych bowiem czasach nie było jeszcze kolei żelaznej, a podróżowanie nie weszło w zwyczaj.

Ponadto był jeszcze wiejski lokaj Piotr i Fanchette, pokojówka miss Zuzanny Tempie, ogrodnik, będący jednocześnie stangretem, no i Briquet, który zawsze jadał w kuchni zamkowej, gdyż w Opactwie nie było dla niego miejsca.

Opactwem nazywano skromny dom leżący koło nowego zamku, po drugiej stronie Oise. Należał do pani Touchard, z domu Herbet, ciotki Jani i Laurenta. Były oficer Wielkiej Armii, Robert Surrisy, obecnie student prawa, spędzał tam połowę dnia, a Ferandeu, uczeń wielkiego Davida, był tam stałym gościem Magdalena Surrisy, matka Roberta, mieszkała z synem w małym odosobnionym domku nad brzegiem rzeki.

Ukazanie się tego, który od trzech lat stanowił nie kończący się temat opowiadań służby i cel ciekawości, czyli hrabiego Henryka, wywołało w kuchni nie lada sensację! Tym bardziej że młody pan, choć przyjechał na wspaniałym koniu, jak orzekł ogrodnik-stangret, był blady, bez kapelusza i przemoczony do nirska. Miał jednak dla wszystkich czarujący uśmiech.

Żaden ewenement, nawet trzęsienie ziemi czy wybuch rewolucji w Pontoise, nie wzbudziłby takiego poruszenia w kuchni zamku Belcamp.

– Powiedźcie no! – wykrzykiwała pani Etienne obdarzona, gdy chciała, grzmącym głosem. – Pan hrabia wspaniale postąpił, choć zastrzelił w biegu tę biedną Cabri, konia wartości trzydziestu pistoli, nieprawdaż? A jaki przystojny... bardzo podobny do pana markiza... Panie Briquet, nie kręć się pan pod nogami!

Briquet wrócił właśnie z Opactwa, gdzie wszyscy pod niebiosą wychwalali młodego hrabiego.

W tej chwili z wnętrza domu zabrzmiał dzwonek.

– Idź, Julku – zakomenderowała pani Etienne. – Piotr zajęty przy młodym panu, który zmienia ubranie. Tylko szybko!

Julek zdjął saboty i boso popędził do salonu. Gdy wrócił, powiedział:

– To jednak śmieszne, ci panowie. Czekają, aż wyschną, by się przywitać. Pan markiz siedzi w salonie blady jak po ciężkiej chorobie. "Powiedz panu hrabiemu, że go oczekuję".

Julek miał rację. Markiz de Belcamp blady był jak nieboszczyk. Trzymał się jak zwykle prosto, ale łagodne zazwyczaj spojrzenie świeciło surową powagą.

Wydawszy rozkaz służącemu, stał chwilę nieruchomo ze spuszczonej oczami. Turzy okna salonu wychodzące na łąki były szeroko otwarte. Markiz zamknął je wszystkie po kolei. Następnie smutnym spojrzeniem objął portrety przodków, pokrywające boazerie, a blady rumieniec zabarwił jego policzki.

Musiał być bardzo przystojny w młodości. Miał teraz sześćdziesiąt lat i jeszcze doskonale się prezentował z tą szlachetną postawą i twarzą łagodną i dumną jednocześnie. Był nieco wyższy od syna, a szerokie jego czoło ocieniały gęste siwe włosy. Ponadto istniało między nimi dość duże podobieństwo. W twarzy ojca widniały rysy syna i uroczy, prawie kobiecy uśmiech, nie wykluczający jednak męskiej stanowczości spojrzenia. Kolor włosów za to mieli różny, gdyż syn był blondynem, a ojciec mimo siwizny miał brwi czarne jak za młodych lat.

Markiz zatrzymał się przy ostatnim oknie. Z twarzy jego wyraźnie odczytać można było smutek; prawą rękę wsunął machinalnie w wewnętrzną kieszeń myśliwskiej kurtki, wyjmując duży medalion, oprawny w emalię i złoto. Po otwarciu ukazała się miniatura młodziutkiej kobiety wielkiej piękności, ubranej jak bogini z baśni, gdyż taka panowała paskudna moda w pewnej epoce w Anglii; kobieta miała prześliczne blond włosy o rudawym odcieniu, właściwym prawie wyłącznie rasie saksońskiej. Markiz ze smutkiem spojrzawszy na miniaturę, powieki mu zdrząły.

– Helena! – wyszeptał, nie zdając sobie sprawy, że wymawia to imię. W tej chwili drzwi skrzyknęły i markiz szybko schował medalion. Mylili się ci, którzy przypuszczali, że w zamku Belcamp nie było portretu zmarłej markizy.

– Pan hrabia – zaanonsował lokaj Piotr, usuwając się, by przepuścić młodego pana.

Henryk wszedł z wysoko podniesioną głową i poważnym uśmiechem na twarzy. Zbliżył się skwapliwie do ojca, nie wyciągając jednak ręki. Znalazłszy się kilka kroków przed markizem i poczekawszy, aż Piotr zamknie drzwi, zatrzymał się i kłaniając się z szacunkiem, powiedział:

– Panie markizie, nie poproszę o ojcowskie powitanie i należny mi pocałunek, zanim nie dowiodę ojcu, jedynemu memu sędziemu, że godzien jestem jego miłości i nazwiska. _____
Markiz milczał. Wzruszenie tamowało mu oddech.

“To jej głos – myślał – (ten głos, którego ndgdy nie mogłem słuchać bez drżenia... To jej oczy, to ona, taka jaka była w młodości, moja radość, rozpacz, hańba i wstyd!... Słodczy miłości i gorzycz wspomnień...”

– Czy ojciec zechce mnie wysłuchać? – spytał hrabia, którego głos, tak przedziwnie melodyjny, brzmiał, zdawało się, jeszcze łagodniej i bardziej harmonijnie. Markiz z trudem opanował wzruszenie i odpowiedział:

– Proszę mówić, hrabio, słucham pana.

4. Dzieje markizy de Belcamp

W 1786 roku w Londynie cieszył się zasłużoną sławą wielki browar, stary jak piwowarski przemysł, a znany z doskonałego gatunku piwa. Nazwisko właścicieli błyszczało czerwonymi literami w oknach wszystkich piwiarni metropolii. Była to wielce szanowana firma Brown, Turner, Robinson i Spółka. Jedynie Mikołaj Brown, główny udziałowiec i zarządca browaru, zajmującego w Pimlico trzy akry powierzchni, był żonaty i miał córkę jedynaczkę, przeznaczoną w marzeniach na żonę dla któregoś z kuzynów, a zarazem współników, Williama Robinsona lub Francka Turnera; byli bowiem jeszcze w wieku, że mogli ubiegać się o względy pięknej kuzynki Heleny. Wtedy to stary Brown nagle umarł.

Helena miała wówczas szesnaście lat. Uroda jej wzbudziłaby podziw w najelegantszym salonie, a wychowanie, jakie otrzymała, nie różniło się od edukacji najbogatszej z arystokratycznych dziedziczek. Stary Brown, wdowiec uwielbiający

córkę, od początku został jej niewolnikiem. Nie zdążyła jeszcze sformułować życzenia, a już było spełnione.

Niektóre bardzo silne lub zupełnie obojętne natury znoszą bez szkody skutki ojcowskiej słabości, większość jednakże zachowuje, w sobie zarodek śmiertelnej trucizny, który prędzej czy później wyda straszne owoce.

Kiełkujący w Helenie zarodek zła dojrzał wraz ze śmiercią ojca. Najpierw płakała z rozpaczy, potem, by zapomnieć o bólu, oddała się w ręce pewnej zrujnowanej wielkiej damy, która za punkt honoru postawiła sobie otworzyć przed śliczną dziewczyną drzwi najbardziej arystokratycznych salonów Londynu. Prawo angielskie zabrania wspólnikom ojca opieki nad nieletnimi, toteż Turner i Robinson zostali odsunięci, a opieka nad sierotą przypadła pewnemu prawnikowi, zbyt zręcznemu, by mógł być uczciwym, który prowadził od niejakiego czasu interesy zmarłego.

Okazało się, że Lady Edgeton, zrujnowana dama, i pan Wood, zasłużony prawnik, znali się z dawnych czasów. Na surowej powierzchni, jaką jest maska pokrywająca angielskie życie, zepsucie otwiera dziwne i przerażające głębie. Sami nawet pisarze Wielkiej Brytanii, mimo upoili i narodowych przesądów, czynią w tej materii niedwuznaczne zwierzenia. Wystarczy powiedzieć, że Francja, z pozoru o wiele mniej wstydliva i gotowa kpić z brytyjskiej hipokryzji, z obrzydzeniem zamknęłaby oczy odkrywszy, co znajduje się pod zasłoną. Nie powiemy nic nowego, konstatując fakt, który posłużył za pierwsze pole bitwy straszliwemu talentowi Williama Hogartha, a mianowicie, że zgangrenowane obyczaje atakują głównie młode dziewczęta, czyniąc im najwięcej krzywdy.

Helena Brown, wprowadzona w zupełnie dla niej nowy świat i systematycznie odseparowywana od dawnych przyjaciół, którzy mogliby uchronić ją swymi radami, wpadła w szpony lorda Dzieciojada, tak jaskrawo opisanego przez Smolleta, Goldsrnitha, a nawet ostrożnego! Richardsona. Zazwyczaj bywa on oszustem. Helena nie tylko została moralnie zgubiona, lecz także straciła majątek, a ponieważ natura jej nie pozwalała zatrzymać się w połowie drogi, gdy więc padła ofiarą łotrów, śmiało, jak korsarz uzbrojona w młodość i urodę, przyśięgła, że nie umrze na wiązce słomy jak te blade heroiny wiecznego romansu angielskiego zepsucia. Dotrzymała słowa: jej śmiertelne łoże było o wiele twardsze, a w roku 1788 miała pierwszy zatarg ze sprawiedliwością. Została skazana za kradzież diamentów księżnej Devonshire, której młodzień-

- Lori Dzieciojad – tak nazwany przez Fólala ujemny typ bohatera, spotykany w wielu powieściach angielskich XIX wieku, deprawujący dziewczęta, odzierający z majątku sieroty itp.

ki syn otworzył przed nią niebacznie drzwi rodzinnego domu. Sprawa narobiła tyle wrzawy, że Turner i Robinson nie mogli dłużej zachować zhańbionego nazwiska Brown na szyldzie firmy. Browar w Pimlico zlikwidowano, a dwaj wspólnicy, podzieliwszy między siebie znaczny kapitał, opuścili Anglię. Turner osiedlił się w Lyonie, a Robinson w Brukseli i w jakiś czas potem udało się im znacznie powiększyć majątek.

Helena Brown ułaskawiono jako nieletnią i działającą bez zastanowienia. Podanie o ułaskawienie złożyła królowi Jej Wielmożność sama księżna Devonshire, wzruszona młodością i niezwykłą urodą winowajczyni. Pomógł jej wydostać się z więzienia, księżna zabrała ją do siebie a Helena, dzięki dziwnej przemianie losu, tak zwykłej w Londynie, stała się nagle bohaterką dnia w tym najbardziej ekskluzywnym świecie, jaki można spotkać na ziemi, oraz gwiazdą jaśniejącą na najtrudniej dostępnym firmamencie. Królowa wzięła ją w opiekę i nawet należało do dobrego tonu

uznać ją za niewinną ofiarę, przeklinając głośno rzekome okrucieństwo dawnych współników jej ojca.

Po kilku miesiącach nieszczęście sprowadziło do Londynu ostatniego francuskiego rycerza, bohaterskiego towarzysza generała La-fayette'a, markiza de Belcamp, dymisjonowanego pułkownika pierwszego pułku, który 11 lipca, po upadku Neckera, poszedł na Paryż.

Małżonko zakochał się do szaleństwa w Helenie Brown. Był jeszcze pięknym mężczyzną, choć minął już granicę młodości. Księżna Devonshire, być może znudzona własną szlachetnością, gdy entuzjazm dla pupilki przypuszczalnie wygasł, dopomogła markizowi. Helena wyraziła zgodę. Ślub odbył się z wielkim przepychem, jak gdyby była wychowanką całej angielskiej arystokracji.

Helenie nie brakowało sprytu i silnej woli. Przez cały czas pobytu w pałacu protektorki przybrała wystudiowaną postawę skromnej dziewczyny. Wszyscy byli po jej stronie, widząc w nieszczęsnej przygodzie, osłoniętej zresztą lekką mgiełką tajemnicy, fatalność losu lub nawet oszczerstwo. Szatan nie staje się znowu aniołem, a ta łagodna dziewczyna była aniołem przez swą urodę, przypominającą dziewicę Reynoldsa a głos jej, niezwykle melodyjny, przenikał w głąb serc, jak najpiękniejsza muzyka.

Po pierwszym roku małżeńskiego pożycia przyszło na świat dziecko, które należało podziwiać nawet w tym kraju pięknych dzieci,

gdzie sir Tomasz Lawremce znalazł modele do swych pogodnych scen rodzinnych. Wiadomo, z jaką emfazą Angielki wypełniają obowiązki żony i matka; Helena prześcignęła wszystkie w miłości i oddaniu. W całym świecie nie znalazłbyś szczęśliwszego człowieka niż markiz de Belcamp.

Pewnego dnia przestały przychodzić pieniądze z dóbr we Francji, umieszczono bowiem markiza na liście emigrantów i jego majątki uległy konfiskacie. Z wielkiej fortuny została tylko niewielka suma ulokowana w Banku Angielskim. Pan de Belcamp był tak pewny przywiązania żony, że bez oratorskich przygotowań zaproponował jej wyrzeczenie się wielkoświatowego blichtru. Działo się to podczas towarzyskiego "sezonu" w 1793 roku. Helena przyjęła tę wiadomość z uroczą rezygnacją, bez jednej łzy; czegoż więcej potrzebowała do szczęścia poza domem i najbliższymi? Poprosiła tylko, by niczego nie zmieniać do końca sezonu, chcąc dyskretnie usunąć się w domowe zacisze, zachowując wszelkie pozory dotychczasowego zbytku. Po kilku dniach zmarł w Northumberland niejaki Karol Coock,

o którym markiz nigdy przedtem nie słyszał, a dawny radca prawny pan Wood, sprawujący opiekę nad markizą, gdy była jeszcze panną Brown, zjawił się z testamentem, w którym zmarły krewniak ustanawiał markizę główną spadkobierczynią. Dobrobyt wracał do rodziny Belcamp i nie mówiono więcej o porzuceniu światowego życia. Pan Karol Coock, nieznany krewniak, pozostawił trzy tysiące funtów, czyli 75 000 franków dochodu.

Od tej pory Helenę chwilami napadał dziwny smutek, a czasami ogarniała ją nagła, przesadna wesołość. Stała się niezwykle pobożna.

1 zaczęła często bywać w kościele. Gorliwość jej posunęła się do tego stopnia, że dla umoralnienia klas ubogich zapisała się do towarzystwa wstrzeźliwości i zdarzało się czasem, że elegancka toaleta markizy pachniała ordynarną tabaką i dżinem. Chcąc wydrzeć występкови ofiary, trzeba nieraz zanurzyć się w jego atmosferze. Gdy markiza de Breadalbane, jedna z przyjaciółek i dawnych protektorek Heleny, wydała wspaniały raut pod koniec sezonu, w salonach jej zginęły diamenty olbrzymiej wartości, a następnego dnia Helena otrzymała z Northumberland pierwszą ratę rocznych dochodów.

Niektóre rewelacje następują powoli, odsłaniając co dzień maleńki skrawek tajemnicy, inne spadają jak piorun. Pewnego wieczoru Helena wróciła do domu pijana. Jeśli ktoś oburzyłby się na ten nie-

prawdopodobny fakt, nadechłaby się i przeczytała ze dwadzieścia stron biografii księcia Walii, przyszłego Jerzego IV. Nie tylko córki piwiarzy, którym udało się poślubić markiza, wracały pijane do domu. Anglia równie starannie ukrywa swe wstydlive bolączki, jak my szczycimy się naszymi. Czyż małośmy oczerniali biedną Bt-gencję, co prawda bezwstydną dziewczkę, lecz bardziej chępiącą się występkiem niż zepsutą? Londyn zamknąłby ją w lochu, a po kilku latach mówiono by o umartwieniach, jakim Regencja oddawała ją pobożnie w swej celii

W pierwszej chwili markiz de Belcamp sądził, że padł ofiarą złego snu. Nie chciał wierzyć oczom. Samo świadectwo zmysłów nic nie znaczy wobec niemożliwości. Zażądał wyjaśnień i otrzymał więcej, niżby pragnął: marfuza nie liczyła się z opinią publiczną ani ze słowami, śliczne różowe wargi rzygnęły najordynarniejszym bluźnierstwem. Pod atlasową skórą kryło się błoto City. Potomek krzyżowców i towarzysz Lafayette'a poślubił złodziejkę, zaprawioną do wszelkich podłości.

Markiz niebezpiecznie zachorował i znalazł się na progu śmierci. Gdy wreszcie odzyskał przytomność, dom był pusty: żona odeszła, zabierając synka. Na pożegnanie z arystokratycznym światem markiza popełniła wiele śmiałych kradzieży, po czym rzuciła się głową naprzód w otchłań błota, gdzie czasem policja daje nurka ryzykując życiem. W Londynie jednak jest to niezgłębiona bezdeń i pewne schronienie.

Z tych czasów pochodzi pierwsze zetknięcie się markiza z Gregory Tempie, zwykłym wówczas "detektywem" w biurze Scotland Yardu. Jakkolwiek byłaby nasza opinia o zawodzie policyjnego agenta, Gregory Tempie był łagodnym, poważnym i dobrym człowiekiem, prawdziwym "dżentelmenem", jak mówią Anglicy – tytuł, który wcale nie tłumaczy naszego "szlachcica", lecz zawiera w sobie dumę oraz subtelnej delikatności. W strasznej sytuacji, w jakiej znalazł się markiz, w obcym kraju, nękanie Gregory Tempie okazał się nieocenioną pomocą. Dzięki niemu udało się panu de Belcamp oddzielić przynajmniej swój honor od hańby żony i utrzymać nienaruszoną towarzyską pozycję.

Gregory Tempie zrobił, co mógł, by odnaleźć dziecko, żądania jego pozostały jednak bez skutku. Pod koniec ubiegłego stulecia wielkie bractwo londyńskich złodziei trzęsło trzecią częścią miasta. Markiza znajdowała się na samym dnie tych ciemności i naturalnie zmieniła

Regencja była epoką słynącą | rozwiązłości obywateli | zepsuci».

znazwisko. Nie trzeba udawać się do Anglii, by zobaczyć podobne upadki, jak również nie należy uważać za wyjątek niezwyklej deprawacji nie tylko serca, ale gustów i upodobań, pozwalającej żyć w kloace komuś, kto zakosztował czystego powietrza szlachetnej elegancji. Wszyscy widzieliśmy lśniące meteory gasnące w ryszotku, który, jak się okazało, był ich ojczyzną.

W 1805 roku, kobieta nazwiskiem Helena Brown, należąca do bandy Jana Diabła – wówczas był to Tomasz Paddock – została schwytana i skazana na dożywotnią deportację. Gregory Tempie był już głównym intendentem policji. Jego to zasługa, że sprawiedliwość zadowolona się nazwiskiem Heleny Brown; adiutantka Tomasza Paddock a uczyniła je zresztą sławnym w Inner-Temple i w innych dzielnicach Londynu.

W dniu skazania jedenasto- czy dwunastoletni chłopczyk, śliczny i nieśmiały jak dziewczynka, zjawił się w pałacu markiza de Belcamp i wręczył mu list tej treści:

Panie markizie, czujemy często urazę do tych, których obrazi- liśmy; jedynym moim wyrzutem sumienia jest uczyniona panu krzywda. Ma pan szlachetne serce i wart pan dobrej żony, jeśli taka istnieje. Nie proszę o przebaczenie, którego z serca nie mógłby mi pan udzielić, zresztą w obecnej sytuacji na niewiele by mi się ono przydało. Posyłam panu naszego syna, Henryka, to mały kącik mojej duszy, kędy pewnego dnia zawita żal i miłosierdzie boże. Dla niego uszanowałam pańskie nazwisko, czyste od wszelkiej plamy. Dziecko jest pana godne, proszę dobrze je wychować i nie nauczyć nigdy pogardzać matką.

Helena Brown

Markiz, człowiek dobry aż do słabości, jak był dzielny do bohaterstwa, ze łzami w oczach odczytał to dziwne pismo. Helena myliła się twierdząc, że nie potrafi przebaczyć. Nikt nie wie, jak nisko spaść lub na jakie wyżyny wznieść się potrafi serce dotknięte szaleństwem miłosierdzia!

Markiz otworzył dziecku ramiona i długo trzymał je w uścisku. Chłopczyk okazał jedynie zdziwienie. Czy to przez dość dziwną delikatność, czy z innego powodu, Helena powiedziała mu, że idzie do opiekuna, i sam markiz oznajmił dziecku: jestem twoim ojcem. Chłopak okazał wówczas szacunek i serdeczność. Podobny był do matki z koloru włosów i oczu, a szczególnie z brzmienia głosu: wydawało się słysząc go, że to mówi Helena, jed-

1

nakże z kształtu głowy, z orlego rysunku twarzy, był to wykapany Belcamp.

Gdy pierwszy raz markiz nazwał go Henrykiem, chłopiec nie odpowiedział, a ojciec spytał:

– Czy nazywano cię inaczej, mój chłopcze?

Dziecko zawahało się, zaczerwieniło, po czym odpowiedziało:

– Nie, milordzie, nazywano mnie Henrykiem.

– Henrykiem Brownem?

– Tak, milordzie, Henrykiem Brownem.

– Kim jest chłopiec zwany Tomem Brownem, który figuruje w procesie twojej matki? – spytał jeszcze markiz.

– Nie znam procesu matki, milordzie – odpowiedziało z prostotą dziecko.

W dalszym ciągu indagacji markiz dowiedział się, że Henryka wychowywano w sokole w Southwark, gdzie matka odwiedzała go i skąd wychodził tylko raz w tygodniu. Dyrektor szkoły potwierdził w pełni słowa dziecka. Helena Brown w swym upadku zachowała na tyle sumienia, by oszczędzić tę młodą duszyczkę.

Nieszczęście czyni ludzi tajemniczymi. Ci, co cierpią, usiłują stale oszukać spojrzenia ciekawych, pragnących zgłębić ranę ich serca. Markiz de Belcamp (powiadomił o tym zdarzeniu tylko nielicznych przyjaciół, którzy od czasu do czasu przestępowali próg smutnej jego siedziby. Nawet Gregory Tempie nie ujrzał chłopca, którego ojciec, gdy nauka jego została w szkole zakończona, umieścił w uniwersytecie w Edynburgu. Niczego jednak nie ukrywano: w uniwersytecie Henryk nosił nazwisko de Belcamp. Jego inteligencja, obudzona przedwcześnie, szybko rozwijała się w tej słynnej uczelni. Wkrótce stał się najwybitniejszym uczniem profesora Dugalda Stewarta, z którego nauki Jouffroy, pan Cousin i eklektycy czerpali liczne zasady, psując je jednak przy przyswajaniu. W roku 1810 siedemnastoletni Henryk de Belcamp bronił tezy magisterskiej o metodzie badań w zastosowaniu do nauk metafizycznych i uzyskał wielki triumf.

W tym czasie opiekun studentów napisał markizowi, że pewna kobieta, młoda i jeszcze wielkiej urody, wiele razy odwiedzała jego syna. Kazała się nazywać lady Rowley. Markiz przy pomocy Gregory

xTemple'a dowiedział się, że Helena Brown, uciekły z więzienia i popełniwszy niezliczone nowe przestępstwa, istotnie w Londynie nosiła to nazwisko. W następstwie tej rozmowy markiz wsiadł do pocztowej karetki i pojechał do Edynburga.

W podróży opadły go smutne przeczucia. Żałował, że nie zatrzymał chłopca przy sobie, był przecież jego jedyną nadzieją. Po przyjeździe zastał w Edynburgu wielkie poruszenie z powodu zuchwałej kradzieży dokonanej w domu lorda namiestnika. Lady Rowley znikła, a młodego hrabiego Henryka de Belcamp nie było już w uniwersytecie.

W Londynie oczekiwał markiza list syna. Przypuszczalnie młody człowiek nic nie wiedział o hańbie Heleny Brown. Wyznał ojcu szczerze, że matka zaspokoila jego szaloną^ chęć podróży po kontynencie. List datowany był z Calais.

Odtąd, to znaczy w ciągu siedmiu lat, markiz de Belcamp nie widział syna. Przez pierwsze lata Henryk pisywał regularnie i dość często. Listy te były wzorem stylu i synowskiego przywiązania, wykazywały umysł ścisły, subtelny, ożywiony pragnieniem zdobycia wiedzy; przy tym młody hrabia nigdy nie prosił ojca o pieniądze. Jeden tylko raz, gdy markiz zwrócił uwagę, że nie powinien posługiwać się pieniędzmi matki, odpowiedział prosząc o drobną sumę na pokrycie kosztów hotelowych – znajdował się wówczas w Wiedniu.

Włożyłem w katedrze do puszek dla ubogich to, co zostało mi z pieniędzy matki – pisał. – Co się tyczy moich przyszłych zamiarów, to pozostanę w Niemczech. Wszyscy tu szaleją na punkcie różnych systemów filozoficznych; słucham wykładów mego mistrza Dugalda Stewarta.

Tego rodzaju korespondencja powinna była zadowolić ojcowskie serce, lecz mimo że listy te mówiły o honorze i nadziei, dziwna jakaś groźba unosiła się nad głową markiza de Belcamp, zakłócając spokój. .

Ten obiecujący młodzieniec, poszukiwacz przygód umysłowych w dalekich krajach, miał sobowtóra. Syn Heleny Brown sgi Tom Brown – nie młodszy brat Henryka, lecz jego sobowtór, gdyż miał tyle samo lat, znajdował się w Londynie. Wyczyny Heleny Brown przysporzyły jej popularności - słynnej aktorki lub królowej, a wiadomo było, że raz tylko jeden była matką. Tom Brown szedł chlubnie jej śladami i zyskał wielką sławę w świecie złodziei i łotrzyków, unikając sieci zastawionych przez Gregory Temple'a.

Byli nawet ludzie, którzy Toma Browna już nazywali Janem Diabłem.

Tymczasem Helena dzielnie prowadziła walkę ze społeczeństwem. Na nakazy aresztowania odpowiadała coraz zuchwalszymi kradzieżami, na próżno ścigali ją konstable. Dopiero w dwa miesiące po upadku Napoleona, gdy markiz de Belcamp powrócił do Francji, aresztowano ją wraz z synem Tomem w samym centrum Londynu podczas orgii w salonie ostryg na Oxford Street. Osadzono ich w Newgate, a następnie zesłano do Nowej Południowej Walii. Helena uniknęła stryczka dzięki swej płci, Tom zaś zawdzięczał życie młodemu wiekowi.

Gdy sprawa nabrała rozgłosu w dziennikach, markiz napisał do Gregory Temple'a; jednakże dzielny intendent walczył ze śmiercią złożony ciężką chorobą, nazwaną przez lekarzy cholera azjatycką. Gdy niebezpieczeństwo minęło i wszedł w okres rekonwalescencji, Helena i Tom byli już w drodze do Sydney. Nie zobaczył więc ani matki, ani syna.

Od pewnego też czasu przestały przychodzić listy od Henryka, a niepokój i niepewność biednego ojca wzrastały. Ostatni list, pisany z Warszawy, pochodził sprzed pięciu miesięcy. Markiz był gotów udać się do Polski, gdy pismo z Londynu uczyniło podróż tę niepotrzebną.

Drogi ojcze – pisał Henryk z całą otwartością – zamiast zastać cię w Londynie, jak się tego spodziewałem, dowiedziałem się u drzwi twisgo pustego domu, że spadło na

nas wielkie nieszczęście. Matka moja znajduje się w rękach sprawiedliwości i płynie do Australii, o której opowiadają straszliwe rzeczy.

Nie potrzebuję ci tłumaczyć, znając twą prawość i szlachetność, że każdy zachowuje w sercu miłość do matki. Kocham matkę, a Zje nie tylko dla niej podejmuję tę długą i niebezpieczną podróż. Robię to dla ciebie, ojczyźnie, by ci oszczędzić najwyższego bólu. Helena Brown groziła wyjawieniem twego nazwiska. Może oczekiwała od ciebie pomocy albo interwencji intendenta policji, o którym wie, że jest twoim przyjacielem? W każdym razie padło twoje nazwisko, a to skuteczny środek, by wszcząć rewizję procesu, skazano bowiem Helenę Brown, a moją matką prawnie jest markiza de Belcamp.

W godzinę po otrzymaniu tego listu markiz pędził do Londynu. W stolicy Anglii nie znalazł jednak śladu hrabiego Henryka. Dowiedział się jedynie, że przed trzema dalaami Helena i jej syn Tom Brown odpłynęli do Australii na rządowym statku.

Markiz nie miał powiernika. Zamknął więc w sobie bolesne podejrzenie zrodzone z całego szeregu okoliczności. Gdyby chodziło o kogo innego, można by użyć słowa "pewność" zamiast "podejrzenie", lecz markiz należał do elity, gdzie serce tylko w ostateczności wierzy w zło. Powrócił do Francji, żywiąc resztki nadziei, niknącej z każdym dniem, co poważnie podkopało jego zdrowie.

W ciągu trzech lat Gregory Tempie dwa razy przesłał mu wiadomości: dowiedział się tak o śmierci Heleny i o ucieczce Toma, który zabiwszy własnoręcznie trzech dozorców, wyostał się z więzienia karnego w Port Jackson. Sygnalizowano już powrót bandyty do Anglii, a według słów intendenta, był to teraz najgroźniejszy opryszek na terenie trzech królestw.

I nagle po trzech latach milczenia markiz otrzymał list z Londynu, zawiadamiający go po prostu o przyjeździe syna. Od trzech tygodni samotność starca dzieliła Zuzanna Tempie, córka intendenta, który opętany idée fixe, zdawał się ogarnięty szaleństwem. Hrabia Henryk de Belcamp zjawił się wkrótce po liście. Po powyższym wyjaśnieniu dziwna rozmowa między ojcem a synem wyda się bardziej zrozumiała.

5. Męczennica

Ojciec i syn stali naprzeciw siebie, otoczeni portretami przodków. Rodzina de Belcamp nie weszła do historii przez królewskie przedpokoje czy małżeńskie alkowy jak wiele innych francuskich rodów, których lista byłaby równie długa jak lista bohaterów.

Od Honoriusza II de Belcamp, co własnym ciałem osłonił króla i padł ratując Ludwika IX pod Damietą, do Henryka de Belcamp, głównego dowódcy armii francuskiej, ojca starego markiza, poległego pod Rosbach w tym samym roku, gdy urodził się syn, wszyscy członkowie rodziny to lojalni żołnierze i nie było wśród nich ani jednego dworaka. Nie znani w Wersalu, na granicy za to budzili postrach.

Twarz ojca i syna nosiła ten sam charakter. Byli równie przystojni i pod jasną czupryną młodego człowieka błyszczał ten sam orli wzrok.

Przez wysokie okna salonu promień słońca padał na wyblakłe hafty starego obicia ścian, złocąc od czasu do czasu fragment bogatej ramy obrazu, zapalając ogień w poczerńniętych barwach portretów. Ndc w tym salonie nie było nowe, wszystko mówiło o przeszłości. Mimo wesołego blasku słońca było tu mroczno i jak gdyby uroczyście. Na dworze, na rozstłonecznionym trawniku przed zamkiem, panowała ta sama cisza, a jedynym dźwiękiem było porykiwanie bydła na odległym pastwisku lub piosenka pastuszka, której akompaniował ciepły szum młyna i wiatr w prastarych drzewach alei.

Markiz stał tyłem do okna i twarz jego pozostawała w cieniu, podczas gdy szlachetna głowa młodego hrabiego była w pełni oświetlona. Trwali tak milcząc i obserwując się nawzajem

– Ojciec – przerwał wreszcie milczenie Henryk, mimo woli zniżając głos w uroczystej dla obu chwili – siedem lat temu opuściłem uniwersytet edynburski, po raz pierwszy i ostatni postępując wbrew twoim rozkazom. W dwa lata potem napisałeś mi, że nie powinienem być kupować chleba za pieniądze matki. Po dalszych dwóch latach, w chwili gdy wracałem do ciebie, obowiązek skierował mnie do Nowej Południowej Walii. Podróż moja trwała ponad trzy lata i pozostawiła niezatarte wspomnienia wielkiego smutku, a zarazem i wielkiej pociechy. Matka zmarła na moich rękach, zmarła jak chrześcijanka, pojednawszy się z Bogiem.

– Pojednawszy się z Bogiem!... – powtórzył jak echo markiz.

– Drogi ojciec – podjął młody człowiek – długo sądziłem, że rozstałeś się z matką, gdyż nie łączyło was uczucie. Wychowała mnie tak religijnie i w tak szlachetnych zasadach, że sam nigdy nie doszedłbym prawdy. I muszę ci wyznać, że dopóki list twój nie wzbudził we mnie podejrzeń, w sercu trzymałem zawsze stronę matki.

– To zupełnie naturalne – przerwał markiz. – Biada dzieciom, które stają po stronie silniejszego.

– Przyszedłem do ciebie – ciągnął hrabia Henryk – gdyż tak chciała matka i tak kazała. Nie wiedziałem, dlaczego oddała mnie od siebie, przypuszczałem, że ojciec jest bogaty, a matka biedna, i wydawało mi się to niesprawiedliwe; oburzałem się, że musi kryć się pod przybranym nazwiskiem, by mnie odwiedzić w Edynburgu... Wiem teraz, jaki był tego powód... Rzuciwszy uniwersytet, wyjechałem z nią razem do Francji. Spędziliśmy miesiąc najkrótszy i najszczęśliwszy w moim życiu. Poznałem ją z najlepszej strony, gdyż odkryła mi skarby swego serca i umysłu.

Po tych słowach głębokie westchnienie uniosło pierś markiza. Henryk spojrzał na ojca ukradkiem i szepnął wzruszony:

– Bardzo ją kochałeś! – a widząc, że powieki ojca drżą, dodał:

– Dziękuję ci, ojciec... dopiero po powrocie do Londynu poznałem cały ogrom naszego nieszczęścia. Miasto huczało od skandalicznego procesu matki, skazanej właśnie na karę stosowaną wobec złoczyńców. Podczas studiów i podróży zdobyłem wielu przyjaciół, lecz w Londynie z jednym tylko człowiekiem mogłem mówić o matce. Był to dawny radca prawny, niegdyś jej opiekun, który, mam powody, by tak sądzić, przyczynił się do jej upadku. Mimo pewnej odrazy, jaka pozostała mi z dzieciństwa, poszedłem do pana Wooda. Powiedział mi:

“Ona wróci, oczekuję jej zgody, by wnieść prośbę o rewizję procesu, istnieje błąd w procedurze. Pani markiza de Belcamp znajduje się w rękach sprawiedliwości, ale skazano Helenę Brown”. I dodał zacierając ręce:

“Zrobię .dobry kawał staremu Giregory Temple'owd, gdyż to on, zanim powaliła go choroba – oby szatan zabrał jego duszę! – zastawił sidła na biedną Helenę. Będzie to również nauczka dla tego Francuza, markiza de Belcamp... Gdyby był na to czas, już byśmy rozpoczęli sprawę, jednakże wysłano ją poza kolejnością, widać w tym rękę markiza”.

Napisałem więc do ciebie, ojciec, i natychmiast popłynąłem “Gromem” do Nowej Południowej Walii. Droga była bardzo długa. Wreszcie przybyliśmy do Sydney i cały rok czekałem, zanim udało mi się zobaczyć z matką. Nie wiem, jaka będzie przyszłość tych ziem, które wydają się obecnie zlepkiem różnorodnych materii, muszę jednak wyznać, że obecny ich stan jest ohydny i hańbiący.

Przylądek York leży w odległości ośmiuset mil od Przylądka Wilsona, a nikt nie zna szerokości lądu idąc od brzegu morskiego ku zachodowi, gdzie Góry Błękitne nie stanowią żadnej granicy.

Na mapie świata Anglia zajęła olbrzymie obszary, by uczynić z nich więzienie; Murzynów zepchnęła do środka lądu, gdzie sucha i jałowa ziemia nie może ani wykarmić, ani napoić człowieka. Gdziekolwiek znajduje się kropla wody, strzeże jej angielska strzelba, by dawni władcy tego kraju nie "ukradli" jej przypadkiem. Woda ta, której odmawia się człowiekowi, ma poić stada bydła, gdyż bez wody te wartościowe zwierzęta zginęłyby. Murzyni padają z pragnienia, ale to ludzie wolni, a co za tym idzie nic nie warci.

Mszczą się oni, gdzie się tylko da, mordując białych długimi oszczepami, ostrymi jak igły. Anglicy nazywają ich dzikimi bestiami, urządzając na Murzynów polowania z (nagonką). W ten sposób cywilizacja rozwija się. Kobiet się nie "zsyła", bywają jednak wyjątki, którymi zdaje się rządzić przypadek. W tych olbrzymich połaciach ziem kobiety są rzadkością i te bez wątplenia specyficzne warunki powiększają dzikość ludności. Osadnicy, których liczba stale wzrasta, to często niezonaci awanturnicy, przybyli, by zdobyć fortunę. Są jednakże wśród nich i ojcowie rodzin, a farmy tych tak zwanych "squatters" leżą w wielkiej odległości jedna od drugiej, zwykle nad brzegiem rzeki, więc ich żony i córki stracone są dla towarzyskiego życia. Nikt nie osiedla się tam na stałe. Każdy śpieszy, by wyhodować, ostrzyc lub zabić barany i wracać do Europy i żyć jak przystało na dżentelmena. Płeć piękna jest rzadkością na ulicach Sydney, choć Sydney posiada najwięcej kobiet w Australii.

Podczas mego tam pobytu do Port Jackson przybył ładunek kobiet. W australijskiej kolonii surowo wzbroniony jest handel ludźmi, bicie i bluźnierstwa. Wszystkie te nieszczęsne istoty sprzedano w pełnym blasku słońca, na molo, po którym spływała krew, w potokach przekleństw i szturchańców.

Nie dlatego ci to mówię, ojcze, byś poznał australijskie ciekawostki. Helena Brown, moja matka, była jeszcze piękna i zmarła śmiercią męczeńską...

Zamilkł blade, ze spuszczonej oczami. Na czole markiza, pod siwymi włosami, błyszczały kropelki zimnego potu. Jak nazwać uczucie szarpiące jego udręczoną duszę? Syn był już mężczyzną. Przez dwadzieścia lat Helena Brown, połączywszy swą hańbę z jego honorem, tarzała się w zbrodni i podłościach. Dlaczego teraz drżał, jak gdyby chodziło o którąkolwiek z tych szlachetnych kobiet uśmiechających się z portretów, czystych i bez skazy, które nieszczęsne jakieś fatum rzuciłoby w ręce bandy pijanych opryszków?

Helena Brown nie żyła. Śmierć rehabilituje. Czy to jednak wystarczy? Dla natur wyjątkowych – tak. Markiz de Belcamp był takim właśnie człowiekiem, jednym z tych, którzy w miłości umieją poświęcić się i przebaczyć, gdyż taka jest ich natura i innymi być nie potrafią.

– Helena Brown była jeszcze piękna – podjął młody hrabia powoli – bardzo piękna. Przybywałem na poszukiwanie matki i aby ocalić honor twego nazwiska nazywałem się w Australii Henryk Brown.

Już w godzinę po wylądowaniu poznałem pierwszy rozdział tej żalostnej historii. Szeryf hrabstwa i dowódca portu spierali się o posiadanie Heleny. Doszło nawet między nimi do pojedynku. Helena, by uniknąć swych prześladowców, udała się pod opiekę sędziego koronnego, następnie prosiła o pomoc komandora Banka przeciw

sędziemu koronnemu. A wszyscy oni, szeryf i dowódca portu, sędzia i komandor, kłębili się wokół niej jak ohydne (potwory wychodzące z morza, by pożreć bezbronną Andromedę- Opowiadano mi to z wybuchami śmiechu. Takie tam obyczaje. Brała mnie chętnie nabić pistolety i przeszukać miasto, zastrzelić te cztery wściekłe psy, ale miałem misję do spełnienia i zamknąłem gniew głęboko w sercu.

Mam prawo bronić matki przeciw całemu światu, jednakże nie przeciw tobie, ojczy. Przed tobą muszę ugiąć się i wyznać ci z jękiem otchłan tej hańby. Lecz choć tak nisko upadła, dźwignęła się na dnie nędzy i niedoli. Ludzie, którzy nie kierują się honorem, przyjmują hańbę jako los im dany; matka mogła kupić dobrobyt, pozostając na ich poziomie, ale wykazała wielkość duszy odrzucając z narażeniem życia ich niecne propozycje. Nazwałem ją męczennicą: Maria Magdalena również pozostawiła strzępki ślubnej sukni na przydrożnych cierniach...

– Nie wygłaszaj mowy obrończej, chłopcze – przerwał markiz zmienionym głosem – sprawa jest z góry wygrana, dawno bowiem przebaczyłem. Gdybym wiedział, że Helena żałuje tego, co się stało, leciałbym jak Orfeusz zstępujący do piekieł na ratunek żony. Odkupiłbym ją moją fortuną lub krwią, przywiódłbym do tego doinu i zmusił te wszystkie portrety, by na nią patrzyły, podwójnie zrehabilitowaną, pokutą i przebaczeniem.

Młody hrabia przyciskał do ust obie ręce ojca.

– Helenę Brown – ciągnął dalej smutną opowieść – po raz pierwszy uderzono w Sydney, gdyż ugięła się pod ciężarem. Próbowano odebrać sobie życie; założono jej kajdanki i przeniesiono do Paramatta, by położyć kres nieprzystojnym kłótniom, jakie obecność jej wzniesła w stolicy. Tam obkoczyła ją nowa sfera szakali. Pewien szlachetny młody człowiek, ojciec rodziny, właściciel farmy nad rzeką Macquarie, powodowany współczuciem, chciał zabrać ją do swego domu, by uchronić od strasznego losu. Stada rozkradli mu czarni, a dom padł pastwą płomieni. Szeryf z Paramatta mianował Helenę gospodynią z tych samych zresztą powodów, które z mężczyzn tego kraju uczyniły dzikie zwierzęta. Oskarżoną o usiłowanie zabójstwa odstawiono ją w końcu z powrozem na szyi na pokład statku przewożącego opornych więźniów na wyspę Norfolk.

Wyspa Norfolk to piekło, nikt tam nie rozmawia z więźniami inaczej niż z nożem w garści lub z nabitym pistoletem w ręku. Są to uwiązane na łańcuchu tygrysy, trzymane na smyczy przez szatanów.

Gdy wylądowałem w Australii, Helena znajdowała się już na wyspie Norfolk. By się o tym dowiedzieć, musiałem przebyć trzysta mil i stracić trzy miesiące cennego czasu. Odsyłano mnie od miasta do miasta, od placówki do placówki i dopiero w Bathurst, w głębi lądu, dowiedziałem się przypadkiem o losie matki.

Norfolk jest wyspą opasaną murem. Wpuszcza się tam jedynie potępieńców i demony. Mimo największych wysiłków nie udało mi się otrzymać zezwolenia na widzenie się z matką. Przekupiłem dwóch czarnych i zwolnionego na przepustkę więźnia. W małej bezludnej zatoczce rzeczki Castlereagh zbudowaliśmy łódź z drzewa olbrzymich mirtowców porastających wzgórze słonego piasku. Młody świerk posłużył za maszt, zszyte maty były żaglami. Pewnej nocy przy pomocy wiosł spłynęliśmy rzeczką Castlereagh i znaleźliśmy się na Oceanie. Dęta zachodnia bryza, w dzień ziemia wyglądała już tylko jak linia mgły, a bezimienne wysepki, rozsiane po morzu, wyrastały przed nami w miarę posuwania się naprzód. Trzeciej nocy załadowaliśmy żywność i wodę w Muhlleton, na połowie drogi do Norfolk.

Szóstego dnia o piątej wieczorem ujrzeliśmy szarzące skały wyspy Norfolk. Perikins, ten właśnie zwolniony więzień, dopłynął do niej wplaw tej samej nocy i zdołał dowiedzieć się, z narażeniem życia, w którym baraku znajdowała się Helena. Gdy wrócił do łodzi, oddaliliśmy się od wybrzeży i spędziliśmy cały dzień poza zasięgiem wzroku. O zachodzie słońca, mimo półnoono-zachodniego wiatru, który znosił nas na pełne morze, skierowaliśmy się ku ziemi i udało nam się przy pomocy wiosł przybić do południowego cypla wyspy. Obóz kamy z małą fortecą i pni drzewnych znajdował

się w odległości trzystu sążni od zatoczki, gdzie zostawiliśmy łódź wyciągniętą na skale, jak na kotwicy.

Zebraliśmy wszystkie nasze siły. Perkins i ja mieliśmy strzelby i parę pistoletów, czarni uzbrojeni byli w angielskie siekierki, by w razie potrzeby rąbać palisadę, i w długie malajskie sztylety. U wejścia do fortu stał na posterunku biały człowiek; dwaj nasi Murzyni jak węże prześliznęli się po piasku i wartownik padł zasztyletowany nie wydawszy jęku. Perkins, znający system ochrony podobnych placówek, miał przy sobie dwie paczki surowego mięsa, czym zwabiliśmy dwa potężne brytany, chude jak wilki. Perkins chwycił je za gardło i przebił im serca.

Teraz należało odnaleźć barak, gdzie zamknięto matkę. Gdy czołgaliśmy się, by przebyć pierwsze podwórze, przy słabym świetle ukrytego za chmurami księżyca dostrzegłem jakiś kształt nieruchomy na środku dziedzińca. Zbliżyłem się zaciekawiony: był to pień gumowego drzewa służący za pręgierz. Na małej platformie zbitej

z desek, kilka stóp nad ziemią, przywiązano do słupa jakąś ludzką istotę. Podsunąłem się bliżej, a żelazna obręcz ścisnęła mi serce, była to bowiem postać kobiety okrytej strzępem odzieży, przywiązanej do hańbiącego słupa. Opasana powrozem, skrępowane ręce miała wykręcone do tyłu, a sznur otaczał jej nogi. Gdy znalazłem się o krok od nieszczęśliwej, tak blisko, że mogłem ją nieledwie dotknąć, moja dłoń opadła jak sparaliżowana, gdyż zanim ujrzałem jej twarz, wiedziałem już, że to matka.

W norfolckim piekle, zarówno jak w czyścicach australijskiego kontynentu, znalazła ona nową sforę półdzikich wielbicieli, rozwścieczone zwierzęta ubrane -w czerń lub szkarłat, szczerzące do siebie kły i wyszczekujące miłość z batem lub sztyletem w ręku. Matkę poddano poprzedniego dnia karze chłosty za "rebelię"! Od wczoraj stała wystawiona na widok publiczny, jak niegdyś wisielcy pozostawieni na feudalnych szubienicach. Sądziłem, że nie żyje, ale spała.

Spała wyczerpana zmęczeniem i bólem. Gdy dotknąłem krwawiących blizn na jej nagich ramionach, drgnęła i chciała bronić się. Od sześciu miesięcy każde przebudzenie było straszną walką. Jednakże sznury trzymały mocno. Zakryłem jej usta, by stłumiła okrzyk i szepnąłem: "Matko, to ja, przyszedłem cię ocalić".

Całe życie będę pamiętał jej szept, któremu towarzyszył rozziewający uśmiech: "Ten sen ciągle mnie prześladowa". Przypuszczalnie widziała we śnie syna śpieszącego na jej ratunek.

W mgnieniu oka uwolniliśmy ją z więzów; Perkins i ja podtrzymaliśmy jej chwiejny krok. Idąc w stronę łodzi, straciliśmy z oczu naszych Murzynów, którzy dogonili nas na wybrzeżu. Wyłynęliśmy szczęśliwie, mając pomyślny wiatr. Oddalaliśmy się szybko, a jeszcze na wyspie nie było alarmu. Matka całowała mi ręce i słyszałem, jak modliła się wśród łez...

Nagle, za naszymi plecami, jak olbrzymia latarnia morska buchnął krwawy płomień. Jedna myśl zaświtała w naszych głowach: to pali się fort. Czarni tylko przez chwilę wymknęli się spod naszego nadzoru i jedna minuta wystarczyła tym wirtuozom w sztuce podpalania. Jeżeli pozostała w nas najmniejsza wątpliwość, rozwiały ją dwa wystrzały armatnie, po których nastąpił straszliwy wybuch: to eksplodowała prochownia. Murzyni leżący na dnie łodzi na dźwięk detonacji skoczyli na równe nogi, przypatrując się swemu dziełu z niemym uśmiechem. Nieszczęście to ściągnęło na nas nieubłaganą pogoń i zalegalizowało wszelkie podjęte przeciw nam kroki.

By zmylić ślad, popłynęliśmy w stronę Nowej Zelandii. Nie mieliśmy kompasu. Perkins sterował kierując się słońcem i moim zegarkiem. Następnego dnia niebo pokryło się chmurami. Ponad sto godzin żeglowaliśmy tak na chybił trafił,

podczas, gdy dokuczał nam głód i pragnienie, a rankiem dziewiątego dnia chciwie wypatrywali! my ziemi na horyzoncie. Perkins sądził, że znajdujemy się niedaleko przylądka Otou, najbardziej wysuniętego na północ cypla Nowej Zelandii. Świt z jednej strony ukazał nam brzegi skalistej wysepki, z drugiej – wojenny szkuner płynący prosto na nas.

Chwyciliśmy za wiosła, gdyż wiała słaba bryza, i udało nam się wkrótce ukryć łódź wśród nadbrzeżnych skał, zanim nas dostrzeżono. Szkuner szczęśliwie oddalił się. W zagłębieniach skalistego gruntu znaleźliśmy trochę deszczowej wody i pod dostatkiem kangurów, by zaspokoić głód. Matka cierpiała z powodu odniesionych ran, jednakże nikt nie usłyszał od niej słowa skargi.

Znajdowaliśmy się prawdopodobnie na jednej z tych sterczących z wody skał, na południe od wyspy Howe, a więc tuż koło wybrzeży Australii, które pragnęliśmy zostawić jak najdalej za sobą. Po dwóch dniach błakania się wiatr zmienił kierunek, wykręcił się na wschód, rzucając nas na najbardziej uczęszczaną część wybrzeża między Port Jackson i Newcastle. Zdołaliśmy jednak przybić do brzegu dwie godziny po zapadnięciu nocy i zagłębiliśmy się w piaszczystą równinę, poprzedzającą pola pokryte karłowatymi drzewami mirtowymi, zwane w języku kolonialnym "busz", zajmujące olbrzymie przestrzenie kilku tysięcy mil kwadratowych. O godzinę drogi od brzegu morskiego busz staje się podobny do plantacji herbaty, a każdy krzak sięga co najmniej trzech stóp wysokości. Zatrzymaliśmy się więc w tym lilipucim lesie.

Obaj Murzyni udali się do Newcastle, a Perkins skierował się do Sydney, by znaleźć jakiś statek handlowy płynący do Europy, który by zgodził się wziąć nas na pokład. Nigdy już nie spotkaliśmy naszych Murzynów. Perkins wrócił konno, prowadząc luzem dwa wierzchowce. Kazał nam wskoczyć na siodła i ruszyliśmy galopem. W najbliższej stacji kupił także busołą, by orientować się w niezmiernych przestrzeniach buszu. Do Port Jackson doszły już wieści z Norfolk, naznaczono ceny na nasze głowy, konna policja przeszukiwała wybrzeże.

Plan Perkinsa, jeśli można nazwać planem tak beznadziejne przedsięwzięcie, przewidywał dotarcie do gór, za którymi znajdowała się rzeka Macquarie; tędy mogliśmy przebić się do wnętrza lądu. Jednakże Perkins miał bardzo niejasne pojęcie o rozległości kontynentu i sądził, że przeszedłszy pustynię znaleźlibyśmy się w Zatoce Van

Diemena. Tej samej nocy przejechaliśmy co najmniej piętnaście mil buszu.

Z nastaniem dnia ujrzelśmy – ja przynajmniej po raz pierwszy – tę straszną scenę opuszczenia i samotności, jaką przedstawia jednolity krajobraz australijskiej ziemi. Zewsząd otaczał nas busz, jak okiem sięgnąć ciągnął się nieruchomy ocean szarawej i wyblakłej zieleni, z kilkoma wysepkami piaszczystych wzgórz. Nic nie zakłócało beznadziejnej monotonii pejzażu. Z daleka wzgórza wydawały się zamarzniętymi falami, na które rzucono jakiś zły czar. Oko szukało mimo woli skamieniałego statku, uzupełnienia żałobnego krajobrazu.

Najmniejszy ruch, żadna szczyrba nie przerywała jednolitej linii horyzontu, żaden czworonóg, płaz ni ptak nie wprowadzał życia w zamarłą pustynię.

Konie były zmęczone. Wraz ze słońcem, którego tarczę jak gdyby osłaniał szary woal, zerwał się poranny wiatr, podnosząc ze słonych piasków nieuchwytny pył. Daliśmy koniom wytchnąć i w spokoju szczypać młode pędy, a sami wyciągnęliśmy się pod krzewem mirtowym, zapadając wkrótce w ciężki sen.

Zasypujący nam oczy piekącym pyłem wiatr miał przynajmniej tę dobrą stronę, że po kilku godzinach zacierał głębokie ślady pozostawione przez konie. Potrzeba węchu psów, specjalnie tresowanych do polowania na włóczędów, jak nazywają tu zbiegłych więźniów, by odnaleźć ślad pod sypkim piaskiem, choć zdarza się, że przy nie sprzyjającym wietrze i psy okazują się bezużyteczne.

Drugiej nocy przejechaliśmy dziesięć mil. Od czterdziestu ośmiu godzin nie mieliśmy w ustach kropli wody, lecz Perkins znał tajemnice tej pustyni. Rankiem wykopał korzenie pewnego gatunku trawiastego krzaka mirtowego, którego pędy, suche jak wrzos, posiadają jego cierpki i ciepły zapach.. Natomiast tkanka grubych, nabrzmiątych sokiem, podobnych do salsefii, gąbczastych korzeni zawiera wodę. W tej niegościnniej ziemi jest to najwyższy wysiłek i dar natury. Gdzie indziej królestwo roślinne szafuje chlebem i winem, tutaj trzeba powiedzieć: Bóg jest wielki, gdyż dziwna roślina, podobnie jak żołądek afrykańskiego dromadera, całymi tygodniami zatrzymuje wodę z ostatniego deszczu, użyczając koniecznej wilgoci spieczonym wargom podróżnych, którzy inaczej umarliby na wściekliznę.

Czwartej nocy pokładły się wyczerpane konie. Perkins dobił mniej chudego i dzięki temu mieliśmy wspaniałą ucztę; dalej poszliśmy pieszko. Szliśmy tak tydzień, gdy wygląd buszu zaczął zmieniać się po-

woli. Wśród zarośli pojawiły się kępki trawy i wyższe krzaki. "Mal-lytoots" – opatrnościowe korzenie dające wodę – stawały się rzadsze i bardziej wyschłe; to tu, to tam pokazały się świerki, a czarna linia na horyzoncie oznajmiała obecność drzew gumowych.

– Zbliżamy się do rzeki – mówił Perkins.

I moja biedna matka nabierała odwagi.

Jednakże bliskość wody niosła ze sobą więcej niebezpieczeństw niż pomocy. Wzdłuż rzek koloniści budują osady, gdyż tylko tam owce znajdują trawę. Wzdłuż rzek rozstawione są posterunki policji konnej wraz z psiarnią i chlewem dla Murzynów.

Pewnego niedzielnego wieczoru, po dziewięciu dniach marszu znaleźliśmy się w miejscu, gdzie busz przypominał świeżo wyrąbany niskopienny las. Były tam drzewa gumowe, najwyższe na świecie, sięgające często dwustu dwudziestu lub dwustu trzydziestu stóp, podczas gdy ich skarlłowaciali ibracia czołgają się na łokieć nad ziemią. W lesie znaleźliśmy grupy sosen i akacji, przypominające trochę bukiety drzewne w angielskich parkach. Poprzez gałęzie ujrzeliśmy dym, a wiatr przyniósł nam zapach bydła. Znajdowaliśmy się blisko farmy.

Poczekaliśmy nocy. Perkins obiecywał, że zdobędzie świeże konie i jedzenie. Wyruszył w godzinę po zachodzie słońca. Posłyszeliśmy w oddali szczekanie psów, następnie wystrzał. Perkins nie wrócił.

Od dwóch dni nie mieliśmy nic w ustach, a wyschłe korzenie nie dawały ani kropli wody. Zdawało mi się, że strzał przeszył własne moje serce. Perkins był naszym oparciem i nadzieją. Nie mogliśmy nawet marzyć o ucieczce. Matka była tak słaba, że iść mogła tylko przy naszej pomocy.

–Zaprowadź mnie pod to wielkie drzewo, Henryku – powiedziała w pewnej chwili.

Posłuchałem i posadziłem ją oparłszy plecami o pień gumowca. Zamknęła oczy.

– Mam nadzieję, że sam potrafisz się uratować... – szepnęła. Po czym, widząc, że zamierzam protestować, dodała łagodnie: – Tak, Henryku, tutaj umrę.

Nigdy nie pomyślałem, że mogła umrzeć... kockałem ją wówczas tak, jak nigdy przedtem...

Zamilkł, zakrywając twarz rękami, które lekko drżały. Markiz padł na najbliższy fotel, a głowa jego pochyliła się na piersi.

– Nie – zawołał nagle Henryk – (mimo że była tak słaba i złamana, myśl o śmierci nie pojawiła się nawet w moim umyśle. Śmierć otaczała nas ze wszystkich stron, a trup Perkinsa musiał gdzieś leżeć

w pobliżu farmy. Głód, pragnienie i gorączka, wycie rozjuszonych psów i gardłowe okrzyki czarnych każdej chwili niosły nam śmierć. Mimo to nigdy nie pomyślałem o tak bliskim końcu, przynajmniej dla matki. Nie wierzyłem, aby to było możliwe, odpychałem od siebie tę myśl jak podszept gorączkowych majaczeń.

Jednakże była to prawda. O świcie na bladej jej twarzy tlił się już tylko słabiutki płomyczek życia. Na zbielejących wargach błąkał się jeszcze dawny uroczy uśmiech.

– Odmów modlitwę, synu – powiedziała nagle i zamknęła oczy. 'Widziałem tylko, jak usta jej poruszają się powoli, jak gdyby po wtarzała za mną każde słowo. Za ledwie mogłem wydobyć głos ze ściśniętego rozpaczą gardła.

– Mój Boże – wyszeptała, gdy skończyłem – nie będę przecież spowiadać się przed synem, nie chcę skalać jego duszy. Spowiadam się Tobie, który powiedziałeś: "Moje miłosierdzie przewyższa ich przewrotność..."

Chwilę milczała skupiona.

Wiał coraz silniejszy wiatr, pędząc tumany piasku. Nasze niedawne ślady były już niewidoczne. Gumowiec, pod którym siedzieliśmy, rósł jak gdyby w maleńkiej dolince, porosłej po brzegach gęstymi krzakami.

Słyszałem szczekanie psów szukających świeżego śladu, chwilami ziemia drżała pod kopytami galopujących koni. Czy Perkinsowi udało się zbiec, czy już nie żył?

– Jest ktoś jeszcze, kogo skrzywdziłam – podjęła matka po długiej chwili milczenia. – Słusznie płaczesz nade mną, Henryku, brak mi bowiem przebaczenia tego, który padł ofiarą mojej złości. Zapłaciłam mu złem za dobre, a jednak przysięgam, nikogo tak nie szanowałam i nie kochałam w życiu jak jego. Obraz męża stał zawsze przed moimi oczami. Ileż razy pragnęłam rzucić mu się do nóg i błagać o przebaczenie! Henryku, mało mam czasu, proszę cię spełnij mą ostatnią wolę, pomóż mi wstać.

Zrobiłem, jak kazała, bojąc się, by nie podnosiła głosu, gdyż echa polowania zbliżały się ku nam, a wycie psów dolatywało wraz z wiatrem.

Wziąłem ją w ramiona i postawiłem pod drzewem. Po chwili osunęła się do moich kolan.

– Hrabio de Belcamp – powiedziała uroczyście, składając ręce – jesteś synem i dziedzicem tego, którego śmiertelnie zraniłam. Jego sprawa jest twoją sprawą, gdyż i ciebie obraziłam w twoim ojcu.

Hrabio Henryku de Belcamp, w imię twojego ojca, proszę cię, przebac mi i pobłogosław!...

Łkanie rozdarło pierś starego markiza.

– Mój ojciec – ciągnął dalej młody człowiek łamiącym się głosem – w twoim imieniu przebaczyłem i pobłogosławiłem...

– Dobrze zrobiłeś, chłopcze – zawołał markiz: – Czemuż mnie tam nie było na twoim miejscu?

Henryk rzucił się w otwarte ramiona pana de Belcamp i kryjąc twarz na ramieniu ojca dokończył cicho:

– Niech cię Bóg wynagrodzi, ojciec, i niech ona to słyszy, gdyż umarła z twoim imieniem na ustach... Umarła na klęczkach, jak przystało pokutującej grzesznicy.

6. Szczęśliwy ojciec

Długo tak stali spleceni uściskiem. Syn czuł na swej piersi uderzenia wiernego i szlachetnego serca. Gdyby można było zobaczyć ich łzy płynące jednym strumieniem, nikomu nie przyszłoby na myśl, że nie były jednakowo szczere.

Dalsza część historii małe już miała znaczenie. Chcąc jednak wszystko wyjaśnić, hrabia Henryk opowiedział, jak właściciel fermi okazał się tym samym człowiekiem, który niegdyś pragnął wziąć matkę do swego domu, jak Helenę Brown pochowano po chrześcijańsku, a szlachetny "squatter" ułatwił mu podróż do Anglii.

r– Widzisz więc, ojciec, w jaki sposób spędziłem te ostatnie lata —■ zakończył.

----- Litościwemu człowiekowi przynoszę żalobę, lecz potomkowi tych z portretów daję rękojmię honoru i uroczystą gwarancję. Ze wszystkich strasznych przejść nazwisko Belcamp wyszło czyste. Nie słyszały go angielskie trybunały, nie

zapisano go w żadnym hańbiącym rejestrze, a tam, daleko, nie wyryto nawet na ubogiej mogile...

– Henryku – powiedział markiz po dłuższej chwili milczenia – wierzę ci, dam tego dowód. Dla mnie, a raczej dla nas obu, gdyż stanowimy jedną rodzinę, odbyłeś tę długą podróż, dla mnie też, przy tej okazji, przybrałeś nazwisko Brown... Powiedz mi, Henryku, czy nigdy przedtem nie używałeś tego nazwiska?

– Nosilem je przed piętnastu laty do czasu, gdy znalazłem się pod twoją opieką, ojcze.

– I nigdy potem?

– Nigdy.

– Chciałbym ci zadać jeszcze jedno pytanie, lecz waham się – powiedział markiz wyraźnie zażenowany.

– Nie wahaj się, ojcze, gdyż ja nie zawaham się w odpowiedzi.

– To pewnie dziwny zbieg okoliczności, ale często słyszałem w Londynie o synu Heleny Brown, choć nigdy nie nazywano go Henrykiem.

– Tom Brown! – zawołał młody hrabia.

– Tak – odparł markiz – Tom Brown.

– Ojcze – powiedział Henryk jasnym i szczerym tonem, który tak dobrze pasował do jego szlachetnej twarzy – w życiu Heleny Brown są dwie różne fazy: okres zbrodni i czas pokuty. W okresie zbrodni uszanowała twoje nazwisko, co dowodzi, że w jej sercu pozostała resztką przyzwoitości. Jednakże nędznicy, którzy przywiedli ją do zguby, nie odczuwali podobnych skrupułów.

Tom Brown był straszakiem przeznaczonym, by trzymać cię nieustannie w karchach, był bronią wymierzoną jedynie przeciw tobie. Nie znam go, może to nawet i prawdziwe nazwisko, gdyż w Londynie jest tyluż Brownów, co kamieni na ulicy. Fałszem natomiast jest przypisywana temu człowiekowi pozycja syna Heleny, zrobiono z niego upiora mojej własnej osobowości. Być może on sam – gdyż choć młody to bandyta, lecz obdarzony jest przedziwną inteligencją – nazwał się "synem lorda" (takie słowa znajdują się w aktach procesu, który śledziłem swego czasu z wielką uwagą), by oszukać sędziów i nastraszyć niższych urzędników policji.

– Tom Brown – powtórzył markiz – wyruszył do Sydney na tym samym statku co jego rzekoma matka.

– Doskonale o tym pamiętam.

– Czy słyszałeś o nim w Australii?

– Często.

– Czy nie zbiegł z więzienia?

– Tak, w sposób niezwykle zręczny i zuchwały.

– Co się z nim stało?

– Jest królem londyńskich łotrzyków. Zabił Konstancję Bartolozzi i zgubił Gregory Temple'a, intendenta policji. Zwał go Janem Diabłem lub Kwakrem.

– Czy nie powinniśmy się obawiać?...

– Nie, gdyż to wszystko kłamstwo. Jedynie Helena znała prawdę. Wszystko skończyło się z jej śmiercią.

– Henryku, mój chłopcze – powiedział markiz po chwili, zmieniając ton – to już twoja sprawa. Jesteś odważny, silny, młody, mówią, żeś uczonej i że znasz świat. Na Boga, jeśli kto cią zaczepi, będziesz się bronić!

Po czym uściskał rękę syna i rozpogodzony spojrzał mu w twarz. – Nie możemy przebywać wiecznie w tak górnych rejonach – rzekł z uśmiechem. – Panie hrabio de Belcamp, powiedzieliśmy i uczyniliśmy to, co obaj powinniśmy byli uczynić i powiedzieć. Wyjdźmy z tego salonu, Henryku, a zobaczysz, że z dala od spojrzeń tych

dumnych rycerzy krzyżowych jestem tylko biednym starym człowiekiem, zbyt słabym, by zachować urazę nawet do własnej niedoli.

Przeszedł przez salon i pierwszy przestąpił próg. Młody hrabia podążający za ojcem spojrzał nieufnie w lustro, gdzie widział odbitą twarz markiza. Zmiana ta wydała mu się zagadkowa. Za progiem pan de Belcamp wsunął rękę pod klapę myśliwskiej kurtki wyjmując znany nam medalion i Henryk zobaczył miniaturę matki. Młody człowiek zawstydził się, tak to wszystko przekraczało jego oczekiwania. Pocałował rękę trzymającą medalion, szepcząc:

– Postaram się podziękować ci nie tylko słowami, mój ojcze.

– Będę cię bardzo kochał, Henryku – podjął markiz. – Nie dziękuj mi, lecz Kochaj mnie także. Gdybyś wiedział, jak potrzebuję serdeczności... A (teraz chodź obejrzyć twoje dobra, chłopcze. Nie jesteśmy już wielkimi panami, o nie!

Był rzeczywiście zawstydzony, że tak mało ma do zaoferowania.

Schodząc ze stopni ganku Henryk zatrzymał się, jak gdyby pierwszy raz uderzony pięknem krajobrazu.

– Tak, tak – mruknął markiz z nieco wymuszonym uśmiechem – oto przyjemność, której nie potrzebujesz sobie odmawiać. Przysłowie mówi: widok nic nie kosztuje. Hola, Piotrze, pani Etienne i reszta! – zawołał kierując się ku oknom kuchni.

Wszyscy ustawili się w ordynku, mężczyźni z czapkami w ręku, kobiety kryjąc ręce w kieszeniach fartucha. Pani Etienne przyrzekła, że pan markiz na pewno wygłosi mowę.

– Drogie dzieci – powiedział markiz – oto wasz pan, hrabia de Belcamp.

– Witajcie, przyjaciele – dodał z miłym uśmiechem Henryk.

I to było wszystko.

Służba wróciła zawiedziona brakiem uroczystej ceremonii.

– Tylu tylko pozostało nam wasali – mówił tymczasem markiz do syna. – Mamy wszystkiego sześciu służących w całym zamku Belcamp!

– Czyż to nie dosyć ojcze? – spytał Henryk.

– Dla mnie wystarczy... ale odkąd przybyły twoje kufry, stałem się wymagający. Twój dziadek był głównodowodzącym armią królewską, a zanim wyjechałem do Londynu, byłem skuzynowany z czterema książęcymi domami... Czy nie chciałbyś służyć królowi, panie hrabio?

– Przedstawię ci moje projekty i zamiary, ojcze, postąpię naturalnie według twego zdania. W Australii można zdobyć olbrzymią fortunę, to kraj wielkich możliwości...

– Handel!... – mruknął markiz marszcząc brwi. – Nie przypominam sobie, by którykolwiek Belcamp zrobił plajtę... Oto moje gospodarstwo.

– W Australii są także gospodarstwa – zauważył młody człowiek łagodnie. – Na tym świecie wszystko jest przedmiotem handlu, a książę de Rohan, największy pan we Francji, raz nawet zbankrutował.

– A to nasza ferma – odpowiedział z uśmiechem stary markiz.

Parkowego muru dotykał piękny folwark, którego starannie uprawione ziemie zstępowały ku rzece.

– Po zapłaceniu podatków — objaśnił markiz – folwark przynosi osiemnaście tysięcy franków dochodu. Poza tym nie posiadamy grosza, a trzeba przecież utrzymać zamek. Sam mur parkowy kosztował mnie w zeszłym roku pięćdziesiąt tysięcy... Masz rację, chłopcze, że pragniesz mojej rady, gdyż nigdy nie znajdziesz lepszego przyjaciela... Nie zważaj więc, gdy mówię z pogardą o handlu... Gdy byłem w twoim wieku, wszystko co tu widzisz, od Oise aż do Isle-Adam, cała ta ziemia była własnością mojej matki. To ja ciebie zrujnowałem nie stając po stronie ludu. Tak jak dziś, należałem do króla, jednakże szpada pękła mi w ręku, gdy wypadło skierować ją

przeciw Francuzom. Matka nazwała mnie babą i miała rację: trzeba stać po jednej lub po drugiej stronie, nie ma żadnych półśrodków między wiernością a buntem. Mało jestem wart i dlatego złamano mnie jak szpadę. Jeśli zechcesz, chłopcze, sprzedam folwark i dam ci pieniądze, byś mógł zdobyć miliony w Australii.

– Jak ci śpieszno, ojcze! – zaśmiał się Henryk.

– Do licha! – odpowiedział z żywością markiz – nie stanę się przez to gorszym szlachcicem! Patrz, Henryku – przerwał nagle wskazując na zakręcie ścieżki uroczy domek ukryty w bukietach

drzew. – Oto, Opactwo, gdzie mieszka kochane dziecko, któremu dziś rano uratowałeś życie.

– Panna Jania! – powiedział Henryk – urocza osóbka.

– Złote serce... a tam dalej, w lewo, stoi chatka mojego drogiego "bandyty", Roberta Surrisy.

– Czy to szlacheckie nazwisko?

– Nie my jedni ukrywamy naszą przeszłość ist szepnął markiz – szlachta jest rzadkością w Miremont... Jednakże stara Magdalena twierdzi, że jej przodkowie byli szlachcicami. To uboga kobieta żyjąca z pracy rąk, która... Zajmuj się handlem, Henryku! – przerwał gwałtownie. – Zajmuj się handlem i nie słuchaj starego szaleńca! Czy wiesz, jak nazywają się moi przyjaciele? Herbet, Besnard, Chau-meron i moi dwaj zastępcy Morin i Potel, gdyż jestem merem tej okolicy: kilka rodzin byłych kupców osiadłych tu na emeryturze. Ładne towarzystwo dla markiza spokrewnionego z książętami, co? Tutejsi poczciwcy lubią mnie i ja ich lubię... Obawiam się, że cię zawiodłem, spodziewałeś się we mnie dziedzica dawnej świetności...

– Przybyłem do ojca – odparł z prostotą Henryk, podczas gdy jego wzrok mimo woli zwracał się w stronę skromnego domku, którego dach błyszczał spoza drzew. – Czy ci Herbet to bogaci ludzie? – spytał wreszcie. •

– Ciotka, pani Touchard, ma jakieś drobne oszczędności, lecz teraz, po śmierci matki, dzieci będą na jej utrzymaniu.

– Czy pani Bartolozzi nic dzieciom nie zostawiła?

Markiz spojrział na syna ze zdumieniem.

– Skąd wiesz?... – zaczął.

– Jadę z Londynu – przerwał Henryk – zresztą rozmawiałem dziś rano z Robertem Surrisy.

– Kochany chłopiec! Matka jego miała bardzo ciężkie życie, żywił dla nich obojga serdeczną życzliwość. Aha, abyś wiedział, tu wszyscy sądzą, że Konstancja Herbet wyszła w Anglii za męż. Robert wraz z Laurent jeździł do Londynu, chcąc rozejrzeć się w interesach zmarłej, jednakże oprócz długów nic nie zostawiła.

– Wszystkie one jednakowe te aktorki – zakonkludował Henryk z zupełną obojętnością.

W pierwszych latach Restauracji, osiemnaście tysięcy franków dochodu z jednego majątku, z przeszło stumorgowym parkiem i stylowym zamkiem w dobrym stanie, nie było fortuną do pogardzenia, jak ją przedstawił markiz de Belcamp. Wielkie majątki ziemskie nie zostały dotąd zwrócone właścicielom, a przemysłowe fortuny jeszcze nie powstały.

Henryk nie podzielał zdania ojca. Na usta cisnęły mu się dziesiątki pytań, lecz nie pozwolił sobie okazać zainteresowania. Pytania nie tyczyły ojcowskiego majątku, hrabia Henryk grał o dużo większą stawkę.

Podczas śniadania, które wówczas zwano obiadem, Henryka przedstawiono młodej smutnej dziewczynie, miss Zuzannie Tempie. Od czasu choroby ojca Zuzanna pozostawała pod opieką markiza. Podziękowała gorąco Henrykowi za uratowanie

życia Jani, jej najdroższej przyjaciółce, jednakże gdy hrabia odpowiedział kilka zdawkowych słów, jakie w danej okoliczności skromny młody człowiek powinien powiedzieć, drgnęła gwałtownie na dźwięk jego głosu. Henryk patrzył na nią z uśmiechem, gdy spuściła oczy i zbladła. Na próżno podczas posiłku usiłowała udawać wesołość. Markiz, szczęśliwy z powrotu syna, pragnął, by wszyscy dzielili jego radość, i niczego nie zauważył.

Po południu szeroko otwartą bramą zaniku zaczęli zjeżdżać się i schodzić sąsiedzi. Na wsi pewne wiadomości rozchodzą się z błyskawiczną wprost szybkością. Cała okolica wiedziała już o powrocie młodego hrabiego i wszyscy pragnęli go zobaczyć.

– Okazali mi wiele serca – markiz ścisnął dłoń syna – towarzystwo nie dla ciebie, Henryku, jednakże bądź dla nich miły, proszę cię...

– Ależ, ojciec – odparł wesoło hrabia – gdybyś nie był tak dobry, sądziłbym, że kpisz ze mnie. Przecież nie wracam z królewskiego dworu, a być może przy twoich kuzynach książętach nędznie bym wyglądał...

– Ty, chłopcze, wśród dwudziestu diuków wyglądałbyś jak król!... Chodź obejrzyć moich przyjaciół, na jarmarku zapłaciłbyś parę groszy, tutaj masz to darmo.

Młody człowiek zbliżając się do okna musiał przejść obok Zuzanny Tempie. Markiz stał zwrócony plecami do pokoju. Henryk wziął rękę Angielki i podniósł do ust.

– Jestem pani przyjacielem, proszę się niczego nie obawiać – powiedział cicho.

– Więc to pan! – szepnęła Zuzanna, której blade policzki pokrył krwisty rumieniec.

j– Prędeż, Henryku – zawołał markiz. Hrabia położył palec na ustach i podszedł do ojca. Markiz wprowadził syna do salonu, gdzie zgromadzili się już goście: pan Morin, zastępca mera z małżonką, państwo Chaumeron z najstarszą córką, pani Celestin wraz z mężem oraz bratem bliźnim męża, z którym się nigdy nie rozstawiała.

– Panie merze – przemówił w imieniu zebranych pan Morin, dla którego tytuł ten usuwał w cień nawet tytuł markiza – pragnęliśmy wraz z żoną złożyć panu najszczerze gratulacje w dniu tak uroczystym, w dniu powrotu pana hrabiego de Belcamp, pańskiego syna.

– Jaki przystojny blondyn! – szepnęła panna Chaumeron do ucha matce.

– Bądź milutka i nie zażywaj tabaki – odpowiedziała ta godna dama. – Wydaje mi się, że mu się podobasz.

Panna Chaumeron należała do tych pełnoletnich panien, które otrzymaną w posagu świeżość młodości niedawno utraciły.

Hrabia Henryk Okazał się czarujący. Gdyby ubiegał się o mandat poselski, nie roztoczyłby więcej błyskotliwej werwy i wdzięku. Markiz był wzruszony, widząc, jak syn z miłości ku niemu okazuje uprzejmość tak skromnemu towarzystwu.

Śliczna panna Żermena, córka pana Potela, raz tylko spojrzała na hrabiego, po czym spuściła oczy, a żywy rumieniec zabarwił jej policzki. Pochyliła się do siedzącej obok Zuzanny szepcząc:

– Jakże Jania musiała się przestraszyć, znalazłszy się w jego ramionach.

Właśnie rozmowa zesłała na Janię i jej brata. Rodzeństwo wzbudzało dziś podwójne zaciekawienie. Każdy miał coś do powiedzenia na ich temat. Pani Morin wyzbyła się nieśmiałości, by szepnąć, że wkrótce zostaną bez dachu nad głową ni chleba. Pani Celestin dodała, że ciotka Touchard miała zamiar wyrzucić ich z domu.

S Wiem coś o tym – odrzekł papa Chaumeron. – Cofnięto pensję, którą nie wiadomo skąd otrzymywali, a wdowa Touchard nie taka hojna. Do licha!

■f^ Zamieszkają u Magdaleny -^podsunęła panna Chaumeron, słodko-kwaśnym tonem. Pan Robert z pewnością nie pozwoli, by zabrakło im czegokolwiek.

Do diaska! – zawołał młody pan Besnard – będzie to mariaż biedy z nędzą. Wiadomo przecież, że stara Surrisy nie ma grosza!

Prowincja potrafi okazać najprzykrzejszą ze wszystkich form litości i poza domem markiza, którego sympatia dla sierot była znana, ogólne politowanie nabrałoby bardziej obraźliwego tonu.

– Jania ma dobrych przyjaciół – powiedziała Żermena, jeszcze ładniejsza w swym oburzeniu.

– Chodźmy ją odwiedzić – zakończył markiz wstając. – Niespokojny jestem i pragnę się dowiedzieć, co słyhać w Opactwie, Hrabia Henryk zbliżył się w milczeniu do Zuzanny, dziwnie nie swojej, ofiarując jej ramię. Dziewczyna drgnęła. Chodź z nami, Żermeno – poprosiła.

Żermena bała się nowego przybysza, choć wydał się jej piękny jak królewicz z bajki, ale była ciekawa, a młode dziewczęta lubią dreszczyk trwogi. Hrabia Henryk, Zuzia i Żermena wysunęli się na czoło towarzystwa, kierując się ku rzece.

Zatrzymano się przy moście, w miejscu gdzie wydarzył się pamiętny wypadek. Hrabia Henryk był na tyle uprzejmy, że szczegółowo opowiedział całe zajście. Mieszkańcy młyna wyszli przed drzwi z czapkami z ręku, by przytaknąć słowom pana hrabiego.

– Ta Jania ma szczęście – zdążyła szepnąć matce panna Chau-meron.

Na moście było miejsce jedynie dla dwóch osób i Żermena cofnęła się, przepuszczając Zuzię i hrabiego. Ujrzała, jak Henryk pochylił się ku towarzysze i powiedział jedno tylko słowo. Gdy znaleźli się za mostem, zauważyła niepokojącą bladość Zuzi.

Wkrótce spostrzeżono Janię, trochę zmienioną przeżyciami tego ranka, lecz uśmiechniętą; wyszła na spotkanie gości oparta na ramieniu brata. Markiz ucałował ją serdecznie. Jeszcze bardziej kochał dziewczynę, odkąd zawdzięczała życie Henrykowi. Wdowa Touchard, ciotka Jani, podziękowała wybawcy, jednakże brakło jej spontanicznej radości, jaką okazali Robert i Laurent w lasu wierzbowym. Pani Touchard oświadczyła sucho:

– Być może, mojej siostrzenicy potrzebna była mała nauczka, na przyszłość będzie ostrożniejsza.

Hrabia Henryk zauważył, jak dziewczyna zmieniła się na twarzy, a jej powieki zadrgały.

– Nawet nie podziękowałaś panu hrabiemu do ciotki.

– To prawda – szepnęła Jania tak cicho, że ledwie posłyszeli ją najbliżej stojący. A jednak nie jestem niewdzięcznicą!

Przyzwyczajonym do francuskiej wylewności słowa te mało mówiły, widać dużo powiedziały jednak bratu, który spojrzał na siostrę ze zdziwieniem i niepokojem.

– Ciężkie na panią spadły obowiązki, droga pani Touchard – powiedziała panna Chaumeron.

Ciotka była kobietą oschłą i sztywną, wzruszyła więc ramionami odpowiadając:

– Długo tak trwać nie może... gdyby nie ten wypadek, już dziś wymówiłabym im dom i powiedziała, co o tym myślę.

Wkrótce całe towarzystwo знаło stanowisko ciotki. Jania i Jej brat byli skazani na wygnanie.

Robert ścisnął dłoń hrabiego Henryka, który kłaniał się Jani, mówiąc:

– Pozwoli mi pani zbadać puls?

– Czy jesteś lekarzem, Henryku? – spytał wesóło markiz. .

– Nie ośmieliłbym się narwać lekarzem, ojciec – odparł tym samym tonem Henryk – lecz doktorem tak, mam bowiem dyplom wydziału medycznego w Tubingen... W wypadku panny Jani – doświadczenie dzikiego człowieka...

To mówiąc ujął ramię dziewczyny, która zbladła poczuwszy dotknięcie jego ręki.

– Ona też się boi! – pomyślała Żermena.

Całe towarzystwo z wielką ciekawością otoczyło ich kołem.

– Czy ufa mi pani? – spytał hrabia z najłagodniejszym uśmiechem.

– Tak – odpowiedziała cichutko.

– W takim razie przepiszę coś, co uspokoi pani podniecenie i usunie ciężar gniotącej piersi.

– To prawda – szepnęła Jania – jak gdyby kamień przytłaczał mi serce.

Henryk wsunął drżącą rączkę w dłoń Roberta, po czym rozkazał, by chorą natychmiast położono do łóżka. W końcu zwrócił się do ciotki:

– To nic groźnego – powiedział z przyciskiem – jeśli pani siostrzenica przez kilka dni będzie miała zupełny spokój.

– Trudno zaręczyć... – odpowiedziała prawie brutalnie wdowa.

– Owszem! – przerwał jej Henryk surowo, zniżając głos. Po

czym spojrzał na nią ostro i dodał: – Mam z panią do pomówienia o interesach.

Młódzież kierowała się powoli ku domowi. Wdowa stała z otwartymi ustami, wpatrując się w Henryka. Wszyscy usłyszeli ostatnie słowa.

– Czy jesteś również adwokatem, panie hrabio? – spytał markiz, którego zdumienie równało się zdziwieniu całego towarzystwa.

Henryk posłał mu promienny uśmiech.

– Magister praw z uniwersytetu w Jenie, mój ojczcie – odpowie dział lekko – a doktor nauk prawnych i Cambridge.

Jednocześnie brał pod ramię panią Touchard odprowadzając ją lgi stronę. Wszyscy byli zaskoczeni podobnym rozwojem wypadków, nikogo jednak nie dopuszczono do sekretu. Jakże kontrastowała ele-

gancka sylwetka młodego człowieka z przysadzistą figurą wdowy! Zastępca mera, lubiący dokładność, spojrzał na zegarek: według jego obliczeń rozmowa hrabiego z ciotką trwała równe półtorej minuty. Gdy pani Touchard wróciła do reszty zebranych, twarz jej była zmieniona: oschły wyraz ustąpił zdumieniu. Natomiast po twarzy hrabiego błąkał się jedynie lekki ironiczny uśmieszek. Skierował się szybko ku domowi, przypuszczalnie, by dopełnić lekarskich obowiązków.

– Proszę wejść – zapraszała do środka wdowa Touchard z dziwną serdecznością.

– Musiałam całkiem stracić głowę, jeśli tyle czasu pozwoliłam państwu zostać na dworze. To wszystko z tego niepokoju. No, dzięki Bogu! Dzieci mojej siostry to cała moja rodzina, tylko ich mam do kochania. Gdy dziś rano ujrzałam, w jakim stanie wróciła ta biedna Jania... Wielkie Boże! Na samą myśl pot mnie oblewa! – Pannie Jani potrzebny tylko spokój i cisza – odparł hrabia Henryk nadchodząc z Zuzią d Żermena. – Pożegnamy się już z panią przedtem jednak, w imieniu osób uprawnionych do czuwania nad pani siostrzeńcami, wieszuję pani i dziękuję, droga pani Touchard.

W całym towarzystwie zawrzało. Co znaczyły te tajemnicze słowa? Nigdy jeszcze podobnej zagadki nie postawiono przed mieszkańcami Miremont! To był istny cud. Ciotkę dotknęła magiczna różdżka, wszyscy byli tego zdania.

– Chłopcze, musisz mnie wtajemniczyć w inne swoje talenty – mówił markiz idąc wolno ku zamkowi – nieprawdaż, Zuziu?

– Pan hrabia de Belcamp potrafi wiele rzeczy! – szepnęła Zuzia usiłując się uśmiechnąć.

– Co, u diabła, powiedziałaś tej wiedźmie, by zmienić ją w jag- niątko? – podjął markiz, żartobliwym tonem pokrywając ciekawość.

– Drogi ojczcie – odparł równie wesoło Henryk z siedmiu lat nieobecności poznałeś dopiero trzy. Winieniem ci resztę i uczynię to po kolei. Zobaczysz, że nie

marnowałem czasu w podróży. Powiedziałem ci już, że jestem ambitny. Gdyby wystarczyło ubrać się w żelazo, machać dobrze lancą i rzucać toporkiem i dzięki temu zdobyć pozycję w życiu, bądź pewien, że wybrałbym najlepszą broń, najlepszą lancę i najlepszy toporek. Dziś inne czasy, toteż musiałem uzbroić się inaczej.

– Henryku – markiz otoczył ramieniem syna, a w jego głosie brzmiała niewymowna czułość – wierzę, że nas przewyższasz. Jestem z tego bardzo dumny, ale i smutno mi. Zniżasz się do naszego poziomu i za to ci dziękuję... Jednakże pewnego dnia sława i fortuna zabiorą cię z tego zakątka, a ja znowu zostanę sam. Jeżeli masz mnie opuścić, lepiej by było, gdybyś nie wracał.

Gdy po kolacji hrabia i Zuzanna udali się już do swoich pokoi, markiz powoli przeszedł do sypialni. Odesłał Piotra, którego obecność przeszkadzała mu w marzeniach. Położył się, ale radość nie dawała mu zasnąć. Gdy wreszcie usnął, ujrzał we śnie śliczną młodą kobietę otoczoną dziećmi, podobnymi jak dwie krople wody do ukochanego Henryka.

7. Noc pełna wydarzeń

Na ogromnym kominku płonęły smolne polana, by wygnać wilgoć, jaka gnieździ się w nie zamieszkanym długo apartamentach. Kratkowany cień ramy okiennej padał na draperie śnieżnobiałych firanek.

Noc była cicha, a jedyne głosy to szum wiatru, wygrywający chromatyczne gamy na gałęziach drzew, oraz warkot młyna, pracującego nawet w godzinach snu.

Hrabia Henryk siedział przed otwartą sekretarą, mając przed sobą portfel, parę pistoletów oraz kilka listów. Światło lampy padało na jego piękną głowę tak młodzieńczą, a mimo to pełną tak wielkiej rozwagi. Delikatną, lecz silną ręką podtrzymywał czoło, podczas gdy palce zagłębiały się w gęstwinie krótkich jasnych pukli. Miał przymknięte oczy, a linia czoła i brwi nad wygięciem powiek była niezwykle czysta w rysunku. Szerokie czoło znamionowało jasność myśli, pod wypukłą czaszką gnieździła się wyjątkowo silna wola i być może adept frenologii odgadłby w okolicy zgrabnych uszu, jak gdyby wyrzeźbionych w białym marmurze, pod jedwabistymi włosami bliźniacze pagórki, gdzie Gall umieścił zapowiedź wojskowego geniuszu i... instynkt mordu.

Nie wszyscy jednak studiują frenologię, nie wszyscy też uczniowie Galla zgadzają się ze sobą. Zwykli śmiertelnicy zamiast doszukiwać się problematycznych wyniosłości zatrzymaliby spojrzenie na tak delikatnym, że prawie kobiecym rysunku skroni, na pełnym gracji, a jednocześnie siły, osadzeniu szyi, szczególnie zaś zachwyciłyby ich usta, pięknie wykrojone, po których snuł się -uśmiech zamyślenia.

– Co dziś zrobił stary Gregory? – szepnął w pewnej chwili. – Jak daleko posunął się naprzód?... A jaki jest bilans mego dzisiejszego dnia, w którym miałem rozegrać decydującą partię? Wygrałem ją czy przegrałem? Mam skreślić czy dopisać punkt?

Wziął kartkę papieru i umoczył pióro.

– Mój biedny mistrz był człowiekiem uczonym i inteligentnym, niestety trafił na inteligentniejszego i bardziej uczonego od siebie... sprawa Thompsona to genialne posunięcie! Gdybym nie napuścił go na ten ślad, stary Gregory gotów byłby, wbrew swoim rozumowaniom, pozostać na właściwym tropie...

Jednym pociągnięciem pióra pionową linią przedzielił kartkę na dwie połowy. Z prawej strony napisał szybko trzy słowa: "Janina, Zuzanna, pani Touchard", z lewej tylko jedno: "Belcamp". Po czym pogрузzył się w zadumie.

"Mnożyć przeszkody, kryjąc się coraz głębiej w niepodobieństwie – myślał – takie prawo ustanowił sam Gregory Tempie. Czy jest ono właściwe? – nie wiem i nie dbam

o to. Podjąłem bitwę i muszę skupić wszystkie siły... Gdybym został pobity i jakiś szaleniec oskarżył mnie: Ty zabiłeś – przeciwstawiłbym temu absurdalnemu oskarżeniu absolutną matematyczną i filozoficzną prawdę moich alibi; gdybym jednakże mimo to przegrał... widywano i takie przykłady... doprawdy, nieraz pytałem siebie, dlaczego w Sewilli byk oczekuje zawsze na arenie ciosu szpady matadora. Miałem chęć, pamiętam, zawołać do byka: – Rozpruj mu brzuch lub uciekaj! – Ja poszedłbym za tą radą i jednym skokiem znalazłbym wolność daleko od skrwawionego piasku".

Dłoń w roztargnieniu gładziła białe czoło.

"Mnożyć przeszkody, kryjąc się coraz głębiej w niepodobieństwie – powtórzył po raz drugi, jak gdyby z tego zdania miało wytrysnąć światło. – Czcza formułka! Czymże jest "niepodobieństwo" w ludzkim języku? Jest absurdem. Cały system starego Temple'a polega na szeregu dowodzeń opartych na absurdzie. Jeśli oskarżą cię, że za wiele mówisz, dowiedz, że jesteś niemową; że ugryzłeś – otwórz usta i pokaż, że nie masz ani jednego zęba; jeśli zbrodnia pozostawi na posadzce swój krwawy ślad, każ się zanieść na miejsce wypadku, by ujrzano, że masz obie nogi drewniane. Jakże skazać niemowę za jedno zbędne słowo, głuchego za podsłuchiwanie, ślepcę za to, że mierzył do celu, wreszcie nieobecnego za czyn wymagający realnej obecności?"

Tak rozumując wpisał w lewej kolumnie, pod nazwiskiem Belcamp dwa inne imiona: Laurent i Janina, w taki sposób, że na kartce powstała następująca figura:

MARKIZ DE BELCAMP

LAURENT

JANINA

JANINA

ZUZANNA

PANI TOUCHARD

"Wygrałem to, co z lewej strony, przegrałem resztą... Wygraną jest ojciec, najtrudniejszy rzut, gdyż okoliczności były przeciwko mnie. Ponadto zdobyłem rzecz bezcenną, czyli poznałem dokładnie dwie ostatnie przeszkody dzielące mnie od celu. Wiedziałem, że Konstancja Bartolozzi miała spadkobierców, szukałem ich i znalazłem! – Palec jego przesunął się po imionach Jani i jej brata.

Wiele wygrałem, ale i przegrałem dużo. Czyż mogłem przewidzieć, że spotkam tutaj Zuzannę Tempie?... To zła karta i wiele trzeba zręczności, by ją wyzyskać... jeśli mi się uda, mocny to będzie atut... Ciekaw jestem, czy przyjdzie? Biedna Zuzia, taka śliczna i szczęśliwa... Gdyby nie spotkała mnie na swej drodze... – tu westchnął i chwilę siedział pogrążony w myślach. – Trudno, Zuzia to broń wymierzona przeciwko mnie... Jeśli nie zdołam jej usunąć, zmiażdżę ją, takie jest prawo!"

– Tej wyjawilem częśćkę sekretu – zamruczał zatrzymując spojrzenie na nazwisku ciotki Touchard. – Rozgłosi, gdy zajdzie potrzeba... Być może, lepiej dla mnie pozostać z dala od sprawy Bartolozzi... Jednakże zgodnie z nauką Gregory Temple'a, a może i Jana Diabła, należy brać za rogi trudności... NIE MOGĘ BYĆ WINNYM, oto zasada. Czyż mam obawiać się własnego sumienia? Tylko winowajca może lękać się nieostrożności. Ale oto i piękna Jania.

Od pewnej już chwili pióro z nadzwyczajną zręcznością kreśliło sylwetkę ślicznej dziewczyny. Żaden mistrz nie powstydziliby się podpisać tego szkicu; ktokolwiek też widział choć raz pannę Herbet, poznałby ją od pierwszego spojrzenia.

– Jania – powiedział miękko – jakież echo budzi to imię w moim sercu! Śmierć jej warta dziewięć milionów; uratowałem ją dwa razy w ciągu jednego dnia. Dlaczego? Czy przez wyrachowanie? Tak... Laurent i Jania to podwójny ekran, który powstrzyma wzrok Gregory Temple'a. Znajduję się na dnie niepodobieństwa, mimo to jeszcze mnożę za sobą przeszkody. A gdyby mnie pokochała? Gdybym miliony te otrzymał

wraz z posagiem? Gdyby głupcy widzieli we mnie bohatera tak dziś banalnego romansu: zrujnowanego arystokratę poślubiającego bogatą parweniuszkę?

Wybuchnął śmiechem i trzema pociągnięciami pióra przekreślił ślózny obrazek.

– W rzeczywistości jest sto razy ładniejsza – szepnął. – Chyba się w niej zakocham, gdyż taka moja wola. Od chwili narodzin robię tylko to, co chciałem. Będzie moim dziełem, dostanie wszystko, o czym mogłaby marzyć na tym świecie, a nawet nie dowie się, że to ja jestem czarodziejem zamieniającym jej nędzę w bogactwo. Kartka papieru spłonęła nad lampą. Hrabia Henryk śmiał się cicho, lecz bez sarkazmu.

– Zostanie hrabiną, czyż to mało? Są jeszcze królestwa do podbicia... Skądkolwiek bym wyszedł, krótszą miałbym drogę do tronu niż droga przebyta z celi w Norfolk do tutejszego zamku! Niech się śmieje, kto chce, mogę się upić bez dżinu; zostanę królem, by ją uczynić królową!

Spalona kartka rozsypała się w popiół, a twarz hrabiego zmieniła wyraz. Wydawało się, że nasłuchuje.

– Zamknęła okno – szepnął – wcale się nie położyła.

Daleki szmer, ledwie uchwytny dla ucha, rozległ się na korytarzu. Zimny uśmiech okraślił wargi hrabiego.

– To jej drzwi... nadchodzi.

Jednocześnie pióro pobiegło chyżo po papierze:

Drogi mistrzu,

Ryszard Thompson przebywa w Paryżu pod fałszywym nazwiskiem. Poza tym nie nowego.

James Davy

Wybrał z portfelu kopertę opatrzoną pieczęcią londyńskiej poczty z zatartym nieco stemplem, co utrudniało odczytanie daty nadania. Było to arcydzieło sztuki. Kartka papieru znalazła się w kopercie, na której napisał:

Wielmożny Gregory Temple, ulica Dauphine, numer 19, w Paryżu

Gdy pióro zatrzymało się na chwilę, hrabia Henryk uchwycił wyraźny szmer na korytarzu. Włożył list do portfela, opuścił abażur lampy i przymknąwszy oczy wyciągnął się w fotelu.

Ktoś leciutko zastukał do drzwi. Hrabia Henryk nawet nie drgnął. Stukanie powtórzyło się kilka razy, po czym drzwi otworzyły się powoli. W progu stała Zuzanna, ubrana jak podczas kolacji. Jasne loki opadały na zapiętą pod szyję skromną angielską suknię. Była tak wzruszona, że nie od razu dostrzegła hrabiego Henryka, choć oczy jej obieżyły pogrążony w półmroku pokój. Gdy wreszcie ujrzała śpiącego w fotelu gospodarza, rumieniec oblał jej blade policzki. Zamknęła za sobą drzwi i zdecydowanie posunęła się w stronę sekretery, następnie podniosła opuszczony abażur, kierując światło lampy na twarz śpiącego. Długo przyglądała się jego rysom.

Twarz młodego człowieka wyrażała głęboki spokój. Dokoła ust błąkał się dobrotliwy uśmiech, dodający tyle wdzięku jego fizjonomii..

Oczy Zuzanny przebiegły przedmioty znajdujące się na biurku. Zadrżała ujrawszy pistolety, po czym wzięła jeden do ręki.

Żaden mięsień nie drgnął na twarzy Henryka; na suchy trzask odsuwanej cyngla powoli otworzył oczy.

– Czy to dla mnie, miss Zuzanno? – spytał spokojnie.

– Nie – odparła spuszczać wzrok.

– Tego się obawiałem. Ma pani szlachetne i dzielne serce. Wiele kobiet, wiele chrześcijanek myślałoby o samobójstwie znalazłszy się w podobnej sytuacji... Nie spałem, miss Zuzanno, i nie pozwoliłbym pani nawet dotknąć broni, gdyby była nabita. Zuzanna odłożyła pistolet.

- Pan mnie oczekiwał? – szepnęła.
- Matka zawsze przyjdzie do tego, kto powie jej o dziecku – odpowiedział cicho. Panna Tempie ukryła twarz w dłoniach.
- Noc była ciemna, ponadto stałem w cieniu kolumny, a w kaplicy paliła się jedna tylko lampa... Jak mnie pani poznała, miss Zuzanno?
- Nie widziałam wówczas pańskiej twarzy, lecz poznałam pana po głosie.
- Mój głos! – uśmiechnął się Henryk. – Racja. Nie skryje mnie żadne przebranie, ale cieszę się, gdyż nie mam nic do ukrywania.
- Czy naprawdę nie ma pan nic do ukrywania, Jamesie Davy? – spytała cicho Zuzanna. – Dwa razy słyszałam pański głos.
- Pani Thompson – odparł młody hrabia bez goryczy czy wyzwania, jedynie z zimną stanowczością. – Byłem dobry dla pani i proszę nigdy nie starać się czynić mi źle!
- Zuzanna, gdy ją tak nazwał, załkała cicho.
- Jesteśmy sami – ciągnął łagodniej Henryk – i nikt nie słyszy pani sekretu. Co zaś do Jamesa Davy, własne doświadczenie uczy panią, że są wypadki, gdy uczciwa kobieta może być zmuszona okrywać swe życie tajemnicą. Tak samo bywa z człowiekiem honoru... Wróciłem do nazwiska mojego ojca i życzę, by pani mogła wkrótce nosić nazwisko męża.
- Biedna Zuzanna padła na fotel powtarzając wśród łez imiona ojca, męża i synka.
- Dlaczego mi pani groziła? – spytał hrabia biorąc jej zimne rączki i rozgrzewając w dłoniach.
- Czyż mogę grozić? – rzekła z rozpaczą. – W dzień wyjazdu Ryszard powiedział mi: "James Davy zajmie się dzieckiem...", a w ostatnim liście napisał: "Zobaczysz Jamesa Davy, który opowie ci o dziecku". Mój ojciec często wymawiał to nazwisko, a pewnego ranka, w jego sypialni, wydało mi się, że słyszę głos nieznanego, który był świadkiem mego ślubu... Przestraszyłam się, gdyż wówczas ojciec był już wrogiem Ryszarda. W zamku markiza de Belcamp poznałam syna pana domu, młodego hrabiego, i wcale nie przyszło mi na myśl, że może to być James Davy, urzędnik policji; dopiero jak usłyszałam pański głos... Przyszłam więc tu w nocy, ja, kobieta i Angielka. Nie wątpiłam, że ma mi pan coś do powiedzenia, już dwa razy wymówił pan dziś imię mego męża... Grozi mi niebezpieczeństwo, lecz Ryszard kazał mi ułać Jamesowi Davy, nie hrabiemu de Belcamp; chcę dowiedzieć się prawdy!
- Henryk rozmyślał, słuchając uważnie beładnej opowieści. Zuzanna była córką Gregory Temple'a, a śmiertelny pojedynek zdawał się toczyć między Jamesem Davy a jej ojcem. Zuzanna wiedziała dość, by wprowadzić wroga do zamku Belcamp, głównej kwatery wojennych operacji. Trzeba było ją zniszczyć lub uczynić z niej uległe narzędzie.
- Podziwiam fatalizm prześladowający niektóre egzystencje – powiedział Henryk poważnie – i śpieszę powiadomić panią, by nie przedłużać jej niepokoju, że Ryszard jest jeszcze na wolności, a dziecko powierzone w pewne ręce.
- Moja dziecina! – wyszeptała Zuzia splatając dłonie. – Niech Bogu będą dzięki! – Następnie otarła oczy i zwróciła pytające spojrzenie. – Co jeszcze, panie hrabio? Henryk zerwał się, jak gdyby pragnął ukryć wzruszenie.
- Czy sądzi pani – zapytał nagle – że hrabia de Belcamp przybrał fałszywe nazwisko i podłe przebranie dla frywolnych przyczyn? Gdy to mówił, oczy mu błyszczały. Zuzia przyglądała mu się z otwartymi ustami.
- Nie pomyślałam o tym – wyjąkała po chwili, przestraszona.
- I mało to panią obchodzi, prawda? – ciągnął Henryk z uśmiechem pełnym pobłażania. – Miłość i cierpienie nic innego dokoła siebie nie widzą. Pani kocha i cierpi, więc ma pani podwójne prawo do egoizmu. Są jednak inne jeszcze sprawy,

często wyższej natury. Tajemnica nie należy do mnie, mogę tylko pani zdradzić, że pewnego dnia przejdzie do historii narodów.

– Ależ nie proszę pana o wyjawienie mi swych tajemnic!

– Byłoby lepiej dla pani, gdyby nawet drobna ich cząstka nie doszła do pani uszu – przerwał hrabia Henryk poważnie. – Pogrążona we własnych troskach, nie dostrzega pani, jak wielkie nadzieje budzą się pod zewnętrzną apatią spętanych narodów... Obojętne, czy jestem żołnierzem czy wodzem tej wielkiej armii, poświęciłem jej całe moje życie, wszystkie siły i serce, i to pani musi wiedzieć. Gdyby ojciec mój stanął mi na drodze, odsunąłbym go, gdyby to była kochana przeze mnie kobieta, złamałbym ją, gdyby to był mój własny cień, zniszczyłbym człowieka, by zniweczyć cień!

Zuzanna nie rozumiała dobrze jego słów, lecz ogarnęło ją śmiertelne przerażenie.

– Za czyny moje odpowiem przed Bogiem – ciągnął Henryk. – Hrabia de Belcamp nie potrzebuje rumienić się za postępkę Jamesa Davy. Policja nie tylko walczy z przestępcami i jeśli oszukiwałem pani ojca, nie czyniłem tego, by wykryć występki...

– Pan oszukiwał ojca! – powtórzyła Zuzanna.

– Tak, gdyż byłem pod rozkazami pana Temple'a, który tropił Ryszarda Thompsona, a Ryszard Thompson znalazł schronienie w moim domu. Czyż to nie zdrada? Oszukiwałem go w inny jeszcze sposób. Byłem w Londynie szpiegiem Wielkiej Armii, której gotowe do boju bataliony czekają tylko odpowiedniej godziny, by zwyciężyć lub zginąć.

– Dlaczego pan mi to mówi? – spytała cicho.

Mówię to, by zamknąć pani usta okrutną pieczęcią – odpowiedział powoli – by wskazać pani konieczność zmuszającą mnie do tego. Pani jedna wie, że hrabia de Belcamp nazywał się w Londynie James Davy!

– I myślał pan, że pana wydam! – zawołała – pana, który ocalił Ryszarda!

– Jest pani córką Gregory Temple'a – Henryk odwrócił od niej oczy ■ – jest pani żoną Ryszarda Thompsona. Wkrótce będą tu się działy tak dziwne rzeczy, że sekret wymknie się pani mimo woli... Wynikłyby stąd nieodwracalne nieszczęścia. Pragnąłem pani powiedzieć, że Ryszard uratowany, a wkrótce ujrzy pani dziecko... Lecz potrzebuję zakładnika i dlatego powiem inaczej: życie Ryszarda zależy ode mnie, a dziecko jest pod moją opieką, więc go pani nie ujrzy.

Zdawało się, że dusza zamarła w biednej Zuzannie. Osunęła się powoli na kolana. Henryk mówił dalej.

— Dopóki będzie pani milczeć, ręczę za nich słowem honoru.

– Ryszard... moje dziecko, mój maleńki... gdzie on?

– We Francji.

– A Ryszard?

– W Paryżu.

– Czego pan ode mnie żąda?

– Absolutnego milczenia.

– Będę milczeć jak grób. Co jeszcze?

– Pomocy.

– W czym?

– We wszystkim.

– Dobrze.

Podniósł ją, ściskając drżące rączki.

– Zuziu – powiedział – szanuję pani ojca, serdecznie lubię Ryszarda, a pani synek jest pierwszym dzieckiem, jakie trzymałem w ramionach. Proszę niczego się nie obawiać, póki będzie pani wierna obietnicy.

Zuzanna uśmiechnęła się przez łzy i zanim Henryk mógł przeszkodzić, pocałowała rękę hrabiego.

– Ta ręka dotknęła mego synka – wyszeptała wśród łez. – Czy długo muszę czekać, nim go zobaczę?

– Jest w Paryżu – odparł Henryk – zanim minie miesiąc, wszystko powinno się wyjaśnić.

– Miesiąc! – szepnęła kierując się ku drzwiom – cały wiek!

Henryk odprowadził ją do wyjścia. W jego wzroku, gdy śledził oddalającą się sylwetkę, był podziw i litość. Gdy znikła na zakręcie korytarza, wrócił do siebie zamykając tym razem drzwi na dwa spusty.

Na skroniach perliły się kropelki potu. Usiadł przy sekretarce i szybko zapisał dwie strony. Złożył papier, kreśląc adres: "Do lady Frances Elphinstone". Następnie spojrzał na zegarek, wskazujący wpół do pierwszej. Otworzył okno i cichutko zagwizdał na psa, spuszczonego na noc dla pilnowania ogrodu; zwierzę nadbiegło ocierając brzuch o wysokie trawy. Rzucił mu kawałek bułki, po czym wkładając kapelusz spojrzał na pistolety.

– Nie jesteśmy w Australii – szepnęła.

W chwilę potem był już na dworze, głaszcząc skaczącego z radości psa. Świecił księżyc. Hrabia obszedł park, po czym znalazł się koło fosy. Obejrzał teren, cofnął się ze dwadzieścia kroków, wziął rozpęd i jednym skokiem przesadził rów. Pies nie miał odwagi pójść jego śladem

Wydostawszy się na ścieżkę prowadzącą do młyna, hrabia puścił się krokiem podobnym do biegu, Minął młyn, przeszedł most i znalazłszy się na drugim brzegu rzeki Oise, zagłębił się w leśną drogę,

1

którą przejechał z rana. Wkrótce znalazł się na wzgórzu, skąd rankiem Robert Surrisy pokazał mu zamek Belcamp. Przystanął i spojrzał za siebie. Wszędzie panowała cisza. W ciemnościach, słaba rozświetlonych blaskiem księżyca, migotały dwa tylko światelka: w jednym z okien zamku oraz w Opactwie. Henryk popatrzył w zamyśleniu w tamtym kierunku, po czym ruszył dalej. Po chwili był na rozstajnych drogach, gdzie rankiem minął szaraban, wiozący roześmiane dziewczęta.

U stóp drogowskazu kuliła się ciemna, nieruchoma postać. Henryk zbliżył się do człowieka, skrzyconego jak gąsienica i pogrążonego w głębokim śnie.

– Hola, Billy – hrabia trącił śpiącego.

Billy rozkręcił się jak sprężyna i zerwał na równe nogi.

– Jestem, milordzie.

Billy miał cztery stopy wzrostu, ale był zbudowany jak lilipuci Herkules. Nosił obcisłe krótkie spodnie i długą kamizelkę londyńskiego grooma, strój wówczas mniej znany we Francji niż dziś, gdy każdy szczęśliwy posiadacz kozy i tacek marzy o angielskim fagasie, który potrafi mruzczyć "Yes, sir" oraz czyścić szkapę angielską modą.

Billy nie był jednak fałszywym groomem, urodzonym na ulicy Saint-Martin lub w Pikardii. Miał krwistoczerwoną twarz oraz długie uszy swojej rasy.

– Spałeś? – spytał hrabia.

– Nie, milordzie.

– Gdzie twój koń?

– Tutaj – i wskazał palcem zarośla.

– Co robi milady?

– Tańczy, milordzie.

Henryk zaczął śmiać się.

– Billy, mój chłopcze – rzekł wyjmując z portfela dwa listy – Ddasz milady to pismo, a ten drugi list wrzucisz do skrzynki na ulicy Dauphine, numer 19. A teraz w drogę i nie trać czasu... Jutro rano, gdy przyjedziecie, każesz stangretowi stanąć w tym miejscu, następnie zawrócisz w prawo, o tu – wskazywał drogę prowadzącą do Miremont.

– Tak, milordzie – odpowiedział Billy.

– Kłaniaj się milady, na koń, Billy!

– Dobrze, milordzie.

W chwilę potem groom galopował w stronę Paryża.

Hrabia Henryk nie wrócił Jednak do zamku, lecz poszedł naprzód drogą ku stolicy.

Szedł tak czas jakiś, po czym zagłębił się w bocz-

ną leśną drogę, ciągnącą się wśród świeżego wyrębu. Od zamku dzieliły go dwie mile drogi. Na dzwonnicy sąsiedniego kościoła wydzwoniło pół do drugiej.

Na prawo od leśnej drogi, wśród pokręconych dębów i wysokich paproci, widniało kilka nędznych brzoź, a wśród nich chata drwala. Trudno ją było dostrzec w ciemności, a ponieważ przylegała do skały, szary kolor drzewa zlewał się z barwą kamienia.

Małe podwórze ciągnęło się przed chatą. Hrabia podniósł patyk i zastukał w zmurszałe deski drzwi. Wewnątrz panowała cisza. Nagle usłyszał płacz rozbudzonego dziecka, a męski głos krzyknął rozgniewany:

– Po-myliłeś się, pijaku!

– Nie pomyliłem się, Piotrze Louchet – odparł hrabia. |– Otwórz, mam z tobą do pomówienia.

– Ho, ho – drwal zmienił ton – a jak się pan nazywa, żebym wiedział, z kim mówię.

– Ryszard Thompson.

– Już otwieram – człowiek wstawał z łóżka i wdziewał drewniane saboty. – Ci Anglicy wszystko robią na opak – mruzczał idąc do drzwi. – Kto widział o takiej godzinie... a rozbudzone dziecko może samo usnie, co?

Na ubitej ziemi zastukały saboty, zaskrzypiała drewniana zasuwka i drzwi obróciły się na zardzewiałych zawiasach.

– Witam pana, panie Ryszardzie – we drzwiach ukazała się dobrodusznia twarz starego drwala z siwiejącą brodą. – Zawsze zapominam pańskie angielskie nazwisko, proszę się nie gniewać... przybył pan w nasze strony tej nocy?

– Zostawiłem powóz na głównej drodze – odparł Henryk – wracam do Paryża... Czy dziecko zdrowe?

Dziecko kwiliło w kołysce, zasypiając.

– Zdrowe. Lepiej by mu było, gdyby żyła moja nieboszczka, ale córka wpada trzy razy dziennie ¿przygotować .posiłek, a ja przepadam za brzdącami!

– Czy nikt nie przychodził?

– Owszem, ten młody człowiek, wie pan... płakał jak dziecko.

– Czy co mówił?

■– O mało nie udusił małego, tak go cało wał. v Czy to wuj? A matka też pewnie nietutejsza?

– Jutro ją zobaczysz, Piotrze – odpowiedział Henryk. – Będzie tu rano i zabierze dziecko.

Zapadła cisza, gdyż dziecko usnęło. Szczera i otwarta twarz drwala spochmurniała.

– No cóż – powiedział wzdychając – człowiek szybko przywiązuje się do takiego maleństwa. Ale cieszę się, że to matka, będzie mu lepiej. A jak się ona nazywa, muszę chyba wiedzieć?

- Lady Frances Elphinstone.
- Lady... Do licha, że też wymyślają takie nazwiska w tej Anglii!
- Czy umiesz czytać, Piotrze? – spytał Henryk.
- Ja nie, ale moja córka umie.
- Czy będzie w domu?
- Będzie, jak jej powiem. Służy na folwarku, niedaleko stąd.
- Zapal świecę i daj kawałek papieru.
- Świecę mogę zapalić, panie Ryszardzie – odparł drwal – ale papieru... gdy idę kupić sera, zabieram ze sobą talerz.

Po czym stary Louchet wyciągnął kawałek kredy i podał gościowi, mówiąc:

- Proszę napisać nazwisko na drzwiach, panie Ryszardzie, córka odczyta, jak przyjdzie, jeśli naturalnie potrafi.

Przy świetle księżyca, na źle spojonych deskach, Henryk wypisał dużymi literami: "Lady Frances Elphinstone", po czym oddał gospodarzowi kredę wraz ze sztuką złota.

- Matka zapłaci więcej – powiedział żegnając się – dobranoc i dziękuję.
- Henryk wolnym krokiem kierował się do głównej drogi. Była prawie czwarta, gdy dochodził do zamku. Zanim przeskoczył rów, zagwizdał na Sułtana, po czym wziął rozpęd i przesadził fosę. Pies polizał mu ręce. W kilka chwil potem światło zgasło w oknie młodego hrabiego, który zapadł w spokojny sen.

8. Piękna Irlandka

Lilipuci Herkules, Billy, był groomem lady Frances Elphinstone, młodej wdowy z najlepszego angielskiego towarzystwa, tak zwanego high life'u, czyli naszej arystokracji. Jest to cytatela, dokąd nie przedostanie się żadna miernota. W tym sanktuarium, przy którym nasze Przedmieście Saint Germain jest szynkiem, spotkać można jedynie niezwykle dystyngowanych lordów, przerafinowane damy, od czasu do czasu bohaterskiego sportsmena, sławnego śpiewaka, adwokata z kieszenią pełną gromów, bajronicznego poetę, nowatora w sztuce wiązania krawatów lub żołądek mogący pomieścić pięćdziesiąt tuzinów ostryg naraz...

Wielki pan należący do tego świata ma co prawda tylko dwie ręce oraz chodzi na dwóch nogach, za to zjada kilka obiadów dziennie, na co uskarża się jego wątroba. Na ulicy tymczasem raczy oddychać tym samym powietrzem, co na przykład jego krawiec. Jednakże nie mogę ręczyć, czy szlachetna Anglia nie wymyśli wkrótce odrębnej jakiejś atmosfery na użytek wyższej klasy. Dla niektórych uprzywilejowanych płuc jest rzeczą upokarzającą oddychać tym samym powietrzem, co reszta publiczności, gdyż w Londynie, proszę nie zapominać, nazwa ta jest obelgą.

A więc lady Frances Elphinstone należała do wysokich sfer angielskich, przynajmniej sama tak twierdziła. Miała służbę, dobrze urządzonego dom i zajmowała w Paryżu luksusowo umeblowany apartament. Jej prowadzenie się było bez zarzutu, przyjmowała mało i we wszystkim podobna była do zwykłej śmiertelniczki.

W dzielnicy, w której mieszkała, niedaleko Tuileries, znają angielską dystynkcję, która czasem wydaje wspaniałe owoce. Istnieje nawet przysłowie: "Nie ma nic piękniejszego jak piękna Angielka".

Lady Frances nie przypominała żadnej ze znanych angielskich dam. Była wysoką brunetką, żywą jak córki wybrzeży Irlandii. Niestety, na szmaragdowej wyspie, gdzie ostatni Gaelowie mówią językiem antycznego Eryunii, nędza, głód, ucisk i pływający z nich występki wyniszczają najwspanialszą rasę ludzką, jaką mogła się poszczycić ziemia.

Lady Frances Elphinstone była takim wspaniałym kwiatem, który rozwinął się na ruinach, kołysząc dumną koronę nad nędzą i przekleństwem.

W rasowej Irlandce nie ma nic angielskiego, a nienawiść dzieląca dwa te tak bardzo różne narody zupełnie jest zrozumiała. Mówią, że Irlandczyk podobny jest do

Francuza, powiedziałbym raczej, że Irlandczyk jest bliższy Francuza, niż Anglika, który – wielka to chwala, a może nieszczęście – jest jedynym w swoim gatunku na całej ziemi. Lady Frances była piękna jak Greczynka, jak Włoszka, jak Francuzka, a dla paryżanina była Angielką jedynie z akcentu i nazwiska.

Akcent jej był prawdziwy, lecz nazwisko fałszywe. Spotkaliśmy ją już dwa razy, w hotelu jako panią hrabinę, a przedtem jako Sarę O'Neil w Scotland Yardzie.

Lady Frances nie miała jeszcze dwudziestu lat. Wspaniałe czarne oczy kryły obietnice, których, być może, serce nie potrafił spetngfe Czar jej uśmiechu miał dziecięcą świeżość. Śmiały profil świadczył

o wielkiej inteligencji i silnej woli: taką musiała być ta natura w zarodku. Lecz dekadencja rasy inaczej wyniszcza niż dekadencja jednostki.

Chwilowo ta urocza lady Frances była dzieckiem opanowanym

i posłusznym. Grała zręcznie narzuconą jej rolę. Kierowała się kaprysem, była wesoła, a Paryż ją zachwycał. Poza tym nie potrzebowała o niczym myśleć, wszystko to robił za nią ktoś inny.

Służba jej składała się ze sztywnej pokojowej, krawcowej, kamerdynera, stangreta i grooma Billy.

Tego dnia, gdy hrabia Henryk powrócił pod rodzinny dach, około piątej po południu lady Frances w prześlicznej toalecie jadła obiad w towarzystwie młodego człowieka o smutnej twarzy. W menu ułożonym .modą francuską nie było herbaty ani lurowatej kawy, ani szynki czy też gotowanych kartofli. Za to od czasu do czasu lady Frances moczyła różowe wargi w szklance szampana.

– Och, Ryszardzie – mówiła do towarzysza – gdyby nie był pan zmuszony wyjechać, poszlibyśmy do opery... jestem ciągle sama... jeszcze nie byłam w operze!...

– Czyż to możliwe? – spytał z uśmiechem młody człowiek.

– Czy ma pan wiadomości od Zuzi? – spytała, gdy pokojówka usługująca do stołu wycofała się z jadalni

– Nic nie wiem – odparł ze smutkiem – dowiedziałem się tylko» że choć Zuzia przybyła tu z ojcem, nigdy jednak nie przestąpiła progu jego mieszkania... Czy zamknął ją w jakim klasztorze?..» Chwilami obawiam się o jej życie.

– Szaleństwo! – wykrzyknęła lady Frances.

– Gdzie więc może być?..- JeśH Gregory Temple odkrył na3zą tajemnicę?...

– Uwielbia córkę i je»t przywoitym człowiekiem.

– Tak... przywoitym człowiekiem... człowiekiem honoru– ^ powtórzył Thompson zaczerwieniwszy się i spuszczaając oczy.

– Skąd przyszło mu do głowy podejrzewać pana?

– Są takie fatalne okoliczności – wyszeptał młody człowiek złamanym głosem. – Od pierwszego kroku pan Tempie natknął się na moją matkę i na mnie-. W sam dzień morderstwa matka miała gwałtowną scenę z Konstancją Bartolozzi... a ja jej groziłem, gdyż nieugięta postawa śpiewaczki doprowadziła mnie do rozpacz. Potem James Davy powiedział mi, że ją zamordowano. W głowie mi się kręciło... A gdy dowiedziałem się, że niczego nie zabrano, tylko oblig podpisany przez Fanny Thompson, poczułem chłód w kościach... Straciłem głowę i zacząłem podejrzewać matkę... zamiast pójść prosto do pana Temple'a, ukryłem się i to mnie zgubiło...

– Gdzie się pan ukrył?

– W domu Jamesa Davy...

– Czy James tak panu poradził?

– James obawiał się o mnie... Widział mój niepokój... Trzy lata byłem sekretarzem pana Temple'a, znam jego metodę i wiem, jaki wpływ ma zbieg okoliczności... Byłem

tak wzburzony, że James zapytał mnie, czy nie jestem winien!... Gdyby pan Tempie wtedy mnie przesłuchiwał, spędziłbym noc w więzieniu Newgate.

– Ale nazajutrz?

– Nazajutrz dowiedziałem się, że pan Tempie przeglądał moje papiery, a jego ludzie byli u mojej matki. Cały Londyn o niczym innym nie mówił. Davy powiedział mi: "Jesteś zgubiony".

– Ach – westchnęła młoda kobieta – więc tak powiedział Davy? A jednak nie jest on pańskim wrogiem, wiem, że...

– Moim wrogiem! – wykrzyknął Thompson.

– Kazał mi zeznawać w Scotland Yardzie, by odwrócić od pana podejrzenia policji. Wtedy skłamałam, gdyż w dzień morderstwa nie było mnie w domu Konstancji Bartolozzi. Gregory Temple to nadzwyczajny człowiek, zawsze odróżni kłamstwo od prawdy.

– Czy James Davy umieścił panią u pani Bartolozzi? – spytał Thompson.

Tak.

– Czy uczynił to, bojąc się, by nie zdradziła tajemnych zebrań, jakie odbywały się w jej domu?

Frances milczała. Po chwili rzekła:

– Wobec takiego człowieka jak Gregory Temple chytrłość jest szaleństwem. Popelniał pan podwójne głupstwo: raz – ukrywając swe małżeństwo z Zuzią, drugi raz – uciekając po morderstwie... – Inne słowa cisnęły się jej na usta, lecz zamilkła i umoczyła wargi w szampanie. Wyglądało, że jakaś siła kazała jej milczeć.

– Są chwile – powiedziała powoli – gdy czuję się bardzo zmęczona wszystkimi tajemnicami... gdybym była mężczyzną jak pan, zerwałabym krępujące mnie więzy i poszłabym w świat!

– Czy to aluzja do Jamesa? – spytał zdumiony Thompson. – Wiemy, że wmieszany jest w wielkie sprawy polityczne...

– Co my wiemy? – szepnęła cichutko milady. Ryszard spojrział na nią z wyrzutem.

– Pewnie – westchnął. – On walczy... stara się... ale to złote sercel -

– Czy widział pan dziecko?

– Tak... po raz ostatni...

Frances spojrziała uważnie na swego rozmówcę. Twarz młodego człowieka znamionowała inteligencję, ale była delikatna i nieśmiała, a nieszczęście wycisnęło już na niej swe piętno.

– Pan jest odważny – powiedziała cicho – bardzo odważny... ale brak panu stanowczości i pewności siebie... Nie mówmy o tym... Czy zaprowadzi mnie pan na bal do Koloseum?

Ryszard spojrział zdumiony, myśląc, że źle słyszy.

– Na bal? Ależ ja jutro wyjeżdżam nie zobaczywszy żony i dziecka... Czy myśli pani, że mógłbym iść na bal?

– Odnajdziemy pańską żonę i synka – powiedziała Frances udając wesołość. – Gdy się jest smutnym, trzeba poszukać rozrywki... Tak bardzo chciałabym zobaczyć ten bal!

– James nieobecny, a pani na bal? – mruknął Ryszard.

– Och – odpowiedziała uśmiechając się smutno. – James nie dba o mnie. – Po czym dodała rezolutnie: – Jeśli pan nie chce, pójdę sama.

Zaczęło się ściemniać i Prudencja, -pokojowa, wniosła zapalony świecznik. Gdy wyszła, Thompson spytał:

– Czy chce pani spotkać się z kimś na balu?

– Mam nadzieję... – odparła młoda kobieta rumieniąc się.

– A więc to schadzka?

- Doprawdy, pan zwariował! – zaśmiała się, tupnęła nóżką i wyciągnęła do sąsiada pustą szklanekę. Po chwili poważniej ąc dodała: – A gdyby to była schadzka? James nie powiedział panu wszystkiego. James to wielka figura.
- Tak przypuszczałem! – zawołał dawny sekretarz Gregory Temple'a.
- Nigdy nie zostanę jego żoną – zakończyła Frances.
- Nie pytam panią o jego prawdziwe nazwisko... – zaczął Ryszard.
- Jestem tylko biedną dziewczyną, choć mam w żyłach krew królewską. Są jednak ludy skazane na zagładę; spadają coraz niżej i dopiero dno przepaści powstrzyma ich upadek. Czy zawiezie mnie pan na bal?
- Gdybym wiedział...
- Dowie się pan tego, co wiem. W ostatnich czasach najwyższa rada Bractwa Oswobodzicieli zbierała się u Konstancji Bartolozzi,

Nie znam ich tajemnic, a nawet przez dłuższy czas myślałam, że chodzi o wyswobodzenie Irlandii spod angielskiego jarzma... ale | jest coś innego... Wiem tylko, że Bartolozzi bała się i miała zamiar opuścić Londyn lub zdradzić... Pewnego dnia, w salonie śpiewaczki, członkowie bractwa liczyli swoją armię. Słuchałam obojętnie, a nawet znudzona, długiej listy nazwisk konspiratorów, gdy nagle jakiś spiskowiec z Francji powiedział: "Robert Surrisy, podporucznik Wielkiej Armii, odważny i silny jak lew..."⁴¹

Twarz jej przybrała wyraz rozmarzenia, już nie opowiadała, wspominała.

- I cóż?
- Serce mi zabiło... to wszystko.
- Jak to, nie rozumiem...
- Wyjechałam sama z Londynu, gdyż James udał się do Francji przede mną. Wsiadając na statek zauważyłam dwóch młodzieńców, jednakowo przystojnych, o szlachetnym wyrazie twarzy: jeden nosił żałobę, na twarzy drugiego malowała się wesołość właściwa Francuzom, która tak mi się podoba, gdyż stanowi zaprzeczenie zimnego i ciężkiego, a zniechęconego Anglika. Spojrzenia nasze spotkały się. Zaśmiałam się. Prudencja gderała, raptem przechyliłam się przez parapet, i oprawny w aksamit karnet, który trzymałam w ręku, wysliznęła mi się z dłoni. Zanim zdałam sobie sprawę z tego, co się stało, ktoś przeskoczył parapet i posłyszeliśmy plusk, a woda wzburzyła się pod ciężarem ciała. W chwilę potem przystojny młodzieniec oddawał mi z uśmiechem mój karnecik.
- Niejedna powieść się tak zaczynała – uśmiechnął się Thompson, jednym haustem wychylając kieliszek.
- Gdy po 'kilku godzinach wyszłam z kabiny i znalazłam się w salonie, grupka młodych ludzi siedziała przy winie. Wśród nich poznałam mojego bohatera. Właśnie wznosił toast: "Panowie – mówił – lubię Anglików, gdyż to wolny naród. Ja również pragnę żyć i umrzeć za wolność. Nie znamy się, ale podróż nas zbliżyła, a być może kiedyś się spotkamy. Jestem Francuzem, byłem żołnierzem za cesarza, obecnie studiuje. Nazwisko moje znaczy uśmiech, gdyż nazywam się Robert Surrisy..." Zapomniałam o wszystkim, w pamięci pozostało mi jedynie nazwisko, oznaczające uśmiech...
- Czy pani znowu go widziała?
- Chciałabym go spotkać. Gdy rozstawali się we Francji, powiedział swym nowym przyjaciółom: "Panowie Anglicy, spotkamy się w Koloseum..."
- Gra słów: po francusku sourire – uśmiech.
- W takim razie jedźmy do Koloseum – zawołał Ryszard wstając. – Czego pragnie kobieta, tego Bóg chce.

Lady Frances podskoczyła z uciechy, zadzwoniła na Prudencję, kazała podać kapelusze, zaprzęgać i uspokoiła się dopiero usiadłszy obok Ryszarda na poduszkach powozu. Prudencja pozostała w domu; Billy stanął u drzwiczek, przypominając, że miał tej nocy wykonać rozkaz pana hrabiego.

- Doskonale, Billy, jedź, gdzie chcesz, szczęśliwej drogi! – zawołała młoda kobieta.
- Czy mam coś powtórzyć panu hrabiemu od milady?
- Przekaż mu pozdrowienia... Ruszaj, Sam!

Gdy konie ruszyły, lady Frances wychyliła śliczną główkę i krzyknęła:

- Billy, powiedz mu, że będę tańczyć!

Zamiast skierować się bezpośrednio na Przedmieście du Roule, gdzie znajdowała się sala Koloseum, powóz potoczył się w stronę dworca dylizansów. Ryszard Thompson wysiadł, by zamówić miejsce na następny dzień do Calais. Według nowego zarządzenia każdy podróżny powinien był podpisać się na liście oraz przedstawić paszport. Ryszard wylegitymował się kartą urlopową z Foreign Office, wystawioną na imię Jamesa Davy, zastępcy komisarza w biurze centralnym, i wpisał to samo nazwisko do rejestru. Wróciwszy do powozu zastał lady Frances bladą i drżącą, na jego pytanie nie chciała nic powiedzieć. Dopiero gdy byli już w drodze, spytała nagle:

- Co zrobiłby panu Gregory Temple, gdyby dowiedział się, że jest pan w Paryżu?
- Gregory Temple wczoraj powrócił do Londynu, tak przynajmniej powiedział mi James – odparł Ryszard.
- W takim razie pomyliłam się.

Gdy podjeżdżali do oświetlonego portalu balowej sali, młoda kobieta wyznała:

– Gdy czekałam na pana, zbudził mnie z zamyślenia lekki szmer, myślałam, że pan wraca... W drzwiczkach powozu ujrzałam twarz starego człowieka. Raz tylko widziałam Gregory Temple'a, wydało mi się jednak, że to on, choć bardzo zmieniony...

– Za kilka godzin będę daleko – odparł Ryszard. – Gdy James coś mówi, należy go słuchać i wierzyć, to dobry prorok... Zalecił mi, co prawda, nie pokazywać się z panią.

– A mnie powiedział coś wręcz przeciwnego – zaczęła Frances z żywością, po czym zbladła i nie dokończyła zdania.

Ryszard poczekał chwilę a widząc, że milczy, -rzekł:

Ufam Jamesowi. Dał mi swoje papiery, a sam wziął moje nazwisko, by czuwać nad moją żoną i dzieckiem... jestem niewinny. Moje życie nie należy już do mnie. Biada temu, kto z żony mojej uczyni wdowę, a z dziecka sierotę.

Powóz zatrzymał się w długim rzędzie pojazdów ustawionych przed podjazdem. W owym czasie Koloseum zastąpiło Tivoli, a jego tor saneczkowy, czyli tak zwane "rosyjskie wzgórza", stanowił jeszcze nowość.

Na dźwięk orkiestry serce podskoczyło w piersi lady Frances. Była wszak prawie dzieckiem! Gdy przestąpiła progi przybytku zabawy, upoiła ją atmosfera panująca w Koloseum. Nawet Ryszard poddał się gorączkowemu nastrojowi zabawy, był bowiem Anglikiem, a w Paryżu nawet Anglicy tracą głowę. W ciągu godziny zapomnieli o całym świecie, o zmartwieniach i niepokoju. Frances w każdym młodym człowieku upatrywała Roberta Surrisy, Ryszard, wodząc wzrokiem po strojnych kobietach, myślał o Zuzi. Frances chciała wszystko obejrzeć, wszystkiego zakosztować. Uniesieni tłumem, który przelewał się jak huczące morze, znaleźli się przed ośmiobocznym ogrodzeniem w centrum parku. Panował tam największy ścisk dokoła wyniosłej budowli dziwnego kształtu, złożonej z dwóch chińskich świątyń różnej wysokości, połączonych odwróconą arkadą, której wierzch imitował dolinę wśród gór. Były to owe słynne "rosyjskie wzgórza", najmodniejsze wówczas szaleństwo! I

niejedna księżna w średnim wieku marzyła skrycie, by zaryzykować zjazd z takiej wysokości!

– Chcę spróbować! – krzyknęła Frances zaczerwieniona dziecinnym wzruszeniem.

Wspięli się na platformę zatłoczoną równie jak oni spragnioną zabawy cizbą paryżan. Ryszardowi udało się zawładnąć dwuosobowymi saneczkami, tak suto ozdobionymi złoceniami, że mogły służyć za palankin dla Wielkiego Mogoła. Frances już podnosiła stopę, by wsiąść do upragnionego wehikułu, gdy postyszała za plecami wyraźnie wymówione nazwisko:

– Sara O'Neil...

Odwróciła się błyskawicznie, jak gdyby wąż ugryzł ją w piętę. Jednakże w otaczającym tłumie ujrzała jedynie nieznane twarze drwiące z jej przestachu, który przypisywano zawrotnej wyżynie i szybkości czekającej ją podróży.

– Jeśli się pani boi, proszę dać miejsce innym – wołano dokoła.

Frances nerwowo ścisnęła ramię towarzysza. Ryszard przeląkł się jej bladości.

– Czy kto panią obraził? – spytał z żywością.

– Nie – odpowiedziała, po czym dodała cicho: – Więc pan nie i słyszał?

– Co takiego?

Zamiast odpowiedzi palec Frances wskazał saneczki zawieszane na szczycie wyższej góry. Okrzyk zamarł w piersi Ryszarda:

– Zuzia! – zawołał mimo woli.

– Robert – szepnęła Frances.

W saneczkach siedziała młoda dziewczyna z chłopcem, którzy w tej samej chwili znikli w szalonym pędzie.

– Jedźmy za nimi! – zawołała Frances.

Ryszard popchnął ją do następnych saneczek, porwała ich siłą pędu. Trwało to chwilę i już zatrzymali się łagodnie na niższej platformie. Ryszard wyskoczył pierwszy i nie czekając rzucił się do wyjścia. Jednalkże panował tu wielki tłok, jak wszędzie. Udało mu się tylko zobaczyć na dole niebieski kapelusz kobiety podobnej do Zuzi. • – Widział go pan? W zielonym fraku ze złotymi guzikami... – zaczęła Frances, gdy wrócił.

– Chodźmy, wiem, jak są ubrani, i znajdziemy ich, choć byśmy mieli przetrząsnąć cały ogród.

Jednakże nie było to łatwe. W Koloseum wielu mężczyzn nosiło zielone fraki, a dużo kobiet miało błękitne kapelusze. Po dwóch godzinach bezowocnych poszukiwań zmęczeni usiedli na ławce między krzewami bzu.

Nagle wyłoniła się z zarośli tak poszukiwana para. Ale nie byli to ci, których pragnęli zobaczyć. Wybuchnęli śmiechem z własnej pomyłki. Ale śmiech zamarł im na wargach, gdyż drobny i chudy starzec o bladej twarzy, z kapeluszem w ręku, usiadł koło nich na ławce. Wyjął chustkę i powoli ocierał czoło. Wszyscy milczeli.

Po chwili starzec przemówił:

– Sara O'Neil...

Następnie uśmiechnął się smutno, pocierając końce palców.

– Czy słyszeliście o Gregory Temple'u, który przechwalał się, że potrafi łapać złodziei? – spytał cicho, a nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnął pochylając siwą głowę: – To wielka tajemnica... Stary Tempie miał sekretarza... Ryszarda Thompsona... Kochał go jak syna... Ryszarda spotkano w towarzystwie Sary O'Neil... Bóg wszystko widzi, stanie się zadość sprawiedliwości...

Oparł suchą rękę na ramieniu Ryszarda i wstał. Przy tym spojrział dokoła siebie z lękiem. Biło z niego szaleństwo i z całą pewnością można było orzec, że to wariat. Schował chustkę i ostrożnym krokiem skierował się ku krzewom bzu, rozchylając gałęzie. Wkrótce znikł.

– Powiedział prawdę – rzekł wzruszony Ryszard – traktował mnie jak syna, a ja kochałem go, jak gdyby był rzeczywiście moim ojcem.

– Jest szalony i szuka... on wiecznie szuka i umrze tak szukając. Gdy kierując się do wyjścia przechodzili przez ogród, wstawał dzień. Oboje milczeli, zajęci własnymi myślami.

– Ryszardzie – odezwała się nagle Frances – pan jest dobry i nieszczęśliwy, mam dla pana siostrzaną przyjaźń, proszę mi szczerze powiedzieć, co pana łączy z Jamesem Davy?

Dawny sekretarz Gregory Temple'a zatrzymał się zdumiony.

– Czyż nie wie pani, co dla mnie zrobił? Tajemne małżeństwo... pomoc, jaką mi okazał przy narodzinach małego Ryszarda... od niego dowiedziałem się, że policja mnie podejrzewa... dzięki niemu udało mi się uciec... on opiekuje się moim dzieckiem... mam w portfelu jego własną kartę służbową i posługuję się tu jego nazwiskiem... w każdym porcie mają mój rysopis i choć nie jestem do niego podobny, ale wiek, wzrost, kolor włosów i oczu... Za jego pieniądze wracam do Anglii...

– A dlaczego wraca pan do Anglii? – przerwała Frances.

– Gdyż karta Jamesa ważna jest tylko dziesięć dni i w ciągu czterdziestu ośmiu godzin musi być wizowana w Scotland Yardzie.

– Co i pan tam będzie robił?

– Mam matkę.

– Czy nie bezpieczniej byłoby dla pana we Francji?

– James sądzi inaczej... zaczął Ryszard.

– W Londynie ma pan spełnić jakąś misję dla Jamesa... – przerwała Frances i dodała ciszej: – jest pan taki jak ja, także posłuszny... – a po chwili dorzuciła jeszcze ciszej: – i jak ja nie zna pan jego tajemnic.

– Dlaczego pani tak mówi? – spytał surowo Thompson, patrząc na nią badawczo.

– Czy pani mu nie ufa i nie jest jego przyjaciółką?

Lady Eiphinstone otwierała usta do odpowiedzi, ale słowa zamarły jej na wargach, a rumieniec oblał policzki.

– James Davy zrobił dla mnie o wiele więcej niż dla pana – powiedziała wreszcie dziwnym tonem, jak gdyby z rezygnacją – Winnam mu wolność, kto wie, może nawet życie... Zawdzięczam mu wszystko. Będę mu wierna, oddana i posłuszna do końca. Ale nie

będę ukrywać. Czasami lęk mnie ogarnia przed tym wszystkim, czego nie rozumiem... Jedźmy, Ryszardzie, pomyliłam się, pan wie jeszcze mniej niż ja... i zginiemy jako narzędzia i niewolnicy tego człowieka, nie odgadłszy jego sekretu.

Ryszard zbudził stangreta Sama, drzemającego na koźle, i wsadził towarzyszkę do powozu. Nim konie ruszyły, Sam zamachnął biczem uderzając boki i tył powozu, gdzie było zwykle miejsce grooma Billy'ego.

– Widzi pan stangreta tych białych koni? – spytał wskazując powóz toczący się w stronę Pól Elizejskich. – Ładne bestie... jechał za nami i drwił ze mnie, że od stacji dyliżansów przywożłem tu pewną starą małpę. Nie jestem fiakrem – ciągnął oburzony Sam – by wozic hołotę. Ja mu pokażę! Ho, ho – zawołał nagle, wskazując skurczoną sylwetkę starca przemykającego chodnikiem – to on, ta stara małpa! Ciągle tu się kręci... pewnie miał nadzieję odjechać tak samo, jak przybył.

Powóz ruszył. Ryszard i Frances patrzyli na siebie bez słowa. Oboje poznali głównego intendenta londyńskiej policji. Po chwili Thompson szepnął:

– r Szaleńcy są nadzwyczaj chytry...

– A jeżeli nie jest szalony? – spytała Frances. – Zna pan Paryż lepiej ode mnie, proszę podać jakieś miejsce bardzo stąd oddalone.

– Najdalszy punkt to rogatka du Trône – odparł Ryszard. Frances spuściła szybę.

- Rogatka du Trône – powiedziała stangretowi – szybko!
% O takiej porze! – westchnął Sam.
– ^ Prędeży! – powtórzyła stanowczo Frances podnosząc szybę.

9. Memento

Gregory Tempie ||| chudy staruszek, zgięty we dwoje, szedł chwilę zmieszany z tłumem przechodniów, kryjąc się za grupkami roześmianych par, obserwując pilnie powozy, sunące powoli wśród tłoku pojazdów po źle brukowanej ulicy. Ujrzał wyraźnie, jak Frances opuściła szybę, i zatrzymał się, by wysłuchać rozkazu danego stangretowi. Posunął się instynktownie w stronę pojazdu, jednakże w tej samej Memento (tac.) – pamięta].

chwili Sam, niezadowolony z celu podróży, zaciął szerokim łukiem batem po bokach powozu. Starzec zagłębił się w tłum, drepcąc szybko ze zgiętym karkiem i mimo drobnego kroczy, wyprzedził wkrótce wszystkie młode pary, między którymi prześlizgiwał się jak węgorz.

Tymczasem powóz dotarł na przedmieście du Roule i Sam puścił konie klusem. Starzec wyprostował się, a gniew odbił się na jego twarzy: zdobycz się wymykała. Zaczął biec tak zręcznie i szybko, że trudno byłoby posądzić go o taką zwinność. Zdjął kapelusz, krawat i biegł, biegł nie spuszczać oczu z powozu, do placu Madeleine.; Tu nawinął się pusty fiakier, zatrzymał go okrzykiem, otworzył kon- wulsyjnie drzwiczki i padł zupełnie wyczerpany na poduszki siedzenia.

– Powóz! – krzyknął z rozpaczą – dziesięć franków, ludwika, co chcesz, byleś tylko nie stracił z oczu powozu!

Woźnica dzielił nędzne szkapy, ale powóz znajdował się już na wysokości ulicy Caumartin.

Gregory Tempie wpił palce w przybrudzone sukno siedzenia. Jego nerwy były napięte do ostatnich granic, a w oczach paliły się płomienie. Nie spuszczał wzroku z niknącej w oddali kolaski. Bieg wyczerpał go do reszty. Jeszcze kilka kroków, a padłby martwy na bruk ulicy jak mechaniczna zabawka, w której pękła sprężyna.

– A może nie jest wariatem? – powiedziała Frances.

Gregory Tempie miał spojrzenie wariata, był wariatem uchodząc za szaleńca. Przed chwilą udawał idiotę, podczas gdy jego właściwą chorobą była "idée fixe".

Biedne dorożkarskie szkapy, zmordowane całodzienną pracą, nie mogły długo utrzymać takiego tempa. Krok ich stawał się coraz wolniejszy, czasem podrygiwały epileptycznie, potykając się na wy-j boistym bruku, padając, podnosząc się, by znów paść, i tak posuwały się krok za krokiem. Były intendent policji stale widział powóz przed sobą.

Przed niedawno zbudowanym pasażem Panoramy wyboista jezdnia bulwaru nie pozwoliła rączym rumakom lady Frances zachować szybkiego klusa. Przeszły w stępą, a biedne szkapy odetchnęły. Gregory Tempie wytarł złane potem czoło i rozprężył napięte podnieceniem mięśnie. Zażył nawet tabaki z dużej tabakierki, na której wieku z kości słoniowej czerniło się inkrustowane słowo "memento", data "3 lutego 1817 roku" oraz nazwisko "Konstancja Bartolozzi".

Po raz pierwszy odkąd znalazł się we fiakrze, wargi jego poruszyły się:

– Dokąd jadą? – szepnął.

Minęli bramę Montmartre, następnie obie bramy Saint-Denis i Saint-Martin. Dalej bulwar był już właściwie zwykłym gościńcem biegnącym wśród podmiejskich ruder. Powóz potoczył się znowu szybko, konie poszły klusem.

Jedna z dorożkarskich szkap padła u wylotu ulicy Świętego Sebastiana. Stracono wiele czasu, by ją podnieść i mimo razów, jakich nie szczędził woźnica, który za dwadzieścia franków zabiłby dwa tuziny koni, nie udało się posunąć ani kroku

naprzód. Przed placem Royale, drugi koń, widocznie przez solidarność, rozłożył się na bruku. Gregory Temple wyskoczył w kurz ulicy, rzucił woźnicy ludwika i puścił się biegiem. Gdy wpadł zziębnięty na plac Bastylli, powóz zniknął za rogiem Przedmieścia Świętego Antoniego. Ostatkiem sił przebył plac.

– Gdyby James Davy tu był... – szeptał.

Za rogiem nie zobaczył już powozu i bez sił padł na próg jakiegoś domu. Gdy ocierał usta, na chustce pojawiły się plamki krwi. Siedział tak nieruchomy jak posąg, ale nie stracił jeszcze nadziei. Podejrzenie powoli zmieniało się w pewność i wreszcie mógł sobie powiedzieć:

-ir Wróć!

I czekał. Nawet próg, na którym padł, był dobrze wybrany, gdyż widział stąd ulice de la Roquette i de Charanton, a wiedział, że uciekinierzy, jeśli wróć, muszą przejechać jedną z tych ulic. Gregory Temple był tego pewien. I choć zmęczenie paraliżowało jego członki, mózg pracował niestrudzenie. Podejrzenie ciężące na Ryszardzie Thompsonie nabrało siły, gdyż jego związek z Sarą O'Neil rzucał nowe światło na całą sprawę.

Gregory Temple pozostawił Irlandkę na wolności po to, by osiągnąć cel, do którego właśnie doszedł. Wcześniej czy później musiała go skierować na właściwy ślad, jeśli jego wnioski nie były fałszywe. Siedząc i czekając, aż powóz ukaże się w jednej z ulic wychodzących na plac Bastylli, mówił sobie z zadowoleniem:

– Moja gwiazda nie zachodzi!

Jednakże gdy przewidywania spełniły się, nie skoczył na równe nogi, lecz pozostał skulony na progu. Wszystko odbyło się, jak obliczył. Turkot kół oznajmił zbliżanie się pojazdu, który wyłonił się z ulicy de la Roquette i klusem minął intendenta. Gregory Temple, choć pogrążony we śnie, słyszał stukot kopyt końskich na bruku.

Powóz przeleciał placem Bastylli. W okolicy Palais-Royal stanął i Ryszard wysiadł, a lady Frances podała mu rękę mówiąc:

– Szczęśliwej drogi!

_ |Była druga nad ranem, gdy piękna Irlandka wchodziła do pałacyku przy placu Vendôme.

O wiele później Gregory Temple, wsparty na ramieniu wieśniaka; który znalazł go przemarzłego na opustoszałym placu, dotarł do swego mieszkania przy ulicy Dauphine nr 19. Dom był wysoki i wąski, z trzema tylko oknami w fasadzie. Za to długi i ciemny korytarz prowadził w głąb dziedzińca. Podwórze było rodzajem studni, gdzie w drewnianej klitce mieszkał dozorca, nic dziwnego, że w takich warunkach kulawy i głuchy. Usiłował hodować u siebie psy, ale wszystkie pozdychały, natomiast dzieci uparcie trzymały się życia: jednooka córka i syn podskakujący na kulach. Z czterech stron dziedzińca dom strzelał sześcioma piętrami w górę, a podwórze wraz z klatką dozorczy miało dwanaście stóp kwadratowych powierzchni... Spoglądając w niebo z dna tej przepastnej studni można było dostać zawrotu głowy.

Dozorcę nazywano ojcem Fortunatem. Od dziesięciu lat jego żona nie wyszła za próg drewnianej budy, gdzie tyła, dręczona reumatyzmem. Gotowała obiady dla chmary studentów gnieźdzących się na różnych piętrach domu. Jednooka córka, Bijou, zanosila lokatorom jedzenie, a Coquinet, syn kaleka, używany był na posyłki, które załatwiał z nadzwyczajną szybkością. Ojciec Fortunat miał dużo pieniędzy i pożyczał pod zastaw.

Komorne nie było wysokie pod numerem 19, a kuchnia mamy Fortunatowej cieszyła się zasłużonym uznaniem. Rzadko też jakiś pokój stał wolny dłużej niż dobę, a czasem nawet lokatorzy zapisywali się z góry. Ojciec Fortunat brał po dwa franki od czekających w kolejce, by dostać się do upragnionego Edenu.

– Kiedy pozwoli pan sprzątnąć u siebie, panie Tempie? – spytał ojciec Fortunat, gdy lokator mijał łóżę.

– Proszę o listy! – powiedział gwałtownie starzec zamiast odpowiedzi. Dozorca wręczył mu dość sporą paczkę korespondencji.

– Czy nikt nie przychodził?

– Nikt, panie Tempie – odparł ojciec Fortunat. – Odkąd pan u nas mieszka, kulawy pies nie odwiedził pana.

Starzec wszedł na schody. Nim dotarł na trzecie piętro, po drodze obejrzał listy i z pakietu korespondencji wybrał jeden z lekko zatartym znaczkiem pocztowym z Londynu.

– Od Jamesa Davy – mruknął – nie zawiadomił mnie, że Thompson opuścił Anglię.

Po czym otworzył kopertę, a po pierwszych słowach czoło jego wypogodziło się.

– Nareszcie – zawołał – na tego mogę liczyć, on mnie nie zawiedzie.

List zawierał tylko parę słów:

Drogi Mistrzu,

Ryszard Thompson jest w Paryżu pod przybranym nazwiskiem.

Poza tym nic nowego.

James Davy

Były intendent policji włożył klucz w zamek i prawie radośnie otworzył drzwi pokoju. Gdy znalazł się u siebie, zamknął się na klucz. O każdej porze dnia czy nocy drzwi te były zamknięte na dwa spusty, a Bijou, jednooka córka ojca Fortunata, na próżno zaglądała przez dziurkę od klucza. Oprócz lokatora nikt tam nie wchodził, nikt nie przynosił mu posiłków.

Bijou była ciekawa, a jej jedyne oko, choć świdrujące jak szydło, nie potrafiło przeniknąć tajemnicy. Natychmiast po przeprowadzce pan Tempie wezwał stolarza, który przez wiele godzin coś piłował, heblował i przybijał. Lokator przyniósł wiaderko z czarną farbą i pędzlem, jakich używali malarze pokojowi. Od tego czasu minęły trzy tygodnie, a Bijou schła z ciekawości. Zazwyczaj wystarczała jej doba, by poznać sekrety każdego z lokatorów. Nic też dziwnego, że zniechęciła się do pana Temple'a, posądzając go o najstraszliwsze zbrodnie: może był fałszerzem monet lub uprawiał inny nie mniej karygodny proceder?

Pan Tempie był jednak hojnym lokatorem. Co tydzień płacił regularnie komorne i za każdym razem dawał pięć franków "za obsługę". Nikt go zresztą nie obsługiwał. Sam kupował wszystkie potrzebne do życia produkty. I tego nie mogła mu wybaczyć Bijou. Raz zaniósł na górę pocztę, ale Anglik wrzasnął przez zamknięte drzwi, by go zostawiono w spokoju.

Pan Tempie otrzymywał bardzo dużo listów.

Nie ulegało wątpliwości, że Anglik coś ukrywa. Czego jednak strzegł tak zazdrośnie w swoim pokoju? Skarbu czy żyjącej istoty? Przypuszczałnie człowieka, gdyż Bijou, kręcąca się pod drzwiami, nieraz słyszała rozmowę. Czasem zdawało jej się, że rozróżnia dwa głosy.

Pewnego dnia, gdy pokój nad panem Tempie chwilowo stał pusty, Bijou zainstalowała się tam na noc. Około północy obudziła ojca i brata, który wgramolił się na górę na kulach. Słyszano pod spodem ciche stąpanie, tak ciche i lekkie, że mogło być tylko krokiem kobiety lub dziecka.

Obserwacja była tak interesująca, że zawołano i mamę Fortunata. Nie mogła jednakże wyjść z budy, gdyż drzwi dawno już były za wąskie na jej tuszę, i nawet sam Don Juan, porywacz kobiet, nie wyrwałby jej spod małżeńskiego dachu, chyba burząc łóżę.

Cała rodzina do świtu słuchała cichego i miękkiego kroku w pokoju pod sobą.

Zazwyczaj Anglik wychodził o ósmej rano. Był zawsze starannie ubrany: czarny garnitur, jedwabne pończochy i trzewiki z klamrami. Okrywał go obszerny, ciemnobrunatny płaszcz, którego przepastne kieszenie mogły pomieścić wszystko, czego lokator potrzebował do życia.

Pokój Anglika, oznaczony numerem 21, znajdował się na końcu korytarza trzeciego piętra, a każde piętro miało siedem pokoi. Był to obszerny pokój, z białym drewnianym łóżkiem, takimiż trzema krzesłami i empirową sekretarą z nowiutkiego orzecha. Ponadto stała jeszcze mała komódka, a na kominku zegar między dwiema wazami z połączanej porcelany. Ściany pokrywała poźółkła tapeta, zwisająca miejscami wskutek wilgoci.

Za czasów Restauracji takie były mieszkania studentów. Jednakże w tym wieku radość życia jest tak silna, że nie zniszczy jej nawet smutek wiejący ze ścian tych nędznych nor. Młodość żyje tam, śmieje się i kocha. To dom dla dwudziestolatków. Nie czują nędzy ni chłodu, a miłość i nadzieja stroją poddasze w meble godne pałacu.

Jednakże jeśli z tych murów wygnąć młodość, stają się one ponure i straszne. Okropny jest widok starca w celach meblowanych marzeniami i nadzieją, gdyż starość nie ma już ani nadziei, ani marzeń.

Pokój pana Temple'a sprawiał przygnębiające wrażenie; widać było wyraźnie, że to pokój szaleńca. Pośrodku stało łóżko. Na białej powierzchni pleców czarną farbą wypisano datę "3 lutego 1817 roku". Ta sama data widniała na suficie, tuż nad poduszką. Na prawo i na lewo, na wyblakłej tapecie ścian data ta powtarzała się znowu. Na lustrze kominka, na szufladach komody, na czarnej tablicy białą kredą wołały wielkie litery: "3 lutego 1817 roku". Nad nią zaś widniało słowo "memento", a pod spodem "Konstancja Bartolozzi". I wszędzie wypisane były te słowa, data i nazwisko. Był to zaiste pokój maniaka.

Szaleniec ten musiał mieć nie lada tęgą głowę, by znieść napór wiecznie powtarzających się słów, otaczających go jak powietrze, męcząc wzrok ciągle tymi samymi literami, nie pozwalając, by udręczony umysł doznał chwili spoczynku czy zapomnienia.

Gdy pan Tempie przestąpił próg swego pokoju, westchnienie ulgi wydarło się z jego piersi. Siadł ciężko na łóżku, wodząc zadowolonym spojrzeniem po otaczających go przedmiotach. Czy jednak był szaleńcem? Wzrok miał spokojny, czoło wypogodzone, nikły uśmiech przewijał się po wargach. Gregory Tempie rozkoszował się odpoczynkiem po tak długim wysiłku. Przyniesione listy położył na łóżku obok siebie.

Po pięciu minutach wstał, wyjął z szafki chleb, wino i zimne mięso. Postawił jedzenie na blacie kominka i stojąc pożywił się z apetytem. Nalał następnie pół szklanki wina, podniósł do góry, jak gdyby wznosząc tajemniczy toast i wychylił jednym tchem. Po czym wszystko postawił na dawne miejsce i usiadł. Siedział tak bez ruchu, pogrążony w myślach może pół godziny. Ruchliwa twarz odbijała pracę mózgu. Rozmyślał, obliczał. Chwilami uśmiech lub -potrząsanie głową wskazywało zadowolenie z rezultatu dedukcji.

Wstał, by wziąć kredę, i podszedł do wielkiej czarnej tablicy, odwróconej ku oknu. Był to bezsprzecznie najbardziej interesujący mebel w pokoju Anglika. Tablica służyła jako zasłona, gdyby Bijou pragnęła zajrzeć do pokoju dziwnego lokatora z przeciwległej strony dziedzińca.

U samej góry wypisane były: data, nazwisko i znane już słowo "memento". Pod tym tytułem czarna powierzchnia dzieliła się na pięć części, czterema pionowymi liniami narysowanymi kredą.

Pierwsza kolumna nosiła tytuł: "Gregory Tempie".

Druga: "Jej wrogowie".

Trzecia: "Ci, którym przeszkadzała".

Czwarta: "Ci, którzy zyskali na jej śmierci".

Piąta: "Niepodobieństwo".

Drugą, trzecią i czwartą kolumnę połączono falistą linią, wskazującą, że dotyczą Konstancji Bartolozzi. Pierwsza i piąta, odosobnione, zamykały środkowe kolumny. W każdej z nich wpisano kredą pewną ilość uwag, jakieś cyfry. Widać było, że zapiski te, nieraz ścierane i uzupełniane, zmieniały się wraz z postępem myślowego procesu. Obecnie poprzeczna Unia zamykała kolumny mniej więcej na wysokości dwóch trzecich od góry. Pod spodem były trzy rubryki, z których pierwszą zatytułowano "Podsumowanie", a następne inicjałami: R. T. i S. O.

Gdyby jakimś cudem udało się Bijou przezwyciężyć przeszkody i zapuścić spojrzenie w głąb tajemniczego pokoju, jej ciekawość doznałaby gorzkiego rozczarowania. Pokiwała hieroglifami tablica stanowiła zagadkę bardziej zawiłą niż zachowanie się Anglika. Narzucała myśl o zbrodni. Nazwisko "Konstancja Bartolozzi" pod słowem "memento" wraz z datą mogło być tylko nazwiskiem ofiary; istniały więc dwie możliwości: Anglik był mordercą lub mścicielem.

Zapisy uszeregowane w pięciu kolumnach tablicy wprowadzały w czyn pierwszy rozdział "Sztuki wykrywania winnych" oraz streszczały główną zasadę metody Gregory Temple'a. Teorię niepodobieństwa reprezentowała w całości jedna tylko kolumna, gdyż w przekonaniu, że skierowano przeciw niemu własną jego broń, mało spodziewał się po tej możliwości, tak zazwyczaj potężnej, która tyle razy doprowadziła go do zwycięstwa.

Piąta więc kolumna, zatytułowana "Niepodobieństwo", była pusta. Kolumna "Gregory Temple" dzieliła się na trzy sekcje: 1. "Niewdzięcznicy", 2. "Wrogowie i zazdrośnicy" i 3. "Spadkobiercy". Był to system zastosowany wobec Konstancji Bartolozzi. W rubryce "Niewdzięcznicy" można było przeczytać: "R. T. od dziecka mój dłużnik, sekretarz, uczeń – zwykła historia żmii wyhodowanej na łonie".

W rubryce "Wrogowie i zazdrośnicy" widniało: "R. T. zbyt wiele mi zawdzięcza, przygnieciony moją wyższością, jego duma cierpiała z powodu podrzędnego stanowiska, mierna inteligencja, nie rozumiał swego mistrza i drwił z tego, czego nie rozumiał".

"Spadkobiercy" przedstawiali się następująco: "R. T. miał nadzieję zająć stanowisko głównego intendenta po mojej śmierci, stał się ambitny, by dorównać kobiecie, którą kocha, chwalił się, że będzie moim następcą".

Na dole, pod wyżej wymienionymi notatkami, napisano: "Zbrodnia była wyzwaniem rzuconym mojej nieomyślności, atakiem na moją sławę, środkiem, by mnie zniszczyć; dowody: rozgłos nadany powiedzeniu najwyższego sędziego "główny intendent policji starzeje się" oraz broszura zatytułowana "Życie i przygody Jana Diabła, zwanego Kwakrem", wydanej w osiemdziesięciu tysiącach egzemplarzy, pamflet całkowicie skierowany przeciwko mnie".

Jeszcze niżej podpisano: "R. T. niezdolny do wydania podobnej broszury, brak mu odpowiedniego talentu do jej zredagowania".

Trzy środkowe kolumny, objęte wspólnym nagłówkiem:

"Memento – 3 lutego 1817. – Konstancja Bartolozzi", w pierwszym podtytule miały: "Jej wrogowie", gdzie widniały następujące słowa: "Fanny T., matka R. T., śpiewaczka, równie jak nieboszczka w Teatrze Księżniczki, mierny talent, odsunięta na drugi plan z roli primadonny, pełna smutku i urazy, ogromne wydatki, wielkie potrzeby, trwoni większą część zarobku R. T., – długi (Fanny T. winna była ponad tysiąc funtów Konstancji). Dochodzenie w teatrze: Fanny T. intrygowała przeciw rywalce..."

2 "Ci, którym przeszkadzała" – przedstawiali się następująco: "Uczynna, choć kobieta interesu, Bartolozzi pobierała procenty od pożyczek udzielanych koleżankom. Fanny T. płaciła jej sześćdziesiąt funtów rocznie. Fanny T. spodziewała się zająć miejsce Konstancji, gdy śpiewaczka opuści teatr. W sprzeczce z Bartolozzi R. T., ślepo kochający matkę, stanął po jej stronie i w marcu 1815 roku obrzucił Konstancję na ulicy obelgami (był pijany). W grudniu 1816 roku pełnomocnik Bartolozzi przyszedł do biura Scotland Yardu po czek na trzydzieści funtów, który R. T. podpisał w imieniu matki".

"Tom Brown, syn Heleny Brown (hrabiny de Belcamp), spadkobierca bardzo bogatych wujów, Robinsona i Turnera, którzy spisali testament na rzecz Bartolozzi. – Fakt wielkiej wagi na korzyść R. T."

To ostatnie zdanie grubo podkreślono. Następowala lista nazwisk wraz z uwagą:

"Bartolozzi przyjmowała u siebie członków Bractwa Oswobodzicieli. Czy była w posiadaniu niebezpiecznych tajemnic? Zwykle pytanie".

3 "Ci, którzy zyskali na jej śmierci": "Chwilowo nikt, morderca niczego nie ukradł. S. O. wzięła należną sobie pensję. Papiery wartościowe posłużyły do spłacenia" długów zmarłej.

1° Pośrednio Fanny T., a co za tym idzie R. T., uwolnieni od rocznych rat, jak również od całego długu, gdyż obliżu w papierach zmarłej nie znaleziono...

2° Ewentualnie Tom Brown (zapisuję to na korzyść R. T., gdyż pragnąłbym widzieć go niewinnym w sprawie, gdzie jego konto jest już tak bardzo obciążone); Tom Brown, choć bardzo młody, jest niezwykle uzdolnionym łajdakiem, zbiegł z Sydney z wyjątkową zuchwałością, wielokrotny zabójca, według wszelkiego prawdopodobieństwa wrócił do Anglii, oficjalnie jeszcze nie zasygnalizowany policji. Przez śmierć Bartolozzi Tom Brown staje się naturalnym spadkobiercą Franaka Turnera i Williama Robinsona.

Uwaga: Dotyczący go paragraf w broszurze Jana Diabła – do rozważenia: przypuszczalnie jest to przynęta, by skierować mnie na fałszywy trop, lub czysta fanfaronada.

3° Jeśli testamenty Robinsona i Turnera nie zostaną unieważnione (co wydaje się mało możliwe), nieślubne dzieci zmarłej, syn i córka, zamieszkujący u wdowy Touchard w Miiremont, departament Sekwany i Oise.

4° Wreszcie Turner i Robinson lub jeden z nich – zwykle przypuszczenie! Niewygodna kochanka, ciążyąca im obietnica małżeństwa, – do zbadania".

To wszystko zajmowało górną część tablicy, gdyż kolumna "Niepodobieństwo" pozostała do tej chwili pusta. W części dolnej znajdowała się rubryka: "R. T. podsumowanie – S. O."

"R. T. – wobec mnie niewdzięczny, wrogi i zazdrosny, spadkobierca, a dla B. wróg z powodu matki. Pierwszy z tych, którym przeszkadzała, jedyny, wraz z matką, który obecnie korzysta ze zbrodni.

Podsumowanie: Ucieczka R. T., niezręczność (jest niezręczny). Wartościowe drobiazgi pozostawione na nocnym stoliku ofiary, niezręczność człowieka, który nie jest z zawodu złodziejem, jest niezręczny i nie jest zawodowym złodziejem.

Ten sam fakt: zręczność Toma Browna, który jest zawodowym złodziejem (bardzo zręcznym).

Skrwawiona chustka, inicjały R. T., list podpisany tymi samymi inicjałami: sposób prymitywny, który jednak pasuje do mojej teorii, równie jak stworzenie upiora Jana i Diabła (R. T. umiał moją książkę na pamięć).

Alibi, podróż i wizyta u matki w hrabstwie Surrey, kilka mil za Londynem, dziecinny sposób stworzenia niepodobieństwa, naiwna próba zastosowania mojej teorii, na poziomie R. T.

Uwaga: – Dowiedzione przez świadków, że R. T. i Fanny T. byli u Konstancji Bartolozzi w dniu poprzedzającym morderstwo.

Tajemnicze dziecko wychowywane przez matkę R; T., dowód romansu syna, bodziec do ambicji.

Od dawna wobec mnie zażenowany, nagłe wzruszenia bez powodu, pragnienie, a jednocześnie lęk wynurzeń, zmartwienia i kłopoty, nieobecności, zaniedbanie w pracy..."

Gregory Temple odczytywał powoli jeden paragraf za drugim z niezwykle napiętą uwagą, gdyż te oderwane zdania były dla niego okami jednej ogromnej sieci, w którą wcześniej czy później musiała wpaść zdobycz. Był to szkielet wielotygodniowego wysiłku, tysiąc razy poprawiany, pełen wykreśleń, dopisków i ulepszeń.

– Dziwna rzecz – mruknął nie spuszczać wzroku z magicznej tablicy. – Działo się to mniej więcej w czasie, gdy James Davy wstąpił do Scotland Yardu. I Zuzia zmieniła się w tym okresie... Biedne dziecko, tak dawniej wesoła!... Dziewczęta ulegają co prawda

takim przemianom, gdy z dziecka wyrastają na kobietę. Biedna moja Zuzia, cała moja radość i szczęście...

Krótko trwały zamyślenie, atmosfera tego pokoju nie pozwalała się roztkliwiać.

– Do dzieła – szepnął budząc się z marzeń. – Gdy dojdiesz do celu, będziesz mógł znowu być ojcem.

Ostatni paragraf, zatytułowany "Podsumowanie", brzmiał następująco:

"Brak dowodów, zgodnie z systemem, którego sam z trudem nauczyłem R. T.; stanowisko lorda (najwyższego sędziego, objawiające się nawet w zuchwałości tego powiedzenia: «Gregory Tempie starzeje się!» Zabójstwo z zastosowaniem sztuki chirurgicznej, gdyż pęknięcie naczynia, powód śmierci, nie zostawiło na zewnątrz żadnych śladów. R. T. był pomocnikiem chirurga na pokładzie państwowego brygu «Neptun»".

Palec starca posuwał się po tym wierszu, a zmarszczone czoło wskazywało myślowy wysiłek.

W rubryce S. O. były następujące słowa: "Nic nie widziała, kłamliwe zeznanie, działa pod naciskiem nieznanego rozkazodawcy, służy za przynętę. Gdybym kiedykolwiek zdobył pewność, że R. T. i S. O. znają się, mam rozwiązanie zagadki i sprawa Bartolozzi jest jeszcze jednym laurem do mojej sławy".

Podczas gdy Gregory Tempie odczytywał te słowa, triumfalny uśmiech wykwiłał na jego wargach, oczy błyszczały, a bladość ustępowała pod rumieńcem.

– Tak, to prawda, to święta prawda – mówił prostując zgiętą postać. – Nie, milordzie, moja gwiazda nie zachodzi. Wkrótce dostarczę dowodów Waszej Wielmożności! O nie, Gregory Tempie nie jest szaleńcem, Gregory Tempie jest odkrywcą, równie jak Galileusz czy Newton! Jego Wielmożność raczył nieraz drwić, mówiąc, że moja metoda zmusza jedynie złoczyńców do odbywania studiów w Oksfordzie, a byle łajdak stara się o dyplom doktora filozofii, prawa lub medycyny... Szlachetny z pana idiota, milordzie! Będę miał zaszczyt powiedzieć to panu w oczy, zanim umrę.

Nozdrza miał rozdęte i wyglądał o dziesięć lat młodziej. Wzrokiem wyzywał nieobecnego lorda. Podeszedł do tablicy i w rubryce "R. T. – Podsumowanie – S. O." rozwinął inicjały w pełne nazwiska i odczytał: "Ryszard Thompson, Sara O'Neil, następnie od nazwisk Sary i Ryszarda przeciągnął dwie przekątne, które przecięły się pod kolumną "Podsumowanie", gdzie wielkimi literami w punkcie styczonym napisał:

"Klucz zagadki: oboje spotkali w Paryżu, w Koloseum, 8 maja 1817 roku".

Następnie rzucił kredę i skrzyżował ręce na piersi. Entuzjazm opromieniał mu twarz. Wkrótce jednak czoło się zachmurzyło, pofałdowało zmarszczkami, policzki

powlekła bladość. Spojrzenie, jakie rzucał na tablicę, wyrażało wątpliwość. Wątpił: to choroba tych, co wiedzą.

Nie było żadnego powodu, by obudzić podejrzenie, nie zaszło nic nowego, nic nie mąciło przejrzystego toku rozumowania, a jednak to, co jak słońce oślepiło blaskiem niezaprzeczalnej prawdy, zamgliło się powątpiewaniem i niepewnością.

– Tylko tego potrzebowałem! – wykrzyknął z nagłą złością – tego jednego niezbitego dowodu! Cóż mi brakuje, by osiąść pewność? Cóż znaczy to ślepe powątpiewanie wobec przekonania, opartego na logice? Wątpię! Czy dlatego, że darzyłem go ojcowskim przywiązaniem?... Zdawało mi się nawet, że moja biedna Zuzia... Widziałem, jak go lubiła... jakże sobie wyrzucałem nieopatrne słowa: "Moja córka nie poślubi syna aktorki"... To był początek zła... Ale zamiast utwierdzić się w pewności, wątpię! Dlaczego?... Czy brak dowodów materialnych? Nie potrzebuję ich! Nie jestem sędzią: do innych należy uniewinnić lub skazać. Nie mam już dla niego tej serdeczności co dawniej. Na cóż dowody, gdy w łańcuchu wniosków nie brak ani jednego ogniwa? Wątpię... starzeję się widocznie... Moja wiara w siebie słabnie i chyba ma rację najwyższy sędzia, gdyż jeśli wątpię, to znaczy, że gwiazda moja zachodzi!

Odwrócił się plecami do tablicy i podszedł do łóżka. Wiele godzin minęło i słońce stało wysoko, sącząc w wąską gardziel podwórka promyk przenikający do pokoju byłego intendenta. Promień słońca padł na listy leżące na łóżku.

– Jan Diabeł! – mrucał Gregory Tempie ściskając rękami obolałe czoło – to imię mnie prześladowuje. Nie z własnej woli byłem wczoraj na stacji dylizansów. Bilecik pisany nieznaną ręką rozkazał: "Idź na dworzec dylizansów". Kto go napisał? Dlaczego? Czy to pułapka? Ryszard Thompson jeśt niewinny... nic już nie rozumiem! Jan Diabeł! – powtórzył z rozpaczą. – Kto ukrywa się pod tą maską? Czy zginę w moim szaleństwie nie odkrywszy winnego? – Zerwał się, chodząc nerwowo po pokoju. – Jan Diabeł! – zawołał głośno – muszę go mieć! Pójdę do księcia Jerzego, do regenta Anglii, powiem mu... – raptem głos się urwał i krzyk przeszedł w sarkastyczny śmiech. – Starzeję się – powiedział cichutko, padając bez sił na łóżko, aż skrzyknęło na pół spróchniałe drewno. –

Oni wszyscy są przeciwko innie. Szukam Jana Diabła, a to manekin wzniesiony przez nich, by mnie oszukać, gdy moje obliczenia są nieomyłne i wskazały mi już winnego... Ryszard Thompson śmiałyby się, gdyby mnie usłyszał! Ale Jan Diabeł popełnił morderstwo, w takim razie Jan Diabeł nazywa się Ryszard Thompson, a sznur, na którym zawisnie Ryszard, okręci jednocześnie szyję Jana Diabła!

To mówiąc chwycił gorączkowo paczkę listów rozspanych po łóżku i wzrok jego z zadowoleniem napotkał list Jamesa Davy.

– Tego mogę być pewny – szepnął z zadowoleniem. – Wtajemniczę go w moje plany i zobaczymy, czy Jan Diabeł wyplącze się tym razem z matni, jeśli my dwaj zabierzemy się do dzieła!

Następnie siadł przy stole, umoczył pióro w kałamarzu i zaczął pisać: Do Jamesa Davy, zastępcy komisarza w centralnym biurze Scotland Yardu w Londynie. Drogi przyjacielu.«.

Pióro, szybko biegnące po papierze, zatrzymało się, a wzrok piszącego z roztargnieniem padł na kopertę. Może minutę patrzył nie widząc, pogrążony w głębokiej zadumie, po czym nagle powieki zatrzepotały, a uporczywy wzrok nie schodził z pocztowego stempla z Londynu. Minęła jeszcze minuta, Gregory Temple nie uczynił najmniejszego ruchu. Policzki lekko mu się zaróżowiły, odłożył pióro i przymknął oczy. Gdy je znowu otworzył, przyjrzał się z uwagą kopercie i zaczął

studiować stempel. Wyjął z szuflady lupę i znowu patrzył na intrygujący go kwadracik papieru. Nerwowe drżenie rąk wskazywało wzruszenie.

Pod stołem stał kosz, gdzie porządnie ułożone spoczywały listy. Ze stosu korespondencji detektyw wyjął paczkę listów opatrzonych londyńskim stemplem. Dygoczącymi palcami rozwiązał sznurek, aż listy rozsypały się po stole. Na wszystkich data była lekko zatarta czy to ręką listonosza, czy z powodu niewygód dalekiej podróży.

Gregory Temple, uzbrojony w lupę, poddał każdą pieczętkę szczegółowym badaniom. Wszystkie były do siebie podobne i dziwnym zbiegiem okoliczności na żadnej nie widać było wyraźnej daty nadania. Gregory Temple odłożył lupę i siedział nieruchomy, podobny do posągu. Potem wstał, podszedł do tablicy i wziął kredę. Śmiertelna bladość pokryła mu policzki, usta zaciskał nerwowy grymas. Długo się wahał. Po czym w czystej rubryce, zatytułowanej "Niepodobieństwo" drżącą ręką skreślił następujące słowa:

"James Davy, fałszywy stempel pocztowy z Londynu".

Następnie wrócił do stołu i jak gdyby nic nie zaszło, dokończył list do Jamesa Davy. Jednocześnie napisał drugi list, zaadresowany do pana Roberta Surrisy z Miremont, koło Isle-Adam, w departamencie Sekwany i Oise.

10. Dwa białe listy

– Gdyby milady położyła się wcześniej [jjj]- mówiła następnego dnia Prudencja szcztokując piękne lśniące włosy młodej pani – miałyby przyjemniejsze przebudzenie. Rzeczywiście, podkrążone oczy lady Elphinstone świadczyły o niewyspaniu. Lady Frances wypoczywała tylko kilka godzin, gdyż Prudencja zbudziła ją z pierwszego snu, by wręczyć list przywieziony przez Billy'ego, który wierny otrzymanym rozkazom wsunął już do skrzynki domu nr 19 przy ulicy Dauphine pismo przeznaczone dla Gregory Temple'a.

O ile list pisany do byłego intendenta londyńskiej policji był krótki i lakoniczny, o tyle pismo do lady Frances, opatrzone mnóstwem uwag, zajmowało kilka arkusików. Nie był to właściwie list, lecz dyplomatyczna instrukcja, a raczej rola teatralna, której najdrobniejsze szczegóły zostały z góry obmyślane. Frances odczytała list ziewając, z wielką jednak uwagą, gdyż we wszystkim ślepo była posłuszna hrabiemu Henrykowi de Belcamp.

Czasem miłość potrafi oddać się i w taką nieWolę!

W sypialni panował nieład, pakowano kufry do nagłego wyjazdu.

– Czy lubiłabyś zajmować się dzieckiem? – Frances zwróciła się nagle do pokojowej.

Pobudzona ciekawość sparaliżowała zręczne palce Prudencji, która nie wierząc uszom, spytała:

– Dzieckiem?... Jakim dzieckiem?

– Moim synem odpowiedziała Frances -r- wielce szanownym Edwardem, wicehrabią Elphinstone.

Prudencja, otwarłszy usta, stała z grzebieniem w ręku, niezdolna wydusić słowa.

– Nigdy o tym nie słyszałam — wyjąkała wreszcie.

– Trzeba było zaznaczyć przy umowie — odparła Frances z uśmiechem — że oprócz pięćdziesięciu gwinei rocznej pensji pragniesz poznać moje dzieje.

– Będę wiernie służyć synowi milady — powiedziała chłodno Prudencja, zabierając się do czesania. — Przecież milady jest wdową i może mieć syna.

– Korzystam z pozwolenia.

–A gdzie to drogie maleństwo? – spytała po chwili pokojowa jeszcze bardziej lodowatym tonem.

– Zabierzemy je po drodze.

– Ile ma lat?

–Mój mały Edward urodził się tuż przed śmiercią milorda... proszę cię, Prudencjo, śpiesz się, mamy mało czasu.

W pół godziny potem lady Frances Elphinstone z całym domem opuszczała pałacyk przy placu Vendôme. Milady we wspaniałej podróżnej toalecie wraz z Prudencją, ubraną jak zwykle na szaro, wsiadła do powozu, a Lisbeth, jedna ze szwaczek milady, wdrapała się na kozioł przy stangrecie; wszystko działo się na wyraźny rozkaz pani, która dyrygowała jak generał przed bitwą. Billy zajął swoje zwykłe miejsce z tyłu powozu. Druga szwaczka, kamerdyner i kucharz włądowali się na furgon wiozący bagaże.

Usadowiwszy się na poduszkach powozu, lady Frances rozwinęła list Henryka i zagłębiła się w studiowaniu szczegółów. Wysiłki Prudencji, by cośkolwiek odczytać, okazały się bezowocne.

W dwie godziny przebyto drogę i powóz wjechał w las. Sara, zgodnie z rozkazaniem, pytał każdego napotkanego przechodnia o nazwę mijanej wsi. Wreszcie jakiś wieśniak wymówił właściwe słowo i lady Frances kazała jechać stępą, pilnie obserwując zarośla z lewej strony drogi. W pewnej chwili poleciła zatrzymać powóz i wysiadła. Ku wielkiemu niezadowoleniu Prudencji, Lisbeth i Billy mieli towarzyszyć młodej pani. Tak kazał autor listu, gdyż ani Lisbeth, ani Billy nie rozumieli po francusku.

Kilkaset kroków od drogi ścieżka zagłębiała się w świeżo wyrąbany las, po czym znowu prowadziła do zarośniętej części, nie tkniętej siekierą drwała. Teren był skalisty, porosły mchem, a długie kity paproci wiły się wśród białych pni brzoź.

– Tu gdzieś musi znajdować się chata – powiedziała Frances.

Billy wyruszył na poszukiwania i po chwili odkrył ścieżkę wiodącą prosto do domku Piotra Loucheta, drwała. Dach, porosły mchem, ledwie był widoczny na tle zieleń. Drzwi zastał zamknięte. Z daleka dochodził miarowy stuk topora uderzającego w pień drzewny. Na skale, do której przylegała chata, jak gdyby zawieszona nad dom-

kiem, stała brodata koza – ujrawszy przybyszów zaryczała żałośnie. W okienku ukazała się głowa gospodarza.

— Cocotte to jak pies – zamruczał Piotr Louchet otwierając drzwi i wychodząc przed dom na przyjęcie gości... – Sługa szanownej pani. Późno dziś wstałem, bo mały całą noc nie spał. Czy to pani jest mamusią?

– Tak, dobry człowieku – odparła Frances – bardzo się stęskniłam za moim aniołkiem.

– Podobny do pani – mruknął drwał spoglądając z podziwem na młodą kobietę – proszę do chaty. – I grzecznie przepuścił gościa.

Między starą szafą a okienkiem stało łóżko gospodarza: siennik przykryty szarym płótnem i żołnierską derką zamiast kołdry. Dziecko jednak miało miękki materacyk i bielutką pościel w wygodnym koszyku. Chłopczyk był zaróżowiony od snu. Lady Frances pochyliła się i ucałowała maleństwo.

– Wkrótce już będzie mówił — zauważył drwał z dumą – pije kozie mleko, a nie ma nad to nic lepszego dla dzieci.

– Chciałabym go zabrać nie budząc fil powiedziała młoda kobieta.

– Raz go tylko pani ucałowała – rzekł z wyrzutem Piotr Louchet. – Aha, zapomniałem, proszę z łaski swojej powiedzieć, jak się pani nazywa, taki mam rozkaz.

- Lady Frances Elphinstone. Piotr Louchet podrapał się za uchem.
- Coś tak brzmi podobnie – mruknął – jak ich tu wyrozumieć? Córka dziś na służbie... A słyszałem, że piękne panie czasem kradną dzieci. Milady odwróciła się, by przywołać Lisbeth, a drwał raptem plasnął rękami, jak gdyby znalazł rozwiązanie dręczącego go problemu.
- Pani pewnie, jak moja córka, umie czytać! Jak też pani odczyta nazwisko wypisane na drzwiach? – To mówiąc wziął milady za rękę i pociągnął do chaty. Po czym zamknął drzwi i spytał:
 - Co tu napisane?
 - Lady Frances Elphinstone – odparła młoda kobieta czytając słowa nakreślone kredą przez Henryka poprzedniej nocy. – Moje nazwisko. Drwał pochylił się nad dzieckiem, jak gdyby trudno mu się było rozstać ze swym pupilkim, i podał koszyk Lisbeth.
 - Zabiera go pani daleko? – spytał.
 - Do Anglii – odparła milady, kładąc na stole trzy ludwiki. – Dziękuję – powiedziała – dziękuję.
- Gdy odeszła, drwał usiadł na progu, pogrążony w zadumie.
 - Raz, go tylko pocałowała – pomyślał głośno – i to ma być matka! - Koza zaryczała na skale. Piotr Louchet poczuł pustkę w sercu, wziął czym prędzej siekierę, zamknął chatę i by nie myśleć, zapuścił się w las. Prudencja spoglądała na śpiące w koszyku dziecko, przenosząc następnie wzrok na lady Frances, zatopioną w myślach, która jak gdyby zapomniała o swym spadkobiercy. Gdy dojechano do rozstajnych dróg, Billy krzyknął "stać" i kazał skrócić w leśną drogę prowadzącą do Miremont. Lady Frances nie zwróciła uwagi na wspaśniałą przyrodę i piękny widok roztaczający się ze wzgórza.
 - W którą stronę mamy skręcić, na prawo czy na lewo od młyna? iflj spytał Sam. — Czy też trzeba przejechać most?
- Lady Frances, rozbudzona z marzenia, rzuciła okiem na list.
 - W lewo! – krzyknęła stangretowi. I przypomniawszy sobie o roli matki, wzięła z rąk pokojówki koszyk i z uśmiechem pocałowała dziecko. Powóz toczył się teraz szeroką, bitą drogą biegnącą wzdłuż rzeki Oise. Za młynem, niedaleko kępy wierzb, gdzie hrabia Henryk dożył zemdloną Janię, spacerowało dwóch ludzi: stary pan i młody człowiek.. Usłyszawszy turkot powozu jednocześnie obrócili głowy.
 - Pan hrabia – powiedziała Prudencja.
 - Ho, ho – mówił markiz do syna. – Założę się, że to nasza nowa sąsiadka, Angielka, która wynajęła biały pałacyk. Może to nawet ktoś z moich znajomych z Londynu?
- Henryk spojrzał obojętnie.
 - Piękna kobieta – powiedział markiz, kłaniając się z kurtuazją przejeżdżającej.
 - Czy nas nie poznaje? – zamruczała Prudencja. – Czy milady zechce wyjaśnić mi?...
 - To ci wyjaśnię, że nigdy nie powinnaś być impertynentką – odpaliła Frances kłaniając się z wdziękiem markizowi.
 - Och, doprawdy, cóż za niespodzianka! – zawołał nagle Henryk szybko kierując się w stronę powozu. – Przecież to lady Frances Elphinstone!... Doprawdy niespodzianka... –j to mówiąc podszedł do drzwiczek z kapeluszem w ręku. Po wymianie uprzejmości powóz potoczył się swoją drogą, a Henryk wrócił do ojca.
 - Widzę, że się znamy – mruknęła gderliwie Prudencja – ale niezbyt dobrze...

– Pozwalam ci opowiadać na prawo i na lewo wszystko, co o mnie wiesz – przerwała sucho milady. – Tak tu, jak i w Paryżu, pan hrabia de Belcamp, dawny przyjaciel mego zmarłego małżonka, nadal będzie służył mi radą i pomocą.

– Czy to nowa mieszkanka zameczku? – spytał markiz syna.

– Jak wy wszystko na wsi wiecie! – zaśmiał się Henryk. – Robert opowiadał mi wczoraj o tym, ale nigdy nie spodziewałem się w nowej lokatorce znaleźć jedną z najświetniejszych gwiazd londyńskiego "high life'u"... Lady Frances Elphinstone cieszyła się wielkim powodzeniem przed dwoma laty w Londynie, gdy jeszcze żył jej mąż...

– Więc to wdowa?

– Od roku. Gdy ją poznałem, nosiła grubą żałobę. To bardzo dystygowana dama, od śmierci męża żyje w odosobnieniu, wychowując synka.

– Do licha, wicehrabina – szepnął markiz. – W Izbie Lordów nie znałem co prawda wicehrabiego Elphinstone'a. Był tylko baron Elphinstone z Elphinstone, gubernator Madrasu... znałem natomiast pułkownika Howarda Elphinstone'a z Sowerby, który w 1815 roku otrzymał tytuł baroneta... oraz Elphinstone'ów z bocznej linii hrabiów Stair.

– Nieboszczyk Mortimer, wicehrabia Elphinstone, potomek szkockiej arystokracji – odparł Henryk spokojnie, tonem człowieka doskonale zorientowanego w tytułach i genealogii angielskich rodów – nigdy nie zasiadał w parlamencie. Był trzecim bratem barona Johna Elphinstone'a z Elphinstone, gubernatora Madrasji, o którym ojciec wspominał, a który obecnie nosi tytuł hrabiego Treshama. Jego Wielmożność również przebywał w Indiach z ramienia Towarzystwa Indyjskiego jako angielski rezydent w Mysore. Po jego śmierci, w 1816 roku, parostwo...

– Do licha! – przerwał markiz śmiejąc się – masz to w małym palcu, jak zresztą wszystko... Do licha! Jestem ojcem prawdziwej encyklopedii!... Martwi mnie tylko jedno – dodał, a twarz mu posmutniała – nie mam nadziei cieszyć się tobą długo... Nie po to, by siedzieć na wsi, zjadłeś tyle rozumów!

– Ojciec mnie przecenia – uśmiechnął się młody człowiek. –i Będę najszcześliwszy pozostając spokojnie w domu.

Markiz spojrzawszy ukradkiem na syna, a westchnienie wydarło się z jego piersi.

– Coś ukrywasz, jakiś sekret, prawda? – spytał i zanim syn zdążył odpowiedzieć, dodał szybko: – Zawróciłeś nam wszystkim w głowie. Nie gniewaj się, ale tak bardzo cię kocham...

Hrabia pochwycił rękę ojca.

– Gdybyś wiedział, jak potrzebuję miłości – szepnął.

– Patrz, to pewnie bagaże twojej gwiazdy – markiz pokrywał wzruszenie wskazując wyładowany po brzegi kuframi furgon, który wyłonił się zza wzgórza. – Czy myślisz, że zechce zaszczycić swym towarzystwem nasz mały świątek?

– Jest wcieleniem dystynkcji – odparł Henryk – a to znaczy prostota i dobroć.

– Belcaimp nie gorszy od Elphinstone'a, do diabła! – wykrzyknął markiz. – O wiele wcześniej wyruszyliśmy do Ziemi Świętej, gdy nie było jeszcze gubernatorów Madrasu, Mysore czy Bombaju. Wolę Jerozolimę od Kalkuty, a ty?

– Dzień dobry, Bobie – zawołał hrabia Henryk do kucharza milady, który gruby i czerwony królował na szczycie furgonu. – Czy wyrobiłeś już sobie zdanie o francuskich sosach?

[jg] Smutne, milordzie, smutne – odparł Bob melancholijnie. – Jadłem zupę żółwiową w Paryżu i jestem dumny z mego angielskiego pochodzenia!

Furgon oddalił się, a Bob nawet nie odwrócił głowy, by sprawdzić wrażenie, jakie wywarły jego słowa.

– Oto jeden z tych, co wolą Kalkutę od Jerozolimy, ojcie – powiedział Henryk.

– Przeżyłem dwadzieścia lat w Anglii, mój chłopcze, chodzi mi o twoje zdanie, a nie o tego wieprza.

Henryk spuścił oczy.

– Czy kochałbyś mnie, gdybym zaprzeczył wszystkiemu, co czcisz, gdybym zwalczał to, czego bronisz, gdyby przedmiot twego uwielbienia był dla mnie przedmiotem nienawiści... i gdybym trzymał w ręku siekiere, by roztrzaskać twoje bożyszczce?

– Nie chcę wiedzieć, czy mówisz poważnie czy żartujesz – odparł markiz bez wahania. – Poczekaj, aż umrę... ale pamiętaj, kochałbym cię nawet, gdybyś był winien!

"– Czy ukarałbyś mnie, ojcze?

Markiz wyprostował się i położył rękę na ramieniu syna.

– Hrabio – powiedział powoli – czy badasz ojca? Bądź więc doktorem i tej gałęzi i poznaj mnie od jednego słowa: ukarałbym cię śmiercią.

– Szlachetne to studia nad takim sercem jak twoje, ojcze. I nie byłbyś sobą, gdybyś powiedział inaczej... – Po czym dodał dziwnym tonem, poważnym i żartobliwym jednocześnie: – Ponieważ jesteś tak dobry i silny, ponieważ, rzecz rzadko spotykana, potrafiłbyś me przestając kochać wymierzyć sprawiedliwość godną Brutusa, nie pytaj nigdy o moją tajemnicę, gdyż moje sumienie może być równie nieugięte, wiara droższa niż życie, a honor nakazałby mi zginąć, jak twój honor, ojcze, uderzyć!

– Czy nie możesz poczekać, aż umrę?

– Nie, ojcze.

– Jesteś więc wolny. Nie mam żadnej obawy, gdyż jest tylko jeden honor, jedna wiara i jedno sumienie.

Za cenę kilku tajemniczych, doskonale odmierzonych słów Henryk zdobył pozycję "człowieka, który coś ukrywa", jakiś sekret szlachetny i wzniosły. Przybył dopiero wczoraj z trudnym zadaniem, by rozświetlić ciemności otaczające całe jego życie, nad którym zawisło straszliwe podejrzenie. I wyszedł z próby zwycięsko. A nawet zdobył 0 wiele więcej: przywilej posiadania tajemnicy. Największe to ze wszystkich ustępstw, jakie ponosi się w życiu, wobec przyjaźni, miłości czy poświęcenia, i nawet świętość czy bohaterstwo nie jest zbyt wielkim słowem na jego określenie!

Są wspaniałe, często cytowane przykłady, gdzie honor może zaufać honorowi, ale jest ich mało. Są natomiast w historii narodów

1 w podaniach ludzkich inne, a tych jest bardzo wiele, które wołają: pilnuj się, strzeż, nie kuś ludzkiej słabości!

– Właściwie mam już sprzymierzeńca w obozie Napoleona – powiedział markiz udając rozbawienie. – Mój kochany "bandyta" Robert Surrisy to jeden z najlepszych ludzi, jakich znam...

– Nie powiedziałem, że jestem zwolennikiem cesarza, ojcze. Hi przerwał Henryk.

– Nic nie powiedziałem i doprawdy nie masz żadnego powodu do zmartwień, a ja za nic nie chcę zasmucać twojego złotego serca. Bierz mnie takim, jakim jestem, a nie gub się w domysłach, które zaprowadzą cię dalej, niż trzeba. Powiedziat leś prawdę: jest tylko jeden honor, jedna wiara i jedno sumienie, i nie skłamałem, mówiąc wczoraj, że jestem cię godny.

– Przypominam sobie, że nie odpowiedziałeś na moje pytanie, czy chcesz służyć królowi?

– Twoja szpada była w moim wieku, gdy wróciła do pochwy, by nie skąpać się we krwi zdobywców Bastylia.

– Czy chodzi o walkę między narodem, a królem? – wykrzyknął przestraszony markiz.

Na jego niespokojne spojrzenie młody człowiek odpowiedział pewnym siebie i szczerym uśmiechem.

– Chodzi o poradę lekarską, jakiej muszę udzielić bohaterce najdziwniejszego romansu, wylętego w mózgu najbardziej wymyślnego fantasty.

– Masz inne pacjentki oprócz Jani?

– Mam na myśli pannę Janię, ojciec.

– I to o niej tak mówisz, o tym naszym polnym kwiatku?

– Ten polny kwiatusek ma w perspektywie milionową fortunę.

– Co mówisz, Henryku?

– Tak –ri ciągnął spokojnie hrabia – właściwie dwie fortuny: z jednej strony cztery miliony, z drugiej pięć.

– Bajki!

– Pytałeś mnie, ojciec, jakiego używam czaru, by zmienić humor pani Touchard, ciotki panny Janiny?

– Nie mam odwagi pytać cię — odpowiedział wesoło markiz. – Zachodzi obawa, by się nie natknąć na straszliwe tajemnice.

– Czy chcesz, ojciec, poznać historię uroczej Jani?

– Czyżby Konstancja Bartolozzi zostawiła więcej, niż się spodziewano?

– Zostawiła parę klejnotów, kilka obligów na pożyczone kolegom pieniądze, trochę gotówki i dużo długów. Jednakże nie tylko po matce się dziedziczy...

•• --rr- Więc ojciec jest znany?

– Cztery lata temu, w początkach 1813 roku, studiowałem na katolickim uniwersytecie w Monachium medycynę, nauki ścisłe i teologię. Niemcy to kraj naiwny i uroczysty, lecz zdają sobie sprawę ze swej ociężałości i ciągle coś robią, by przekonać samych siebie, że nie są w letargu. Po drugiej stronie Renu wszystko nadęte i pompatyczne, najbardziej zaś pedantyczny jest język. Na pięciu mężczyzn przypada czterech doktorów; na dziesięć domów można naliczyć akademię, muzeum, bibliotekę, pinakotekę, instytut politechniczny i ateneum. Damy układają greckie poematy, a dzieci piszą tragedie; wszystko pachnie leksykonem, nawet pijackie piosenki śpiewa się kuchenną łaciną! Święto zmienia się w "festiwal". Bstnieją wszelkiego rodzaju festiwale: muzyki, poezji, białego wina, kapusty, fajek i piwa! I właśnie na wielkim festiwalu piwa w Monachium zaczęła się nieprawdopodobna historia panny Jani... Śmiejesz się, ojciec? Panna Jania nigdy nie opuściła Miremont? A jednak mówię poważnie: jej fortuna, a raczej dwie fortuny znajdowały się w Monachium

i tam je spotkałem pod postacią dwóch pierwszych nagród za francuskie i belgijskie piwo, dwóch piwowarów z Brukseli i z Lyonu, Anglików, których nazwiska nie powinny być ci obce.

– Nie przypominam, bym miał znajomości wśród piwowarów.

– Ale oni znają cię dobrze. Jeden to Franek Turner, a drugi William Robinson.

– Wspólnicy pana Browna?

– Dwaj kuzyni mojej matki, którzy opuścili Anglię po aferze księżny Devonshire...

Członkowie jury reprezentowali wszystkie warstwy społeczne: ja byłem przedstawicielem uniwersytetu. Piwowar z Brukseli i piwowar z Lyonu mogli wyczytać moje nazwisko na tablicy podającej spis jurorów u wejścia do wielkiej sali. Odwiedzili mnie, nazywając kuzynem. To dwaj porządni Anglicy, ja zaś byłem sędzią.

Opowiedzieli mi o swych milionach, które odziedziczą pewnego dnia, jeśli ich celibat przedłuży się w nieskończoność. Gdy przyznano nagrody, sprawa spadku poszła w niepamięć, lecz obdarzali mnie nadal swym zaufaniem i wyznali, że każdy z nich posiada nieślubne dziecko, które pragnie uznać przez małżeństwo z matką. Były jakieś przeszkody, czego mi nie wyjawili, mające jakoby zniknąć z czasem.

Po ich wyjeździe z Monachium zapomniałem o tej całej sprawie, sam zresztą opuściłem Niemcy i wróciłem do Londynu, skąd musiałem udać się do Australii. W Australii poznałem sir Paulusa Mac Al-→ lana, bardzo przydatna znajomość w spełnieniu mego dzieła, gdyż sir Paulus Mac Allan, generalny komisarz policji w Sydney, zastąpił pana Temple'a w Scotland Yardzie na stanowisku głównego intendenta. Wiesz, że wszystko mnie ciekawi. Na przykład książka pana Temple'a otwiera nowe, dotąd nie znane horyzonty. Przypuszczalnie marny ze mnie agent policyjny, dzięki sir Paulusowi znam jednak dobrze mechanizm angielskiej służby wykrywającej przestępców. Mówiąc ci o tym mam swój cel, gdyż może zdarzyć się, że ktoś widział twego syna, hrabiego de Belcamp, za biurkiem w gabinecie szefa londyńskiej policji...

Podczas tych studiów przed moimi oczami przewiła się druga rozdział romansu Jani. Obaj piwowarzy, Turner i Robinson, przybyli w żałobie, by dowiedzieć się szczegółów o śmierci Konstancji Bartolozzi, gdyż okazało się, że śpiewaczka każdemu z nich przyrzekła małżeństwo. Czekali cierpliwie wiele lat, jeden w Brukseli, drugi w Lyonie, aż wycofa się z teatru, by każdemu z nich stworzyć domowe ognisko i rodzinę, dać jednocześnie żonę i dziecko. Każdy z nich uważał się za ojca. Obaj zostawili testamenty u no-

tariusza Dawsa, na Regent Street nr 4, zapisując Konstancji cały swój majątek; po jej śmierci fortuna miała przypaść córce. Takim to talizmanem posłużyłem się u pani Touchard.

– Biedna Jania – szepnął markiz, urażony w swej delikatności grubiaństwem tej anegdoty. – Ma tak czyste i szlachetne serce! Niech mnie Bóg broni, bym potępił jej nieszczęsną matkę...

– To była aktorka – powiedział tonem zimnej wzgardy młody hrabia.

– Znałem aktorki o pięknej duszy... – odparł markiz. – Chciałbym jednak wiedzieć – dodał po chwili – czy w swej podróży do krainy policji nie spotkałeś przypadkiem mego starego przyjaciela Gregory Temple'a?

– To stanowi część mego sekretu, ojczu. – Henryk nie spuścił oczu i nie przestał się uśmiechać. – Mogę ci tylko powiedzieć, że Gregory Tempie nie zna Henryka de Belcamp, ani Henryka Browna.

– Miałbyś trzecie nazwisko? – zawołał starzec.

Uśmiech na wargach młodego hrabiego gasł powoli, aż dziwny smutek rozlał się na jego twarzy.

– Najbardziej kocham mego ojca, – powiedział powoli – choć po powrocie do Francji ujrzałem dziewczynę, co poruszyła najtajniejsze struny mego serca.

Najpiękniejszy to będzie dla mnie dzień, gdy obnażę przed ojcem duszę i powiem: – oto mój sekret!

Markiz wyciągnął rękę i uściśnił mocno dłoń syna. Po czym skierowali się do Opactwa.

Wdowa Touchard wyszła im naprzeciw i markiz słyszał, jak mówiła:

– Przygotowałam metryki urodzenia, panie hrabio.

– Gdzie nasi chłopcy? – spytał markiz. – Mam nadzieję, że chora miewa się lepiej?

– Jania dobrze spała – odpowiedziała wdowa – a żeby miała spokój, wysłałam chłopców, gdyż okropnie hałasują. Proszę wejść, moja siostrzenica już wstała.

Jania, jeszcze blada, siedziała w saloniku. Gdy młody hrabia stanął na progu, rumieniec zalał jej policzki. Na próżno usiłowała uśmiechnąć się do starego markiza, wargi jej skrzywiły się w grymas jak do płaczu. Henryk z zegarkiem w ręku dotknął pulsu chorej i powiedział:

- – Już lepiej... Czy nie czuje pani ucisku w sercu, panno Janino? jM Owszem, trochę czuję.

— Do wieczora dwie łyżki mikstury – rozkazał Henryk.
I dieta? – spytała ciotka.

— Panna Janina może jeść wszystko, co zechce... Gorączki nie będzie już tej nocy. Służę pani – dodał zwracając się do ciotki.

Hrabia z wdową opuścili salon. Markiz śledził ich wzrokiem, a gdy znikli za drzwiami, spojrzął na Janię, po której policzkach spływały dwie wielkie łzy.

— Byłaś, dziecko, już bardziej chora, a nie płakałaś... to coś nowego – zawołał. Jania potrząsnęła głową.

— Czy mój "bandyta" znów napsocił?

Z piersi dziewczyny wydoByło się łkanie. Markiz siadł przy niej na kanapce.

— Dawno już nie czytałem w oczach dziewczynek... ostatnio widziałem jednak coś podobnego: znałem w Londynie wesołe i radosne dziecko, a gdy skończyła osiemnaście lat, zmieniła się zupełnie. Smutna i zadumana, snuła się po domu, a twarzyczka straciła piękne kolorki, w oczach łzy... gdyby to Robert Surrisy...

— Robert ma złote serce – przerwała Jania.

— Więc dlaczego płaczesz? Czy ciotka...?

— Od wczoraj ciotka traktuje mnie jak córkę.

— A ty płaczesz?

Jania podniosła na niego śliczne oczy tonące we łzach.

— Pan hrabia obiecał, że zdejmie ciężar ugniatający mi serce – szepnęła.

W tej chwili pani Touchard weszła do salonu z hrabią Henrykiem, który zaraz wziął kapelusz i rzekł:

— Porywam ojca, panno Janino. Jeszcze jeden dzień spokoju, a zapomni pani, że kiedykolwiek chorowała.

Wdowa podeszła do dziewczyny i ucałowała ją czule.

— Gdybyśmy utracili ten skarb! – szepnęła.

— Henryku – mówił markiz, gdy szli drogą wzdłuż rzeki Oise – wspomniałeś o jednym dziecku dwóch ojców, a tu przecież mamy brata i siostrę, Laurenta i Janię?

— Dwaj piwowarzy nie zwierzili mi się ze wszystkiego – odpowiedział hrabia. – Obiecałem im zebrać informacje... Daleki byłem od myśli, że moje poszukiwania okażą się tak owocne. Dostarczyli mi ścisłych danych. Pierwsze spotkanie jednego z nich z Konstancją Bartolozzi miało miejsce w maju 1798 roku. Drugi widział się z nią w rok później, w 1799. Zanim jeszcze wdowa Touchard pokazała mi metryki urodzenia dzieci, wiedziałem już, że tylko Jania wchodzi w rachubę, gdyż data jej urodzenia mieści się w granicach tych lat.

— Czy możesz mi powiedzieć, co zamierzasz czynić?

— Napisać natychmiast do panów Turnera i Robinsona.

— Kto dokona wyboru?

— Natura lub kaprys... moja rola kończy się wraz z wypełnieniem obowiązku.

Wróciwszy do zamku, hrabia rozkazał, by osiodłano konia na ósmą wieczór. Markiz słuchał poleceń syna, lecz nie śmiał pytać.

Po obiedzie hrabia powiedział Zuzannie:

— Jutro rano przywiozę pani wiadomości o dziecku.

W swoim pokoju napisał dwa listy, jeden do pana Turnera, piwowara w Lyonie, drugi do Robinsona w Brukseli.

Następnie wsunął dwie kartki białego papieru do dwóch innych kopert. Jedną z nich, zmieniając z niezwykłą zręcznością charakter pisma, zaadresował: Do pana hrabiego Henryka de Belcamp, poste restante w Brukseli, drugą: do pana hrabiego Henryka de Belcamp, poste restante w Lyonie.

Dwa pierwsze listy dał lokajowi z rozkazem, by je nadał na pocztę w Isle-Adam.

Dwa drugie, zawierające czyste kartki, wsunął do portfela. Przed bramą stajni czekała śliczna angielska klacz. Skoczył na siodło i pogalopował w stronę młyna.

11. Bractwo Oswobodzicieli

Zaledwie hrabia Henryk i jego angielska klacz zniknęli na zakręcie ścieżki, gdy dziwny wehikuł, ciągniony przez wlokące się konie, ukazał się u wylotu esplanady. Zabytkowy ten pojazd, podobny do karocy, w której Ravailac zamordował Henryka IV, zatrzymał się przed bramą zaimku; ubrany § chłopska stangret zsiadł z kozła, a wiekowe szkapy zaniósł się astmatycznym kaszlem.

Z wehikułu wyłoniła się postać pani Morin, żony zastępcy mera z Miremont, która cienkim głosikiem przywitała panią Etienne, osobiście otwierającą bramę.

– Pani dziś sama – zauważyła kucharka – pan Morin pewnie idzie piechotą?

– Nie, pani Etienne, nie... pan Morin nie przyjdzie... muszę koniecznie widzieć się z panem merem.

Kucharka zawahała się.

– Może pani wystarczy panna Zuzanna – powiedziała po na

myśle – pan markiz zapowiedział, żeby mu po obiedzie nie przeszkadzano, jest zajęty, to znaczy, chce spać i chwilowo mi życzy sobie wizyt.

– Bardzo przepraszam, pani Etienne – odezwała się z godnością żona zastępcy mera – chodzi jednak o sprawy państwowe!

Wobec tego argumentu pani Etienne pomogła pani Morin wygramolić się z kolasy, a już uśmiechnięty markiz ukazał się we drzwiach westybulu.

– Ma pani jakieś nowiny, droga pani Morin? – spytał uprzejmie, stff-;/ Ach, panie merze – odpowiedziała zdyszana pani Morin – trzeba było wypadków niezwyklej wagi... od dwudziestu dwóch lat nie wyszłam sama bez pana Morin! Panie markizie, proszę mi udzielić tajnego posłuchania.

Na znak pana domu pani Etienne wróciła do kuchni, gdzie oznajmiła swym podwładnym:

– Podobno mamy wojnę z Anglią, a pana hrabiego mianowano zastępcą na miejsce pana Morin.

Rozczochrana głowa zajrzała do okna kuchni i głos Briqueta krzyknął:

– Bonaparte uciekł z Elby!

Wszyscy drgnęli, a zachwycony żartowniś wybuchnął gromkim śmiechem.

– Czyż od trzech lat o tym nie wiecie? – zawołał. – To stary kawał.

W salonie pani wicemerowa padła na berżerkę.

– Zapomniałam – zawołała kładąc na stoliku dwa listy S po drodze spotkałam listonosza. Podszedł do powozu, przywitał mnie i pyta, czy jadę do zamku...

Naturalnie do zamku Belcamp, bo w nowym zamku mamy teraz gości... żona angielskiego lorda... po czym prosił, bym oddała pocztę... Lubię zawsze przysłużyć się sąsiądom.... po otrzymaniu anonimowego listu mój biedny Saturain rozchorował się... piszą mu, że w Miremont gnieźdzą się wrogowie spokoju publicznego...

jgg Wrogowie spokoju publicznego! – powtórzył z uśmiechem markiz.

– Tak, panie merze, oraz wrogowie króla, a wszyscy przebrani za spokojnych rolników.

W tej chwili wzrok markiza padł na listy, które listonosz wręczył pani Morin. Na jednym z nich widniała pieczętka komisarza policji w Pontoise, na drugim – prefektury w Wersalu. Te dwie pieczętki większe wywarły na gospodarzu wrażenie niż słowa pani Morin.

Nie prosząc o pozwolenie rozdarł kopertę pierwszego listu, co było przeciwne jego dobrym manierom. Zaledwie rzucił okiem na treść, gdy gwałtownie pociągnął taśmą dzwonka.

Pani Morin zaczęła drżeć na całym ciele.

– Czy grozi nam niebezpieczeństwo? – wyjąkała.

– Natychmiast posłać po polowego – rozkazał markiz wchodzącemu lokajowi – po polowego i po pana Floriana! Natychmiast!

Pani Morin wyjęła z kieszonki flakon z trzeźwiącymi solami.

– Jestem tylko kobietą! Czy obawia się pan natychmiastowego wyładowania?

Markiz w odpowiedzi rozdarł kopertę pisma z prefektury.

– Szanowna sąsiadko – powiedział pogodnie, przeczytawszy list – wygląda, -że mamy klub w Miremont. Władze są poruszone. Nie podzielam ich obaw do tego stopnia, w każdym razie spełnię swój obowiązek i poweźmę niezbędne środki ostrożności. Postawimy na nogi armię miremoncką, polowego i ośmiu członków gwardii narodowej, do licha! Wszyscy źle uzbrojeni, jednakże nie mam cienia wątpliwości co do ich odwagi... Proszę wrócić do męża i podziękować mu w moim imieniu. Niech się prześpi, by nazajutrz, w razie bitwy, był w dobrej formie.

– Jestem tylko kobietą – powiedziała łzawym głosem pani Morin – może by zbrojna eskorta odprowadziła mnie do domu?

Markiz zaręczył słowem honoru, że zdąży wrócić przed wybuchem rewolucji.

Wkrótce zjawili się polowy oraz dwaj bracia Bondon. Wyszedszy z zaimku, po wysłuchaniu rozkazów pana mera, polowy Blondeau udał się do karczmy, gdzie popijając piwo i kurząc fajkę wyznał, że rad ofiarowałby pół franka, byle "tamten" wrócił.

Tej nocy markiz, nim zasnął, długo przewracał się na łóżku. Uporczywa myśl spędzała mu sen z powiek: co Henryk ukrywa?

Listy sygnalizowały pobyt w gminie Miremont tajemniczego osobnika, rodzaj ambasadora modnych wówczas w Italii, Niemczech i Anglii tajnych stowarzyszeń. W tymże roku 1817 rodziła się we Francji opozycja; różne frakcje, mające stworzyć po zwycięstwie odrębne partie, grupowały się wówczas pod sztandarem bonapartyistów, a przypuszczalnym celem wszelkiej konspiracji był powrót cesarza.

Czy Henryk był spiskowcem, o którym pisano? Czy jako pole walki wybrał spokojną wioskę, gdzie jego ojciec reprezentował zagrożoną monarchię?

Wiele razy wydawało mu się, że daleko na łąkach słyszy tętent konia. Noc była cicha i wszelkie odgłosy dochodziły wyraźnie do uszu czuwającego. Ale nie był to Henryk. Wreszcie lekki wiatr przyniósł szczekanie psa młynarza, a Sułtan, pilnujący zamku, odpowiedział głuchym warczeniem. Po czym nastąpiła znowu cisza i markiz na próżno nasłuchiwał powrotu syna.

Nie angielska klacz hrabiego zakłóciła tego wieczoru ciszę nocną w dolinie rzeki Oise. Henryk był daleko. Markiz jednak rzeczywiście słyszał tętent. Niejeden podróżny przemknął tej nocy drogą prowadzącą brzegiem rzeki, tak zazwyczaj opustoszałą po zapadnięciu ciemności. Końskie kopyta stukały o deski mostu, a pies młynarza ujadł, czując obcego. Samotni jeźdźcy galopowali leśnymi drogami i dziwny ruch panował w tak zwykle cichej okolicy, a szczekaniu psa z młyna wtórowało ujadanie wioskowych brytanów.

Henryk pędził w przeciwnym kierunku, nie tam, dokąd zdążali tajemniczy podróżni. Galopował drogą do Paryża. W niespełna dwie godziny mijał roгатkę Chapelle i wjeżdżał do miasta. Zrobił osiem mil drogi dla – zdawało się – błahaego celu; oto zatrzymał konia przed najbliższym urzędem pocztowym i wrzucił do skrzynki jeden z listów, adresowany do hrabiego de Belcamp w Lyonie. Po czym wskoczył na konia i nie pozwoliwszy klaczy ani chwili wypocząć, przebył miasto i zatrzymał się dopiero w Saint-Denis przed pocztą, by wysłać drugi list, również do hrabiego de Belcamp, w Brukseli. Jedynie po to odbył piętnaście mil drogi! Koń biegł równym kłusem, a hrabia

Henryk od czasu do czasu pochylał się w siodle i mówił coś do ucha mądrymu zwierzęciu, gładząc mokrą od potu wygiętą szyję.

W drodze powrotnej zamiast skręcić za mostem do zamku popędził brzegiem rzeki. Minął nowy zamek i Opactwo. Ćwierć mili dalej, na skraju lasu, naprzeciwko zamkowego parku, którego drzewa schodziły ku rzece, na drugim brzegu Oise, wśród zieleniejących krzaków bzów błyszcząło światło. Henryk zagłębił się w zarośla i przejechawszy sto kroków zatrzymał konia, zeskoczył, rozwinął derkę przytroczoną do siodła, okrył dymiące boki klaczy, przywiązując wierzchowca za -uzdę do pobliskiego dębu. Następnie owinął się płaszczem, rozwiązawszy chustę, którą zakrył twarz jak woalką, przytrzymując brzegi kapeluszem.

Była pierwsza. Światło błyszcząło w bardzo skromnym domku, kilkaset kroków od brzegów Oise, na pół ukrytym wśród drzew lasu. Przed domkiem był mały ogródek obsadzony krzakami bzów. Miesz-

kała tu Magdalena Surrisy, matka Roberta, byłego podporucznika Wielkiej Armii. Od dziesiątej wieczór czterech uzbrojonych ludzi ukrytych w zaroślach stało na czatach w czterech rogach ogródka. Piąty, również uzbrojony, czuwał przed drzwiami domku. Mieszkanie Magdaleny Surrisy było celem, do którego zmierzali nocni wędrowcy przemierzający uśpione wsie. Wszyscy przybyli konno, z wyjątkiem starca w krótkiej sutannie, którego powóz zatrzymał się na rozstaju. Resztę drogi starzec odbył w lektyce.

Jedenasta wybiła na dzwonnicy małego kościółka w Miremont, gdy pierwszy jeździec znalazł się na moście koło młyna. Widocznie nie znał dalszej drogi, gdyż nie zsiadając z konia, wymówił głośno następujące słowa:

– Ku lepszemu!

Przy koniu wyrósł cień ubrany jak wieśniacy z tych okolic, tylko spod nasuniętego ronda kapelusza widać było długie wąsy.

– Czego szukasz, kuzynie? – spytał cień.

– Szukam drogi do źródła.

Wieśniak wyciągnął rękę i dotknął jeźdźca. Po wymianie przepisowych znaków wieśniak cofnął się salutując.

Panie generale – powiedział cicho – nie potrzebowałem tych wszystkich błazeństw, by pana poznać. Starszy sierżant Foucaut, służyłem w pańskiej brygadzie pod Wagram.

– Było nam gorąco, co? – odparł jeździec, po czym dodał podając rękę wieśniakowi: – Sierzancie Foucaut, Wielka Armia nie zginęła i dobre czasy powrócą... naprzód, marsz!

Wieśniak usłuchał i razem udali się drogą ku Opactwu. Minawszy dom wdowy Touchard, zatrzymali się na skraju lasu, a wieśniak powiedział:

– Ku lepszemu!

Tajemniczy głos odezwał się zza krzaków bzu:

– Nie ma wilków w lesie. – Po czym dodał: – Czego szukasz, kuzynie, u źródła? Jeździec wysunął się naprzód i odpowiedział po włosku, gdyż większość tych formułek pochodziła z Italii.

– Fede, Speranza e Carità (Wiary, Nadziei, Miłości).

– Wejdz – odparł głos – gdyż tutaj jest zdroj.

Jeździec zsiadł z konia. Dwaj ludzie zaopiekowali się wierzchowcem, a trzeci za rękę prowadził przybysza do domu. Przed drzwiami stał jeszcze jeden wartownik, który pokazał kartę do gry, dziwnie wyciętą. Przybyły wyjął drugą połowę podobnej karty, która po

przyłożeniu do poprzedniej utworzyła asa kierowego. Wartownik zdjął kapelusz.

– Witam pana generała w domu mojej matki – powiedział.

– Ach – zawołał generał – co widzę, „porucznik Surrisy!

Na dworze słyhać było nowe głosy .powtarzające:

Ku lepszemu!

Przybywał inny „kuzyn”, gdyż tak nazywali siebie w całej Europie członkowie Bractwa Oswobodzicieli. Nieco później, dzięki kar- bonariuszom, nazwa ta nabrała historycznego znaczenia.

Dom wdowy Surrisy był i mały i ciasny. Przyjezdni zgromadzili się w dolnej salce, będącej jednocześnie kuchnią, jadalnią i sypialnią wdowy.

Goście zasiedli na ławach biegnących wokół stołu. Głównie tliły się w głębokim i czarnym kominie, w alkowie wdać było dwa łóżka, osłonięte firanką; na kredensie piętrzyły się fajansowe talerze. Zegar z wagami mruczał w skrzynce z błyszczącego wiśniowego drzewa. Gdy zegar wydzwonił północ, dookoła stołu siedziało już dziewięć osób: trzech mężczyzn z siwymi głowami, czterech w sile wieku i dwóch młodzieńców. Na dziewięciu przybyłych pięciu wyglądało na wojskowych mimo cywilnego ubrania, które miało ich maskować, trzech robiło wrażenie mieszczan, a jeden był księdzem. Wśród pięciu wojskowych dwóch było starców, a trzech mężczyzn w sile wieku.

Seniorem tego zgromadzenia zdawał się ksiądz. Rzadkie, długie siwe włosy otaczały niezwykle bladą wychudłą twarz. Na krótkiej sutannie czerwieniła wstęga Wielkiego Krzyża Legii Honorowej. Reszta zebranych nie miała żadnych odznaczeń, z wyjątkiem pięciu, którzy, jak ksiądz, posiadali Krzyż Oficerski lub Komandorski. Lecz i bez tych znaków łatwo było odgadnąć, że w skromnym domku odbywało się posiedzenie wysokich dostojników, zebranych w do- «; niosłym celu. Na twarzach zebranych malowała się powaga, entuzjazm lub spokojna rezygnacja.

Było tam czterech generałów, z których jeden głównodowodzący armią, minister odznaczony tytułem książęcym; był admirał, sekretarz stanu, senator, dwóch książąt i arcybiskup. Jedynie arcybiskup był cudzoziemcem, ale jako przewodniczący pierwszy przemówił otwierając posiedzenie.

– Panowie – zaczął wyraźnie włoskim akcentem – zechciejcie powstać, podczas gdy będę się modlić, by Duch Święty zstąpił i oświecił nasze umysły. Wszyscy powstali, a ksiądz odmówił „Yeni Sancte Spiritus”.

– Panowie – powiedział po skończonej modlitwie, siadając i kreśląc znak krzyża.

– Nie wszyscy się znamy, przynajmniej z twarzy, choć wszyscy, z wyjątkiem mnie, posiadacie rozgłos, który przyszłość zmieni w sławę. Po raz pierwszy zebraliśmy się we Francji, my, najwyższa (rada Bractwa Oswobodzicieli, a celem naszym uwolnienie znakomitego więźnia, którego łańcuchy to hańba dla cywilizacji. Rozbić kajdany cesarza i położyć kres jego udręce – oto problem do rozwiązania. Inne sprawy nie wchodzą w zakres naszej działalności. Napoleon sam po odzyskaniu wolności wybierze drogę, która poprowadzi go ku jego przeznaczeniu.

– Kto nas zwołuje? – spytał generał B.

– Cesarz – odparł ksiądz.

– Jaką drogą dotarło wezwanie cesarza? – spytał senator.

W tym momencie na dworze usłyszano hasło bractwa i głos kobiecy. Na twarzach zebranych odbiło się zdumienie. Jedynie ksiądz nie okazał wrażenia.

– Panowie — powiedział spokojnie – ręka boska jest potężna i z łatwością dosięga skały zagubionej na oceanie. Nienawiść Anglików wykopała dookoła męczennika przepaść głęboką jak piekło, lecz arce Noego, pływającej na bezkresnych wodach, gołąbka przyniosła posłannictwo nadziei... Każdy z was zna nazwisko szlachetnego irlandzkiego lekarza, pierwszego pocieszyciela, jakiego więzień znalazł dostawszy się do angielskiej niewoli na pokładzie „Bellerofonta”...

– O'Meara! – zawołali zebrani – Barry Edward O'Meara!

W tej chwili zapukano i ksiądz wstał.

– Czego szukasz u zdroju? – spytał poprzez zamknięte drzwi.

– “Fede, Speranza e Carità” – odpowiedział głos kobiety.

Ksiądz otworzył drzwi mówiąc:

– Wejść, tutaj jest zdroj.

Na progu ukazała się zawaalowana kobieta. Ksiądz pokazał jej połowę karty, którą nieznajoma uzupełniła drugą połową. Po czym rzekł: – W imię Tego, który widzi głębi naszych serc, witam cię. Franciszko O'Meara!

Szmer rozległ się wśród zebranych.

– Wszyscy mamy odsłonięte twarze – powiedział ksiądz.

Nieznajoma odrzuciła woal. Była to młoda dziewczyna, blada z wrażenia, a wszyscy mogli podziwiać jej wielką urodę. Stała chwilę milcząc i spoglądając z szacunkiem po zebranych. Które ze znanych nam nazwisk nadać tej uroczej istocie? Sara CNeil czy lady Frances Elphinstone równie jak Franciszka O'Meara nie należały zapewne do pięknej Irlandki.

Wyciągnęła z zanadru list, po czym rzekła: – Proszę rozdmuchać ogień.

Generał B. ukląkł przed kominkiem rozdmuchując na pół przygasłe główne. Lady Frances podała list księdzu ze słowami: –r Panowie, korespondencja mego brata jest ściśle kontrolowana. Sir Hudson Lowe nie przepuści ani jednego słowa mającego związek z cesarzem. Ponadto listy dochodzą do mnie otwarte, poplamione, widać przeszły przez wiele rąk. Tego jeszcze imać dla rządu wolnej Anglii! By tu przybyć, musiałam uciekać jak przestępca, gdyż pilnują mnie na każdym kroku, jestem we Francji pod przybranym nazwiskiem.

Po czym wyjęła z kieszeni flakonik z bezbarwnym płynem. – Nic nie znaczące słowa czterech długich stron listu – powiedziała – kryją krzyk agonii. Proszę nalać kilka kropel tego płynu na środek pierwszej strony, Eminencjo, następnie wysuszyć kartę przy ogniu.

Ksiądz usłuchał. Zaledwie ciepło ogniska ogrzało wilgotny papier, zebrani poczuli nikły zapach i między czarnymi wierszami listu ukazały się litery czerwonym atramentem pisane.

– Pismo cesarza! – szepnął ksiądz zduszonym głosem. Wszyscy wstali, a w ciszy, jaka zapadła, słycać było bicie serc. ~ Tylko dwa słowa – powiedział starzec i powoli, z trudem,

gdyż łzy mąciły mu wzrok, odczytał:

– “Zabijają mnie”.

Po czym ucałował papier.

Każdy z uczestników dotknął cennego dokumentu, każdy przyłożył wargi do liter kreślonych ręką więźnia.

Litery stawały się coraz mniej wyraźne i gdy list wrócił do rąk lady Frances, dwa czerwone słowa były znowu niewidoczne.

Głęboka cisza panowała w pokoju. Cała Europa wiedziała, jak niegodnie Anglia traktowała pokonanego wroga, którego przecież zaprosiła jak gościa, by następnie dobijać powolnym konaniem. Barbarzyńskie i okrutne postępowanie oburzyło ludzkość, budząc współczucie dla upadłej wielkości.

– Co zrobimy, panowie? – spytał generał B. zaciskając pięści.

– Nawet gdybyśmy mieli wojsko – odparł senator – potrzebowałoby chyba skrzydeł.

– Wystawmy armię – zawołał generał – zrzućmy króla i proklamujmy cesarstwo. Ogłosmy, że Napoleon płynie do Europy. Co dziś jest kłamstwem, jutro może stać się prawdą i francuska flota wyruszy na Świętą Helenę!

– Zebraliśmy się tu, by uwolnić więźnia, nie po to, by proklamować cesarza – powiedział ksiądz.

– Cóż więc zrobimy? – zawołał gorączkowo generał. – Nic? Będziemy udawać głuchych? Poczekamy, aż za kilka lat w Monitorze ukaże się z góry przygotowana notatka, głosząca jak o pierwszym lepszym: "Napoleon Bonaparte zmarł na Wyspie Świętej Heleny po długiej i ciężkiej chorobie..." Rzeczywiście, długa, panowie, i ciężka! Ale dla mnie Bogiem jest Wolność i...

– Generale – przerwał minister – nikt z nas nie zasłużył na pańskie zarzuty. Zjechaliśmy się wszyscy przewyciężywszy wiele trudności i niebezpieczeństw. Kto z nas wie, kiedy znowu będziemy mogli się spotkać? Niech echo naszych słów pocieszy przynajmniej i natchnie nadzieją tego, którego orle oko widzi Francję pojskończoność oceanu; niech siostra doktora O'Meara przekazując od nas wiadomości nie będzie zmuszona powiedzieć: niezgoda panuje w obozie straceńców!

Generał B., wzruszony, wyciągnął rękę wśród ogólnego aplauzu.

Na dworze usłyszano znowu hasło i uczestnicy zebrania zawołali zdumieni:

– Czyż nie jesteśmy w komplecie?

Franciszka O'Meara opuściła na twarz woalkę, pytając:

– Który z panów jest komodorem Jamesem Davy?

Obecni spojrzeli po sobie zdziwieni. Zegar z wagami wybił pierwszą. Wartownik na dworze pytał:

– Czego szukasz, kuzynie?

– I seek for the fountain (Szukam źródła) – odpowiedział dziwnie wibrujący i dźwięczny głos.

– Jeśli żaden z panów nie nazywa się James Davy – dodała siostra doktora O'Meara – proszę otworzyć przybywającemu.

– Tu mówi się po francusku – odpowiedział ostro wartownik. – Kim pan jest i czego pragnie? j

Czarne chustki zakryły wszystkie twarze.

– Panowie – powiedział ksiądz zaniepokojony – wielkiego mistrza wyznaczy sam cesarz...

– Gra idzie o nasze życie – szepnął senator.

– Wystarczy jeden zdrajca... – dodał generał F.

– Jest pan moim więźniem! – zawołał na dworze głos Roberta Surrisy.

– Proszę wyciągnąć rękę – powiedział rozkazujący głos po francusku – i zastukać pięć razy!

W domku panowała cisza. Gdy rozległo się pukanie, ksiądz podszedł do drzwi ze zwykłym pytaniem:

– Czego szukasz u źródła, kuzynie?

– Wiary, Nadziei i Miłości – odpowiedział po angielsku przedziwnie melodyjny głos.

– Z jakiego przybywasz lasu?

– Z lasu Irlandii.

– Pierwszy, drugi, trzeci czy czwarty?

– Piąty i jedyny.

Długi szmer wstrząsnął zgromadzeniem, podczas gdy ksiądz otwierał drzwi mówiąc:

– Wejść, mistrzu, tu jest źródło – i odsłonił twarz bladą i zmęczoną.

Wszyscy poszli za jego przykładem, zdejmując chustki. Jedyne nowo przybyły nie odsłonił twarzy. Wzrok jego powoli obszedł zgromadzonych, z uwagą badając otaczające go osobistości.

– Milordowie – powiedział z szacunkiem – ukrywam nie znane wam czoło, podczas gdy wy pokazujecie znakomite oblicza. Przepłynąłem morze, by wam

oznajmić: niech Bóg będzie z nami! Potrafię uwolnić waszego cesarza, tak jak przebyłem ocean, by mu powiedzieć: Sire, przy boskiej pomocy uratuję Waszą Cesarską Mość!

— Widział pan cesarza!

Krzyk wydobył się z ust zebranych. Następnie zapadła cisza. Zwątpienie zastępowało entuzjazm. Admirał powiedział półgłosem:

— Wszyscy znający Wyspę Świętej Heleny uważają, że nie ma możliwości dotrzeć do osoby więźnia w Longwood.

— Ten sam więzień z Longwood – odparł nowo przybyły – wymazał z języka francuskiego słowo “niemożliwość”! Droga, którą dostałem się do cesarza, jest moją tajemnicą, tajne są też sposoby, jakich używam do spełnienia obietnicy. Życie moje jest tajemnicą, moje dzieło jest sekretne. Zostałem wielkim mistrzem bractwa, choć tylu członków przewyższa mnie sławą i znaczeniem, by zachować moją tajemnicę. Tylko jedna sankcja zdolna jest zmusić ludzi takich jak wy, by poszli nieznaną drogą z zawiązanymi oczami: i ja z narażeniem życia ją zdobyłem.

Podszedł do lady Frances, skłonił się i powiedział po angielsku:

— Czy Franciszka O'Meara to pani?

— Tak, milordzie – odparła młoda kobieta. – Czekałam na pana.

— By przekazać mi polecenie?

— Tak, milordzie. Oddam je panu, jeśli otrzymam odpowiedni znak, że rzeczywiście jest pan komandorem Jamesem Davy.

Nieznajomy rozchylił płaszcz, i wysunął lewe ramię, wskazując prawą ręką wyłogi czarnego fraka. Jedwabna stębnówka biegła dokoła rękawa.

— Proszę wyciągnąć nitkę – powiedział.

Lady Frances chwyciła ledwie widoczny supełek, prując zszyte miejsce: między dwiema warstwami tkaniny tkwił cienki papier.

— Proszę czytać – powiedział raz jeszcze nieznajomy.

Młoda kobieta przeczytała, skłoniła się a wyjęła z kieszeni szkocką bombonierkę, którą podała nieznajomemu. Przybysz rozbił wieczko, w którego podwójnym dnie znajdował się podobny papier. Po czym podał oba papiery księdzu. Ksiądz przeczytał i ucałowawszy papier podał następnemu członkowi zgromadzenia. W taki sposób papiery obeszły całą salę. Wreszcie ksiądz, obiegłszy wzrokiem zebranych, powiedział:

— Niech się stanie wola cesarza! – a zwracając się do nieznajomego, dodał: – Komodorze Davy, uklęknij!

Nieznajomy zgiął kolano.

— Komodorze Davy – podjął uroczyście starzec – w imię Boga i z woli Cesarza mianuję cię kwatermistrzem, oficerem, komandorem, wielkim mistrzem Wielkiego Krzyża Legii Honorowej.

Po czym zdjął własną wstęgę, wkładając ją na szyję nieznajomemu, a ucałowawszy nowego (mistrza posadził go na naczelnym miejscu.

— Komodorze Jamesie Davy – powiedział – wielki mistrzu Bractwa Oswobodzicieli, obejmij przewodnictwo najwyższej rady, to ci się z prawa należy. Powiedz nam, co trzeba, byśmy wiedzieli, nakreśl plan działania we wspólnym dziele: jesteśmy gotowi spełnić twe rozkazy.

12. Rozkaz

Była prawie trzecia nad ranem, gdy w domku Magdaleny Surrisy pogaszono światła. Księżyc skrył się za zalesione wzgórza i w ciemności niewidzialne konie biły kopytami. Rozmawiano szeptem. Komodor i Franciszka O'Meara odjechali pierwsi w dwie przeciwne strony. Rozentuzjasmowani spiskowcy zegnali się w pośpiechu, a

generał B. ucałował Roberta w oba policzki, mówiąc: – Do licha, nie zdąży pan zostać adwokatem!

#

W pół godziny później cisza zaległa brzegi rzeki Oise. Hrabia Henryk de Belcamp i lady Frances jechali parkiem nowego zamku. Słychać było jedynie szum młyna.

– Nie jesteś moją niewolnicą, Saro – mówił Henryk tym dziwnie melodyjnym głosem idącym prosto do serca. – Wybrałem cię na towarzyszkę trudnej drogi, gdyż cię kocham, a wiem, że jako Irlandka nienawidzisz tych samych co ja wrogów. Czyż nie szanowałem cię jak siostrę?

– Powiedziałeś, że zostanę twoją żoną – szepnęła lady Frances, lecz w głosie jej nie było żalu, tylko wymówka.

– Wówczas myślałem, że mnie kochasz.

– Czy nie dowiodłam ci tego, Henryku?

Konie szły tak blisko siebie, że hrabia objął Irlandkę i pocałował w czoło.

– Zanim zrozumiałaś sama siebie, ja już czytałem w twoim sercu – szepnął.

– Cóż tam mogłeś wyczytać? Henryk zawahał się z odpowiedzią.

– Głos twój nigdy tak nie drżał, Saro. Serce jest księgą, do której życie 'dorzuca co dzień nową kartkę. Zatrzymałem się na wczorajszej stronie, a widzę, że dziś jest coś nowego... Rozumiem twoje obawy i skrupuły i śpieszę cię uspokoić.

– Mówiąc o niewoli, nie skarżyłam się ani nie robiłam ci wyrzutów. Po prostu obawiam się swobody.

– Od kiedy jesteś zakochana, Saro? – spytał nagle.

– Czy ci o tym mówiłam, Henryku? Sama nie wiem, czy kocham.

– Ale ja wiem. Jest coś, co nas łączy, dziwna i fatalistyczna sympatia: musisz kochać, ponieważ ja też jestem zakochany.

– Ach – szepnęła nie ukrywając smutku – jesteś więc zakochany?

– Boli cię to? Mnie również smutno, że nieznajomy panuje w twych myślach i zabiera mi moją część. Nasze dusze to siostry i tylko śmierć nas rozdzieli.

Po tych słowach ucałował rękę dziewczyny. Konie wchodziły pod wysokie sklepienie dębów.

– Wykonałam twoje rozkazy w stosunku do Ryszarda Thompsona – odezwała się tak cicho, że ledwie mógł usłyszeć.

– I sądzisz, że wciągam go w pułapkę? Ryszarda, który mnie kocha i ufa mi... Trzymałaś na ręku biedne 'dziecko na próżno wołające ojca...

– Powiedz mi – wyjąkała lady Frances ze łzami w oczach –

powiedz tylko, że żona Ryszarda nie zostanie wdową, że to maleństwo... powiedz, Henryku, że Ryszard nie zapłaci życiem za okazane ci zaufanie.

– Saro – zawołał z goryczą – co zrobiłem od tej pierwszej chwili, gdy jak Opatrzność stanąłem na twojej drodze, że łamię mi serce obelgą niewdzięczności? Powiedz, co zrobiłem, by zasłużyć na podejrzenie o tchórzostwo!

Lady Frances nie odpowiedziała, gdyż płakała cicho. Głos Henryka złagodniał:

– Jesteś zakochana, a ja straciłem w twoim sercu to miejsce, które zajął inny. Ja też kocham, ale moja serdeczność dla ciebie nie zmniejszyła się. Przebaczam ci, zanim jeszcze poprosiłaś mnie o przebaczenie. Jesteś mi potrzebna, droga moja zbyt trudna, bym szedł sam. Zbyt długo byłaś moją siłą i wiarą, proszę cię, Saro, nie opuszczaj mnie!

Zarzuciła mu ramiona na szyję, a Henryk przycisnął ją do serca, podczas gdy konie przystanęły, czekając cierpliwie.

– Nigdy, Henryku, nigdy! – zawołała przez łzy. – Należę do ciebie i jeśli zabronisz mi kochać, usłucham cię, nawet gdyby serce mi pękło!

Wystarczyła wola władcy, by zgasić ledwie zatłony płomynek romantycznej miłości, a rozdmuchać uczucie, które szybko zapłonęłoby wspaniałym blaskiem. Jeszcze był czas i Henryk mógł rozżarzyć słaby ogieniek. Ale nie chciał, przeznaczenie ciągnęło go w inną stronę.

– Kochana siostrzyczko – powiedział sadzając ją w siodle – jesteście szaleni. Masz rację, z mojej winy śmierć wisi nad głową Ryszarda. Wciągnąłem go w pułapkę, każdy jego krok regulowany jest moją wolą, a ty również byłaś wczoraj moim narzędziem. Pójdę dalej jeszcze, gdyż jeśli stanę, zniszczę całe dzieło, a tylko śmierć może zatrzymać mnie w drodze. Ryszard będzie uwięziony zamiast mnie, będzie sądzony i skazany...

– Skazany!... – powtórzyła drżąc Sara.

– Skazany dzięki moim własnym zeznaniom... Lecz żona jego nie zostanie wdową ni synek sierotą, za to ręczę ci honorem! Niech nic nie mąci twego uśmiechu, gdy pochylasz się nad kołyską dziecka, kochaj je i pieść i jeśli chcesz, naucz imion ojca i matki, gdyż wkrótce będzie im oddany.

– Czy przebaczyłeś mi, Henryku? – spytała uśmiechając się przez łzy.

– Tak i nie, siostrzyczko. Tak, gdyż powierzę ci pewne zadanie, nie, gdyż za karę narzucam ci wyjaśnienia, pierwsze przykre wyjaśnienia między nami! Rola, którą odegrałaś dzisiejszej nocy, nie naraża cię na żadne niebezpieczeństwo. Dzięki temu poznałaś część mojej tajemnicy. Nigdy nie spotkasz żadnej z poznanych tam osób. A jeśli i spotkasz, będzie to po zwycięstwie i wówczas dzisiejsze wystąpienie przyczyni się do twej chwały i szczęścia. Wszyscy oni przybyli z daleka, a miejsce zebrania zostało specjalnie wybrane. Niektórzy z nich to wygnańcy, inni – wysokie osobistości, ryzykujące majątek i życie w zabawie w konspirację; jedynym ich pragnieniem jest skryć się. Są teraz w drodze na cztery strony świata, niektórzy przekroczą granicę. Tu najwyżej możesz spotkać paru żołnierzy tej wielkiej armii, której tylko dowódcy widzieli twą twarz. Franciszka O'Meara wróciła do Anglii, została lady Elphinstone, królowa tutejszego towarzystwa, która nareszcie zacznie używać życia i młodości. Nie pytam nawet lady Elphinstone o nazwisko szczęśliwego śmiertelnika, co potrafił przyciągnąć jej spojrzenie; gdyby lady Elphinstone chciała mi się zwierzyć, nie słuchałbym, gdyż podejrzenia jej co do Ryszarda...

– Henryku! – szepnęła młoda kobieta prosząco.

– Ostatni raz wracam do tego, Saro. Trudno zrozumieć i odczuć to, co nas łączy. Później człowiek, którego kochasz, może być zazdrosny o mój wpływ na ciebie. Wiem, że będzie mnie zwalczać jak niewidzialnego wroga. Mogłoby się zdarzyć, że stanie w poprzek mojej drogi... wobec tego wolę nie wiedzieć, kim jest.

Lady Frances zamyśliła się, po czym spytała:

– A moje zadanie?

– Tym razem rola kokietki – odparł hrabia śmiejąc się. – Opuszczamy ponure ścieżki dramatu, by wstąpić na drogę komedii. Jest tu pewien piękny narzeczonny i należy zerwać zaręczyny. Ja zajmę się panną, a kilka uśmiechów lady Frances sprawią, że młody człowiek straci głowę...

– Czy ty ją kochasz, Henryku?

– Pokocham ją, Saro.

– A młody człowiek?

– Jutro... a raczej dziś jeszcze, gdyż już czwarta rano, po sumie pokażę ci twą najbliższą konkietę przy wyjściu z kościoła.

Stali właśnie naprzeciw nowego zamku, którego fasada bieląca w pierwszym porannym brzasku. Lady Frances usiłowała się uśmiechnąć, Henryk pocałował ją w rękę ze słowami:

– Do zobaczenia! – po czym angielska klacz klusem pomknęła aleją ku rzece. Frances przeprowadziła jeźdźca wzrokiem, aż niewyraźna sylwetka rozplynęła się w ciemności.

Była majowa niedziela. Słońce złociło wierzchołki drzew, a lekkie obłoki różowiły szczyty pagórków przysłonięte poranną mgłą. Z dzwonnicy starego kościółka płynęły energiczne dźwięki dzwonów. W tym spokojnym wiejskim krajobrazie nie pozostał najmniejszy ślad nocnych wydarzeń. Mały domek Magdaleny Surrisy stał cichy i pogodny, a otaczające go wierzby odbijały się w wodzie; młyn milczał, korzystając z niedzielnego odpoczynku.

O piątej rano proboszcz jak zwykle odprawił pierwszą mszę. O szóstej Blondeau, polowy, obudził pana mera, meldując, że w czasie całonocnego dyżuru nie wykrył nic podejrzanego w gminie Miremont. Blondeau, co prawda, spał snem sprawiedliwego, gdyż nie jest przecież wilkiem, by ganiać przy księżycu tylko dlatego, że panu prefektowi przyśnili się konspiratorzy. Blondeau i tak za sześćset franków daje państwu wystarczającą porcję gorliwości, a jeśli wychodzi po zapadnięciu nocy, to jedynie po to, by zasadzić się na zajęcia.

O siódmej na placu merostwa pani Celestin w' towarzystwie męża i szwagra odebrała defiladę miremonckiej gwardii narodowej. Trudno ó bardziej dziarskich dziewięciu żołnierzy!

O ósmej rodzina Bondon złożyła raport panu merowi świadczący o doskonałym duchu, jaki ożywiał gminę.

O dziewiątej pani Etienne podała śniadanie. Henryk od razu podbił jej serce oświadczając, iż nigdy nie próbował lepszej kuchni. Tego ranka hrabia Henryk był w doskonałym humorze. Nocny niepokój markiza przysł wobec pogody syna. Miał zresztą swój plan i wiele razy podczas śniadania sprowadzał rozmowę na pannę Żermenę, przyjaciółkę Jani. Cały świat uśmiechał się tego ranka. Przed podjazdem czekał powóz, Odświętnie przystrojona służba również wybierała się do kościoła.

Na głównym placu Miremont stały różnego typu wehikuły, jakimi mieszkańcy podążali na sumę. Spojrzenia jednak przyciągał nowiutki elegancki powóz, zaprzężony w dwa dzielne konie. Całe miasteczko zamiast wejść do kościoła przystanęło gapiąc się na stangreta, który nie znając ani słówka po francusku spoglądał z kozła apatycznie na otoczenie.

Pani Etienne spojrzała na stangreta i zaopiniowała z pogardą:

– Anglik!

Miremont miało aż trzy sensacje tej niedzieli. Jedną stanowiła piękna Jania, którą widziano po raz pierwszy od wypadku. Drugą młody hrabia, ulubieniec całej okolicy, trzecią zaś bogata cudzoziemka, której nikt jeszcze nie oglądał, choć wszyscy kaleczyli już jej nazwisko.

Wyobraźnia przedstawia nam zazwyczaj bogatą Angielkę w dwojaki sposób: albo jest to coś okrągłego, tłustego, czerwono-niebieskie-go, nieforemnego i okropnego, przedziwnie poobwijanego w śmieszne falbany, lub też coś bardzo długiego i chudego, czarnego i kościstego, na dwóch cienkich nogach dziwnie podskakujących przy chodzeniu, w kraciastym płaszczu i śmiesznym słomkowym kapeluszu z zielonym woalem. Ponadto istnieje mniemanie, że bogata Angielka musi być koniecznie stara.

Pojawienie się lady Frances wywołało furorę. Towarzystwo miremonckie, ujrzawszy prześliczną jak zjawisko młodą kobietę ubraną ze skromną prostotą, pobożnie klęczącą w ławce, zapomniało, że znajduje się w domu bożym, cisnąć się do najlepszych miejsc, skąd można by dobrze widzieć czarującą cudzoziemkę. Nawet

zakrystian odwrócił się trzy razy, zapalając świece, a sam czcigodny staruszek proboszcz uległ chwili roztargnienia na progu zakrystii.

W kolatorskiej ławce, obok dwóch panów de Belcamp i Zuzanny, siedziała panna Żermena z ojcem i Jania Herbet <z ciotką i bratem. Była jeszcze blada, ale zdążyła szepnąć przyjaciółce:

– Uzdrowił mnie.

Roberta nie było wśród nich, choć zazwyczaj młody człowiek znajdował się w pobliżu ślicznej Jani. Tym razem wszedł do kościoła prowadząc pod rękę starszą kobietę, ubraną na czarno modą wieśniaczek, dziwnie jednak dystygowaną, wysoką, o smutnej rasowej twarzy, dumnej widocznie, że syn nie wstydził się tak skromnej matki.

Msza zaczęła się. Gdy wytworne towarzystwo z Miremont nasyciło oczy lady Frances i jej toaletą, postanowiło "pokazać się" cudzoziemce. I już podczas Ewangelii wszyscy pozowali, a każdy żywił tajemną nadzieję, że zwrócił na siebie wyłączną uwagę pięknej Angielki.

Cudzoziemka jednak pozornie nie zwracała uwagi na otaczające ją osoby, choć spojrzenie jej pobiegło kilkakrotnie w głąb nawy, jak gdyby kogoś wypatrując. Tej samej nocy zdawało jej się w tajemniczym wartowniku rozpoznać młodzieńca, który tak zaprzętał jej myśli od czasu wypadku z karnecikiem.

Gdy nabożeństwo dobiegło końca, Frances skierowała się ku wyjściu. Przy drzwiach hrabia Henryk czekał, by podać jej święconą wodę oraz przeprowadzić do powozu. Cudzoziemka odjechała nie zamieniwszy z nikim słowa.

Po jej odjeździe rozwiązały się języki.

– Wcale nie jest tak dobrze ubrana – oświadczyła pani Côlestin.

– W bardzo złym guście – dodała pani Besnard, podobna do wystrojonej na niedzielę przekupki.

– Jest piękna jak anioł! – zawołała gorąco panna Żermena.

– O tak – zawtórowała Jania, a blade jej policzki pokrył rumieniec, gdy odpowiadała na ukłon hrabiego Henryka – jest niezwykle piękna!

– No, cóż, drogie panie – markiz podszedł do towarzystwa – los nie mógł lepiej nam się przysłużyć jak zsyłając tę uroczą sąsiadkę.

– O tak – odparła pani Côlestin – to bardzo dystygowana dama.

Postanowiono więc jednogłośnie nie stosować przepisów sztywnej etykiety wobec tak uroczej osoby. Na całym świecie istnieje zwyczaj, że pierwszą wizytę składa nowo przybyły, lecz hrabia Henryk, któremu ślepo ufano, zaopiniował, że zwyczaje angielskiej arystokracji są odmienne i zachęcił, by wszyscy udali się złożyć uszanowanie tak szlachetnej damie.

Hrabiego Henryka wydelegowano w roli ambasadora, by przygotował cudzoziemską lady na sąsiedzkie odwiedziny, po czym wszyscy udali się piechotą lub powozami do nowego zamku. Robert Surrisy, odprowadziwszy matkę do domu, spotkał całe towarzystwo nad brzegiem rzeki i przyłączył się do znajomych.

Nowy zamek, choć budowla nowoczesna, miał w fasadzie tak modną niegdyś rotundę w stylu Pompadour. Ponad nią znajdował się duży taras dominujący nad całą doliną, obramowany nimfami ze stiuku. Dla posiadania podobnego tarasu, niejeden z mieszkańców Miremont sprzedałby duszę diabłu!

Lady Frances i hrabia Henryk stali na tarasie, by nacieszyć wzrok prześlicznym zaprawdę widokiem. Nie chodzi tu jednak o pejzaż, lecz o całe świetne towarzystwo podążające ławą do zamku.

– A jeśli panna Tempie zobaczy dziecko? – spytała Frances.

– Nie zna go – odparł hrabia. – Nie widziała od dnia urodzenia.

– Biedna matka – szepnęła Irlandka.

– Uwaga – zawołał nagle Henryk – oto awangarda. Przypatrz się dobrze, Saro, a przyznasz, że wybrałem ci przystojnego kawalera.

– Zawrócić mu w głowie – szepnęła – a gdyby kara spotkała mnie ze strony tego, którego kocham?...

Henryk udał, że nie słyszy. Całe Miremont wchodziło właśnie w aleję parkową.

Powozy zostały za bramą.

– Oto mój ojciec – powiedział Henryk.

– Poznaję, widziałam go już dwa razy.

– Czy widzisz parę idącą za nim, Saro?

Lady Frances nie odpowiedziała. Policzki jej zbladły, a cała krew odpłynęła do serca. Parę tworzyli Jania i Robert. Dusza lady Frances skupiła się w oczach.

– Czy widzisz? – spytał Henryk udając, że nie dostrzega jej wzruszenia.

– Widzę – odpowiedziała przesuwając ręką po oczach. – Jaka piękna i jak musi być kochana!

W tej chwili Jania, wsparta na ramieniu Roberta, wchodziła do salonu.

– Kto? – spytał Henryk obracając się ku niej zdziwiony.

– Czy jestem dostatecznie ładna? – szepnęła spuszczać oczy.

– Nie ima na świecie piękniejszej od ciebie – odpowiedział z przekonaniem, spoglądając ze szczerym podziwem na śliczną dziewczynę. Mówił prawdę. W tej chwili bił z niej wprost niezemiński urok.

– Spełnię twą wolę, Henryku – powiedziała dziwnie skupionym tonem – i jeśli to ode mnie zależy, przysięgam, że mnie pokocha!

13. Obiad

Wszystko tego dnia było zachwycające i począwszy od mera, całe Miremont straciło po prostu głowę. Jeszcze nigdy tutejsze "towarzystwo" nie brało udziału w takiej fecie! Miremont poczuło się nagle wielkim miastem, nieomal stolicą. Lady Frances podbiła wszystkie serca.

Markiz de Belcamp, oczarowany wdziękiem i urodą pani domu, snuł już słodkie marzenia przyszłości, widząc w niej oczekiwaną synową, a sympatia, jaką Angielka okazywała Jani, szczególnie go ujęła. Gdy lady Frances podeszła do dziewczyny siedzącej między Robertem a bratem i pytając o zdrowie, ujęła obie jej ręce, Jania zarumieniła się, a Robert, napotkawszy spojrzenie pięknej uwodzicielki, nie wiedział, czemu serce szybciej mu zabiło.

Co niedziela markiz podejmował obiadem miremonckie towarzystwo; gdy lady Frances przyjęła zaproszenie, entuzjazm zebranych nie miał wprost granic.

Wszyscy więc opuścili biały pałacyk udając się do zamku Belcamp. Lady Frances zajęła miejsce w powozie markiza. Nigdy żadna dama z Miremont nie dostała podobnego zaszczytu.

Pani Etienne przeszła samą siebie. Widziała przed kościołem powóz Angielki i dowiedziała się już, że nowo przybyła ma kucharza. Postanowiła więc pokazać, co potrafi kobieta! Kuchnia pani Etienne wyglądała tego dnia jak pobojuwisko: połowa drobiu leżała pokotem. Monumentalny rożen, obracany za pomocą kołowrotu, kręcił się z głośnym skrzypieniem, a olbrzymie rondle, błyszczące jak złoto, ńnuciły na ogniu swawolną piosenkę. Julek i Anusia, tonąc w powodzi piór i pierza, klócili się zawzięcie. Wszędzie leżało oskubane ptactwo, na patelni skwierczało smażone masło, a w tropikalnej temperaturze kuchni, wśród nieopisanego bezładu, królowała pani Etienne, czerwona, spokojna i skupiona.

Piękny był to widok, gdy dwadzieścia kilka osób, w tym proboszcz i stary wiejski nauczyciel, zasiadło do stołu uginającego się pod ciężarem potraw i przysmaków. Lady Frances znalazła się po prawej ręce markiza. Hrabia Henryk, zarówno jak pani Etienne, prze- iszedł samego siebie, a jego werwa do reszty podbiła serca obecnych.

Przez cały czas obiadu przy stole panowała szalona wesołość, mimo zwykłej niedyspozycji pani Morin, która choć wielkiej tuszy, miała zwyczaj jeść tak żarłocznie, że już w połowie obiadu zaczynała chorować. Nie dała jednak za wygraną i znowu chwyciła widelec, by uczciwie zarobić na poniedziałkową niestrawność.

Markiz podziwiał dowcip sąsiadki, która z siedzącym naprzeciw niej hrabią prowadziła błyskotliwy dialog. Robert, choć nie zapominał o Jani, brał również ożywiony udział w rozmowie. Jania jadła mało; chwilami smutek pokrywał jej śliczną twarzyczkę, to znowu wrodzona wesołość brała górę i dziewczyna wybuchwała śmiechem z dowcipnych odpowiedzi hrabiego lub Roberta. Chorobliwa bladeść prawie znikła, a wielkie oczy pełne były blasku. Dwóch mężczyzn poszukiwało wzrokiem jej spojrzenia: Robert i hrabia Henryk, lecz unikała obu.

Żermena za to, której Laurent szeptał coś z zapalem, nie mogła oderwać oczu od hrabiego Henryka. Wreszcie znecierpliwiony młodzieniec zapytał:

- Tak bardzo panią interesuje, panno Żenmeno?
- O, nie – odparła. – Jest zbyt piękny, zbyt śmiały, zbyt drwiący.
- Ależ nie drwi z nikogo...
- Wszystko jedno... Boję się go.

Laurent westchnął.

Gdy podano ostatnie danie, markiz zadzwonił i kazał sprowadzić panią Etienne. Wspaniała kucharka oczekiwała wezwania. Weszła z uniesionym 'kokieteryjnie fartuchem, w białym czepeczku, z dumnym uśmiechem na ustach.

Jest to stary francuski zwyczaj i wiele rodzin przywiązanych do tradycji stosuje go do dziś dnia. Markiz nałożył pełny talerz, a hrabia nalał szklanek wina.

— Pani Etienne – powiedział markiz – wszyscy są zachwyceni pani sztuką. Proszę spróbować swej kuchni i wypić za nasze zdrowie.

Pani Etienne jedną ręką ujęła szklankę, a drugą talerz. Policzki jej przypominały sos pomidorowy. Była naprawdę wzruszona. Skłoniła się siedzącym, a głos jej lekko drżał, gdy odpowiedziała:

– Dziękuję panu markizowi i panu hrabiemu. Takim panom przyjemnie dogodzić. Po czym złożyła piękny ukłon i dumnym krokiem wróciła do kuchni.

Na kawę wszyscy przeszli do ogrodu. Hrabia Henryk, widząc, że Robert podał ramię Jani, poprowadził miss Tempie. Markiz zajął się lady Frances.

– Otrzymałam dziś list od ojca – powiedziała Zuzanna, gdy zstępowali ze stopni ganku. – Po powrocie z Londynu przyjedzie mnie odwiedzić.

– Ach!... – zainteresował się młody hrabia. – Gregory Tempie jest w Londynie? Kiedy wyjechał?

– Wczoraj wieczorem.

– A wraca?

– Nie wiem.

– Dziękuję. – Ton, jakim to powiedział, zmroził krew w żyłach biednej Zuzi. – Dobrze pani zrobiła uprzedzając mnie, dziękuję. Być może spotkamy się z pani ojcem, ale spotkanie to nie będzie niebezpieczne ani dla mnie, ani dla niego. Zresztą to zależy od okoliczności. W każdym razie pani rola może ulec zmianie. Wydam odpowiednie instrukcje. – I skłoniwszy się odszedł.

Markiz eskortował lady Frances do stolika, gdzie podano kawę. Henryk, zręcznie manewrując, przysunął się do młodej kobiety i szepnął:

– Muszę pomówić z Janią, zajmij się Robertem.

– Co mam robić? – spytała rumieniąc się.

– Powiedz ojcu, że doskonale opowiadam interesujące historie... A gdy opanuję uwagę tych pocziwców... Czy mam ci przypominać, że jesteś kobietą, i to kobietą niezwykle piękną?

– Nie... – szepnęła — wiem Już o tym. – Po czym, wskazując oddalającego się Henryka, zwróciła się do markiza:

– Drogi sąsiedzie, założę się, że nie zna pan wszystkich talentów pana hrabiego.

– Czy śpiewa? — zawołał markiz. – Gra na Jakimś instrumencie? Mamy tu skrzypce i klawesyn z czasów Jana Jakuba i czasem tańczymy. Jest nawet gitara...

– To niepotrzebne!... W Londynie błyszczał podczas ostatniego sezonu... Niech nam coś opowie.

– Henryku! – zawołał markiz wstając.

Wszystkie spojrzenia poszły za nim. Rodzina Chuumeron skorzystała z nieuwagi gospodarza, by napełnić kieszenie cukrem. Pani Chaumeron miała już na sobie kilogram różnych artykułów .spożywczych, wśród których nie brakło nawet dziadka do orzechów.

– Henryku – mówił tymczasem markiz – dowiedziałem się od milady, że tej wiosny robiłeś w Londynie furorę...

– Czym, na Boga, drogi ojcze?

– Nie udawaj skromnisia... opowiadaniem historii.

– Zna pan opowieści o duchach, panie hrabio? – zawołała najstarsza panna Chaumeron. – A może o złodziejach? – poddała śliczna Żermena.

– Historie pana hrabiego – wtrąciła lady Frances – równie jak on pochodzą z końca świata.

– No, chłopcze!...

– Jestem gotów, ojcze... Nie wiem tylko, czy się państwo chcą śmiać...

– Nie zaszkodzi pośmiać się po obiedzie – zauważył dobrodusznie proboszcz.

– Panie hrabio, coś strasznego! – nalegała Żermena.

– Siedząc wśród tylu pięknych dam – zaczął hrabia Henryk – myślałem mimo woli o innych posiłkach, jakże różnych, które jadałem daleko stąd, w Australii... Przed trzema laty opuściłem Londyn, udając się w podróż dookoła świata. Gdy okręt nasz przybił do Wyspy Świętej Heleny...

– Widział pan wyspę? ~~ posypało ślę ze wszystkich stron.

– Dwa razy – odparł Henryk.

i– Ale Bonapartego jeszcze tam nie było?

– Za pierwszym razem nie... Ale potem cesarz zamieszkiwał już nędzną pustelnię Longwood.

– Widziałeś go, Henryku? – spytał markiz.

– Tak, ojcze.

li – Synowi« Murklzy

Iftl

Hrabia Henryk de Belcamp rzadko wypowiadał zbędne słowa. Jednym więc spojrzeniem upewnił się, że to, co powiedział, nie poszło na marne, lecz dotarło do właściwych uszu, gdyż Robert, Laurent i Fórumdeau słuchali go z zapartym tchem.

– Gdy byłem tam pierwszy raz, wyspa należała jeszcze do Towarzystwa Indyjskiego. Przyjechałem chory, a pielęgnowano mnie w domu sir Edmunda Balcomba, angielskiego kupca, który następnie odstąpił swój dom Napoleonowi, nim urządzono rezydencję w Łon– gwood. Wieści, jakie nasz statek przywiózł z Londynu, pograżyły w bólu rodzinę kupca. Oto syn, Percy Balcomb, młody człowiek rokujący wielkie nadzieje, został w Anglii skazany i deportowany do Nowej Południowej Walii.

Interesy powoływały mnie do Australii i z wdzięczności przyrzekłem biednym rodzicom, że zrobię, co będę mógł, by zobaczyć się z ich synem i ewentualnie ulżyć jego losowi. Po długiej i ciężkiej . podróży zawiniliśmy do Port Jackson.

Wiemy, że Nowa Południowa Walia jest częścią Nowej Holandii, czyli Australii, skolonizowanej przez Anglików, którzy zsyłają tam skazańców. Nie jest to, prawdę mówiąc, raj. Administracja angielska robi, co może, by złapać na lep fałszywych obietnic osadników z różnych krajów Europy i jak aptekarze, co wychwalają maści na l katar, opłaca anonse w gazetach, wydaje książki, przedstawiając w najróżowszych barwach krajobraz i klimat tych ziem. Nie spotkałem jednak australijskiego osadnika, który by rad był ze swego losu.

Na dawnych mieszkańców tego kraju, czyli Murzynów, poluje się iz nagonką w lasach jak na dzikiego zwierza, pod pretekstem, że wałęsają się po ziemi przodków, kradnąc od czasu do czasu barana z olbrzymich stad, żyjących na ich własnych pastwiskach. Ponadto są tam skazańcy, traktowani w teorii z pewną humani- tamością, w praktyce jednak poddani najbardziej opłakanej samowoli. Myślę, że dotąd moja historia nie wydała się państwu wesoła, każde opowiadanie powinno jednak zaczynać się wstępem.

Pewnego upalnego dnia, z początkiem jesieni, wprowadzono mnie do letniej siedziby sir Aleksandra Tukey, dyrektora więzienia w Newcastle. Posiadałem listy polecające, rzecz niezbędna w każdym kraju podległym Anglii. W Australii, jak w Londynie, człowiek nie przedstawiony traktowany jest jak Irlandczyk lub pies. Dyrektor przyjął mnie uprzejmie, gdyż moje listy pochodziły od znakomitych osobistości; pytałem go naturalnie o młodego Percy Balcomba, pracującego w tutejszych warsztatach więziennych.

– Ho, ho – odpowiedział. – Doskonale się miewa. Ten zuch, choć, jak twierdzi, niewinny, źle skończy! Wolałbym tuzin prawdziwych łajdaków niż jednego z tych zbrodniarzy, których wy uwielbiacie w Europie i robicie bohaterami idiotycznych tragedii. Czy pan mnie rozumie? Wolałbym stu morderców niż jednego “niewinnego przestępcę”.

– Gdyby jednak sprawiedliwość myliła się... – podesunąłem.

Dyrektor wzruszył tylko ramionami i spytał, czy osobiście interesuje mnie Percy Balcomb, skazany przez sąd przysięgłych, który pracując jako kasjer w firmie swego wuja przywłaszczył znaczne sumy.

Na moją twierdzącą odpowiedź wziął duży słomkowy kapelusz i prosił, bym poszedł za nim.

Był to skończony dżentelmen. Po drodze poczęstował mnie cygarem, informując się jednocześnie o nazwiska zwycięzców w wyścigach w Epsom. Więzienie położone o pół mili od Newcastle dotyka państwowej fabryki lin okrętowych, a ta z kolei znajduje się na małym przesmyku prowadzącym na półwysep Morris. Półwysep ten to podłużny pasek ziemi, gdzie nic nie rośnie, ani drzewo, ani trawa; stoi tam jedynie forteca, rodzaj poprawczego domu dla opornych.

Przechodząc przez przesmyk dyrektor zwrócił moją uwagę na wał obronny, odwachy oraz dwa rzędy psich bud. Były tam dwa garnizony strażników i psów dla pilnowania tej piaszczystej łąchy. Forteca znajdowała się w środku półwyspu. Dokoła, wzdłuż wybrzeży, stały budynki strażnicze i psie budy. W tamtych stronach pies to najlepszy przyjaciel człowieka, jeśli ten ostatni jest dozorcą więziennym. Wszystkie psy pochodzą z Anglii, wolnego kraju, i są szczególnie cenione podczas polowania na Murzynów.

Weszliśmy do fortu, który wydał mi się doskonale strzeżony podwójnym ogrodzeniem z pni gumowca. Spytałem dyrektora, po co tak daleko posunięty system obronny.

– Mimo wszystko łajdaki uciekają! – odpowiedział.

Czarny kapral w czapce policjanta, z gołymi nogami, w podartej koszuli, na której naszyte były wełniane galony, przyprowadził Percy Balcomb, przystojnego młodzieńca o inteligentnej twarzy, z której biła najwyższa rozpacz. Czytałem w angielskich książkach gwałtowną krytykę kajdanów, jakie skazańcy noszą na nogach... Nie staję w ich obronie. Percy Balcomb miał skute ręce i zsiniałe napiętki, a jego szyja tkwiła w żelaznej obręczy. Wobec tego jestem zdania, że napaści angielskiej krytyki są niczym innym jak złośliwym żartem.

Dyrektor bardzo uprzejmie zezwolił mi na pięciominutową rozmowę ze skazańcem bez świadków. Powiedziałem biedakowi, że przybywam z polecenia matki. Omal się nie rozplakał. Zapytałem, czy mógłbym coś dla niego uczynić. "Jestem niewinny, klęę się Bogiem – powiedział – wolę śmierć niż te tortury. Jeśli jest pan przyjacielem moich rodziców, proszę z zapadnięciem nocy czekać z koniem w zaroślach, na południowym cyplu od warsztatów po- wroźniczych".

– Uczynię to – powiedziałem cicho, a głośno dodałem, gdyż dyrektor zbliżał się z zegarkiem w ręku: – Cierpliwości i odwagi.

– Założę się, że mówił panu o swej niewinności! – zawołał dyrektor biorąc mnie pod ramię. – Każdy inny więzień poprosiłby o tytoń i butelkę rumu..., nie mogę ścierpieć tych gagatków udających niewinne ofiary... Czy chce pan zobaczyć miejsce, gdzie Johna Smitha pożarły psy? Dzielne bestie!

-- Pożarły?

– No, niezupełnie... Murzyni uratowali szkielet... Ho, ho! John Smith to był zuch! Siedział tu za krzywoprzysięstwo... Czy zna pan londyński światek przestępczy? Wyznałem moją ignorację w tej dziedzinie.

– John Smith był zięciem i następcą słynnego Tomasza Paddocka, z knajpy Shaipera, i jak teść nosił przezwisko Jana Diabła. Gdy w Europie napiszą o tym w gazetach, jakiś inny przestępca nazwie się Janem Diabłem... O, to było tu!

To mówiąc wskazał miejsce, gdzie świeżo poruszono piasek. Była to mogiła Jana Diabła.

– Przebył oba ogrodzenia – podjął dyrektor. – Potrzebował już tylko skrzydeł, by dopaść wybrzeża, gdy zaatakowały go psy. Nalu-Dweru, czarny kapral, strzaskał mu głowę, a psy pożarły nogi i ręce... Biedny John! Ten przynajmniej nie zanudzał nikogo swą "niewinnością"!

Taka była mowa żałobna na cześć Johna Smitha, przezwanego Janem Diabłem. W powrotnej drodze przyglądałem się z uwagą obronnemu systemowi fortecy. Pierwszy raz widziałem Percy Balcomb, i sam nie wiem czemu, uwierzyłem w jego słowa, miałem absolutną pewność, że nie kłamie. Wydawało mi się niemożliwością, by ta szlachetna twarz należała do złoczyńcy. Być może zaważyła tu wdzięczność, jaką czułem do jego rodziny. W każdym razie zrodziła się we mnie niewytłumaczona sympatia do więźnia, który zaprzął moje myśli. Zrozumiałem, że zrobię wszystko, by go uratować. Jednocześnie żałowałem obietnicy danej nieszczęśliwemu, wiedząc, że ucieczka kończyła się niechybną śmiercią. Dyrektor był zachwycony zainteresowaniem, jakim obdarzyłem system obronny półwyspu, i szeroko rozwodził się nad funkcjonowaniem wszystkich urządzeń.

– Bez balonu nikt się stąd nie wydobędzie – zakończył.

Opuścił mnie, by osobiście dopilnować odjazdu grupy "opornych", wysyłanych nazajutrz na wyspę Norfolk, wśród których znajdował się także biedny Percy Balcomb.

' Już o dziewiątej wieczór wyjechałem z Newcastle. Kupiłem dwa doskonałe konie i zapuściłem się samotnie w sawannę, porośłą karłowatymi mirtami, zwanymi tam krzewami herbacianymi. Tak dotarłem do celu nocnej wycieczki O dziesiątej byłem już

na stanowisku, dwieście kroków od południowego cypla ogrodzenia fabryki powrozów i w takiejże odległości od brzegu morskiego. Przez dwie godziny kryłem się wraz z końmi w gaju akacjowym. Przygotowany byłem na długie czekanie. W ciemnościach nocy widziałem światła półwyspu Morris, a chwilami dobiegały mnie głosy czarnych strażników i szczekanie psów. Widziałem je, te wielkie chude bestie, systematycznie głodzone. Czyż tej nocy uraczą się ludzkim mięsem? Niebo zasnuły czarne chmury, a około jedenastej pierwsza błyskawica rozdarła ciemności. O północy nie było już światła ani głosów: ludzie i psy spali. Nagły ulewny deszcz przemoczył mnie w jednej chwili do nitki. Jednocześnie huknął piorun i niebo stanęło w ogniu. Gdy grom ścichnął, posłyszałem w oddali krzyk i ujadanie psów, głos trąbki oraz kilka wystrzałów w kierunku półwyspu. Deszcz lał strumieniami. Poczujęm nieodpartą chęć pośpieszyć na pomoc nieszczęśliwemu. Morze podnosiło się z hukiem, to już nie była ulewa, znajdowaliśmy się w samym środku trąby powietrznej. Zdawało mi się, że krzyki i ujadanie psów oddalają się od fortu; widocznie zbieg prowadził pogoń na najbardziej wysunięty cypel półwyspu. Grunt, że Percy jeszcze żył.

Tak minęło pół godziny. Po szalejącej burzy nastąpiła straszna cisza. Wydawało się, że to koniec. Serce rozrywało mi piersi. Wtem posłyszałem odgłos kopyt końskich na piasku i grupa jeźdźców przeleciała koło mojej kryjówki. Posłyszałem, jak mówili:

–Zabił kaprała... jest w wodzie... Dwadzieścia pięć funtów nagrody dla tego, kto go dostanie!

W chwilę potem brzeg morski zaczernił się konnymi, a sfera psów rzuciła się w wodę. Wskoczyłem na siodło, gdyż wraz z pojawieniem

WWW

się psów i ja byłem zagrożony. Trzeba było odciągnąć pogoń od miejsca spotkania. Wyjechałem z lasu, prowadząc za uzdę drugiego-, konia i pogalopowałem prosto na południe. Wkrótce pozostawiłem żołnierzy fortu w tyle. Zsiadłem więc z konia, przywiązałem wierz-, chowce do krzaków i pędem puściłem się ku brzegowi; miałem za pasem cztery pistolety. Wszedłem do wody robiąc wiele szumu i o pięćdziesiąt kroków ujrzałem żołnierzy, którzy już mnie zauważyli. Dałem ognia z czterech pistoletów po kolei, jak gdyby ktoś odpowiadał na moje strzały. Tłum pognął natychmiast w tę stronę; przywołując psy. A ja jechałem już w kierunku akacyjnego zagajnika.

Manewr ten miał na celu ułatwić Percy'emu wylądowanie. Gdyby jednak przybył za późno, psy zwęszyłyby jego ślad. O wszystkim decydowały sekundy. Posunąłem się na opustoszałe wybrzeże, krzycząc ile sił w płucach:

– Percy! Percy Balcomb!

Wszelkie środki ostrożności wydawały mi się zbyteczne.

– Cicho! – posłyszałem obok siebie, a obróciwszy się, ujrzałem ciemną postać na siodle zapasowego konia.

– Percy, czy to pan? – spytałem sparaliżowany zdumieniem.

– Ja, niech Bóg panu wynagrodzi. ;– Po czym chwycił moją rękę. Oddałem uścisk.

– Żegnaj! – szepnął.

– W drogę! – odpowiedziałem. I popędziliśmy przez zarośla. W ten sposób z własnej woli stawałem się wygnanym wyjętym

spod prawa. Dlaczego to zrobiłem? Nie wiem. Są takie dziwne chwile i dziwne czyny, których nie potrafimy wytłumaczyć. Badość rozpierała mi serce, a nieznane niebezpieczeństwa czały się w mroku...

Hrabia Henryk zamilkł dla nabrania tchu. Na jego młodzieńczych ustach błąkał się rozmarzony uśmiech. Spod przymkniętych powiek błysnęło czujne spojrzenie, ujrzał, jak lady Frances zagłębiła się ścieżką w park, a obok niej szedł Robert Surrisy.

14. Pod znakiem Australii

Zielony salon dziwny przedstawiał widok. Zafascynowani opowieścią słuchacze siedzieli bez ruchu i inikt (nie zauważył odejścia Roberta i lady Frances. Hrabia Henryk umiał opowiadać, umiał trzymać słuchaczy pod czarem przedziwnie melodyjnego głosu. Gdy zamilkł, nikt się nie poruszył, nikt nie odezwał. W ogólnej ciszy słycać było jedynie chrapanie braci Bondon.

– Do licha, chłopcze – szepnął wreszcie markiz – pewnego dnia musisz mi opowiedzieć wszystko o sobie!

– Kiedy zechcesz, ojczu. – Po czym mówił dalej: – Przez trzy śmiertelnie długie godziny mieliśmy za plecami całą sforę; miękki piasek, zmoczony ulewą, tłumiał stukot kopyt końskich, dzięki czemu mogliśmy nasłuchiwać odgłosów pogoni. Następowало nam na pięty ze dwunastu białych żołnierzy wraz z gromadą czarnych. Burza zamiast cichnąc zdawała się rosnąć i chwilami w świetle oślepiających błyskawic cały horyzont stawał przed nami w ogniu. Pędziliśmy prosto na zachód, by wydobyć się z niskich zrosli krępujących ruchy koni i dotrzeć do drzew gumowych. Z braku gwiazd kierowaliśmy się wiatrem, który wiał z południa, gdyż czuliśmy go na lewym policzku; gdyby się zmienił, ryzykowaliśmy, że zabłądzimy i w to samo wrócimy miejsce. Nie zamieniliśmy dotąd ani słowa. Po trzech godzinach wydobyliśmy się na otwartą przestrzeń. Gdy huragan zmiotł na chwilę chmury, ujrzeliśmy niebo, a to wystarczyło, by nas utwierdzić w kierunku ucieczki. Konie pędziły teraz galopem, a gdy przystanęliśmy po trzech kwadransach, otaczała nas niczym nie zmacona cisza. Deszcz ustał. Konie napiły się wody z licznie rozlanych kałuż i zaczęły łzczyać wilgotną trawę.

– Czy pan też ma powód do ucieczki? – spytał Percy, a na moją przeczącą odpowiedź, zaczął mnie gorąco namawiać, bym wrócił do Newcastle, gdy jeszcze nie było za późno.

– Zatrzymując się w powrotnej drodze na Wyspie Świętej Heleny, chcę donieść pańskiej biednej matce, że syn jej płynie do Eu- ropy odpowiedziałem.

– Cóż oni dla pana zrobili?... – szepnął.

jjj Bulion i mółka – odparłem, gdyż nie był to odpowiedni moment na roztkliwianie się. – W drogę!

O zmięzchu ujrzeliśmy uprawne pólka nad brzegiem niewielkiego stawu oraz zabudowania gospodarskie. Była to posiadłość osadnika. Rozwaliłem nogą drzwi stajni i na oczach przerażonego parobka wymieniłem zmordowane konie na świeże wierzchowce. Tego dnia przejechaliśmy przeszło piętnaście mil.

Czuliśmy się doskonale i pamiętam, że przemierzając pustynne słone piaski, śpiewaliśmy na całe gardło z radości. Błady młodzieniec z półwyspu Morris zmienił się do tego stopnia, że sir Aleksander

Turkey, dyrektor więzienia, niełatwo by go rozpoznał. Byliśmy podobni turystom podróżującym dla własnej przyjemności, którzy wyruszyli z całą karawaną, by odkryć wnętrze lądu Australii. Leżały przed nami olbrzymie połacie nieznanych ziem i może kiedyś nazwą je "Ziemią Belcampa" lub "Balcombiją". Proszę zauważyć, jak podobnie brzmią nasze nazwiska, mają ten sam szkielet, jeśli przyznać rację gramatykom, gdy twierdzą, że kośćcem słów są spółgłoski.

Wierzyłem w niewinność Percy'ego, zanim jeszcze opowiedział mi swą historię. Częste pomyłki sądowe u naszych sąsiadów mają tę dobrą stronę, że każdy skazaniec zachowuje pewnego rodzaju "prawo do wątpienia w sprawiedliwość". Teraz, gdy to państwu opowiadam, Percy wolny i zrehabilitowany stoi na czele jednego z najpoważniejszych w Londynie domów handlowych, a sędziowie przysięgli, którzy go niegdyś skazali, nie dorośli mu do pięć.

– Czy go poznamy?— przerwał markiz. .

– Wie, że wróciłem do domu – odparł Henryk – a w ostatnim liście pisze, że ma zamiar wpaść na tydzień, “by uściskać twego, drogiego ojca¹”, to jego słowa. Być może, źle zrobiłem – dodał z uśmiechem – tak go wychwalając, gdyż jesteśmy do siebie zdumiewająco podobni... naturalnie nie jak sobowtóry, tym niemniej podobieństwo jest uderzające... Gdyby Balcomb był blondynem lub „ja szatynem, moglibyśmy prawie rywalizować z panami Bondon.

– Czy jest żonaty? – spytała najstarsza z panien Chaumeron. Pytanie to wśród ogólnego zgietku pozostało bez odpowiedzi.

–Osiem dni – podjął hrabia – jechaliśmy na zachód. Na szczęście byliśmy jeszcze zaopatrzeni w żywność. Percy Wierzył w swoją gwiazdę i nie wątpił w sukces naszej ucieczki. Mieliśmy rzeczywiście szczęście: jeśli w tych okolicach znajdował się samotny doni kolonisty, trafialiśmy do niego nieomylnie, a gospodarz pytał nas: “Kto wskazał wam drogę?”

Dziewiątego dnia u osadnika w Rhode Stream, osiemdziesiąt mil od Newcastle znaleźliśmy gazety z Sydney gdzie ogłoszono nagrodę stu gwinei za głowę Percy'ego. Zdziwiliśmy się, kto mógł przybyć tu przed nami? Rhode Stream jest dopływem rzeki Macquarie. Okazało się, że gazetę przyniosło koczownicze plemię czarnych, którzy odpłynęli rzeką. Przyjęliśmy zaproszenie na nocleg, by Murzyni mieli czas oddalić się. Za dziewięć gwinei kupiliśmy świeże konie, po czym odjechaliśmy.

Mieliśmy do wyboru dwie drogi: przeciąć Australię wszerz, z południa-wschodu na północo-zachód, by poprzez zupełnie nieznanne ziemie dotrzeć do portu Keats, lub ruszyć na południe i omijając

miasto Bathurst, przebyć rzekę Maccuarie i dojść do Lachlan, skąd rzeką Murray dostalibyśmy się do Adelaide. Wybraliśmy drugi kierunek i z dużym zapasem żywności, lekkim sercem, z piosenką na ustach wyruszyliśmy na południe. Sądziliśmy, że koczownicze plemię pozostało daleko za nami. Jednakże już pierwszego dnia, w odległym buszu, ujrzeliśmy słupy dymu bielejące na ołowianym niebie. Popędziliśmy konie, czarni szli pieszo, mieliśmy więc nadzieję wyprzedzić ich dość szybko. Piętnaście lub dwadzieścia mil od Bathurst przebyliśmy rzekę Macquarie nie spotykając nawet cienia Murzyna; lecz każdego ranka budząc się widzieliśmy na horyzoncie słup dymu, zdający się nas gonić. Było jasne, że tubylcy posuwali się naszym tropem. Mieliśmy pistolety i zapas amunicji. Dopóki konie mogły nas nieść, zwycięstwo wydawało się możliwe. Wiedzieliśmy jednak, że czekają tylko, aż wyczerpią się siły naszych wierzchowców.

Koń Percy'ego padł piątego dnia po wyruszeniu z Rhode Stream. Od czterdziestu ośmiu godzin nie napotkaliśmy źdźbła trawy. Percy siadł za mną wraz z pakunkiem żywności, a dzielne zwierzę szło jeszcze dwa dni z podwójnym ciężarem. Gdy padło, zasypaliśmy je piaskiem i objuczeni poszliśmy dalej. Spodziewaliśmy się dotrzeć wkrótce w okolice Lachlan, gdzie było wielu osadników.

Następnego wieczora, przystanąwszy znużeni i głodni na skraju kępy sosen, ujrzeliśmy czarne punkciki na piaszczystej równinie.

Jesteśmy w przededniu Austerlitz! – powiedział ze śmiechem Percy. §J§ Jutro bijemy się. Postarajmy się wyspać.

Nocą mogliśmy być spokojni, gdyż w ciemnościach nie sposób szukać śladów« Daleko na południe czerniała linia drzew gumowych, a tym samym sąsiedztwo wody. Gdy ściemniło się zupełnie, zebraliśmy bagaże i mimo zmęczenia powlekliśmy się ku lasowi. W dwie godziny potem znaleźliśmy się pod sklepieniem trzy razy wyższym niż sklepienie najwyższej katedry, zatrzymaliśmy się u stóp drzewa - olbrzyma, którego gładki i lśniący pień strzelał wysoko w niebo, a aiiie objęłoby go sześciu ludzi.

t- Gdybyśmy wdrapali się na szczyt tego olbrzyma – powiedział Percy – moglibyśmy wytrzymać oblężenie Murzynów całej Australii!

Wyjąłem z podróźnej torby parę stalowych rękawic zaopatrzonych w pazury oraz specjalne ostrogi z rzemieniami. Kupiłem to wszystko w Sydney po przyjeździe do Australii, mając zamiar zrobić wycieczkę do środka lądu. W trzy minuty potem siedziałem już na pierwszej gałęzi, dziewięćdziesiąt stóp nad ziemią. Zrzuciłem rękawice i ostrogi, a po chwili Percy znalazł się przy mnie. Gałęzie przy pniu były tak grube, że człowiek mógł wygodnie się położyć. Zjedliśmy kolację z pozostałych resztek żywności i podeślawszy płaszcz usnęliśmy spokojnie.

Nazajutrz u stóp drzewa w cieniu rozłożystych konarów ujrzelśmy kłębiące się mrowie tubylców. Był jasny dzień. Naliczyliśmy co najmniej dwustu Murzynów, mężczyzn, kobiety i dzieci. Wałęsało się wśród nich ze dwadzieścia chudych i wyleniałych psów na cienkich wysokich nogach, o dzikim i krwiożerczym wyglądzie.

Murzyni spostrzegli nas, gdy zaciekawieni zbiorowiskiem wychyliliśmy się z naszego balkonu, zaczęli dużo mówić, po czym wzięli łuki i strzelali w naszym kierunku; jedna strzała utkwiała o kilka cali od mojej głowy. Wdrapaliśmy się jeszcze wyżej, gdzie byliśmy zupełnie bezpieczni.

Zaraz po przybyciu do Port Jackson postarałem się trochę zapoznać z językiem tubylców. Rozumiałem więc, co mówili nasi prześladowcy. Przybyli z daleka, szli naszym śladem i często powtarzali "pieniądze", przy tym to ostatnie słowo wymawiali po angielsku "money". Byli to dzicy na drodze do cywilizacji, gdyż rozumieli już, że za garść funtów szterlingów można sprzedać dwie ludzkie istoty. Obiecywali sobie wrócić do Sydney z naszymi głowami i kupić sto litrów brandy. Ale nie tak łatwo było obciąć nam głowy. Oblegającym, równie jak obleganym, groził głód, jednakże my mieliśmy broń palną. Czarni rozpalili ognisko i tańczyli dokoła, ciesząc się z góry na tak wielką ilość wódki.

Gromada liczyła około trzydziestu mężczyzn, ze dwudziestu starców, sześćdziesięcioro dzieci i ze czterdzieści kobiet młodych i starych, ponadto było tam trochę kalek o wychudłych i wyschłych członkach, przy normalnie rozwiniętym korpusie. Niektórzy na cienkich nogach dźwigali monstrualnych rozmiarów torsy i ramiona niezwyklej grubości. Angielscy lekarze nie zdołali jeszcze odkryć przyczyny tych chorób, które czarni (przypisują zemście złych duchów[^]

– Słuchaj, Henryku – powiedział nagle Percy – czy miałbyś odwagę położyć trupem tych biedaków?

– Do licha – odparłem – rozumiem, co myślisz i podziwiam twą humanitarność, ale mam coś innego do roboty na tym świecie niż posłużyć na kupno wódki dla tych bestii... nie dostaną mnie, to ci obiecuję!

W tej chwili siekiery zastukały o pień naszego drzewa. Drewno gumowca jest bardzo twarde i odporne. Sądziliśmy z początku, że pragną ściąć olbrzyma, co zabrałoby im z tydzień czasu, oni jednak odłupywają szerokie pasy gładkiej kory ma pokrycie kleconych chat, gdyż rozłożyli się obozem. Przed każdym namiotem zapłonęło ognisko i zaczęła się pora przygotowywania posiłku.

Nie ma na świecie ziemi skąpszej w pożywienie. Oprócz kangurów, których liczba stale maleje, dzikich psów dingo, wiewiórek, oposów, kilku gatunków małp, papug i rzadkich ptaków wodnych, nie kończące się lasy Nowej Holandii pozbawione są zwierzyny: niewdzięczna ziemia porośla krzewami mirtowymi nie rodzi żadnych dzikich jarzyn; krzewy dają drewniane jagody, a nawet drzewa mają kamienne owoce!

Nadzieja, by oblegający ustąpili przed głodem, okazała się płonna. Na każdym ognisku piekł się wielki kawał świeżego mięsa, wycięty z jakiegoś wielkiego zwierzęcia. Woń pieczenia mile potęchtała nam powonienie. Łajdaki odkopali mego konia i wszystkie smażące się befsztyki były moją własnością.

Posiłek składał się nie tylko z końskiego mięsa; były tam jeszcze owoce polowania: dwa psy dingo, z tuzin papug, koszyk żab, misy pełne żywych robaków, żmij, skorpionów i wianek wspaniałych pajaków. Te ostatnie zjadano na surowo i widzieliśmy długie robaki ziemne zwijające się w ustach jak żywy makaron. Naturalnie kobiety nie zakosztowały tych przysmaków.

Wydawało się, że Murzyni zapomnieli o naszej obecności. Około drugiej po południu ostrzelali drzewo z łuków, po czym legli przy ogniskach.

– Jestem głodny – powiedział Percy – pójdę i ja na polowanie. – To mówiąc wdrapał się na wyższe gałęzie. Poszedłem jego śladem, a znalazłszy się wysoko – nasze drzewo górowało nad innymi – ujrzałem niespodziewany widok. O jakie czterysta kroków płynęła rzeka Lachlan, której ciemne wody powiększyła niedawna ulewa. Na południe, w odległości mili, rzeka nagle skręcała, ginąc za wzgórzami. Na prawo od zakrętu las przerzedzony ręką człowieka dotykał zabudowań. Gdyby poprzedniego dnia starczyło nam sił do dłuższego marszu, byłibyśmy ocaleni! Przynajmniej nie zagrażaliby nam Murzyni, choć mieszkańcy osady, kto wie, może również zechcieliby zarobić sto funtów nagrody.

Gdy przyglądałem się siedzibie ludzkiej tak bliskiej, choć chwilowo nieosiągalnej, strzał z pistoletu tuż nad moją głową o mało nie strącił mnie na ziemię. Percy wydał okrzyk triumfu, a iście diabelski wrzask odpowiedział mu z obozu.

Percy zabił w dziupli ogromnego oposa wielkości zająca. Na drzewie nie brakło suchych gałęzi. Myśliwskim nożem oprawiliśmy zwierzątko i na ogniu rozpalonym w zagłębieniu zielonego konara upiekliśmy wspaniałą pieczeń. Po czym usadowiliśmy się na balkonie, by wypalić cygaro.

Murzyni poszaleli. Siekierami walili w drzewo, starając się wydrążyć rodzaj stopni, by dostać się na górę.

Jeszcze tego wieczoru usiłowali wdrzeć się na drzewo. Nie potrzebowaliśmy nawet używać pistoletów: dwie długie żerdzie posłużyły nam jako lance do spychania śmiałków.

Na szczęście mieliśmy wodę, gdyż w zagłębieniach drzewa ostatnie deszcze pozostawiły spory zapas cennego płynu. Z nadejściem nocy postanowiliśmy ułożyć się do snu, lecz poczuliśmy nagle zapach palącego się drzewa. Wychyliwszy się z kryjówki ujrzałem, jak czarni, obłożony pień suchym drewnem i gałęziami usiłowali podpalić nasze schronienie. Według moich obliczeń mieliśmy tylko dobrą chwilę czasu. Nie mogliśmy wahać się dłużej, należało za wszelką cenę przerwać dzieło zniszczenia. Strzeliliśmy prawie jednocześnie, trafiając w głowę dwóch Murzynów. Reszta znikła w oka mgnieniu, a przedśmiertny krzyk niósł się długo lasem. Żony zabitych wrzeszcząc odciągnęły trupy za włosy, intonując żałosny hymn. Ale ognisko u stóp drzewa nie wygasło, gdyż dzieci dorzucały paliwa. Nie mogliśmy przecież strzelać do małych dzieci!

Około północy przekonałem się, że choć ogień prawie nie tknął kory, wewnątrz pnia szła jakaś głucha i groźna robota, coś jakby skarga olbrzyma, jak jęk agonii i skwierczenie wnętrzości. Jednocześnie pot śmiertelny pokrywał drzewo. Gałąź, na której siedzieliśmy, stała się nagle wilgotna i śliska. Wielkie krople gumi spływały jak łzy po korze. Ze szczelin wydobywały się jak gdyby wzdychania, a kawałki kory odpadały z jękiem. Na chwilę przed świtem posłyszeliśmy trzask u korzeni drzewa i poczuliśmy dygotanie całego olbrzyma.

– Zabiję dzieci, jeśli się zbliżą – zawołałem. Malcy uciekli, mężczyźni chcieli zmusić ich do powrotu, lecz kobiety stanęły w obronie dzieci. Gdy słońce wstało, ujrzałem ciała kobiet leżące na piasku. Około południa pień zaczął płonąć. Zjedliśmy resztki oposa, po czym zaczęliśmy radzić. Mieliśmy dwie drogi: dać się usmażyć jak kotlety lub spowodować ogólną rzeź. Wówczas nastąpiło olśnienie. Na jednej z głównych

gałęzi długości najwyższej europejskiej topoli siedział opos, przypuszczalnie samiczka zwierzątko, któreśmy zabili.

Opos rozumiał, że nie potrzebuje obawiać się ludzi w dole, a gdy zobaczył, że siedzimy bez ruchu, posunął się gałęzią, lekki i zwinny jak ptak. Śmignął w górę i wkrótce znalazł się na szczycie drzewa. Widzieliśmy jego falujący ogon, podczas gdy pyszczek ginął w dziupli, gdzie widocznie znajdowało się gniazdo. Posłyszeliśmy pisk, po czym śliczne zwierzątko zbiegło niżej, wyraźnie zaniepokojone. Patrzyliśmy jak urzeczeni. Opos obiegnął pień wydając kilka pisków, po czym znowu posunął się poziomą gałęzią, wskazując nam drogę do ocalenia, mimo że zabiliśmy jego towarzysza!

Przeniknął mnie dreszcz. Droga wskazana przez oposa była wąska i trudna; zdalna raczej dla wiewiórki niż dla człowieka; jednakże z napiętą uwagą śledziliśmy odwrót zwierzątko, a gdy skoczyło na gałąź sąsiedniego gumowca, pięćdziesiąt stóp nad ziemią, wymieniliśmy spojrzenia pełne ulgi. Mieliśmy już gotowy plan ucieczki. Musieliśmy czekać nocy. Drzewo przeżywało tymczasem wszystkie fazy pożaru. Większość korzeni pękała, wydając huk podobny do wystrzału. Rozłupany w wielu miejscach, pień stał jeszcze mocno, ale drzewo było już martwe, a zwiędłe liście zwisały dokoła nas.

O zmierzchu Murzyni przenieśli obóz pod inne drzewo. Noc zapowiadała się niezwykle ciemna. Raptem coś trzasnęło i z pnia wyleciała ogromna wiązka iskier, gdyż jeden z czarnych rzucił w drzewo rozpaloną głownię. Rozległy się okrzyki radości i nasi prześladowcy, pobudzeni nadzieją nadchodzącego święta, puścili się w piekielny taniec dokoła ogniska.

Był to najodpowiedniejszy moment do ucieczki. Uścisnęliśmy sobie ręce, umocowaliśmy pistolety. Każdy z nas wziął jedną rękawicę i jedną ostrogę. Wyryliśmy dokładnie w pamięci kształt gałęzi, która miała nas doprowadzić do ocalenia, nie wiedzieliśmy tylko, czy najcieńszy jej koniec utrzyma ciężar człowieka. Musieliśmy iść po kolei. Panowały kompletne ciemności. Czołgałem się powoli po konarze, który przez jakieś trzydzieści stóp nie drgnął nawet pod moim ciężarem. Zachowywałem wszelką ostrożność i Murzyni nie podejrzewali niczego. Czterdzieści stóp od pnia poczułem, że konar zaczyna się lekko uginać. Jeszcze trochę a znalazłbym się w kręgu światła bijącego od ogniska. Widok naszego drzewa był przerażający. Mniej więcej sześć stóp dzieliło mnie w linii poziomej od dość grubego konaru sąsiedniego drzewa. Wahaniem się, gdyż średnica ruchomego mostu zmniejszała się szybko i mogłem już objąć go ramionami. Pełznąłem dalej, a gałąź gięła się stopniowo, tak że wreszcie mogłem przedostać się na sąsiednie drzewo nie zwróciwszy uwagi oblegających.

Wydałem wówczas krzyk podobny do pisku oposa, gdyż taki był nasz umówiony znak, i natychmiast posunąłem się po gałęzi; by oddalić się od bandy. Na krzyk oposa prześladowcy znieruchomieli nasłuchując, czy głos się powtórzy. Wiedziałem już, że uwaga czarnych była zbudzona i podróż Balcomba stawała się o wiele trudniejsza.

Po upływie pięciu minut uchwyciłem ledwie słyszalny szelest: to Percy czołgał się po konarze. Czarni pozornie nie zwrócili na to uwagi. Jednakże dziesięciu wojowników, chwyciwszy oszczepy i maczugi, znikło w gęstwinie. Po czym znowu zapanowała cisza. Gałąź, na której siedziałem, lekko się ugięła, a po chwili przysunęła się do mnie ciemna postać.

– Część ich odeszła – szepnął Balcomp – skorzystajmy z okazji.

Spojrzałem raz jeszcze na obóz i nie wiem czemu, panująca w nim

cisza wydała mi się dziwnie groźna. Nie było czasu na wahania. Zaczęliśmy opuszczać się wzdłuż pnia. Musieliśmy działać w największej ciszy. W połowie drogi Balcomb rzekł nagle:

– Co tam leży w dole na piasku, pod nami?

Spojrzałem we wskazanym kierunku i ujrzałem ciemne jakieś przedmioty, które poprzednio wziąłem za głązy lub plamy mchu i ziemi, choć w promieniu stu mil wokół nas nie było ani jednego kamienia, ani źdźbła mchu, ni atomu ziemi. Przeniknął mnie chłód do szpiku kości, gdyż zrozumiałem, że byli to Murzyni, którzy odeszli z obozowiska i czekali na nas pod nowym drzewem.

■– To krzaki – odpowiedziałem. – Posuwajmy się dalej.

Są takie chwile, gdy nawet myśl o śmierci nie jest straszna. Nie pomyślałem o powrocie na szczyt drzewa. Co by nam to zresztą dało? Murzyni podpaliliby drugiego olbrzyma i tym sposobem przedłużylibyśmy tylko nasze męki. Należało wszystko postawić na jedną kartę. Zsuwałem się pierwszy. Znalazłszy się dwadzieścia stóp nad ziemią, zawiąłem lewą ręką trzymając się drzewa, a prawą wbiłem nóż w korę, by oprzeć na nim kolano, po czym pomagając sobie zębami wyjąłem pistolet. Na hałas, jaki robiłem, Balcomb zatrzymał się.

– Uwaga, Percy! – wrzasnąłem z całych sił, celując w czarne głązy. – Przygotuj się do skoku! – Po czym dałem ognia. W tej chwili poczułem ból w ramieniu i w udzie, a drzewo zadrżało pod wściekłymi ciosami oszczepów i siekier.

Murzyn, w którego celowałem, padł jak długi, reszta zaś, zgodnie z ich zwyczajem, rozpiezchła się na boki, kryjąc się za pniami sąsiednich drzew. Prawie jednocześnie znaleźliśmy się na ziemi. Byłem tak szczęśliwy mając znowu pod stopami twardy grunt, że nie czułem bólu. Usiedliśmy, by odpiąć ostrogi; dokoła nie było żywej duszy. Po chwili usłyszeliśmy ponury krzyk i strzała furkocząc przeleciała obok mojej twarzy.

– Otóż i oni! – powiedział Balcomb.

Rzeczywiście, wrogowie zbliżali się, poprzedzani chmarą strzał, trzymając na smyczy wygłodzone psy. Dziesięć kroków od nas zatrzymali się wymachując oszczepami i spuścili zwierzęta.

Gdyby nie żelazne rękawice zakończone stalowym pazurem, psy rozszarpałyby nas w mgnieniu oka, jednakże przeorywaliśmy napastników wbijając noże myśliwskie w serca bestii. Zabiliśmy w taki sposób pięć psów i czterech ludzi w pierwszym natarciu. Dwa razy oszczep famł mnie w pierś. Percy był lżej ranny, ja za to krwawiłem obficie i czułem, jak siły mnie opuszczają. Gdy nabijałem drugi pistolet, kręciło mi się w głowie.

– Słuchaj, Percy – powiedziałem – pewnie się rozstaniemy, oddałbym resztę krwi za kroplę wody!

W tej chwili usłyszeliśmy wybuch i słup ognia wystrzelił wysoko w górę. Cały las stanął w płomieniach i ziemia zadrżała pod ciężarem padającego olbrzyma. Drzewo runęło p naszym kierunku, osypując nas żarzącymi się odłamkami. Męczyło mnie takie pragnienie, że chwilami traciłem przytomność. Tymczasem psy, popędzane oszczepami, zaatakowały nas znowu. Nie miałem sił bronić się i wnet zostałem powalony, czując na sobie ociekające pianą pyski i przykry oddech bestii. Balcomb dał ognia z obu pistoletów i psy znieruchomiały w poprzek mego" ciała. Następnie wziął moje pistolety, usłyszałem jeszcze dwa strzały i głos Balcomb'a:

– Masz, Henryku, pij!

Zabił Murzyna, który miał manierkę u pasa. Przytknąłem łapczywie butelkę do ust: była to wódka. Wstąpiły we mnie nowe siły i gdy napastnicy ruszyli do ataku, rozlałem dokoła siebie kałużę krwi, siejąc zniszczenie. Po paru jednak chwilach czerwony welon przestonił mi wzrok, a maczuga Murzyna zaświszczała nad głową. Balcomb bronił mnie zaciekle i zanim straciłem przytomność, usłyszałem jak przez mgłę głosy

mówiące po angielsku, strzały... po czym trup Murzyna z maczugą przywalił mnie swym ciężarem.

W tym miejscu hrabia Henryk przerwał opowiadanie i wyciągnął rękę do markiza.

– W tej dopiero chwili – szepnął – pomyślałem o tobie, ojczu.

– Gdyby cię zabito, chłopcze! – odpowiedział markiz całując syna w głowę.

Wśród zgromadzonych panowała głęboka cisza.

– Proszę mówić dalej! – zawołała Żermena, a wielkie oczy błyszczały zza długich rzęs.

– Mało mam już do dodania – podjął młody hrabia. – Chyba tylko to, że mózg mój ogarnęło szaleństwo... czymże innym, jak wytworem chorobliwej fantazji, był obraz prześlicznej dziewczyny, która pochylała się nade mną ze współczującym uśmiechem... Czułem, że mnie ktoś podnosi, słyszałem głos Balcomba, słyszałem, jak mówił:

– Jeszcze oddycha!

Ale komu to mówił? Wtedy właśnie straciłem przytomność i nie ujrzałem już Percy'ego w Australii.. '

...Słońce przeświecało przez muślinowe firanki, za otwartym oknem kwitły bzy, świeży wietrzyk chłodził rozpalone czoło. Znajdowałem się w dużym pokoju, urządzonym z surową elegancją, a meble z białego klonu tchnęły niemiecką czystością. Czy śniłem? Nie umarłem, gdyż czułem ból. Rana w piersi piekła jak ogień. Gdy podniosłem rękę, odezwał się ból w ramieniu. Gdy się poruszyłem, zabolowało mnie udo. Wszystkie wspomnienia ożyły z gwałtowną siłą. Chciałem zawołać, ale zanim zdążyłem otworzyć usta, z obłoku białego muślinu wykwitł prześliczny uśmiech "jak promień słońca i łagodny głos, brzmiący jak dźwięk lutni, powiedział:

– Proszę się nie ruszać... jestem tu, by panu służyć...

15. Przepowiednia

Ostatnie słowa hrabiego Henryka wywarły dziwne wrażenie na słuchaczach. Markiz uśmiechnął się jak człowiek, który zgaduje romantyczną przygodę, śliczna Żermena rumieniła się ze wzruszenia jak różyczka, Jania zaś spuściła oczy, a śmiertelna bladeść pokryła jej policzki.

– Kimże była ta anielska wizja? – spytał po chwili markiz.

– Och, panie hrabio, proszę nas nie dręczyć! – prosiła Żermena.

– W całej tej historii tylko zakończenie jeet ważne – rzekł Henryk z rozmarzonym uśmiechem. – Ani podróż przez kontynent australijski, ani bitwa z dzikusami nie były godne uwagi...

– Do licha, chłopcze – przerwał markiz – czyż dopiero teraz nastąpią najciekawsze wydarzenia?

Nigdy nie słyszałem głosu tej dziewczyny – podjął opowiadający – a jednak miałem wrażenie, że gdzieś dawno znałem ten miły ja t^ogl^g_o^S Dziewczyna siedziała na berzerce, kilka kroków od mego profil^a Światło wpada^{te} przez okno rysowało na firance jej czysty

Balcomb... żyje? – spytałem.

Pan Percy Balcomb odpłynął wczoraj holenderskim statkiem do Stanów Zjednoczonych Ameryki – odpowiedział anielski głos.

– Czy pani go uratowała?

jjj Nie, mój ojciec... ale nie wolno panu mówić... mój ojciec jest lekarzem i nakazał panu spokój. Proszę się nie denerwować, opowiem wszystko sama...

Śliczna dziewczyna pochodziła z Niemiec, kraju, gdzie spędziłem najszcześniejsze lata młodości.

– Jest pani równie dobra, jak piękna... – szepnąłem po niemiecku. -:jjl Na próżno uczymy się angielskiego – odparła zarumieniona –

zawsze łatwo nas poznać po akcencie z Turynii... pana rany nie byłyby groźne, lecz czarni maczają ostrza oszczepów w soku pewnej rośliny, powodującej puchliznę i stan zapalny. Jest pan w domu doktora Schwartz z Saalfeld; ojciec mój włożył cały swój majątek w budowę szpitala i przybył tu, by odzyskać straconą fortunę... Nazywam się Georgelle i mam siedemnaście lat. Jestem zaręczona i mój narzeczony ma wkrótce przyjechać... Ojciec nawet myślał, że to na niego napadli Murzyni... Opowiem teraz, w jaki sposób uratowaliśmy pana. Od rana widzieliśmy w lesie słup dymu. Nasi pasterze donieśli, że to czarni. Mój ojciec nie pozwalał zaczepiać Murzynów, uważając ich za prawowitych dziedziców tej ziemi... Jednakże o zmroku jeden z naszych ludzi dał znać, że słyszał wystrzał. Są tu nieszczęśnicy niebezpieczniejsi od czarnych – to zbiegli przestępcy. Mój ojciec postanowił wyruszyć na rekonesans do zakrętu rzeki. Po zapadnięciu nocy wsiadłam na konia wraz z innymi, gdyż nigdy nie rozstaję się z ojcem. Gdy zbliżaliśmy się do lasu, wiatr przyniósł zapach spalenizny i echo wystrzału. Mieliśmy pięciu dobrze uzbrojonych ludzi. Ojciec kazał przyspieszyć kroku. Usłyszeliśmy jeszcze cztery strzały, tym razem wyraźniejsze, a po nich wrzaski. Popędziliśmy galopem. Gdy nastąpiła nagła cisza, nie wiedzieliśmy, w którym kierunku należy jechać, i niepotrzebnie przebyliśmy rzekę. Z drugiego brzegu ujrzeliśmy płomień pożaru i dobiegł nas gwar walki. Wróciliśmy do brodu, a strzelby naszych ludzi rozproszyły czarnych. Pan leżał zemdłony u stóp drzewa, a pański przyjaciel lamentował, że pan nie żyje. Dziś mija siedemnaście dni od owej chwili. Trucizna wywołała silną gorączkę... Pan Balcomb nie chciał wcześniej wyjechać, dopiero gdy ojciec zapewnił go, że niebezpieczeństwo minęło... To było cztery dni temu; gorączka spadła, ale był pan tak słaby, że najłżejsza nieostrożność groziła katastrofą. A teraz proszę spać i być grzecznym – to mówiąc siadła przy oknie z książką w ręku.

Uwaga, z jaką wysłuchałem tego opowiadania, wyczerpała mnie do cna. Leżałem obojętny, nie odczuwając bólu, zaskoczony jakby wspomnieniem przeszłości. Georgelle oczekiwała przyjazdu narzeczonego, ja też miałem przecież narzeczoną, dziwnie do niej podobną... narzeczoną z marzenia, gdyż z nikim nie byłem zaręczony. Żadna dotąd kobieta nie obudziła we mnie uczucia miłości, choć była to przemożna potrzeba mego serca. Bylibyśmy dla siebie wszystkim, lecz Georgelle miała narzeczonego, a moja narzeczona była do niej podobna. Rozdzielała nas podwójna miłość i choć tak sobie bliscy, staliśmy po dwóch przeciwległych brzegach przepaści...

Usnąłem nie tracąc jednak poczucia otaczającej mnie rzeczywistości, a raczej sen, który miałem, pomógł mi odczuwać rzeczywistość. Leżałem na łóżku, a Georgelle siedziała przy oknie czytając. W moim śnie Georgelle miała czarne włosy i także oczy, przy dziwnie białej cerze. Złożyła książkę, a ja wstałem i podszedłem do niej.

– Gzy ona umarła? – spytałem

Mówiłem o tej, która była do niej podobna. Georgelle potrząsnęła głową z uśmiechem.

– Dlaczego o niej zapomniałem?

– Jeszcze ona nie narodziła się dla ciebie — odpowiedziała, choć wargi jej pozostały zamknięte.

– Co to jest, Georgelle?

– Pamięć przyszłości...

– A on? – szepnąłem.

– Nigdy go nie widziałam – odpowiedziała z tym samym uśmiechem pewności – lecz wiem, że przybędzie, tak samo jak ty musisz ją spotkać. – Po czym oparła mi rękę

na ramionach i spojrzała głęboko w oczy. – Widzę go – powiedziała powoli – widzę go poprzez ciebie...

Ogarniała mnie senność. Ja również przez nią widziałem moją narzeczoną... W oczach, które już nie były czarne, lecz błękitne, odbijała się moja twarz...

Gdy się zbudziłem, Georgelle nie było w pokoju. Przy łóżku siedział nieznajomy mężczyzna w średnim wieku, o dobroduszej twarzy. Nieuchwytnie podobieństwo kazało mi odgadnąć w nim ojca Georgelle. Gdy otworzyłem oczy, dotknąłem jego puls.

– No, no, coraz lepiej – powiedział. Powrócił pan z daleka, drogi gościu. Trucizna używana przez Murzynów nie działa piorunująco, ale duża jej ilość dostała się panu do krwi... Jeśli pan ma apetyt, może pan coś zjeść... wolno też panu porozmawiać z moją biedną Georgelle.

Przymiotnik "biedna" został powiedziany dziwnym tonem, smutnym i czułym jednocześnie, a w ustach ojca brzmiał wielką boleścią. Na moje pytające spojrzenie doktor spuścił oczy i spytał cicho:

– Mówiła pewnie o narzeczonym?

§§| Tak – odpowiedziałem.

– Drogi panie – rzekł smutnie –ń wyjąwszy ten jeden temat, wybitna to inteligencja i wielki rozum... Zgaduje pan?

– Czyż tó możliwe? powiedziałem z niedowierzaniem.

– Nie jest to właściwe szaleństwo – ciągnął pan Schwartz – i wystarczyłoby uwierzyć, że oczekujemy przybycia z Niemiec narzeczonego mojej córki, jednakże z punktu widzenia medycyny nie ma żadnej wątpliwości: jest to wypadek aberracji umysłowej.

Poczułem chłód w żyłach.

i– Mam ją jedną na świecie – powiedział nagle mój gospodarz. – Matkę straciła wcześniej... Gdyby człowiek o szlachetnym sercu mógł : ją uleczyć, oddałbym wszystko, nawet życie.

W tej chwili usłyszeliśmy za drzwiami szelest sukni i weszła uśmiechnięta i zarumieniona Georgelle.

– Otrzymałam właśnie wiadomość – powiedziała rzucając się ojcu na szyję.

– Jaką wiadomość, dziecino? – spytał łagodnie, tuląc ją do serca.

– Wylądował w Sydney i wkrótce tu będzie.

Biedny ojciec odwrócił głowę.

Gdy zostałem sam, żyła we mnie jedna tylko myśl: ja też byłem szalony.

Georgelle zjawiała się wraz ze służącym przynosząc posiłek.

– Śniłem o pani – powiedziałem, gdy zostaliśmy sami.

– Wiem o tym – odparła – ja też zasnęłam nad książką, gdyż wiele nocy czuwałam przy panu. Pan podszedł do mnie i zobaczył ją, a ja widziałam jego...

-r- Skąd otrzymała pani wiadomość? – spytałem zdumiony.

•– Widzę go modląc się...

Tej nocy spałem zdrowym, pokrzepiającym snem. Nazajutrz rano doktor Schwartz zbadawszy mnie oznajmił:

– Georgelle spędziła przy panu jedenaście nocy na siedemnaście dni choroby...

Sądzi, że w panu kocha swój ideał... To nie ma znaczenia i jeśli miłość pana ją uleczy... – a ponieważ milczałem, dodał: – Pochodzę z szanowanej rodziny, jestem lekarzem, za dwa lata będę bogaty, oddam jej wszystko, mnie wystarczy dyplom.

– Panie Schwartz – odpowiedziałem – uratował mi pan życie,

pańską córkę kocham jak siostrę. Proszę ją zapytać, postąpię zgodnie z jej wolą.

– Pan Balcomb powiedział, co pan dla niego zrobił.» inaczej nigdy bym się nie ośmielił... – i ze łzami w oczach dodał: – broszę być szlachetnym do końca; pan sam musi ją zapytać. _

W kilka minut później /ściskając rękę Georgelle w moich, dłoniach, spytałem, czy zechce zostać moją żoną. Spojrzała na mnie zdumiona i roześmiała się: ■-m. j|j

– Oj de.e uważa miife za wariatkę... – szepnęła. – Rozumiem wszystko, -i dziękuję: bardzo pan dobry.

Od tej chwili staliśmy się dla siebie bratem i siostrą.

Pan Schwartz wysłuchawszy mego opowiadania opuścił mnie zrozpaczony. Byłem jeszcze za słaby na podobne wzruszenia. Około północy gorączka wyrosła, zdrzemnąłem się -wyczerpany. I znowu ujrzałem Georgelle. ' iZi j-

– Proszę spojrzeć w kierunku Francji^r-^powiedała.

Ze wszystkich krajów Europy najmniej Z&ałem Francję, gdyż lata mojej młodości zbiegły w Szkocji, Niemczech i w Italii. "Spojrzałem więc w kierunku Francji", by użyć wyrażenia "biednie" "GfeioigeUe, i ujrzałem zieloną dolinę, przeciętą rzeką, na wzgórzu zamek,, 'w Zaftfu ku oj ca;-i-ty, ojcie, trzymałeś rękę Georgelle, a Georgelle' p^zy&óły-.. wała fiinie; z ^uśmiechem. Twój^ spojrzenie zdawało się: niówic: wracaj do nas, tu czeka cię szczęście..^v– JjifSSI^SFS

– Drogi ^raifo^cze Hj zawołaj ^arkiz, ^{na} P^żno usiłij^c stłfumić. wzruszeńief– półzukamy ci,twoją^eorgelle...

– A^Avlęc to Była George^^ – sapnęła Żermena... " - ^

Janir^nigdy nie [o4i?iiełaby się O^Jo zapytać, choć wstrzymała oddech, by wysłuchać odpowiedzi.

– Nie, to nie była Georgelle – odparł hrabia Henryk ze spuszczonej oczami. I zmieniając nagle ton,,dodał: – Pozostałem jeszcze trzy tygodnie u doktora Schwartz, a-jlcijka dni przed wyjazdem odwiedziłem miejsce, gdzie o mało wraz & Halcombem nie postradaliśmy życia. Po raz pierwszy doktor pozwolił mi dosiąść konia. Pojechaliśmy wszyscy troje. Usiedliśmy na pniu ogromnego gumowca, a dokoła nas białe kości. W chwili gdy .kończyłem historię podniebnej niewoli, wskazując gałąź służącą nam za. łóżko, Georgelle dotknęła nagle mego ramienia:

– Oto on! – powiedziała. Pan Schwartz sm^utno się uśmiechnął. – Oto on – powtórzyła wstając. – Wchodzi.dQu 4ómu. Chodź, ojcie, należy go powitać.

Musieliśmy, usłuchać i zawróciliśmy w stronę domu. W połowie drogi spotkał nas służący, wołając z daleka: r |

– Przybył jakiś cudzoziemiec!

Doktor Schwartz spojrzał na mnie zdumiony.

W bawialni oczekiwał nieznanemu młodzieniec, mniej więcej w moim wieku i mego wzrostu. Pan Schwartz przystanął w progu, a Geor- gelle bez wahania podeszła do gościa. Nie było między nimi żadnego porozumienia, za to rękę, gdyż zdumienie obcego dorównywało, a nawet przewyższało nasze zdumienie.

– Przybywam z Niemiec i jestem pańskim kuzynem – przedstawił się nieznanemu. – Mój ojciec, Leopold Reibar z Lipska, umarł zrujnowany. Przed śmiercią polecił mi udać się do pana. Jestem silny i odważny. Proszę dać mi pracę.

– Nigdy nie byłam wariatką! – wołała Georgelle wieszając się na szyi ojca. – Przywitaj go i daj pracę. Niech zostanie u nas i zdobędzie sobie żonę..., jak pańska żona zdobędzie pana, Henryku – dodała w moją stronę z promiennym uśmiechem.

Hrabia Henryk zamilkł. Robert, który właśnie wśliznął się między słuchających, powiedział coś szeptem na ucho Laurentowi, po czym obaj młodzieńcy oddalili się od towarzystwa. W ten sposób Żermena i Jania znalazły się obok siebie, badając się wzrokiem: Żermena była zaróżowiona, a Jania bledsza niż zwykle.

– No, chłopcze – zaśmiał się markiz. – Bardzo lubię tę panienkę z Niemiec, jak również jej kuzyna. Dobrze to zakończenie historii, oni się pobrali, ale ty?... Zapytuję więc ciebie w imieniu naszych dam, która z nich cię zdobędzie? – A zauważywszy lady Frances ukrytą za krzakiem bzu, zawołał: – Orkiestra! Milady raczy ofiarować mi pierwszego kontredansa!

Zgodnie ze zwyczajem, który utarł się w tych ostatnich dniach, Henryk podał ramię Zuzannie Tempie, kierując się aleją ku zamkowi.

– Miss Tempie – zapytał – czy niczego pani nie zauważyła w moim opowiadaniu?
– Czy to fantazja?

– To historia, która jak wszystkie historie, zawiera pewną dozę fantazji...
Opowiedziałem ją dla pani, miss Tempie.

– Dla mnie? – zdziwiła się.

– Nie domyśla się pani, co będzie mi zawdzięczała w przyszłości – powiedział cicho wstępując na stopnie ganku, a Piotr otwierał przed nimi podwoje salonu. – Ryszard Thompson wkrótce może potrzebować azylu... mój ojciec i całe towarzystwo oczekiwać będą gościa zwanego Percy Balcomb, którego portret, być może, rozpoznała pani w moim przyjacielu.

– Ryszard nie był skazany, jak Percy Balcomb – odpowiedziała z żywością.

– Moja historia jest raczej przepowiednią niż opowiadaniem – odparł łagodnie. – Dużo mogę, ale nie potrafię na przykład zapobiec pomyłce sądowej. – To mówiąc skłonił się przed Zuzanną.

Frances i markiz wchodzili do zamku. Na trawniku widać było grupki pozostałych osób. Henryk szybkim spojrzeniem obrzucił gości, a spostrzegłszy, że Robert mówił coś przekonywająco, czego Laurent słuchał bladej, ze spuszczoną głową i zmarszczonymi brwiami, uśmiechnął się z zadowoleniem.

Ferandeau i Zuzanna tworzyli orkiestrę. Jania siedziała między Żerraeną a ciotką. Robert i Laurent poszli prosto do pańienek.

– Doktorze! – zawołał wesoło markiz do syna – prosimy o lekarską paradę. Milady chce, by Jania była naszym vis & vis. Czy Jania może tańczyć?

– Tylko jeden kontredans – powiedział Henryk. – Zatańczę go z panną Janią. – To mówiąc ujął chłodną i drżącą rączkę dziewczyny. Robert i Laurent wymienili spojrzenia. Żermena nie chciała tańczyć.

Skrzypce i fortepian zagrały kadryla. Przez trzy pierwsze figury Robert i Laurent, ukryci we framudze okna, na próżno sondowali twarz Henryka. Hrabia zamienił zaledwie kilka słów z tancerką. Ale przy końcu trzeciej figury Henryk powiedział cicho:

– Dziewczyna, którą nazwałem Georgelle, w rzeczywistości nazywała się Janina, jak pani.

Ręka Jani, rozgrzana dłonią hrabiego, stała się znowu zimna jak marmur.

– Nie opowiedziałem całego snu – rzekł Henryk zaczynając czwartą figurę. A gdy podniosła pytający wzrok, szepnął: – Tę, którą mam kochać całe życie, ratowałem we śnie z ognia i wody... M

Była tak blada, że musiał podprowadzić ją do miejsca. Nic już więcej nie powiedział, tylko usiadł obok lady Frances.

– Czy rad jesteś ze mnie? – spytała Angielka.

– Byłaś wspaniała – odpowiedział nie spuszczać Jani z oczu. – Czy już cię kocha?

– Sam osądź: za cztery dni ma zamiar mnie porwać.

– Porwać? – powtórzył Henryk śmiejąc się.

– Ożyż mogę tu zostać, gdy on wraca do Paryża, by studiować prawo? – lady Frances pokazała w uśmiechu wszystkie ząbki.

- Słusznie – odparł. – I chętnie z nim pojedziesz?
 - | Opuściłam Paryż wbrew woli, aby być ci posłuszna – odparła poważnie. – Pojadę z radością.
 - W takim razie, droga Saro, ponieważ taki jest twój kaprys, oprócz zamku na wsi dostaniesz pałacyk w Paryżu... być może, i tam będziesz mi wkrótce potrzebna.
 - Chodźmy – powiedziała wstając. – Tańczę z panem Surrisy.
- Henryk poprosił Żermenę.
- Przy końcu kontredansa pani Cćlestin zreasumowała sytuację w ten sposób:
- Obie dziewczyny straciły głowę!
- Po skończonym balu Robert wyprowadził Laurenta na dwór. Była już ciemna noc.
- Żermena podobna do Jani – pinił się Laurent – i jeśli nie chcesz być moim sekundantem, poproszę Ferandeu.
 - Nie będziesz się bił z tym człowiekiem – powiedział Robert przez zaciśnięte zęby, chwytając przyjaciela za rękę.
- Czy ty mi zabronisz?
- Tak, ja, nawet gdyby... – tu zamilkł i zbladł.
 - Gdyby nawet?... – powtórzył brat Jani.
 - Uratował życie twojej siostrze – powiedział powoli Robert.
 - My zrobilibyśmy to samo!
 - 'Jest synem markiza de Belcamp...
 - To nie ma żadnego znaczenia!
 - Posłuchaj, Laurent, kochamy się jak bracia, prawda? Losy nasze jednakowe... twoją matkę zamordowano, mój ojciec również padł pod sztyletem zabójcy... Nawet gdybym musiał użyć siły, nie dopuszczę, byś się bił z hrabią de Belcamp; moja szpada zawsze stanie między wami!
- ### 16. Rycerze Róży i Krzyża
- O dziewiątej wieczorem markiz wracał wzgórzami z Zuzanną, odprowadziwszy gości do mostu przy młynie.
- Nie chcę wdzierać się w twoje tajemnice, dziecko – mówił ojcowskim tonem – choć przyznam, że jestem zaniepokojony... Miałem nadzieję, że Henryk potrafi cię rozweselić. Jest bardzo dla ciebie miły i nawet myślałem... wyznam ci, droga Zuziu, że gdybym był kobietą i miał dwadzieścia lat, oszalałbym na punkcie tego chłopca!
 - Szczęśliwy z pana ojciec – szepnęła Zuzanna ze smutnym uśmiechem.
 - A lady Frances? Czy nie zauważyłaś, jaka z nich śliczna para?
 - Nie – odparła Zuzia – nie pomyślałam o tym.
 - A czy pomyślałaś o naszej Jani?
 - Oby była szczęśliwa! – szepnęła młoda Angielka. – To dziecko ma anielską duszę.
 - O tak, ale poślubić hrabiego Henryka de Belcamp to nie nieszczęście... Jest co prawda, Kobert. Szkoda, że Henryk nie zajął się Zermeną. No, ale Laurent... Najważniejsze, by tu znalazł sobie żonę; to jedyny sposób, by go zatrzymać w zamku Belcamp.
 - Lady Frances ma ślicznego synka – zauważyła nieśmiało Zuzanna.
 - Dziwne, jak zawsze interesujesz się dziećmi. Będziesz dobrą matką, kochanie...
- Co takiego, Piotrze?
- Na ich spotkanie szedł lokaj.
- Ktoś czeka na pana markiza w sypialni – powiedział kłaniając się Piotr.
 - Kto taki?
 - Matka pana Roberta... czeka już od dłuższej chwili... Nie chciała wejść do salonu, powiedziała, że pan markiz wie, o co chodzi. Wobec tego poprosiłem ją do sypialni.

– Dobrze zrobiłeś, Piotrze... zupełnie zapomniałem... – twarz markiza zasępiła się.
– A tobie, dziecko – rzekł całując rękę Zuzanny – życzę spokojnej nocy i przyjemnych snów.

Angielka przytrzymała dłoń markiza.

– Chwileczkę – powiedziała prosząco – jestem niespokojna o ojca.

– Obiecuję ci, że jeszcze w tym tygodniu pojedziemy do Paryża
1 mimo zakazu zdobędziemy szturmem twierdzę kochanego Gregory Temple'a...

Dobranoc, dziecko. – Po czym żwawym krokiem skierował się na schody.

Po chwili wchodził do sypialni.

– Witaj, stara przyjaciółko – powiedział serdecznie – co cię sprowadza o tak późnej porze?

Matka Roberta Surrisy klęczała zatopiona w modlitwie. Gdy markiz wszedł, podniosła się powoli. Nosila się, jak zawsze, modą wieśniaczek, choć było w niej wiele godności i prawie klasztornego majestatu. Wyglądała na pięćdziesiąt lat, a cierpienie poryło jej twarz głębokimi bruzdami. Musiała być niegdyś piękną dziewczyną. Rysy twarzy były nadzwyczaj regularne, a nad wysokim czołem piętrzyły się zwoje szpakowatych włosów.

– Rzeczywiście, stara ze mnie przyjaciółka, Armandzie – szepnęła. – Przyszłam wcześniej, nie chciałam jednak psuć ci niedzielnego wypoczynku.

– Czyż kiedykolwiek odmówiłem ci czego, Magdaleno?

– ■ O nie, nigdy, zawsze byłeś dla nas dobry, Armandzie. Dzięki tobie mamy utrzymanie, ja i syn generała, który myśli, że maleńki ogródek matki przynosi dochód... Wszystko ci zawdzięczamy, wszystko...

– Zrobię jeszcze więcej, Magdaleno – powiedział gorąco. – Nie zapomniałem dawnych czasów i z całego serca kocham twego syna.

– Nie, nie – odparła czerwieniąc się – więcej nie można. Gdybyś robił więcej, chłopiec dziwiłby się i pytał, skąd mamy pieniądze... Przychodzę z o wiele ważniejszą sprawą... To dłuższa historia, czy zechcesz mnie wysłuchać, Armandzie?

– Mamy przed sobą noc.

– Potrzebuję twojej rady i pomocy...- Nim jednak zacznę, proszę cię, daj mi szlacheckie słowo, że nie zdradzisz sekretu.

– Do licha! – uśmiechnął się markiz – to coś bardzo poważnego.

– Bardzo – potwierdziła Magdalena siadając w fotelu, który jej podsunął. – Będę mówić, gdy otrzymam formalne przyrzeczenie dyskrecji.

– Dobrze, Magdaleno. Ty przecież bez żadnych obietnic dochowałaś niejednego bolesnego sekretu mego życia. To, co mi powiesz, pozostanie między nami, daję ci na to moje słowo honoru.

– Jestem twoją starą, choć bardzo skromną przyjaciółką, Armandzie, wdzięczną za twą przyjaźń, gdyż jest to wspomnienie twojej młodości, a mego dzieciństwa. Mówiłeś mi niegdyś, że rodzina Surrisy pochodzi ze szlachty. Wierzę jednak, że pewne rasy z góry skazane są na zagładę, i boję się, że podobnie jak ja, mój syn będzie wiecznie przegrywał w walce z życiem. Jako dwudziestoletni chłopiec ma już złamaną karierę.

Nie znasz smutnych dziejów mego serca. Gdy po raz pierwszy opuściłam Francję i w 1790 roku przybyłam do Londynu, miałam nadzieję, że zostanę twoją żoną... Tak, wzięłam na serio niewyraźną obietnicę uczynioną dziecku; było we mnie wiele ambicji i, być może, trochę miłości. Jednakże szybko straciłam złudzenia. Nie byłam za zdrosna o tę śliczną młodą kobietę, która została markizą de Bel-camp, i długo starałam się obronić ją przed nią samą.

– To prawda – przerwał markiz ze wzruszeniem – zawsze byłaś najwierniejszą, najbardziej oddaną i dyskretną przyjaciółką!

– Gdy mieszkałam w twoim domu jako dama do towarzystwa, czy też służąca, zwróciłam na siebie uwagę pewnego irlandzkiego szlachcica.

– Generał! – zawołał markiz. – Gzy przyszłaś opowiedzieć mi rzeczy równie dobrze nam znane?

-7- Powiedziałam ci na początku, że nic nie wiesz. Musisz teraz wysłuchać całej historii do końca. Gdy zmuszona byłam opuścić twój dom, gdyż spodziewałam się dziecka, od sześciu miesięcy byłam po ślubie... To cię dziwi? Widzisz, moje opowiadanie nie jest bezużyteczne.

– Dlaczego więc Robert nie nosi nazwiska ojca?

– Bo nie ma do niego prawa.

– Jak to? Jeśli, jak mówisz, wzięłaś ślub?

– Maurycy O'Brien nie miał wówczas majątku i nie był generałem – odpowiedziała kobieta, a na jej czole zaperliły się kropelki

potu.---Pragnął utrzymać nasze małżeństwo w tajemnicy, by mu

nie przeszkodziło w awansie. Posunęłam posłuszeństwo do tego stopnia, że

przyjęłam na siebie pozory hańby, nawet wobec najbliższych. Dla wszystkich i dla

ciebie, Armandzie, byłam matką nieślubnego dziecka.. Pamiętam, że zawsze nosiłam przy sobie akt ślubu i przyciskałam go do serca, gdy rumieniec wstydu zalewał mi twarz.

O'Brien wyjechał do Niemiec, uzyskawszy od cesarza dobre stanowisko, a my zostaliśmy w Londynie, oczekując, aż zabierze nas do siebie. Żyłam sama z moim małym Robertem, jedyną radością były listy męża, mówiące o naszym szybkim połączeniu.

Gdy zachorowałam, wzięłam do pomocy żonę pewnego Irlandczyka, który wyjechał wraz z Maurycym. Nie umiała ona czytać. Pewnego dnia dała mi list męża z prośbą, bym jej odczytała. Były to czasy kampanii włoskiej, mąż Peggy, opowiedziawszy o bitwach i przygodach, doszedł do Maurycyego, nazywając go pułkownikiem. Nie wiedziałam, że awansował. Zawołałam Roberta, by mu oznajmić dobrą wiadomość, ale chłopczyk zastał matkę zemdloną. W liście mąż Peggy pisał: "Za miesiąc rozłożymy się na zimową kwaterę za rzeką Isonzo, bliżej Triestu. Znajdujemy się na ziemi mlekiem i miodem płynącej. Pułkownik poznał tu pewną austriacką hrabinę, bogatą jak kopalnia złota. Wkrótce będzie weselisko".

Nie czekałam następnego dnia, by wyruszyć w drogę. Natychmiast wsiadłam do dylizansu jadącego do Plymouth, skąd wiele statków odpływało w kierunku Wenecji. W miesiąc później, mimo przeciwnych wiatrów i francuskich okrętów, byłam w Trieście. Kto wie, co by zaszło, gdybym zabrała ze sobą syna? O'Brien miał dobre serce. Ale z trudem zebrałam pieniądze na podróż.

Moje spotkanie z Maurycym było jedną z tych scen, których nie można zapomnieć. Udałam się do zamku hrabiny de Loeve, sześć mil od Triestu. Żenił się nazajutrz z Henriettą Boehm, wdową po hrabi de Loeve, bardzo piękną, dwudziestotrzyletnią kobietą, najbogatszą dziedziczką Niemiec po księżętach Lichtenstein.

Widok mój zdruzgotał Maurycyego. Pojawiłam się przed nim jak wyrzut sumienia. Zanim zdążyłam otworzyć usta, ujął obie moje ręce i zapłakał.

– Nasz mały Robert bardzo wyrósł – były to pierwsze moje słowa.

Podszedł de sekretarzyka, a we mnie zamarło serce, gdyż myślałam, że zaproponuje mi pieniądze. On jednak wyjął pistolet i przyłożył do skroni. Chwyciłam go za ramiona, rzuciłam się przed nim na kolana, by nie dopuścić do rozlewu krwi. Patrzył na mnie nieprzytomny.

Jesteś moją żoną – powiedział wreszcie przerywanym głosem — kocham cię... i kocham nasze dziecko... ale jestem ambitny... marzyłem... mam tylko trzydzieści lat... arcyksiążę Karol po ślubie mianuje mnie generałem, obiecał mi... za dziesięć lat będę feldmarszałkiem... Wyrwałaś mnie z marzeń i muszę zginąć.

Kochałam go, całe życie go kochałam. Dlatego jestem tutaj, gdyż dziś jeszcze kocham jego pamięć. Miałam jak zwykle przy sobie nasz akt ślubu; wyjęłam go i podałam. Padł mi do nóg.

– Przyrzeknij, że będziesz żyła! – zawołał.

–r Matki nie mają prawa umierać – odpowiedziałam.

Wróciłam do Londynu. On się ożenił, został generałem; byłby nim i bez tego. Wychowywałam Roberta. By opłacić szkoły, zostałam służącą, gdyż pieniądze męża budziły we mnie wstręt.

Gdy syn poszedł do wojska, wróciłam w ojczyste strony, na długo przed tobą. 16 marca 1812 roku do mego domu zapukał generał O'Brien, pytając o panią Surrisy. Poznałam go od razu, ale on mnie nie poznał. Nic dziwnego, posiwiałam w noc po wizycie w zamku Loeve; mając dwadzieścia pięć lat byłam staruszką. Gdy mu powiedziałam, kim jestem, zamknął drzwi i długo trzymał mnie w ramionach.

– Magdaleno – rzekł – zaryzykowałam wolność, by przyjechać do Francji. Gdyby ludzie znali prawdę, być może, osądziliby cię równie surowo, gdyż nie miałaś prawa poświęcać syna. Popęlniłem

zbrodnię, a ty byłaś moją współniczką, lecz kocham cię i podziwiam. Jestem wdowcem, przybywam zwrócić ci nazwisko, tytuł i majątek.

Porwał mnie w objęcia, choć miałam siwe włosy i policzki pobruź- dzone łzami! A on był młody i piękny. Henrietta Boehm umierając zostawiła mu część swej olbrzymiej fortuny.

Robert odbywał wówczas kampanię rosyjską i jako jeniec znalazł się we Wrocławiu. Generał chciał jednak widzieć go na naszym ślubie, który miał się odbyć natychmiast po przybyciu do Niemiec. Oczekiwaliśmy Roberta w Pradze, gdzie mieliśmy zamieszkać. Wszystkie dobra, które hrabina de Loeve zapisała generałowi, leżały w Czechach. Mój biedny Robert przez kilka dni posiadał dochody przewyższające dwa miliony florenów.

Praski uniwersytet cieszył się wówczas w Niemczech opinią najniesforniejszej uczelni. W 1810 roku tajne stowarzyszenie studentów zebrało się nad Wełtawą, by przyjąć postów podobnej organizacji z Mediolanu, i generał O'Brien, ówczesny komendant Hradczyna, rozpędził zgromadzonych na czele pułku Kroatów. Tajemnicze Bractwo Rycerzy Róży i Krzyża zaprzysięgło mu zemstę i umieściło na czarnej liście wrogów.

Trzech hrabiów Boehm studiowało w owym czasie na praskim uniwersytecie. Rodzina ich. zakwestionowała testament hrabiny de Loeve na rzecz męża i przegrała proces. W wigilię przyjazdu Roberta do Pragi, czyli w wigilię naszego ślubu, który miał być uroczyscie celebrowany w kaplicy Burgu, znaleziono generała Maurycego O'Brien nieżywego w łóżku. I gdy przyjechał Robert, radosny i szczęśliwy, zastał matkę we łzach u trumny ojca...

Magdalena zamilkła.

– To doprawdy tragiczna historia! – szepnął przejęty markiz.

Czy słyszałeś w Anglii o zbrodniarzu zwanym Janem Diabłem? – spytała nagle kobieta.

– Często, ale tego bandytę powieszono w Tyburn kilka lat przed wypadkami, które mi opowiedziałaś.

– On tam był – rzekła Magdalena – albo był to ktoś przezywający się Janem Diabłem i przybywał z Londynu. Podczas procesu kochanka jednego z hrabiów

Boehm zeznała, że ukryta w gabinecie w mieszkaniu wielbiciela słyszała, jak pewien młodzieńcy student, George Palmer, żądał dwustu pięćdziesięciu tysięcy florenów za oddaną przysługę. Młody człowiek powiedział: "To bardzo niska cena za pięć milionów". Gdy jeden z hrabiów Boehm spytał, czy ręka, która ma działać, jest pewna, młodzieniec odpowiedział tylko: Jan Diabeł.

– Czy Jan Diabeł zamordował generała? – spytał markiz.

– To tajemnica. George'a Palmera nie odnaleziono. Dziewczynę uwięziono za fałszywe zeznania, a hrabiów Boehm uniewinniono.

– Jaką bronią posłużył się morderca?

– Żadną. Na gardle zauważono tylko lekki ślad ucisku... Sędziowie zdecydowali, że przyczyną zgonu był atak apopleksji.

– A ty jesteś innego zdania?

– Jestem pewna, że go zamordowano... Jestem pewna, że trzy razy słyszałam głos mordercy; pierwszy raz w przeddzień zbrodni, raz w noc zbrodni i po raz ostatni wczorajszej nocy.

– Wczorajszej nocy? – zawołał markiz podnosząc się.

– Pierwszy raz było to przy wyjściu z kościoła Świętego Wita w Pradze. Za mną postępowała grupka studentów. Jeden z nich powiedział: "Proszę się zdecydować, ślub odbędzie się za czterdzieści osiem godzin i może być za późno..." Odwróciłam głowę, nie dlatego, by przestraszyło mnie groźne znaczenie tych słów, lecz uderzył mnie głos, przedziwnie melodyjny, cudowny głos, ponadto każda narzeczona, nawet gdy ma siwe włosy, interesuje się ślubem. Ponieważ było ciemno, w grupce młodzieży nie udało mi się dojrzeć żadnej twarzy. Nazajutrz po północy po raz drugi usłyszałam ten głos. Ga- binecik, w którym spał były węgierski podoficer, ulubiony służący mego męża, dzielił mój pokój od pokoju generała. Zapadałam już w sen, gdy usłyszałam głosy, a właściwie jeden głos, ten dziwnie piękny, słyszany poprzedniego dnia, który mówił: "Maurycy O'Brien, to od Rycerzy Róży i Krzyża z Pragi".

Nad ranem obudziły mnie krzyki służby, generał nie żył. Służący leżał spity do nieprzytomności. Nie było śladu włamania ani u drzwi, ani u okien. Na nocnym stolicku znaleziono kawałek pergaminu z następującymi słowami: "Maurycy O'Brien, to od Rycerzy Róży i Krzyża z Pragi". Słowa te wypisano węglem pod winietką przedstawiającą różę i krzyż.

Po raz trzeci... Pamiętaj, Armandzie, dałeś mi słowo, dlatego mówię tak szczerze: tej nocy w moim domku zebrała się najwyższa rada Bractwa Oswobodzicieli.

– Jak to! – zawołał markiz zrywając się z fotela – ten diabeł Robert...

– Nie mówię o Robercie, Armandzie – przerwała Magdalena wyniośle. –

Powtarzam, że dom mój wybrano jako miejsce spotkania wysoko postawionych osobistości.

– Czy słyszałaś, co knuli spiskowcy?

– Niepotrzebnie o to pytasz, Armandzie. Wiem tylko, że niektóre tajne stowarzyszenia mają szlachetne cele, każda jednak tajemnica lubi ciemności, a ciemność przyciąga złoczyńców. Maurycy O'Brien nie zginął z powodu politycznej zemsty, zabiła go ludzka chciwość. Targowano się o cenę śmiertelnego ciosu. Studenci czescy nie posiadają dwustu tysięcy florenów, by opłacić zbira. Rycerze Róży i Krzyża nie są złodziejami i nie ukradliby z sypialni zabitego in- teryczy z zapisem dla Roberta, uznanego za syna z prawego łóża; ponadto spod cesarskiej opieki w Reichstadzie nie porwaliby biednej piętnastoletniej dziewczyny; mówię o Sarze O'Brien, hrabiance Loe- ve, jedynej córce i spadkobierczyni Henrietty Boehm, drugiej żony mego męża... To nie Rycerze Róży i Krzyża odziedziczyli nasze dobra w Czechach; nie om weszli w posiadanie olbrzymich majątków młodej hrabianki Sary w Tyrolu, w Gorycji i w Istrii; starczyłoby tego dla dwudziestu książęcych rodów! Gdyby

posiadali podobne bogactwa, mogliby wystawić armię i wydać wojnę cesarzowi Austrii!... Nie, nie, to nie Rycerze Róży i Krzyża popełnili morderstwo, porwanie i kradzież.

Tej nocy w moim domu zebrało się dziewięć bohaterskich serc i jeden bandyta, gdyż tej nocy usłyszałam po raz trzeci głos mordercy.

–W takim razie – rzekł markiz – konspiratorzy, których nazywasz Bractwem Oswobodzicieli, należą do niemieckich Rycerzy Róży i Krzyża.

–Bardzo możliwe. Niektóre idee nie pozostają w granicach jednego kraju, lecz siecią swych członków obejmują cały świat.

– Czy podzielasz ich przekonania?

– Jestem wdową i matką. Z jednej strony, wspominam Maurycego, który ich zwalczał, z drugiej jednak, syn mój pragnie poświęcić im życie.

–Czegóż więc chcesz ode mnie, skoro słowem honoru przyrzekłem milczenie?

–H Jesteś bogaty, a ja biedna, jesteś potężny, a ja słaba. Nie żałuj danego słowa, ty i tak nigdy nie zdradziłyś... Osoby, które spotkały się w moim domu, już są bezpieczne... Powiem ci wszystko, abyś mógł pomóc mi odnaleźć mordercę generała O'Brien. Przedwczoraj o piątej po południu zjawił się u Roberta jakiś nieznajomy. Syn dał mi znak, bym wyszła z pokoju. Rozmawiali kwadrans, po czym nieznajomy siadł na konia i odjechał. Robert powiedział: "Będziesz spać tej nocy w moim łóżku, potrzebuję dolnej izby". Matki odgadną wszystko bez wyjaśnień, zrozumiałam więc, dlaczego Robert potrzebował mego pokoju. Nieraz już starzy żołnierze i młodzi szaleńcy spotykali się,

by pomówić o przeszłości i snuć plany na przyszłość... Nie obawiam się niebezpieczeństw, które zazwyczaj zagrażają tego typu konspiracji, lecz martwi mnie, że domek, w którym mieszkam, należy do ciebie, Armandzie, i że miałbyś prawo powiedzieć mi: "Czyż na to ja, wierny poddany króla, oddałem ci ten dom do użytku?"

– Gdyby ci szaleńcy nie byli tak słabi, podczas gdy król jest silny – rzekł łagodnie markiz – powiedziałbym to z pewnością.

– Pozwoliłam na wszystko – ciągnęła Magdalena .– gdyż nie chciałam wyjawiać mu prawdy, nie chciałam, by wiedział, że korzystam z twojej jałmużny... O dziewiątej wieczór weszłam na górę, do pokoju syna, sądząc, że i tym razem chodzi o podobne zebranie. Jednakże nim się położyłam, wyrzesałam przez okno i ujrzesałam błysk lufy.

– Są więc już uzbrojeni! – zauważył markiz.

– Nie ma się czego obawiać, Armandzie Chodzi o projekty na daleką przyszłość... dziwne projekty... mogą doprowadzić do nieobliczalnych rezultatów. Ale oni nie myślą o użyciu siły, przynajmniej tu, we Francji... zaraz dowiesz się, dlaczego na dworze błyszczą lufy... W owej jednak chwili nie wiedziałam i przestraszyłam się, ujrzawszy zbrojnych w ogródku i cienie zdążające do domku. Niepokój nie pozwolił mi położyć się. Przed północą usłyszałam tętent koni i w krótkich odstępach czasu przybyło ośmiu jeźdźców oraz starzec w lektyce. Dziesiątą osobą była kobieta. Północ już minęła, ale rzecz dziwna, Robert i kilku zbrojnych pozostało na dworze. Przed pierwszą przybył ostatni spiskowiec. Mówił po angielsku i serce we mnie zamarło, gdy usłyszałam jego głos, ten sam głos, który słyszałam dwukrotnie: przed kościołem w Pradze i w sypialni męża.

– Czy możesz być pewna po tylu latach? – spytał markiz.

– Za tysiąc lat, jeśli go usłyszę! Pozostaje w pamięci, gdyż niepodobny jest do żadnego głosu! Nawet wśród zgiewku Sądu Ostatecznego rozpoznam jego melodyjne brzmienie. To głos słodszy niż najczulszy szepot kobiecy, choć dźwięczy w nim metaliczna siła... Nienawidzę go, och, jak go nienawidzę! I boję się, gdyż człowiek ten w zbrodni musi być wielkim, i jeśli Robert stanie z nim twarzą w twarz!... Gdy usłyszałam ten głos, chciałam zbiec na dół i wezwać pomocy. Ledwie się

powstrzymałam. Muzyka tego głosu wzbudziła wszystkie straszne wspomnienia. Znowu ujrzałam sypialnię Maurycego... Cóż jednak miałam powiedzieć? Kim byli ci ludzie, których chciałam wezwać na pomoc? Byli uzbrojeni, a wiem, że zdrajcę karzą śmiercią. Kogóż by oskarżyli o zdradę, jeśli nie Roberta?

Przecież w jego domu- odbywało się zebranie i nikt inny nie powinien był o tym wiedzieć. Ponadto nie posiadałam żadnego dowodu. Najwyższy trybunał oświadczył przecież, że generał umarł śmiercią naturalną, a mordercę nazwał apopleksją!... Znasz, Armandzie, mój domek i wiesz, że pokój Roberta na górze łączy się z dolną salką wąskimi schodkami, prowadzącymi do alkowy. Nie byłam ciekawa tajemnic tych ludzi, jednakże musiałam zobaczyć twarz człowieka o dobrze znanym głosie, człowieka, który sprzedał życie bliźniego za dwieście pięćdziesiąt tysięcy florenów. Zeszłam cichutko i znalazłam się w mojej alkowie, oddzielonej od salki tylko zastoną. Położyłam się na łóżku i przyłożyłam oko do szpary między firankami. Wszyscy siedzieli dokoła stołu i wyraźnie ich widziałam, z wyjątkiem właśnie tego człowieka. Pewnie go szatan chroni!

– Czy siedział do ciebie plecami? – spytał z żywością markiz, któremu udzieliło się podniecenie Magdaleny.

– Gdyby tak było, czekałabym aż się odwróci, by zobaczyć choć jego profil, kolor włosów, cośkolwiek, najmniejszy znak. Ale niebyło tam dziewięć odsłoniętych twarzy; kobietę okrywała gęsta koronka, a twarz mordercy kryła czarna jedwabna chustka.

– W takim razie to dowódca! – zawołał markiz.

– Tak – odpowiedziała – to był dowódca.

– Czy wojskowy?

– Angielski marynarz.

– Anglik! – A w jakiej randze?

– Komodora.

– Niemożliwe! – szepnął pan de Belcamp. – To jeden z najwyższych stopni angielskiej marynarki, odpowiada naszemu kontradmirałowi.

– Choć jest wodzem – powiedziała powoli Magdalena –gi był najniższy pozycją ze wszystkich obojczych. Tej nocy w moim domku byli generałowie, jeden admirał, dawny minister, senator, paru książąt, kardynał.

Markiz zerwał się i zaczął chodzić po pokoju z oznakami wzburzenia.

– Tak wcześniej – szeptał – już teraz! – A zatrzymując się przed Magdaleną dodał:

– Czy mogłabyś podać mi nazwiska tych ludzi?

– Nie – odpowiedziała – tego robić nie powinnam.

– Przynajmniej nazwisko dowódcy?

– Owszem, gdyż liczę na twą pomoc... nazywano go komodorem Davy.

– Davy! – powtórzył pan de Belcamp. – Znałem w Anglii rodzinę Davie... również Davys, ale Davy!... Komodor Davyl... No, trudno, mów dalej, Magdaleno.

– Skończyłam – odparła kobieta – nie muszę ci wyjaśniać, dlaczego w ogródku znajdowali się zbrojni. Teraz wiesz już wszystko, co mogłam ci powiedzieć. Czy zechcesz pomóc mi i poradzić, co mam robić?

– Z całego serca jestem do twojej dyspozycji. Czy masz już jakiś plan działania?

– Chcę odnaleźć tego człowieka, zdemaskować go, ukarać...

– Czy to wszystko, Magdaleno? – spytał markiz, gdy zamilkła.

– Nie... Nazwisko Surrisy może oznaczać uśmiech... Marzyłam o fortunie dla mego biednego chłopca... Rzadko kiedy mordercy pozbywają się broni, która jeszcze może być potrzebna. Nie George Palmer i nie komodor Davy są prawdziwymi zabójcami Maurycego. Rodzina hrabiów Boehm skradła dwa dziedzictwa...

– O'Brien był człowiekiem wykształconym – myślał głośno markiz – skradziony akt przypuszczalnie sporządzono w należytej formie... możliwe, że ten Davy zachował go

jako klucz, mający stale otwierać szkatułę hrabiów Boehm... Najprostsze środki są zwykle najlepsze, jestem w bardzo dobrych stosunkach z prefektem policji...

– To niemożliwe – przerwała. – Mój syn złożył przysięgę, muszę jej dotrzymać.

– Jak chcesz. Najlepiej jednak uciekać się do najskuteczniejszych środków.

Może wolisz policję angielską?

– Żadnej policji – odpowiedziała stanowczo.

– Do licha – wykrzyknął nagle pan de Belcamp uderzając się w czoło. – Mam! W sam raz, czego nam potrzeba!... Wszystkie korzyści, jakie daje policja, a nic, co by mogło obudzić podejrzenia! Pamiętam, był przecież przyjacielem tego biednego O'Brien! O ile sobie przypominam, opowiadał mi kiedyś o tym... Z pewnością wie więcej niż ty!... Czy słyszałaś o Gregory Temple'u?

– W czasach swej potęgi miał w ręku tę sprawę – odpowiedziała Magdalena. – Jeździłam wtedy do Londynu i Gregory Temple powiedział mi: "Anglik dokonał tej zbrodni. Znam jego chwyt i znam rękę, co tę śmierć zadaje. To Jan Diabeł. Proszę milczeć i zjawić się za tydzień". Minął tydzień, potem miesiąc... potem lata... Gregory Temple odesłał mnie ze słowami: "Albo Jan Diabeł nie istnieje, albo rzeczywiście jest szatanem". Teraz mówią, że zwariował. Czego jednak nie mógł zdziałać będąc zdrow i stojąc na czele najlepszej w świecie policji...

Nim jeszcze skończyła, markiz siadł przy sekreterze. – Nie śmiem przechwalać się, że znam doskonale mego przyjaciela – powiedział pisząc – jestem jednak jedynym człowiekiem, który zna jego charakter... Wstyd mi wyznać, ale problemy policyjne interesują mnie w najwyższym stopniu... W Londynie, Gregory Temple był niewyczerpanym źródłem pasjonujących wiadomości... « I choć publicznie uznał się za pokonanego w walce z mordercą Konstancji Bartolozzi, głowiąc się, kto popełnił zbrodnię, czy Jan Diabeł jest jedną osobą, czy też imię to okrywa bandę opryszków, powiedziałem sobie: "Niech morderca ma się na baczności!" Gdy biedna Zuzanna tonąc we łzach oznajmiła, że ojciec zwariował, pomyślałem od razu o chytróści kota, który udaje sen, by mysz szybciej znalazła się w zasięgu jego pazurów. Gregory Temple nie wtajemniczał mnie w swoje sprawy, napisał mi jednak następujący bilecik: "Jeśli zechce mi pan coś zakomunikować lub będę panu potrzebny, proszę pamiętać, jeszcze nie umarłem". Gregory Temple pracuje nad rozwiązaniem zagadki. Nie chciałbym mu przeszkadzać, ale nasza sprawa łączy się ze sprawą, nad którą pracuje. Mimo wszystko Jan Diabeł, być może, nie jest wytworem fantazji. Naprowadzimy detektywa na ślad, a iskra oświeci mu drogę... Na Boga, nienawidzę tego łotra, który z biednej Jani uczynił sierotę. Ze wszystkich sił dopomożę przyjacielowi w schwytaniu przestępcy, a gdyby łbandyta wpadł w moje ręce, wziąłbym go za kołnierz jak zwykły żandarm.

Przepisawszy list na drugim arkusiku włożył pisma do dwóch kopert i zaadresował jedną na ulicę Dauphine w Paryżu, drugą zaś na Leicester Square w Londynie. Po czym podał oba listy Magdalenie.

– Bądź gotowa – powiedział. – Zrobi wszystko, co tylko możliwe. Albo zjawi się w zamku, albo naznaczy ci wizytę.

Magdalena wstała.

– Czy nic nie powiesz o moim chłopcu? zawołał markiz z młodzieńczą żywością. – Do licha, przed jego przyjazdem twój Robert trzymał prym w okolicy, chyba jesteś zazdrosna!

– Widziałam hrabiego na sumie – odpowiedziała z uśmiechem – podobny do ciebie, gdy 'byłeś w jego wieku.

- Nieprawda, nigdy nie byłem tak przystojny. Podobny jest do matki, gdyż Bóg obdarzył ją anielską twarzą.
- Byłeś taki sam w jego wieku – powtórzyła z uporem. – Nie życzę mu innego podobieństwa i mimo szacunku, jaki dla niego żywię, staram się zapomnieć, że jest synem tej kobiety.
- Ona nie żyje – szepnął markiz.
- Oby Bóg dał, by wszystko, co od niej pochodzi, umarło i by syn dziedziczył wyłącznie po ojcu! – A widząc, że markiz marszczy brwi, dodała: – Przybył do nas jak dobry duch. Serce biło mi, gdy Robert opowiadał, jak uratował Janię. Taki sam i ty byłeś, Armandzie!
- Przewyższa nas wszystkich – szepnął markiz – będzie pociechą mojej starości... Przebaczam jej wszystko, gdyż dała mi Henryka, mój skarb i moje kochanie!

Wyszędłszy z zamku Magdalena ruszyła szybkim krokiem, pragnąc dziś jeszcze wysłać oba listy nocną pocztą. Nad brzegiem rzeki ujrzała dwa cienie sunące wśród wierzb: mężczyznę i kobietę. Noc była ciemna, jednakże Magdalenie zdawało się, że to nie wieśniacy.

- Robercie! – zawołała cichutko.

Nikt nie odpowiedział.

- Hola! Robercie! – podniosła głos, przywykła do posłuszeństwa syna.
- Hola! – odpowiedziano z drugiego brzegu, od strony domku młynarza. – Co się stało, matko?

Magdalena przystanąła zdziwiona. Nie z tej strony oczekiwała odpowiedzi syna.

Kim jest ten drugi? – zapytała siebie.

Nie był to Laurent, gdyż brat Jani nadchodził z Robertem, który pytał niespokojnie:

- Czy coś się stało, matko?

17. Nocne spotkanie

Kim był ten drugi? Magdalena spojrzała podejrzliwie w kierunku wierzb.

- Niestety – odparła – muszę biegać daleko, gdy potrzebuję syna. Sprzedamy twoje łóżko, jeśli będziesz spędzał noce przy księżycu... Dobry wieczór, panie Herbet, mam nadzieję, że nie spacerował pan z siostrą tak późno?
- Jania śpi od dawna – odpowiedział Laurent.
- Szukałam cię Robercie, gdyż imam do wysłania dwa listy.
- Proszę mi je dać.
- Nie, sama zaniosę na pocztę.

–W takim razie chodźmy. – Robert spojrzał na matkę zdziwiony, uściśnął rękę przyjaciela i wkrótce matka i syn znikli za zakrętem drogi.

Ciszę nocną zmącił po chwili szelest kroków na trawie i dwa cienie, które tak zaintrygowały Magdalenę Surrisy, wysunęły się z gęstwy wierzb, przemierzając powoli łąkę. Magdalena nie omyliła się: nie była to wiejska para.

–Poszli! – szepnął poważny głos, tak melodyjny, że gdyby usłyszał go ktoś po raz pierwszy, nie wiedziałby, czy to mówi mężczyzna czy kobieta.

–Błagam pana, wracajmy – odparł drżący głosik dziewczyny. – Nie wiem, dlaczego przyszłam. Od trzech dni żyję jak we śnie. Lęk, jaki odczuwam, wskazuje, że źle postąpiłam. Panie hrabio, wracajmy.

Usta Henryka musnęły drżące paluszki.

– Moja droga Janiu – zabrzmiało jak śpiew – moje szczęście i nadziejo. Przyszłaś, gdyż jesteś posłuszna temu, kto będzie twym przewodnikiem i opiekunem aż do końca życia. Przyszłaś, gdyż nasze losy łączy od dawna wspólne przeznaczenie, zanim poznaliśmy się... Nie bój się, Janiu, twoje miejsce jest przy mnie, nie skracaj

jedynych chwil szczęścia, jakich zaznałem w życiu. Ty mnie już kochasz, nie zaprzeczaj, ja wiem. Chociaż milczysz, serce twoje mi to powiedziało.

– Moje serce nic nie mówi – szepnęła z uśmiechem. – Pan rozumie je lepiej ode mnie.

– Czy się mylę?

– Nie wiem... – po czym dodała jeszcze ciszej: – Odkąd pan przyjechał, tak mi smutno.

– Czy mam wyjechać?

– Nie, wydaje mi się, że nie mogłabym już żyć bez tego smutku. Położył jej rękę na swym sercu.

– Pana serce nie bije tak jak moje – powiedziała.

– Pławi się w szczęściu. Jestem spokojniejszy i szczęśliwszy od ciebie, gdyż na tę chwilę odrzuciłem wszystko, co nie jest tobą. Jutro zbudzę się z cudownego snu. Dziś odpoczywam... Dziwiłaś się, że przyszłaś. Ja też pytam siebie: "dlaczego przyszła?" Jest tylko jedna odpowiedź: "bo mnie kocha!" Widzę jasno, że tętno najwyższej szczęśliwości uderza równo i spokojnie, a serce o przyśpieszonym rytmie nie przekroczyło jeszcze progu miłości.

– Moje biedne serce sprawia mi ból, a pana kocham! – westchnęła Jania i próbowała oswobodzić rękę, którą trzymał Henryk. – Wracajmy – szepnęła prosząco – wracajmy!

Znajdowali się w alei starych dębów zstępujących nad brzeg rzeki, naprzeciwko domku Magdaleny Surrisy. Wiosenna noc była cicha i ciepła i jedynie szmer wody towarzyszył rozmowie. Henryk posadził Janię na omszałym pniu starego dębu, który powaliła niegdyś wiosenna burza, a sam ukląkł przed dziewczyną. Nikt prócz Boga nie zgłębił serca hrabiego de Belcamp. Nikt nie wiedział, co spoczywało na dnie tej wielkiej i potężnej duszy. Henryk nie miał powiernika i raczej umarłby, niż pozwolił wydrzeć sobie tajemnicę. Kimkolwiek jednak był, w tej chwili świeża, młoda, szczera miłość paliła się w jego oczach i w sercu. Kochał i wierzył. Nie było księżycy, lecz milion gwiazd błyszczało na czystym niebie, lejąc na ziemię srebrzystą, podobną do rosy poświatę. Jania pochylała śliczną bladą twarzyczkę ku klęczącemu, a młody człowiek, ze złożonymi rękami, wpatrywał się w nią z zachwytem. Oboje byli piękni, jak piękna jest młodość i pierwsza tmiłość.

– Chciałabym poznać Georgelle – powiedziała wreszcie Jania, pierwsza przerywając milczenie.

– Nazwałem cię tak, zanim cię poznałem – odpowiedział. – Od dawna wszystkie moje myśli krążą dokoła ciebie... Obraz twój istniał we mnie zawsze...

– Rozumiem, Henryku, otworzyłeś przede mną ogromne pole marzeń, tam spotkały się nasze dusze... Rozumiem wszystko i wydaje mi się, że i ja na ciebie czekałam. Wszyscy sądzili, że kocham Roberta, i gdybyś się nie zjawił, wysłabym pewnie za niego, gdyż jest dobry i szlachetny i kocham go jak brata; ale ciągle czekałam... tak, Henryku, zanim przyszło szczęście, byłam wesoła. Dlaczego szczęście przyniosło mi smutek?

– Znowu będziesz wesoła, Janiu. Każda przemiana jest na tej ziemi cierpieniem.

– Czy przestraszyłeś się widząc spełnione marzenie Georgelle? – spytała z nigdy nie nasyconą ciekawością serca.

– Nie bałem się niczego. Spiesząc na twój ratunek, nie wiedziałem jeszcze, że to ty. Ale trzymając cię w ramionach zrozumiałem, że ty jesteś moją Georgelle, o ileż jednak piękniejszą! Byłaś zimna i tak blada, że zdawało się, że dusza z ciebie uleci. Boję się wyznać, co wówczas myślałem.

– O, powiedz, powiedz, proszę!

– Myślałem... byłem chyba nieprzytomny... myślałem: jeśli nie pokocha mnie, niech lepiej umrze!

Jania położyła obie ręce na ramionach młodego hrabiego, a uśmiech jej zajaśniał jak pieśzczoła.

– Dobrze myślałeś, Henryku, cieszę się, że tak myślałeś.

Znowu zapadło milczenie. Cienkie paluszki dziewczyny błędziły wśród jasnych włosów Henryka.

– Hrabina de Belcamp... – szepnęła, a oczy jej zapełniły się łzami.

– Płaczesz? £

– Gdyby to wszystko okazało się tylko snem!

– Dlaczego tak mówisz?

s^è Hrabina de Belcamp! – powtórzyła z dziecinną powagą i dodała schylając głowę:

– Nie, nie, nie powinnam była przychodzić, są rzeczy niemożliwe do spełnienia. – A zmieniając ton dodała: – Panie hrabio, musi pan poznać moje dzieje...

>– Znam całe twoje życie, Janiu – odparł Henryk – losy nasze nieraz splotły się ze sobą... nic o mnie nie wiesz... a ja, powtarzam, znam całe twoje życie, to, co ty wiesz, i to, czego nawet nie przypuszczasz.

– Wiesz to od swego ojca?

– Sam poinformowałem ojca o tym, co ciebie dotyczy.

– Więc od mojej ciotki?

– Powiedziałem ciotce to, czego nie wiedziała;

– Od mojej matki?». – szepnęła tak cicho, że Henryk ledwie posłyszał.

Hrabia zawahał się chwilę. Gdy wreszcie odpowiedział, głos jego zdradzał głębokie wzruszenie.

Janiu, jesteś jedyną istotą, której pozwolę zajrzeć w głąb duszy... Mam przyjaciół, mam ojca, ale sekret mój wyjawię tylko tobie... Być może, zdołam poruszyć twoje serce, gdyż rozumiesz wszystko, co wielkie i szlachetne... nauczę cię, co już umiały wszystkie kobiety za czasów rycerstwa, by i twoje serce biło rytmem moich nienawiści i moich ambicji. – Ty nienawidzisz, Henryku?

– Nie człowieka, lecz naród!

– I jesteś ambitny?

– Jak posłaniec, którego Bóg zesłał dla oswobodzenia świata.

Oczy Jani zamigotały w mroku, gdyż dusza dziewczyny rozumie

lub przynajmniej wierzy, że rozumie wszelkie zuchwałstwa, które nazywamy szaleństwem.

•– Chciałabym umrzeć z tobą, Henryku – powiedziała składając ręce.

– Będziemy żyć, Janiu – zawołał. – Żyć, by zwyciężyć. I póki trwa walka, będziesz hartem mojej szpady, po bitwie zaś staniesz się koroną mego zwycięstwa.

– Henryku, Henryku – powiedziała wznosząc oczy błyszczące entuzjazmem. – Czyż po to mnie wybrałeś?... Nie znam twego dzieła... czy muszę je zresztą znać?... Wierzę w ciebie jak w samego Boga i pójdę za tobą z zawiązanymi oczami, choćby wszyscy wołali za mną: "zawróć, ta droga prowadzi do piekła!"

Henryk przyciągnął ją do siebie, dotykając wargami jej czoła.

– Oby zawsze tak było! – szepnęła smutnie. – Tak, Janiu, znałem twą matkę. W Londynie zbierali się u niej żołnierze armii, która nie idzie do mego celu, lecz może utorować mi część drogi. Niebezpieczna to podróż, a każdy krok w tył karany jest śmiercią. Ludzka sprawiedliwość nigdy nie podniesie zasłony okrywającej tę zbrodnię;

>

– A ty, Henryku, czy mógłbyś jej uchylić?

– Niełatwo zerwać pewne więzy – odpowiedział spokojnie. – Gdybym znał choć część tajemnicy, nie byłbym teraz u twych kolan, gdyż córce nie wolno zaprzeć się pamięci matki, a ten, kto złożył taką jak moja przysięgę, nie ma prawa słuchać głosu serca. Rатуje mnie niewiedza.

– Więc gdybyś znał, nie wyjawilibyś nazwiska mordercy? – zawołała Jania.

– Bóg pragnie naszego połączenia i nie dopuścił, bym je znał – odpowiedział Henryk.

Jania zakryła twarz rękami.

– Oto prawo, którego jestem niewolnikiem – ciągnął młody hrabia, a w głosie jego brzmiały akcenty bólu – muszę być ślepo posłuszny prawu stowarzyszenia, które skazało twą matkę na śmierć, oraz mojemu własnemu prawu, od którego zależy spełnienie zadania, a zadanie to tysiąc razy ważniejsze niż życie!

Jania płakała cichutko.

– Wobec tego prawa –1 kończył dobitnie – nie ma ani siostry, ani brata, ni ojca, ni matki, ni żony, ni kochanki. Wszystkim jest prawo.

– Straszliwe prawo – szepnęła – Co zmusza do ulegania podobnym nakazom?

– Miłość i nienawiść.

– Ni siostry... ni matki... ni żony...! powtórzyła powoli – więc i ty mógłbyś być narzędziem, które mnie uczyniło sierotą? iii Mógłbym.

– Nawet gdybyś mnie już znał?... nawet gdybyś mnie kochał?

– Musiałbym wówczas wybierać między posłuszeństwem a śmiercią.

– Wybierając śmierć zabiłbyś i mnie! – załkała.

– Przed chwilą jednak powiedziałaś: “jakże chciałabym zginąć wraz z tobą!”

– Tak, ale w zapale walki, w entuzjazmie nadziei zwycięstwa!

– Janiu – przerwał Henryk – męczennik również ma swój entuzjizm i prowadzi walkę.

– Dlaczego mnie uratowałeś? – szepnęła, a gdy chciał ująć jej rękę, odepchnęła go gwałtownie. – Prosiłeś Boga, by ci pozwolił dać mi szczęście: czy każesz mi wybierać między samobójstwem a rozpaczą?

Młody człowiek podniósł się wyprostowany. Jego piękna głowa zajaśniała w mroku, a metaliczny głos stracił pieszczotliwe tony i zabrzmiał nie znanym jeszcze Jani akcentem.

– Dopiero od wczoraj jesteśmy przyjaciółmi – powiedział surowo – nie zamieniliśmy dotąd zaręczynowych pierścionków. Wiem jednak, że utrata skarbu, którego jeszcze nie posiadałem, byłaby dla mnie okrutnym rozdarciem, jak rozstanie duszy z ciałem podczas agonii. Nie przypadek pokierował naszą rozmową, ja sam dotknąłem tego tematu; potrzebowałaś wyjaśnień, a ja próby. Dobrze, że to zrobiłem. Nawet jeśli wyniosę stąd złamaną nadzieję, jeśli odejdę ze śmiertelną raną w duszy i do końca życia nosić będę żałobę po marzeniu, dobrze zrobiłem, gdyż spełniłem obowiązek. Nie przerywaj, Janiu, to są słowa ostateczne. Między nami nie może być miejsca na puste utarczki, jakimi zabijają czas zwykli kochankowie. Chcę ciebie całą. I albo powiesz mi: “chcę zostać hrabiną de Belcamp”, albo, biedne dziecko, dasz mi swą rączkę do ucałowania i rozstaniemy się na zawsze... Jestem taki, jak ci powiedziałem. Albo większy, albo też maluczki. Nic nie wiesz o grożących mi niebezpieczeństwach. Jestem dziesięciokrotnie wygnany. Poszukuje mnie policja całej Europy, wszystkie trybunały skazały mnie na śmierć, każda piędź ziemi może ukrywać zasadzkę, ręka przyjaciela może szykować kajdany. Widziałaś, jak uzbrojeni chłopcy z krzykiem otaczają wściekłego psa: to ja. W sobie samym tylko znajduję ucieczkę i nawet historia nie zna takiej niedoli, gdyż Mariuszowi pozwolono w spokoju błąkać się po ruinach Kartaginy, a zbuntowanemu szatanowi oddano piekło! Chroni mnie tylko niena-

wiść wrogów. Być może, jutro ktoś powie, pokazując mnie palcem: "ten poślubił jej miliony, by pozłocić herbową tarczą..." Nie przerywaj mi: powiedziałem, że lepiej znam twe życie. Ty jesteś bogata, a ja biedny, musisz pogodzić się z tym faktem. Mogą ci powiedzieć: "Jego herb kłamie, nosi nienależny mu tytuł: to syn londyńskiej złodziejki!" Mogą mnie nazwać złodziejem!... mordercą!... Gdy będziemy wychodzić z kościoła, gdzie nie pogasną jeszcze weselne świece, otoczy mnie ciemny tłum, a ktoś położy mi rękę na ramieniu ze słowami: "Aresztuję cię w imieniu króla!" Słuchaj mnie dobrze, Janiu! "Aresztuję cię nie dlatego, że taki a taki sztandar powiewa na twojej wieży, nie dlatego, że podły zdrajca doniósł o spisku, ale dlatego, że otwarto kasę podrobionym kluczem, że znaleziono martwego nieszczęśliwca wśród skrwawionych prześcieradeł! Nie aresztuję ciebie, Bryan de Glencoe, co rzuciłeś rękawicę Jerzemu II, ani ciebie, Cadoudału, nie was, fanatycy, Clement, Ra-vaillac czy Damiens. Aresztuję ciebie Mandrin, ciebie Cartouche, ciebie Janie Diable czy Jacku Sheppard! Ciebie, mordercę, bandytę, fałszerza!"

Hrabia de Belcamp zamilkł, ocierając zroszone potem czoło. Jania słuchała z rozchylonymi ustami. Gestem nakazał jej milczenie:

– Powiedziałem prawdę – rzekł cicho — nie ma w tych słowach miłosnej przechwałki ani krzyku rozpacz. To najczystsza prawda. Mimo to przyszedłem do niewinnego dziecka, zadowolonego z otaczającej je miernoty; przyjaciel, prawie narzeczony, uczyniłby ją szczęśliwą tym zwykłym szczęściem, które jest może największą wygraną w życiu. Szczęście to nazywa się spokojem ducha. Ale zjawiłem się, dziewczyna zdradziła narzeczonego i utraciła wesołość. Dlaczego przyszedłem? Co mi zrobiła? Jakiej zemsty miałem dokonać?... Przybyłem, gdyż jestem młody, gdyż moje serce nie zaznało dotąd miłości, a przyprowadziła mnie przemożna siła. Przybyłem, ponieważ kocham!... Mało znaczę, lecz jeśli jutro zwyciężę, przewyższę trony... cała Europa zakrzyknie moje imię... Kocham cię, jak nigdy żadna kobieta nie była kochana, i nigdy nie będę kochać nikogo innego; bez ciebie życie moje stanie się żałobą. Nie mogę nawet szukać ucieczki w śmierci, należą bowiem do dzieła i ciebie również oddam memu dziełu... Czekam na twój wyrok... i albo podniosę się niezwyciężony... lub pójdę dalej, zrezygnowany i smutny: słabszy,

Postacie historyczne; pierwsi w Imię Idei, które] służyli, braU udział w zamachach na tydzie panujących (Clément zabił Henryka III w 1589 r., a Ravalllac – Henryka IV w 1610 r.); drudzy – zwykU bandyci, słynący z zuchwalstwa.

gdyż kocham i miałem nadzieję, bardziej samotny! – I znowu zgiął przed nią kolano. Przez chwilę słychać było tylko szmer wody i szum starych drzew. Potem Jania wydała głębokie westchnienie i zarzuciła ramiona" na szyję Henryka, kryjąc twarz na jego piersi. I powiedziała, jak gdyby mówiła do serca ukochanego, które czuła, jak biło pod jej wargami: – Chcę żyć i umrzeć z tobą!

18. Landara

W trzy dni po owej słynnej niedzieli, gdy lady Frances Elphin-stone weszła w towarzyskie życie Miremont, o dziewiątej rano bryka pocztowa, kursująca między Isle-Adam a Paryżem, posuwała się powoli stokiem wzgórza. W 1817 roku nie było jeszcze kolei żelaznej, która miała dopiero zaostrzyć apetyt Francuzów do podróży.

Pocztylion zasunął szczelnie firanki, by ukryć pustkę, jaką ziało wewnątrz landary. Bryka toczyła się powoli, ciągniona przez dwie stare szkapy, równie smutne jak woźnica, który od czasu do czasu przykładł do ust trąbkę, wysyłając na cztery strony świata ponurą fanfarę. Gdy tak przenikliwym spojrzeniem badał drogę, poszukując z desperacją białego kruka, jakim bywa pasażer do Paryża, grupa osób zebrała się przy drogowskazie na rozstajnych drogach, będących jak gdyby stacją Miremont. Na trawie piętrzyły się sakwojaże, kosze z wiktuałami oraz inne paczki, należące do

panów Bondon, do pani Morin i do rodziny Chaumeron. Popadywał deszczyk, wobec czego otwarto parasole.

– Beleuil spóźnia się – zauważył pan Chaumeron wyciągając z kieszonki ogromną cebulę. – Już minęła dziewiąta!

– Może miał wypadek? – westchnęła pani Cćlestin.

– I nie będzie wolnego miejsca – zauważyła z przerażeniem najstarsza panna Chaumeron.

– Są szczęśliwcy, co mają własny ekwipaż i kiedy chcą, mogą jechać do Paryża! – powiedziała złośliwie młodsza panna Chaumeron, patrząc na panią Morin.

– Wydaje mi się, że i ja mam własny powóz, równie jak pan markiz i Angielka – odpaliła żona zastępcy mera.

– Wolę czekać na pocztową brykę niż rozwalać się w cudzym powozie jak miss Zuzanna, Jania czy Żermena – powiedziała wyniośle najstarsza panna Chaumeron.

– I do tego z cudzoziemką – dodała pani Cćlestin.

– O której nikt nic nie wie – zakończyła pani Morin.

– Osiemnaście minut spóźnienia! – zagrzmiał pan Chaumeron.

– Młode panny z Angielką... która ma dziecko... a właściwie nie widać męża! – podjęła pani Cćlestin.

– Czy zwróciła pani uwagę, jak miss Zuzanna pieściła to dziecko? – spytała młodsza panna Chaumeron.

– Spokój – burknął ojciec – jesteś za młoda, by o tym rozmawiać.

– Nie podobają mi się młode panny smutne i roztargnione; nigdy nie wiedzą, o czym się mówi przy stole, i rzucają się na małe dzieci jak wygłodniały na kawałek chleba! – wygłosiła pani Morin, której niewinny wygląd krył ostre żądło złośliwości. – Wszyscy wiedzą, jak szanuję dom pana mera... Syn jego to piętorny młodzieniec, umie zabawiać towarzystwo... ponadto w polityce nic dobrego... głowę dam, że trzech nicponi macza w tym palce... – (nicponiami pani Morin nazywała Roberta, Laurenta i Ferandeau). – W ogóle od pewnego czasu dzieją się dziwne rzeczy... Stara Touchard trzęsie się nad siostrzenicą; Jania Herbet płacze byle czego... Milady dwie godziny rozmawiała w parku z Robertem, a pan hrabia zanudzał nas historyjkami... Panna Żermena... co prawda nic złego nie chcę mówić o córce kolegi męża, wyraźnie pożera wzrokiem pana hrabiego... aż mi było za nią wstyd... Laurent ma chętkę skoczyć mu do oczu... Doprawdy, oś się święci niedobrego!

– Dwadzieścia pięć minut spóźnienia! – zawołał pan Chaumeron.

Deszcz rozpadał się na dobre. Niecierpliwość ogarnęła czekających.

Humory skwaśniały i każdy starał się w jakikolwiek sposób ukłuć bliźniego.

Przeklinano niebo i ziemię, pytając, dlaczego właściwie całe Miremont znalazło się na drodze, w oczekiwaniu pojazdu do Paryża.

– To są obowiązki! – wzdychała przemoczona pani Cćlestin. – Ostatni raz jadę w takich warunkach... Co prawda prezenty utrzymują przyjaźń i choć pan mer nigdy nie daje nam podarków, my musimy udawać się po zakup jakiejś pamiątki na jego imieniny...

– Może być pani pewna – dodała zjadliwie młodsza panna Chaumeron – że prezenty milady i pana hrabiego wspaniałością pobiją nasze wysiłki.

– A gdybyśmy zawrócili do domu? – zawołała pani Celestin – co pan na to, panie Chaumeron?

Pan Chaumeron był w wieku, w którym podróż do stolicy staje się jedyną przyjemnością. Ponadto obie starsze córki wiele sobie po tej wycieczce obiecywały. Wieczór miano spędzić w Operze Komicznej; I gdy z daleka pojawiła się pocztowa bryka, powitano ją entuzjastycznie.

– Dzień dobry państwu! – odezwały się w tej chwili wesołe głosy i trzech “nicponi” powiało szarmancko kapeluszymi. – Proszę wsiadać!

Beleuil, ujrawszy mannę, jaką mu zesłało niebo, dzielił nędzne szkapy, a pan Chaumeron ze srogą miną oczekiwał na środku drogi z zegarkiem w ręku.

– Trzydzieści cztery minuty opóźnienia, mój chłopcze – powiedział surowo. – Przybywszy do Paryża złożymy skargę w dyrekcji.

Pocztylion zląził ciężko z kozła.

– Ile kosztuje miejsce? – pytała pani Celestin.

– Tyle co zawsze: dwa franki pięćdziesiąt i napiwek.

– A trzy miejsca?

– Trzy razy dwa franki pięćdziesiąt plus dwa napiwki – odparł Férandeau.

Czerwień wystąpiła na żółte policzki pani Celestin.

– Dla mnie będzie dwa franki – oświadczyła pani Morin. – Jako żona zastępcy mera...

– Połowa dla dzieci i wojskowych! – zawołał uczeń Davida. Papa Chaumeron dyskutował z pocztylionem:

– Cztery franki za mnie i najstarszą córkę, mała na dodatek.

– Na dodatek – powtórzył oburzony Beleuil – dobra mi mała, długa jak tyka.

Targowano się do upadłego, a ze szczytu dylizansu Férandeau wołał uroczyście:

– Wsiadajcie, panie, wsiadajcie, panowie! W drogę!

Wreszcie po upokarzających targach i długiej dyskusji Beleuil otworzył drzwiczki wrzucając do wnętrza landary panie, panów i panienki wraz z torbami podróżnymi, koszykami i paczkami. Każdy był rad, że wytargował choć dwadzieścia pięć centymów. Obiecywano sobie obiad i nocleg u znajomych. Wydatki, oprócz podróży, miały się ograniczyć do kosztu biletów do Opery oraz kupna małego podarku imienninowego dla markiza.

Férandeau był trochę zaniepokojony, gdyż od czasu przyjazdu hrabiego de Belcamp w zachowaniu przyjaciół zaszła dziwna zmiana, a Ferandeau nie mógł żyć bez kolegów. Robert i Laurent zaniebdywali go, nie brali udziału w jego dowcipnym gładzeniu, zdawało się czasem, że go w ogóle nie słyszą. Mieli natomiast wspólne sekrety,

do których go nie dopuszczali; poczuł się raptem bardzo samotny i choć nadal nadrabiał humorem, czuł, że otacza go coś niejasnego.

Gdy towarzystwo miremonckie usadowiło się we wnętrzu starego pudła, Ferandeau strząsnął popiół z fajki i patrząc na przyjaciół, powiedział:

– Nie słuchacie tego, co mówię, macie jakieś sekrety, a ja przecież chcę je z wami podzielić i jeśli coś was gnębi, to wam pomogę.

Robert uściśnął dłoń przyjaciela, a Laurent odpowiedział szorstko:

– Nic nie poradzisz, mój drogi. Robert goni za Angielką... Jania i Żermena potraciły głowy... a ja chciałbym kogoś przebić szpadą, tylko nie wiem kogo: Roberta czy hrabiego de Belcamp.

– Roberta! – powtórzył zdumiony Ferandeau – przebić szpadą...

– Jego siostra już mnie nie kocha – powiedział Robert ze smutnym uśmiechem. – ponadto nie mogę dostarczyć mu rozwiązania zagadki, której jeszcze nie odgadłem.

– Doprawdy, biedni moi przyjaciele – powiedział Férandeau, kiwając z politowaniem głową – na to wam przyszło! Wasza kłótnia nie ma sensu. To głupota... Laurent, czy rzeczywiście łakniesz krwi Roberta?

– Idiota – mruknął Laurent z uśmiechem.

– Doskonale – zawołał Ferandeau – otwórz przede mną serce, ty na pewno nie masz racji!

Laurent wziął dłoń Roberta.

- Daj słowo honoru – powiedział nagle – że nadal kochasz Janię!
- Póki żyć będę, przysięgam ci – odparł były podporucznik.

Laurent uścisnął przyjaciela.

W tej chwili z prawego brzegu drogi usłyszano wołanie:

- Hola, panie poruczniku!

Robert obrócił się żywo; drogą szedł wieśniak z kijem w ręku i tornistrem na plecach. Bryka minęła miejsce, skąd leśna dróżka prowadzi do chaty drwala, i sam drwal, Piotr Louchet, maszerował drogą.

- Dokąd to, kapralu? – spytał Robert.

- Do Londynu – odpowiedział wieśniak.

- Czy nie masz mi nic do powiedzenia?

- Owszem, panie poruczniku, i poszedłbym do Miremont, gdybym nie zobaczył pana w dyliżansie.

– Zatrzymaj – zawołał Robert zeskakując – daj koniom chwilę wytchnienia we wsi, a ja nadbiegnę – a zwracając się do przyjaciół dodał: – Jeśli was nie dopędzę, spotkamy się o ósmej wieczór przed wejściem do teatru Feydeau.

- Ciągłe tajemnice – mruknął Laurent, /podczas gdy ciężka lan- dara ruszała dalej.

- Po co, u diabła, udajesz się do Londynu, Piotrze? – pytał Robert

- Nie wiem, panie poruczniku, taki otrzymałem rozkaz.

- Rozkaz? Od kogo?

- Od kogo?... Takie jakieś dziwne angielskie nazwisko... trudne do zapamiętania... coś jakby On... Ton... Son...

- Może Thompson?

- Może być i Thompson... albo inaczej... daje dobre napiwkil Pewnie mieszka w pańskich stronach.

; : gili Dlaczego nie byłeś w Miremont?

- To cała historia...- Już tydzień temu miałem wyruszyć do Londynu, by wręczyć komuś tam paczkę... nazwisko mam w tornistrze... Wyszedłem więc któregoś ranka, żeby panu o tym donieść... i zapytać, jak tam poszło tamtej nocy u. zdroju..

- Dobrze, wszystko w porządku.

– Stary mundur przysypany lawendą, to chroni od robactwa; otrzepiemy go pewnego dnia... Szedłem więc do Miremont, gdy na rozstajnych drogach spotykam tego właśnie... Ton... Son..., no jednym słowem Anglika, takiego przystojnego blondyna. I ten mówi mi: "Dlaczego nie wyjechałeś? Nic tu po tobie. Ruszaj natychmiast, już tu cię podejrzewają, że jesteś szpiegiem!"

- Ty, Piotrze Louchet?

- Więc mu mówię: "Ja, szpiegiem?..." Miałem co prawda różne historie, bo to i dziecko, i pięć franków napiwku w złocie...

- Jakie dziecko? – spytał Robert.

Racja, pan nic nie wie... Położył imi rękę na ramieniu w ten sposób, jak pan wie...

- Jak to?– zawołał Robert. – On do nas należy?

- Tak... do tych, w górze... Gdy więc mi położył rękę na ramieniu, mówi cicho:

"Wiesz, co czeka zdrajców? Jeśli do jutra nie wyjedziesz, strzeż się!" To było przedwczoraj. Nie nocowałem w domu. Dziś rano miałem wysłać córkę do pana, gdy widzę, jedzie dama w pięknym powozie i mówi mi: "Wyjeżdżam do Anglii z dzieckiem"

- a ja sądziłem, że ona daleko!...

- Jaka dama?

- Racja, pan porucznik przecież nic nie wie... Jeśli panu nie sprawia różnicy, wejdźmy w las... Coś tu w trawie piszczy nieczystego... Córka ma tylko mnie na świecie i zanim nie wyjdzie za mąż...

– Dalej — zniecierpliwiał się Robert.

– O tak, to nieczysta sprawa — podjął Piotr — a wie pan, z kim jechała piękna dama? Z panią z zamku Belcamp, z panną Janią Herbet i z córką pana Potela, panną Żermeńką.

Mów dalej.

– Po chwili nadjechał konno blondynek... ale koń... pewnie wart z tysiąc franków... Kiedy więc przejechał, mówię sobie: "Kropnę się do Miremont i opowiem porucznikowi, a potem odpłynę do Londynu..." Ale wszyscy dziś w podróży... I itak ujrzałem pana w dylizansie... Co to ja chciałem powiedzieć?

– Zaczynaj od początku.

– Dobrze, panie poruczniku. To musi być dziecko jakiejś wielkiej osobistości i gdyby król rzymski nie był już duży; myślałbym... — tu chwilę zamilkł, po czym ciągnął dalej: — Jakies trzy tygodnie temu, pewnej nocy, przy końcu kwietnia, ktoś zastukał do mojej chaty, mówiąc "ku lepszemu"... Dobrze. Zapaliłem światło i otwieram. Stoi blondynek, co go pan nazwał Ton... Son... i trzyma na ręku maleńkie dziecko, chłopczka w pięknych pieluszkach, białych jak śnieg. Dotknął mego ramienia jak wódz i mówi: "Mamki już nie potrzebuje, ale jakaś kobieta musi się tym opiekować. Gdzie twoja córka?" Ciekaw jestem, kto wskazał mu drogę do mojej chaty i powiedział, że mam córkę? Więc odpowiadam, że córka na służbie, ale ze mnie dobra niańka, bo sam wychowałem córkę od maleńkości, gdy żona umarła... Dał złotą monetę, którą włożyłem do skarbonki, gdzie zbieram posag dla córki. I poszedł. A ja opiekowałem się dzieckiem. W dwa dni potem, pewnego ranka, znowu ktoś się dobija: "Ku lepszemu!" "Czego pragniesz, kuzynie?" "Widzieć się z Piotrem Louchet, drwalem". "To ja". "Przychodzę zobaczyć dziecko". Ale to był już inny. Równie przystojny, ale bardzo smutny. Podszedł do kołyski i wziął dziecko na ręce.. I tak je całował i płakał... chyba to ojciec? Bo tamten nawet nie pocałował maleńkiego... I tak trwało może dziesięć dni; raz przychodził jeden, a raz drugi, ale nigdy nie widziałem ich razem. Ostatni raz, gdy przyszedł ten drugi, to płakał rzewnymi łzami, potem wyjął mały portrecik otoczony złotem i całował, i przyłożył do buźki dziecka... Powiedziałem mu: "Proszę pokazać". Była to śliczna paniąka. "Czy to matka?" — pytam. Ale nic nie odpowiedział, tylko zakrył oczy. A potem mówi: "Już więcej nie przyjdę..." i choć nigdy mi nic nie dawał, tym razem dał dwie monety pięciofrankowe. Myślałem więc: "Za jednym zamaohem dał tyle pieniędzy, ile tamten przez wszystkie wizyty"... Ale daleki byłem od prawdy. Tamten był <u>mnie sześć razy i gdy stłukłem skarbonkę, znalazłem sześć złotych angielskich luidorów, wartych we Francji sto pięćdziesiąt franków... i trzy ludwiki po dwadzieścia franków, które dostałem od damy, razem trzysta franków posagu dla mojej Magdzi, plus jeszcze sto franków oszczędności... Ten pierwszy przystojny blondynek, chyba ojciec, był jeszcze raz. Przyszedł, jak zwykle, w środku nocy i mówi, że nazajutrz matka zabierze dziecko. Bardzo się zmartwiłem, bo przywiązałem się do dzieciaczka... Nazajutrz w południe zjawia się piękna dama z pokraką lokajem i z pokojówką. "Piotr Louchet?" "To ja". "Przychodzę po moje dziecko". Ale ja, panie poruczniku, nie taki głupi i chciałem znać nazwisko damy, tylko że to diabelnie trudne, te angielskie nazwiska...

– Lady Frances Elphinstone? — przerwał Robert.

– Coś w tym rodzaju... Choć te wszystkie nazwiska do siebie podobne. Jest u mnie zapisane na drzwiach. Matka wcale mu się nie przyjrzała i ledwie ucałowała... choć nie wydaje się zła... To wszystko podejrzone... Nazajutrz znowu zjawił się blondynek i znowu wołał "ku lepszemu" i kazał mi wyjechać. We wtorek szedłem do pana do Miremont, ale natknąłem się znowu na blondynka. Zanim go jednak ujrzałem, widziałem mego chłopczynę, a sądziłem, że jest w Londynie... bawił się na trawie, a pilnowała go angielska niańka... Była też z nimi paniąka z zamku Belcamp...

Zupełnie podobna do portreciku, który miał przy sobie ten drugi... Całowała i ścisnęła chłopczyka, zupełnie jak ten drugi, co to nie jest ojcem. Podejrzana sprawa. Toteż powiedziałem sobie: porucznik kazał, że jeśli zobaczę coś dziwnego, zaraz mam zameldować, więc postanowiłem opowiedzieć to panu. Żołnierz musi słuchać.

– Dobrze zrobiłeś, Piotrze – rzekł zamyślony Robert. – Dziękuję. Chodźmy do twego domku.

Gdy znaleźli się w chacie drwala, Robert odczytał nazwisko wypisane kredą na drzwiach, po czym zmoczywszy szmatkę, wytarł starannie deski, by zmasać najmniejszy ślad bytności lady Elphinstone.

– Do kogo adresowany list, który masz wręczyć w Londynie? – spytał zdumionego drwala.

Piotr otworzył tornister i rozwinął paczuszkę owiniętą w płótno, gdzie znajdował się list skierowany "do Pana J. H. Wooda, Strand 4, w Londynie". Robert zapisał nazwisko i adres w swoim notesie.

– Co mam teraz robić? – spytał drwal.

– Być posłusznym – odparł Robert. – Otrzymałeś rozkaz i masz go wypełnić. Ten, co cię posyła, stoi wyżej ode mnie. A nie piśnij żywej duszy, co mi powiedziałeś. W drogę!

19. Knajpa "Pod Łakomczuchem"

Już od szóstej wieczór można było spotkać znajomych z Miremont w pasażu Feydeau, wąskim, ciemnym przejściu, rozwidlonym przy końcu, kędy wchodziło się do teatru. We wszystkich sklepach w pasażu sprzedawano bilety do Opery. Tego dnia dawano "Giocondę". Mimo licznie przybyłej publiczności towarzystwo z Miremont wcale nie przyczyniło się do sukcesu znakomitych artystów.

Z łoża pierwszego piętra, podobnej do kosza kwiatów, wychylały się urocze twarzyczki lady Elphinstone, Zuzanny, Jani i Żermeny. Zuzanna usunęła się w głąb łoża, a Frances, Jania i Żermena, podniecone i szczęśliwe, siedziały w pierwszym rzędzie. Jania, pełna skupienia, gdyż kochała i wiedziała, że jest kochaną, czuła na sobie wzrok hrabiego Henryka, siedzącego wraz z Zuzanną w głębi łoża. Pan Potel, ojciec Żermeny, służył za przyzwoitkę. W owym czasie sala Feydeau miała pięć pięter łoż i galerii; dwa razy skazywana na zagładę wyrokiem architektów z powodu nadmiernej wysokości, dwa razy otwierana dla spekulacji, padła dopiero w roku 1830. Robert z przyjaciółmi byli w krzesłach na parterze, przy tym Robert siedział z brzegu i mógł bez trudu, nie odwracając głowy, obserwować łożę milady.

Pod koniec pierwszego aktu Henryk pochylił się do ucha lady Frances i szepnął, by wszyscy słyszeli:

– Widzę lorda Seytona. Muszę z nim pomówić.

Jania obróciła się, a Henryk uspokoił ukochaną uśmiechem:

– Za chwilę wracam.

Robert natychmiast przesunął się wzdłuż parterowych łoż i wyszedł drzwiami znajdującymi się naprzeciwko łoża Jani, która wśród widzów parteru usiłowała zidentyfikować nieznanego lorda Seytona.

W korytarzu Robert puścił się biegiem, a gdy znalazł się pod kolumnadą teatru, hrabia de Belcamp zniknął w czeluściach galerii Feydeau. Był sam. Robert zobaczył, jak wsiadał do fiakra. Konie ruszyły kłusem, skręcając w ulicę Richelieu; Robert biegł, nie spuszczać oka z pudła dorożki, która raptem stanęła przy pasażu Hulot. Robert wsunął się w bramę i ujrzał, jak hrabia wysiadł, powiedział coś dorożkarzowi i nie odwracając głowy zagłębił się w uliczkę pasażu.

– Czy jesteś wolny? – spytał Robert przechodząc koło fiakra.

– Nie, obywatelu, zamówiono mnie i zapłacono z góry – odpowiedział dorożkarz.

Robert popędził pasażem, przebiegł ulicę Montpensier, rozglądając

się na wszystkie strony. Hrabia Henryk szedł ogrodami Palais-Royal, nie zdradzając niepokoju człowieka, który obawia się, że jest śledzony. Przesuwał się szybko, ale swobodnie wśród tłumu zapelniającego ogród, nie przystając, nie oglądając się za siebie. Robert postępował prawie tuż za nim, kryjąc się za grupkami rozbawionej publiczności, pewien, że hrabia spieszy na tajemnicze spotkanie; Henryk jednak nie podszedł do nikogo i z nikim nie zamienił słowa. Dokąd więc szedł? Czy po to w połowie aktu opuścił lożę, by odbyć samotny spacer przez Palais-Royal?

Znalazłszy się na skrzyżowaniu alei, zamiast w stronę pałacu skręcił raptownie, w bok i Robert o mało nie stracił go z oczu. Wówczas przekonał się, że nie sam śledzi zbiega. Od chwili gdy znaleźli się wśród masywu starych drzew, mały człowieczek o dziwnym wyglądzie przemknął kilkakrotnie obok, prześlizgując się między tłumem. W pierwszej chwili Robert wziął go za chłopca, tak był mały i drobny, jednakże światło latarni ukazało małą twarz nieznanego, pożółkłą i pomarszczoną, z mrugającymi oczami. Dziwne stworzenie ubrane było na czarno, w strój niegdyś balowy, ale dziś zniszczony i brudny, że trudno było odgadnąć jego pierwotny charakter. Na głowie miał czarny kapelusz, wytarty, wytłuszczony i zdeformowany, na nogach zaś olbrzymie buciory, dające mu wygląd Tomcia Palucha.

Nasza francuska nędza nosi się zupełnie inaczej i ktokolwiek zna choć trochę angielskie życie, pozna od razu, że mały człowieczek pochodził z Londynu. W błocie stolicy nad Tamizą co krok spotkać można wytworne toalety doprowadzone do stanu łachmana, sto razy ohydniejsze niż strzępy nędzarza. Syn Magdaleny Surrisy znał Londyn lepiej, niżby się wydawało, i "angielskość" małego człowieczka od razu zwróciła jego uwagę. Wkrótce nie miał już wątpliwości, że dziwna istota interesuje się także hrabią Henrykiem i by nie stracić go z oczu, jak pies przemyka się między nogami zebranych, rozpychając tłum z czysto brytyjską energią.

Naprzeciwko domu gry oznaczonego numerem 113 Robert stracił z oczu hrabiego, lecz wystrzępiony kapelusz, za którym mignął profil Henryka, okazał się latarnią morską na ludzkim oceanie. Hrabia zniknął w drzwiach domu gry, a dwaj ścigający popędzili za nim. Henryk nie poszedł na górę do sali, lecz przeciął się i drugimi drzwiami wyostał się na ulicę Walezjuszów, skąd pasażem Radziwiłła dotarł do oczekującego powozu. Hrabia wskoczył na stopień i konie ruszyły z kopyta. Robert nie marzył nawet, by dogonić pojazd, zobaczył jednak, jak mały człowieczek z niebywałą zwinnością w kilku susach dopadł pudła i uczepił się tylnego siedzenia. Wkrótce powóz zniknął na zakręcie ulicy.

Robert wrócił do Palais-Royal, siadł przy stoliku i kazał podać ba-warkę. Ukryty za gęstymi krzewami, mógł obserwować aleję, którą powinien był powrócić hrabia de Belcamp.

Tymczasem Henryk, wygodnie wyciągnięty na poduszkach powozu, palił cygaro i choć biała i kształtna ręka nie zdradzała najmniejszego zdenerwowania, płomyk zapałki ukazał podkrążone oczy i niezwykle bladą twarz. Po dłuższej chwili powóz stanął przed bramą wielkiego domu na ulicy Meslay. Henryk wysiadł, spoglądając badawczo

na tylne siedzenie. Mały człowieczek stał już przy bramie, podnosząc kołatkę. Gdy otwarto drzwi, człowieczek usunął się z ukłonem. Hrabia wszedł, nie troszcząc się, że

człowieczek sunie tuż za nim, kryjąc się w ciemnej sieni. Henryk podszedł prosto do okienka dozorczy:

- Czy tu mieszka pan Warren?
- Nie znam.
- Jak to!... Przecież to dom numer 24?

Owszem, ale taki pan tu nie mieszka. Jak on się nazywa?

- Warren... William Warren.
- Anglik?
- Tak.
- Nie znam – powtórzył dozorca.

Henryk wyjął z kieszeni list i głośno odczytał adres:

- Pan William Warren, ulica Bondy, numer 24. Dozorca wzruszył ramionami.
- Wyjście przez bulwar i przeciwległą ulicę – powiedział wreszcie, wskazując drzwi w głębi sieni.

Henryk podziękował i opuścił dom przeciwległymi drzwiami. W ten sposób znalazł się na bulwarze Świętego Marcina. W kilka sekund potem mały człowieczek maszerował jego śladem.

Hrabia Henryk wcale nie udał się na ulicę Bondy, by się przekonać, czy pan Warren rzeczywiście mieszka pod numerem 24. Tego wieczora potrzebował jedynie powozu, a ostrożności, jakie zachowywał, by uniknąć pościgu, wskazywały, jak bardzo zależało mu na zachowaniu incognito w tajemniczej wyprawie. Dlatego był tak spokojny i pewny siebie, tym bardziej że uroczy, jasnowłosy hrabia de Belcamp został w zamkniętym powozie przy ulicy Meslay. Obecnie Henryk miał czarne włosy i gęste faworyty. Mógł niepoznanym minąć własnego ojca.

Przeszedłszy kawałek bulwarem wszedł do fiakra i kazał się wieźć do rogatki Świętego Dionizego, po czym wysiadł, przebiegł bulwar i po drugiej stronie przesiadł się do innego fiakra. Widocznie cała trasa była z góry obmyślana i przygotowana, gdyż na wysokości Konserwatorium wyskoczył z dorożki, by wsiąść do oczekującego powozu. Konie ruszyły galopem w stronę dawnego Tivoli, którego ogrody wychodziły na ulicę Świętego Łazarza. Dzielnica ta w owym czasie wyglądała jak przedmieście. Stangret zatrzymał konie niedaleko obecnego wejścia do sali Świętej Cecylii. Hrabia zagłębił się w uliczecę pnącą się równoległe do ulicy Clichy, wzdłuż ogrodzenia Tivoli. Dwadzieścia kroków za Henrykiem mały człowieczek wśliznął się w zaułek.

212

i

Cofnijmy się o godzinę, gdyż kołowanie hrabiego Henryka w rzeczywistości zabrało mało czasu. Podczas gdy hrabia siedział w łożu teatru Feydeau, dwie pary zatrzymały się u drzwi znanej w okolicy Tivoli knajpy "Pod łakomczuchem". Było to dwóch zuchów herku-lesowej budowy i dwie biedne dziewczyny, ubrane w świecidełka, napiętnowane stygmatem nędzy. Suknie ich były zniszczone, lecz nowe kapelusze mieniły się kolorami tęczy, widać ostatni prezent od wielbicieli. Ich towarzysze za to ubrani byli w najcieńsze sukno i nosili najpiękniejszą bieliznę, a wielkie ich stopy rozpychały lakierowane buciki ostatniej mody. Właściwie nie przypominali ani wystrojonych odświętnie robotników, ani marynarzy, którym śpieszno wydać oszczędzone pieniądze, i mimo naprawdę eleganckiego ubrania podobni raczej byli do tych ostatnich.

- Pani pójdzie precz – mówił jeden z nich, odsuwając towarzyszącą mu kobietę – my wejść tutaj, miss Józefino.
- Czekać... •>– dodał drugi – czekać... mała chwilka, miss Celino...

- I to mają być Francuzi! – zawołała Józefina składając ręce.
 - I do tego hrabiowie! – zawtórowała Celina.
 - Yes, my dear child! Francuzi, emigranci, rodzice nie żyją... tak jest... Biedni emigranci, zapomnieli po francusku.
- Dziewczyny wybuchnęły śmiechem. Noll Green, zapaśnik z South-wark, zmarszczył brwi, a Dick z Lochaber z groźną miną zacisnął pięści. Od rana byli w Paryżu i jeden tylko Pan Bóg znał dokładną ilość butelek, jakie zdążyli wysączyć.
- Przemów do nich, Józefino, znasz przecież angielski – zawołała Celina inaczej zaczął nas bić!
 - Kochanie – zaszczebiotała przymilnie Józefina – poczekamy na was na tańcach, a wy załatwicie your little business... do you love me , złośniku?
- Dick uniósł ją z ziemi i ucałował. Dziewczęta ulotniły się otrzymawszy obietnicę, że kawalerowie przyjdą skończywszy omawiać interesy.
- Noll i Dick zażądali w knajpie osobnego gabinetu, gdzie mogliby spokojnie porozmawiać. Po czym zamówili obfitą kolację.
- Przyjść here... tutaj... pewien džentelmen – powiedział Noll kelnerowi.
 - Zapyta o panów? dobrze, przyprowadzę go.
 - Here –■ powtórzył Dick.
- Po wyjściu kelnera zasiedli do stołu. Wyglądali wspaniale i do-

prawdy od wyjazdu z Londynu dobrze im się wiodło. Jednak pomimo wytwornego stroju, pańskiej miny, mimo wielu szklanek wina wypitych tego dnia na twarzach malował się niepokój. Chwilę milczeli, po czym Noll odkorkował butelkę bordo, wzdychając głośno. Dick odpowiedział podobnym westchnieniem i podał szklanę.

- Nie było kiedy rozmawiać – zauważył. – Czas tak leci w Paryżu...
 - I pieniądze też – przerwał Noll.
 - Tom Brown przyniesie nam złota... I gdyby tylko o to szło... Dałbym wiele, by znaleźć się z powrotem w Londynie, w knajpie starego Sharpera... Co zrobiłeś z paszportem?
 - Dziś rano zapaliłem nim fajkę. A ty?
 - Podarłem na drobne kawałki i wrzuciłem do rzeki... będę rad, gdy Kanał oddzieli nas od Paryża!
 - Trzeba było wyjechać dziś rano dylizansem.
 - Bez pieniędzy?
 - Tom Brown tak wykombinował... trzyma nas w garści.
 - Dobrze życie w tej Brukseli! – westchnął po chwili siłacz.
 - A w Lyonie, do licha! – zawtórował towarzysz. – Zawarłem korzystne znajomości, gdy nadszedł ten przekłety list.
 - Biały list! – mruknął Noll, a jego krwistoczerwona twarz przybladła.
- Dick spojrział ze zdumieniem na przyjaciela.
- Co chcesz? – szepnął siłacz. – Stary piwowar z Brukseli zaprzyjaźnił się ze mną. Miał dobre wino i holenderską jałowcówkę, jakiej nigdy nie piłeś!
 - Ho, ho – zawołał Dick – widać nie znalazłeś mego piwowara z Lyonu! To nie była jałowcówka, to balsam! Czy myślisz, że nie żał mi go?
- ||Bj Nalej szklaneczkę wódki, ciężko na sercu! Gdy wybiła jedenasta, opowiedział mi o swym ślubie... Tak mówi: "Drogi hrabio..."
- Dziwne! On też się żenił? – przerwał Noll. – Mój przyjaciel Turner zakupił już ślubne podarunki... Ładna dziewczyna, do licha!
 - Pił, co mu nalałem – ciągnął ponurym głosem Noll. – A gdy zdzieliłem pięścią, zwał się jak byk. Nawet nie krzyknął, tylko sapał i tak na mnie patrzył.

- Do diabła! — zawołał Dick – niewesoły z ciebie kompan!
 - Nie – odparł zapaśnik. – Gdy Joshud Bone zmarł podczas kolacji z Tomem Brownem, -pamiętam, tak samo wyglądał.
 - Czy coś robił dla Toma?
 - Tak... Tom Brown hojnie go opłacił.
- Zapadło milczenie. Potrawy stały nietknięte, przyjaciele pili za to bez przerwy.
- Do diabła! – podjął Dick. – Jednym palcem powalisz Toma Browna. Siłacz potrząsnął głową.
 - Założę się o dziesięć funtów, że powalę go w sześciu rundach! – zawołał Dick. – .Chory jesteś, anój stary!
 - Tak, chyba jestem chory – zgodził się Noll.
 - Czy nigdy nie widziałeś umarlaka?
 - Owszem... sam zabiłem... wiesz przecież, że zabiłem!
 - Ile razy?
 - Wiele razy.
 - He masz lat, stary Nollu?
 - Dwadzieścia jeden.
 - Ja mam tylko dwadzieścia, a wyglądam na twego mistrza... Do diabła te czarne myśli! Obaj piwowarzy są tam, gdzie i my znajdziemy się prędzej czy później. Nie warto się tym przejmować... Daj trochę pieprzu do wódki, zobaczysz, że wszystko wróci na swoje miejsce. Musimy się trzymać, co, u licha! Wydaje mi się, że tego wieczoru będziemy mieli coś do roboty.
- To powiedziawszy Dick wsypał zawartość pieprzniczki do wódki, po czym zamieszał rączką od widelca i straszliwe lekarstwo podał koledze. Noll wypił duszkiem.
- Gorące! – Powiedział zdusiwszy szklankę w palcach. – Lepiej mi Czas uregulować interesy.
 - !||j| Nareszcie! – zawołał Dick – dobre to lekarstwo! Mów, słucham.
- fij Nie zmieniałem zdania – powiedział Noll pokrzepiony napitkiem zdolnym zwalić z nóg konia. – Tom Brown posłużył się nami jak narzędziem, które się niszczy, gdy dokonało dzieła.
- Czy odgadłeś, po co te dwa morderstwa?
 - Nie, to pewnie początek diabelskiej machinacji... Nie warto nawet trudzić się, by odgadnąć Toma Browna. Zresztą po co? Nas interesuje jedno: Tom Brown nigdy nie zostawia za sobą śladów, giną ci, co mu służą.
 - Mówisz jak z książki!
 - Dobrze twoje lekarstwo. Załatwię się z nim szybko... jeśli przyjdzie sam.
 - Przyjdzie sam – odparł Dick. – Zawsze sam reguluje podobne sprawy. Nie pij więcej, już i tak dość mamy w czubie.
 - Nie tylko przyjdzie sam – podjął Noll – ale jak obiecał,

przyniesie pieniądze i nowe paszporty. Zawsze dotrzymuje słowa. I tylko zakończenie jest dodatkiem.

- Straszny człowiek! – szepnął zapaśnik.
- Nas jest dwóch i my nie ułamki... Kto zacznie?
- Co zrobimy z ciałem?

W pokoju, jak zwykle w tego typu gabinetach peryferyjnych knajp, służących często za dom noclegowy, znajdowało się łóżko, osłonięte firankami z białej bawełny. Noll i Dick wstali jednocześnie. Noll rozsunął firanki łóżka, a Dick otworzył okno. Na łóżku nie było pościeli, okno wychodziło na nie zabudowane tereny. Na dworze panowała ciemna noc.

- Można tędy wyskoczyć – powiedział Dick.

- Ułożymy go w łóżku – dodał Noll spoglądając przestraszony na towarzysza, który zdusił okrzyk.
- Co się stało?
- W tak ciemną noc pizywidują się różne rzeczy – szepnął Diick – Czy pamiętasz małego Neda Knoba, kancelistę notariusza Wooda?
- Chytra bestia... No i co?
- Wydało mi się, że widziałem go pod oknem. RjipN- Przywidzenia. Zresztą i mnie wydaje się, że ktoś stoi za drzwiami. – To mówiąc szybko nacisnął klamkę. Korytarz był pusty. Gdy znowu zasiedli, w zegarze zachrobotało, jak to zwykle bywa przed wybiciem godziny. Miny mieli ponure, lecz zdecydowane i widząc ich postawy atletów, zaprawionych we wszelkiego rodzaju walkach, nie było najmniejszej wątpliwości co do wyniku mającego się odbyć spotkania.
- Ogłuszę go uderzeniem pięści... Wiesz, że nigdy nie chybiam – powiedział Noll zaciskając grube palce.
- Ja dokończę – dodał Dick wysuwając z zanadru szeroki amerykański nóż. – Mam wprawę.
- Kiedy?
- Gdy wypłaci pieniądze i wyjmie z kieszeni paszporty.
- Co będzie sygnałem?
- !H Gdy weźmie do ręki portfel... Celuj dobrze.
- Uderz mocno!

Zegar zaczął bić dziewiątą i jednocześnie otworzyły się drzwi gabinetu, a na progu stanął hrabia de Belcamp.

20. Podczas drugiego aktu "Giocondy"

Wsiadając do powozu na ulicy Świętego Łazarza hrabia Henryk spojrzął na zegarek. Było pół do dziesiątej. Widać szybko załatwił sprawy z Nollem i Dickiem w knajpie "Pod Łakomczuchem". Był, jak zawsze, spokojny i opanowany, ale powozowe latarnie ukazały niezwykle bladość jego twarzy.

– Galopem! – zbudził drzemiącego na koźle stangreta, po czym padł na poduszki zrywając czarną perukę i zarost okalający policzki.

Z dała od niedyskretnych spojrzeń opuścił go spokój i nie tylko twarz, ale cała postać wyrażała niezwykle napięcie. Kilka razy dotknął serca, lecz w oczach paliły się błyski dzikiej dumy, a pewny siebie uśmiech drgał na wargach.

"Ostatni cios – myślał – i droga wolna; padła ostatnia przeszkoda. Odtąd mogę iść śmiało naprzód z wysoko podniesioną głową. Nikt nie zarzuci mi zbrodni. Już nic nie stoi między mną a milionami. Zwycięstwo jest po mojej stronie, a miłość sama włoży rai w rękę odpowiednią farów".

Raptem coś zaszeleściło w powozie, i cienki głos powiedział po angielsku:

– A więc, szlachetny lordzie, biedny Dick wypił ostatnią szklankę wódki w życiu, a Noll Green nikomu nie połamie kości w tawernie zapaśników na Covent Garden?

Piorun uderzył w Henryka. W pierwszej chwili sądził, że napadło go szaleństwo. Rozejrzał się dokoła, ale w ciemności powóz wydawał się pusty. Siedział chwilę bez ruchu, wstrzymując oddech, a potem spojrzął na przednią ławeczkę, gdzie wsiadając rzucił płaszcz. Coś się tam poruszało. Hrabia Henryk lękał się, choć przed chwilą stawiał czoła dwom siłaczom!

Spod fałd płaszcz wychyliła się blada i drobna twarz o ostrych rysach i zaczerwienionych oczach; głowa małego, czarno ubranego człowieczka, który tak zaciekle śledził hrabiego podczas jego wyprawy. Wzrok Henryka wyrażał już tylko zdziwienie, a nieznamy gość przyglądał mu się z mieszaniną przerażenia i bezczelności.

– Czy mam zaszczyt mówić z Janem Diabłem? – szepnął drżąc, choć uśmiech nie pozbawiony ironii przewijał się przez wargi.

Henryk drgnął usłyszawszy to przezwisko i błysnął oczami.

– Proszę nie dusić mnie od razu – podjął człowieczek pośpiesznie. – Byłaby to wielka szkoda tak dla pana, jak i dla mnie. Dla mnie, gdyż mam nadzieję zrobić fortunę dzidki panu, dla pana," gdyż byłby to koniec pańskiej kariery... Życie moje niewarte szylinga, lecz jak milioner powziąłem konieczne środki ostrożności.

– Kim jesteś i czego chcesz? – spytał ostro Henryk.

– Szlachetny lordzie, wszystko powiem, przedtem jednak objaśnię, jak się zabezpieczyłem, by mnie pan nie udusił. Mam tyle siły co mucha, dlatego potrzebuję rozumu za czterech. W Londynie mieszka moja matka, w Paryżu zaś mam kochankę. Każda z nich przechowuje mój skromny testament. Matka otworzy go, gdy przez cztery dni nie otrzyma ode mnie listu, a już trzy dni, jak pisałem po raz ostatni; kochanka robi to samo, jeśli na noc nie wrócę do domu. Ponadto i matka, i kochanka na mój rozkaz zabezpieczyły się ze swej strony, i jeśli udałoby się panu mnie sprzątnąć oraz pozbyć się matki i kochanki, stanąby pan wobec dwóch nieznanych oskarżycieli, a oni postarają się, by we Francji ścięto panu głowę lub powieszono w Anglii, według wyroku Waszej Wielmożności. To wszystko.

Młody hrabia tymczasem odzyskał zimną krew i spoglądał z zaciekawieniem na swego rozmówcę.

– Co pan na to, szlachetny lordzie? – podjął człowieczek, rozsiadając się wygodnie.

– Nic – odparł Henryk.

– Słusznie, musi pan poznać mój testament. Ja się na tym znam, nie na darmo byłem kancelistą u notariusza, i gdyby nie dzin, zaszedłbym daleko, gdyż oko mam ostre jak scyzoryk i długie ręce. Oprócz zapisów w testamencie jest zabawna anegdota o Tomie Brownie, Nollu Greenie i Dicku z Lochaber... Akcja nie toczy się w knajpie "Pod łakomczuchem", o nie. Jest to historyjka o paszportach wystawionych na nazwisko hrabiego de Belcamp, a rzecz dzieje się w piwnicy zrujnowanego domu, naprzeciwko Sharpera w Londynie.

– Czy wiesz, kim jestem? – spytał cicho młody człowiek, wpijając wzrok w twarz małego Anglika.

– U Sharpera i gdzie indziej jest pan Tomem Brownem – odparł bez wahania – w Scotland Yardzie znają pana jako Jamesa Davy, a mój były szef, stary Wood, nazywał pana Henrykiem... przypuszczam Henrykiem de Belcamp. Hrabia zakrył oczy.

– Dobrze znałem pańską matkę... jestem Ned Knob... mały Ned. Jeśli chodzi o kieszonkową robotę, nie mam sobie równego. Ale pan Wood nie lubi konkurencji w tej dziedzinie i wypędził mnie, gdyż czasem gb podskubywałem... Wasza Wielmożność ma głos matki... doprawdy piękny głos! Po nim poznałem pana w piwnicy... i dziś wieczór, gdy na ulicy Hulot opłacał pan fiakra. Śledził pana również inny dżentelmen, lecz zgubił nasz ślad. Od piętnastu dni jem suchy chleb w Paryżu, szukając pana.

– Jak wyglądał dżentelmen, który mnie śledził, przyjacielu Nedzie – spytał łagodnie Henryk.

Dawny kancelista w kilku słowach opisał Roberta Surrisy, tak dokładnie, jak gdyby miał go przed oczami.

Młody hrabia uśmiechnął się, po czym otworzył drzwiczki, wydając stangretowi rozkaz w nie znanym dla Neda języku. Konie przyśpieszyły kroku, a mały Ned począł drżeć ze strachu.

— Przyjacielu Nedzie – powiedział Henryk przeszywając byłego kancelistę zimnym spojrzeniem – dużo wiesz i jesteś odważny, lecz twoje środki ostrożności nie wystarczą; gdy ktoś stawia wszystko na jedną kartę, musi być pewny swego. Na spotkanie z Janem Diabłem nikt nie wkłada teatralnej zbroi.

– Czy naprawdę jest pan Janem Diabłem? – wyszeptał przerażony Ned.

Powóz nagle stanął. Ned rzucił okiem na bola. Z jednej strony ciągnął się czarny mur, z drugiej – woda. W okolicy nie było żywej duszy. Mały człowieczek zsiniał, a przerażenie wykrzywiło mu twarz.

– Wiedziałem, że ryzykuję życiem – powiedział szcękając zębami – ale nie skłamałem; jeśli mnie pan zabije, jest pan zgubiony!

Na wyludnionym nadbrzeżu dały się słyszeć dalekie kroki. Ned już otwierał usta, by wezwać pomocy, lecz hrabia podniósł rękę. Krzyk zamarł w gardle biednego Neda, który osunął się na kolana bełkocąc:

– Powiedziałem prawdę, prawdę! Moja śmierć będzie pańską zgubą! Henryk wydobył notes i podał Nedowi ołówek.

–Pisz! – powiedział rozkazująco, a mały kancelista chwycił ołówek i zaczął gorączkowo pisać, nie czekając dyktanda. Po chwila podał hrabiemu dwie kartki. Na pierwszej Henryk przeczytał:

Droga mamó, dziś jeszcze wyślij paczkę, którą ci dałem na przechowanie, na adres pana hrabiego de Belcamp. Od tego zależy moje życie.

Twój syn Ned

ifjO T \ r t A m TTyyTTM

Druga kartka głosiła:

Moja biedna Molly, jeśli chcesz uratować mi życie, oddaj hrabiemu de Belcamp paczkę, którą ci powierzyłem. Moje ocalenie w twoich rękach.

Ned

Gdy Henryk skończył czytanie, spojrział na małego człowieczka; Ned siedział wyprostowany, z szeroko otwartymi oczami, a w jego wzroku paliła się ponura rezygnacja.

– Odgadłeś, co chciałem ci podyktować.

– Znalazłem pana – odparł Ned. – Nim mnie pan zabije, mi- , lordzie, proszę się namyślić. Może potrzebuje pan niewolnika?

Henryk milczał.

– Psa?... dodał Ned. – Chcę żyć.

Henryk podarł zapisane kartki i wyrzucił za okno poWozu. Po czym zawołał:

– Na bulwary!

Ned obejmował mu kolana, a w jego zaczerwienionych oczach błyszczały łzy.

– Milordzie – powiedział – jeszcze pan nie zwyciężył, gdyż umarłbym pomszczony.

Napisałeś umówioną formułkę, nieprawda^ Ned? – szepnął hrabia opanowując drżenie.

– Tak, milordzie. Po wysłaniu listów moje zeznanie znalazłoby się w rękach sprawiedliwości w Londynie i w Paryżu.

Młody hrabia oparł rękę na chudym ramieniu Neda.

– Jeśli reputacja Jana Diabła jest prawdziwa – powiedział nie-:J dbale – sądzę raczej, że twoja matka i metresa doczekałyby się ; jego odwiedzin... Przyjacielu Nedzie, nic mi nie jesteś winien za darowanie ci życia, nie potrzebuję ani psa, ani niewolnika, a tych, co mi służą, wynagradzam wedle zasług...

– Należę do pana duszą i ciałem, milordzie! – wykrzyknął gorąco Ned. Na rogu ulicy Tempie hrabia wysiadł z powozu, po qzym podał Nedowi kilkanaście sztuk złota.

— Jeśli udało ci się mnie wysledzić, jesteś widać zręcznym chłopcem... Idź do krawca i ubierz się porządnie. Oto mój paryski adres; oczekuję cię jutro rano, bądź gotowy na wszystko!

— Na wszystko, milordzie! — powtórzył mały Ned.

Henryk widział, jak wchodził do sklepu z konfekcją. Następnie szybko oddalił się w kierunku ulicy Meslay.

Ned wybrał sobie bogaty strój i wyswieżony od stóp do głów wyszedł ze sklepu unosząc pod pachą zawiniątko z nędznymi łachmanami.

Do 1838 roku na przedmieściu Montmartre znajdował się folwark, własność paryskich szpitali. Za dnia w błotnistych uliczkach handlowano starzyzną, nocą panowały tam nieprzeniknione ciemności. Folwark otaczały wałace się rudery i choć o sto kroków huczało wielkomiejskie życie, miejsce to wydawało się oddalone o sto mil od Paryża. Ned zajmował w szopie kąt, a za całe umeblowanie służyły mu dwie wiązki słomy. Mieszkał z Molly, dużą i silną czterdziestoletnią kobietą, pracującą dawniej przy wyładowywaniu węgla w Rotherhite oraz pokazującą się jako olbrzymka na jarmarku w Greenwich. Molly była żoną człowieka ustawiającego przenośne kładki nad rynsztokami i Ned za szylinga odkupił ją od męża na Lower Thames Street w Londynie. Tego rodzaju prawdziwie angielski rozwód okazał się wielce szczęśliwy dla nowego związku. Ned i Molly uwielbiali się po prostu.

Wszyscy spali w baraku, z wyjątkiem wygłodniałych królików, które gryzły drzewo klatki. Ned prześliznął się cicho do chrapiącej Molly, podsuwając jej pod nos butelkę wódki i budząc kopniakiem.

— Wstań, moje serce. Twój mąż załatwił dziś poważne interesy, jest i dla ciebie robota, chodź!

Gdy Molly wstała, Ned sięgał jej do brody. Włożyła na głowę stary kapelusz z zielonej niegdyś słomki. Resztę jej stroju stanowiła podarta perkalowa suknia oraz stara męska jkaimizelka.

— Daj kropelkę na rozgrzewkę — powiedziała ochryple.

Ned podał jej flaszkę, po czym wziął z kąta łopatę.

— Nie zobaczysz w ciemnościach, jak jestem wystrojony, moja duszko. Wyjdźmy, a zrozumiesz, że nie wypada, bym to niósł — rzekł dając jej łopatę.

Gdy znaleźli się pod pierwszą latarnią, Molly wytrzeszczyła głupkowato oczy.

— Czy nie było dla mnie nowej spódnicy, Ned? — spytała.

— I spódnica, Molly — odparł głaszcząc jej podbródek — i zakieciak, i nowe pantofelki na twe drobne nóżki... I jedwabna chustka... i cienka koszula...

— Daj pociągnąć łyk — zawołała wzruszona, chwytając butelkę.

Z przedmieścia Montmartre udali się w ulicę Świętego Łazarza, o tej nocnej godzinie pustą i źle oświetloną. Bramy Tivoli były zamknięte, a lampiony pogasłe. Ned zawrócił pod murem i ruszył małą uliczką, w którą dwie godziny temu zapuścił się hrabia Henryk. Zamiast zbliżyć się od frontu do restauracji "Pod Łakomczuchem", której ciemna fasada wskazywała, że nie było już w knajpie klientów, Ned poszedł na lewo, kierując się na nie zabudowane tereny na tyłach budynku. Zrobiwszy może sto kroków zatrzymał się nagle pod krzakiem, mówiąc z dumą:

— Spójrz, duszko, jak urządziłem zuchwalców!

Pod krzakiem leżało ciało ludzkie. Molly oparła się na łopacie i powiedziała spokojnie:

— Można by sądzić, że to Dick z Lochaber, który za cztery szylingi potrafił wytrąbić wiadro piwa.

Trzydzieści kroków dalej Ned przystanął wśród krzewów jeżyny, gdzie w wysokiej trawie leżały drugie zwłoki.

– Czy mogłabyś nawet przypuścić, że twój Ned silniejszy jest od Nolla Greena, zapaśnika? – spytał stając w postawie zwycięzcy.

– Czy doprawdy sam dałeś rady?

– Nie użyłem nawet całej siły. Dziesięć lat nadaremnie szukałabyś takiego jak ja zucha w Londynie i w Paryżu! Zbierz rzeczy Nolla a ja spakuję drobiazgi Dicka. Żal mi ich, ale czemu stawiali mi opór?

Molly uklęknęła przy ciepłych jeszcze zwłokach Nolla i w mgnieniu oka ogołociła siłacza z ubrania. Na ciele nie było żadnej rany, tylko oko podbite uderzeniem pięści i twarz umazana krwią. Przy Dicku znaleźli amerykański nóż, otwarty i zakrwawiony. Ze strasznej rany w prawej dłoni wyciekła kałuża krwi. Nie umiera się jednak z powodu zranionej ręki czy podbitego oka.

– Wykop tutaj dół, moje serce – powiedział Ned, wskazując miejsce równo oddalone od obu nieboszczyków. – Ja tymczasem wytnę trawę.

Molly chwyciła łopatę i zabrała się energicznie do roboty, a Ned przyniósł parę płatów ziemi wraz z trawą oraz kilka kępek chwastów z korzeniami. Następnie przyciągnęli ciała.

– Zawsze coś zapomnę – szepnęła po chwili – pozostawiłam mu pierścionek... Czy zauważyłeś, że miał tylko cztery palce u prawej ręki?

– Biedny Noll – odparł Ned – ugryzł go pies strażnika w Bontany Bay tej nocy, gdy uciekł wraz z Tomem Brownem. Ja wiem wszystko... A biedny Dick miał głowę rozbitą żelazną sztabą w Newgate, gdy walczył z dozorcą. Doprawdy, gdyby nie ja, nikt by im nie dał rady.

– Dlaczego ich zabiłeś, Ned? – spytała olbrzymka.

– Pracuj, Molly – odparł surowo. – Czy chcesz wiedzieć tyle co i ja? W takim razie zajmij moje miejsce i zostań prawą ręką Jana Diabła.

Molly stanęła upuszczając ciało Dicka.

– Więc spotkałeś go? – wybełkotała.

Ned wziął łopatę i zamiast odpowiedzi począł zasypywać zwłoki dwóch przyjaciół. Na zakończenie obłożyli miejsce płatami darni i zasadzili kilka krzaków zielska.

– Niech tylko spadnie deszcz powiedział z dumą Ned – a nie zostanie śladu po naszej robocie. A teraz – dodał – zabieraj paczki i łopatę. Nie będziesz więcej sypiać w podejrzanych norach. Jestem dżentelmenem, a ty lady i stać nas, by jak księżęta zamieszkać w hotelu.

Zegar na gmachu Giełdy wydzwonił pół do jedenastej, gdy hrabia Henryk zagłębiał się w wąską czeluść pasażu Feydeau. Doszedłszy do teatru obejrzał się nagle. Za nim stał Robert Surrisy. Zatrzymali się jednocześnie i zwarli się spojrzeniem, a żaden nie opuścił wzroku.

– Czy polecono panu pilnować mnie, panie Surrisy? – spytał Henryk z łagodnym, a jednocześnie wyniosłym uśmiechem.

– Tak, panie hrabio – odpowiedział spokojnie były podporucznik, a rumieniec zalewał mu policzki.

– Czyżbyśmy byli wrogami? – szepnął Henryk, a jego uśmiech zabarwił się lekką ironią.

– Panie hrabio, mam niejedyn powód do nienawiści. Być może, nie o wszystkich jest pan poinformowany.

– Panie Surrisy – powiedział wolno i poważnie Henryk – daję panu słowo honoru, że chciałbym być pańskim przyjacielem.

Robert skłonił się w milczeniu. •.'

– Czy mogę zadać pytanie? – podjął hrabia raz jeszcze zmieniając ton.

– Jestem na pańskie rozkazy.

–¹ Cizy od chwali gdy wyszedł pan I teatru jednocześnie ze mną, wrócił pan na salę, czy też stał pan na straży przed drzwiami holenderskiego szynku?

Robert zmarszczył brwi.

– Zwracam się do człowieka honoru i proszę o odpowiedź.

– Nie wróciłem do teatru.

Henryk z żywością wyciągnął rękę, a widząc wahanie Roberta, postąpił krok naprzód i wpijając wzrok w byłego podporucznika szepnął:

– Ku lepszemu!

Robert zbladł, spuścił oczy i wyszeptał:

– Poznałem już pana po głosie – po czym uściśnął wyciągniętą dłoń i jak gdyby ze smutkiem powiedział: – Wiem, pan jest wodzem.

– Pracowałem, kuzynie, dla sprawy, a śledzą mnie nie tylko twoje oczy. Pamiętaj jedno: odkąd przekroczyłem próg łoży lady Elphinstone, nie opuściłeś mnie ani na chwilę.

– Nie opuściłem pana? – powtórzył zdumiony Robert i dodał: – Jeśli pana nie opuściłem...

– Jeśli nie chce pan złamać złożonej przysięgi – przerwał Henryk – powinien mi pan pomóc w dokonanym dziele... Proszę podać ramię, wejdziemy razem do łoży milady, i poprzeć swoim świadectwem moje słowa! – To mówiąc wsunął rękę pod ramię Roberta.

Gdy wchodzili do łoży, kurtyna spadała po ostatnim akcie "Gio- condy". Ujrawszy ich, panie zaczęły mówić jednocześnie, a Jania powiedziała z wymówką:

– Pan hrabia wychodził tylko na chwilę!

– Oto prawdziwy winowajca – odparł lekko Henryk, wskazując Roberta.

W tej chwili Zuzanna dotknęła ramienia hrabiego szepcząc:

– Ojciec mój jest na widowni.

– Czy był tutaj? – spytał równie cicho Henryk.

Zuzanna pokręciła przecząco głową.

– Trzy godziny nieobecności! – zauważyła Żermena. – całe titzy godziny!

Z łoży zrobił się salon, lady Frances szukała wzrokiem spojrzenia Roberta, stojącego z ponurą miną przy wejściu. Hrabia Henryk, by zaprzeczyć słowom Żermeny, rozchylił frak, chcąc wyjąć z kieszonki zegarek. Jania, szeroko rozwartymi oczami śledząca każdy jego ruch, zmieniła się na twarzy wołając nagle:

– Krew!

– Krew! – powtórzyli Żennena, Zuzia i pan Potel.

Frances zakryła oczy wachlarzem. Na śnieżnobiałej pikowej kamizelce i na mankietach koszuli hrabiego widniały dwie świeże, zdawałoby się wilgotne jeszcze plamki krwi...

Henryk spojrział na mankiet, potem na kamizelkę. Ani jeden mu- skuł nie drgnął na jego twarzy, uśmiech nie zszedł z ust.

– Rzeczywiście – powiedział spokojnie, wodząc spojrzeniami po przestraszonych twarzach obecnych. – ■ Rzeczywiście, krew! – Po czym obrócił się powoli w stronę Roberta," który wyprostowany i nieruchomy, z opuszczonym wzrokiem i zmarszczonymi brwiami, podobny był raczej ido posągu. – Panie Surrisy – powiedział wesoło – czy wszystko zostało na mnie? Na panu nie ma żadnej kropelki?

Robert podniósł oburzone spojrzenie, lecz napotkawszy wzrok hrabiego spuścił oczy pokonany wołą przeciwnika.

– Otóż tak, moje panie.— podjął hrabia – na próżno chcieliśmy udać skromnisiów... przypadek nas zdradził. Mieliśmy szczęście wraz z panem-Surrisy ocalić życie biednemu dziecku, które dostało się pod koła powozu. Niech się panie uspokoją, to nie moja krew.

– Czy na pewno, panie Robercie? – zawołała Żermena.

• Na pewno – odparł Robert – to nie krew pana hrabiego.

– A dziecko? ~ spytała Jania.

– Tylko lekko zranione.

Kurtyna znowu poszła w górę. Na dodatek dawano krótką komedię. Robert wyszedł z łoża, nie mógł dłużej wytrzymać, dusił się. Zamiast wrócić do «przyjaciół na parterze obszedł salę i zapukał do przeciwległej łoży drugiego piętra. Łoża była zakratowana, a wewnątrz siedział samotny starzec, którego po siwych włosach i głębokich zmarszczkach łatwo było poznać jako dawnego intendenta policji, Gregory Temple'a. A więc? – zapytał wpijając w Roberta płonące gorączką oczy.

Młody podporucznik wyglądał jak człowiek, któremu potok słów rwie się na Usta zamknięte żelaznym kneblem.

– Nic z tego. Nie nadaję się do tej misji – odpowiedział zduszonym głosem.

– Nic pan nie wykrył?

|H Jeszcze nic.

– A dziecko?

– Nie wiem.

– A młoda kobieta, zwana lady Elphinstone? ■ – Nie dowiedziałem się niczego.

21. Niepodobieństwo

W dniu imienin markiza nawet słońce wstało w odświętnej szacie. Dzień świętego Honoriusza był wielkim dniem tańców, uczyty, ogni sztucznych, gdyż w Miremont hucznie obchodzono imieniny pana mera. O "szóstej rano połowy Blondeau, pijany od świtu, przeszedł esplanadą strzelając na wiwat. Na ten sygnał rozkołysały się dzwony kościółka i całe miasteczko jeszcze na czczo zawołało: – Niech żyje pan mer i jego syn!

Wszyscy ukwieceni, z Olbrzymimi bukietami bzu, hurmem opuszczali domy, udając się do zamku. Bramę udekorowano gałązkami pachnącego kwiecica. Markiz jeszcze nie wstał, na nocnym stoliczku dymiła gorąca kawa z mlekiem, którą Piotr wniósł na srebrnej tacy. Markiz siedział w łóżku z listem w ręku, przeglądając korespondencję. Z dworu dochodziły okrzyki i wiwaty. Twarz markiza, mimo zwykłego dobrotliwego uśmiechu, wyrażała niepokój.

"Znam jego sekrety – myślał – konspiracja zawsze pociąga wyobraźnię młodych... Trzeba być głupcem, by nie rozumieć, jaka aureola wielkości otacza więźnia z Wyspy Świętej Heleny... Dzięki Bogu, król mocno siedzi na tronie i ci zapaleńcy nocnymi rozmowami w chatce Magdaleny nie zachwieją pokojem Europy. Ale Henryk? Dlaczego zawsze najszlachetniejsze natury przystępują do buntu? Do jakich zaszczytów doszedłby ze swym wykształceniem i niezwykłą inteligencją?" – Następnie raz jeszcze rozwinął przeczytany list:

Drogi i szanowny przyjacielu – brzmiało pismo – nie wiesz nawet, jak bardzo mi pomogłeś w strasliwym pojedynku z wcielonym szatanem, który być może jest wytworem mojej wyobraźni i tylko dlatego nieuchwytny, że nie istnieje. Sądzę, że jestem przy zdrowych zmysłach, gdyż przeprowadzam trudne obliczenia, a wynik przeraża mnie samego. Bóg zapłać za dobre serce i za opiekę nad moją biedną Zuzią.

Doskonale pamiętam sprawę O'Briena, a tak późno odpisuję, gdyż prosiłem o przysłanie ze Scotland Yardu akt dotyczących zabójstwa generała. Niestety, odmówiono mi. Trudno, moja pamięć więcej warta niż rozum; jest to księga, gdzie nic się nie zaciera.

Wkrótce zjawię się w zamku Belcamp i porozmawiam z kobietą, o której piszesz. Być może, przy jej pomocy wykryję prawdę.

Ucałowania dla mojej córki. Pozdrowienia dla hrabiego de Belcamp, dowiedziałem się o jego powrocie!

Twój stary przyjaciel Gregory Tempie

Drugi list pochodził od kuzyna markiza, wicehrabiego de Boisruel, radcy królewskiego trybunału.

Nadmiar spraw nie pozwala mi osobiście stawić się, by jak zwykle złożyć kuzynowi najlepsze życzenia...

Wicehrabia tłumaczył się, gdyż nie mógł przybyć do zamku Belcamp na imieniny markiza.

Trzeci list, w dużej szarej kopercie, nosił urzędową pieczętkę komisarza policji w Isle-Adam. Pochodził od komisarza Godinot, syna wieśniaka z Miremont, towarzysza dziecięcych zabaw markiza, z którym grubo przed rewolucją uczyli się razem czytać. Komisarz był najstarszym kolegą solenizanta, serdecznym przyjacielem i często bywał w zamku.

"Nadmiar spraw... – przeczytał markiz – obowiązki związane ze stanowiskiem..." – Nie będzie więc i Godinota! – westchnął pan de Belcamp.

Gdy otworzył czwarty i ostatni list, na kołdrę wypadły dwie kartki białego papieru; nie było na nich ani jednego pisanego słowa. Markiz sądził, że padł ofiarą mistyfikacji. Ujął więc kopertę, by przeczytać adres. Na kopercie widniał, stempel pocztowy Londynu, i zaadresowano ją do pana hrabiego de Belcamp.

– Proszę, proszę – mruknął – to także część tajemnicy mego syna!... Gdybym go poznał z Gregory Temple'em, mogliby całe życie bawić się w chowanego z coraz większą przyjemnością!

Były jeszcze cztery listy, jednakże zanim je rozpieczętował, przeczytał uważnie adres. Trzy pochodziły z Londynu, jeden z Liver- poolu. List z Liverpoolu i dwa listy z Londynu zaadresowano do Henryka. Czwarty list do panny Tempie.

Markiz zadzwonił. Na progu ukazał się Piotr z bukietem, jak družba.

– Życzę panu markizowi szczęśliwego życia – wyrecytował z przejęciem – a po najdłuższym życiu życzę nieba...
Markiz uściśnął rękę wiernego sługi.

– Dziękuję, przyjacielu, dziękuję. Dobry z ciebie chłopiec i podobasz się panu hrabiemu. Mamy jeszcze sporo czasu, chcę, byś tak mnie dziś wystroił, bym wyglądał co najmniej o dziesięć lat młodziej!

I rzeczywiście, gdy w kilka godzin później ukazał się w parku, był młodszy o dobre lat dziesięć, prowadząc dwie uroczyste dziewczyny: Janię i Żermenę. Panienki, zawieszane u ramion markiza, tuliły się do starca, ale ich kokieteria przeznaczona była dla młodego hrabiego, który panował nad myślami całej trójki.

Jeszcze nikt oprócz Piotra nie złożył markizowi życzeń. Program uroczystości był z dawna ściśle ustalony. Całe Miremont, podzielone na grupki, zbierało się w parku. Prezenty wypychały kieszenie, mówcy powtarzali oracje. Markiz udawał, że niczego nie dostrzega. Na trawniku ustawiono olbrzymi stół. W alei ukazał się Henryk prowadząc lady Frances.

– Chodź tu, błędny rycerzu – markiz pogroził synowi palcem. – Czy dziś rano także komuś uratowałeś życie? – Po czym dodał wesoło: – Szanowne panie, nie będzie ani sądu, ani policji, gdyż mój przyjaciel Godinot i mój kuzyn radca Boisruel nie przybędą, zatrzymani obowiązkami swego stanu.«

– Nie trzeba tu nikogo aresztować ani sądzić – zauważył Henryk.

– W zamian za to oczekuję ojca Zuzanny...

Nieuchwytnie drgnienie przebiegło przez twarz hrabiego, ale tak nieznaczne, że nikt tego nie zauważył.

– Jeśli o mnie chodzi – powiedział z zadowoleniem – będę miał przyjemność odnowić znajomość z wybitnym człowiekiem, dżentelmenem w całym znaczeniu tego słowa.

Lady Frances spuściła oczy, a lekki rumieniec zabarwił jej śliczne policzki.

Nagle głośny wybuch wstrząsnął parkiem. W głównej alei ukazał się proboszcz wraz z wikarym, zakrystianem i małym ministrantem. Za nimi postępowały władze miejskie w komplecie, po czym reszta mieszkańców Miremont. Jania i Zermena zaprowadziły solenizanta na fotel ustawiony pod zielonym baldachimem ze świeżych gałązek. Hrabia Henryk stanął obok ojca i rozpoczęło mowy z życzeniami, zakończone gromkim okrzykiem:

– Niech żyje pan mój!

Podczas całej uroczystości markiz potrafił zachować wyraz łagodnej rezygnacji i zniósł wszystko bez szemrania.

Henryk składał życzenia ostatni. Ojciec długo trzymał go w objęciach, po czym rzekł głosem zmienionym wzruszeniem;

– Czy wiesz, jakiego prezentu chciałbym od ciebie? – a gdy Syn okazał zdziwienie, dodał: – Obietnicy, że mnie nigdy nie opuścisz.

– Jeśli taka będzie wola boża, pragnę pozostać z tobą na zawsze – odparł Henryk oddając uścisk.

Hrabia nie słyszał cichego podziękowania, które jak szept spłynęło z ust ojca; wśród tłumu gości jasne, przenikliwe spojrzenie przyciągnęło jego wzrok jak magnes, mroząc krew w żyłach i wprowadzając niepokój do serca. Hrabia Henryk oczekiwał człowieka o tym spojrzeniu, jak oczekuje się przeciwnika w chwili ostatecznej rozgrywki... Dotychczas unikał go, więcej nawet: by zmylić ślady, uciekł się do najwymyślniejszych wybiegów. Aby uśpić czujność wroga, rozmyślnie zaplątał w nierozzerwalny węzeł trzy osoby: siebie samego, Jamesa Davy i Ryszarda Thompsona. By oddzielić się jeszcze jedną zaporą od tego człowieka, tak okrutnie zaciążył na losie Zuzanny. Spotkanie to było przewidziane! To jeszcze jedna karta w grze. Lont również jest przewidziany w pracy górnika, mającego wysadzić skałę. Górnik czuwa nad lontem i zapala go dopiero w odpowiedniej chwili, lecz sam wówczas ucieka.

Człowiekiem, który zjawił się niespodzianie i zaskoczył hrabiego Henryka, był Gregory Temple. Wszedł cicho, zgodnie ze zwyczajami myśliwego. Kot i detektyw mają bezszelestny chód. Nikt w zamku nie wiedział jeszcze o jego przybyciu, nawet córka. Jak zwykle był ubrany na czarno. Gładko zaczesane siwe włosy lśniły w słońcu. Stracił trochę dziki i niepokojący wygląd zbiega z zakładu dla umysłowo chorych. W nowym, czarnym ubraniu, z gładko wygolonymi policzkami, wyglądał jak prawdziwy dżentelmen.

W chwili gdy wzrok Henryka skrzyżował się ze spojrzeniem detektywa, oko Gregory Temple'a straciło blask, a źrenica nagle zmatowiała. Henryk nie zdradził wzruszenia i mijając gości podszedł prosto do starego Anglika.

Markiz tymczasem, spoglądając na roześmiane dziewczęta, pytał chytrze:

– Przy kim chcemy siedzieć, hę?

Gdy hrabia Henryk szedł w jego stronę, serce Gregory Temple'a uderzało przyspieszonym rytmem. Oblało go nagle oślepiające światło. Jeszcze nie przejrzał, ale już wiedział, czuł, że tuż obok znajduje się rozwiązanie dręczącej go zagadki.

Hrabia Henryk podszedł z wyciągniętą ręką, którą były intendent ujął bez wahania.

– Jamesie – powiedział – nie spodziewałem się ujrzeć pana tutaj, drogi chłopcze. Pokaż mi, proszę, młodego hrabiego de Belcamp.

– Panie Tempie – odpowiedział Henryk – oczekiwałem pana, choć pragnąłem opóźnić pańskie przybycie. Nie mamy czasu bawić się w ciuciubabkę. Ja jestem hrabią de Belcamp. .

Krew zalała policzki detektywa. Przymknął oczy, by ukryć ogień, jaki zapłonął pod powiekami. Jego zdumienie nie wyraziło się w słowach.

– Znam pana na tyle – powiedział Henryk – by odgadnąć, o czym pan teraz myśli i jakie wyciąga wnioski. Powtarzam, chciałem opóźnić pańskie przybycie, nie udało mi się niestety. Czuje się pan oszukany i nic nie powstrzyma pana od wybuchu; nie kocha: pan córki, panie Tempie!

Ręka Henryka wskazywała tę część parku, gdzie wśród bzów na ławce siedziała Zuzanna z dzieckiem lady Frances na kolanach. Gregory Tempie zbladł i nogi pod nim się ugięły. Nie potrzebowali wyjaśnień. W tej chwili przeszła mimo lady Frances, wsparta na ramieniu Roberta Surrisy. Pan Tempie zadrżał na jej widok.

– Tak, tak – zamruczał. – Sara O'Neil stała się także wielką damą.

– Sara O'Neil nie zna pańskich tajemnic rodzinnych – odparł Henryk. – Służyła panu, gdyż ja tak chciałem.

– Służyła mi! – odpowiedział detektyw powstrzymując gniew. ,

– Jeśli nie panu, to przynajmniej pańskiej biednej córce – rzekł Henryk wyzywająco.

Byli teraz sami na trawniku, gdyż reszta gości rozproszyła się wśród drzew. Od zebranych oddzielał ich olbrzymi stół, przykryty baldachimem z zieleni. Lady Frances weszła między krzewy bzu, nie widząc Zuzanny, która również nie zauważyła nikogo, zajęta dzieckiem. Wzrok Gregory Temple'a z niepokojem odwrócił się od córki.

– Panie Tempie odezwał się młody hrabia – wielkie umysły miewają chwile zaćmienia, a najgłębsza nauka zawiera dziwne dozy ignorancji. Nie zdradziłem pana, lecz oszukałem. Gdy pozna pan na tyle fakty, by zrozumieć język dat, wyłuszczę panu dwojakie pobudki moich czynów. Do każdej z nię dżentelmen może przyznać się bez wstydu.

– Henryku! – zawołał z daleka markiz de Belcamp.

– Co to za dziecko? – spytał nagle Gregory Tempie. . – To pański wnuk – odparł Henryk.

– Czy ktoś o tym wie?

– Nikt.

– Henryku! Henryku! – niecierpliwiał się markiz.

– Już idą, ojciec – odpowiedział młody hrabia.

– Ojciec! – zawołała jak echo Zuzanna, spostrzegłszy starego detektywa.

Były intendent policji niczemu się nie dziwił, lecz zbił go z tropu spokój Henryka.

– Muszą wiedzieć, czy pan mnie zaatakuję i czy trzeba się bronić. Karty na stół, panie Tempie!

Zuzanna zbliżała się z dzieckiem na rękę.

– Do wieczora udzielam panu rozejmu, Jamesie Davy – wycedził wreszcie przez zaciśnięte zęby Gregory Tempie.

I ja daję panu zwłokę – odparł wyniośle młody człowiek – równie krótką jak pański rozejm.

Zuzanna zbliżyła się zaniepokojona, spojrzenie jej nie uszło uwagi detektywa.

– Co to za dziecko? – spytał Gregory Temple całując córkę.

To synek lady Elphinstone – odparła z prostotą.

Miss Zuzanna będzie dobrą matką – zauważył poważnie Henryk, po czym ująwszy pod ramię byłego intendenta policji, pociągnął go ku gościom mówiąc: – Drogi mistrzu, czy nie zechce pan złożyć życzeń memu ojcu?

Nikt z obecnych nie podejrzewał dramatu, którego osoby te były aktorami. Zuzanna bawiła się spokojnie z dzieckiem, Gregory Temple i Henryk rozmawiali na pozór pogodnie uśmiechnięci.

I choć dziwna rozgrywała się scena, nie mniej dziwne wydarzenie wisało w powietrzu. W tym samym bowiem czasie, dwoma różnymi drogami, z dwóch różnych stron, zbliżało się dwóch ludzi, którzy spotykając się w zamku Belcamp mieli wnieść najdziwniejsze zakończenie tej cichej tragedii.

– Witaj, witaj, drogi przyjacielu! – wołał markiz. – Mówiłeś, że nie znasz mego syna, Henryk, co prawda, twierdził co innego; naturalnie, jak zwykle, nie miałem racji... 5 A widząc, jak Gregory Temple wita Frances, dodał: – I lady Elphinstone? Doskonale, nie potrzebuję nikogo przedstawiać... to pan Surrisy...

– Owszem, znam pańskiego syna, panie markizie – odparł Gregory Temple ze swobodą światowca – mam również zaszczyt znać milady – i kłaniał się z obojętną grzecznością Robertowi.

– Nie ukrywałem przed tobą, ojczy – mówił Henryk wesoło – że wiele się jeszcze dowiesz. Mam inne przygody oprócz australijskich... A moje stosunki z panem Temple'em to jeden z najciekawszych epizodów mego życia...

– Hola, Briquet! – zawołał markiz – pobiegnij do domku pani Surrisy i uprzedź ją, że przyjechał pan Tempie.

Zaledwie Briquet oddalił się spełnić polecenie, ukazał się Piotr z serwetą przewieszoną przez ramię. Na widok lokaja rozjaśniły się twarze perspektywą obiadu. Piotr śpiesznie podszedł do markiza.

– Sędzia... – powiedział zdyszany – pan de Boisruel!

■– Więc kuzyn zmienił zdanie? – przerwał wesoło markiz. V

– Wraz z sądowym pisarzem... – ciągnął Piotr.

– Z pisarzem? – powtórzył pan de Belcamp.

– Iz żandarmami!

Wszyscy, oprócz byłego intendenta policji, wybuchnęli śmiechem. Oczy Gregory Temple'a z niezwykłą szybkością obiegly krąg obecnych. Ludzie jego pokroju nigdy nie śmieją się z niepodobieństwa. Wzrok jego zatrzymał się na Henryku.

– Chodźmy na spotkanie kuzyna de Boisruel – rzekł uśmiechając się młody hrabia.

– Oto on! – zawołał markiz, kierując się w stronę nowo przybyłego. – Widzę, że pisarza i żandarmów zostawił za bramą.

– Pisarz czeka w salonie – odparł Piotr nieco uspokojony ogólną wesołością – tylko żandarmi zostali za bramą.

Gregory Temple zauważył niezwykłą błądź pana de Boisruel. Na wesołe powitanie markiza sędzia odpowiedział serdecznym, choć poważnym ukłonem. Był to człowiek czterdziestoletni, wielce dystyngowany i elegancki. Pan Tempie, przywykły do analizowania charakterów, posiadając przy tym zadziwiający zmysł obserwacyjny, być może sam jeden spostrzegł skrępowanie, a nawet przykrość kryjące się w twarzy gościa. Zebrani żartowali na temat pisarza i żandarmów.

– Brakuje już tylko komisarza Godinot – powiedział nagle pan Chaumeron.

– Zapomniałem uprzedzić pana markiza – Piotr uderzył się w czoło – pan Godinot stanął w zajeździe na placu Kościelnym.

– Godinot!... W zajeździe!...• powtórzył markiz tym razem naprawdę zdumiony. – Ma tu przecież swój pokój! To dopiero dziwak... Kuzynie, pozwolisz, że ci przedstawię syna... hrabia de Belcamp.

Pan de Boisruel zawahał się, zanim uściśnął wyciągniętą prawicę Henryka.

– Czy przyszedł po niego? – pytał siebie Gregory Temple, poruszając nozdrzami jak myśliwski wyżeł.

– Kuzynie – mówił Henryk – jeszcze w Paryżu złożyłbym ci uszanowanie, lecz ojciec pragnął sam mnie przedstawić.

Wargi urzędnika były blade jak płótno. Wybełkotał kilka słów odpowiedzi i najmniej przenikliwi zrozumieli, że sędzia źle czuje się w swej roli. Puścił rękę Henryka, starając się opanować wzburzenie.

– Panie markizie – powiedział wreszcie – nie tylko jestem pańskim krewnym, zaszczyca mnie pan również przyjaźnią... Proszę udzielić mi kilku minut rozmowy na osobności.

– Z całego serca, kuzynie – odpowiedział markiz ujmując gościa pod ramię.

– Jakież sekrety! – zauważył Henryk tak pogodnie, że sam Gregory Tempie zachwiał się w domysłach.

Powyższa scena obudziła ogólną ciekawość.

– Nie przyjechał na obiad (8 rzekł z dziwną powagą Robert.

– Znajdujemy się w wersalskim okręgu sądowym – odpowiedział pan Potel – a pan de Boisrueł należy do królewskiego trybunału, nie może więc...

– Z wyjątkiem rekwizycji sądowej – przerwał Laurent, spożytkując świeżo nabyte wiadomości prawnicze.

– Drogi kuzynie ~ mówił cicho pan de Boisrueł – wiedziałem, że dziś dom twój pełen gości, i dałbym wszystko, by przykrą misję odłożyć do jutra, jednakże nie miałem wyboru. Jestem tu w sprawie hrabiego Henryka de Belcamp.

Myśl o tajnym, posiedzeniu najwyższej rady spiskowców przeleciała przez głowę markiza, który poczuł chłód w sercu.

– W nocy z 12 na 13 maja w Brukseli popełniono morderstwo i poważne poszlaki wskazują...

Markiz wydał westchnienie ulgi. Odstąpił od sędziego, skrzyżowawszy ręce na piersi.

– Henryk! – zawołał grzmiącym głosem. – Hrabia de Belcamp! Mój syn!

– Proszę uważać! – powiedział łagodnie pan de Boisrueł.

– Uważać! Sam uważaj, kuzynie! – powtórzył gwałtownie markiz, a po chwili zaśmiał się pogardliwie i dodał: S Chodź, Henryku, broń się, oskarżono cię o czary!

– Proszę uważać! – powiedział mu do ucha inny głos, a gdy się odwrócił, pan Tempie stał u jego boku.

Wśród zebranych jeden tylko hrabia Henryk zachował spokój. Puścił ramię Żermeny i uśmiechnięty podszedł do ojca.

– Synu – zawołał markiz – opuściłeś mnie w sobotę wieczór, wsiadłeś na miotłę i zamordowałeś w Brukseli człowieka... To mężczyzna czy kobieta, panie radco?... Po czym powróciłeś tą samą drogą, by w niedzielę wypić ze mną poranną kawę.

– O co chodzi, ojczu? – spytał z prostotą Henryk.

– Panie markizie – napomniał surowo de Boisrueł – ludzie na pańskim stanowisku i w pańskim wieku nie pozwalają sobie kpić ze sprawiedliwości.

– Jeśli sprawiedliwość jest szalona, kuzynie?... – zaczął markiz z rosnącym podnieceniem.

– Większy szaleniec, kto ją wyśmiewa – przerwał urzędnik.

– Proszę uważać! – powtórzył pan Tempie jak echo.

Słowo "morderstwo" znalazło się na ustach wszystkich. Obecni czuli absurdalność oskarżenia i oddani chwilowo panu merowi, gotowi byli wyrzucić za drzwi przedstawicieli sprawiedliwości.

Henryk położył kres wzburzeniu i zwracając się do urzędnika tonem pełnym uszanowania, poprosił o wyjaśnienie. Gościom wydłużyły się twarze, oplakiwano stracony obiad.

- To prawda – mówiła pani Celestin, której hrabia poświęcił zbyt mało uwagi – od ośmiu dni nie opuścił zamku, ale czytałam...
- Znamy go dopiero od ośmiu dni – zawyrokowała pani Besnard, matka miejscowego donżuana.
- Są ludzie dobrze znani od dziesięciu lat, a niczego niewarci – zaproponowała z ogniem Żermena – nieprawdaż, Janiu?
- Jania, podobnie jak Henryk, zachowała spokój i pogodę.
- Kto odmówi świadectwa, że od ośmiu dni pan hrabia de Bel- camp nie opuszczał okolicy, popełni podły czyn – oświadczył poważnie Robert Surrisy.
- Jania podała mu rękę, którą uściśnił ze smutnym uśmiechem, dając jednocześnie znak przyjaciółom, by odeszli z nim na stronę.
- Moi drodzy – powiedział – nie mamy tu co mędrkować. Możliwe, że hrabia zażąda od nas pomocy. Czy jesteście gotowi?
- Jestem gotów JB odpowiedział Ferandeu. – Dać szturchańca żandarmowi, to całkiem w moim guście.
- A ty, Laurent?
- Jestem gotów... ale nie rezygnuję i kiedyś wyzwę go na szpady.
- Drogi kuzynie – mówił tymczasem Henryk głośno i wyraźnie, by go wszyscy słyszeli – nie mam do pana żadnej urazy. Jestem gotów odpowiadać na pytania i udać się za panem, jeśli chce mnie pan aresztować...
- Gwar licznych głosów przerwał mówiącemu. Po stopniach tarasu schodził komisarz Godinot, przepasany szarfą, gruby, zafrasowany, przejęty ważnością roli, jaką odgrywał. Za nim postępował chudy drab w przyciasnym i przykrótkim ubraniu.
- Komisarz policji niepotrzebny – powiedział z wyrzutem Henryk.
- To oburzające! Niegodne! – wybuchnął markiz.
- Na honor, nie wydałem rozkazu – zaprotestował pan de Boisrueł.
- Ogólna ciekawość wzrosła.
- Witajcie, panie, witajcie, panowie – zawołał Godinot zdyszany i spocony. – Nie zawsze można czynić, co się chce. Przybyłem wraz z sekretarzem w urzędowej misji... Dzień dobry, panie markizie... Proszę o słówko na osobności, jeśli łaska, mam mało czasu.
- Nie przywykłem do podobnego tonu – odrzekł wyniośle markiz. – Gdy wystarałem się panu o miejsce komisarza...
- Proszę nie używać wyrażen nie stosownych wobec urzędnika! – zawołał Godinot.
- Woli pan mówić głośno? Starłem się umknąć skandalu... Wolałem rozmowę w cztery oczy... Ale ja nie boję się słuchaczy.
- Proszę mówić przy wszystkich – rozkazał markiz.
- Niech się pan liczy ze słowami – dodał pan de Boisrueł – jestem radcą królewskiego trybunału w Paryżu.
- Spełniam tylko obowiązek – odparł niezmiyszany Godinot – mój sekretarz poświadczy; co prawda przykry to obowiązek wobec szkolnego kolegi. Na dowód dodam, że żandarmów zostawiłem za parkiem na drodze...
- Żandarmów? – powtórzyli chórem obecni.
- Z oczu byłego intendenta policji sypnęły się skry.
- Niepodobieństwo! – wyszeptał.
- Pan markiz pragnie rozgłosu – ciągnął Godinot – według rozkazu! – W nocy z 12 na 13 maja popełniono w Lyonie morderstwo...
- W Brukseli – sprostował pan de Boisrueł.
- Przepraszam, panie radco – powiedział uprzejmie Godinot. – Jeszcze czytam bez okularów... należę do departamentu Sekwany i Oise... Działam na rozkaz prefektury w Wersalu.

- W Wersalu? – powtórzył pan de Boisrueel zdumiony.
- Czy i tym razem mój syn jest winowajcą? – spytał z ironią markiz.
- Jak to "i tym razem"? – zawołał Godinot. – Czy jedno morderstwo nie wystarczy? Powtarzam: morderstwo popełniono w Lyonie... departament Rodanu...

Najpoważniejsze poszlaki ciążyą na panu hrabi de Bele amp.

- Dziwne, bardzo dziwne! – szepnął pan de Boisrueel.
- Absurd! – powiedział Robert przysłuchujący się z najwyższą uwagą.
- "Niepodobieństwo!" – powtórzył w myśli pan Tempie. Markiz zwrócił się ku niemu ściskając rękę przyjaciela, gdyż pokładał wielkie zaufanie w jego zdrowym sądzie.
- W Lyonie i w Brukseli! Tej samej nocy... – powiedział Feran- deau – doprawdy trudno zrozumieć...

– Podczas gdy pan hrabia przebywał na oczach wszystkich w Mi-remont – dodała pani Cécélin zmieniając nagle front. – Nasi panowie zaświadczą, gdy będzie trzeba.

– Do licha! – wrzasnął czerwony z gniewu Godinot – dlaczego mówi się o Brukseli? Co to znaczy?

- Zdejm szarfę, głupcze – odpowiedział markiz – i chodź z nami na obiad.

Słowo "obiad" zelektryzowało obecnych.

Hrabia Henryk wyjaśnił grzecznie komisarzowi Godinot, dlaczego jego oświadczenie, w istocie swej tak poważne, wzbudziło wesołość wśród zebranych.

– Oddałem się do dyspozycji kuzyna de Boisrueel – zakończył bez cienia ironii. – Jestem również do pańskiej dyspozycji. Ponieważ w tej sprawie nie można zastosować sądu Salomona, proszę, dojdźcie, panowie, do porozumienia' między sobą.

Dzwon obiadowy rozległ się wesołą nutą i przed dom wniesiono dymiące dania. Radca de Boisrueel był zamyślony, Godinot pełen prze- "rażenia. Zapach gorącej zupy podniecił dobry humor towarzystwa, tu i ówdzie zabrzmiał śmiech. Żandarmów z Paryża i z Wersalu także poczęstowano obiadem; jedli obiad pisarz sądowy i sekretarz komisarza. Pan de Boisrueel i Godinot siedli do stołu. Tajemnicza sprawa, zdawało się, że zaostrzyła apetyty. Hrabia Henryk był olśniewający, Gregory Tempie opowiadał historyjki z działalności angielskiej policji, od których włosy stawały na głowie. Przy deserze, z panem de Boisrueel i komisarzem Godinot na czele, wypito z entuzjazmem zdrowie solenizanta i jego syna. Henryk oddał się w ręce sprawiedliwości jako więzień na słowo. -Pan de Boisrueel, jako sędzia śledczy, mógł zamknąć procedurę umorzeniem sprawy, lecz Godinot, zwykły funkcjonariusz, któremu polecono wykonać nakaz aresztowania, nie miał prawa ustąpić. Po kawie, Godinot zwymyślał od osłów wersalskich urzędników. Wstydił się swej misji i krzyczał głośniej od innych.

Podróż do Wersalu miała stać się triumfalną drogą Henryka. Kazano zaprzęgać. Połowa Miremont pragnęła udać się za więźniem, a pan de Boisrueel w pocztowej bryce miał dopełnić honorowej eskorty.

Gdy siadano do stołu, zapadła noc. Gregory Tempie ścisnął ramię Henryka.

- Jamesie Davy – powiedział – zawieszenie broni skończone.
- Czy nie pojedzie pan z nami do Wersalu, mistrzu? – spytał Henryk, którego spokojny uśmiech był lepszym wyzwaniem niż najśmielsze słowa.
- Będę tam przed panem – odparł Gregory Temple.
- Nie wierzy pan w oczywistą prawdę, mistrzu?
- Wierzę, że obaj mordercy przybyli wczoraj do Paryża. Był tam też Tom Brown lub Jan Diabeł, zwany Kwakrem, jak pan woli. Widziałem go, miał plamkę krwi na mankiecie i na koszuli. Obaj mordercy przypuszczalnie nie żyją. Uśmiech nie schodził z twarzy hrabiego; żegnając intendenta powiedział:

- Mistrzu, nauczył mnie pan fechtunku, proszę nacierać, będziemy się bronić.
- Czuje się pan bezpieczny pod ochroną zamka zwanego "niepodobieństwo"; potrafię go otworzyć, ja sam go zrobiłem!
- Zmieniłem kombinację, mistrzu, proszę dobierać klucze. – A widząc, że Jania i Żermena idą na spotkanie, dodał cicho: – Ojca biednego aniołka, który tak ślicznie spał na ręku Zuzanny, aresztowano dziś w Londynie, zgodnie zresztą z pana wskazówkami i na pańskie polecenie...
- Ryszarda Thompsona!
- Będzie wisiął, mistrzu, jeśli zechcę, a przez pana córka zostanie wdową... JDo widzenia, mistrzu!

Lekkim krokiem podszedł do dziewcząt, za którymi ukazał się markiz w podróżnym stroju.

Gregory Temple stał nieporuszony. Było już zupełnie ciemno. Odgłosy rozmów i pożegnań dochodziły do jego uszu jak ironiczne i gorzkie wyzwanie losu. Z kępy bzów wysunęła się wysoka postać i wolnym krokiem podeszła do detektywa, który drgnął, poczuwszy rękę kobiety na ramieniu.

- Jestem Magdalena Surrisy – powiedziała cicho postać.
- Czy słyszała pani głos człowieka, z którym rozmawiałem? – spytał żywo Gregory Temple.
- Słyszałam ten głos czwarty raz w życiu.
- Czy tego człowieka wskazała mi pani niegdyś jako Jana Diabła?
- To ten sam, który obiecał zabić generała O'Brien za dwieście pięćdziesiąt tysięcy florenów... ten sam, co powiedział przy łóżku zamordowanego: Maurycy O'Brien, to od Rycerzy Róży i Krzyża z Pragi!

Część II PROCES

1. Marionetkowy sędzia

arionetkowy sędzia, najweselszy człowiek Londynu, siedział w wydrążonej beczce jak w wygodnym i pełnym majestatu fotelu. Spróchniała deska na dwóch krzyżakach imitowała stół. Zamiast toggi sędzia miał na sobie wysmolony kaftan węglarza; w miejsce peruki, na głowie piętrzyła się garść pakuł, którymi zmyto pokład niejednego statku. Na prawo, na drugiej baryłce, siedział pisarz. Adwokaci zajęli ławy, oskarżony – stołek, a publiczność tłoczyła się w błocie. Każdy grał swą rolę z niezmaconą

powagą. Był to tak zwany "marionetkowy trybunał" z Low Lane, jedna z ulubionych rozrywek londyńskiego pospólstwa, które wiecznie bawi się wyśmiewając prawodawstwo, uznane przez mężów stanu jako najlepsze w świecie.

Groteskowy ten trybunał zasiadał w knajpie Sharpera, czyli amfiteatrze, gdzie niegdyś Tomasz Paddock, zwany Janem Diabłem, poił wiedzą zastępy młodych łotrzyków. Jenny Paddock była kobietą pomysłową, prowadziła rozległe interesy i robiła wszystko, by poślubić małego Żydkę, sprzedającego przemycały tytoń w jej lokalu, skoro tylko Żydek osiągnie odpowiedni wiek. Była, co prawda, o dwadzieścia lat od niego starsza, ale tego rodzaju związki często są spotykane po drugiej stronie kanału, nawet wśród bogatej burżuazji. Jenny pragnęła wejść do klasy bogatego mieszczaństwa i dla osiągnięcia celu nie cofała się przed niczym. Jak zaszła potrzeba, była złodziejką, paserką, oszustką i trucicielką. Ponadto matkowała gromadzie łotrzyków zalegających jej ruderę. Cały plon złodziejskiej działalności bandy przechodził do kieszeni Jenny, która odłożyła już niezłą sumkę, przynoszącą tysiąc funtów dochodu. Można śmiało powiedzieć, że nie było w Londynie złodzieja, włamywacza, mordercy, rzeźmieszka czy oszusta, którego by nie oskubała. Starożytni Rzymianie mawiali co prawda, że "pieniądze nie śmierdzą". W naszych jednak czasach można by dodać, że pieniądź, podobnie jak róża wyrastająca z kupy gnoju, pachnie wspaniale, wydając najbardziej odu-

rzający ze wszystkich pięknych zapachów. Jenny Paddock słusznie więc postępowała i choć żyła na dnie, właściwie należała już do bogatej burżuazji, gdyż miała pieniądze. Ponadto szczęście jej dopisywało, "marionetkowy trybunał" bowiem obierając jej knajpę za siedzibę, przyciągał liczną klientelę.

O dziewiątej wieczór sala była nabita po brzegi, tłum dusił się w oparach dżinu i tytoniu, śledząc z zapartym tchem nie kończące się perypetie procesu Jacka Simple'a, który ukradł ciotce indyki. Ten legendarny proces jest w Londynie równie słynny, jak u nas popularne przygody Tomcia Palucha lub niedole Genowefy z Brabantu. Jack Simple, siostrzeniec starej Maud, kocha Suzy, pasterkę, która pała afektem do pewnego nicponia. Jack idzie po radę do czarownicy, prosząc ją o eliksir, który by obudził miłość w Suzy. Czarownica, aby eliksir lepiej skutkował, żąda tłustego indyka. Nocą Jack zakrada się do zagrody ciotki i kradnie królewskiego ptaka: Czarownica zjada indyka i daje eliksir; Jack wypija go, lecz gdy chce pocałować Suzy, dostaje pięścią w oko. Zasmucony i rozczarowany, znowu biegnie do czarownicy. Baba pyta, czy wypił eliksir na czczo. Gdy Jack odpowiada przecząco, każe mu przynieść drugiego indyka. Jack Simple po raz drugi przesadza płot ciotki Maud. Czarownica pożera drugiego indyka i Jack, wypiwszy eliksir tym razem na czczo, udaje się w załoty, z których znowu wraca z podbitym okiem. Wściekły zbija czarownicę na kwaśne jabłko. Baba postanawia zemścić się. Wkrótce nadarza się okazja, gdyż ciotka Maud idzie do niej po wróżbę, kto ukradł dwa najpiękniejsze indyki. Jędza, ugotowawszy krowią głowę z czarodziejskimi ziołami, przepowiada, że o północy złodziej raz jeszcze zakradnie się do kurnika. Stara Maud, wróciwszy do siebie, zwołuje sąsiadów i przygotowuje linkę zakończoną pętlą. Perfidna wiedźma leci do Jacka mówiąc, że specjalnie na jego intencję ugotowała krowią głowę i jeśli uda mu się o północy skrócić szyję trzeciemu indykowi, Suzy pójdzie za nim wszędzie jak wierny pies. Resztę łatwo odgadnąć, trudno jedynie wyobrazić sobie radość, z jaką widzowie przyjmują scenę, gdy ciotka Maud w na pół uduszonym złodzieju poznaje siostrzeńca. Nadgniłe mury Sharpera drżą od wrzasków.

Jack Simple z powrozem na szyi staje przed sądem. Sędzią okazuje się chrzestny ojciec złodzieja, który dwa razy do roku, na Boże Narodzenie i na Świętego Jana,

ofiarowuje chrzestnemu synowi pięć szylingów, czyli w sumie pół gwinei. Sędzia zachwycony, że tak

• Bohaterka starej legendy z V–VI wieku.

Łatwo może uwolnić się od dorocznego haraczu, odsyła Jacka przed sąd hrabstwa. I tu właśnie zaczyna się farsa, stara jak przyciężka wesołość Anglii, do której każdy reżyser dodaje nowe szczegóły. A więc sędzia bez kurtki-, goląc się i śpiewając szkocką piosenkę, przesłuchuje winnego. Następnie w więzieniu sporządza się inwentarz kieszeni oraz dzieli nędzne łachy więźnia pomiędzy dozorców. Podczas procesu w jury zasiada dwunastu przysięgłych. W akcie oskarżenia biedny Jack obciążony jest wszelkimi możliwymi zbrodniami. Następuje przesłuchanie świadków. Po wspaniałej mowie obrończej, w której adwokat przedstawia Jacka jako prawdziwego męczennika, niewinną ofiarę, dziecko wsi, jedynaka, podporę i pociechę starej matki, całą salę ogarnia wzruszenie. Wówczas sędzia mówi: . Czy oskarżony ma coś do powiedzenia?

Jack Simple wstaje powoli, przeciągając się jak rozbudzony pies. Spogląda głupkowato po zebranych.

– Mam to do powiedzenia – mówi wreszcie cedząc słowa – że gdy się wykaraskam z biedy, połamię kości starej jędzy i ciotce Maud!

– Nieszczęsny! – woła adwokat.

– Dureń z ciebie – odpowiada Jack – moja matka nie mieszka w wiejskim domku.. Siedzi teraz w więzieniu w Bridewell.

– Nieszczęsny! – powtarza obrońca, wyrywając kłaki pakul z peruki.

– Co się tyczy indyków – ciągnie niezmierny Jack – wziąłem tylko dwa pierwsze; przedtem kradłem kury... – po czym rozgniewany dorzuca gwałtownie: – To kłamstwo, że indyki krzyczały! Ja nie taki głupi! Jeśli chcecie, opowiem, jak je wynosiłem, a żaden nie pisnął...

Peruka adwokata wyłysiała do szczętu. Publiczność ryczy z uciechy. Piąty akt farsy ku radości widzów kończy się zazwyczaj powieszeniem.

Dziś jednak ominęło sztukę tragiczne zakończenie, gdyż wyjaśnienia Jacka Simple'a przerwał wielki hałas od strony drzwi, które otwarto z hukiem, a rozochoczone głosy wrzeszczały:

– Ned Knob! Mały Ned i piękna Molly przybyli powozem do Sharpera!

Rzeczywiście, była to rzecz rzadko tu widywana, by przed knajpą, wśród zrujnowanych baraków służących za sypialnie bezdomnym włóczędgom, stał wynajęty powóz.

.Był to Ned, z jak zwykle chudą i pomarszczoną twarzą i zaczerwienionymi oczami, ubrany jak z igły, w lśniących trzewikach, białych rękawiczkach, z laseczką ze złoconą gałką ręku, mały Ned uwieszony u ramienia olbrzymiej Molly, wywracającej mętne z przepicia i niewyspania oczy, lecz dumnej z czerwonej jedwabnej sukni z falbanami, w olbrzymim słomkowym kapeluszu z pękiem piór, potrząsającej wspaniałym parasolem, który wydawał się najważniejszym szczegółem jej toalety.

Ned przystanął, by go podziwiano. Gdy nacieszył się ogólnym zachwytem, zamiast odpowiedzi na liczne pytania, jakimi go zarzucano, pogrzebał w kieszeni, która wydała dźwięk złota, i rzucając na kontuar francuskiego ludwika zawołał:

– Poncz dla wszystkich! Odpowiedzią było głośnie hura.

– Z daleka! -r- (krzyknął Ned, podczas gdy Molly wywijała parasolem. – Proszę nie dotykać mego ubrania ani jedwabów milady, wszystko to kosztuje uczciwie zarobione pieniądze. Rozumiem waszą radość ze spotkania, jednakże wszelka poufałość byłaby teraz nie na miejscu. Nie należymy już do tej samej sfery.

Wyobraźmy sobie, jakim śmiechem przyjęto by w Paryżu podobne przemówienie! W Londynie dzieje się coś wręcz przeciwnego. Mania kast, klas i wyróżnień jest tam tak głęboko zakorzeniona, że ogarnia nawet męty społeczne, gdzie przynajmniej łotrostwo powinno by ustalić wspólny dla wszystkich poziom.

– Wiemy, że jesteś lepszy od nas, Nedzie – wołano zewsząd, a Jenny Paddock dorzuciła: – Wejdz wraz ze swą lady do rozmównicy, będziesz odgradzony od reszty balustradą.

Ned wszedł popychając Molly i zasiadł przy kulawym stole.

– Hola, Bab! – zawołał protekcjonalnie – chodź tu i wytrzym stolik fartuchem, abym mógł oprzeć na nim łokcie i mile pogawędzić ze starymi towarzyszami...

– A więc Ned – powiedziała wdowa Paddock, która sama przyniosła na tacy szklanki – do licha, dorobiłeś się majątku!

Ned pogłaskał jej tłusty podbródek.

– Twoja płeć stworzona do rozkoszy, nie do interesów, śliczna Jenny – odrzekł. – Mężczyzna jest zmienny. Jeśli znudzi mi się Molly, pomyślę o tobie... No, dzieci, jazda!

Podano płonący sinawym blaskiem poncz. Wszyscy wzniesli zdrowie dżentelmena Neda i jego lady. Po czym Ned zabrał głos:

– Rozumiecie, moi drodzy, że w obecnej pozycji nie po to przybyłem, by napić się z wami paskudnego ponczu i krztusić się w oparach ohydneho tytoniu. Jestem bowiem członkiem eleganckiego klubu, gdzie palę najlepsze cygara... mam jednak trzydzieści funtów do podziału i pomyślałem o was, koledzy...

Odpowiedziało mu potrójne hura.

– Saunie, zbliż się, drogi chłopcze, pozwalam ci wejść do rozmównicy.

Saunie, wielce zaszczycony wyróżnieniem, zrzucił sędziowską perukę, schował do kieszeni fajkę i przesadził ogrodzenie. Dżentelmen Ned wstał od stołu i odprowadził go w kąt nory, mówiąc z emfazą:

– Nawet Molly nie zna wszystkich moich interesów.

Molly przyjęła tę uwagę z zupełną obojętnością i zrzuciwszy kapelusz chwyciła oburącz butelkę i wsadziła parasol między nogi. Głosem pijanego marynarza zanuciła ponurą piosenkę.

Tymczasem Ned, podnosząc się na palce, by sięgnąć ucha Saunie, pytał szeptem:

– Powiedz, stary, jaki dziś kurs na świadków w sprawie kryminalnej?

2. Kurczęta

W naczyniach płonęła ziemniaczana wódka, łącząc cierpki zapach z ohydnym odorem zatruwającym powietrze spelunki. Jenny Paddock zasiadła za kontuarem; w kątach grano w karty; tańczyły pijane dziewczęta blade i mizerne, a gruźlicze dzieci bawiły się w błocie. U Sharpera dawno nie było tak wesoło.

– Przyjemnie w tej Anglii! – zauważył z rozrzewnieniem Ned. – Wracam z Paryża i musiałem rozgrzać serce w naszej knajpie.

– O, tak -r- odpowiedział Saunie, marionetkowy sędzia. – Tylko w Londynie można uczciwie zabawić się wśród kolegów... Czy widziałeś paryskich złodziejasków?

– Sama nędza – oświadczył z pogardą Ned wzruszając ramionami. – Policja wszędzie chodzi swobodnie.

– Policja? Wszędzie? – Saunie szeroko otworzył oczy. – Cóż więc robią koledzy?

– Sama nędza! – powtórzył Ned. – Francuz to nie mężczyzna, ja sam położyłem czterech... Wino u nich słabsze od naszego piwa, a brandy jak woda z Tamizy, mięso wysuszone na wiór. Sama nędza! Gdyby tam na kontynencie znali Londyn, w Paryżu nie pozostałby

ani jeden paryżanin! Ale nie po to przyszedłem, mój stary... Jeśli cena zbyt wygórowana, pójdę gdzie indziej.

- Jak to? – zawołał Saunie. – Interesy marne, każdy chce zarobić. Jak wiesz, są świadkowie i świadkowie.
- Potrzebuję najlepszych, to wielka sprawa.
- Dla kogo teraz pracujesz?
- Jeśli cię zapytają – Ned zwrócił mrugające oczy na kompana – odpowiesz, że nie wiesz.
- Dobrze, dobrze – mruknął Saunie. – Każdy ma swoje sprawy. Ot, tak pytam, by dowiedzieć się coś o Nollu Greenie i o Dicku z Lochaber, oni z pewnością maczają w tym palce.
- Urządzili się we Francji. – Ned spuścił oczy, a zmarszczki na czole pogłębiły się.
- Nie widziano ich tu od owego gwizdka, pamiętasz, tego wieczoru, gdy nam czytałeś o życiu Jana Diabła...
- ..!'-r- To wszystko stare dzieje – przerwał Ned. – Jan Diabeł daleko... Dick i Noll także. A ja mam pieniądze i płacę gotówką, dla kogo zaś pracuję, to ciebie nie obchodzi... Masz świadków czy nie?
- Mam, mam, dziesięciu, stu, ilu chcesz, ale, Ned, ty wiesz, jak źle idą interesy...
- Targujesz się jak handlarz koni. No, przyjacielu, powiedz wreszcie cenę: przyjmę albo nie.
- Powiedz swoją cenę, Nedzie, są świadkowie i świadkowie... Na sprawę cywilną mogę ci dostarczyć sześciu po funkcie sztuka, naturalnie Irlandczyków; za dwa funty dostaniesz Szkotów; prawdziwi Anglicy biorą cztery funty... Ale w procesie kryminalnym!... Rozumiesz, nikt nie lubi afiszować się przed szeryfem.
- Chodzi o sąd przysięgłych – przerwał Ned.
- Wielki Boże! – zawołał Saunie – a mówiłeś o trzydziestu funtach dla pół tuzina świadków! Mój Boże, sąd przysięgłych!
- Słuchaj, Saunie – powiedział surowo Ned – za trzydzieści funtów całe to urocze towarzystwo z Jenny Paddock na czele stanęłoby przed sądem. Jenny kosztowała trzy szylingi, gdy pracowałem w biurze pana Wooda, a jej świadectwo było warte trzech mężczyzn, gdyż sędziów bawiła jej ogromna postać. Ile chcesz na głowę za to, że będą świadczyć przed sądem przysięgłych?
- Jaki rodzaj sprawy?
- Poważna sprawa.
- Kradzież? – Morderstwo.
- Do tego potrzebne "kurczęta" – powiedział poważnie Saunie, potrząsając głową. W języku londyńskich złodziei nazywa się tak wyjątkowych szczęściarzy, którzy nigdy nie mieli na pieńku ze sprawiedliwością, a nazwiska ich nie figurowały w trybunale. "Kurczęta" bardzo są poszukiwane jako fałszywi świadkowie, gdyż przemysł fałszywego świadectwa długi czas kwitnął w Anglii.
- A więc, Saunie – podjął Ned – dasz mi trzy pary "kurcząt". Powiedz tylko, po czemu para.
- Czy oskarżony, to ktoś z naszych? – spytał po namyśle Saunie.
- Nie, oskarżony to najbielsze "kurczę".
- Więc zabił przez nieostrożność?
- Nie, z ostrożności.
- W wyniku kłótni?
- Nie, z zimną krwią.
- Aby ukraść?
- Nic nie ukradł.
- Czy nie udało się?

- Nie chciał.
 - Więc po cóż zabił?
 - Może z fantazji, ale to nie nasza sprawa.
 - Cena świadków zależy od niebezpieczeństwa, na jakie mogą być narażeni.
 - Słusznie.
 - Są sytuacje, gdy niebezpieczeństwo jest tak wielkie, że za całe złoto świata żadne "kurczę" nie zgodzi się świadczyć.
 - Rozumiem.
 - Czy to się stało niedawno?
 - W lutym.
 - Do licha, to prawie wczoraj! Jeśli od wypadku minęły lata, świadkowie są swobodniejsi... Czy sprawa przeszła bez rozgłosu?
 - Przeciwnie, narobiła wielkiego huk.
 - Do licha! Okoliczności słynnych zbrodni są wszystkim znane... Cóż na przykład poczęliby nasi ludzie w sprawie zabójstwa Konstancji Bartolozzi?
 - Odmówiłbyś, gdyby chodziło o tę sprawę? – spytał Ned z uśmiechem.
 - Czy aresztowano Toma Browna? zainteresował się Saunie. 'Ned Knob nie odpowiedział.
 - Świadczyć na korzyść Toma Browna – dodał Saunie rozgorączkowany – znaczyłoby kłaść głowę w pętlę.
 - Czy Tom Brown to "kurczą"? – spytał Ned drwiąco. – Powiedziałem ci...
 - Dobrze, dobrze – przerwał Saunie – powiedziałeś, co ci było wygodniej... ale nie przysięgłbyś, że twój pan nie nazywa się Jan Diabeł.
- Ned spojrzał mu prosto w twarz, a chore jego oczy dziwnie rozbłysły.
- Słuchaj, stary – rzekł cicho drogo zapłaci ten, kto splecie powróż na szyję Toma Browna. Gdy Tom Brown znajdzie się w więzieniu, nie zwróci się o pomoc ani do ciebie, ani do mnie. Tom Brown jest wolny. Nie spuszczaaj oczu, Saunie. Czy ośmieliłbyś się targować, gdybym przychodził w imieniu Toma Browna? Saunie z kolei zamilkł, a na jego bezczelnej, lecz wesołej twarzy malowało się przerażenie.
 - Czy Dick i Noll wrócą? – szepnął po chwili.
 - Nigdy – odparł Ned ponuro, a widząc, że tamten waha się, do-
Człowieku, nie chodzi przecież o Jana Diabła. Nikogo nie skrzywdzimy, wręcz przeciwnie, chcemy pomóc trybunałowi w kłopotcie, dając mu środki, by skazał człowieka, który udusił Konstancję Bartolozzi.
 - Potrzebujesz więc świadków oskarżenia? – zdumiał się Saunie.
 - Tak., i to dobrych.
 - Niech mnie Bóg skarże, jeśli przyłożę rękę do podobnej podłości!
 - Raz trzeba zacząć, stary przyjacielu. Wymień cenę.
 - A czy moi chłopcy zechcą?
 - Dowiemy się, gdy ich spytamy o cenę.
 - Można za to dostać nożem w plecy |||| mruknął Saunie.
 - Jeśli boisz się noża, droga wolna – powiedział z groźbą w głosie Ned.
 - Czy ten, którego trzeba skazać, należy do naszego bractwa? – Saunie próbował znaleźć wyjście z trudnej sytuacji.
 - Nie – odparł stanowczo Ned.
 - Czy bywał wśród nas?
 - Może w charakterze wroga, gdyż pracował w Scotland Yardzie.
 - Czy znamy go?
 - Jak zając charta.
- Saunie spuścił głowę. Został pobity.

– Dasz mi trzydzieści gwinei – powiedział – a ja dam świadków. Mam pięciu chłopców i kobietę, nigdy nie byli karani, a jeśli będzie potrzebne trudne zeznanie, oto odpowiedni człowiek – to mówiąc wskazał palcem aktora, grającego rolę Jacka Simple'a.

– Hola, Jenny! – wrzasnął Ned. – Każ napalić w twoim pokoju, by trochę oczyścić powietrze. Wynajmuję go, płacąc szylinga za godzinę; pójdę sobie, gdy zechcesz iść spać. Mamy ważne sprawy do omówienia. Podaj rumu, gatunek jak dla lordów, białego cukru, cytryn i cynamonu... i niech nikt nam nie przeszkadza pod żadnym pozorem! Gdy Molly zbudzi się, daj jej coś do picia. Za mną!

Saunie zwołał trzódkę i poszedł za Nedem do apartamentów Jenny.

W chwilę później Ned, wygodnie usadowiony w fotelu szynkarki, tak przemówił do zebranych:

– Słuchajcie, dzieci, choć raz będziecie pracowali pożytecznie, pomagając sprawiedliwości, która bez waszej pomocy poszłaby fałszywym tropem. Nie bójcie się niczego, każdy z was dostanie, na ile zasłuży. A teraz uwaga: nie znacie nazwiska dżentelmena i nie wiecie, co zbroił. Jesteście świadkami oskarżenia. Pouczę was o wszystkim. 3 lutego bieżącego roku w dostatnim domu na Regent Street 19 popełniono morderstwo. Policja i sąd znają winnego, jednak nie mogą skazać go z braku dowodów, I wy, choć nic nie wiecie, dostarczycie dowodów winy. Powiecie na przykład: widziałem to czy tamto, rzeczy same w sobie niewinne, sprawiedliwość zaś wyciągnie już odpowiednie wnioski. Gdy wam pokażą oskarżonego, powiecie: "to on". Zrozumiano? To nie morderca, wy przecież nic nie wiecie, ale człowiek, który tego a tego dnia o tej godzinie był tam i tam, powiedział to a to, tę rzecz zgubił... Jasne? – i Ned rzucił okiem na listę z nazwiskami kandydatów. – Miss Jeanie, mój skarbie, otwórz dobrze uszki, zacznę od ciebie, jako że reprezentujesz płęć piękną.

Jeanie Bird, chuda, blada dziewczyna o łagodnej twarzy, odstawiła szklankę dzinu, przyjmując postawę uczennicy słuchającej wyjaśnień nauczyciela.

– W mojej sztuce będziesz hafciarką. W styczniu przyniesiono ci tuzin batystowych chusteczek do znaczenia literami "R. T", za co otrzymałaś szylinga i sześć pensów. To wszystko... Ale uwaga, każde moje słowo musicie umieć na pamięć, by nic nie uronić i nic nie dodać... To Szekspir, do licha! A więc miss Jeanie, otrzymałaś za swą pracę szylinga i sześć pensów i zapomniałaś o chustkach, gdy nagle w lutym kupujesz broszurkę z przygodami Jana Diabła, zwanego Kwakrem, nawiasem mówiąc, bardzo pouczające dzieło, i dowiadujesz się o zamordowaniu śpiewaczki Konstancji Bartolozzi; czytasz, że morderca zostawił na łóżku ofiary batystową chustkę, znaczoną literami "R. T." | splamioną krwią. Do diabła, w Londynie jest dziesięć tysięcy dam i dżentelmenów mających podobne inicjały, ale nie wiadomo dlaczego uderzają nas pewne skojarzenia. Widocznie to Opatrz-

ność. Jesteś niespokojna i biegniesz do Scotland Yardu, by obejrzeć dowód rzeczowy. Pokazują ci chustkę, a ty poznajesz, że ją znaczyłaś, i mówisz jto samemu Gregory Tem(ple'owi. Bądź spokojna, on i tak nie przyleci z Paryża, 'by temu zaprzeczyć. Pamiętaj o jednym: Gregory Tempie kazał ci milczeć aż do dnia sądu. Czy wszystko rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiedziała Jeanie.

– Zrobimy jeszcze drugą i trzecią próbę, ile zechcesz.

– A jeżeli zapytają mnie, u jakiej hafciarki pracuję?

• Lubię inteligentne natury! – wykrzyknął Ned. – Na wszystko jest odpowiedź: powiesz, że pracowałaś u Pani Spencer, przy Hay-market 13.

– A jeśli policja sprawdzi?

– Pani Spencer umarła w końcu marca. Wśród "kurcząt" rozległ się szmer uznania.

– Teraz ty, Numph! – zawołał Ned. – Mówią, żeś najmniej zdolny, potrafisz jednak zagrać posłańca, co?

– Potrafię, jeśli nie trzeba zbyt daleko chodzić – odrzekł z flegmą Numph.

– Więc uważaj: jesteś posłańcem, który zarabia na życie nosząc listy lub paczki pod wskazany adres. 3 lutego zaczepił cię pewien dżentelmen i dał szylinga, byś zaniósł list do pani Konstancji Bartolozzi na Regent Street, numer 19. Miałaś przynieść odpowiedź. Zrobiłaś, co ci kazano, i wróciłaś mówiąc: "Nie ma odpowiedzi". Dżentelmen zbladł i zamruczał przekleństwo. To wszystko.

– Potrafię powiedzieć i więcej – rzeekł Numph, upokorzony tak znikomą rolą.

– To wystarczy... Jeśli pokażą ci oskarżonego i spytają, czy to ten, odpowiesz: "Tak, ten dżentelmen dał mi szylinga i list, poznaję go".

Weź teraz Sama – podszeptaną Saunie – zobaczysz, co potrafi. W scenie sądu Sam grał Jaska Simple'a, ale Ned powiedział, że zachowa go na deser, i wezwał Willa.

– Urodziłaś się w Ulster, jesteś leniwy i kłamiesz. Wałęsasza się i nic nie robisz. 4 czy 5 lutego spacerowałaś jak zwykle po parku Saint James i spoglądałaś na śnieg topniejący na dachu zamkowym. Kilka kroków od ciebie zemdlał młody człowiek;^v otoczył go, jak zwykle, tłum ciekawych. Szukają lekarza, nawet pytają, czy nie jesteś medykiem, by puścić krew nieszczęśliwemu. Młodzieniec trzymał w ręku numer "Morning Post" z opisem gwałtownej śmierci pani Bartolozzi. Gdy odzyskał przytomność, powiedziałaś: "Do licha, podobny do tamtego... trzeba być ostrożnym, łatwo jednym słowem zgubić niewinnego... Tamten był inny... nie, nie, jednak podobny".

"Kurczęta" spoglądały na Neda z nietajonym podziwem.

– Teraz ty, Toby; jesteś rezolutnym chłopcem, prawda? Doskonały byłby z ciebie policjant. Skąd jesteś?

– Z Dovru.

– W takim razie potrafisz szwargotać po francusku?

– Nieźle.

– Świetnie! Wracasz więc z Francji i jesteś prywatnym detektywem w służbie niejakiego Jamesa Davy, zastępcy komisarza w Scotland Yardzie. Byłaś w Paryżu, by śledzić pewnego człowieka, którego nazwiska -nie znałaś; zmylił on czujność angielskiej policji, kradnąc kartę służbową Jamesa Davy, którą posługiwał się za granicą jak paszportem... Na próżno przeszukujesz Paryż, fałszywy James Davy jest nieuchwytny. Zniechęcony chcesz już wracać do Londynu, gdy na stacji dyliżansów spotykasz Anglika, zamawiającego, równie jak ty, miejsce do Londynu. Pytają go o paszport, a on przedstawia kartę Jamesa Davy, poświadczoną przez Foreign Office. Doskonale! Jedziesz z nim razem, wsiadasz na ten sam statek, a w Do- vrze tracisz go nagle z oczu... rozumiesz, Toby?

– Rozumiem, ale co z kartą ajenta policji?

– Dostaniesz kartę na nazwisko Jamesa Davy.

– A jeśli skonfrontują mnie z ludźmi ze Scotland Yardu?

– Dobre pytanie! – zawołał Ned. – Fałszywy James Davy jest również człowiekiem ze Scotland Yardu i by go śledzić, potrzebny był ktoś nieznan w policji. Tak odpowiesz, w razie czego.

–f Czy będę musiał rozpoznać oskarżonego? – spytał jeszcze Toby.

– Oczywiście... Masz przecież do niego żal, że zdrwił z ciebie w Dovrze, gdy ci się zdawało, że już go trzymasz. Odpowiesz wówczas: "To on, to człowiek posługujący się kartą Jamesa Davy..." Napijmy się, dzieci! Zbliź się, Johnie, stary filucie i dobrze nastaw uszu! 4 'lutego o drugiej w nocy spacerowałaś w okolicach Regent Street, rozmyślając, jak drogi jest dzin. Raptem obok ciebie przebiegł

zataczając się młody człowiek i nawet cię potrafił. Wyglądał, jak gdyby był pijany. Widziałeś następnie, jak upadł, podniósł się, pobiegł dalej, ale zgubił jakiś papier. Wołałeś za nim, on jednak pobiegł jeszcze szybciej i znikł w ciemnościach. Podniosłeś papier, był to oblig na tysiąc funtów, podpisany przez Fanny Thompson, aktorkę, a wystawiony na rzecz Konstancji Bartolozzi. Zapamiętaj dobrze tę rolę, stary Johnie, to piękna scena i wszystkie gazety napiszą o tobie. Jako uczciwy człowiek, nazajutrz rano udałeś się do

H

pani Bartolozzi, by za nagrodą zwrócić oblig. Ale pani Bartolozzi zmarła tejże nocy. Dowiedziałeś się, że syn Fanny Thompson jest sekretarzem głównego intendenta policji, i pobiegłeś do Scotland Yardu, pytając o Ryszarda Thompsona. Nie było go w biurze, czekałeś, ale nie przyszedł. Poszedłeś nazajutrz i znowu czekałeś, i znowu na próżno. Powiedziano ci wówczas, że Fanny Thompson mieszka na wsi, w hrabstwie Surrey. Twoja wizyta u aktorki wywołała popłoch. Syn gospodyni był nieobecny i nikt, nie chciał czy nie umiał powiedzieć, gdzie można go zastać. Fanny Thompson leżała chora. Ponieważ nalegałeś, wyszła do ciebie. Rzeczywiście była chora, a gdy zobaczyła oblig, oparła się o ścianę, by nie upaść, i powiedziała: "Nieszczęsne dziecko!" Dała ci pięć gwinei prosząc, byś nikomu o tym nie wspominał... No, stary Johnie, czy podejmiesz się takiej roli?

– Owszem – odpowiedział John – potrafię to zagrać. Czy skonfrontuję mnie z Fanny Thompson?

– Fanny Thompson występuje teraz w Nowym Jorku.

– Czy będę musiał poznawać oskarżonego?

– Nie, widziałeś go w ciemnościach, gdy biegł. Powiesz więc: "Odmawiam zeznania pod przysięgą", to doda prawdy twoim słowom.

– Do licha – mruzczał Saunie – ale masz pomysły, Knob! Jeśli jednak nie ma naocznego świadka, sąd przysięgłych może uniewinnić człowieka.

– Czy uważasz Sama za najmocniejszego z "kurcząt"? – spytał Ned.

– W całej City nikt lepiej od niego nie zagra roli Jacka Simp- le'a! – zawołał Saunie.

– Doskonale... No, Sam, spójrz mi w oczy. Chcesz zyskać sławę i zarobić dwadzieścia gwinei?

Szmer rozległ się wśród "kurcząt", a oczy Sama rozblęły. Sam był jeszcze bardzo młody. Z natury stanowił przeciwieństwo ciężkiego i powolnego Jacka Simple'a, głupkowatego chłopca, którego z takim powodzeniem przedstawiał u Sharpera. Widać był to urodzony aktor, wielki aktor, jeśli tak umiał się przekształcić. Ned długo oglądał kandydata, wreszcie powiedział:

– Upprzedzam cię, że to wyższa klasa. Ryzykujesz głową.

– Cóż to za wyższa klasa, mały człowieczku? – zapytał Sam, a gdy Ned skrzywił się na tę poufałość, dodał: – Nazwę cię wielkim człowiekiem, jeśli umieścisz to w rachunku.

– Będziesz prowincjonalnym gapiem, opętanym pasją teatru. – odparł Ned po namyśle.

– Do licha! – zawołał Sam czerwieniąc się. – Kto ci o tym powiedział?

– W początku troku przybyłeś ze wsi do Londynu, by zadebiutować w roli Macbetha czy Gloucesterą w teatrze Drury Lane. Dyrektor kazał wyrzucić cię za drzwi, nie miałeś bowiem protekcji ani odpowiedniego ubrania... Może tak było naprawdę?

– Tak było – potwierdził Sam.

– Tym lepiej zagrasz swoją rolę, będzie to rzeczywistość... Zewsząd wyrzucany, nie trać jednak nadziei wierząc w swój talent i zacząłeś uczyć się do położonych w pobliżu teatru winiarni. Dwie gwinee, jakie dała ci matka, szybko stopniały. Gdy

został tylko jeden szyling, nawiedziło cię natchnienie. Posłyszałeś, jak niedoszły aktor dramatyczny opowiadał, że pani Bartolozzi ma nieograniczoną władzę w teatrze... Za ostatni grosz kupujesz więc stary, wyszczerbiony sztylet, przesadzasz mur, włączysz na balkon, tłuczesz szybę i znajdujesz się w garderobie aktorki w jej mieszkaniu na Regent Street. Mimo zardzewiałego sztyletu nie jesteś mordercą ani złodziejem, jesteś po prostu artystą. Przychodzisz, by paść do nóg pani Bartolozzi i błagać o pomoc. Jeśli odmówi, wówczas zmusisz ją sztyletem, by cię nie odpychała. Scena godna zaiste króla Ryszarda lub Otella. Chcesz zagrać przed nią taką scenę, aby pokazać, że masz talent.

– Na Boga – zawołał Sam – zrobiłbym tak, gdyby mi to przyszło do głowy!

–Uwierzą ci – ciągnął Ned – wszyscy ci uwierzą. Będą cię podziwiać, to czysto angielskie posunięcie. W tydzień po zeznaniu zadebiutujesz w teatrze i zyskasz szaleńczy sukces.

– Co robiłem w garderobie? – spytał Sam.

– Czekałeś. W salonie byli goście i grano w wista. O północy aktorka weszła z pokojówką do sypialni... musiałeś jeszcze czekać. Wreszcie nastąpiła cisza. Zegar wybił godzinę, byłeś zdecydowany na wszystko. Powolutku otwierasz drzwi. Nocna lampka oświetla pokój. Pani Bartolozzi śpi, a przy łóżku na nocnym stolczku migocą diamenty. Zawahałeś się. W tej samej chwili otwierają się bezszelestnie przeciwległe drzwi i wchodzi mężczyzna. On się nie waha. A teraz dobrze słuchaj, młody człowieku, zapamiętaj każde moje słowo, gdyż mówiąc to powiesz świętą prawdę. Mężczyzna podchodzi do łóżka. W słabym świetle nocnej lampki spostrzegasz bladą twarz, tak spokojną, że myślisz, że chodzi o miłosne spotkanie. Przybysz stoi nieruchomo. Dlaczego nie budzi śpiącej? Wreszcie pochyla się, jedną rękę wsuwa pod głowę aktorki, drugą kładzie na jej pieni.

Ona się nie budzi. Czego on chce? Prostuje się. Co zrobił? Czy to sen? Wyciera chusteczką rękę, chusteczka upada na podłogę. Przechodzi przez pokój kierując się do garderoby. Kryjesz się za firankami. Przechodzi obok ciebie. Ma klucz od drzwi wychodzących na schody. Znika. Co zrobił? Diamenty jak przedtem połyskują w mroku. Wchodzisz do sypialni. Zbliżasz się do łóżka, nie słychać oddechu śpiącej. Drżącą ręką dotykasz pulsu aktorki: na łóżku leży trup... Wypijmy, dzieci! – Ned otarł spocone skronie.

– Niech mnie Bóg skarże – powiedział Sam – jeśli dam sobie wydrzeć tak świetną trolę!

3. Triumf dżentelmena

Gdy Ned Knob olśniewał Sauniego i jego trupę, nowy gość wsunął się do knajpy Sharpera. Był to staruszek sterany wiekiem, rzadkość w spelunkach Londynu, gdzie nędza i występki nie pozwalają doczekać starości. Jenny Paddock zadziwił widok uczciwej twarzy. Przybysz, którego oczy zakrywały grube błękitne szkła, zapytał, czy nie słyszała o młodym człowieku nazwiskiem Olivier Green, znanym jako zapaśnik Noll z Southwark. Pierwszemu lepszemu z ulicy ostrożna Jenny nie dałaby odpowiedzi, ale staruszek objaśnił, że jest ojcem Nolla, co prawda pełnym gniewu, lecz gotowym przebaczyć, a co więcej, dać trochę zaoszczędzonego grosza niewdzięcznemu synowi. Działo się to na kilka dni przed wizytą Neda; odtąd staruszek wpadał co wieczór na szklaneczkę wódki. Przychodził późno, gdyż pracował w fabryce płyt miedzianych w Surrey. Zapowiedział, że ma zamiar bywać co dzień, by doczekać się wreszcie syna.

Z początku obecność obcego krępowała stałych bywalców, u niektórych nawet wzbudzała niepokój. Zazwyczaj, jeśli w podobnym środowisku zjawia się ktoś nieznamy, życiu jego zagraża niebezpieczeństwo. Dla pijących u Sharpera zabić

człowieka to bagatelka. W tym samym 1817 roku dwóch policjantów z komisariatu w Mary-lebone trafiło w przebraniu do "purgatory" (czyśćca) Saint Gilles, ubiegając się o nagrodę za schwytanie Izaaka Burtona, "burkera", czyli handlarza trupami. Nie wrócili i nikt ich więcej nie zobaczył; nie odnaleziono po nich ani jednej kosteczki, ani skrawka ubrania.

Staruszek jednak jako ojciec Nolla Greena był nietykalny. Zresztą zajmował mało miejsca w kącie, a przy tym tak szczerze uśmiechał się słuchając łotrowskich historyjek, czyniąc nawet niedwuznaczne aluzje do młodych lat, że uznano go za swojego. Stary Salomon Green, choć wszystkich nazywał nicponiami, darzył ich jednak sympatią i wolał od cnotliwych policjantów ze Scotland Yardu, o których odzywał się z należytą goryczą.

Wśród bywalców Sharp era, którzy wzięli w opiekę starego Salomona, znajdował się na pierwszym miejscu Saunie. Salomon był kopalnią wspomnień o marionetkowych sądach z dawnych lat. Czego on nie widział! Również od Sauniego Salomon dowiedział się nowin o synu. Wiedział, że Noll zbiegł z wyspy Norfolk w Australii wraz ze słynnym Tomem Brownem i Dickiem z Lochaber. Był nawet z tego dosyć dumny i pragnął poznać Toma Browna, który w młodym wieku zyskał tak wielką sławę. Lecz po powrocie Nolla do Anglii ślad po nim zaginął. Raz tylko nicpoń odwiedził starego ojca, by wyłudzić banknot pięciofuntowy. Odchodząc powiedział: "Ojcie, gdy zechcesz mnie zobaczyć, przyjdź do Sharpera na Low Lane, a jeśli ktoś spojrzy na ciebie krzywo, powiedz, że Noll Green, twój syn, zbije mu mordę na kwaśne jabłko".

Saunie i jego banda wiedzieli niewiele więcej. Poinformowali więc ojca, że Noll i Dick uchodzili za adiutantów Toma Browna, że wiedli wesołe życie, pijąc najlepszy dzin, jalei można dostać u Sharpera, do dnia, wkrótce po śmierci Konstancji Bartolozzi, gdy Gregory Tempie jak niepyszny opuścił biuro w Scotland Yardzie. Tego właśnie wieczoru, gdy czytano głośno u Sharpera dzieje Jana Diabła, zwanego Kwakrem, Tom Brown dwukrotnie zagwizdał. Noll i Dick wyszli, obiecując rozstrzaskać łeb każdemu, kto by ich śledził. Nikt za nimi nie poszedł i od tej chwili słuch o nich zaginął.

Stary Salomon trząsał głową.

– Źle skończą, nicponie – powiedział. – Ale to mój syn... mój jedyny syn... gdyby z Tomem Brownem zarobił dużo pieniędzy, może by się wreszcie ustatkował. Z pewnością nie siedzi w więzieniu, nie powieszono go, inaczej bylibyśmy coś o tym wiedzieli. Pewnie pracuje dla Toma Browna. Jeśli go spotkacie, przyjaciele, powiedzcie, że w domu się o niego niepokoją, a na dnie ojcowskiego kufierka znajdzie się jeszcze parę szylingów dla syna.

Dzisiejszego wieczoru Salomon przyszedł później niż zwykle.

– Nie ma nic od mego chłopca? – zapytał witając wdowę Pad-dock.

– Nic, panie Green... Jan Diabeł zaprowadził ich chyba do samego piekła!

– Zawsze trzymają się parni żarty. Proszę o szklaneczkę dzinu, wody i cukru. Mam w ustach smak miedzi!

– To źle, panie Green... Bab, hiultaju, igrog dla pana Greena! Staruszek skierował się na swoje miejsce, ale przy stoliku, jaki zwykle zajmował, na wilgotnej ziemi leżała Molly chrapiąc jak żandarm. Zza błękitnych szkieł strzeliło uważne spojrzenie, podczas gdy dobroduszny uśmiech nie schodził z warg. Ostrożnie obszedł nogi śpiącej pijaczki w podkutych buciorach, wystające spod jedwabnej sukni, po czym siadł w najciemniejszym kącie. Gdyby wówczas ktoś zwrócił na niego uwagę, ujrzałby, że siadł bokiem do stolika Molly, ukazując tylko profil, dziwnie zniekształcony siwymi kosmykami długich włosów.

W chwili gdy Baib przyniosła dżin i wodę, drzwi od sypialni Jenny otwały się z trzaskiem i dżentelmen Ned wraz z kompanią "kurcząt" wszedł do sali. Spojrzenie starego Salomona objęło wchodzących i po uśmiechu można było poznać, że tak Molly, jak Ned byli mu dobrze znani. Pragnął widocznie zachować incognito, gdyż ukrywszy się głębiej w cieniu, zaczął spokojnie mieszać wodę i cukier z dżinem.

– Obudź milady, Bab – zawołał Ned – tylko z należyтым szacunkiem i każ powiedzieć stangretowi, by podawał konie... Molly, mój aniołku, czy miałaś słodkie sny?

– Coś do picia, Ned – zamruczała Molly podnosząc się ociężale.

– Oglądali się za nią w Paryżu – rzekł z dumą Ned. – A niejedna hrabina robiła mi awanse... Wszystkie lecą na Anglików, na ich dobrą minę i pieniądze. Jeszcze raz poncz dla wszystkich! Chodź, Molly, chodź skarbie! Do widzenia pani Paddock, obiecuję przychodzić i opiekować się panią.

Wśród ogłuszających braw oznajmiono, że czeka powóz milorda.

– Jutro pod wskazany adres na próbę generalną... – szepnął Ned Sauniemu.

Molly chwyciła małego człowieczka za pas, przerzuciła przez ramię, następnie wymachując parasolem wyszła w triumfie wśród okrzyków zebranych.

– Ojciec Green – Saunie podszedł do starego Salomona – tych dwoje mogłoby ci udzielić informacji o Nollu...

– A to nicpoń! – westchnął Salomon – ale zawsze to mój syn...

– Noll Green był dobrym kolegą – powiedział Saunie ze smutkiem.

Salomon podniósł wzrok. Fizjonomista z trudem określiłby wyraz jego twarzy. W każdym razie nie był to ani ojcowski niepokój, ani

smutek, raczej wielkie wzruszenie. Przykrył powiekami blask oczu i powiedział powoli:

– Mówisz o Nollu, jak gdyby nie żył.

– Ojciec – odparł Saunie zakłopotany, gdyż miał dobre serce – może Noll i żyje. Salomon zadrżał i twarz mu się wykrzywiła.

– Myślałem o tobie, ojciec rzekł Saunie – rozmawiając z tym człowiekiem ubranym jak dżentelmen, czyli z Nedom Knobem. Dałbym gwineę, byś tak nie drżał. Ale Noll pojechał z Janem Diabłem...

– Dokąd? – spytał gwałtownie starzec 4f' dokąd?

– Do iliCha, do Paryża! Ned Knob mówi, że nigdy już «nie wróci.

– Ach! – powiedział Salomon w długim westchnieniu, choć oczy ojca, który dowiedział się o śmierci syna, nie mają tak dziwnego blasku. Saunie tego nie zauważył, gdyż Salomon ukrył twarz.

– Gdzie mógłbym spotkać tego Neda Knoba, jak go nazywasz? – spytał płacząc.

– Zabronił mi... – zawołał Saunie – ale poczekaj, można spytać Molly. Jeśli dasz jej wódki, dużo wódki, wyśpiewa wszystko, po pijanemu wszystko wygada... Jutro o jedenastej rano Ned będzie zajęty, Molly zostanie sama... idź do niej: Rosemary Lane 7, Goodmans Field, tylko mnie nie wydaj!

Salomon wstał chwiejnie i chwycił obie ręce Sauniego.

– Dziękuję jgf powiedział przerywanym głosem – o mój biedny Noll! O moje dziecko!... Pójdę, pójdę do Molly, niczego się nie obawiaj, nikt się nie dowie.

Z trudem doszedł do drzwi. Na ulicy jego postać uległa przeobrażeniu. Wyprostował przygarbione plecy, zdawałoby się, wyrósł i ruszył szybkim, prawie młodzieńczym krokiem.

– Ach tak, więc nie żyje, obaj nie żyją! – mrucał biegnąc – i jeśli nie spalił zwłok, odnajdę ich ciała, odnajdę, choćby znajdowali się sto stóp pod ziemią!

Na placyku spotkał fiakra i kazał się wieźć do hotelu na Leicester Square. Światła ulicznych latarni oświetliły białą tabakierkę w chudych rękach starca, na której wieczku czarnymi literami wypisano słowa "Memento – 3 lutego 1817 roku. Konstancja Bartolozzi".

W tej samej chwili powóz Neda zatrzymał się przed numerem 7 na Rosemary Lane. Molly wysiadła z parasolem pod pachą i podnosząc suknię, jak gdyby przechodziła rzekę w bród, weszła na schody. Ned kazał jechać dalej.

Około jedenastej znalazł się przed tym samym domem na Strandzie, gdzie pierwszego wieczoru naszej historii zatrzymał się powozik Kwakra, by wysadzić Ryszarda Thompsona. Mosiężna tabliczka w dalszym ciągu głosiła, że mieści się tu "biuro pana Wooda". Ned wysiadł, obciągnął frak i ujął kołatkę. Zastukał głośno i w domu wszczął się ruch.

– Dobry wieczór, Kate! – zawołał, gdy drzwi uchyliły się ukazując kilku służących ze świecami w ręku. – Dobry wieczór, Danie! Witaj, stara Loo! A więc ogień piekielny nie pochłonął dotąd tego domu?

Lokaj i dwie służące, przerażeni gwałtownym dobijaniem się, byli o sto mil od myśli spotkania małego kancelisty, wydalonego za kradzież, i w pierwszej chwili nie poznali Neda. Znajomy głos zdradził im, kim jest nocny gość.

– Niech mnie Bóg skarże, Dan – powiedziała Kate – idź przynieś bat, to ten mały nicpoń Ned Knob upił się i robi burdy.

– Ned Knob? – odezwała się Loo, gospodyni, która zniosła niejedno od łotrzyka. – Wystarczy miotła.

Z góry usłyszano głos dzwonka.

Zamiast cofnąć się Ned postąpił naprzód i ukazał się w całej okazałości. Służba spojrzała po sobie niezdecydowanie. Ned musiał być bogaty, ubrany bowiem był jak dżentelmen, a w Londynie obrazić człowieka bogatego to prawie świętokradztwo. Ned słusznie na to liczył.

– Przyjrzyj mi się dobrze, Kate, i ty, Loo – rzekł puszczając się – czy nie słyszeliście o lordowskich synach odnajdujących po latach rodziców? Posłuchajcie tej muzyczki – przy czym uderzył się po kieszonce od kamizelki, w której zadźwięczało złoto. – Przychodzę powierzyć staremu Woodowi prowadzenie moich spraw majątkowych.

Na górze rozległ się nowy dzwonek, tym razem gwałtowniejszy.

– Nie wchodźcie – rozkazał. – Chcę sprawić szefowi niespodziankę. Poświeć, Dan. Teraz mam służbę i moi (lokaje nie włożyliby waszej odświętnej liberii do sprzątnia moich apartamentów).

– Kto śmie dobijać się o tej porze do mego domu? – pytał z góry gruby głos.

Ned położył palec na ustach i wspiął się szybko na schody. Na podeście pierwszego piętra stał człowiek podobny do buldoga, o czerwonej tyłej głowie, owinięty w pasiasty szlafrok, z podniesionymi na czole okularami dalekowidza. Z braku włosów miał niezwykle krzaczaste brwi, jak dwie kępki twardego włosia sterczące na całym

ponad powiekami. Był to pan Wood, prawnik i dawny opiekun Heleny Brown. Jeśli wierzyć jego twarzy, musiał mieć za sobą straszliwą przeszłość. Wyglądał na siedemdziesiąt lat, lecz mimo wieku trzymał się prosto i wydawał się nieledwie siłaczem. Od pierwszego spojrzenia poznał dawnego kancelistę i gdy gość szedł po schodach, spoglądał na niego z ciekawością.

– Czy ty tak stukalesz? – spytał zniżając głos.

– Tak, szefie – odparł Ned. – Jak się panu powodzi od tamtych czasów? Doskonale pan wygląda, chciałbym w pana wieku cieszyć się podobnym zdrowiem.

– W moim wieku, Nedzie, od pięćdziesięciu lat będziesz znajdował się na cmentarzu, jeśli chowają tam ciała wisielców.

– Pańska uprzejmość nic się nie zmieniła, pozwoli mi pan jednak spodziewać się lepszego losu. Jeśli pana nie powieszono, za co ja bym wisiał?

Krzaczaste brwi starego prawnika zsunęły się złowieszczo, a żyły nabrzmiały na czole.

– Znam siłę pańskiej pięści, szefie – ciągnął Ned postępując nieustraszenie naprzód – nie przybyłem, by się z panem spierać, skoro położy mnie pan jednym palcem. Wejźmy do gabinetu, mam z panem do pomówienia, a w obecnej chwili czas mój równie drogi.

Pan Wood w milczeniu zawrócił do gabinetu. Ned wszedł za nim, zamykając za sobą drzwi. Pan Wood spojrzał z niepokojem na małego człowieczka.

– Byłeś moim sługą i jadłeś mój chleb – powiedział z powstrzymywanym gniewem – dam ci dobrą radę: nie groź mi, gdyż zmiażdżę ci łeb obcasem.

– Wiem, dla pana to bagatelka, szefie, ale nie mam zamiaru grozić. Wracam z Paryża i przychodzę z "jego" polecenia.

– Ty? – spytał nieufnie pan Wood.

– Proszę choć raz spojrzeć na mnie jak na swego ucznia, szefie – powiedział z namaszczeniem Ned – a nie zdziwi pana droga, jaką przebyłem. Do licha! Zręczność jest zaraźliwa i jeśli ktoś ociera się o tak doskonałego generała, staje się sam dobrym żołnierzem – po czym zanurzył rękę w twardych i kręconych włosach wyjmując zwitek papieru. – Oto moje listy uwierzytelniające, które panu dowiodą, że jestem ambasadorem.

Pan Wood wziął list, a Ned zagłębił się w fotelu. List był krótki, tylko dwa wiersze. Pan Wood czytał z wielką uwagą. Gdy skończył, zmierzył dawnego kancelistę.

– Coś w tobie musi być, nicponiu – powiedział – gdyż syn Heleny zna się na ludziach. Widocznie byłeś zbyt blisko mnie, bym mógł cię należycie ocenić, i jeśli jesteś inteligentny, tym lepiej... Gdy wszedłeś, sądziłem, że pracujesz w policji.

– Główny intendent zarabia tylko tysiąc funtów – odparł Ned, wruszając pogardliwie ramionami – a ja mam swoje potrzeby. -

–Tom Brown to szatan – twarz buldoga rozjaśniła się uśmiechem. – No, drogi panie Knob, jeśli już mam z panem traktować jak z równym, list rzeczywiście pochodzi od Toma Browna, który prosi, bym rozmawiał z tobą jak z nim samym. Czego chcesz?

– Opowiem panu różne rzeczy, szefie. W Paryżu wszystko w porządku, sprawa idzie, jak trzeba, i wkrótce ujrzysz syna Heleny, jak pan nazywa milorda. Przybyłem w sprawie dziewczyny...

– Jakiej dziewczyny?

–Spadkobierczyni Konstancji Bartolozzi... Czy posiada pan papiery stwierdzające, że Konstancja Bartolozzi nazywała się w rzeczywistości Konstancja Herbet?

– Mam wszystko – odparł Wood ■– metrykę urodzenia Konstancji Herbet, kontrakty teatralne, gdzie obok nazwiska Bartolozzi . dodawano w nawiasach Herbet. Ponadto oświadczenie śpiewaczki w komisariacie policji. Tożsamość jej jasna jak słońce i nie ma cienia wątpliwości...

–Doskonale, szefie. Przywiozłem metrykę urodzenia panny Janiny Herbet, która choć niepełnoletnia, jest usamowolniona, oraz jej pełnomocnictwo wraz z innymi dokumentami, jak władza opiekuńcza itd., jeśli będą potrzebne. Należy wycofać testamenty złożone u notariusza Dawsa.

– Nie rozumiem! – zawołał pan Wood.

– Czego, szefie?

– Tom Brown przez matkę jest jedynym spadkobiercą Francka Turnera z Lyonu i Williama Robinsona z Brukseli, ciotecznych braci Heleny. Janina Herbet jest jedyną przeszkodą dzielącą Toma od - sukcesji; Bartolozzi zabrała sekret swój do grobu i sam notariusz Daws nic nie wie o istnieniu cófifri... Po cóż więc wydobywać na światło dzienne rzeazy łatwe do ukrycia?

– Mamy nasze racje, szefie... Przede wszystkim jako zbiegły więzień obdarzony chwalebny przezwiskiem Jana Diabła, nie możemy występować prawnie o należny nam spadek po dwóch zamordowanych...

– Można by obejść przeszkodę – zauważył pan Wood. – Nie trzeba wszczynać postępowania spadkowego W Londynie. Czy nazwisko Brown, tak popularne jak we Francji Durand, Lebrun czy

Martin, wzniciłoby niezdrową ciekawość trybunałów Lyonu czy Brukseli?

– Być może, ale niech pan nie zapomina o Gregory Temple'u.

– Czy Tom chce poślubić dziewczynę? j– spytał nagle Wood.

– Przypuszczalnie, szefie.

– To źle... nie lubię mieszać kobiet do tak poważnych spraw. Tym bardziej że pan hrabia de Belcamp prowadzi śmiałą grę przeciw francuskiemu prawu. Nie wiem, jak postąpi ani jak wykorzysta podwójne alibi, nie znam jego najnowszych planów, wiem tylko, że wygra jak zawsze, i to mi wystarcza. Jednakże nazwisko hrabiego rzucono już do wiadomości publicznej. Morderca Turnera nazywa się Belcamp, Belcamp również zabił Robinsona. Gdy Belcamp poślubi dziedziczkę Robinsona i Turnera...

– A czy Belcamp ją poślubi? – przerwał Ned.

Oczy starego buldoga rozbłysły.

– Do licha! | zawołał – co za głowa! Nic go nie zatrzyma, chyba mały kamyczek, który ominęłoby dziecko... Tak, tak, Nedzie, nic o nim nie wiesz, nic o nim nie wiemy, nikt o nim nic nie wie! – Po czym, zmieniając ton, dodał: – Jutro pójdziemy razem do notariusza Dawsa... pojutrze wieczorem testamenty mogą już być w Paryżu.

– Doskonale! ^^zawołał Ned z zadowoleniem – a teraz przejdźmy do drugiej sprawy. Firma Balcomb...

§§i§1' Jeszcze coś, czego nie rozumiem – przerwał zimno pan Wood.

– Szefie, ustaliliśmy, że nie potrzebuje pan rozumieć.

– Więc ty, mój mały, lepiej rozumiesz ode mnie? – powiedział pogardliwie Wood. – Wsadzono olbrzymie sumy, Bóg wie, w jakim celu... Co wspólnego może mieć Tom Brown z parą? To dobre, by olśnić gapiów nad brzegami Tamizy, zapatrzonych na statek płynący bez żagli ni wiosła, z grzywą dymu. Tego doprawdy nie rozumiem. Za tą szarlatanerią syn Heleny Brown ujrzał widocznie coś wielkiego, jeśli poszedł tą drogą. W tym coś jest, on ma nieomylnie oko...

– Milord niepokoi się o firmę Balcomb – przerwał Ned.

– Jeśli mu na niej zależy, jest czym się niepokoić – odpowiedział Wood.

||| Co się stało?

-r- Od trzech dni zawieszono wypłaty, a maszyna o sile ośmiuset koni została zajęta.

– I pan go nie uprzedził?

– On wie, dlaczego milczę. Do dzisiejszego dnia czekałem na pieniądze z Pragi.

– Milord kazał panu powiedzieć, że na firmie Balcomb zależy mu jak na własnym życiu!

– Tym gorzej, chłopcze.

– Czy nie ma żadnej nadziei?

– Należy zapłacić dziewięćset tysięcy franków.

– Ale pieniądze z Pragi?

– Praga nie przyśle więcej pieniędzy.

– A hrabiowie Boehm?

– Dużo wiesz, mój synu – przerwał zdumiony Wood. – Jest już tylko jeden hrabia Boehm, który jutro będzie w Londynie.

– A dwaj inni?

Pan Wood, chwilę pomyślał, po czym zanurzył rękę w kieszeni szlafroka i wydobyl list.

– Wolałbym wręczyć go osobiście synowi Heleny – powiedział. – Skoro masz pełnomocnictwo, czytaj!

List brzmiał następująco:

.Do pana Wooda w Londynie Szanowny panie, jestem najmłodszym i ostatnim pozostałym przy życiu synem generała hrabiego Boehm. Mój najstarszy brat, hrabia Albert, zmarł w dwudziestym piątym roku życia; starszy brat, hrabia Reynier, umarł mając dwadzieścia cztery lata. Ja mam dopiero dwadzieścia jeden lat.

Hrabia Albert zginął w pojedynku w Pradze, hrabiego Reyniera przez straszną pomyłkę zasztyletowano w Peszcie. W ostatniej godzinie powiedział mi: »Albert i ja zostaliśmy słusznie ukarani«, po czym dodał: »Dla honoru naszego nazwiska musisz zaspokajać wszelkie żądania pieniędzy z firmy Balcomb i Spółka to Londynie«.

W lutym bieżącego roku przesłałem na rachunek wyżej wymienionej firmy w odpowiedzi na pański list, skierowany do moich braci, o których przedwczesnej śmierci nic pan nie wiedział, 150000 florenów, w marcu – 275 000 florenów, w kwietniu – 70 000 florenów, w maju – 380 000 florenów.

Na nowe żądanie wyższych sum, z jakim pan ostatnio wystąpił, musiałem wreszcie zasięgnąć rady tych, którzy kierują moim sumieniem i interesami. Dowiedziałem się, że w roku 1813 strasne podejrzenie wisiUło nad moimi braćmi z powodu mordstwa popełnionego na generale O'Brien. Byłem wówczas bardzo młody i o niczym nie wiedziałem, jednakże znając braci składam protest i twierdzą, że żaden z hrabiów Boehm nie może być zabójcą.

Postanowiłem wyjaśnić całą tę tajemnicę. Wiem, że jest w Londynie człowiek, który miał w ręku wszystkie akta tej zawiłej sprawy po umorzeniu jej przez sąd tu Pradze. Nazywa się on Gregory Temple i zajmował stanowisko głównego intendenta policji. W tym tygodniu w sobotę spotkam się z nim w Londynie. Jeśli chodzi o restytucję, oddam wszystko co do grosza. Jeśli zaś chodzi o coś innego i jeśli restytucji należy dokonać na rzecz kogoś trzeciego, spełnię również swój obowiązek. W Londynie zamieszkać w hotelu Mivart.

Mam zaszczyt pozostać itd. itd.

Hrabia Fryderyk Boehm

4. Scotland Yard

Tego ranka londyńskie słońce, zazwyczaj okryte gęstą mgłą, zabłysło czyste i jasne nad dawnym biurem Gregory Temple'a w Scotland Yardzie. Zmieniwszy pana, gabinet intendenta zmienił zupełnie wygląd. Wydawało się, że pełna kokieterii wróżka zmiotła wszelką surowość z miejsca, gdzie były intendent spędził część życia w samotności i rozmyślaniu. Firanki z indyjskiego muślinu okrywały okna śnieżną białością powiewnych draperii, przysłaniając kraty. Masywne dębowe biurko zastąpiono cackiem z palisandru, podobnie- szym do sekretarzyka wykwintnej kobiety. Fotele w stylu Pompadour, pokryte jasną materią, uzupełniały umeblowanie i nawet półki z aktami nabrały elegancji. Zanim delikwent zanurzył się w otchłaniach więzienia Newgate czy Fleet, miało mu sprawiać przyjemność przesłuchanie w tak uroczym buduarze.

Sir Paulus Mac Allan, następca Gregory Temple'a, był wytwornym dżentelmenem. Niedawno co prawda wypłynął i złośliwi twierdzili, że stanowisko swe zawdzięcza miss Klarze Clayton, woltyżerce o wielkich zaletach, szczególnie cenionych przez

markiza Wateforda, jednego z przyjaciół księcia regenta. Przymuszczalnie były to jednak plotki.

Za czasów Gregory Temple'a sir Paulus Mac Allan zajmował podrzędne stanowisko w australijskiej policji. Od tej pory odbył daleką drogę i obecnie dwa razy w tygodniu bywał na obiedzie u lorda najwyższego sędziego. Niegdyś starał się o rękę miss Zuzanny Tempie; być może, stary Gregory zbyt ostro odmówił, nie wiadomo, Tego dnia sir Paulus Mac Allan jak zwykle wszedł do swego biura, a lokaj pomógł mu włożyć na frak lekki watowany kaftan z indyjskiego fularu, co według słów Klary Clayton nadawało mu nieco egzotyczny wygląd. Był to przystojny blondyn o jasnej cerze, długiej końskiej szczęce, bardzo wysoki i szczupły. Miał najwyżej trzydzieści lat, jak wskazywała pozbawiona wyrazu twarz.

– Nie przyjmuję nikogo, Walter. – powiedział lokajowi, którego biureczko stało niedaleko biurka pana – z wyjątkiem ich lordowskich gości i miss Klary, jeśli by zechciała przyjść. Mam dużo pracy. Wezwij inspektorów, niech się porozumieją między sobą w salonie. Powiesz mi, gdyby coś tyczyło ich lordowskich gości. Sprowadź pana Hoary!

Pan Hoary był niegdyś szefem sir Paulusa; wszedł z poważną miną, z aktami pod pachą.

– Piękna pogoda, panie Hoary – zawołał sir Paulus na powitanie ■ – wspaniałe słońce!

– Wspaniałe – potwierdził pan Hoary. – Co nowego?

– Biedny posterunkowy ciężko ranny...

– Pewnie na peryferii?

– W centrum miasta na Portland Place. Sir Paulus bawił się puklami włosów.

– Ci ajenci nie zawsze są trzeźwi – mruknął.

Pan Hoary nie odpowiedział, tylko rumieniec pokrył jego blade policzki,

gllll Czy kogo aresztowano? – spytał intendent.

– Trzech młodych paniczów, między którymi wicehrabia B... ;

– Ależ to par Anglii!... Proszę mi zostawić akta... Do licha! – po czym zmieniając ton, dodał: – Nareszcie opanowaliśmy sprawę Konstancji Bartolozzi! Biedny pan Tempie stracił zupełnie głowę. Od aresztowania Ryszarda Thompsona zeznania i wyjaśnienia sypią się jak z rękawa.

– Coś w tym jest odparł inspektor. – Thompson był w moim biurze... To porządny młodzieniec...

– Dobrze, dobrze – niemniej jednak ten porządny młodzieniec skręcił szyję biednej Konstancji. Starzała się co prawda... Mam tu paczkę przejętych listów... w najwyższym stopniu interesujące – uderzył się po wewnętrznej kieszeni fraka. – W każdym razie dobrze, że ten biedny Tempie nie wraca do Anglii.

– Pan Tempie jest człowiekiem godnym szacunku...

– Z pewnością, z pewnością... Ma pan rację, Hoary... To są listy pani Thompson.

– Matki?... Fanny Thompson?

– Nie – odparł z trymfującym uśmiechem sir Paulus – to listy jego żony, Zuzanny Thompson.

– To jego żona?

– Odkryliśmy to, Hoary, co prawda nie bez trudu. Nie potrzebujesz mi wieszować. Tak, tak, jest żonaty. A zgadnij, kto jest ojcem jego żony? Nigdy nie zgadniesz, nie warto nawet trudzić się. Pani Ryszardowa Thompson to Zuzanna Tempie.

Znam Zuzannę Tempie od dziecka – odparł surowo inspektor. – To dziewczyna o czystym sercu i szlachetnej duszy.

– Owszem, owszem, przy tym ładna. Jej listy będą chyba najciekawszą częścią procesu. Jego Królewska Wysokość prosił już o kopie. Zupełnie jak w romansie Richardsona... Panie Hoary, może pan udać się do swojej roboty. Radzę panu nie rozgłaszać sprawy z rannym policjantem.

- – Zrobiliśmy już zbiórkę wśród urzędników.

– Bardzo pięknie. Może pan dodać jeszcze ten szyling, tylko proszę nie wyjawiać mego nazwiska. Do widzenia, panie Hoary, do widzenia.

Po wyjściu inspektora lokaj zamknął drzwi, a sir Paulus zagłębił się w miękkiej berzerce przed palisandrowym biurkiem. Dziwna rzecz, choć gabinet uległ tak kompletnej przemianie, jedno pozostało niezmienione: teczka akt z napisem "Konstancja Bartolozzi", chusteczka oznaczona inicjałami R. T. oraz otwarty list, podpisany tymi inicjałami, leżały na tym samym miejscu. Na okładce akt, nad nazwiskiem śpiewaczki, wielkimi literami czerniało nazwisko "Ryszard Thompson". Sir Paulus zapalając wonne cygaro z Hawany rozmyślał, dlaczego ich lordowskie moście muszą koniecznie zabawiać się napadając na biednego policjanta i dlaczego policjant okazuje się zazwyczaj ojcem licznej rodziny. Ponadto młodzi panice w dwunastu potrafią wygrzmocić kijami biednego staruszka, tłuką latarnie uliczne, zdzierają szyldy, itp. To doprawdy szalona młodzież. Umie się bawić Nic tak nie śmieszy regenta jak opowiadanie o tych młodzieńczych wybrykach! Następnie wyjął z kieszeni pakiecik listów i zagłębił się w czytaniu.

"Głupia gęś, mogła zostać lady Mac Allan – rozmyślał. – Co prawda byłem wówczas tylko zastępcą inspektora, z pensją stu dwudziestu pięciu funtów... Dziś jednak cieszę się z tego, miałbym bowiem za teścia człowieka w niełasce i byłbym co najwyżej inspektorem, a żona przeszkadzałaby mi w stosunkach z ich lordowskimi mościami. No, no, poczytajmy romansik miss Zuzanny. Zaraz, zaraz, gdzie stanąłem. Aha, scena w Operze, aresztowanie hrabiego de Bel- camp. Francuska policja to idioci, aresztować hrabiego za dwa morderstwa na dwóch końcach Europy... Cała mądrość przypadła Anglii. I pomyśleć, że są ludzie, którym nie wstyd być Francuzami".

.>Jakżebym pragnęła, drogi Ryszardzie, by twą niewinność równie łatwo było wykazać, jak niewinność hrabiego Henryka! Jego przybycie do Wersalu to prawdziwy tryumf. Mimo późnej godziny sam prefekt przyszedł go powitać, a sędzia śledczy nie wiedział, jak przeproszać więźnia. Chciano go natychmiast zwolnić, jednakże nasz drogi przyjaciel, markiz, sprzeciwił się temu, żądając, by zadośćuczynienie było równie głośnie, jak obelga. Hrabia Henryk powiedział mi na pożegnanie:

– Pani ojciec jest moim śmiertelnym wrogiem... może dlatego, że byłem przyjacielem Ryszarda. Dziś wieczór wydał mi wojnę i zadał pierwszy cios, który wyłącznie jemu samemu przyczynił zła... a raczej pani, biedna Zuzanno, a najwięcej temu, którego kochasz.

Mówił prawdę, gdyż ojciec przyjechał i rozmawiał z urzędnikami. Co mówił? Słuchano go w milczeniu. Nagle ujrzałam, jak markiz de Belcamp, nie mogąc powstrzymać gniewu, podniósł na ojca laskę, nazywając go kłamcą i nędznikiem, a hrabia Henryk rzucił się między nich i powstrzymał cios. Mój ojciec oddalił się. Co zaszło między nim a hrabią de Belcamp? Ojciec może się mylić, ale nie jest zły ani okrutny. W każdym razie wszystko się zmieniło i hrabia Henryk pozostał w Wersalu. Prefekt oraz przewodniczący trybunału ofiarowali więźniowi gościnę w swym domu. Podziękował, lecz nie przyjął. Uspokoił gniew markiza i wszyscy obecni tej scenie zrozumieli, że wymaganemu zadośćuczynieniu należało nadać uroczystą formę.

Odprowadziliśmy więc hrabiego Henryka do więzienia. Po drodze łamałam sobie głowę nad tą serią zagadek. Jednak zamordowano dwóch ludzi. Gdzież są mordercy? Przez jaki dziwny zbieg okoliczności przybrali oni nazwisko hrabiego de Belcamp? Nie

podejrzewam ojca.. Hrabia Henryk musi mieć innych wrogów... Przy pożegnaniu odprowadził mnie na bok i rzekł: – Oto skończył się akt sztuki i kurtyna spada – a wskazując bramę więzienia dodał z uśmiechem: – Jeśli życie moje jest dramatem, "nie żałuję tego, czego dokonałem podczas najdłuż- szego, najbardziej pracowniczego i najboleśniej- szego aktu z całej sztuki. Teraz akcja się zmieni. Gdy jutro pani się obudzi, za kulisami rozegra się cały szereg wydarzeń... Wic już paru nie może przeciwko mnie, nikt już nic nie może; nie potrzebuję zakładnika. Proszę postarać się o rozmowę bez świadków z lady Fran- ces, a czeka panią wielkie szczęście wraz z wielkim bólem.

Kończę ten list w zajeździe, gdzie stanęliśmy na noc, i adresuję do twojej matki. Oby Bóg dał, byś go otrzymała i mógł zaraz odpisać.

Sir Paulus strzepnął popiół z cygara i zabrał się do następnego listu, datowanego już z zamku Belcamp.

, Wielkie szczęście i wielka boleść! Zaprawdę miał rację! Mój najdroższy Ryszardzie! Dowiedziałam się dziś, że cię aresztowano. Czy tak zakończą się nasze nadzieje? Piszę do twojej matki i nie otrzymuję żadnej odpowiedzi. Czasem myślę, czy nie przejęto moich listów.

Gdy lady Frances doniosła o twoim aresztowaniu, dodała: – Proszę być spokojną, hrabia Henryk odpowiada za niego. – Ale czy hrabia Henryk może teraz odpowiadać za siebie, skoro siedzi w więzieniu?

Przypuszczam, że ojciec wie o wszystkim, gdyż ucałował dziś naszego synka. Nie mówiliśmy o tym, ale wydaje mi się, że toie wszystko. Spytałam o ciebie, odwrócił głowę i nic nie odpowiedział. Znam go jednak i wiem, że jego gniew szybko mija; teraz jest bardzo smutny i jak gdyby czegoś żałował. Gdyby zechciał.. wiem, Ryszardzie, regent ma wobec niego osobiste zobowiązania, ponadto ojciec ma w Londynie wielkie wpływy i...

W tym miejscu następca Gregory Temple'a przerwał czytanie: –i Do licha, osobiste zobowiązania... i stary mówi o tym córce, a ta pisze do Ryszarda Thompsona. Do licha, jak Jego Królewska Wysokość dowie się o tym... – zapalił nowe cygaro i podjął lekturę.

...i gdyby chciał, a coś mi mówi, że zechce, i dlatego jestem dobrej myśli. Nasz synek jest ze mną, przez cały czas był tak blisko! Już mnie poznaje i nazywa mamą. Co za szczęście! Hrabia Henryk mówił prawdę. Lady Frances Elphinstone powiedziała mi, że jespfiś jej przyjacielem. Kim jest ta kobieta? Nie wiedziałam, że masz przyjaciółki wśród dam z wielkiego su>iata. To dziwne, ale ona jest zupełnie inna niż angielskie wielkie damy. PouHedziła mi wszystko, i wasae spotkanie w Paryżu, i wypra-

wę do Koloseum, ale nie chciała powiedzieć mi, jakie więzy łączą cię z hrabią Henrykiem. Nie wyznała ponadto, co zmusiło wicehrabinę, wdowę po parze Anglii, do udawania matki cudzego dziecka...

W tym miejscu sir Paulus nacisnął dzwonek i wchodzącemu panu Fosterowi rzucił:

– Almanach z 1817 roku.

Po chwili przewracał kartki grubego "Almanachu parów Anglii", zatrzymując się dłużej na nazwisku Elphinstone.

– Byłem pewien – mruzczał – to wicehrabina z komedii... kawał dobry w sam raz dla Francuzów.

Przeczuciwszy kilka listów, czytał dalej:

...Już od tygodnia hrabia Henryk pozostaje w więzieniu. Śledztwo toczy się z rozkazu władz wyższych, wbrew opinii sądu. Ojciec wyraził się, że to nie jest właściwy proces; trzeba było pod jakimkolwiek pretekstem zatrzymać hrabiego w więzieniu.

Musiałam opuścić zamek Belcamp, gdyż markiz po gwałtownej scenie wypędził ojca. Mieszkam teraz u lady Elphinstone. Ojciec znowu znikł. Pan Robert Surrisy, który był z nim w kontakcie, też nie wie, gdzie teraz przebywa, i sądzi, że udał się do Londynu. Oby tak było, mój najdroższy Ryszardzie!

Wszyscy stoją po stronie hrabiego Henryka. Nasze dziewczęta obie go kochają i porzuciły narzeczonych, a oni wcale nie są zazdrośni! To też niewolnicy pana de Belcamp. Zadziwiająco! Co prawda ja też byłam jego niewolnicą i zapytuję siebie, czy każdego trzymał na innej nici? Jestem pewna, że ciebie uratuje, i modląc się za ciebie, modlę się i za niego...

W drzwiach gabinetu okazała się żółta twarz pana Fostera.

– Co się stało, Foster? – spytał sir Paulus.

– Chciałem zameldować panu naczelnemu intendentowi, co się dzieje na dole.

– Co takiego?

– Na podwórzu jest pan Tempie. Poznał go pies odźwiernego i skacze jak szalony... to bydlę zawsze mnie gryzie!

– Pan Tempie – powtórzył sir Paulus, chowając pośpiesznie listy Zuzanny do kieszeni fraka.

Tymczasem pan Tempie wchodził do westybulu. Po całym gmachu, nie wiadomo jak, rozniosła się wiadomość o jego przybyciu. Każdy chciał go zobaczyć i powitać. Jednych pchała ciekawość, innych serdeczna sympatia.

– Niech Bóg pana strzeże – powiedział odźwierny. – Często tu wspominamy Waszą Wielmożność.

– Chciałbym pomówić | sir Paulusem Mac Allanem – odpowiedział nieśmiało pan Tempie.

Na schodach czekało pół tuzina konstablów z czapkami z ręką. Wszyscy pragnęli go powitać. Gregory Temple poczuł wzruszenie. Szybko wszedł na schody, ale na górze cisnęli się inni policjanci, inspektorzy, wszyscy z żalem wspominając dobre czasy jego rządów.

Łzy napłynęły do oczu starego intendenta. Uścisnął wiele rąk, ale szedł szybko na górę. Wreszcie spotkał inspektora Hoary.

– Drogi kolego – powiedział Gregory Temple cicho – proszę cię, niech wszyscy się rozejdą, nie róbcie mi owacji, bardzo was proszę.

Po czym skręcił korytarzem i zapukał w drzwi gabinetu sir Paulusa. Otworzył lokaj Walter. U nas lokaj jest meblem domowym, w Anglii towarzyszy swemu panu. Angielski lokaj jest pokorny wobec możnych, a bezczelny dla nieśmiałych. Pan Tempie wyglądał nieśmiało, więc Walter rzekł:

– Jego Wielmożność nie ma czasu.

III Proszę podać mój bilet siar Paulusowi Mac Allanowi – powiedział Gregory Temple.
: –r Nawet sam książę regent... zaczął lokaj.

– Głupcze – przerwał głos pana g| czyż nie poznajesz pana Temple'a? Dla niego zawsze mam czas. Proszę, mistrzu, proszę wejść, cieszę się, że widzę pana w dobrym zdrowiu – podsuwał fotel. – Piękna pogoda, prawda?

– Wspaniała -¿r odparł Gregory Temple siadając – przyszedłem...

– Od sześciu tygodni nie było takiego słońca – ciągnął gospodarz, a widząc wzrok byłego intendenta obiegający biuro, dodał: – Trochę; tu inaczej, ale moda... Co słyhać u miss Tempie?

– W porządku, dziękuję... Czy mógłbym prosić pana o przysługę?

– Jestem na pańskie rozkazy, mistrzu.

– Chciałbym tu, w pana obecności, przejrzeć dwie teczki akt.

– Proszę, jakie pan tylko zechce, mistrzu. Oto akta, proszę oglądać wszystkie z wyjątkiem dwóch, które zostały skradzione za pańskiego urzędowania...

- Skradzione za mego urzędowania? – powtórzył Gregory Temple błędnie.
- O tak, mistrzu – powiedział z zimną krwią sir Paulus. – Akta sprawy Brown matki i syna oraz akta dotyczące zamordowania generała O'Brien w Pradze w 1813 roku.
- Ach!... §j§ szepnął pan Tempie złamany. Po czym zerwał się a z młodzieńczą żywością podszedł do półek i wyjął dwie teczki, w środku puste. – Pamiętam, że zawsze zabierałem ze sobą klucz od gabinetu – pomyślał głośno. Sir Paulus nacisnął dzwonek, rzucając wchodzącemu Fosterowi: ^
- To pan sporządził inwentarz tego biura. Proszę powiedzieć memu szanownemu przyjacielowi, panu Temple'owi, że akt Brown i O'Brien brakowało nazajutrz po jego odejściu, to znaczy na dwa dni, zanim objąłem urzędowanie.
- To prawda – potwierdził Foster, którego żółta twarz znikła na znak szefa.
- Poradzono mi wyciągnąć odpowiednie konsekwencje – podjął sir Paulus. – Ale ja uważam, że należy postępować po dżentelmeń- sku, tym bardziej że pański wiek i sytuacja...
- Podejrzał mnie pan?
- Nie miałem o co pana podejrzewać. Był pan po prostu odpowiedzialny. Nowa administracja jest siłą, w razie potrzeby potrafi jednak okazać wyrozumiałość. Sprawę O'Brien zajmował się pan z własnego zainteresowania i wyznam, że mało mi zależało na tych aktach. Co innego sprawa Brown. Mam nadzieję sporządzić nowe akta tej sprawy. Tak, tak, mistrzu, tam gdzie się panu nie powiodło, my odnieśliśmy zwycięstwo, i w teczce O'Brien zamknę akta Barto- lozzi, skoro tylko Ryszard Thompson spłaci dług, jaki winien sprawiedliwości.
- Wizyta moja miała podwójny cel – powiedział Gregory Temple czerwieniejąc z wysiłku, by utrzymać spokój, gdyż wszystko w nim wrzało. – Przyszedłem pomówić z panem o sprawie Bartolozzi.
 - Z góry dziękujemy panu za wszelkie informację, jakie zechce pan nam przekazać.
 - Mam tylko jedną informację, sir Paulus, jest pan na fałszywej drodze i Ryszard Thompson jest niewinny.
 - Tym lepiej dla niego – odrzekł sir Paulus obojętnie, jak gdyby oczekiwał tych słów – lecz wszystko wskazuje... odkąd kazałem go aresztować...
 - Nie pan kazał go aresztować – przerwał Gregory Temple. Sir Paulus podniósł wzrok, w którym malowało się zdziwienie i wiele współczucia.
 - Może pan to uczynił? – szepnął.
 - Tak, ja i spotkała mnie kara – odparł ponuro były intendent. – Ja dostarczyłem policji wszystkie poszlaki... James Davy był jmoim agentem.
 - Uroczy młodzieniec – przerwał sir Paulus. – Podróżuje za granicą na nasz rachunek i od czasu do czasu przesyła nam wiadomości o panu. Stary detektyw nie mógł powstrzymać uśmiechu politowania.
 - Walter – zawołał sir Paulus, a zwracając się do gościa dodał: – Pam wie, jak okrutny jest nasz zawód. O jedenastej mam spotkanie z sędzią śledczym, prowadzącym nieszczęsną sprawę Thompsona. Inaczej, ofiarowałbym panu cały dzień...
 - Ja także muszę się widzieć z sędzią odparł Gregory Tempie. – Czy mogę pojechać z panem?
 - Wielki to dla mnie zaszczyt. Walter, kapelusz i rękawiczki, powóz... Proszę, mistrzu, jestem na pańskie rozkazy.
- Gmach sądu do spraw kryminalnych w owej epoce mieścił się w obrębie więzienia Newgate. Elegancki powozik sir Paulusa zatrzymał się w Old Bailey i obaj intendentzi weszli pod rękę do ponurego budynku.

Nie sądzę, by gdziekolwiek istniał gmach bardziej ponury i ohydny niż Newgate. Sędzia Timothy Bennett, młody dżentelmen, krótki i gruby o apoplektycznym wyglądzie, w wieku mniej więcej sir Paulusa, siedział przy biurku, na którym znajdowały się resztki szynki, kawy, ciasta z rumem i dzban sherry.

– Piękna pogoda, nieprawdaż Bennett? – powiedział wchodząc sir Paulus i mrugając znacząco, jako że nie był sam. – Oto mój czcigodny poprzednik, który chce z tobą pomówić. Pan Tempie, pan Bennett! Pan Bennett, pan Tempie! Po należytej prezentacji sędzia uścisnął dłoń byłego intendenta.

Za jego plecami sir Paulus wykrzywił się niemiłosiernie.

– Mój drogi Bennett – rzekł wyjmując z kieszeni list Zuzanny – przeczytałem to; mniej ciekawe, niż myślałem.

– Bzuca jednak pewne światło – odparł sędzia.

– O tak.

Znaki i grymasy sir Paulusa ostrzegły sędziego, który nie rozumiał jednak, o co chodzi.

– Panie – zaczął Gregory Tempie powoli – chcę prosić pana o zezwolenie na widzenie się z Ryszardem Thompsonem, moim dawnym sekretarzem ze Scotland Yardu.

Za jego plecami sir Paulus potrząsnął przecząco głową.

– Niemożliwe, drogi panie, niemożliwe – odparł sędzia. – Chciałbym przysłużyć się panu w każdej sprawie, lecz w tym wypadku niemożliwe. Oskarżony Thompson znajduje się w odosobnieniu. Nawet sam lord najwyższy sędzia nie mógłby udzielić panu takiego zezwolenia.

272

Na twarzy byłego intendenta, pokrytej śmiertelną bladością, wystąpiły ceglaste rumieńce. Straszliwy wysięk, by utrzymać spokój, stał się widoczny i sędzia wzrokiem zapytał sir Paulusa o radę. Młody intendent dotknął znacząco czoła. Naprzeciwko pana Temple'a wisiało lustro i Gregory dojrzał gest swego następcy.

– Nie jestem wariatem – powiedział odwracając się – proszę mi się dobrze przyjrzeć.

Sir Paulus bawił się binoklami, jak gdyby nie miał zamiaru odpowiadać na kaprysy dziecka, wreszcie rzekł: – Ten kochany pan Tempie wierzy w niewinność Ryszarda Thompsona.

Bennett wybuchnął śmiechem.

– A wiadomo panu – ciągnął sir Paulus z drwiną – że pan Tempie ma wielkie wpływy u dworu, nawet Jego Królewska Wysokość ma wobec niego zobowiązania.

– Słusznie – zawołał sędzia – osobiste zobowiązania, na honor!

Pot perlił się na czole Gregory Temple'a.

– Źle będzie, jeśli udam się do samego regenta – powiedział przez zaciśnięte zęby.

– Niech pan nie grozi, panie Tempie – rzekł Bennett – mam zaszczyt zwrócić panu uwagę, że pełnię funkcję sędziego.

– Nie grozę a wiem, z kim mówię, usiłuję zrobić wszystko, by wykazać prawdę.

– Mogę wysłuchać pana jako świadka – powiedział Bennett mimo znaków przyjaciela – zeznanie pana zostanie przedłożone sądowi.

Gregory Tempie wyciągnął gwałtownie rękę.

– Przysięgam przed Bogiem, że powiem tylko prawdę i całą prawdę, nic, tylko prawdę – zawołał. – Ryszard Thompson jest nie winny!

– To pański zięć – zauważył lodowato sir Paulus.

Gregory Tempie podskoczył, jak gdyby ugryzła go żmija.

Ach! – zawołał – nie dam się zmusić do milczenia, zdążę jeszcze rozjaśnić prawdę te ciemności.

— Proszę się uspokoić – w głosie sędziego zabrzmiała nutka zainteresowania. Czy zna pan winnego?

– Tak – odpowiedział były intendent.

– Kto to?

– James Davy.

– Do licha – zadrwił sir Paulus.

– Wiemy o tym doskonale, panie Tempie – zaczął sędzia. – Ryszard Thompson w chwili aresztowania miał przy sobie kartę Scotland Yardu, wystawioną na nazwisko Jamesa Davy, zastępcy komisarza. Posługiwał się tą skradzioną kartą, by zmylić czujność sprawiedliwości. W tym więc znaczeniu rzeczywiście winowajca nazywa się James Davy.

– Jest pan jeszcze młody i stanowisko, które pan zajmuje, za moich czasów przysługiwało weteranom sądowym – powiedział z trudem Gregory Temple. – W pańskim wieku łatwo zbłądzić. Przysięgam na zbawienie duszy, że to James Davy dał swą kartę Thompsonowi.

– To są bajki – przerwał sir Paulus.

– Po co James Davy zwabiałby Thompsona w pułapkę? – spytał poważnie sędzia.

– Gdyż wiedział, że jestem na jego tropie, i szukał wyjścia.

– Czego się obawiał? Nie był już pan urzędnikiem policji.

– Boże, Boże, Ryszard Thompson! Co z nim się stanie? I to ja sam, ja sam, oszukany przez Jamesa Davy, kazałem go aresztować! – W oczach byłego intendenta błyszczały łzy rozpacz i bezsilności. – Czyż pan nie wie, że James Davy i hrabia de Belcamp, oskarżony we Francji o podwójne morderstwo, to jedna osoba?

– Do licha, nie wiedziałem o tym – wybuchnął sędzia tracąc cierpliwość. — Dlaczego nie opowiada pan swych bajek francuskim sędziom?

– I nie wie pan – zawołał Gregory Temple głosem szaleńca, gdyż długo powstrzymywany gniew wreszcie wybuchnął – i nie wie pan, że James Davy jest Tomem Brownem?

– I Tom Brown na dodatek? – Bennett skręcał się ze śmiechu.

– A także Jan Diabeł! – rzucił sir Paulus.

– Tak, i Jan Diabeł – ryknął Gregory Temple wściekle – tak, Jan Diabeł, równie prawdziwy jak pan, ślepy z urodzenia, nieuleczalnie głuchy, a do tego nędzny idiota! Sir Paulus cofnął się przerażony wybuchem, gdyż Gregory Temple był straszny. Ale podniecenie szybko opadło i stanął na środku pokoju drżąc z wysiłku, jak człowiek porażony przekleństwem.

– Ach!... – szepnął wreszcie zapominając, że mówi – to prawda, ja jestem przyczyną tych nieszczęść... i ja jestem przecież szalony!

– Mój drogi – Sir Paulus, bezpiecznie ukryty za stołem, zwrócił się do sędziego – należy wezwać konstabla, by tego biedaka wyprowadził na ulicę.

Po chwili dwóch konstablów ciągnęło Gregory Temple'a, który dał się prowadzić jak dziecko. Gdy przeszli sklepioną bramę, minął ich wspaniałe ekwipaż lorda najwyższego sędziego. Widząc człowieka

prowadzonego przez dwóch konstabli, lord rzucił głośno nazwisko Gregory Temple'a wraz z banalnie wyrażonym współczuciem:;- – Dawno już to przepowiedziałem!

Gregory Tempie padł pod murem, niedaleko miejsca, gdzie w dniach egzekucji stoi szubienica. Dwaj konstable wypełniwszy rozkaz zostawili go na ulicy.

5. Łyk dżinu

Zarówno w Paryżu, jak w Londynie dokoła leżącego człowieka gromadzą się gapie. W Paryżu ciekawość prawie zawsze śpieszy z pomocą. W Londynie natomiast zbyt często zainteresowanie okazuje się bezpłodne.

Na określenie pijaństwa Anglicy mają słowo: "intoxicated", co oznacza zarówno "pijany", jak i "zatruty". Zatruty naturalnie dżinem, gdyż ich pijaństwo to ohydne zatrucie.

Dokoła Gregory Temple'a zebrało się sporo gapiów, którzy mówili śmiejąc się: "pijany! upił się stary". Inni dodawali: "to wariat!" Po dziesięciu minutach były intendent poprosił o szklanekę wody. Po pół godzinie przejeżdżał lekarz, który ujrawszy zbiegowisko, chwycił torbę z narzędziami i przebił się przez tłum gawiedzi. Zrobił to, by zamieścić w "Timesie" następującą notatkę; "Z przyjemnością stwierdzamy wzruszający objaw dobrego serca. Dziś, w południe na Old Bailey, wobec licznie zgromadzonej publiczności, młody lekarz, doktor J. N. White, specjalista chorób dziecięcych, zamieszkały High Holborn 17, uratował życie biedaka porażonego apopleksją, puściwszy mu krew ze zręcznością, z jakiej ten zdolny medyk dobrze jest znany licznym pacjentom. Doktor J. N. White odmówił przyjęcia honorarium".

Zamieszczenie podobnego ogłoszenia kosztuje dwie gwinee. Co za człowiek! Proszę zapamiętać jego adres!

Pan Temple na widok lekarza zerwał się i mimo oporu gapiów wy dostał się z tłumem. Po chwili skręcił w boczną uliczkę, a dzięki doskonałej znajomości tej dzielnicy Londynu, wkrótce zostawił daleko w tyle natrętnie zbiegowisko.

Zaferowana ciżba tłocząca się w City wylewa się na Cheapside, ale naturalnym łożyskiem brutalnej rzeki ludzkiej jest Fleet Street, ulica handlowa, hasłem więc "czas to pieniądz" i "trzymać się prawej strony". Wziąwszy to pod uwagę tym gorzej dla kobiet, przewracanych i tratowanych, dla starców, spychanych pod koła omnibusów. Czas to pieniądz. Fleet Street jest ulicą interesów: co tu robią kobiety? Dlaczego starcy nie trzymali się prawej strony? Mężczyźni mają wygląd buldogów lub zapaśników. Co tu robią dzieci? Handel jest jak wojna, ma swe twarde prawa. Czas to pieniądz. Niech starcy siedzą przy kominku. Można przez nich stracić wspaniałą okazję! Na wszystko jest właściwa pora. Wieczorem żelazo i cukier, a nawet bawełna są ojcami rodzin i obraziliby się, gdyby przez nieuwagę ktoś potracił milady. Ale giełda jest giełdą i w południe na Fleet Street bawełna zmiażdżyłaby własną żonę, gdyby stała na drodze.

Prąd płynący ku Hoy al Exchange porwał za sobą jak żdźbło słomy byłego intendenta. Wśród ruchu i gwaru powracała jasność umysłu; rozumiał, że popełnił szaleństwo i cierpiał z tego powodu. Chęć do walki zbudziła się z jeszcze większym uporem i siłą. Odosobniony wśród tłumem jak na pustyni, rozmyślał:

"Nie jestem wariatem, ponieważ zdaję sobie sprawę z mego postępowania i wiem, że zachowałem się jak szaleniec. Nie potrafiłem opanować gniewu na widok tego człowieka. A dlaczego? Dlatego, że zajął moje miejsce. O nędzo ludzkiej duszy! Moja wiedza zabiła Thompsona, męża Zuzi i ojca mego wnuka. Znalazłem się pod szatańskim wpływem, który skierował moje kroki na fałszywy ślad. Znam jednak szatana i Thompson będzie uratowany. Dawno już rozwiązałem tę zagadkę, w dniu, gdy na liście Jamesa Davy ujrzałem podrobiony stempel londyńskiej poczty. Zrozumiałem swą pomyłkę i zawróciłem ze złej drogi. Napotkałem wszystkie zbrodnie Toma Browna jak etapy: w środku Bartolozzi, przed nią O'Brien, za nią Robinson i Turner, a wczoraj Noll Green i Dick z Lochaber... Zbrodnie popełniane dla ukrycia zbrodni... jak nieuczciwi kasjerzy, którzy fałszują księgi, by ukryć kradzież. Teraz wiem wszystko".

Tak rozmyślając doszedł do rogu Lombard Street, nie widząc tłoczącej się na chodnikach ciżby, nie słysząc gwaru londyńskiej ulicy. Był tak zatopiony w myślach, że nie wiedział, gdzie się znajduje.

– Hola, szanowny panie – zawołał raptem nad uchem po francusku człowiek ubrany jak wieśniak z okolic Paryża, kładąc mu bezceremonialnie rękę na ramieniu. – Czy pan śpi z otwartymi oczami? Od pół godziny gadam do pana, a pan nic.

Pan Tempie rzeczywiście wyglądał jak człowiek zbudzony ze snu. Spojrzał na wieśniaka niewidzącym spojrzeniem.

– Jestem Piotr Louchet – odpowiedział nieznajomy śmiejąc się – posłaniec i francuskiego hotelu na Leicester Square. Posłał mnie pan z dwoma butelkami likieru do pewnej damy na Rosemary Lane... To dopiero baba, ma wspaniałe wąsy!

– Pamiętam, pamiętam – Gregory Tempie przesuwał ręką po czole. – Mówiliście mi o Robercie Surrisy i obiecałem coś dla was zrobić.

– Tak i pan mówił, że gdybym przed trzema tygodniami opowiedział historyjkę o damie i dziecku, dostałbym dobry napiwek. Skąd jednak mogłem wiedzieć... Zaniósłem butelki i poprosiłem panią Molly. Siedziała na łóżku i wykrzykiwała, by dano jej "szklaneczkę trunku". Wyglądała jak po wypiciu baryłki dżinu. Gdy ujrzała mnie z butelkami w ręku, pyta: "Czy to dla mnie, mój chłopczyku?" A ja na to, jak pan kazał, że te próbki przysyła dawny znajomy, handlujący obecnie winem; sam przyjdzie dowiedzieć się, czy smakowało... Nie wiem, czy słyszała, co mówię, gdyż natychmiast odkorkowała butelkę i zaczęła pić. Angielki to mają spust! Piją jak gąbki. To wszystko.

– Piotrze Louchet – zapytał pan Tempie – czy chcesz wrócić do Francji?

– Naturalnie, proszę pana. Milord mnie przysłał, bym zobaczył, czy go tu nie ma, już wszystko rozumiem. Brak mi tylko pieniędzy.

– Przyjdź dziś wieczorem do mnie, do hotelu – pan Tempie podał mu koronę. – Dobry z ciebie posłaniec. Dam ci pewne polecenie, które mi załatwisz we Francji.

Pożegnawszy drwala pan Tempie ruszył śmiało naprzód. Miał teraz cel. Szedł do hotelu Neda. Ned i śliczna Molly zajmowali duży pokój na drugim piętrze. Podłogę zaścielały resztki dywanu i kupy śmieci, ponieważ od dwudziestu czterech godzin śliczna Molly zajmowała to mieszkanie. Właściciel hotelu przeprowadził pana Temple'a na schody i wskazał drzwi opatrzone numerem 16. Gdy Gregory Tempie zastukał, z wewnątrz rozległ się ponury śpiew. Nikt nie otwierał i śpiew nie ustawał. Były intendent, zniecierpliwiony, wszedł do środka. Wiedział, że Ned dotąd nie wrócił, a śliczna Molly jest sama.

W pokoju panował półmrok, gdyż zapuszczono firanki. Molly siedziała na stole, machając nogami. Pościel była rozrzucona, czerwona suknia, brudna i pomięta, leżała na podłodze.

Molly, na pół rozebrana, wydawała się olbrzymką. Na stole stały trzy butelki: dwie puste, trzecia opróżniona do połowy.

– Dzień dobry, droga Molly – powiedział od progu Gregory Tempie. Odwrócił się powoli, oparta na ręku.

– Ho, ho – zaśmiała się ochryple – czy to ty, Ned? Muszę wypić szklaneczkę, inaczej spadnę z tego stołu...

– Przychodzę w sprawie próbek dżinu – podjął pan Tempie pełen obrzydzenia.

– Dżinu, mój mężu? Dawno nie piłam prawdziwego dżinu... Mieszają go teraz na pół z wodą.

"Doza była zbyt silna – pomyślał Gregory Tempie – nie potrafi mi nic powiedzieć".

Molly nagle zaniósła się śmiechem i omal nie spadła na podłogę.

– Jestem teraz lady – zawołała – i nie boję się szpicliów z policji.

- Dżin jednak dobry – odezwał się pan Tempie – gdyż jesteś wesola. Przyszedłem zapytać, czy przysłać ci jeszcze parę butelek.
- Wszystkie pieniądze są u Neda – odpowiedziała – nie zostawia w domu ani grosza.
- Dostaniesz na kredyt.
- A kto udzieli kredytu?
- Kupiec, do licha!
- A jak się nazywa ten kupiec?
- Jak to, nie wiesz? To przecież Noll Green z Southwart. Olbrzymka przestała machać nogami. Spojrzała przytomnie na rękę pana Temple'a.
- Nie jesteś Nolle – wybełkotała wreszcie – masz pięć palców u prawej ręki.
- Naturalnie, że nie jestem Nolle, przecież ze mnie starzec.. Ale przychodzę z jego polecenia.
- Wskazała nogą obtłuczoną fajkę na dywanie.
- To jego fajka. Gdy zechcę, jestem jak skała. Nic ze mnie nie wydobędą!
- Co to znaczy? – spytał łagodnie pan Tempie. – To fajka Nolla? Stać go teraz na lepsze, odkąd bogaczom sprzedaje trunki.
- Wiem, jak się rozmawia z szeryfem – powiedziała nagle. – To nie pierwsze przesłuchanie.
- Ależ Molly – zaśmiał się Gregory Tempie – nie jestem szeryfem i przyszedłem w sprawie dżinu.
- Idź sobie, człowieku. Pierwszy lepszy nie ma prawa wchodzić do żony dżentelmena. Jeśli Noll zmartwychwstał, nic już nie rozumiem, zresztą mało mnie to obchodzi!
- Noll i Dick, Molly.
- Tak, tak... Z nimi zawsze bywało coś do wypicia. To byli prawdziwi przyjaciele... i nawet owej nocy znaleźli się razem
- Której nocy, Molly, ślicznotko? Czy chcesz Ich zobaczyć? Zadrzała, a błysk świadomości przedarł się do mroków zapitego mózgu.
- Kim pan jest? – zapytała sucho.
- Były intendent rozchylił płaszcz, ukazując flaszkę francuskiej wódki, kupioną na pobliskim placu.
- Widzisz, czym handluję – odpowiedział – sprzedaję za gotówkę lub na kredyt, zależnie od klienta.
- Wyciągnęła z chciwością rękę.
- Dobry gatunek – ciągnął pan Tempie – musiałaś zakosztować w Paryżu.
- Milczę jak skała – warknęła olbrzymka marszcząc brwi. – Nic ze mnie nie wyciągniesz.
- Gregory odkorkował z hałasem.
- Skosztuj, koteczku! – zawołał zachęcająco.
- Molly wsadziła szyjkę butelki między zęby, pijąc jak zagubiony w piaskach pustyni podróżny, który co najmniej od trzech dni nie widział wody. Wypiwszy mlasnęła głośno.
- Dobrze! Ale ¡wolę dżin... prawdziwy dżin. – Po czym, opierając się obiema rękami na stole, gdyż kręciło jej się w głowie, spytała: – Czy to pan mówił o Nollu i Dicku?
- Któż to taki? – zdziwił się bezczelnie były intendent policji. – Czy gadasz przez sen?
- Ktoś mówił o Nollu i Dicku – powtórzyła z pijackim uporem – ale był inaczej ubrany... chciał wiedzieć...

- To szpicel, musisz uważać, Molly.
- Ho, ho, przewącham każdego szpicla i milczę jak głaz. Nawet Dick nie potrafił tyle wypić co ja, choć wlewał w siebie wiadro piwa. Pożycz mi fajkę, jeśli dobry z ciebie kompan!

Pan Tempie był dobrym kompanem. Przysunął taboret do stołu i siadł podając Molly marynarską fajkę. Trzeba się było śpieszyć, gdyż czas upływał, a Ned mógł nadejść lada chwila. Gdy Molly nabiła fajkę, pan Tempie wziął garść tytoniu, przygotowując prymkę.

- W Paryżu nie pozwoliłabym wziąć tyle tytoniu – powiedziała nagle Molly, nie spuszczać oczu z jego rąk.

- W Paryżu nie miałaś nowego kapelusza i pięknej sukni. Knob mówił mi, że brakło wam często chleba, co? .

- Chleba! – powiedziała z pogardą. – Zawsze jest dość chleba. Za to raz przez cały dzień i noc nie miałam kropelki do picia.

- Na szczęście nie trwało to długo – podsunął Gregory.

Molly wsparła poufale olbrzymie stopy na kolanach pana Temple'a, pałac spokojnie fajkę.

- Trwało to do wieczora, w którym Ned spotkał milorda – oznajmiła z dumą.

- Ned Knob teraz jest bogaty – rzucił pan Tempie – dostarczę na kredyt nawet pięćdziesiąt butelek, jedli zechcesz.

- Dżinu?

- Dżinu lub brandy. Gdy pracuje dla milorda, mogę być spokojny.

- Słusznie. Możesz choćby jutro dostarczyć sześćdziesiąt butelek nic nie ryzując.

–i Niech będzie sześćdziesiąt, dobrze.

Na policzki Molly wypłynął krwisty rumieniec. Nie potrafiła ukryć radości. Sześćdziesiąt butelek! Nie miała siły oprzeć się tak wspaniałej perspektywie. Zerwała się ze stołu i stanęła pewnie na nogach.

- Do licha! – wrzasnęła. – Mój Ned jest mały, ale mądrzejszy ode mnie.

Powiedział mi: "Bądź niema jak skała, gdy zechcą z ciebie coś wyciągnąć". Czy co powiedziałam? Nic. Mój Ned szedł krok w krok za milordem od mostu Blackfriars w Londynie do Palais- -Royal w Paryżu i od Palais-Royal do... – zawahała się.

- Daj mi spokój – rzucił Gregory z gniewem. – Cóż mnie obchodzą twoje historyjki?

- A jeśli chce mi się mówić? – nabiegłe krwią oczy zabłysły złością. – Potrafię mówić jak adwokat i tylko Ned jest mądrzejszy ode mnie. Tam, w naszej norze, obudził mnie i kazał wziąć łopatę... musieliśmy szybko iść, by się rozgrzać... W Tivoli był bal i nazajutrz tańczyłam w mojej nowej sukni... Wszyscy mnie podziwiali, a młodzi francuscy paniczki częstowali wódką... nie wiedzieli, cośmy robili poprzedniej nocy z drugiej strony muru... nikt się tego nie dowie, bo ja milczę jak głaz!

- Porozmawiajmy raczej o interesach, Molly – powiedział Gregory. – To wszystko nic mnie nie obchodzi.

- Bądź przeklęty – wrzasnęła Molly chwytając go za szyję. – Uduszę cię jak kurczaka, jeśli nie będziesz słuchał tego, co mówię. – Po czym siadła mu na kolanach. – Obaj byli w knajpie, po drugiej stronie drogi – zaczęła z namaszczeniem – mówię o drodze, która ciągnie się wzdłuż ogrodów Tivoli... Jadłam tam kolację... Ned chciał jeść w tym samym pokoju, ale nic nie przełknął, gdyż ciągle myślał o ciałach, które pogrzebaliśmy... Dlatego wzięłam łopatę... Ale ja piłam... Noll i Dick, to byli przyjaciele, wszyscy umrzemy... Podaj mi butelkę.

Biedny Gregory ugiął się pod ciężarem olbrzymki:

–Ho, ho – podjęła ze śmiechem. – Nie chcesz mnie słuchać? Knajpa nazywała się po francusku, coś jak "Pod Łakomczuchem", Knob szedł za milordem od Palais-Royal aż tam... Noll i Dick oczekiwali milorda... Knob zakradł się pod okno od tyłu i wdrapał się na górę, aby wszystko widzieć. Milord nie wszedł od razu, pewnie podsłuchiwał pod drzwiami. Knob widział, że Noll i Dick pod koszulą mieli noże. Widocznie zamierzali wykończyć milorda. Milord przyniósł pieniądze. Noll i Dick pracowali dla niego, to pewnie była dobra robota, bo milord położył na stole sześćset funtów szterlingów. Za sześćset funtów można wszystko zrobić. Każdy wie, że milord płaci po królewsku, i dla takiego jak Ned młodzieńca dobre to miejsce... Ale Noll i Dick nie śmieli zaatakować milorda, który nie miał broni. Wyglądali przy nim jak dwa byki, a on delikatny jak panienka; potrzeba jednak odwagi, by tylko we dwóch napadać na Jana Diabła. Gdy milord odwracał głowę, dawali sobie znaki. Ned wszystko widział, pewnie i milord to widział, gdyż on widzi wszystko. Siedział spokojnie między nimi, kazał podać poncz, maderę, rum i miętę. Gdy wszystko wypili, jeszcze nie nabrali odwagi, a byli już zupełnie pijani. Potem milord wstał i powiedział do Nolla:

– To nieładnie okradać kolegę.

Dick wsadził rękę do kieszeni i nie znalazł pieniędzy. Sześćset funtów było w kieszeni Nolla. Ned wszystko widział, ale nie wie, jak to się stało. Jan Diabeł to czarownik. Noll i Dick zerwali się. Jeden chyba szatan wie, co milord namieszał do ponczu. Byli wściekli i rzucili się na siebie. Milord ich rozdzielił i powiedział:

– Wyjdźcie i bijcie się na dworze, jak Anglikom przystało, ja będę świadkiem, a jeśli jeden z was zginie, drugi nie będzie pociągnięty do odpowiedzialności.

Wyszli więc na dwór, na pole za knajpą. Milord był świadkiem. Zanim padł Dick, wyciągnął nóż i przeciął rękę Nolla, który runął pod krzakiem. Knob widział to ukryty w zaroślach. Widział też, jak milord podszedł najpierw do Dicka; Dick sapał jak wół. Milord uniósł mu głowę, oparł o swe kolano i położył rękę na gardle: Dick przestał sapać. Noll rzeził. Milord uniósł głowę Nolla i położył mu drugą rękę na gardle, jak Dickowi, i Noll przestał rzezić. Milord odszedł. A gdy przyszliśmy z łopata, obaj już dawno nie żyli. Ubrani byli jak książęta. Gdy szukałam, czy Noll nie ma pierścionka, zobaczyłam, że brak mu jednego palca, i po tym go poznałam... Zabraliśmy całą paczkę szmat. Ned powyrywał chwasty i zasadził na tym miejscu, by nie było znać. Mówiłam, jaki on mądry... Ale chwasty już pewnie wyschły; gdybym chciała odszukać te dwa trupy, poszłabym prosto do tych suchych chwastów, na równinie Tivoli,...

Pan Tempie usunął obolałe kolana i Molly jak kłoda runęła na podłogę. Rozciągnęła się w całej długości na podartym dywanie.

– Nic nie powiedziałam – rzekła ochryple, ziewając. – Nie wyduszą ze mnie ani słówka, milczę jak głaz. Już dawno nie piłam dżinu...

6. Hotel Mivart

W godzinę potem Gregory Temple siedział zanurzony po szyję w gorącej kąpieli. Raz jeszcze zwyciężył. Problem został rozwiązany i można było głośno obwieścić, kto zabił Konstancję Bartolozzi. Wiedział to z matematyczną dokładnością, ale nie był sędzią. Musiał przekonać tych, co mieli sędzić.

Przeciwnik, czy nazwiemy go Tom Brown, hrabia Henryk de Bel-camp, James Davy czy Jan Diabeł, wyprzedził go znacznie, piętrząc zasadzki i przeszkody na jego drodze. Najpierw wszedł do Scotland Yardu i zdobył zupełne zaufanie zwierzchnika, przygotowując w ten sposób pierwsze wojenne maszyny. Jeszcze dziś pan Tempie zdobył niezaprzeczalny dowód jego działalności. Tego wieczoru, gdy złożył dymisję, James Davy pozostał w jego biurze. Zginęły wtedy dwie teczki z aktami sprawy Brown i O'Brien. Pan Tempie posiadał teraz klucz do zagadki i rozumiał, że James Davy, udając przyjaciela Ryszarda Thompsona, skierował podejrzenia na tego ostatniego.

James Davy był świadkiem tajemnego małżeństwa Zuzanny, a może i autorem tego romansu. Ani Ryszard, ani Zuzia, nie ośmieliliby się samowolnie na tak poważny krok. Przecież Zuzia, ukochana jedynaczka, nie miała powodu obawiać się ojca! Ryszard, traktowany jak syn, był w tej samej sytuacji. Dlaczego nie wyznali mu, że się kochają? Gregory Temple był pewien, że zezwoliliby na ten związek. Raz, co prawda, wymknęło mu się niebaczne słówko. W odniesieniu do córki pewnego lorda powiedział: "Nie poślubia się syna aktorki". James Davy był wówczas obecny, doskonale to pamiętał Uczynić z Ryszarda zięcia Gregory Temple'a, a później puścić Gregory Temple'a na ślad Ryszarda, fałszywie oskarżonego o morderstwo, oto kombinacja, którą Jan Diabeł przeciwstawiał przeciwnikowi.

Mało brakowało, a zięć byłby stracony. Zguba zaś Ryszarda to ocalenie Jana Diabła. Ale dziś Gregory Temple zdobył nareszcie odpowiednią broń.

Wyszedłszy z kąpeli poczuł się silny i odświeżony, jak za najlepszych dni swojej kariery. Około piątej starannie ubrany wsiadł do fiakra udając się do hotelu Mivart. Przybywszy na miejsce spytał o hrabiego Fryderyka Boehm.

Wskazano schody wyłożone tureckim dywanem. Na podeście czekał wyfraczony lokaj, któremu pan Tempie podał bilet wizytowy. Lokaj wprowadził gościa do wytwornego przedpokoju, a po chwili austriacki ksiądz w długim surducie i podróżnych butach witał go u drzwi salonu.

W salonie przy kominku siedziały cztery osoby: lekarz, doktor Weber; prawnik, doktor Spiegel; ksiądz, doktor Arnheim; i hrabia. Trzej pierwsi zajmowali się zdrowiem, interesami i sumieniem młodego hrabiego Fryderyka Boehm, który również był doktorem, gdyż obronił trzy tezy na uniwersytecie w Pradze.

Hrabia Fryderyk Boehm był niezwykle wysokim młodzieńcem o chorowitym wyglądzie. Miał wspaniałe czarne włosy opadające puklami na blade czoło. Nosił aksamitny szlafrok, spod którego wyglądały długie buty do konnej jazdy z ostrogami. Jeśli z twarzy można określić charakter człowieka, hrabia Boehm musiał być odważny jak lew i nieśmiały jak dziecko. Twarz powlekała melancholia, a smutny uśmiech miał prawie kobiecą delikatność. Wstał na przywitanie pana Temple'a i postąpił parę kroków naprzód w asyście dworu.

– Dziękuję za przybycie – powiedział.

– Panie hrabio – odrzekł detektyw – gdyby nie przybył pan do Anglii, pojechałbym do Niemiec.

– Do mnie? – spytał hrabia Boehm spuszczać oczy.

– Tak, do pana... bardziej mi pan potrzebny, niż ja panu. ...

Trzej doktorzy milczeli. Hrabia Boehm przysunął fotel do kominka, robiąc zapraszający gest.

– Panie hrabio – powiedział Gregory Tempie – musimy zostać sami.

Trzej doktorzy usiedli jednocześnie, a z długich fajek buchnął dym.

– Jestem intendentem jego Ekscelencji – powiedział Spiegel.

– Jestem jego lekarzem – dodał Weber.

– A ja spowiednikiem – dokończył Arnheim.

Po czym wyjaśnili chóralnie:

– W dzień nie odstępujemy jego Ekscelencji, w nocy śpimy w jego sypialni.

Gregory Tempie odsunął fotel przygotowany przez hrabiego.

– Panie hrabio – powiedział z ukłonem – nasza rozmowa zakończyła się przed zaczęciem.

tya blade policzki Fryderyka Boehma wypłynął rumieniec.

– Jaką władzę mają nad panem ci trzej dżentelmeni? – spytał pan Tempie.

– To moi przyjaciele – odparł z wahaniem młody człowiek.

– Czy tylko przyjaciele?

- Jestem niepełnoletni – ściszył głos hrabia – a przez cztery miesiące wydałem mili cm florenów.
- Czy to pańscy opiekunowie?
- Nie.
- Jesteśmy więcej niż opiekunami – powiedział Spiegel.
- Mam zaszczyt być krewnym i wychowankiem jego cesarskiej i królewskiej mości Franciszka Józefa i arcyksiężniczki Marii Ludwigi, żony Bonapartego, a mojej chrzestnej matki –■ wyjaśnił hrabia Boehm.
- Ekscelencjo – zauważył surowo doktor Spiegel – to tajemnica stanu.
- Młody człowieku, czy pragnie pan działać z własnej woli? – spytał pan Tempie, spoglądając wyzywająco na trzech doktorów.
- Drodzy przyjaciele – szepnął hrabia Fryderyk, którego skronie pokryły się potem – daję wam słowo honoru, że w mojej rozmowie z panem Tempie'em nie będzie mowy ani o cesarzowej Marii Ludwice, ani o jej synu, małym księciu Reichstadtu... Proszę was, zostawcie nas samych.
- _ Jeśli dżentelmeni życzą sobie pozostać – dodał były intendent – na dole czeka mój powóz. W Anglii lekarze badają puls chorego, adwokaci występują w sądzie,, a duchowni odprowadzają nabożeństwa, zaś jego cesarska i królewska mość jest panem tylko u siebie.
- Trzej doktorzy wstali nie okazując niezadowolenia. Spiegel podszedł do hrabiego, skłonił się i powiedział:
- Ekscelencjo, spełniliśmy obowiązek, złożymy raport.
- Po czym, skłoniwszy się raz jeszcze, opuścili salon.
- ;;g Znam pańskie dzieje lepiej może niż pan sam – zaczął pan Tempie ujmując, z chwilą gdy zostali sami, rękę młodego człowieka. – Z całego serca współczuję panu i gotów jestem do usług.
- Zna pan moje dzieje!... – powtórzył młody hrabia, którego powieki zatrzepotały, jak gdyby kryjąc napływające łzy. – Ależ nikomu o tym nie mówiłem!
- Tych trzech szpiegów...
- Nie mogę pozwolić – przerwał z żywością hrabia Fryderyk – by wyrażał się pan tak o ludziach, którzy byli wiernymi przyjaciółmi mego ojca. Starają się uchronić mnie od losu braci; poniosą naturalnie klęskę, gdyż nikt nie ucieknie przed przeznaczeniem, ale to wierni i lojalni słudzy.
- Hrabio – zauważył z uśmiechem wyższości Gregory Temple – pan ma dopiero dwadzieścia lat.
- Rzeczywiście, to mało, by umrzeć, ale wiele już wycierpiałem.
- Może za pochopnie osądziłem sytuację – powiedział poważnie Gregory Temple po chwili milczenia – może za tym, co wiem, kryją się jeszcze inne nieszczęścia.
- Co pan wie, a raczej, co sądzi pan, że jest mu znane?
- Panie hrabio – zawołał zdumiony detektyw – słuchając pana zaczynam wątpić w siebie... Muszę od razu zapytać, czy nie przybył pan do Londynu, by dowiedzieć się prawdy o śmierci generała O'Brien, swego powinowatego?
- Owszem, i przyjaciela mego ojca.
- Nie wiedziałem o tym – odparł z pewną goryczą pan Tempie. – Opowiem .panu, co wiem, lub co mi się wydaje, że jest mi znane, jak pan się wyraził. Generał Maurycy O'Brien został zamordowany w noc poprzedzającą jego ślub z pewną francuską damą, z którą miał syna. Nie jestem w stanie podać panu dokładnych dat, gdyż akta dotyczące tej sprawy skradziono z biura policji Scotland Yardu...
- Ach, skradziono je! – zawołał z ożywieniem młody człowiek, a jego oczy dziwnie zamigotały, wyrażając zdziwienie, zmartwienie czy też radość, co uszło jednak tak zazwyczaj bystrym oczom pana Tempie'a.

- Morderca generała O'Brien, według mego osobistego przekonania, to słynny angielski bandyta Tom Brown, zwany Janem Diabłem, który pod nazwiskiem George'a Palmera bawił wówczas w Austrii wraz z matką Heleną Brown. W owym czasie byłbym w stanie przedstawić trybunałowi w Pradze wszelkie dane potrzebne do skazania tego zuchwałego złoczyńcy. Lecz dwaj młodzi ludzie, należący do jednego z pierwszych rodów w kraju, byli skompromitowani. Sprawę zatuszowano. Czy to są rzeczy panu znane?
 - Podobne kalumnie rozpowszechniono na szkodę moich braci, Alberta i Reyniera Boehm – odpowiedział zimno hrabia. – Wiem o tym, proszę mówić dalej.
 - Hrabia Albert zajął się administracją olbrzymiej fortuny swego rodu, powiększonej o dobra Maurycego O'Brien, które – pozwoli pan, że dodam – nie należą się panu z żadnego tytułu, ponieważ generał miał córkę. Hrabia Fryderyk tak zbladł, że pan Tempie przerwał swe wywody.
 - Czy mam zawołać lekarza? -^ spytał przestraszony.
 - Nie, nie, wszystko panu powiem. Przybyłem do Londynu dla córki generała O'Brien... Proszę mówić dalej.
 - Skoro hrabia Albert wypłacił mordercy umówioną sumę, czyli dwieście pięćdziesiąt tysięcy florenów, pan wybaczy, ale pozostaję przy mojej wersji, tak zresztą twierdzi świadek, którego panu przedstawię w Paryżu... Hrabia Albert kilka lat nie był niepokojony. Morderca bowiem znajdował się w rękach angielskiej sprawiedliwości i przebywał w Nowej Południowej Walii. Ale zbiegł i wrócił do Europy; wówczas hrabia Albert musiał spełniać jego wymagania. W dniu gdy zapragnął uwolnić się od jarzma, został publicznie znieważony w teatrze w Wiedniu. Nastąpił nieszczęśliwy pojedynek i hrabia Reynier, młodszy brat, zajął się zarządzaniem wspólnej fortuny... Czy tak?
 - Nie, panie, ale to podobne do prawdy... Proizę mówić dalej.
 - To samo spotkało hrabiego Reyniera, tylko że zamiast szpady śmierć zadał mu sztylet. Pan odziedziczył spuściznę po bracie i jak oni również spełniał wymagania mordercy; jak oni zapragnął się pan uwolnić od haraczu i dlatego obawia się pan o swoje życie.
 - Nie znam lęku – powiedział młody człowiek, a nieustraszony uśmiech okraślił mu twarz – morderca powinien się śpieszyć, gdyż inaczej będę pierwszym hrabią Boehm, który umrze w łóżku. Nasza rozmowa musi pozostać w tajemnicy. Bez pańskiej zgody nikomu nie powtórzę tego, co mi pan powiedział. Czy mogę Uczyc na taką samą dyskrecję?
 - Jestem teraz prywatnym człowiekiem, mogę więc przyrzec milczenie.
 - Będę szczery... Generał O'Brien zginął zamordowany, mimo że lekarze stwierdzili naturalny zgon. Moich braci również zamordowano... Jest to wynik straszliwej wojny, prowadzonej w Niemczech przez dwa odłamy kapturowych sądów, z których jeden popiera monarchię, a drugi ma zamiar służyć ludowi... Rycerze Róży i Krzyża w imię ludu w osobie generała O'Brien pozbyli się zaciętego wroga... inni członkowie tajnego stowarzyszenia w imieniu króla zabili moich braci, którzy spiskowali przeciw Świętemu Przymierzu.
 - Czy rzeczywiście spiskowali? – szepnął pan Tempie. – Czy
- istnieją kapturowe sądy? Długo żyłem i niejedno widziałem. Znam te tajemne bractwa, przysięgające na truciznę lub sztylet; zazwyczaj prawdziwy złoczyńca korzysta, by pod ich osłoną dokonać osobistej zemsty lub zaspokoić własną chciwość. Nie żyjemy dziś w czasach sądów kapturowych, lecz zbrodnia, która trwa wiecznie, korzysta z tych komedii... Czy słyszał pan o zabójstwie Konstancji Bartolozzi?
- Byłem obecny, gdy ją skazano – odparł hrabia Fryderyk spokojnie.

Pan Tempie cofnął się, jak gdyby uderzono go w twarz, po czym drżącymi rękami dotknął czoła.

– Więc był tam człowiek nazywający się księciem Aleksym Orłowem? – wykrzyknął.

– Podczas mego pierwszego pobytu w Londynie ja sam nosiłem to nazwisko.

– Kiedy odbył pan tę podróż? Proszę o datę – zawołał pan Tempie łamiącym się głosem, co tym bardziej kontrastowało ze spokojem jego rozmówcy.

– W styczniu i w lutym ubiegłego roku.

Gregory Temple milczał. Wszystkie jego obliczenia, cały system, ogromna wiedza, pasja jego życia, zdawały się unicestwione. Czyż był szaleńcem?

– Moi bracia spiskowali – podjął hrabia Fryderyk poważnie. – Sądy kapturowe i przysięgi nie są zabawą. Istnieją od najdawniejszych czasów. Cesarz Austrii płakał na pogrzebie Alberta, którego kochał jak syna. Po śmierci Reymera udał się do Pesztu na miejsce zbrodni i przewodniczył trybunałowi. Obecność władcy nie pomogła jednak rozświetlić mroków tej ponurej sprawy... Jestem młody i mało widziałem. Mogę tylko mówić o Niemczech. Ale tam, wśród tajemnej walki, wojna toczy się na śmierć i życie... Nie żądam, by pan mi objaśnił zdarzenia towarzyszące zabójstwu generała O'Brien, śmierci Alberta i Reyniera. List mój to tylko pretekst... Nie potrzebuję informacji o panu Wood, któremu bracia wypłacili miliony, ani o firmie Balcomb i Spółka, zadziwiającej świat maszyną parową. Otacza pana europejska sława, przy pańskim nazwisku dodano słowo "detektyw", co znaczy "odkrywca". Utraciłem bezcenny skarb; by go odnaleźć, oddałbym wszystką krew. Po księciu Lichtensteinle jestem najbogatszym człowiekiem w Niemczech. Przybywam kupić pańską pomoc.

Pan Tempie z trudem skupiał uwagę na słowach młodego człowieka, gdy nagła i dziwna myśl przemknęła mu przez głowę. Jan Diabeł musiał maczać w tym palce! Czyż trudno było opanować tego

chłopca? Czy uwierzy w istnienie księcia Aleksego Orłowa, gdy hrabia Boehm mówi: "Oto jestem"? Czy to on zostawił na szyi śpiewaczki śmiertelne znamię? Spoglądał na młodzieńca zmieszany i przestraszony, niepewny, czy nie padł ofiarą diabelskiej ułudy. Co mogło powstrzymać zuchwalstwo Jana Diabła? Czyż od trzech miesięcy on, Gregory Temple, nie obracał się wśród niepodobieństwa i czarów? Patrząc teraz na hrabiego Boehma, zapytywał siebie, czy nie jest to przypadkiem Jan Diabeł? Nie, to nie James Davy, a bramy więzienia zamknęły się za Henrykiem de Belcamp. Była za to inna jeszcze istota, podległa Janowi Diabłowi, jak gdyby drugie jego wcielenie, którą legenda czyniła jego kochanką: piękna Irlandka. Lśniące czarne włosy hrabiego, kobiece prawie rysy twarzy budziły podejrzenie. Są przecież przebrania graniczące po prostu z cudem...

Gregory Temple patrzył. To jednak nie mogła być Sara O'Neil. Tak wysoki wzrost mógł posiadać jedynie mężczyzna.

– Czekam pańskiej odpowiedzi – odezwał się hrabia Fryderyk spokojnie.

– Jak to się stało, że pan mnie wyjawia sekrety Bractwa Oswobodzicieli? – spytał wreszcie detektyw.

– Nie jest już pan intendentem policji, a ostatnim członkiem bractwa, jaki przebywa w Anglii, jestem ja.

– Czy mam przez to rozumieć, że stoję przed zabójcą pani Bartolozzi?

– Jestem szlachcicem, panie Tempie – odpowiedział ze smutnym uśmiechem młody hrabia – ponadto chrześcijaninem, a lekarze dają mi zaledwie rok życia. Udało mi się parokrotnie nie dopuścić do rozlewu krwi, ale nigdy nikogo nie zabiłem.

7. Fryderyk Boehm

Przez długie firanki u wysokich okien sączył się szary mrok, a węgle na kominku czerwieniały, oświetlając szkarłatnym blaskiem twarz byłego intendenta, podczas gdy

policzki młodego człowieka wydawały się jeszcze bledsze i bardziej zapadłe. Fryderyk opowiadał, a pan Tempie słuchał ze skupioną uwagą.

– Cesarzowa Maria Ludwika, która wówczas była jeszcze arcy-księżniczką, miała sześć lat, gdy trzymała mnie do chrztu. Wychowałem się wraz z nią w cesarskim pałacu w Wiedniu, pod okiem Marii

Teresy, żony cesarza Franciszka I. Reynier, mój średni brat, był, jak już panu mówiłem, chrzestnym synem cesarza i wraz z Albertem żyli przy naszym ojcu, generale, stacjonującym wówczas z armią w Ilirii, gdzie posiadamy olbrzymie dobra.

Jak dawno sięgam pamięcią, widzę się w towarzystwie dziewczynki o sześć lat ode mnie starszej, Marii Ludwiki, która miała zaszczyt, a jednocześnie nieszczęście zostać żoną Napoleona. Wiele osób potępia politykę Austrii, lecz każdy ocenia patriarchalne cnoty Franciszka I i jego rodziny. Lud Wiednia kochał go jak ojca. Pierwsze więc lata mego życia upłynęły w spokoju i bezpieczeństwie.

Byłem jeszcze dzieckiem, gdy Maria Ludwika opuściła Wiedeń i przeniosła się do Paryża. Chciała zabrać mnie ze sobą, pojechałem więc do Francji. Dwór francuski bardzo się różnił od Wiednia. Traktowano mnie jak lalkę; cesarz Napoleon był zawsze dla mnie dobry, a nawet uczynił mnie paziem. Odmówiłem, powiedziawszy, że nazywam się Boehm i mam rangę podpułkownika w austriackiej armii. Cesarz dotknął mi policzka białym delikatnym palcem.

– A jeśli syn twojej chrzestnej matki będzie kiedyś bił się z Austrią? – zapytał.

– Kocham tylko chrzestną matkę – odparłem czerwieniąc się. Wkrótce potem Maria Ludwika urodziła syna, króla rzymskiego.

Powiedziała wówczas do mnie po niemiecku;

– Pamiętaj, Fryderyku, jeśli będzie potrzebował, staniesz się dla niego tym, czym ja jestem dla ciebie.

Przy końcu 1812 roku wróciłem na studia do ojczyzny. Moi bracia studiowali na uniwersytecie w Pradze, a ich letnią rezydencją był Reichstadt, dawne dobra mojej rodziny, obecnie własność korony. W pałacu cesarz założył pensję, gdzie wychowywało się sześć dziewcząt z arystokratycznych rodów, wśród których znajdowała się moja kuzynka O'Brien, mająca wówczas piętnaście lat, umieszczona tam po śmierci matki. Pokochałem ją...

Miałem wówczas szesnaście lat. Czuję się szczęśliwy i przyszłość wydawała mi się pełna wspaniałych nadziei...

Sześć pańienek wychowywało się pod okiem dwóch guwernantek i dwóch giermków w cesarskiej liberii. Spotykałem je w olbrzymim parku. Moja kuzynka z kruczymi lokami i śliczną roześmianą twarzą niepodobna była do reszty jasnowłosych towarzyszek...

Pojechałem do Pragi na studia i przestałem ją widywać. Generał O'Brien wydawał bale i często mnie zapraszał. Bracia jednak zabronili mi tam bywać. Pewnej niedzieli ujrzałem w katedrze obok białego munduru generała sylwetkę młodziutkiej dziewczyny. Serce zabiło mi gwałtownie, gdyż po gęstych czarnych lokach poznałem moją kuzynkę. Stałem przy kropielnicy osadzonej w dwóch ametystach, by podać święconą wodę wychowance cesarza. Ale uprzedził mnie nieznajomy młodzieniec. Uśmiechnęła się do niego, a mnie ugryzła zazdrość. Nie widziałem jego twarzy, był wysoki i szczupły. Wyszedł razem z generałem i jego córką i wszedł do ich powozu. Udałem się w ślad za nimi. Kuzynka przyjechała do Pragi tylko na jeden dzień.

Podczas wakacji wróciłem do Reichstadtu. Panna O'Brien wyrosła i wypiękniała, ale była smutna. Poznała mnie, lecz unikała mego wzroku. Pawilon, w którym mieszkalem, stał niedaleko pałacu. Pewnej nocy zbudziło mnie szczekanie psów. Wyskoczyłem z łóżka, na dworze słysząc było tętent koni i krzyki. Porwano jedną z

cesarskich wychowanek. Zanim powiedziano mi jej imię, wiedziałem już, że to Sara O'Brien. – Saral – powtórzył pan Tempie i zadrżał.

– Nazajutrz przyszła wiadomość o śmierci generała. Sarę porwano. Poszukiwania okazały się bezowocne. Dopiero potem dowiedziałem się o procesie, gdyż wówczas gorączka przykuła mnie do łóżka. Długo chorowałem, lekarze zwątpili o moim życiu. Od tej pory właściwie nigdy już nie odzyskałem zdrowia, życie stało się wegetacją i godziny moje są policzone. Gdy mogłem wreszcie powrócić do Pragi, by kontynuować przerwane chorobą studia, zastałem braci niezwykle zmienionych. Zrzucili dawny hulaszczy tryb życia, zabawy i miłości. Byli teraz poważni i oddani nauce. Dowiedziałem się, że stali na czele Bractwa Rycerzy Róż i Krzyża. O śmierci generała O'Brien przestano mówić.

7– Chciałbym zadać panu pewne pytanie – przerwał Gregory Tempie. – Czy w te tragiczne wypadki nie było wmieszane nazwisko Jana Diabła?

– Hansa Teufel – powtórzył hrabia Fryderyk po niemiecku. – Lud przypisywał śmierć generała tajemniczemu bandycie, występującemu pod tym przezwiskiem..

– Czy podczas pańskiego pierwszego pobytu na uniwersytecie w Pradze, przed zabójstwem generała, wśród przyjaciół pańskich braci znajdował się student Henryk Brown?

– Nie – odparł bez wahania hrabia.

– A może James Davy?

– Nie.

– Czy był jakiś Anglik na praskim uniwersytecie?

– Był George Palmer – odparł młody hrabia.

– Czy zna pan tego młodzieńca pod innym nazwiskiem? spytał z uśmiechem Gregory Temple.

– Pod wieloma nazwiskami.

– Nareszcie – zawołał z ulgą były intendent. – Nie będę pytał, czy George Palmer znikł z Pragi po śmierci generała.

– Panie Tempie powiedział z żywością hrabia Fryderyk – proszę nie zapominać, że mówi pan o moim najlepszym przyjacielu, jedynym przyjacielu, człowieku o najszlachetniejszym sercu i największej inteligencji, jakiego spotkałem w życiu... George Palmer zdobył dyplom doktorski i wraz z matką wrócił do Anglii.

– Z matką! – powtórzył Gregory Temple marszcząc brwi. – Czy wie pan, kim była jego matka?

– Wiem, co pan myśli – przerwał hrabia Fryderyk – ale uprzedzam, że nie wolno panu sądzić hrabiego Henryka de Belcamp. Jesteście wrogami i jeśli o niego chodzi, nie jest pan bezstronny.

– Kim pan w końcu jest, młodzieńcze? –■ wykrzyknął Gregor» Tempie gorączkowo kim pan jest, by o takich ludziach mówić na zimno!

– Jestem ostatnim ze starego rodu, który na mnie wygasa – odpowiedział spokojnie Fryderyk. – Wiem to, czego pan nie wie. Sumienie mam czyste i gdybym w tej chwili umarł, umrę jak chrześcijanin.

Jeśli wie pan to, czego ja nie wiem, po cóż przybył pan z tak daleka, by mnie wypytywać?

– Gdyż pan może wie (to, co nie jest mi znane.

– Proszę mówić dalej, panie hrabio rzekł pan Tempie z westchnieniem. – Jeśli moje przypuszczenia okażą się słuszne, nie rozstaniemy się tak prędko i przysięgam, wbrew pańskiej woli wyjaśnię wszystko.

. – Wstąpiłem do Bractwa Rycerzy Róży i Krzyża dopiero w 1814 roku – mówił dalej Fryderyk – gdy po abdykacji Napoleona cesarzowa Maria Ludwika wróciła do Austrii i wraz z synkiem zamieszkała w Schoenbrunn. Członkowie bractwa, przedtem zaprzysięgli wrogowie Napoleona, stali się teraz sprzymierzeńcami więźnia z wyspy Elby. Znowu zostałem giermkim Marii Ludwiki, która pragnęła widzieć mnie przy swojej osobie. Wśród nowych obowiązków nie zapomniałem o Sarze O'Brien. Bractwo rozwijało ożywioną działalność, wymienialiśmy ciągle depesze z Francją: zaczynałem spłacać dług wobec króla rzymskiego, jak niegdyś obiecałem chrzestnej matce...

– Proszę mi powiedzieć, hrabio – przerwał pan Tempie z odzieniem sarkazmu w głosie – czy w owym czasie otrzymywał pan wiadomości od swego przyjaciela Percy Balcomba?

– Oczywiście. Chciałem właśnie o nim mówić. Sprawiedliwość angielska popełnia dziwne pomyłki, a niektóre są podobno umyślne... W tym czasie angielskie sądy, biorąc Percy Balcomba za najpodlejszego z bandytów, zesłały go do Australii, skąd wrócił z pomysłem, który może zniszczyć Anglię i zmienić oblicze świata... Nic więcej nie powiem, w tej chwili byłby pan przeciwko nam... Dziwne są jednak drogi Opatrzności i kto wie, czy jutro nie stanie pan po naszej stronie? Gregory Tempie milczał.

– Pod koniec marca 1815 roku – ciągnął dalej hrabia Fryderyk – otrzymaliśmy wiadomość o wyładowaniu cesarza w Cannes i rozkaz, by wszystko przygotować do porwania króla rzymskiego i cesarzowej. Maria Ludwika nosiła wówczas oficjalnie tytuł księżny Parmy, nadany jej przez ojca. Księżę Wellington był jeszcze w Wiedniu i pod pretekstem jego bliskiego wyjazdu zarekwirovaliśmy konie pocztowe w promieniu dwudziestu pięciu mil od stolicy, mając nadzieję, że gdy szlachetni zbiegowie oddalą się od miasta, nikt ze ścigających już ich nie dogoni. Zapadła noc. Oprócz sług oddanych Marii Ludwice w lasku oczekiwało stu pięćdziesięciu członków bractwa, uzbrojonych po zęby. O dziesiątej wieczór wziąłem małego króla Rzymu na ręce. Gdy wychodziliśmy z pałacu, w lasku zabrzmiały słowa komendy i trawniki zaroily się od białych mundurów. Otoczono nas i Onslow, zastępca naczelnika cesarskiej policji, z kapeluszem w rękę poprosił Marię Ludwikę, by raczyła wrócić do swych apartamentów. Byliśmy zdradzeni. Tego jeszcze wieczoru księżna Parmy opuściła Schoenbrunn na zawsze. Przeznaczono jej pałac kanclerski w Wiedniu na ryzydencję i rozłączono z synem. Pozostałem przy młodziutkim księciu Reichstadtu.

Szanuję cesarza Franciszka, Napoleona podziwiam, oddając należny hołd wielkości i niedoli. Jest pan Anglikiem, panie Tempie, ale powiem panu, co pcha do czynu tysiące młodych: wstręt, jaki budzi w nich egoizm i zdradzieckie postępowanie pańskiej ojczyzny...

Pod koniec 1816 roku hrabia Albert Boehm został zabity w pojedynku z kapitanem Baumgartenem z cesarsko-królewskiej artylerii, w dwa miesiące później, na moście dzielącym Budę od Pesztu, hrabia Reynier, wyzwany przez wicekróla Węgier, padł pod ciosem sztyletu zazdrosnego Madziara, który wziął go za kochanka żony. Wiem, że kapitan Baumgarten i Madziar Kerolvi są członkami kapturowego sądu; Reynier znajdował się w Peszcie, by zorganizować ligę bractwa.

Przybyłem nazajutrz po "wypadku". Zdążyłem wysłuchać jego ostatniej woli. Umarł na moich rękach. Nikt nie przypuszczał, znając nas, że ostatni pozostanę z naszej rodziny. Bracia byli silni i zdrowi, a ja dawno już skazany na śmierć przez lekarzy.

W styczniu obecnego roku Reynier miał być w Londynie. Pojechałem zamiast brata, by wypełnić jego życzenie. Hrabia Henryk de Belcamp oczekiwał mnie przy Moście Londyńskim. Nie zmieniawszy po podróży ubrania pojechałem natychmiast na Regent Street do pani Konstancji Bartolozzi, gdzie zwołano posiedzenie Bractwa Oswobodzicieli. Zostałem przyjęty na członka na wniosek hrabiego de Belcamp, na

którego ręce złożyłem przysięgę. By zmylić czujność austriackiej policji, przybrałem nazwisko Aleksego Orłowa. Pani Bartolozzi prowadziła dom otwarty. Pewnego wieczoru w jej salonie spotkałem Sarę O'Brien, która jak mi powiedziano, była jej damą do towarzystwa. Do dziś pytam siebie, czy Sara mnie poznała. Wówczas często na mnie spoglądała. Uległem tak silnemu wzruszeniu, że zemdlałem. Sara była tysiąc razy piękniejsza i kochałem ją, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej. Co się z nią działo? Dlaczego znajdowała się w takiej sytuacji? Przecież miała piętnaście lat, gdy opuściła Pragę, wiedziała, kim jest. To wszystko pozostało dla mnie tajemnicą. U pani Bartolozzi Sara nosiła inne nazwisko, nazywała się Sara O'Neil.

Pierwszego lutego zostałem zawiadomiony o zebraniu rady, które miało się odbyć tu, w moim hotelu. O jedenastej wieczorem przybyło siedmiu członków bractwa. Jeden z nich oskarżył panią Bartolozzi o zdradę, pokazując dwa listy, które nieszczęsna kobieta napisała do pana, panie Tempie; listy przejęto już w pańskim biurze. Siedem głosów skazało ją na śmierć, a egzekucję wyznaczono na następną noc.

Nazajutrz podniosłem u mego bankiera znaczną sumę i wynająłem pocztową brykę. Miałem zamiar porwać śpiewaczkę i wywieźć ją do Dovru, gdzie wsadziłbym ją na statek odpływający do Calais. Chciałem opłacić jej milczenie. Ponadto postanowiłem rozmówić się z Sarą i poprosić ją o rękę. W razie odmowy, zwróciłbym jej majątek matki. Nie potrzebuję panu mówić, że w Londynie pieniądz otwiera wszystkie drzwi. Służba pani Bartolozzi opuściła swój posterunek. O drugiej w nocy znalazłem się sam w opustoszałym mieszkaniu, nie wiedząc niestety, że z dwóch kobiet, po które przyszedłem, jedna była nieobecna, a druga nie żyła. Pani Bartolozzi leżała na łóżku, jak gdyby pogrążona w spokojnym śnie, zupełnie jak generał O'Brien, o czym wiem od moich braci.

Następnego dnia opuściłem Londyn, częściowo, by uciec od straszliwych wydarzeń, w części zaś wzywany rozkazem księcia Metternicha. W Wiedniu, gdzie podjąłem obowiązki przy osobie króla Rzymu, firma Balcomb i Spółka, za pośrednictwem pana Wooda...

- Najbardziej niebezpieczny łotrzyk w całym kraju! – zawołał pan Tempie.
- Wiem o tym, ale ci, co działają z ukrycia, nie mają wyboru... Trzy razy firma Balcomb i Spółka zwracała się do mnie z żądaniem pieniędzy... Musiałem, więc zapłacić.
- Musiał pan? – powtórzył Gregory Tempie.
- Źle pan rozumie... tak, musiałem, gdyż przyrzekłem.
- W liście, który od pana dostałem – zauważył pan Tempie – przesłał pan kopię pisma do pana Wooda, podając sumy, jakie pan wypłacił firmie Balcomb i Spółka od pierwszego stycznia. List utrzymany był w odmiennym tonie.
- p-J List ten miał pewien cel, o którym zaraz 6ię pan dowie. Trzy razy zaspokoilem pieniężne potrzeby firmy Balcomb i mój wiedeński bankier zawiadomił o tym cesarza. Jego Cesarska Mość wezwał mnie do Hofburga. Na biurku leżało pismo do komendanta fortecy Span- dau. "Jesteś ostatnim ze swego rodu – powiedział Franciszek. – Twój ojciec był moim przyjacielem. W rękach takiego dziecka jak ty olbrzymia fortuna szybko stopnieje. Ponadto jesteś zamieszany w różne intrygi. Wybaczam ci, gdyż kocham córkę. Rada Państwa pragnie uczynić z ciebie więźnia stanu, ale nie pójdziesz do Spandau, jeśli dobrowolnie zgodzisz się na opiekę". Zgodziłem się bez wahania; i tak byłem skazany na wczesną śmierć, cesarz zaś zezwolił, bym podróżował po Italii, Francji i Anglii. Żegnając się Franciszek nawiązał do tajemniczej śmierci braci i zalecił ostrożność. Wybrano mi opiekunów i pojechaliśmy. Na podróż przyznano książęcy budżet. We Francji otrzymałem żądanie wypłacenia 380 000 florenów, które natychmiast wysłałem...

- To już prawie milion! – szepnął pan Tempie.
 - Liczyłem, że prędko znajdę się w Anglii, ale pewien incydent zatrzymał mnie w Paryżu. Zapragnąłem zwiedzić ogród zwany Koloseum. Podziwiałem właśnie nową zabawę, czyli "rosyjskie wzgórze", gdy nagle spostrzegłem na saneczkach Sarę wraz z nie znanym mi młodym człowiekiem. Rzuciłem się w ich stronę, ale nim zdołałem przebić się przez gęstą ciżbę, Sara i jej towarzysz zniknęli z oczu. Wiele tygodni przetrząsałem miasto. Wszystkie wysiłki okazały się daremne. W początku czerwca, kilka dni temu, wracałem konno z Lasku, gdy w powozie dostrzegłem ją znowu. Popędziłem za nią, zatrzymał mnie policjant, gdyż nie wolno galopować po ulicach, a tymczasem powóz Sary oddalił się. W domu zastałem piąty list z żądaniem pieniędzy. Tym razem suma przekraczała milion. Dowiedziałem się, że list przyniosła młoda, elegancka kobieta, której opis zgadzał się z wyglądem Sary. Zacząłem rozmyślać. Słyszałem o panu jako o najgenialniejszym detektywie naszych czasów oraz miałem adres pana Wooda, do którego w razie potrzeby mogłem pisać. Napisałem więc znane już panu dwa listy, do pana i do pana Wooda. Odmowa była tylko wybiegiem, dzięki któremu miałem nadzieję odnaleźć Sarę. To wszystko, co mam panu do powiedzenia.
 - 3 A więc – zaczął z goryczą Gregory Temple |j| pański cel to odnalezienie tej kobiety?
 - Kocham ją – rzekł cicho hrabia Fryderyk.
 - Panie hrabio – powiedział po chwili namysłu detektyw głosem zdecydowanym, jakiego używał, gdy rządził jeszcze w Scotland Yardzie. – Ma pan dwadzieścia lat. W tym wieku każdy uparcie zachowuje złudzenia. Jeśli chodzi o człowieka takiego jak Jan Diabeł, trzeba czasem poszukać mądrości w głupstwie... Tacy jak on pokażą podobnym panu idealistom odległy miraż olbrzymiego budynku i rzekną: "Oto moje dzieło, jestem wielkim architektem!..." Sam pan powiedział: "Zniszczyć Anglię i zmienić oblicze świata". Jakaż jednak skała oderwana z ogromnej wysokości okaże się dostatecznie potężna, by zmiażdżyć wyspę, o którą rozbił się wasz Napoleon? Anglia żyje i rośnie, podczas gdy jej wróg dogorywa, dręczony bezsilnym gniewem... A świat idzie naprzód. Reszta nie ma znaczenia. Rzeczywistość to wyłudzone od pana miliony. Dziś nic więcej nie powiem, gdyż jest pan uprzedzony. Nawet gdybym panu wspomniał, że hrabia Henryk był nieuczciwym urzędnikiem w mojej policji, odpowie pan: "wiedziałem o tym".
 - To prawda, wiedziałem o tym – poświadczył Fryderyk.
 - W takim razie nie potrzebuje pan pytać, kto przejął listy Konstancji Bartolozzi ani szukać rozwiązania tej tragicznej zagadki... Rozumiem jednak, co pana gnębi, i wiem, gdzie znajdują się Sara O'Brien.
 - Za taką usługę... – zaczął młody człowiek, chwytając obie ręce detektywa.
 - Panie hrabio – powiedział smutnie Gregory Temple – ja też byłem zamożny, naturalnie nie jak pan, mogłem jednak zapewnić sobie spokojną starość i niezależność memu jedynemu dziecku. Teraz jestem żebrakiem, gdyż wydałem wszystko, nawet pieniądze córki... Owszem, przyjmę zapłatę, lecz przeznaczę ją na zaspokojenie zemsty.
 - Pan sam wyznaczy sumę.
 - Jeszcze jedno. Przy każdej transakcji trzeba wiedzieć, co się kupuje. Sarę porwał Jan Diabeł, czyli George Palmer, czyli hrabia Henryk de Belcamp, albo jeśli pan woli, szef firmy Balcomb i Spółka. Hrabia de Belcamp nie tylko pana ograbił, ale i oszukał. Kochanki bandytów są równie sławne. Sara O'Neil jest "piękną Irlandką", czyli kochanką Jana Diabła, zwanego Kwakrem.
 - Ma pan dowody? – spytał hrabia Fryderyk ledwie dosłyszalnym głosem.
 - Dostarczę panu dowodów, jeśli pojedziemy do Paryża.
- Fryderyk Boehm zadzwonił.

- Proszę wezwać panów Spiegła, Arnheima i Webera – rozkazał lokajowi, a gdy trzech doktorzy weszli, oznajmił bez ogródek: – Za godzinę wyjeżdżamy do Paryża.
 - Kto jedzie z panem? – zwrócił się doktor Spiegel do detektywa.
 - Jeden tylko człowiek, Francuz, nazwiskiem Piotr Louchet.
- Hrabia Boehm odprowadził gościa do drzwi. Na białej chusteczce, którą przyłożył do warg, ukazała się plama krwi.
- Oczekuję pana – powiedział lodowatym tonem. – Jeśli Sara O'Brien rzeczywiście jest kochanką hrabiego de Belcamp, zabiję go, przysięgam!

8. W Wersalu

Rosjanie z bloków lodowych budują na Newie feeryczne pałace. Wydają tam bale i przyjęcia. Wersal, wspaniały zastygły grobowiec, ośniewa, a jednocześnie mrozi jak pałace z lodu. Od czasów Ludwika XIV tylko raz ożyła królewska siedziba, w ozerwcu 1817 roku, gdy całe Miremont zbudziło ją z wiekowego snu.

Markiz de Belcamp zamieszkał w Hotelu Francuskim wraz z całym doanem, a pani Etienne, minio roapaczy, w jaką wprawiała ją hotelowa kuchnia, wyglądała jak pączek w maśle. Wraz z markizem w tym samym hotelu stanęły dwie jego młode przyjaciółki, Jania i Żermena, a lady Elphinstone z Zuzanną przyjeżdżały kilka razy w tygodniu, by odwiedzić pana de Belcamp. Wśród ogólnej wesołości zwracała uwagę smutna twarzą Zuzi. Ojca jej uważano za wariata i nikt nie wymieniał nazwiska Gregory Temple'a.

Co wieczór markiz przyjmował gości i co znaczniejsi notable miasta ubiegali się o zaszczytne zaproszenie. W tym właśnie czasie, gdy młody hrabia de Belcamp przebywał w więzieniu, ważne wydarzenie wstrząsnęło towarzyskim życiem Miremont: zaręczyny Jani pod patronatem ciotki Touchard i markiza de Belcamp. Narzeczonym nie był jednak hrabia Henryk.

Bardziej przenikliwi obserwatorzy z Miremont dostrzegli co prawda pewną skłonność między obojgiem młodych, lecz od chwili uwięzienia hrabiego Henryka wszystko się zmieniło. Jania zaczęła przyjmować hołdy innego wielbiciela; z hrabią Henrykiem łączyła ją już tylko przyjaźń. Rzecz dziwna, Robert Surrisy znosił porażkę ze stoickim spokojem i zdawał się tolerować również drugiego pretendenta do ręki dziewczyny.

Narzeczonym Jani był Percy Balcomb, młody Anglik, przyjaciel Henryka, bohater australijskiej przygody, obecnie szef wielkiej firmy Balcomb i Spółka w Londynie. Hrabia Henryk zapowiedział jego wi- zytę, a przypadek sprawił, że Percy Balcomb zjawił się nazajutrz po aresztowaniu hrabiego. Dziwne podobieństwo, o którym mówił młody człowiek, od pierwszego spotkania uderzyło zebranych. Obaj mieli ten sam wzrost, te same ruchy, ten sam kształt głowy. Tylko włosy Anglika były ciemne, ponadto, wbrew angielskiemu zwyczajowi, nosił wąsy, a jego głęboki, poważny głos kontrastował z melodyjnym tenorem hrabiego. Do Francji przybył w interesach firmy i całe dni spędzał w Paryżu. Miał wielkie wpływy, gdyż uzyskał zezwolenie na widzenie się z Henrykiem w więzieniu, w godzinach, gdy bramy były dla wszystkich zamknięte. Zezwolenie było imienne i nawet markiz nie mógł mu towarzyszyć w tych wizytach. Percy Balcomb okazywał Henrykowi rycerską przyjaźń, a ponieważ był czarujący, szybko podbił serca całego towarzystwa.

Od pierwszej chwili Jania i Percy poczuli do siebie żywą sympatię. Wypadki potoczyły się szybko i pewnego dnia hrabia Henryk poprosił ciotkę Touchard o rękę Jani dla swojego przyjaciela. Ponieważ dziewczyna, uznana za pełnoletnią, wchodziła w posiadanie spadku po Turnerze z Lyonu, posag więc ustalono na dwa miliony, płatne przy podpisaniu intercyzy. Wszystkie dobra, mające w przyszłości powiększyć majątek małżonków, stawały się wspólną własnością.

W dniu zaręczyn markiz powiedział synowi:

– Gdybyś nie dał się ubiec, wiem, że wybrałaby ciebie.

Percy Balcomb, niewolnik interesów, natychmiast po zaręczynach, wrócił do Londynu. Miał przyjechać dopiero na podpisanie intercyzy. Wszyscy żyli w gorączkowym oczekiwaniu wesela. Przyjaciele hrabiego Henryka nie wątpili w dobre zakończenie sprawy, a opinia publiczna była tym razem jednomyślna. Oskarżono trybunał o głupotę i przepowiadano sędziemu dom wariatów. Co prawda chodziły słuchy, że sędzia i trybunał ulegli naciskowi z góry. W oczach markiza sprawa była jasna: oto ukryty, a nieubłagany wróg nastaje na życie syna. Henryk przybył do zamku incognito z drugiego końca świata i ktoś skorzystał z sytuacji, by go zgubić, gdyż trudno byłoby ustalić alibi hrabiego podczas tylu podróży. Ale Opatrzność czuwała i całe Miremont zaświadczy w potrzebie. W więzieniu urządzono Henrykowi dwa duże, wygodne pokoje, prawdziwy apartament. Jeden z nich służył jako salon, gdzie więzień przyjmował liczne towarzystwo. Radca Boisruel z paryskiego trybunału, który zrzekł się prowadzenia sprawy ze względu na pokrewieństwo, odwiedzał go bardzo często, nie kryjąc, że uważa Henryka za jednego z najznamienszych ludzi epoki. Zjawili się inni arystokratyczni krewni i powinowaci. Prasa zainteresowała się osobą więźnia. Poza polityką od dawna nikt nie wzbudził takiego zaciekawienia i szykujący się proces miał stać się jedną z głośnych spraw dziewiętnastego wieku. Życie słynnego więźnia przewijało się przez łamy prasy w coraz bardziej fantastycznych wersjach. Za punkt wyjścia służyła podróż do Australii, napomykano o jego bonapartystowskich skłonnościach, przepowiadając wspaniałą przyszłość.

Hrabia Henryk uśmiechał się pobłaźliwie jak powieściowy bohater, z czym było mu niezwykle do twarzy, okazując obojętność wobec rozgłosu, jakiego nabrało jego imię. Markiz za to interesował się żywo każdą notatką o synu, upajając się sławą, jaka przypadła Henrykowi.

> Pałacowy zegar wydzwonił południe. Był gorący, letni dzień. Najmniejsze tchnienie wiatru nie poruszało liśćmi parkowych drzew. Kilku przybyszów z prowincji podziwiała białą fasadę pałacu, oddając się z zapalem historycznym dysputom. Niedaleko kolumnady, w pustej alei, z której zbliżająca się burza wygnała turystów, spacerowało dwoje młodych ludzi: lady Frances i Robert Surrisy. Widać rozmawiali już od dłuższej chwili, gdyż ciche łzy toczyły się po policzkach kobiety.

– Usiądźmy, siostrze – powiedział Robert, wskazując marmurową ławkę ocienioną starym grabem.

Lady Frances drgnęła i odwróciła głowę, jak gdyby pragnęła ukryć nagłe wzruszenie.

– Była to najpiękniejsza chwila mego życia – zaczął Robert siadając – gdy dowiedziałem się, że jestem twoim bratem. Kochałem cię już, a teraz, gdy wiem, że jesteś córką mego biednego ojca, Kocham cię stokroć więcej. Sara bez słów podała mu chłodną rączkę.

– Nie jesteś szczęśliwa? – szepnął Robert.

– Owszem, Robertcie, bardzo szczęśliwa – powiedziała cicho. – Wierzę w przeczcucia. Gdy pierwszy raz posłyszałam twe nazwisko serce mi zabiło, jak gdyby zbudziło się we mnie drogie jakieś wspomnienie. Gdy cię ujrzałam, coś ranie ciągnęło... A gdy powiedziałaś, że nazwisko twoje oznacza "uśmiech", duszę mą ogarnął dziecinny wprost entuzjazm... Obyś był szczęśliwy.

– Mam nadzieję – westchnął Robert. – Jestem żołnierzem, i szczęście moje znajduje się na końcu szpady.

Mówił te słowa pełne optymizmu, ale był bardzo zmieniony. Wyraz beztróskiej radości znikł z jego twarzy.

- Ty też cierpisz – powiedziała powoli Sara. – Czy i ty chowasz w sercu nieszczęśliwą miłość.
- I ja też? – Robert spojrział z niepokojem na siostrę.
- Tak, Robercie. Coś mnie do ciebie ciągnęło, widocznie liczyłam na twą pomoc. Szukałam w tobie oparcia, ucieczki... iy^jUcieczki? Przed kim?
- Przede mną – odpowiedziała dziewczyna.
- Jesteś zakochana, siostrzyczko! – zawołał Robert. – Znam się na tym! O tak!
- Boję się kochać – szepnęła Sara spuszczać oczy.
- Czy to On? – w głosie Roberta zadźwięczał dziwny ton, nie wiadomo, sympatii czy nienawiści.
- O, nie – odpowiedziała Sara. – On też był nadzieją, która zawiodła.
- Czy kochał cię?
- Nie wiem... mam dla niego uwielbienie... podziw, szacunek... zresztą Kocham go jak brata...
- Tak młody i piękny... – szepnęła Surrisy z powątpiewaniem.
- I tak wielki! – powiedziała Sara z ogniem.
- Czy miłość, przed którą szukasz ucieczki, bardzo cię przeraża? – spytał po chwili.
- Czy to w ogóle miłość? – rzekła Sara marząco.
- Byłaś jeszcze dzieckiem, gdy opuściłaś Pragę. ■– Tak, miałam dopiero piętnaście lat.
- Wydaje mi się, że coś przede mną ukrywasz – powiedział z wyrzutem.
- Nic nie mam na sumieniu – zawołała z żywością – chyba umrą z rozpacz.
- Mów, na miłość boską!
- Dobrze, powiem ci wszystko – Sara odrzuciła woalkę, ukazując bladą, lecz opanowaną twarzyczkę. – Na rok przed śmiercią matki opuściliśmy okolice Triestu i przybyliśmy do Pragi, gdzie mój ojciec, generał O'Brien, został mianowany dowódcą. Matka była chora i smutna; ojciec miał dobre serce, ale był Irlandczykiem, a więc lek-koduchem, wesołego usposobienia... Być może i ja taka jestem, gdyż matka często wyrzucała mi bez troskę, nazywając mnie Irlandką. Ojciec kochał mnie do szaleństwa i rozpieszczał, jak mógł. Matka była nieszczęśliwa, bardzo w nim zakochana, płakała często. Ojciec kochał ją, lecz się jej obawiał. Byłam rzeczywiście małą Irlandką, wesołą, chciwą zabawy i wrażeń. Pogardzałam Niemcami. Ojciec sprowadził mi strój wieśniaczki z Connaught. Odtąd biegałam po polach w pasiastej spódnicy i czerwonej pelerynce. Matce to się nie podobało, martwiła ją moja swawola. Ponadto kochałam Francję i lubiłam Francuzów.
- Gdy po długiej chorobie matka umarła, nie miałam jeszcze czternastu lat. Ojciec był wówczas jednym z oficerów najlepiej widzianych na dworze. Cesarz przyjął mnie do grona wychowanek – zaszczyt spotykający sieroty największych rodów Austrii. Opuściłam ojca z rozpaczą, przekonana, że wkrótce ożeni się powtórnie. Gdy go pytałam, zbywał mnie śmiechem. Katastrofa, która przecięła nagle jego życie, nie pozwoliła mu wyjawić mi prawdy. Wiedziałam, że matka była zazdrosna o jakąś kobietę i syna, którego miał w Anglii. Dopiero od ciebie dowiedziałam się, że w chwili śmierci ojciec pragnął naprawić krzywdę wyrządzoną twojej matce.
- Na uniwersytecie w Pradze studiowało trzech kuzynów matki, trzech hrabiów Boehm. Starsi, rozrzutni, prowadzący hulawcze życie, otrzymali już niejedno upomnienie od cesarza, który był nawet ojcem chrzestnym jednego z nich. Okazywali memu ojcu pogardę, twierdząc publicznie, że przez małżeństwo z ich kuzynką skradł należne im dziedzictwo. Najstarszy, Albert, był najlepszą szpadą na uniwersytecie, drugi, Reynier, największym 'hulaką. Ojca bawiły jego wybryki. Trzecim z hrabiów

Boehm był Fryderyk, wówczas prawie dziecko. Mówiono, że taki sam będzie z niego nicpoń. Właśnie wrócił z Francji, gdzie przebywał z cesarzową Marią Ludwiką.

Pewnego wieczoru w Pradze, przy wyjściu z teatru, hrabia Albert obraził mnie po pijanemu. Henryk nazajutrz zranił go w pojedynku. Muszę dodać, że hrabia Henryk, który wówczas nazywał się George

Palmer, a którego zwano po prostu "Anglikiem", był nieodłącznym towarzyszem szaleństw hrabiów Boehm. Spoglądając na śliczną głowę Fryderyka, mówiłam sobie: jakże (nieszczęśliwa będzie dziewczyna, która go pokocha! Bałam się ich i nienawidziłam. O, jakże jestem biedna!

– Czy masz dowody, że hrabiowie Boehm zamordowali generała O'Brien?

– Dowody?... – Sara przesunęła dłonią po czole. – Cóż .można wiedzieć o fackie otoczonym tak głęboką tajemnicą? Fryderyk miał wówczas szesnaście lat i znajdował się w Reichstademie, dwanaście mil od Pragi... w każdym razie oni skorzystali na zbrodni... i Fryderyk, zostawszy jedynym dziedzicem, korzysta dalej z mego majątku wraz z twoją częścią.

– Jeśli miał tylko szesnaście lat, być może nawet nie wie?... – Mówią, że jest ciężko chory. Po śmierci ojca hrabia Henryk wyrwał mnie z ich rąk. Znał zbrodnicze plany hrabiów Boehm: miałam wkrótce podzielić los generała. Znasz na tyle Henryka, by wiedzieć, że żadna ludzka siła nie zatrzyma go na raz zamierzonej drodze. Wdarł się do pałacu i porwał mnie. Tylko ten raz mnie oszukał, gdy powiedział, że ojciec, oskarżony o zdradę stanu, musi wraz ze mną ratować się ucieczką. Już w pocztowej bryce dowiedziałam się prawdy. Oplakałam ojca. Hrabia Henryk był tak delikatny, że wraz ze mną zabrał pokojową mojej matki. W Londynie umieścił mnie u pewnej szanownej rodziny...

Jeśli zapytasz o moje uczucia dla Henryka, wyobraź sobie kult, jakim otacza się wybawiciela. Miał dwadzieścia lat, wielką urodę, a plany przyszłości, jakie przede mną roztoczył, zdolne były olśnić nie tylko serce dziecka, jakim wówczas byłam. To wielki człowiek, Robercie, i niech sam Bóg go sądzi. Ja mu służę. Był dla mnie dobry, delikatny i zawsze szczery. Kilkakrotnie dał mi do zrozumienia, że zamierza się ze mną ożenić! Sądził, że mnie kocha, ale zawsze szanował jak siostrę.

W Londynie przebywała matka Henryka, nie oddał mnie jednak pod jej opiekę. To tajemnica, której nigdy ci nie wyjawię. – Markiza de Belcamp? – zawołał Robert. H Nie wolno ci o nic pytać, gdyż nie odpowiem. W dwa miesiące po naszym przyjeździe do Londynu, hrabia Henryk wyjechał do Nowej Południowej Walii. Ja miałam wyruszyć później, po otrzymaniu pieniędzy, które przekazał mi pan Wood, prawnik, wraz z listem zawierającym instrukcje Henryka. Pieniądze pochodziły z Niemiec, od Alberta Boehm.

– Czy hrabia Henryk marzył o podboju Australii? – spytał z uśmiechem Robert.

– Miał tylko dwadzieścia lat, lecz nienawidził Anglii. Chciał w Indiach założyć nowy Rzym. Pojechał do Australii na pobór żołnierza. Na samym dniu tego piekła, jakim jest Sydney, znalazł człowieka, który zrewolucjonizował sztukę wojenną na morzu. W Australii Henryk był skazańcem, teraz jest spiskowcem. W samym sercu australijskiego buszu, bez chleba i wody, chorzy i umierający, dowiedzieliśmy się, że Napoleona uwięziono na Wyspie Świętej Heleny. Zbiegły skazaniec, uciekający jak my przed czarną policją, opowiedzą ał inam, jak uroczyście obchodzono w Sydney upadek cesarza. Ostatni angielski statek z ładunkiem skazańców przybił do wyspy, widzieli więźnia. Tego dnia Henryk, między konającą matką i mną bliską śmierci, stworzył genialny plan, który wstrząśnie światem. Pół roku później, pokonując nie lada trudności, znalazł się na Świętej Helenie i dotarł do samego cesarza.

Po powrocie do Londynu życie Henryka stało się jednym pasmem tajemnic. Nawet ja zgubiłam się w tym labiryncie. Czterech ludzi uciekło wraz z nami z Australii:

mechanik Perkins, Noll Green, Dick z Lochaber i młody chłopiec, nazwiskiem Tom Brown.

– Gregory Temple często nazywał hrabiego de Belcamp Tomem Brownem. Obok George'a Palmera, nazwisko to znajdowało się w notatkach, które mi przekazał w sprawie zamordowania ojca, generała O'Brien.

– Gregory Temple to słaby detektyw – odpowiedziała Sara. – Na swe nieszczęście stanął wobec zagadki, która nie ma rozwiązania w policyjnym słowniku. Gregory Temple szuka w Henryku mordercy i dlatego zwariował. Henryk, któremu nigdy nie brakło pieniędzy, urządził mi w Londynie dom, gdzie zamieszkałam pod nazwiskiem Franciszki O'Meara, co zresztą zostało uzgodnione z lekarzem cesarza, by ułatwić korespondencję między Longwood a Londynem. Z listami było coraz trudniej, gdyż Anglia pragnęła zagłuszyć wszelki głos dochodzący ze Świętej Heleny w obawie, by nie usłyszała go Europa. Tymczasem Perkins zaczął budować maszynę, dzięki której każdy statek popędzi z wielką szybkością bez żagli. Henryk rekrutował armię, korespondował z Niemcami i Italią. W Londynie, w domu pani Bartolozzi, istniała loża członków Bractwa Oswobodzicieli. Wkrótce postępowanie tej kobiety wzbudziło podejrzenia; życie spiskowców było zagrożone. Umieszczono mnie przy śpiewaczce, bym nad nią czuwała. Ona jednak była sprytniejsza i nie zauważyłam, jak nas

zdradziła; ktoś zręczniejszy ode mnie przejął jej korespondencję. Została skazana.

W jej domu znowu spotkałam Fryderyka Boehma, jedyne obecnie dziedzica olbrzymiej fortuny, kupionej za cenę zbrodni. Wydawało się, że zaciążyła na nim ręka boża. Nie wiem, co się we mnie działo, chciałam kochać inaczej! Dla mnie życie to uśmiech, jak twoje nazwisko, Robercie... A kto wie, może nigdy nie będziemy się uśmiechać!...

Wtedy po raz pierwszy zwątpiłam w Henryka. Czy to z zemsty na Gregory Temple'u, czy z innego powodu, Henryk przyczynił się do niedoli Ryszarda Thompsona i Zuzanny. Ta, zdawałoby się, mała intryga, przybrała w jego życiu olbrzymie proporcje. Człowiek, zajęty planami na światową skalę, stracił tygodnie na pojedynki z urzędnikiem policji i zdawało się, że jedyny cel jego życia to posłać niewinnego na szubienicę. Wówczas zwątpiłam, tym bardziej że pobyt w zamku Belcamp miał wszystkie cechy mieszczańskiej komedii, w której oszukiwał cały świat. Dlaczego wielki mistrz Bractwa Oswobodzicieli stracił dwa tygodnie grając główną rolę w głupim wodewilu? Ocknęłam się, gdy go aresztowano. Tu jest jądro tajemnicy i czekam, aż sprawiedliwość lub sam Henryk podniesie zasłonę...

– Słuchałem uważnie – powiedział Robert, gdy skończyła – i dotąd nie wiem, co myślisz o człowieku, który przez cztery lata zastępował ci rodzinę. Rozumiem uwielbienie niewolnicy, dopóki otaczał go prestiż, lecz z chwilą gdy przyjął na siebie rolę lady Frances Elphinstone...

– Henryka nikt nie zwyciężył szepnęła. – On nie służy idei politycznej, on służy swojej idei; nie pracuje dla Napoleona, lecz dla siebie... jest silny i zburzy przeszkodę. Korzystaj i idź za nim!

– Czy mam opuścić Gregory Temple'a?

– To nieszczęśnik opanowany szaleńczą myślą. Nie uratujesz go, a zginiesz z nim razem.

– Czy jesteś pewna, że Henryk nie maczał rąk w zabójstwie naszego ojca?

– Najzupełniej pewna – odpowiedziała tym razem bez wahania.

– Czy jesteś pewna, że nie jest on autorem lub współnikiem śmierci matki Jani?

– Jestem tego pewna.

– Nie obawiasz się o Janię? — Nie... kocha ją.

– Wierzysz, mu?

– Nie wiem... Jeśli nie spełni obietnicy danej Zuzi i nie uratuje Thompsona, będzie miał jedno morderstwo na sumieniu...

W tej chwili usłyszano kroki i wesole głosy wołające:

– Oto oni, oto oni!

Na zakręcie ukazała się Jania z Żermeną. Za nimi szła Zuzanna z dzieckiem na ręku.

– W Londynie znalazło się sześciu świadków – szepnęła prędko Sara – sześciu oszustów wydobytych z piekła... Oby Henryk nie przykładał do tego ręki! Ryszarda Thompsona skazano na śmierć... Zuzia nic nie wie; cicho!

– Milady – wołała Żermena – spóźnimy się na widzenie. Pan markiz czeka na panią, za dziesięć minut musimy być w więzieniu!

Lady Frances wstała i ucałowała małego Ryszarda. W oczach Jani widniało spokojne, głębokie szczęście. Wyciągnęła do Roberta rękę.

– Rozmawialiśmy o panu – rzekła – liczymy na pańską pomoc. Mówiła już "my". Robert poczuł łzy pod powiekami.

– Powiedziałam mu, jaki pan dobry i szlachetny. On wie, że nasza tajemnica jest w pewnych rękach.

Dziewczęta oddaliły się. Robert został sam. Usiadł na ławce ze zwieszoną głową i długo siedział zamyślony.

"Nigdy jej tak nie kochałem jak teraz – myślał gorzko – i jeśli przekonam się, że będzie szczęśliwa, odejdę, łatwo o śmierć na polu bitwy. Nawet walcząc pod jego rozkazami... nawet w obronie jego życia... ona go kocha". Żwirowaną aleją nadchodzili Ferandeau i Laurent Herbet.

– Można oszaleć od tych wydarzeń – wybuchnął Laurent – daję ci słowo, że nie zazdroszczę milionów Jani... ale ten podwójny spadek, ślub z Anglikiem... żeby nie Żermena, zrobiłbym jakieś głupstwo!

– Znam historię spadku – powiedział Robert – właśnie mi ją opowiedziano. Mnie też to dręczyło, w rzeczywistości to całkiem proste. Angielski bandyta Tom Brown, a raczej jak go nazywają Jan Diabeł, był legalnym spadkobiercą panów Turnera i Robinsona, którzy doszedłszy do pewnego wieku zapragnęli ożenić się. Tom Brown, obawiając się wydziedziczenia i nie wiedząc o testamentach złożonych u pana Dawsa, pozabijał ich obu.

– Rzeczywiście bardzo proste – mruknął Laurent – ale dlaczego oba testamenty zrobiono na rzecz Jani?

– Pewnie dowiemy się w przyszłości...

– Dziękuję, mój stary B przerwał Laurent – zanim to jednak nastąpi, postaraj się, bym znalazł się w bitwie. Tego właśnie potrzebuję. Zza zakrętu wyłonił się Briquet.

– Szukałem panów – zawołał – pana Roberta wzywają do więzienia.

– Kto mnie wzywa? Pan hrabia.

Młodzieńcy pośpiesznie opuścili park. W salonie hrabiego Henryka zebrało się już całe towarzystwo. Pani Cćlestin zawzięcie robiła na drutach. Dziewczęta otaczały hrabiego, który siedział na kanapie obok ojca. Pokój był duży i przyzwoicie umeblowany. Okna wychodziły na ogród. Na stole stały resztki wybornego obiadu. Wiele osób w Wersalu, w Paryżu lub gdzie indziej pozazdrościłoby losu więźnia.

– Jaka Jania dziś poważna – zauważył markiz z uśmiechem, f — Mam wiadomości z Londynu – powiedział Henryk, a Jania zaróżowiła się jak różyczka. W otwartych drzwiach stanęło trzech przyjaciół. Henryk wstał i podszedł, by uścisnąć dłoń Roberta.

– Gdyby pan nie przyszedł, stałoby się nieszczęście – szepnęła – to dziś wieczór. Mój koń idzie jak wiatr... doleci do Beaumont bez zatrzymania, potem muszę sześć razy zmienić wierzchowca... Czy mogę na pana liczyć?

Ilijf Tak – powiedział Robert.

W takim razie wyjedzie pan natychmiast.

– Tak, a pięciu innych wyruszy wraz ze mną.

– Punktualnie o północy wsiądę na konia.

– Będziemy mieli osiem do dziesięciu godzin przewagi nad panem, świeże konie rozstawimy po drodze.

– Dziękuję.

Znowu uścisnęli sobie dłonie i Henryk wrócił na kanapę, zajmując miejsce między ojcem a Janią.

– Mówiłem o wiadomościach z Londynu.

– Kiedy wesele? – zawołał papa Chaumeron.

Hrabia Henryk wyjął list z portfela i spoglądając z uśmiechem na Janię trzymał kopertę wystarczająco długo, by każdy mógł wyraźnie zobaczyć stemple angielskiej poczty. Jeden Gregory Temple poznałby, że stempel był fałszywy, jak gdyby lekko zatarty, jak na listach pisanych niegdyś przez Jamesa Davy. Hrabia Henryk otworzył kopertę. Był to list od Percy Balcomba, człowieka, który miał więcej zajęć niż minister. Zapowiadał swój przyjazd na dzisiejszy

wieczór na szóstą, na podpisanie intercyzy, i miał zaraz odjechać, gdyż nazajutrz czekało go ważne spotkanie w Royal Exchange.

– Nie chciałabym takiego męża – powiedziała z przekąsem najstarsza z panien Chaumerom-

– Moi drodzy – zaczął markiz – ktoś musi się poświęcić i pójść do hotelu zamówić kolację.

Miremont zerwało się jak jeden mąż, gotowe do drogi.

– Będę przy was myślami – powiedział ze smutkiem hrabia Henryk.

Lady Frances Elphinstone spuściła oczy, a Robert zarumienił się. Wzrok Henryka zdawał się mówić: "pewnego dnia zaświadczysz, że poniżyłem się do kłamstwa".

– Ojcie – zwrócił się Henryk do markiza – zastąp mnie przy Percy'm. Od dziś należy do rodziny. Nie będzie mógł przyjść do więzienia, nie wolno mu odrywać się od naszej drogiej Jany; poproś go, by o jeden dzień opóźnił wyjazd, abym jutro ujrzał was wszystkich u siebie.

Doprawdy? – zawołał markiz – dałbym chętnie dziesięć ludwików, by zobaczyć was obu razem.

– Znam to – zauważył pan Chaumeron – gdybyśmy ich ujrzeli razem, zobaczylibyśmy, że wcale nie są do siebie tak podobni.

Gdy jak zwykle żegnano się mówiąc sobie "do jutra!", Jania, podawszy Henrykowi czoło do ucałowania, szepnęła cichutko:

– A więc wieczorem!

Tak przynajmniej wydawało się Żermenie.

9. Intercyza

Po wyjściu gości hrabia de Belcamp stał chwilę niezdecydowany, po czym siadł na kanapie, pogrążony w myślach. Po dłuższej chwili medytacji twarz jego rozjaśnił wyraz triumfu. Zadzwoił, a gdy na progu ukazał się dozorca o wyglądzie lokaja, który obsługiwał znakomitego więźnia, powiedział:

– Chciałbym natychmiast zobaczyć się z panem Roblot.

– Pan wicedyrektor jest na obiedzie – zauważył dozorca Monet.

– Mam sprawę niecierpiącą zwłoki.

Monet wyszedł, a po kilku minutach zjawił się zastępca dyrektora z nadąsaną miną. W rękę trzymał pakiet listów wyglądających na

urzędowe pisma. Pan Roblot był mężczyzną pięćdziesięcioletnim, a jeśli wierzyć sumiastym wąsom i wojskowej postawie, starym żołnierzem.

– Do diabła, nie da mi pan zjeść w spokoju, panie hrabio – zawołał otwierając z hałasem drzwi. – I chociaż żyję z tej posady, to dalibóg podałbym się do dymisji, gdybym miał dwóch takich pensjo-?, nariuszy jak pan! Czym mogę służyć?

– Czy pożyczycy mi pan, drogi panie Roblot, torby podróżnej? – spytał Henryk z uśmiechem.

– I dlatego mnie pan fatyguje? – zamruczał dyrektor spoglądając na więźnia z gniewem.

– Dlatego i dla innych jeszcze rzeczy, drogi panie Roblot... Mamy różne sprawy do omówienia...

– Przed obiadem?

– Jeśli pan tak dobry.

– To już zakrawa na tyranie, panie hrabio.

– Zapewniam pana, że jestem równie zmęczony... ale kto nawarzył piwa, musi je wypić... Jeśli nie ma pan torby podróżnej, proszę posłać, by ją zaraz kupiono.

– Czy mogę wiedzieć po co?

– Naturalnie, to nie tajemnica. Do odbycia podróży.

– Podróży! – dyrektor wznosił ręce gestem rozpaczony.

Małej podróży – dokończył spokojnie więzień. – Najwyżej pięć do sześciu dni. Ramiona pana Roblot opadły.

– Niech mnie kule biją, panie hrabio – powiedział z przekonaniem – ale pan oszalał.

– Już raz pan mi to powiedział, doskonale pamiętam; prosiłem wówczas o pozwolenie na małą przechadzkę po mieście wieczorem, przed snem. Położyłem rękę na pańskim ramieniu i szepnąłem: "ku lepszemu".

– Do licha! – wykrzyknął Roblot z desperacją.

– Można i tak życzyć sobie dobrej nocy – zauważył filozoficznie Henryk – jednakże my, dawni żołnierze cesarscy...

– Dość, dość – przerwał Roblot – niech pan nie zapomina, że mam rodzinę do wyżywienia.

– Proszę się nie martwić, kapitanie Roblot – rzekł Henryk poważnie – jeśli straci pan posadę, przyrzekam w imieniu cesarza...

– Panie hrabio, mówmy rozsądnie – przerwał dyrektor. – Jestem starym żołnierzem, to prawda, od dziesięciu lat siedzę w tym więzieniu i dobrze mi tu. Z powołania jestem mieszczuchem. I gdyby dziś zaproponowano mi epolety pułkownika, podziękowałbym i tyle... Kiedyś w Paryżu, dokąd jeżdżę raz do roku, spotkałem dawnych przyjaciół... Piliśmy poncz, wspominaliśmy... to wystarczyło, by zamącić w głowie statecznemu ojcu rodziny... No i złożyłem przysięgę... Gdybym uważał pana za winnego, dałbym się posiekać, a nie pozwolił panu opuścić tych murów.

– Wiem, wiem, jest pan uosobieniem honoru, kapitanie... lecz czas mój drogi... pozwoli pan, że zacznę się ubierać?

– Niech pan robi, co chce, i tak raczej włosy wyrosną mi na dłoni, niż pana wypuszczę na pięciodniową podróż! Jest pan niewinny, to jasne jak słońce. Powariowali w tym trybunale. Czy nie może zaczekać pan na koniec rozprawy i wtedy figlować?

Henryk golił się już przed wiszącym lustrem.

■e- Nie, nie, drogi panie Roblot, nie mogę czekać.

– W takim razie nie mamy o czym rozmawiać, panie hrabio. Gdy wszyscy zasną, proszę otworzyć okno i wyskoczyć na podwórze.

.' To będzie za późno, kapitanie; dziś jem kolację na mieście... Proszę, niechże pan usiądzie.

– Dziękuję. Do licha, dość tych szaleństw! Moja zupa stygnie.

Więzię odwrócił się i spojrzał prosto w oczy dyrektora.

– Mój drogi panie Roblot – powiedział poważnie –nie chciałbym odegrać brzydkiej roli wobec człowieka w pańskim wieku i z pana charakterem Proszę zrozumieć.

Powiedziałem panu, jak rzeczy stoją, i tak być musi.

– Musi, musi! – powtórzył Roblot purpurowy z gniewu. – W takim razie personel więzienia musi oślepnąć na sześć dni... A pański pokój co dzień pełen gości! I przez sześć dni mam ich może co dzień posyłać do diabła? Powiedziałem, że to niemożliwe...

Henryk golił drugi policzek.

– Tak trzeba – powiedział wreszcie. – Wszystkie pańskie uwagi są najzupełniej słuszne. Przez sześć dni nikt nie będzie mnie odwiedzał, a personel więzienia oślepnie.-Czy to panu wystarcza?

– Czy myśli pan, że jestem dzieckiem? – wrzasnął dyrektor.

– Proszę zapoznać się z korespondencją.

– Czyż w listach z ministerstwa będzie coś o pańskiej podróży?

– Owszem, niech pan czyta.

Pan Roblot usiadł przy stole i włożył okulary.

– Ale mnie pan zmordował – mruczał przez zęby – choć hrabia i młodzieniec dobrze wychowany... doprawdy, gdyby który z tych listów przynosił pańskie uwolnienie, wypiłbym szklaneczkę madery z tej radości!

Henryk przeszedł do przyległej garderoby.

– Ministerstwo Sprawiedliwości – przeczytał Roblot na pierwszej kopercie. – “Panie dyrektorze... – doskonale. – “Mam zaszczyt...” Ho, ho, ustalono termin przyszłego posiedzenia sądu...

Henryk wsunął głowę przez uchylone drzwi. Miał teraz lekki zarost i wąsy. Pan Roblot nie okazał najmniejszego zdziwienia.

– Na kiedy wyznaczono posiedzenie? – spytał hrabia.

– Między 25 a 30 lipca... Nareszcie, panie hrabio.

– Proszę czytać następne listy – Henryk znowu zniknął w garderobie.

– Ministerstwo Spraw Wewnętrznych... A to co nowego? W odosobnionym areszcie? Bez prawa komunikowania się z osobami z zewnątrz? Dlaczego?

Głowa Henryka znowu ukazała się we drzwiach. Miał teraz bardzo wyraziste brwi i rysy twarzy lekko zmienione. Pan Roblot nie zwrócił uwagi na tę charakteryzację, powtarzając:

–Bez prawa porozumiewania się z osobami z zewnątrz, dlaczego?

– Czy pan nie zgaduje?

– Nic nie rozumiem – zawołał dyrektor.

– Przecież to jasne... Chodzi o to, by przez sześć dni nikt mnie nie odwiedzał.

Roblot spojrzał osłupiały.

– Ma pan aż tak długie ręce? – szepnął ze strachem.

– Akurat ile potrzeba.

;-./•– W takim razie, czemu pan nie ucieka?

– Gdyż jestem tu dla pewnej sprawy.

– Nie ma nic politycznego w pańskiej sprawie.

– Ani trochę.

Więc co pan robi w więzieniu?

– Drogi dyrektorze, proszę dokończyć korespondencji. Roblot rozwinął trzecie pismo.

— Rozkaz przeniesienia pana do innej celi... podano numer, nazwisko dozorczy, który ma być panu specjalnie przydzielony...

Hrabia Henryk wyszedł z garderoby zmieniony na szatyna, a nowy kolor włosów przydawał zupełnie odmienny odcień jego oczom.

— Doprawdy, panie hrabio – zawołał Roblot nikt nie potrafi tak przemieniać się jak pan. Mógłbym minąć pana na ulicy w samo południe, jak obcego... tylko głos wystarczy, by zawsze pana rozpoznać... głosu, niestety, nie można zmienić.

— To prawda – przyznał Henryk z dziwnym uśmiechem – głosu się nie zmienia... Mówiliśmy więc, że moim dozorcą będzie Mesti- vier?

— Czy powiedziałem to?

— Nie sądzę! No i moją celą będzie cela numer 2?

— Tak... Skąd pan wie?

— A skąd wiedziałem, mówiąc panu: "kuzynie, ku lepszemu"?

— Tak, tak, jeszcze we Francji szumią stare drożdże... niech mnie licho porwie, jeśli pragnę nowej rewolucji!

— Czy wie pan, drogi dyrektorze, dlaczego nikogo nie zamyka się w celi numer 2?

— Doprawdy, nigdy sobie nie zadawałem podobnego pytania.

— A czy wie pan, dlaczego nie wlewa się wody do dziurawego dzbana?

Roblot otworzył usta.

— Drogi przyjacielu – powiedział łagodnie Henryk – proszę zamknąć mnie na dwa spusty w celi numer 2, w pół godziny potem mogę znaleźć się na placu Broni. Autorzy listu nie wiedzą, że w ten sposób oszczędza mi pan trudu wyłamania krat z okna. Ćwiczenie to bowiem niszczy elegancki strój, a ja tego wieczoru muszę wystąpić z wielką paradą. Wszystko załatwione drogą administracyjną. Nieobecność naczelnego dyrektora to też fakt, który nie nastąpił bez przyczyny; celę wybrano umyślnie, jak również umyślnie wyznaczono Mestiviera. Proszę mi wierzyć, niech pan nie żałuje stojąc po tej stronie bariery, jesteśmy bowiem bardzo mocni!

Stary Roblot słuchał ze spuszczoną głową. Zapomniał o wystygłej zupie. Henryk kończył się ubierać. Zapadał mrok.

Trudno zdefiniować różnicę między angielskim a francuskim frakiem. Używając krawieckiego języka można jedynie stwierdzić, że "styl" tego stroju jest w każdym narodzie odmienny. Francuz ubrany przez londyńskiego krawca upodabnia się do Anglika. Dlaczego więc Anglik, ubierający się w Paryżu, nie staje się Francuzem? Henryk, skończywszy toaletę, przedzierzgnął się w stuprocentowego londyńczyka.

— Cóż, zdecydował się pan? – spytał dyrektora, który poruszał nerwowo sumiastymi wąsami. – Tej nocy mam być przeniesiony do celi numer 2. Nikomu nie potrzebuje pan zdawać sprawy, a Mestivier wie, co ma robić. Tylko on będzie wchodzić do pustej celi o oznaczonych godzinach przynosząc jedzenie. Wszystkim osobom postronnym oraz ewentualnym gościom przedstawi pan oficjalny rozkaz ministra!

— A jeśli wróci dyrektor? – spytał cicho Roblot.

— Daję panu słowo honoru, że nie wróci. Stary żołnierz milczał.

— No więc jak? – w głosie Henryka zabrzmiało zniecierpliwienie.

— Panie hrabio – zawołał Roblot czerwony z gniewu – wszystko to mi się nie podoba! Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli pan stąd wyjdzie! Jestem strażnikiem więzienia, do wszystkich diabłów, i nie pomogą tu żadni kuzyni! Nie wierzę już w te brednie. Napiszę do ministerstwa z prośbą o wyjaśnienie, co się za tym kryje... Może jakiś łobuz podrobił pieczęcie. Ja też jestem żołnierzem, jak pan, i odmawiam... Radzę cicho siedzieć, inaczej zakuję pana w kajdanki i zamknę pod dobrym kluczem, do licha, zrobię to, tak, tak! – Zgrzytał przy (tym zębami, a jego nabiegłe krwią oczy patrzyły prosto w oczy Henryka.

Hrabia zdjął powoli rękawiczkę z prawej ręki i otworzył pudełko z czarnego safianu z purpurowym wnętrzem.

– Ma pan żonę i dzieci... – powiedział powoli.

Roblot usiłował wytrzymać spojrzenie przeciwnika, lecz w oczach mu się ćmiło. Wzrok Henryka ciskał błyskawice.

– Czy wie pan, jaka kara spotyka zdrajcę, który-wielkiemu mistrzowi tamuje drogę do źródła?

– Wielkiemu mistrzowi? –■ powtórzył Roblot.

Ręka Henryka dotknęła jego ręki. Roblot cofnął się o krok.

– Czy powiedziano panu w bractwie, że we Francji znajduje się wielki mistrz, mianowany osobiście przez tego, który jest na wygnaniu?

– Cesarz! – wybełkotał Roblot drżącym głosem.

Henryk wyjął ze szkatułki szeroką szkarłatną wstęgę z wielkim Orłem Legii Honorowej i przerzucił ją sobie przez pierś.

– Kuzynie – powiedział – w imię Wiary, Nadziei i Miłości rozkazuję ci otworzyć mi drogę do źródła!

Roblot spuścił głowę i rzekł:

– Mistrzu, jestem na twoje rozkazy.

Zapadał zmrok. Trzech mężczyzn zatrzymało się przed drzwiami celi numer 2. Jeden z nich był w wieczorowym stroju, okryty czarnym płaszczem, dwaj inni to dyrektor Roblot i dozorca Mestivier z wielkim pękiem kluczy w ręku.

– Więźniowi będzie tu spokojnie – powiedział drwiąco Mestivier przekręcając klucz w masywnym zamku.

– Odpowiadasz za niego – odrzekł głośno pan Roblot.

– Dobrze, dobrze... – mruknął Mestivier. – Do widzenia. – I odszedł.

Człowiek w czarnym płaszczu, wzięwszy dyrektora pod ramię, zapuścił się w długi korytarz więzienny. Na podwórzu wartownik sprezentował broń. W bramie pan Roblot wezwał odźwiernego.

– Hrabia de Belcamp nie ma prawa komunikować się ze światem – powiedział.

– Nareszcie! – westchnął odźwierny z ulgą. – Końca nie było tym wizytom!

Dwaj mężczyźni znaleźli się na ulicy. Szli czas jakiś, aż pan Roblot zatrzymał się na końcu alei.

– Panie hrabio – rzekł ze smutkiem. – Nie można, niestety, służyć dwom panom. Z jednej strony – spełniłem obowiązek, z drugiej – stałem się zdrajcą! Gdyby nie rodzina, poszedłbym stąd razem z panem.

Więzień nie zdawał się odczuwać żadnego wzruszenia, które zazwyczaj towarzyszy odzyskaniu wolności. Odpowiedział poważnie i stanowczo:-

– Za sześć dni, o siódmej wieczorem, znajdę się przed drzwiami celi numer 2, przysięgam na honor. – Następnie wyjął z kieszeni papier i podając staremu Roblot, dodał: – Można ręczyć za wszystko, z wyjątkiem woli bożej. Czeka mnie wielkie niebezpieczeństwo. Jeśli nie stawię się w oznaczonym dniu, o oznaczonej godzinie, to zęaczy, że nie żyję. Wówczas, drogi przyjacielu, niech się pan nie waha ani sekundy, proszę zabierać żonę i dzieci, jak również dozorcę Mestiviera i jechać do Londynu pod adres wskazany w tym liście, a będzie pan człowiekiem bogatym przez resztę życia. Dziękuję i do widzenia!

Uścisnęli sobie dłonie i hrabia Henryk oddalił się szybko.

W Hotelu Francuskim u markiza de Belcamp zebrało się całe towarzystwo jak na rodzinne święto. Przed godziną zakończono obiad i żołądki miremonckiej gromadki przeżuwały jeszcze doskonale potrawy ciesząc się deserem rozpychającym kieszenie. Percy Balcomb, siedząc jak kilka godzin temu Henryk, między dziewczętami, skupiał na sobie uwagę zebranych.

– Trzeba wiele dobrej woli, aby w tym Angliku widzieć portret hrabiego – przemówiła pani Célestin, jak zwykle z robotą włóczkową na kolanach.
– Naturalnie – odpowiedziała kwaśno najstarsza z panien Chau- meron, której atmosfera zaręczyn działała na nerwy – nie chodzi przecież o dwa żywe fenomeny do pokazywania w cyrku...

– Można się trochę pośmiać – dorzuciła łagodząco pani Chau- meron spostrzegłszy obrażoną minę pani Célestin – i gdyby nie ^H^^ zarost...
– I kolor włosów – dorzuciła żona zastępcy mera.
– I odcień oczu – dodała pani Celestin drwiąco.
– I głos... – zaczął pan Chaumeron.

Otóż to, głos! zawołali wszyscy obecni – głos jest przeciwieństwem głosu hrabiego Henryka.

– Wcale nie jestem dumna z zadziwiającego podobieństwa, którego przykład mam w rodzime – pani Celestin wskazała dwóch braci Bondon – stać ich na dobre życie i nie potrzebują się pokazywać na jarmarkach. Co się tyczy hrabiego Henryka i pana Balcomba, z wyjątkiem zarostu, włosów, rysów twarzy i reszty, podobni są do siebie jak dwie krople wody. Takie jest moje zdanie i nie ma po co obrażać porządnych ludzi dla tak błahej przyczyny.

– Zawsze byłeś głupia – szepnęła córce pani Chaumeron. Mimo wielkiego podobieństwa hrabia de Belcamp i Percy Balcomb byli krańcowo różni. Jeden był Anglikiem od stóp do głów. Jego głęboki poważny barytonowy głos w niczym nie przypominał melodyjnego tenoru Henryka. Co prawda, jeśli nasz własny brat po raz pierwszy powie jakieś zdanie poprawnie po angielsku z odpowiednio angielską intonacją, nikt z nas nie pozna jego głosu. Język angielski bowiem, dotknięty chronicznym bronchitem, bliski jest sztuce brzuchom ówcy. Widać to szczególnie wyraźnie, gdy Anglik usiłuje mg- wić po francusku.

Oczekiwano przybycia notariusza i ciotki Touchard. Pani Besnard utrzymywała, że ciotka powinna dziś wyliczyć posag. A trudno wprost uwierzyć, jak wszyscy byli spragnieni widoku milionów! Źródło bogactwa było tajemnicze, nawet ponure. Ale miliony były słońcem i Miremont ze wzruszeniem i czułością myślało o milionach. Właściwie, co się za nimi kryło? Dwóch zmarłych krewniaków, których Jania nawet nie знаła. Miliony były równie niewinne popełnionej zbrodni, jak sam hrabia Henryk, a jedyny oskarżyciel, pan Tempie, zwariował i nie pokazywał się, jak gdyby pochłonęła go ziemia wraz z jego absurdalnym posądzeniem. Wiele rozmawiano o posagu, jak również o wyprawie panny młodej. Anglicy nie byli jeszcze tak znani na kontynencie jak obecnie i uchodzili za niezwykle hojnych. Prezenty ślubne, jakie ten milioner ofiarowywał milionerce, musiały być wspaniałe.

Kilka osób zauważyło nieobecność trzech "nicponiów", jak w okolicy nazywano Roberta, Laurenta i Ferandea, nikogo to jednak nie zdziwiło. Ferandea się nie jliczył, Laurent zazdrościł siostrze przypadłych jej w udziale milionów, a Robert był odpalonym konkurentem. Lepiej, że nie pokazywali się na oczy.

Dlaczego jednak siostra odziedziczyła wszystko? Oto pytanie, które obracali w kółko mieszkańcy Miremont. Taki już widocznie był kaprys tych milionów, że wolały przypaść ładnej kobiecie.

Wzruszająca była miłość, jaką Jania wzbudziła w tak poważnym, opanowanym i chłodnym człowieku jak pan Balcomb. Widać było wyraźnie, że jest głęboko i szczerze zakochany. W ich wzajemnym stosunku nie było gorączki, jaka cechuje budzące się uczucie. Zaczęli swój romans od środkowej stronicy, jak gdyby odnaleźli się po długiej nieobecności. Mieszkańcy Miremont złożyli ten dziwny sposób bycia na karb oryginalności cechującej Anglików.

–Uszczęśliwi ją pan, prawda, Percy? – mówił markiz spoglądając na czysty profil dziewczyny.

–Uczynię, co w mojej mocy, drogi panie – odpowiedział Balcomb. – Czuję, że z każdym dniem jest mi coraz bardziej droga.

Po francusku wyrażał się swobodnie, ale z pewną wstrzemięźliwością, właściwą cudzoziemcowi, który zna wyłącznie słowa będące w powszechnym użyciu.

– Nie wiem, dlaczego myśl o Henryku stale stoi między nami – rzekł markiz. – Często więcej można powiedzieć przyjacielowi niż ojcu, szczególnie jeśli przyjaźń zrodziła się wśród śmiertelnych niebezpieczeństw. Głowę dam, że zna pan tajemnice mego syna.

Balcomb, który uśmiechem niezwykle upodabniał się do hrabiego i dotąd uśmiechał się rzadko, tym razem zaśmiał się szczerze i nic nie odpowiedział.

–Nie zadaję żadnych pytań BMI pośpieszył z zapewnieniem markiz. –'Byłoby mi przykro dowiedzieć się tajemnic syna od osób trzecich. Wiem, że sekret ten jest politycznej natury... prawie mi to wyznał... walka między dwoma ideami idzie na śmierć i życie... Są chwile, gdy się obawiam...

Wzrok Balcomb napotkał spojrzenie Jani.

–Pan nawet mnie nie słucha – westchnął markiz – o czym można rozmawiać z zakochanym! Ale dla mnie Henryk jest wszystkim, co mam najdroższego na świecie...

Urękawiczniona dłoń Balcomb uściśnęła serdecznie rękę markiza.

–Dobry z pana chłopiec, Balcomb – powiedział wzruszony ojciec. – Wierzę, że Jania będzie z panem szczęśliwa.

– Pan Berthelot! jęgi zaanonsował Piotr w odświętnej liberii i jak gdyby uznał, że za mało powiedział, dodał pompatycznie: – Królewski notariusz!

Pan Berthelot, człowiek w średnim wieku, wbiegł tanecznym krokiem. Pod pachą niósł czerwoną teczkę i bardzo było mu do twarzy w złotych okularach. Uśmiechał się do dam i kłaniał zebrany. Za nim kroczyła ciotka Touchard w galowej toalecie. Całe Miremont wpiło w nią oczy, by nareszcie ujrzeć zapowiadany posąg. Ale pani Touchard nic nie niosła, a kieszonki jedwabnej sukni wyglądem swym nie zdradzały tajemnicy.

– Dobry wieczór, panie markizie, dobry wieczór, panie Balcomb, dobry wieczór paniom, sługa, wiemy sługa – kłaniał się pan Berthelot, a wytarłszy łysinę batystową chustką, ciągnął: – Proszę o wyr baczenie zwłoki, ale odległość... Tyle obecnie ślubów... Intercyza panny Bruno z księciem de Cernay... Książę, co prawda, zrujnowany, ale zawsze książę!

Po tej przemowie notariusz usiadł i otworzył teczkę małym srebrnym kluczykiem, kokietyrnie zawieszonym u dewizki. Miremont przygotowywało się do ceremonii z większym skupieniem niż do nabożeństwa. Notariusz odchrząknął i rozpoczął odczytanie kontraktu. "W obecności mecenasa Fortunata Berthelot itd. stawili się: Percy Balcomb, szef firmy Balcomb i Spółka, zamieszkały w Londynie (Anglia) przy Sloane Street, Brompton, zawierający umowę w swoim imieniu, oraz panna Janina Konstancja Herbet..."

– Przepraszam – odezwała się żona zastępcy mera – w moim kontrakcie podawano również imiona rodziców...

– Pan notariusz nie potrzebuje być pouczany przez byłych sklepikarzy – odpaliła ciotka Touchard.

Mecenas uśmiechnął się do wszystkich i czytał dalej: "...panna Janina Konstancja Herbet, niepełnoletnia, usamowolniona, zamieszkała w miejscowości zwanej Opactwo, gmina Miremont, departament Sekwany i Oise..."

Nie będziemy odtwarzać dzieła królewskiego notariusza w całej jego rozciągłości; wystarczy powiedzieć, że intercyzę spisano doskonałym stylem. Słuchając jej serce

najstarszej panny Chaumeron nieraz zabiło przyśpieszonym rytmem, a śliczna Żermena aż pobladła z wrażenia. Była to bowiem wspaniała intercyza. Małżonkowie prześcigali się w hojności, skłaniając do wzruszenia nawet głos królewskiego notariusza. Nie wiadomo dlaczego, w tym kancelaryjnym poemacie w każdym niemal wierszu pojawia się śmierć, podobna do czarnej róży wśród świeżego kwiecia. Czyż chcecie, by małżo-

nek targował się o cenę łez, jakie małżonka wyleje na jego grobie? Jest zakochany, a być może myśli ze smutkiem: "Biedactwo, obawiam się, że to ja ją pochowam!" I weselny romans toczy się wśród żalobnego przepychu. Dlaczego właściwie na dno wyprawnego kufra nie wkłada się wdowiego czepek?

Gdy mecenas Berthelot doszedł do paragrafu omawiającego sprawę posagu, towarzystwo podwoiło uwagę. Wszystkie dobra obecne oraz mające w przyszłości przypaść w udziale panie Janinie Konstancji Herbet były posagiem Jani. Końcowa uwaga stwierdzała, że przy podpisaniu intercyzy dwa miliony franków wypłacone będą małżonkowi. Głośny szmer przywitał te słowa. Dotąd bowiem, choć rozmawiano o milionach, nikt zbytnio nie wierzył w ich istnienie. Głos notariusza nawet nie zdrzął wymawiając olbrzymią cyfrę, widać słuch jego zobojętniał na podobne sumy. Towarzystwo mire-monckie nie mogło dość nacieszyć się powtarzaniem tych czterech sylab: dwa miliony! A pani Celestin zaprzestała na chwilę włóczkowej roboty.

1

– To się nazywa kupić sobie męża – syknęła najstarsza panna Chaumeron.

Ciotka Touchard w głębi duszy była tego samego zdania, lecz uważała za swój obowiązek wyjaśnić sprawę:

– Siostrzenica moja jest usamowolniona i ona tego żądała.

– Ponadto istnieje klauzula na korzyść Jani – dorzucił markiz – pan Balcomb włoży natychmiast tę sumę we własną firmę.

Percy siedział nieporuszony, z przymkniętymi oczami. Wyglądał, jak gdyby dyskusja tyczyła innej osoby. Jania skinęła notariuszowi rozkazująco głową i pan Berthelot zagłębił się w interesującej lekturze.

Gdy doszedł do paragrafu, w którym obaj małżonkowie w razie śmierci jednej ze stron zapisywali sobie wzajemnie swe majątki. Percy Balcomb otrząsnął się z zamyślenia.

– Proszę zmodyfikować ten paragraf – zwrócił się do notariusza swym angielskim akcentem, który nadał jego słowom jeszcze większe znaczenie. – Jeśli umrę bezdzietnie, rodzina moja będzie bogata, chcę bowiem, by moja żona odziedziczyła cały mój majątek. Jeśli natomiast przeżyję żonę, mój przyjaciel i brat Laurent Herbet i pani Touchard, która zastępowała sierotom matkę, będą naturalnymi spadkobiercami.

Jania nie zaprotestowała. Powiedziała tylko:

– Niech tak będzie, jak sobie życzysz, Percy. Jeśli Bóg uczyni mnie wdową, nie potrzebuję bogactw, by płakać i umrzeć.

Żermena ze łzami rzuciła się na szyję przyjaciółce, a pani Touchard ocierała oczy. Nadszedł następnie najuroczystszy moment, gdy ciotka Jani, złożwszy podpis na intercyzie, ze starego portfela wyjęła posag. Wszyscy spodziewali się góry złota, wysokiej co najmniej jak stóg siana. Gdy dwa miliony ukazały się pod postacią traty wystawionej przez bank Rothschilda w Paryżu na bank Rothschilda w Londynie, rozczarowanie ogarnęło całe towarzystwo. Ale i to było cudowne, taki mały kawałek papieru, który każdy chciał zobaczyć z bliska i dotknąć palcem jak relikwię. Trata obeszła salon, podawano ją sobie z rąk do rąk. Dwaj panowie Bondon powąchali nawet cenny paperek.

– Ach –| westchnęła melancholijnie żona zastępcy mera, podając posag Jani najstarszej pannie Chaumeron – mając pięćdziesiątą część tego i ty, biedaczko, wyszłabyś za mąż!

– Majątek nie stanowi szczęścia – odpaliła panna Chaumeron. 7

– Ale pomaga w zamążpójściu -r- szepnęła pani Celestin.

Na koniec cenna trata znalazła się w portfelu pana Balcomba. Notariusz zamknął teczkę, wypił łyk ocukrzonanej wody, przesłał damom promienny uśmiech i wyszedł. Po jego wyjściu wkroczyła pani Etienne wraz z Piotrem, niosąc pełne tace przekąsek, których sam widok działał pokrzepiająco. Człowiek jest zwierzęciem o ograniczonych możliwościach. Małpy na przykład mają cztery ręce, .niemniej jednak obdarzeni tylko dwoma rękami przedstawiciele rodu Chaumeron dokazali cudów przy ogał- caniu półmisków.

Markiz, smutny, gdyż nie było syna, pierwszy ucałował narzeczoną, po czym wszyscy po kolei składali życzenia.

– Oby hrabia Henryk zasiadł do weselnej uczy – z dziwnym uśmiechem powiedziała Frances.

Markiz z wdzięcznością ucałował jej rękę.

– Moje drogie biedactwo – rzekła przymilnie żona zastępcy mera do Jani – zaznałaś dość nędzy...

– Jakiej nędzy? – oburzyła się ciotka Touchard.

– Bardzo przepraszam... nie jadła przecież na co dzień pieczonych kurcząt, sąsiadko.

– Twoje pokojówki będą lepiej ubrane niż ty, kochanie, za młodu – dorzuciła pani Célestin.

– Ma pani szczęście! – wyrwało się najstarszej pannie Chaumeron.

Markiz poprowadził obecnych do stołu i narzeczeni zostali na kanapie sami.

Siedzieli milcząc, trzymając się za ręce, a na twarzach

ich błyszczało ciche i spokojne szczęście. Od czasu do czasu zamieniali kilka słów.

O północy Balcomb wstał i ucałował rękę Jani.

– Kochaj mnie – szepnął – jak ja cię kocham, a będę szczęśliwy.

– Już pan wyjeżdża? – zdziwili się obecni.

– Trzeba, aby posag mojej żony jutro znalazł się w Londynie – odpowiedział Percy.

– A mój biedny Henryk tym razem pana nie zobaczy – zmartwił się markiz.

Percy Balcomb nigdy nie przeciągał pożegnania. Zamienił kilka cichych słów z lady Frances, po czym skierował się ku drzwiom, ucisnąwszy serdecznie rękę markiza.

– Miss Tempie – powiedział mijając w przejściu Zuzannę – chętnie coś dla pani załatwię w Londynie.

Zuzanna podniosła na niego zdziwione spojrzenie. Podeszedł bliżej i rzucił szybko:

– Cokolwiek dowie się pani złego, proszę się nie obawiać, przysięgam, że go uratuję.

Zuzanna nie od razu zdobyła się na odpowiedź, a Percy skłonił się zebranym i opuścił salon.

10. "Oswobodziciel"

Nocą ulice Wersalu są ciche i opustoszałe, a spokoju mieszkańców strzeże armia straży miejskiej. W szerokich alejach wysadzanych starymi drzewami spotyka się patrole zamiast przechodniów. Przed pięćdziesięciu laty nocny patrol zatrzymał ostatniego psa włóczkę, a od dwudziestu lat nie ma już w Wersalu nawet szczurów. Ulicą des Réservoirs szedł szybko mężczyzna owinięty czarnym płaszczem. Noc była dość jasna, księżyc krył się za białawymi chmurami. Ilekroć wartownik miejski wołał: "Kto idzie?", mężczyzna odpowiadał cierpliwie: "Przyjacieł". Skręcił w ulicę Maurepas,

dostał się na bulwar i opuścił miasto bramą Świętego Antoniego, po raz ostatni odpowiadając "przyjacieli" wartownikowi przy bramie.

Przed nieznanym bielą droga do Marly; mężczyzna szedł teraz coraz prędzej, aż począł biec. Ćwierć mili za bramą, na środku drogi, stał wieśniak trzymając za uzdę wspaniałego wierzchowca, w którym parobek z zamku Belcamp poznałby mimo ciemności angielską

klacz hrabiego Henryka. Mężczyzna zwołał kroku i zbliżając się do wieśniaka powiedział półgłosem:

– Ku lepszemu!

– Czego szukasz, kuzynie? – spytał wieśniak podając uzdę.

– Szukam zdroju – i (jędrnym skokiem znalazł się na siodle. – Czy w lesie są wilki?

– Dziesięć minut temu dwóch żandarmów pojechało w stronę Marly, Mężczyzna wsunął mu w rękę ludwika i spiął konia, a wieśniak zawołał:

– Szczęśliwej drogi!

Mężczyzna był już daleko, a tętent jego konia cichł w oddali. W 1817 roku bardzo skrupulatnie sprawdzano na drogach paszporty podróżnych. Wiadomość o napotkanych żandarmach nie przestraszyła nieznanego, który galopował w kierunku Marly. W dziesięć minut potem mijali uśpione Chenay i koło pałacowego muru spostrzegł na drodze dwie sylwetki konnych żandarmów. Mężczyzna popędził konia. Żandarmi obrócili się ku niemu twarzą.

– Hola, przyjaciele! – zawołał mężczyzna – jak daleko do miasta Marly?

– Dziesięć minut, jeśli będzie pan tak jechał... Czy pan tutejszy?

– Jestem z Chenay... a moja żona w połogu...

– Ach, to pan po doktora! – i brygadier rozkazał żandarmowi: – Przepuść, Thomassin!

– Dziękuję – zawołał jeździec, mijając ich jak strzała. – Oby tylko doktor był w domu!

– Śliczna klacz, brygadierze – zauważył Thomassin.

– Jak możesz domagać się awansu, jeśli w twoim wieku nie odróżniasz płci konia?

– odpowiedział z wyższością brygadier.

– Więc to nie klacz, brygadierze?

– Otwieraj dobrze oczy i pilnuj. Wróg i złoczyńcy czuwają i gdyby nie my...

Mężczyzna tymczasem galopował wzdłuż akweduktu, którego masywne łuki odcinały się na ciemnym niebie. Przeleciał przez Marly dążąc ku Sekwanie. Klacz pędziła jak wichra. Minęli Saint-Germain. Brygadier z żandarmem dyskutowali jeszcze nad płcią konia, którego kopyta dzwięczały już na moście w Poissy. W Triel jeździec zapuścił się w boczną drogę, w kierunku północy. Zatrzymał się tylko raz, by przy płomyku zapałki zbadać mapę drogową departamentu Sekwany i Oise. O drugiej nad ranem był już w Pontoise; była czwarta, gdy w słabym brzasku dnia zarysowały się wieże kościoła w Beaumont. Przejechał szesnaście mil omijając Paryż.

Kilkaset kroków za miastem, na środku drogi, stał człowiek, trzymając za uzdę osiodłanego konia. Pogwizdywał cichutko, bijąc się szpicrutą po butach, gdyż poranny wietrzyk przenikał chłodem.

– Hola! – zawołał na cały głos, ujrawszy jeźdźca. – Czy to pan, panie hrabio?

– To ten wariat Férandeau – mruknął podróżny machając, by go uciszyć. Ale manierka, którą Ferandeau przywiózł pełną, zwiślała teraz pusta z ramienia malarza.

– Dzień dobry, panie de Belcamp, czy myśli pan, że na hasło "ku lepszemu" zapytam: "Czego szukasz, kuzynie"? To bzdury, wszystkie wilki śpią o tej porze.

Czekam tu już dobre dwie godziny, nie wymawiając... Gdy wszyscy znajdziemy się w

Tuileriach, dostanę niezłe zamówienie, prawda? Mam nawet przygotowane szkice do fresków w Panteonie oraz inne rzeczy...

Podróżny zeskoczył z konia. Był to rzeczywiście hrabia de Belcamp.

– Polecam panu mego konia – powiedział.

– Biedna Cocotte, taka zgrzana. Pojedziemy wolniutko do oberży, oby się tylko nie przeziębiła. Kiedyż więc oblegamy Paryż, panie hrabio?

– Widziałem ludzi, których znajdowano z kulą w głowie, panie, Ferandeau, a jednak byli ostrożniejsi od pana – powiedział zimno Henryk.

– Jestem niemy jak ryba – Ferandeau wykonał wspaniały gest ręką. – Wiara, Nadzieja, Miłość, wiem, z kim mówię, u diabła! Gdyby tak marną okazała się podzięką, kto wie, czy nie wolałbym...

– Jest pan uczciwym chłopcem i doprawdy szkoda... – Henryk położył rękę na ramieniu malarza, patrząc mu prosto w oczy.

– Szkoda? Czego? – spytał przestraszony artysta.

Henryk nie odpowiedział.

– Bez głupich żartów! -- zawołał Ferandeau.

– Proszę położyć się do łóżka – rozkazał Henryk, umocowując torbę podróżną na grzbiecie nowego wierzchowca. – Ma pan milczeć i wykonywać wszystkie rozkazy pana Surrisy. Inaczej umrze pan młodo, przyjacielu, a pańskie szkice nigdy nie staną się obrazami. ~ Po tych słowach spał konia i oddalił się galopem.

Férandeau został sam.

– Więc to tak – zamruczał – więc mam być pariasem... Chodź, Cocotte, taka ich wolność! — to mówiąc zdjął z siebie płaszcz i otulił boki drżącej klaczy.

Hrabia Henryk pędził drogą do Beauvais. Robił się dzień i podróż stawała się bezpieczniejsza. . Za miastem, we wsi Fouquenes, oczekiwał Laurent ze świeżym wierzchowcem, ognistym pikardzkim koniem.

– Panie Herbet – powiedział Henryk – wiem, że nie ma pan do mnie sympatii, tym bardziej oceniam pana postępowanie, tak pełne honoru. Kocha pan urocze dziecko, które nie rozumie jeszcze samej siebie, ale pokocha tylko pana.

– Skąd pan wie, panie hrabio?

Henryk wyciągnął rękę do brata Jani.

– Jestem jeszcze młody – szepnął – lecz proszą mi wierzyć, mogę mówić jak pański ojciec, mam na głowie sprawy, od których siwieją włosy. Wiem, ponieważ mi to powiedziała.

Laurent zaczerwienił się z zadowolenia.

– Panie hrabio – rzekł ściskając rękę Henryka – w razie potrzeby gotów jestem umrzeć za pana.

– Nie chodzi o śmierć, cóż na to powiedziałyby Żermena! Za cztery dni będzie mnie pan oczekiwał w tym samym miejscu.

– Jak to? – zdumiał się student. – Jest pan wolny, udało się panu zbiec i wraca pan?

– Muszę być sądzony, dałem słowo... Do zobaczenia!

Na następnym postoju Henryka oczekiwał nieznajomy wraz z koniem, który przez sześć mil potykał się na lada kamyku. Potem znowu był nieznajomy, a koń tym razem przypominał dużą kozę. Minęło południe, gdy przybył do Hallencourt, ostatniej stacji przed Abbeville. Gdyby miał swą angielską klacz, dawno już byłby u celu. Oczekiwał tu wspaniały Pikardczyk w błękitnej bluzie z czerwonym haftem na kołnierzu, z silnym koniem. Pikardczyk nie odpowiadał na pytania kuzyna, wydawało się, że nie zna drogi do zdroju, ale koń był doskonały.

– Jegomość czeka za fipagne – zawołał Pikardczyk powiewając kapeluszem za odjeżdżającym. – Proszę zostawić Morina w oberży mego teścia i powiedzieć, że w domu wszyscy zdrowi.

Morin sadził jak zając i nie minęła godzina, a przed Henrykiem zamigotała dzwonnica kościółka w fipagne, a zaraz potem Abbeville. Wypatrując na drodze człowieka z koniem, hrabia ujrzał przed sobą jeźdźca prowadzącego za uzdę drugiego wierzchowca. Jeździec jechał wolno w tym samym kierunku. Na odgłos kopyt konia Henryka jeździec oglądnął się, ukazując otwartą twarz Roberta Surrisy. Młodzieńcy jednocześnie znaleźli się na ziemi. Brzegiem drogi szedł mały wiejski chłopiec.

– Słuchaj, Fiot – powiedział Robert – powiesz ojcu Moreau, by nam zatrzymał Morina. Zapłacimy za cztery dni.

Gdy chłopiec oddalił się z koniem Henryka, młodzi ludzie podali sobie dłonie.

– Czy mogę pana trochę przeprowadzić, panie hrabio? – spytał Robert.

– Z wielką przyjemnością, ale galopem. Straciłem dwie godziny i w jasny dzień przybędę do Londynu.

– Jutro rano? – powtórzył Robert z powątpiewaniem. – Czy pan nie czuje wiatru na lewym policzku? Będzie pan musiał jechać do Holandii, by złapać właściwy wiatr, i w dwadzieścia cztery godziny nie przybije pan do Dovru!

– Zna się pan na żegludze? – spytał z uśmiechem Henryk.

– Nie za bardzo, ale w razie potrzeby potrafię manewrować żaglami – odparł skromnie Robert. – Zanim wstąpiłem do wojska, byłem w Anglii pomocnikiem sternika.

– I sądzi pan, że statek, to znaczy żaglowiec, potrzebuje dziś dwudziestu czterech godzin na przebycie Kanału?

– Raczej trzydziestu sześciu.

– Nie jadę do Dovru... Mam lepszą drogę! Objeżdżam wyspę Thonet i wpływam Tamizą. W dwanaście godzin po opuszczeniu rzeki Sommy wylądowuję pod London Bridge.

– Potrafi to tylko diabeł, panie hrabio.

Kilka minut galopowali w milczeniu. Hrabia Henryk pierwszy przerwał ciszę:

– Dokąd mnie pan odprowadzi, Surrisy? – spytał nagle.

Robert zawahał się, po czym odpowiedział wzruszony:

– Nie jestem dyplomatą, panie hrabio... Nie pierwszy raz jedziemy obok siebie. Wówczas uratował jej pan życie... Ani ja, ani Laurent nie zdążylibyśmy na czas. Ona była całym moim szczęściem. Sądzę, że mnie trochę kochała, a ja ją uwielbiałem. Pan mi ją zabrał, zabrał moją radość... Przysięga nas wiąże, ale każdy człowiek ma w życiu jakąś namiętność, która w pewnej chwili może okazać się silniejsza... Gdyby nie pamięć o tym, co się stało na moście przy młynie, kto wie, czy nie roztrzaskałbym panu głowy, tu, na pustej drodze.

– Gdyby miał pan pistolet, panie Surrisy, i gdyby w oficerze francuskim był zadatek na mordercę, byłaby to najłatwiejsza rzecz na świecie, gdyż jestem bezbronna.

– Czyny zmieniają nazwę zależnie od okoliczności – odpowiedział

Robert głucho. – Francuski oficer mszczący śmierć ojca nie może być traktowany jak zwykły morderca. Henryk obrócił ku niemu bladą, lecz spokojną twarz.

– Powtarzam, że jestem bezbronna – powiedział powoli. – Wczoraj podpisałem intercyzę z tą, którą pan kocha, i wiozę dwa miliony należące do niej.

– Miliony! – szepnął Robert z goryczą. – Gdy ją kochałem, nie miała milionów!

– A ja, który ją uwielbiam, nie poślubiłbym jej bez milionów.

– Czy śmie pan wyznać, panie hrabio?...

– Ci, co mnie przeżyją, powiedzą: "Poświęcił wszystko dla sprawy, nawet miłość"
– odrzekł Henryk poważnie.

Robert imifliczał. Konie szły w tumanie ikurzu; im bliżej morza, tym bardziej wiatr przybierał na sile.

– Panie hrabio, to puste słowa. Nie wierzę, by był pan mordercą, inaczej nic nie powstrzymałoby mnie i stanąłbym między panem a Janią ze szpadą w ręku. Od lady Elphinstone znam część pańskiego życia. Otacza pana tajemnica, a zadanie, jakie wziął pan na barki, usprawiedliwia okrywające pana ciemności... Zrobiłem z siebie ofiarę, a nienawiść zepchnąłem -na dno duszy. Zamiast pana zwalczać, służę panu. Czy wolno mi zadać kilka pytań dotyczących mnie bardzo blisko?

■ – Takim przyjaciołom jak' pan wszystko wolno, odpowiem naj- szczerzej, jeśli obowiązek mi pozwoli.

– Tak... – szepnął Robert – zawsze pozostaje panu ucieczka w milczenie. Chciałbym najprzód wiedzieć, czy znał mnie już pan, gdy spotkaliśmy się w lesie podczas pańskiej pierwszej wizyty w zamku Belcamp?

– Tak, widziałem pana w biurze Scotland Yardu z panem Temple'em.

– Czy to prawda, że pracował pan jako agent policyjny? Prawda. Dla dobra sprawy, której obaj służymy, czyniłem różne rzeczy.

– W takim razie wiedział pan, że Gregory Tempie powierzył mi pewną misję.

– Owszem, nie znałem jednak jej celu.

– Więc nie znał pan wówczas nazwiska mego ojca?

– Nie, poznałem je dopiero wczoraj, z ust pańskiej siostry.

– Czy myślał pan o nieszczęściu, jakie spadłoby na nią?

–Drżałem z obawy – przerwał Henryk z taką szczerością w głosie, że Robert podniósł na niego oczy. – Moje postępowanie z pańską siostrą jest bardzo dziwne, przyznaję. To niezwykła dziewczyna i Bóg ją wynagrodzi. Sara nie zna wszystkiego, ma to związek z wielką tajemnicą, która umrze wraz ze mną lub zajaśnieje w dniu zwycięstwa... Tak, byłem w Londynie agentem policji, a w zamku Belcamp podsunąłem pańskiej siostrze rolę kokietki... robiłem gorsze jeszcze rzeczy...

Dawno już minęli Abbeville i chwilami, między pagórkami, migiała wstęga Sommy.

– Jak daleko zamierza mi pan towarzyszyć? – po raz drugi spytał Henryk, gdy ciemnobłękitna linia morza zagroziła horyzont.

– Gdybym był przyjacielem, panie hrabio, mie opuściłbym pana – odparł Robert, szarpany coraz większym niepokojem.

Henryk zwolnił i wyciągnął rękę.

– Pan jest moim przyjacielem mimo własnej woli; nie wie pan, jak sformułować pytanie, które wydaje się panu dziecinne i niepoważne.

– Na honor! – zawołał Robert czerwieniąc się – to nie pusta ciekawość ani dziecinada, i jeśli chodzi o wojsko, którego jest pan dowódcą, zgadzam się mieć związane oczy, tak mi nakazuje przysięga. Ale co się tyczy mnie i moich bliskich...

– A cóż pan tu może zobaczyć? "Jestem na drodze do źródła", jeśli mam użyć naszego symbolicznego języka...

– Gdybym był pewien... – zaczął Surrisy.

– Czy ma pan prawo żądać tej pewności od mistrza?

–Gdybym był pewien– powtórzył z uporem Robert, a potem na pół proszącym tonem, w którym brzmiała groźba, zaczął: – Cięży mi już ta tajemnica, Belcamp, i dręczy myśl o Jani, rzuconej na pastwę nieznanego. Mam teraz siostrę i jej widok przypomniął mi ojca. Czy to wystarczy, czy wśród tych motywów choć jeden jest pusty i dziecinny? Czy mam prawo mówić o wszystkich ciężących na panu oskarżeniach?

Gdyby był pan rzeczywiście zbrodniarzem, za jakiego uważa pana moja matka, ja, syn ofiary, byłbym pańskim współnikiem. Dlatego chcę wiedzieć, co się za tym kryje, i ujrzeć choć cień wielkiej tajemnicy... Święty Tomasz pragnął dotknąć ran Zbawiciela, a ja nie jestem świętym! Proszę nie zapominać, że mam wyłącznie powody do nienawiści. Niech pan będzie szczery, gdyż i ja jestem szczery... Proszę dowieść mi swej niewinności, o nie innego nie proszę. Gdybym był pewien pańskiego dzieła, powiedziałbym: Idź naprzód nie oglądając się za siebie, ja czuwam z tyłu, ja, twój brat!

Wjechali na pagórek, skąd ujrzeli na prawo rzekę szeroką jak morze, pokrytą łodziami i statkami. Przed nimi znajdował się mały port Hourdel, przycupnięty w zatoczce. Na lewo rozciągał się ocean.

– Są tacie chwile – powiedział Henryk – gdy miłość brata byłaby przeszkodą...

– Więc pan odmawia? – Robert ściągnął brwi. Słońce zniżało się. Henryk spojrział na zegarek.

– Pół do piątej – powiedział. – Przyjedziemy na piątą. Dylizans zużywa trzydzieści godzin, a poczta dwadzieścia cztery. Mało co prawda wygrałem, ale czas stracony nadrobimy na morzu. Święty Tomaszu, brak ci wiary, ale wkrótce uwierzysz.

Konie, puszczane galopem, w mgnieniu oka przeleciały dolinę. Robert czekał.

Po dwudziestu minutach znaleźli się na wyniosłym cyplu, skąd wzrok obejmuje cały horyzont. Nie opodal owce skubały skąpą i słońcą trawę. Hrabia Henryk wy dobył z torby lunetę i skierował

ją na morze. Wicher szalał i rybackie stateczki wracały gnane sztormem. W oddali widać było dwa brygi, dwa żaglowce na próżno usiłujące oddalić się od brzegu i złapać właściwy wiatr.

– Panie hrabio – rzekł Robert – nie trzeba być marynarzem, by przekonać się, że żaden statek nie zdoła dziś wypłynąć na pełne morze.

– Hej, mały – zawołał Henryk.

Pastuszek zbliżył się.

– Czy jesteś z Hourdel?

– Nie, spod miasta.

– Masz tu ludwika. Zaprowadzisz konie do twego gospodarza i powiesz, by je odstawił do oberży pod Żółtym Słońcem w Saint-Valéry. Dostanie dwa ludwiki. Malec wyrzucił czapkę w górę i zagwizdał jak kos. W chwilę potem pastuszek, stado owiec, pies i dwa konie zstępowali stromym zboczem.

– Czy pan kogoś oczekuje? – spytał Surrisy.

– Już jadą – odparł Henryk.

Robert spoglądał na morze wytrzeszczając oczy.

– Widzę tylko dwa żaglowce, dobre statki; ale nie dadzą rady, zobaczy pan...

– O, człowieku małej wiary! – szepnął młody hrabia, wskazując poszarpane skałami wybrzeże w stronę niewielkiego portu Carjeux.

– Oczywiście – odparł Robert – gdybyśmy mieli jechać do Hawru, poszłoby jak z płatką.

Ledwie skończył mówić, gdy zza skał wyłonił się pióropusz dymu rozwijający się na wietrze. Wkrótce ukazały się szczyty dwóch masztów, następnie wysoki komin, z którego buchały kłęby pary.

– Steamboat! – zawołał Robert, dodając lekceważąco: – Ciekawa zabawka.

W owym czasie wszyscy, którzy choć trochę znali się na żegludze, okazywali najgłębszą pogardę dla zastosowania pary w nawigacji.

Komin i dwa niewysokie maszty mimo nie sprzyjającego wiatru posuwały się naprzód.

– Czy zna to pan, Surrisy? – spytał hrabia.

- Widziałem w zeszłym roku doświadczenia markiza de Jouffroy na Sekwanie; bardzo pomysłowe, ale nie na ocean.
- Ale my na takim właśnie statku wypłyniemy dziś na morze.
- Do licha! – zawołał młody podporucznik. – Przepełnąć Kanał

na tej łodzi z masztami jak rączka od miotły i żaglem wielkości chustki do nosa to jest to samo co sięść konno na wiązce chrustu!

- Może pan zostać, jeśli wola.

Wiatr dął z morza; słychać już było wyraźnie szum kół małego parostatku; przy brzegu gromadzili się ciekawscy. Na pokładzie statku było ze dwadzieścia osób, które ujrawszy Henryka odkryły głowy wyrzucając w górę czapki z głośnym "hura!". Hrabia Henryk również zdjął kapelusz, witając przybywających.

- Przybijają – zawołał Robert – zaraz wyślą szalupę. Naprzód! Nikt nie powie, że zostałem w tyle.

I pierwszy wąską ścieżką zbiegł do malutkiej zatoczki.

Statek parowy przybił do brzegu, koła znieruchomiały. Wykręcił się i ukazał napis na boku kadłuba. Złote litery głosiły: "Oswobodzicie!". Był to statek o wyporności mniej więcej dwustu ton, niezwykle zgrabny. Robert zatrzymał się w połowie drogi, by objąć wzrokiem wszystkie szczegóły. Czytając nazwę dwumasztowca odkrył głowę i ze skruchą spojrzał na Henryka. Od parowca odbiła łódź z dziesięciu wioślarzami i oficerem.

- Stracę dziś więcej niż jedno uprzedzenie, panie hrabio – powiedział Robert stając na piasku wybrzeża. – Ale przysięgam, że mam więcej zaufania do tej szalupy niż do dymiącego diabła z młyńskimi kołami!

Oficer dowodzący łodzią wydał dwa rozkazy. Na pierwszy szalupa stanęła, na drugi załoga powstała jak na powitanie wodza.

- Wszystko w porządku, Perkins? – spytał hrabia Henryk dotykając kapelusza.
- Ali right! – odpowiedział Perkins, doskonale utrzymujący równowagę mimo huśtania łodzi. – W porządku, milordzie – dodał po francusku – z wyjątkiem zamkniętych warsztatów i maszyny wystawionej na licytacji w Auction Mart.
- Zaradzimy temu, Perkins. A teraz śpieszmy się.
- Oczekiwaliśmy pana samego, milordzie – rzekł znacząco Perkins.
- A pojedzie dwóch, mój drogi.
- Czy wolno spytać, kim jest ten dżentelmen?
- Porucznik Robert Surrisy.
- Z marynarki?
- Z gwardii cesarskiej.

Marynarze poruszyli się, obrzucając Roberta ciekawym spojrzeniem. Surrisy nigdy nie widział majtków o tak delikatnych rękach

i białych twarzach. Ale na statku parowym można było wszystkiego się spodziewać.

Henryk wskoczył do łodzi, witając obecnych, Robert, przyzwyczajony do bardziej solidnego gruntu pod nogami, zachwiał się i runął w objęcia jednego z marynarzy, który wycisnął mu na policzku głośny pocałunek.

- Kapitan Gauthier! – zdumiał się młodzieniec.
- A ja? – spytał inny marynarz.
- Porucznik Renault!

W oczach mu się ćmiło, a wzrok szukał znajomych.

- Jazda! – zabrzmiał rozkazujący głos Perkinsa i łódź śmignęła po falach, pchana silnymi ramionami wioślarzy. Załoga "Oswobodziciela" oczekiwała na pokładzie. Na trzydziestu ludzi było dziesięciu prawdziwych marynarzy, reszta składała się z francuskich oficerów, z których kilku zajmowało wysokie stopnie w

napoleońskiej armii. Wszyscy powitali hrabiego Henryka z oznakami najwyższego szacunku. „Oswobodzicielem” dowodził Anglik, kapitan Edmund Abercrombie, który zajmował stanowisko drugiego oficera na pierwszym amerykańskim statku parowym.

Serce Roberta biło skruchą i entuzjazmem. Uwierzyłyby, gdyby choć jeden francuski oficer wmieszany był w załogę korsarzy i zbiegłych więźniów z Newgate. Widok zaś tak świetnego zgromadzenia oszołomił młodzieńca i Henryk urósł do wielkości półboga. Surrisy dziwił się teraz, jak mógł wątpić w takiego człowieka!

Zabrzmiała angielska komenda, powtórzona jasnym głosem okrętowego chłopca mechanikom na dnie statku. Słup dymu trysnął z komina, koła przebiegło drzenie i dwumasztowiec, zwrócony dziobem w stronę wiatru, zaczął przeskakiwać płynne wzgórze, a dwa brygi, zniechęcone bezcelową walką z huraganem, wracały do portu.

11. Piotr Louchet

Minęły lata, nim państwowa marynarka zechciała zwrócić uwagę na siłę, przed którą ustępują wiatry i która drwi z najgwałtowniejszych prądów. W owym też czasie Akademia pouczała, że szybkość dziesięciu mil na godzinę zatamowałaby oddech u człowieka, powodując śmierć nieszczęsnych szaleńców, którzy ośmieliliby się poddać tak niebezpiecznym doświadczeniom. Dzieciństwem byłoby oskarżać marynarkę czy Akademię. Świat już jest taki i każdy postęp staje na przeszkodzie czyjś interesom lub rani czyjąś ambicję.

Lekki statek parowy, pierwotne dzieło francuskiego wynalazku, płynął wystawiając dziób na uderzenia fal, podskakując jak korek na rozkołysanym morzu. Gdy ostatnie promienie dnia oświetliły skały Boulogne, przed Folkestone krążyła państwowa korweta. Wojenny statek zapragnął przyjrzeć się z bliska tej mechanicznej zabawce, ale Perkins sam stanął u steru i jeszcze gęstsze kłęby dymu buchnęły kominem, kryjąc „Oswobodziciela”.

Na pokład wniesiono wazę z ponczem, a w kabinie odbywała się narada. Henryk dla wszystkich był komodorem Davy lub po prostu milordem. Robert, wśród dawnych kolegów i nowych przyjaciół, którzy prawie wszyscy służyli pod cesarzem na lądzie czy na morzu, znajdował się w stanie dziwnego odurzenia. Na statku panował entuzjazm, mówiono o rewolucji jako o fakcie dokonanym. Komodora Davy otaczano czcią, uważając za cudotwórcę obdarzonego nadprzyrodzoną mocą. Z niecierpliwością oczekiwano godziny walki.

„Oswobodzicie!” wiele razy odbył już podróż do Francji i nowiutka maszyna nie próżnowała, odkąd wyszła, ozdobiona kwiatami i wieńcami, z warsztatów firmy Balcomb i Spółka. Perkins zbudował jeszcze pięć podobnych maszyn, a wśród nich największą, o sile ośmiuset koni, która w Londynie wzbudziła powszechną nieufność.

Papiery kapitana Abercrombie były w porządku i statek uchodził za jego własność, dlatego mógł swobodnie kursować, mimo że firma Balcomb i Spółka zawiesiła wypłaty. „Oswobodziciel” dobrze był znany w Royal Exchange i na Giełdzie, gdzie bankierzy przemysłowali już, jakby zużytkować szybkość parostatku dla operacji finansowych. Był to bowiem statek handlowy i służył temu, kto zapłaci. Chwilowo parostatek przewiózł do Anglii kilka tuzinów byłych wojskowych, którym nie służyło powietrze Francji.

Noc już była pełna, gdy ukończono naradę. Twarze promieniały radością. Pułkownik kazał napełnić szklanki i wzniosł zdrowie cesarza. Wypito stojąc. Potem Perkins odszedł od steru i zamknął się z Henrykiem w kabinie.

– No więc jak? – spytał młody hrabia.

– Jeśli milord ma pełne kieszenie, być może zdążymy.

– Być może! – powtórzył Henryk marszcząc brwi. – List pana Wooda przewiduje sprzedaż na jutro.

– Tak, wydaje mi się, że to jutro... ale nie chodzi o kilkaset tysięcy na pokrycie wierzycieli, nam potrzebne miliony. Ile pan wiezie, milordzie?

– Dwa miliony na bank Rothschilda.

– Może wystarczy.

– Może? – powtórzył Henryk.

– Samo żelazo i miedź warte dziesięć tysięcy funtów, a połowa przynajmniej poszła na robociznę... To jeszcze nic, ale to maszyna Perkimsa, tego samego Perkinsa, którego panu zazdroszą wszyscy konstruktorzy w Londynie. Milk i Blunt dadzą za nią trzydzieści tysięcy funtów. Powels posunie się do czterdziestu. Samuel Brand da pięćdziesiąt.

– I co z nią zrobi?

– Zniszczy.

Hrabia Henryk zamyślił "się.

– Proszę być spokojnym, milordzie – zaczął Perkins. – Zbuduję jeszcze silniejszą maszynę, lżejszą i lepszą. Mam większe doświadczenie, nie pokonają mnie.

– Nie możemy jej wypuścić cz rąk – odrzekł Henryk – nie mamy czasu na budowę nowej maszyny.

– Co pan wygra uwolniony tego człowieka z jego skały? – Perkins wzruszył ramionami. – Dzięki moim maszynom firma Balcomb i Spółka napelni złotem swój dom od piwnic do strychu. Za dziesięć lat na wszystkich morzach zadymią kominy. W stocznicach Milka i Blunta jest tylko stare drewno. Powels zbankrutuje, a Samuel Brand powiesi się z wściekłości, stary łobuz!

Henryk nie słuchał mechanika.

– A więc nic nie przyszło, ani z Pragi, ani z Wiednia? – spytał nagle.

– Owszem – odparł Perkins. – Otrzymałem list adresowany do starego lisa Wooda z odmową... Młody człowiek pisał, że ma już dość, że jeśli bracia jego byli komuś coś winni, odda wszystko. Nie znam dobrze tej sprawy, wie pan, znam się tylko na moich maszynach, dzięki Bogu. Nie zapłaciliśmy trzydziestego, prosiliśmy o przedłużenie terminu do piętnastego. Milk i Blunt, Powels i Samuel Brand wykupili weksle i spadli na nas jak jastrzębie.

– Wydaje mi się, że Fryderyk Boehm miał być w Londynie?

– Tak, zapomniałem panu powiedzieć, przybył, by poradzić się Gregory Temple'a. Stary Wood przestraszył się i zobaczył już stryżek nad głową. Z małym Nedem Knobem wymyślili jakąś diabelską sztuczkę. Hrabia Boehm i Gregory Temple zostali zatrzymani w chwili, gdy wybierali się w podróż do Paryża.

– Pod jakim pozorem?

– Jako współnicy w zabójstwie Konstancji Bartolozzi. Aha, czy pan wie, że powieszono biednego Thompsona?

Henryk tak zbladł, że Perkins musiał go podtrzymać.

– Jednak ma pan dobre serce. To znaczy, na dziś wyznaczono egzekucję. Biedny chłopiec. Na śledztwie wyszło na jaw, że był zięciem Gregory Temple'a, to jmu nawet zaszkodziło; jak spod ziemi znalazło się z pół tuzina obciążających świadków i ich zeznania pogrążyły go bardziej, niżby miał kamień uwiązany u szyi.

Henryk wypił duszkiem szklanekę wody.

– Czy jest pan zupełnie pewny? – spytał zmienionym głosem

– O świadkach?

– Nie, daty egzekucji. Perkins zaczął liczyć na palcach.

– Do licha, milordzie – zawołał po namyśle – odkąd żyjemy na wodzie, straciłem rachubę czasu. Może to było na dziś, a może na jutro. Wiem na pewno, że hrabia Boehm i Gregory Temple będą zeznawali jako współnicy na następnym posiedzeniu sądu, jak również Fanny Thompson, która się nie stawiała... .

Czwarta rano biła na zegarze Greenwich, gdy "Oswobodziciel" całą siłą pary minął wspaniała szpital dla starych marynarzy. Około piątej hrabia Henryk i Robert Surtrisy wyskakiwali z łodzi przed londyńskim urzędem celnym. To jedyna w swoim rodzaju forma gościnności. Gdy stopa cudzoziemca dotyka brytyjskiej ziemi, nikogo nie obchodzi, czy przybysz jest złoczyńcą czy uczciwym człowiekiem. Moralność podróznego nie interesuje władz, natomiast wielką ciekawość budzi jego bagaż: londyński urząd celny znany jest na całym świecie.

Henryka i Roberta zaprowadzono do Custom House, gdzie dwóch dżentelmenów pragnęło wypytać, obwąchać, zważyć i obmacać przybyłych; po czym wyrzucono ich za drzwi.

– Tutaj się rozstaniemy – powiedział Henryk wyciągając rękę. – Zobaczyłeś, co chciałeś. Zbiórka w hotelu Spencer na Oxford Street Pozostanę w Londynie najwyżej trzydzieści godzin, może nawet mniej. W hotelu zresztą będą wiedzieli, tam się spotkamy. Do widzenia.

Po tych słowach wskoczył do fiakra i kazał się wieźć na Old Bailey. Przez całą drogę pożerała go gorączka. Dorożkarz mógł udzielić informacji, gdyż w Londynie wszystkie wiadomości rozchodzą się szybko, szczególnie jeśli tyczą spraw kryminalnych. Ten zimny, zajęty interesami, smutny Londyn jest równie chciwy melodramatów sprawiedliwości, jak nasz wesoły Paryż. Jednakże hrabia Henryk nie miał odwagi zapytać woźnicy. Kazał stanąć dokładnie w tym miejscu, gdzie pan Tempie padł pod murem wychodząc od sędziego. Zapłacił i dorożka odjechała. Henryk stał po środku opustoszałej ulicy, otulonej gęstniejącą mgłą. Promień słońca czerwienił dachy sąsiednich domów. Długo stał, zanim podniósł oczy na ponurą fasadę. Wówczas z głębi Old Bailey zabrzmiał głos dzwonu oraz turkot kół i z mgły wyłonił się wózek z wysokim stosem ułożonych desek. Deski oklejono żółtym papierem, na którym czerniały olbrzymie litery. Był to afisz przyszłego widowiska, ponurej pantomimy egzekucji, która zawsze znajduje tłumy ciekawych.

Głębokie westchnienie ulgi wydarło się z piersi Henryka. Przybywał na czas.

– Hola, panie! – zawołał woźnica z grubym rechotem – czy przyszedł już pan zająć miejsce na jutrzejsze poranne przedstawienie? Za jednego penny dowie się pan wszystkiego o życiu i śmierci Ryszarda Thompsona, przezwanego Janem Diabłem, zięcia Gregory Temple'a i mordercy Konstancji Bartolozzi, wszystko o jego przygodach i przemianach, o słynnej ucieczce z Sydney, jego miłostkach i innych jeszcze awanturach... Świeżo z druku, szesnaście stron, za jednego penny!

– Przyjacielu – Henryk podał mu koronę – nie wiedząc o tym oddałeś mi wielką przysługę. Wypij za moje zdrowie.

I uspokojony odszedł wolnym krokiem Chmura okrywająca twarz znikła. Znowu był pogodny jak zawsze. Minął Holborn, Chancery Lane, po czym zapuścił się w labirynt wąskich uliczek oddzielających Lincoln Inn Fields od tyłów Covent Garden. Najdłuższą, najwęższą i najstynniejszą z bandyckich uliczek była Low Lane, gdzie prosperowała knajpa Sharpera.

O dziewiątej rano Robert Surtrisy poszedł na śniadanie do hotelu Spencera, by spotkać przyjaciół spiskowców. Podano mu zimny rostbef, szynkę i kawę z mlekiem. Siedziało tam wielu czerwonych dżentelmenów popijających porter, ale ani śladu konspiratorów. Nie było nikogo z załogi "Oswobodziciela". Robert nie miał nic do roboty w Londynie i po śniadaniu wyszedł na przechadzkę. Wszystko, co widział, dawało Henrykowi prawo do nakładania każdej maski i każdego przebrania. Gdy były podporucznik szedł parkiem, usłyszał za sobą znany głos mówiący po francusku:

– Pan jest Francuzem, a ja, były żołnierz cesarski, nie mam teraz kawałka chleba!

– Piotr Louchet! – zawołał Robert poznając drwala.

- Pan porucznik! – w oczach starego żołnierza pokazały się łzy radości, rzucił się do rąk młodego człowieka. – Niech Bogu będą dzięki!
- Jeszcze tu jesteś, Piotrze? – odparł zdziwiony Surrisy. – Więc zostałeś, wypełniwszy tak ważne posłannictwo?
- Czy pan co z tego rozumie, panie poruczniku? Sam diabeł się nie rozezna. Pan mówi o posłannictwie? Po prostu przeszkadzałem temu Anglikowi i chciał się mnie pozbyć. Co prawda list zgubiłem w drodze, ale pamiętałem adres i nazwisko. Poszedłem do tego pana Wooda. Powiedziałem “ku lepszemu”, a on na to “dzień dobry”. I dotąd tak chodzę. Panie poruczniku, czy zna pan starego nazwiskiem pan Tempie?
- Naturalnie.
- Zupełnie zwariował, jak zając w marcu, ale wygląda na porządnego człowieka. Wszyscy oni mają jakieś nieczyste sprawy na sumieniu, a ja ani rusz nie mogę się w tym rozeznać. Zostałem posłańcem na Leicester Square – to dzielnica Francuzów – i gdy kogo spotykałem, mówiłem cicho: “ku lepszemu”, ale żaden nie rozumiał...
- . – Wejźmy tu, Piotrze – powiedział Robert zatrzymując się przed drzwiami tawerny
 - opowiesz mi wszystko przy śniadaniu. •_v – Nie odmawiam, panie poruczniku!
 Usiedli przy stoliku i Robert zamówił nieśmiertelny rostbef, a Piotr Louchet z rozrzewnieniem spojrzał na wspaniałą kawał mięsa.
 - Mają doskonałe mięso – szepnął – ale na ulicy można umrzeć z głodu jak mucha.
- Jedz, jedz, Piotrze – zachęcał Robert. Stary żołnierz z energią zaatakował pieczeń.
- Czy zostawi mnie pan w Londynie? – spytał z niepokojem.
- Zabiorę cię do Paryża, obiecuję.
 - Dobrze. Gdzie to ja skończyłem? Aha, o ojcu tego dziecka, którego mają powiesić.
- Nic mi o tym nie mówiłeś.
 - Dobrze, dobrze... Pan Tempie posłał mnie z dwiema butelkami dzinu do starej diablicy po drugiej strone Wieży. Okazało się, że blondynek nie jest ojcem, a dama nie jest matką, ja się tego domyślałem, tylko raz pocałowała małego... Ojcem jest ten drugi Anglik. A stary Tempie jest dziadkiem. Dobrze to jedzenie, nie ma co... Otóż pan Tempie miał mnie zabrać do Paryża, by odkopać dwa ciała, dwóch nieboszczyków w okolicach Tivoli...
- Dwóch nieboszczyków? – przerwał Robert.
 - Łatwo znaleźć miejsce dzięki wyschlým chwastom; jeden z nieboszczyków miał tylko cztery palce u ręki.
 - O czym pleciesz, stary? Robert potrząsnął drwala za ramię. – Czy się upiłeś?
 - Więc pan nie wie, że Anglik siedzi w więzieniu w Paryżu? – zdziwił się drwal. – W więzieniu, za zabicie dwóch ludzi, jednego w Brukseli, drugiego w Lyonie?
- Surrisy oniemiał ze zdumienia.
 - No tak, na pierwszy rzut oka to wydaje się żartem. Z Lyonu daleko do Brukseli, a nikt dziś nie podróżuje na miotle... ale tak jest. Ci dwaj nieboszczycy dokonali mordu, a potem Anglik ich zlikwidował, żeby zamilkli. Wcale nie takie głupie, có, panie poruczniku?
- Surrisy był błydy jak śmierć.
 - ^ To jeszcze nie wszystko – ciągnął Piotr Louchet. – On jest Janem Diabłem, rozumie pan, a jutro ci głupi Anglicy powieszą niewinnego... Odjechaliśmy więc bryką pocztową, ja na koźle, obok woźnicy, co umiał tylko mamrotać po angielsku: “right! left!”, kiedy o wiele łatwiej zawołać: “wio”... W bryce jechało pięć osób: suchotnik, trzej Niemcy z fajkami w zębach i pan Tempie...
- Jeszcze mi nie mówiłeś o suchotniku i trzech Niemcach – przerwał Robert.

– No tak, panie poruczniku, bo wówczas widziałem ich po raz pierwszy. Suchotnik to śliczny chłopiec, o wiele wyższy od pana, z twarzą jak u dziewczyny. Trzej Niemcy nazywali siebie doktorami... Na pierwszym postoju, pięć mil za Londynem, na drodze do Dovru – taka mała oberża, po lewej stronie drogi – spostrzegam pana Wooda, który mnie wyrzucił za drzwi, a z nim coś w rodzaju małpy, ubranej jak elegancik. Małpiszon narobił alarmu i jacyś ludzie obskoczyli nas, gdy zmieniano konie, i jeden z nich powiedział: “w imieniu króla”, ale powiedział to po swojemu i coś dodał, niby: “aresztuję was”. Ja krzyknąłem, żeby mi dano kija w garść, to ich przepędzę. Pan Tempie i suchotnik byli tego samego zdania, ale doktorzy uparli się, żeby słuchać żandarmów. A ci nazywali suchotnika “książę” i coś jakby “Alexis of...” Pan Wood i jego małpiszon znikli. Wówczas pan Tempie mówi: “Wracaj do Londynu i czekaj na mnie, to długo nie potrwa”. Akurat. Już trwa i trwa, a ja nie mam co jeść.

– I co dalej – spytał niecierpliwie Robert.

–| Nie umiem czytać po francusku, a tu tylko angielskie gazety. Poszedłem do sądu, gdyż słyszałem na Leicester Square, że pan

Tempie i ten książę... o, tak... książę Aleksy Orłów... mieli być badani. Ale niczego się nie dowiedziałem. Podobno zwolniono ich za kaucją, ale pan Tempie nie pojawił się w swym hotelu.

– Czy nigdy tego, którego zwiesz “Anglikiem”, nie nazywałeś hrabią Henrykiem de Belcamp?

– Belcamp? – powtórzył zdumiony drwal – przecież to syn pana markiza nazywa się hrabia de Belcamp!

– Syn pana markiza siedzi w Wersalu w więzieniu, oskarżony o zamordowanie dwóch ludzi w Lyonie i Brukseli.

Piotr Louchet odstawił talerz.

– Syn pana markiza nie może być Janem Diabłem – wyszeptał osłupiały.

Robert położył mu rękę na ramieniu i powiedział dobitnie:

–Idź prosto przed siebie, przyjacielu. Pamiętaj, że królewska policja nie zawaha się przed niczym, by nas zgnieść. Wierzę, że pan Tempie jest uczciwym człowiekiem, walczy jednak przeciwko nam i kto wie, czy jego aresztowanie i ukrywanie się nie są aktami tej samej komedii? Poświęciłem więcej niż ty sprawie, której obaj służymy, choć nigdy nie brakło mi chleba. Rób jak ja: czekaj i bądź gotów; człowiek, przeciw któremu chciano cię użyć, jest szefem twoim, moim i tych wszystkich, co dobędą szpady w obronie cesarza.

– W takim razie – odparł Piotr Louchet – należy schwytać pana Temple'a, związać mu ręce i nogi i obciąć język; nie wiem wszystkiego, panie poruczniku, ale wiem jedno, że pan Tempie go zabije!

12. Auction Mart

Między Giełdą a Bankiem Londyńskim, na rogu Lothbury i Throg- morton Street, stoi okazały i piękny budynek, spełniający rolę naszego urzędu licytacyjnego, czyli Auction Mart. . Choć moda na ten typ sprzedaży przeszła już w Anglii do zwyczajów życia codziennego, Auction Mart służy często do przymusowej sprzedaży, gdy wystawia się na licytację towary o wielkiej objętości, zajmujące ogromną przestrzeń.

Tego dnia przed białą fasadą budynku zgromadziła się liczna grupa zainteresowanych. Podawano z ust do ust, że z powodu zawieszenia wypłat przez firmę Balcomb i Spółka wystawiona zostanie na sprzedaż olbrzymia maszyna Peiticimsa.

Maszyna, ogromna masa lśniącego żelaza i błyszczącej miedzi, stała pod portykiem. Eksperci badali przez lupę tryby, klapy bezpieczeństwa i inne techniczne szczegóły, laicy podziwiali wielkość średnicy kotła. W kącie gromadzili się poważni nabywcy.

– Czy pan chce to kupić, Bradley? – pytał Samuel Brand.

– Po co? Mam u siebie ludzi i żelazo. Gdy zechcę, zrobię coś o wiele lepszego.

– Do jakich diabelskich celów Balcomb przeznaczał tego Lewia- tana? – pytał Powels.

– Do zrobienia bankructwa – odparł Samuel Brand.

Mimo takich opinii Powels, Milk i Blunt, zarówno jak Samuel Brand, dobrze wiedzieli, że będzie zacięta bitwa o maszynę, którą wszyscy poważni znawcy osądzili jako bezużyteczne żelastwo.

Dzwonek oznajmił otwarcie ogromnej sali licytacyjnej z trzema piętrami galerii. Blisko drzwi ustawiono estradę, a na niej stanął licytator z młotkiem z kości słoniowej w rękę i całą kolekcją ogarków świecy. Ceremonię rozpoczęto odczytaniem szczegółów dotyczących maszyny oraz ceny wywoławczej, ustalonej na dziesięć tysięcy funtów szterlingów (dwieście pięćdziesiąt tysięcy franków). Głośny szmer rozległ się na sali.

– Czy zmontowana jest na rubinach, jak chronometr? – zawołał Samuel Brand z oburzeniem.

– Czy to kpiny z poważnych kupców? – dodał Milk z pogardą.

Za plecami urzędnika widać było energiczną twarz Perkinsa, który siedział blady, ze ściągniętymi brwiami.

W Londynie trzech urzędników licytacyjnych może za zgodą stron zainteresowanych obniżyć cenę wywoławczą. Ponieważ nikt się nie kwapił z kupnem, licytator po naradzie z wierzycielami i z Perkinsem, w nieobecności pana Balcomb, szefa upadłej firmy, zdecydował się posłać po kolegów.

– Strata czasu – nawoływano zewsząd.

Tymczasem przed portykiem, tuż przy maszynie, zatrzymał się elegancki powozik, zaprzężony w pięknego konia. Z powoziku wysiadł czarno ubrany młody człowiek i pośpiesznie wszedł do środka. Nazwisko Percy Balcomb przechodziło z ust do ust, budząc powszechną ciekawość, pozbawioną najmniejszych objawów współczucia.

– To rzadki ptaszek – mówili jedni.

– Dwadzieścia razy prosiłem, by mi go pokazano na Gieldzie, ale to zbyt wielki pan, by samemu załatwiać swoje interesy – dodawał drugi.

– Milord podróżował...

mm U jM

– Wkrótce milord odpocznie w więzieniu za długi.

Nadzieja ujrzenia milorda w więzieniu za długi wywołała uśmiech na niejednej twarzy. Mało kto w tym szacownym zgromadzeniu znał osobiście Percy Balcomb. Jego pańska mina i dystyngowany wygląd uczyniły na kupcach jak najgorsze wrażenie. Ciekawscy widzieli w nim dandysa, zabawiającego się wydawaniem pieniędzy. Gdy nowo przybyły zajął miejsce za licytátorem, urzędnik uderzeniem młotka oznajmił koniec konsultacji.

– Pięć tysięcy maszyna Perkinsa – zawołał – pięć tysięcy!

– Jeszcze za dużo – odpowiedział chór kupców – obniżyć o połowę... Jak będzie dwa tysiące, to zobaczymy.

Wśród tłumu pojawiły się nowe postacie, twarze nie znane bywalcom Auction Mart. Gdyby Surrisy zjawił się przypadkiem na licytacji, spotkałby wielu znajomych.

Większość załogi "Oswobodziciela" z kapitanem na czele znajdowała się na sali.

Wobec ogólnego niezadowolenia komisarz wahał się. W tym momencie spojrzenie Percy Balcomb napotkało wzrok kapitana Abercrombie. Wilk morski zaczerwienił się, co by mu się nigdy nie zdarzyło wobec wycelowanych armat, i rzekł nieśmiało:

– Pięć tysięcy sto funtów, proszę pana.

Perkins podniósł głowę, a jego energiczna twarz pojaśniała. Licytacja była otwarta. Mechanik powiódł prowokującym wzrokiem po tych, którzy kilka chwil temu chcieli go upokorzyć, i powiedział głośno:

– Stawiam sto ludwików, że ani Samuel Brand, ani Milk i Blunt, ani Powels nie dopuszczą, by moją maszynę sprzedano za niższą cenę niż dwadzieścia tysięcy gwinei.

– Bzdury! Głupstwa! To dopiero zarozumialec! – krzyczano w tłumie.

– Stawiam dwieście ludwików na czterdzieści tysięcy – wołał Perkins.

– Milion! Chyba zwariował!

– Czy to nadaje się do balonu? – pytał Milk wzruszając ramionami.

– Pięć tysięcy sto – powtórzył licytator.

– Pięć tysięcy dwieście – powiedział jakiś kupiec, zamierzając rozebrać maszynę, a żelastwo sprzedać na wagę.

– Trzysta – dodał kapitan.

– To z góry ukartowane – zaczął Samuel Brand, ale przerwał mu wibrujący głos Percy Balcomb, który powiedział wyraźnie:

– Dziesięć tysięcy gwinei.

W tłumie zafalowało. Kupcy spoglądali po sobie zdziwieni.

– Jedenaście tysięcy – rzucił Powels.

– Aha, to ty chcesz ją mieć! – zamruczał Blunt i dotykając ramienia Milka, który skinął przyzwalająco głową, zawołał:

–■ Dwanaście tysięcy!

– Piętnaście tysięcy! – podbił dumnie Samuel Brand.

– Dwadzieścia! – powiedział spokojnie Balcomb.

– Wygrałem sto ludwików – zawołał radośnie Perkins – stawiam dwieście na czterdzieści tysięcy.

Przy stole panowało milczenie. Oczy płonęły, zmarszczki pokrywały czoła.

Niewzruszony licytator zaśpiewał:

– Dwadzieścia tysięcy, za dwadzieścia tysięcy maszyna Perkin- są! – i wyciągnął już rękę po ogarek świecy, gdy kapitan rzekł:

– Dwadzieścia tysięcy sto!

– Dwadzieścia tysięcy dwieście – powiedział za nim piskliwy głosik.

Ludzie wysokiego wzrostu mogli zauważyć małego człowieczka, sięgającego ramienia kapitana. Był to Ned Knob.

– Niech mnie Bóg skarże – mruknął Powels. – Ta wystrojona małpa to ani chybi agent Waltera... Dwadzieścia jeden tysięcy!

– Dwadzieścia dwa – podbił natychmiast Milk.

– Dwadzieścia pięć! – zagrzmiął Brand.

– Trzydzieści tysięcy – rzucił obojętnie Balcomb, zdejmując rękawiczki i rozsiadając się wygodniej.

– Trzydzieści tysięcy gwinei maszyna Perkinsa – zaintonował licytator.

– Trzydzieści tysięcy pięćset – zgrzytnął Milk.

– Czterdzieści tysięcy! – odparował Powels.

– Pięćdziesiąt tysięcy! – ryknął Samuel Brand, waląc pięścią w stół.

– Sześćdziesiąt tysięcy! – podbił cenę Percy Balcomb, zimny jak posąg z marmuru.

W sali Zagotowało się.

Milk i Blunt spuścili oczy, Samuel Brand ocierał pot z czoła. Powels wsadził ręce w kieszenie.

- Jestem zbyt bogaty na podobne szaleństwa – oznajmił. – Wyrzucić półtora miliona franków za kupę żelastwa nadającego się na złom to czysty idiotyzm. Wycofuję się.
- Perkins, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, wyglądał jak triumfator.
- Sześćdziesiąt tysięcy funtów za maszynę Perkinsa – oznajmił

licytator, a ponieważ nikt się nie odzywał, dodał: ->- Poproszę 0 świecę.

Na stole zapłonął ogień.

Uważny obserwator zauważyłby lekkie drzenie przebiegające skronie Percy Balcomba; dla ogółu widzów twarz jego zachowała jednak spokój marmuru i wyraz jej znamionował najwyższą pewność.

- Raz! – powiedział licytator, zapalając drugą świeczkę.
- Widać bardzo im zależy na maszynie, jeśli tyle dają – zauważył Blunt.
- Może to ich ostatni wysiłek – dodał Milk. — Spróbujmy... Sześćdziesiąt tysięcy sto!
- Sześćdziesiąt tysięcy dwieście – warknął Brand. – Pójdę za wami do piekła, ale się nie dam!
- Osiemdziesiąt tysięcy funtów! – rzucił Percy Balcomb tonem, jakim pozdrowiłby znajomego spotkanego na ulicy.
- Brawo! – krzyknął Ned. – Oto prawdziwy lord!
- Dwa miliony franków! – huczało wśród zebranych.
- Dojdzie dziesięciu milionów – twierdzili laicy.

Tylko licytator słyszał bicie serca Percy Balcomba, ale jego twarz nie wyraziła najmniejszego wzruszenia.

Milk, Blunt i Samuel Brand poszli za przykładem Powelsa, to znaczy wycofali się.

- Tym lepiej dla wierzycieli – zauważył Blunt.
- Osiemdziesiąt tysięcy funtów za maszynę Perkinsa! – ogłosił licytator.
- 1 zapalono pierwszą świeczkę.

Na sali wymieniano wrażenia. Długi firmy Balcomb nie sięgały dwóch milionów franków; w konsekwencji był to może jedynie zręczny manewr.

Pierwsza świeczka zgasła i zapalono następną. Oddech Percy Balcomba stał się swobodniejszy. Nieznane twarze wmieszane w tłum kupców promieniały entuzjazmem. Sprawa była już właściwie przesądzona i maszyna Perkinsa, jakkolwiek byłaby jej realna wartość, pozostawała przy pierwotnym właścicielu za cenę dwóch milionów franków.

Zapalono trzecią świeczkę. W sali panowała teraz śmiertelna prawie cisza.

- Trzy – zawyrokował licytator, gdy trzecia świeczka miała zagasnąć, dodając, co było jego obowiązkiem: – Osiemdziesiąt tysięcy funtów za maszynę Perkinsa!

f&nwnkMAtm

Wtem przerwał ciszę słaby starczy głos, budząc dreszcz w zebranych. Nieznajomy głos powiedział:

- Osiemdziesiąt tysięcy pięć funtów.

Czy to był szaleniec? Tak, to z pewnością szaleniec. Miał bladą twarz, w której gorączkowym blaskiem płonęły oczy. Zatrzymał się między stołem a estradą, godząc wzrokiem w Percy Balcomba. Cała krew tego ostatniego napłynęła do twarzy, zatrzepotał powiekami, po czym zbladł jak ściana. Starzec skinął mu z uśmiechem głową, jak dobremu znajomemu. Uśmiech ten jednak ciął jak ostrze.

– Po co on to robi? i– zahuczało w sali.

Balcomb skłonił się z powagą staruszkowi. Twarz jego powoli odzyskiwała spokój, tylko na skroniach perliły się krople potu. Wszyscy czekali na jego słowa, on jednak milczał.

– Osiemdziesiąt tysięcy pięć funtów! – powiedział licytator zwracając się do Balcomb'a. – Czy mam zapalić świeczkę?

Balcomb skłonił się na znak przyzwolenia. I podczas gdy płonęły po kolei trzy świece, w sali wrzało jak w ulu.

– Pańskie nazwisko? – spytał licytator staruszka, gdy trzecia świeca miała zgasnąć.

Stary jegomość wszedł na estradę dla dokonania formalności.

Rozległ się stuk młotka i zgasła ostatnia świeca.

H? W obecności wszystkich zebranych – zaczął licytator uroczyście – przyznano maszynę Perkinsa panu Gregory Temple'owi, byłemu głównemu intendentowi londyńskiej policji, za cenę osiemdziesięciu tysięcy pięciu funtów szterlingów.

Tłum zaczął się rozchodzić, syt wrażeń, rozprawiając ze śmiechem o wydarzeniach ostatniej chwili. Percy Balcomb wraz z Perkinsem, kapitanem Abercrombie i załogą "Oswobodziciela" wyglądali jak uczestnicy pogrzebowego orszaku. Zamiast odpowiedzieć na pytania przyjaciół Balcomb zatrzymał się nagle i rzekł:

– Panowie, jutro wracam do Paryża. Mam przed sobą dzisiejszy wieczór i noc. Kapitanie, proszę przygotować trójmasztowiec "Orzeł", zakotwiczony w Greenwich. Statek ten będzie miał zaszczyt przewieźć na brzegi Gwinei tych, o których wiecie, oraz maszynę naszego przyjaciela Perkinsa. W dokach proszę zamówić na całą noc największego żurawia. Panowie, jutro, opływając wyspę Thanet, musimy pożegnać maszynę w drodze do jej szczytnego przeznaczenia, inaczej możemy złamać szpadę i włożyć żałobę po wszelkiej nadziei... Zagram teraz ostatnią kartę, nie jesteście mi już potrzebni: do jutra!

13. In extremis

Cela miała kształt czworoboku o gładkich murach, pomalowanych na żółtawy kolor, z jednym oknem, przeciętym żelazną sztabą, wąskim i długim jak usta bez warg. Newgate to na j ohydniej sze z ohydnych miejsc tego typu. Umeblowanie składało się z masywnego krzesła, przytwierdzonego łańcuchem do muru, oraz z drewnianej pryczy, przykrytej materacem. Na ziemi paliła się świeca w ciężkim ołowianym lichtarzu. Luksus ten drogo kosztował. Podczas obrad parlamentu nad regulaminem więziennym, które miały miejsce w kilka lat później, już za panowania Jerzego IV, mówiono o świecach sprzedawanych więźniom po gwinei za sztukę.

Średniowieczne cele były wilgotne i czarne, o sklepionych sufitach, żelaznych obręczach wmurowanych w granitowe ściany, jak tó się widzi w teatrze Porte-Saint-Martin w Paryżu. Kamienny kufer, w którym humanitarna Anglia zamyka więźniów, w teatrze przypuszczalnie wywołałby mniejsze wrażenie, gdyż nie jest tak przerażający, za to bliższy spokojowi grobowca. Ponurego miejsca nie ozdabiają efektowne fiorytury, jest to brzydota trzeźwa i na sposób pu-rytański surowa. Zbliżała się północ. Dzika bestia zamknięta w klatce nie spała. W chwiejnym blasku stojącej na podłodze świecy można było rozpoznać Ryszarda Thompsona, mimo straszliwej chudości i zmienionej twarzy. Siedział na krześle w spodniach i koszuli. Skrzyżowane na kolanach ręce ujęte były w specjalny typ kajdanków, zwany "rę-kawice ochronne". Głowa zwisała na piersi. Zapadłe policzki były tak blade, prostracja duchowa tak zupełna, że gdyby nie pozycja, w jakiej siedział, można by go już wziąć za trupa.

Obok, na kamiennych płytach podłogi, leżał zmięty papier. Zegar na kościele Świętego Jakuba wybił północ i więzień wzdygnął się, jak gdyby poczuł chłód, lecz nie wstał i nie okrył się płaszczem leżącym w nogach łóżka. Spoglądał na przeciwległą ścianę. Słaby blask świecy oświetlił wyraźnie ten kawałek muru. Na żółtawym tle widniał rodzaj nieudolnego szkicu, nakreślony węglem niewprawną ręką. Szkic mógł wycisnąć lzy z kamienia. Przedstawiał bowiem dziwnie wyraźnie sylwetkę klęczącej kobiety obok śpiącego dziecka. U góry napisano dwa imiona: "Zuzanna, Ryszard". Pewnego dnia klucznik więzienny chciał zetrzeć rysunek czyszcząc celę. Thompson błagał go na kolanach, całując mu nogi. Człowiek wzruszył ramio-

nami, nie był bowiem zły, i szkic pozostał. Thompson godzinami przyglądał się malowidłu.

– Sześćdziesiąt osiem dni – szepnął wpatrując się w mur. – Kochała mnie przecież! Czy wie, że mam umrzeć?

Z natury słaby, Ryszard nie był tchórzem. Jeśli płakał, to dlatego, że pozostawiał za sobą dwie najdroższe istoty. Jego cierpienie nie miało granic, gdyż nie podtrzymywało go żadne podniosłe uczucie, które pomaga znieść śmierć i tortury. Nie bronił ani politycznego przekonania, nie umierał za wiarę, nie padał na polu bitwy. Czekala go śmierć smutna i bez chwały, niszcząca młodość i dobre imię. Od dawna nie widział Zuzanny, od dawna też nie dostał od niej ani jednego listu. Bóg odebrał mu wszystkie radości po kolei, zanim skazał go na tę powolną agonię. Żeby choć słówko od Zuzanny. Ale nic, milczenie. Czy w ogóle wiedziała, co go czeka? Nie wątpił w nią ani chwili, ale cierpiał. Spoglądał w przyszłość i widział swoje dziecko rosnące pod opieką matki. Słuchał, jak mówią o nim, ale co będą mówić? To był najboleśniejczy punkt jego męki. I modlił się z rozpaczą, prosząc, by Bóg choć przed nią odkrył jego niewinność. By nie potrzebowała się wstydzić i mogła z podniesionym czołem nosić żałobę.

Zwątpił w Jamesa Davy, na Gregory Temple'a patrzył jak na swego kata, ale nie było w nim nienawiści i na nikogo nie rzucił przekleństwa. Był odważny. Wszystko się już skończyło. Wstępne wyniki śledztwa, przesłane z Paryża przez byłego intendenta londyńskiej policji, przedstawiły niezbite dowody winy i przeprowadzone były ze zwykłą dla pana Temple'a dokładnością. Sprawiedliwość puszczona tym śladem, chcąc zakończyć wreszcie sprawę, która wiele krwi napsuła potlicji, nieraz ją ośmieszając, szybko doszła do ostatecznych wyników. Jak zwykle, gdy ręce niebezpiecznego złoczyńcy nie mogą już szkodzić, świadkowie powyrastali jak grzyby po deszczu.

U Sharpera, w pokoju Jenny Paddock, widzieliśmy pierwszą próbę komedii, którą odegrano następnie przed sądem z wielkim sukcesem Zeznania "kurcząt" zadały Ryszardowi ostateczny cios, przekonując przysięgłych o jego winie. Sąd wydał wyrok śmierci. Leżący u stóp więźnia papier był kopią wyroku i negatywną odpowiedzią na jego apelację.

Kilka minut po północy dozorca otworzył drzwi celi i wszedł z miną zrzędy. Był to ten sam człowiek, który oszczędził szkic na murze. Twarz miał szkarłatną i mętne spojrzenie. Gdy wszedł, zamrugał oczami, marszcząc gęste brwi.

– Czy zakomunikujesz ani jeszcze jedną złą wiadomość, Ciarke? – spytał łagodnie Ryszard.

•• – Cóż to, nie kładzie się pan spać? – wybełkotał z trudem dozorca. – Niech mnie diabli wezmą, przez tę uczuciowość stracę jeszcze miejsce.

– Połóż się, jeśli każesz, Claike – odparł posłusznie więzień – ale nie chce jmi się wcale spać.

– Spać! powtórzył Ciarkę, trzymając się z trudem na chwiejnych nogach, a gdy spojrzenie jego padło na ścianę z ust wydobyło się przekleństwo.

– Niech to wszyscy diabli! – wymamrotał ochryple – wypiętem, panie Thompson, by dodać sobie odwagi. Czy pan też chce kropelkę? To pomaga.

W tej chwili usłyszano stukot drewnianego młotka cieśli. Więzień podniósł głowę nasłuchując, a w oczach odmalował się niepokój.

– Chce pan wypić kropelkę? powtórzył Ciarkę odwracając twarz.

– Po co? – spytał Thompson łamiącym się głosem.

Ciarkę nie odpowiedział. Młot cieśli budził w długich korytarzach więzienia ponure echo.

– Zuzanno, moja biedna Zuzanno! – szeptał Ryszard składając ręce.

– Tak, tak – mruczał Ciarkę ocierając rękawem oczy – i mały też biedny... Niech mnie piekło pochłonie! Doprawdy, chłopcze, nie trzeba było zabijać tej aktorki!

– Przysięgam na zbawienie duszy, że jestem niewinny – zawołał Thompson.

– Nic mnie to nie obchodzi, chłopcze, ale widzi pan, to z powodu tego obrazka na murze... I ja mam w domu żonę i dziecko... Dlatego wypiętem. Chce pan? – i rozchylił kurtkę, pokazując butelkę.

Jeden z robotników ustawiających szubienicę zaczął śpiewać. Ciarkę postawił butelkę na podłodze i zacisnął pięści, a widząc, że Ryszard drży, wziął płaszcz i okrył ramiona więźnia.

– To nie ze strachu – powiedział Thompson, usiłując się uśmiechnąć.

– Ten przeklęty Lewis śpiewa – warknął Ciarkę – już ja mu dam... Proszę wypić.

– To z zimna – Thompson odzyskał spokój. – Dziękuję, przyjacielu, ale wódka mi niepotrzebna... To już jutro, prawda?

Ciarkę chwycił butelkę i pociągnął spory łyk.

– O czwartej rano – rzekł. – Opowiedziałem mojej kobiecie o tym obrazku na ścianie... i gdyby pan zechciał coś zjeść czy wypić...

– Czy nie przyślą mi księdza? – przerwał więzień.

– A tak, zapomniałem. To ten Lewis i jego plugawa piosertka... Pastor czeka na dole z Biblią.

– Proszę cię, powiedz mu, że jestem gotów.

Clarke postąpił ku drzwiom, zatrzymał się i wrócił do więźnia.

– Żona powiedziała, że gdyby zechciał pan coś przesłać... – szepnął – pan rozumie... dla tych, co na ścianie... pójdzie, gdzie pan każe.

– Dziękuję ci, przyjacielu – w głosie Ryszarda słychać było łzy. – Mam na szyi medalion. Jeśli chcesz oddać mi wielką przysługę, wyjmiesz włosy, które są wewnątrz, i położysz mi je na piersi, gdy mnie będą grzebać... utniesz trochę moich włosów i włożysz do medalionu, a rano powiem ci, komu masz go odesłać, mój 'dobry Clarke.

Dozorca wyrwał rękę z dłoni Thompsona i uciekł z celi.

Więzień został sam. Już nie drżał słysząc stukot młota. Wyjął zza koszuli medalion i przycisnął do ust. Po kilku minutach usłyszał głos Clarke'a na korytarzu.

– Ostrożność jest naszym obowiązkiem – mówił dozorca – miał przyjść sam dziekan. Ale skoro ksiądz ma list z jego podpisem, to wszystko w porządku.

A odpowiadając na pytanie zadane pewnie przez pastora rzekł:

– Tak, tak, oni wszyscy niewinni... choć nigdy nie widziałem takiego jak ten, a już piętnaście lat jem chleb królewski. Aktorkę uduszono... Być może, za parę lat jakiś łotrzyk, wchodząc na szubienicę wyzna, że to on zabił., I takie rzeczy u nas bywają. Proszę, gdy ksiądz zechce wyjść, trzeba mocno stukać i wołać Józefa Clarke'a.

Drzwi otwały się, po czym zamknięto je na dwa spusty. Przed Thompsonem stał anglikański pastor z grubą Biblią w ręku. Thompson przyjrzał się duchownemu,

zastanawiając się, gdzie widział już tę łagodną twarz pod czarnymi włosami. Wstał przywitać gościa. Wówczas pastor położył na stole Biblię, zdjął kapelusz wraz z czarną peruką, spod której wyrzały jasne wijące się włosy i młodzieńcza twarz Jamesa Davy. Thompson osłupiał, chciał krzyknąć, lecz ręka pastora w porę zamknęła mu usta.

– Lepiej późno niż wcale, Thompson – szepnął przybysz.

– Coś mi mówiło, że pan przyjdzie, James – odszepnął Thompson ze łzami w oczach.

– Ryszardzie, gubię się w tych wszystkich nazwiskach – uśmiechnął się pastor. – Nazywaj mnie Henrykiem, to moje prawdziwe imię, Henrykiem de Belcamp; przyjaciele znają mnie odtąd pod moim prawdziwym nazwiskiem.

– Odtąd... – powtórzył Thompson. – Nie muszę ci mówić, co to słówko dla mnie oznacza.

– Oznacza przyszłość, Ryszardzie, młodość, szczęście... Czy myślisz, że przyszedłem przygotować cię na śmierć?

– Jak ci się udało?

– Obiecałem Zuzannie, że cię uratuję.

– Zuzanna! Opowiedz mi o niej, mów o małym Ryszardzie...

– Powiem wszystko, tylko teraz do roboty. Nie przyniosłem ci skrzydeł Ikar, a nawet Ikar nie wydostałby się dziurą zwaną oknem. Masz czarne spodnie, doskonale; zdejm płaszcz, ale szybko, gdyż nadejdzie jeszcze jeden gość, którego ja sam tylko muszę przyjąć.

Hrabia Henryk zakrył chusteczką otwór zamka, płaszcz rzucił na łóżko i otworzył Biblię, która okazała się jednym z przedmiotów umieszczonych w podróżnej torbie, jaką zabrał z Wersalu. Było to pudełko z teatralnymi szminkami. W mgnieniu oka Thompson został pomalowany od brody aż po korzonki włosów: prawdziwe dzieło sztuki, przedstawiające wierną kopię wielbnego Jamesa Davy.

– Czy wyjaśnisz mi?... – zaczął Ryszard.

– Naturalnie – przerwał Henryk. – Zuzanna jest smutna i kocha cię zawsze.

– O, dziękuję, dziękuję!

– Nie ma za co. Następnie mały Ryszard ma dwie matki: Zuzannę i Sarę. To najszczęśliwsze i najśliczniejsze dziecko na świecie. Do diabła, jeśli będziesz płakać, zepsujesz całe malowidło! Tylko nie myśl, że z mojej strony to jakiś akt bohaterstwa, to po prostu mój obowiązek. I tak będę twoim dłużnikiem za wszystko, co wycierpiałeś. Mam nadzieję oddać ci kiedyś i ten dług.

– Drogi przyjacielu – oburzył się Thompson – czyż zapomniałeś, co już dla mnie zrobiłeś?

– Siedź spokojnie, muszę ci włożyć perukę. Jeszcze nie regulujemy rachunków. Wielbny Piotr Trump, dziekan od Świętego Jakuba, nie potrafiłby cię tak ustroić, o nie. Ale pan Tempie nauczył nas niejednego. Wyobraź sobie, że ten czcigodny Piotr Trump jest obecnie uwięziony przez cztery piękne damy, z których dwie to hrabiny.- Po takiej ucieczce z więzienia będziesz lwem salonów.

– Więc ucieknę? – powiedział Ryszard, który pozwalał się obracać na wszystkie strony jak kukła.

– Czy o tym wątpisz? Do diabła, gdybym nie był pewien, że za kwadrans już cię tu nie będzie, ten stukot młotka nie pozwoliłby mi zasnąć.

– Daleko stąd do wolności – westchnął więzień.

— Dwieście kroków i pięć minut bezczelności. Ja przecież wszedłem, dlaczego ty nie miałbyś wyjść? Wkładaj mój kaftan i pamiętaj, że wielbny mówi cicho, gdyż cierpi na zapalenie gardła.

– To dlatego nie słyszałem na korytarzu twego głosu?

– Otóż to. Tak obmyśliłem, gdyż głosu nie można zmienić jak twarzy. Zastępca dziekana Trumpa chodzi powoli, z godnością. Spróbuj. Więcej godności! Zobaczysz, jutro twoje nazwisko pojawi się w "Timesie". Teraz kapelusz. Jeśli cię kto zapyta, jesteś wielbny John Gravesend, zastępca wikarego od Świętego Jakuba. Powtórz nazwisko.

– John Gravesend.

– Mów ciszej. Szepcz z trudem, czy zapomniałeś o chorym gardle?

– John Gravesend – wyszeptał Ryszard – zastępca wikarego od Świętego Jakuba.

– Doskonale! Pójdiesz za Clarkiem, z Biblią pod pachą. Jeśli będzie milczał, nie odzywaj się. Jeśli cię zapyta, odpowiesz szeptem: "Ach, nieszczęsny chłopiec! Biedny młodzieniec!"

– A ty? – "•"; zapytał Thompson.

– Nie martw się o mnie. Nawet gdybym miał rozwalić te mury, za kilka godzin muszę być na drodze do Paryża. Przyrzekłem. Czy jesteś gotów?

– Jestem gotów sto razy stawić czoło śmierci, byle ujrzeć żonę i dziecko – odparł Ryszard.

– Na nic się nie narażasz. Zachowaj tylko zimną krew i nie spiesz się. A teraz słuchaj, gdy dojdiesz do bramy, powiesz odźwiernym: "Przyjaciele, módlcie się za nieszczęśliwego, co ma wkrótce umrzeć". Gdy znajdziesz się na ulicy, skrócisz w prawo, jak gdybyś miał zamiar iść do kościoła Świętego Jakuba. Po drodze jednak wpadniesz w pierwszą przecznicę w stronę Smith Fiels, tak szybko, jak ci nogi pozwolą. Dojdiesz do Tamizy, przejdiesz most i wrzucisz kaftan do rzeki. Pozostanie ci kurtka i szkocka czapka, którą znajdziesz w prawej kieszeni. Do czwartej rano będziesz chodził po Bermondsey, a o tej godzinie wejdiesz do szynku "Pod Szpadą Nelsona", na rogu doków Świętego Wawrzyńca. Ja już tam będę. Czy wszystko jasne?

– Tak, ale pozwól, że zapytam...

– Wiesz wszystko, co musisz wiedzieć, a ja nie mam czasu. Oto Biblia. To mówiąc popchnął Ryszarda ku drzwiom.

– Już można? – spytał.

– Można – odparł Ryszard.

Henryk walnął w drzwi, wołając przy tym zduszonym głosem:

– Ciarke! Józef Ciarke!

Po chwili na korytarzu usłyszano kroki.

Henryk cofnął się szybko, usiadł na krześle kryjąc twarz w dłoniach i otulił się płaszczem Ryszarda. Widać było tylko tył jego jasnej głowy. We drzwiach stanął Ciarke, zupełnie pijany. Zapewne szukał pociechy w butelce.

– Słucham, wielbny ojciec – powiedział do Ryszarda.

– Ach, nieszczęsny młody człowiek! – zaszemrał Thompson z głębi gardła.

– O, tak... a czy widział ksiądz obrazek na murze?

I wyszli na korytarz. Henryk słyszał jeszcze odpowiedź Ryszarda.

– Nieszczęsny młodzieniec!

A Ciarke dodawał pouczającym tonem:

– Gdy się ma tak chore gardło jak ksiądz, należy zagrzać kwartę dzinu z cfukrem, pieprzem i korzeniami.

W tej recepcie były jeszcze inne ingrediencje, lecz głos dozorczy zginął w oddaleniu.

Henryk spojrział na zegarek. Było pół do pierwszej. Toaleta Thompsona trwała dziesięć minut. Wyciągnął się wygodnie na więziennej pryczy i zamknął oczy przy akompaniamencie stawianej szubienicy.

14. Uczeń i mistrz

Henryk miał za sobą pięćdziesiąt mil konnej jazdy i dwie nieprzespane noce. Gdy więc wyciągnął się na pryczy, ogarnął go sen, któremu nie potrafił się oprzeć. Bywa, że ludzie ryzykujący życie mogą spać jednym okiem, jak ptak zawieszony na gałęzi. Henryk również spał nad brzegiem przepaści, lecz instynkt czuwał, toteż nie stracił poczucia rzeczywistości, i pozwalał odpocząć myślom. Spiać czekał.

Leżał twarzą do ściany, a blask stojącej na ziemi świecy oświetlał plecy przykryte płaszczem Ryszarda i jasne włosy. Profil gubił się w mroku. Po upływie pół godziny na korytarzu rozległy się kroki. Henryk nie drgnął. Po chwili zza drzwi doszedł szept dwóch głosów.

– Wiele ryzykuję – Ciarke z trudem wymawiał słowa – pan przecież wie, pan to zna. W (jaki sposób młody człowiek mógł panu napisać, kiedy nie pozwalano mu wysyłać listów?

– Ale ja wiem, co mówię – upierał się drugi głos.

– Musiało to pana drogo kosztować! Trochę sobie wypilem, patrzeć nie mogę na tego biedaka, tak mi ciężko! Łagodnie to jak baranek, po za tym narysował coś takiego na ścianie...

– Co takiego?

– Zrobił to węglem. Kobieta i dziecko...

Henryk poruszył się na posłaniu i uniósł głowę. Spojrzał na przeciwległą ścianę i zobaczył rysunek. Znowu popatrzył na zegarek i przytulił głowę do poduszki.

– Słuchaj, Ciarke – mówił drugi głos – wiesz, że wiele jeszcze mogę. Nie pozostanę dłużej jak pół godziny, a ty za jednym zamachem zarobisz dwadzieścia gwinei.

– Tak, tak ■ – zamruczał Ciarke – żonie potrzebny nowy płaszcz...

Dwadzieścia gwinei i żadnego ryzyka. Teraz jest pierwsza, a przed trzecią nikt do więzienia nie przyjdzie.

– O czwartej, tak przykazano. A szeryf z konstablami będą dziesięć minut wcześniej.

[g] Mamy więc cztery razy więcej czasu, niż potrzeba.

Klucz zazgrzytał w zamku, jak gdyby prowadzony niepewną ręką.

– Dobrze – mówił Ciarke – ale nie robię tego tylko dla dwudziestu gwinei, niech mnie Bóg skarże, jeśli kłamię! Wszystko się we mnie przewraca tej nocy... i gdyby tak mnie zabierano od żony i dziecka... do licha!

Rygiel zazgrzytał, odsunięto zasuwę i Henryk usłyszał brzęk złota.

– Gdy zechce pan wyjść, proszę mocno stukać, i wołać.

Po czym drzwi zamknęły się za Gregory Temple'em.

Były intendent policji stał chwilę niezdecydowany. Światło padające | dołu uwydatniało zmarszczki na jego twarzy, kładąc na oczy wielkie cienie. Nosił strój dozorców z Newgate, gdyż tylko w taki sposób, poparty grubą sumą, udało mu się wejść do więzienia. Kołnierz kurtki sięgał do połowy policzków, z kieszeni wystawał pęk kluczy, na głowie szkocka czapka głęboko wciśnięta na czoło. Niespokojnym spojrzeniem obrzucił celę. Wzrok jego napotkał rysunek, odwrócił oczy.

_ Ryszardzie – szepnął po chwili.

Od strony pryczy odpowiedział równy oddech śpiącego.

– Ryszardzie – powtórzył głośniejszym głosem, a nie otrzymując odpowiedzi podszedł do leżącego, powtarzając niecierpliwie: -^r .Ryszardzie, Ryszardzie Thompson!

– Nie jestem głuchy – mruknął zduszonym głosem więzień. Pan Temple nie podejrzewał niczego, a nawet gdyby podejrzewał,

odpowiedź ta rozwiałaaby wszelkie niepokoje, gdyż Henryk, jak prawdziwie wielki aktor, posiadał sztukę naśladowania głosu.

– Nie poznajesz mnie? – spytał Gregory Temple niecierpliwie.

– Owszem, jest pan sznurem, na którym mam wisieć.

– Jestem ojcem twej żony, Ryszardzie. Oszukano mnie. Przychodzę naprawić winę.

– Jeśli żałuje pan, przebaczam. Przed chwilą rozmawiałem z pastorem i chcę umrzeć jak chrześcijanin, a jednocześnie jak mężczyzna. Wraz z panem powracają wspomnienia... proszę wyjść.

– Przynoszę ci wolność, synu! – zawołał Gregory Temple chwytając domniemanego Thompsona za ramię. – Wiem, jak cię skrzywdziłem, nie żądam od ciebie przebaczenia i wdzięczności, ale wysłuchaj mnie, zaklinam cię na Zuzannę i dziecko!

Głowa fałszywego Ryszarda zagłębiła się jeszcze bardziej w twardą poduszkę.

– Słucham – powiedział głucho. Gregory Temple chodził gorączkowo po celi.

– Ryszardzie – powiedział wreszcie gwałtownie gp jesteś teraz moim synem. Oszaleję, ale musisz mnie pomścić.

Więzień leżał bez ruchu.

– Musisz pomścić i siebie – ciągnął gość pochylony nad łóżkiem – musisz pomścić łzy Zuzi... O, jak jasno wszystko teraz widzę, zupełnie jakbym miał dwadzieścia lat. Zaraz ci powiem, jak stąd wyjdiesz... Przedtem muszę ci wyjaśnić twoje zadanie. Jeśli ja zostanę zamiast ciebie, ty musisz działać w moim imieniu. Fałszywy Thompson odetchnął głośno. Pan Tempie opadł na krzesło.

– Powiem ci teraz wszystko, całą prawdę. O, jak dobrze wszystko rozumiem... Ten człowiek uciekł, sądzi, że jest ocalony, to on uczynił piekło z naszego życia, on zmienił moją Zuzię w smutny posąg bóleści, to on zamącił mi mózg szaleństwem i on wbija gwoździe do twojej szubienicy.

– James Davy... – mruknął więzień.

- Ach, więc słuchasz mnie nareszcie! Bogu niech będą dzięki! Tak, 348

to James Davy, nieważne inne jego nazwiska... James Davy, potrójny morderca.

James Davy jest w Londynie. Przypuszczalnie triumfuje. Ale on jest zgubiony! I jeśli jesteś mężczyzną i wypełnisz moje instrukcje... Ryszardzie, by cię uratować, narażam więcej niż życie. Powiedz, że będziesz mi posłuszny, czuję ogień pod czaszką, a głos jakiś mówi mi, że to jest przeznaczenie.

– Nic mi part jeszcze nie polecił – głos więźnia brzmiał głucho. – Nikt już nie może mi zaszkodzić. O co panu chodzi?

– Wyjaśnię ci wszystko, Ryszardzie – westchnienie dobyło się z piersi byłego intendenta. – Rozumiem twój brak zaufania, pomyśl jednak, że mogłem pozostawić cię własnemu losowi, a tego nie uczyniłem. Na cóż miałbym cię zwodzić? Zguba tego człowieka pomści mnie za wszystkie upokorzenia. O, jak ich nienawidzę! Mac Allan, mój następcą... lord najwyższy sędzia... i regent! Regent, który powiedział mi: "Proś o wszystko, co zechcesz", regent, niewdzięczny dłużnik, wyśmiał mnie wobec wygalowanych służalców słowami: "Rzeczywiście, winien jestem temu staruszkowi... miejsce w domu wariatów". – Mówiąc to zgrzytał zębami, a pot kroplisty spływał po twarzy detektywa. – Ghcę wziąć za włosy ściętą głowę tego człowieka i rzucić ją wszystkim w twarz. Szlachetne durnie! Czy wiesz, kim byłem, zanim ten szatan zabrał mi rozum, pamięć, inteligencję? Byłem Gregory Temple'em, przed którym drżeli nawet książęta krwi. Wiedziałem i widziałem wszystko! Sam król, gdybyśmy mieli króla, nie śmiałyby przemawiać do mnie jak do swych ministrów. Wiedzieć wszystko! Czy rozumiesz, jaka to siła? Wiedzieć wszystko, gdy każdy ma coś do ukrycia!

Posiadłem tę potęgę. A upadłem tak nisko, że złodzieje z dzielnicy Saint Gilles kpią ze mnie, gdy spotykają mnie na ulicy.

– Bardzo pan nienawidzi? – spytał więzień tak spokojnie, że Gregory Temple podskoczył na krześle.

– O, tak – wycharczał – dość we mnie nienawiści, by rzucić łotra na pastwę katu! Teraz ci wyjaśnię: zadanie twoje łatwe. Czy ani trochę nie lubisz ojca twej żony, Ryszardzie?

– Dawniej... – odparł wymijająco więzień.

– Tak, rozumiem – szepnął pan Temple wzruszony. – Tyle wycierpiałeś... Gdybyś mógł się przekonać, że tylko on, on jeden jest przyczyną wszystkiego.

– Co mam robić? – przerwał fałszywy Thompson.

– Tak, tak, masz rację, to najważniejsze! Niech go skazą zaocznie, i to mi wystarczy. Słuchaj: mam w Paryżu decydujące dowody zakopane w ziemi, wskażę ci zaraz miejsce.

– Gdzie? – spytał Thompson.

Ale pan Temple porwany tokiem myśli, nie usłyszał pytania. – Wiesz, co to alibi, prawda? – snuł po chwili swe rozważania. – Sędziowie francuscy stoją wobec takiego alibi, jakiego nikt dotąd nie widział. Wyobraź sobie trójkąt ABC. Dwie zbrodnie popełnione jednocześnie, jedną w punkcie B, drugą w punkcie C. Oskarża się człowieka, który wykazuje jasno i niezbicie, że w dniu zbrodni znajdował się w punkcie A... Wiesz już, że cały mój system dedukcji ma geometryczną podstawę, gdyż doszedłem do wniosku, że każdy złoczyńca pragnie zapędzić sędziów w kąt bez wyjścia. Dla mnie więc, jako dla twórcy systemu, cała ta kombinacja nie przedstawia cienia wątpliwości. Widzę tu rękę ucznia i cała robota podpisana jest "James Davy". Sam James Davy woła do mnie: "To ja jestem mordercą!" Ale sędziowie francuscy nie wiedzą o tym, oni trzymają się starych metod. I to potrójne niepodobieństwo, jak mur nie do przebycia, na zawsze powstrzyma ich od dalszego dochodzenia. James Davy oskarżony jest w Paryżu pod nazwiskiem hrabiego Henryka de Belcamp. W pewnej zaś chwili znalazło się trzech Henryków de Belcamp, jeden w punkcie A, ten prawdziwy, jeden w punkcie B, czyli Nolla, zapaśnik, i trzeci w punkcie C, czyli Dick z Lo-chaber. To takie proste, nieprawdaż? A oto papier z dokładnym planem miejsca w Tivoli, w Paryżu, gdzie leżą zwłoki Nolla i Dicka, zamordowanych po powrocie z punktów B i C w przeddzień areztowania Jamesa Davy w punkcie A. Dowiesz się z tego papieru, że dziesięć osób, których nazwiska są tu wymienione, zaświadczy, iż owego wieczoru w Operze Komicznej widzieli krew na mankietach i na kamizelce Henryka de Belcamp. Weź ten papier oraz klucz od mego pokoju w Paryżu, na ulicy Dauphine numer 19.

Więzień widocznie nie dowiedział się jeszcze wszystkiego, gdyż dalej leżał bez ruchu.

– Panie Temple – dobył się głos z poduszki – podczas procesu sędziowie mówili o panu jako o człowieku, który postradał rozum... Nie uwierzyłem, gdyż wiem, że zdolny pan jest do wszystkiego. Mam jeszcze pewną nadzieję ocalenia... Jaki sposób ucieczki pan mi proponuje?

– Najprostszy i najniebezpieczniejszy dla mnie – odparł detektyw bez wahania. – Przebierasz się w moje ubranie, a ja zajmuję twoje miejsce.

– Ale różnica wieku...

– Mam tu wszystko, by cię zmienić w starca.

– A co potem?

– Na twoim miejscu nie pytałbym, co potem. Gdy się przemienisz w staruszka, wyjdiesz, a Ciarke, pijany jak bela, doprowadzi cię do zachodniego korytarza, wychodzącego na dziedziniec Prasy. Dasz mu pięć funtów, a on powierzy cię swemu koledze, który trochę więcej kosztuje: dostał już piętnaście funtów,

wypłacisz mu drugie tyle, a on doprowadzi cię do północnej bramy, gdzie będzie oczekiwał stary odźwierny. Dasz mu trzydzieści funtów i uściśniesz dłoń, to mój stary znajomy. Gdy znajdziesz się na ulicy, czyż muszę ci mówić, co masz robić dalej?

Więzień wyciągnął rękę po papier i klucz, po czym, obracając się na pryczy, powiedział naturalnym głosem:

– To wszystko, co chciałem wiedzieć, panie Tempie.

Detektyw zdrzął na dźwięk tego głosu i nagle olśniła go prawda. Więzień tymczasem ukazał pogodną i nieustraszoną twarz Henryka de Belcamp.

Gregory Tempie chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązał mu w gardle. Henryk patrzył spokojnie, oparty na łokciu. Mózg detektywa opanowywało szaleństwo. Cofał się szcękając zębami. Hrabia Henryk spoglądał na przeciwnika z zimną obojętnością.

Nagle z oczu detektywa stszelił jasny błysk, a prawa ręka zagłębiła się pod kurtkę.

– Odźwierny zabrał panu pistolety; gdy będę wychodził, zażądam, by mi je oddano.

– Nędzniku – wrzasnął Gregory Tempie z pianą na ustach. – Wyjdiesz stąd chyba po moim trupie!

– Jeśli będzie potrzeba, mistrzu – odparł Henryk – wyjdę po pańskim trupie. A wie pan – dodał z powagą, w której czaiła się groźba – że aby zabić, nie potrzebuję broni.

Oczy detektywa nabiegły krwią, przejął go lęk własnej bezsilności. Ujrzał się już na kamiennych płytach podłogi, a prawa ręka mordercy dotykała jego szyi. Wizja była tak realistyczna, że poczuł brak tchu. Otworzył usta, by krzyknąć.

– Proszę poczekać, aż pana ktoś usłyszy – rzekł spokojnie Henryk kładąc się na pryczy – ten cieśla tak hałasuje. Uratowałem Ryszarda Thompsona, męża pańskiej córki, ale jego los związany jest z moim.

– Niech moja córka zostanie wdową! – wycharczał Gregory Tempie.

– Panie Tempie – odrzekł Henryk, w którego wzroku odmalowało się chłodne politowanie – żal mi tych, którym szaleństwo odjęło serce. Proszę się nie oburzać na to słowo, ma ono inne znaczenie niż w ustach pańskiego następcy. Być może, ja również mam cel, dla

którego poświęcę wszystko, co kocham. Nie ja wydałem panu wojnę. Uprzedziłem, że posiadam niezawodną broń i że walka będzie śmiertelna. Nie czuję nienawiści ani żalu, kocham tych, których pan powinien by kochać, a pan rzuca ich jako stawkę w partii, która skończy się dla pana klęską. Wobec mnie jest pan słaby. Za tymi drzwiami znajduje się pijany człowiek, przypuszczalnie drzemie w kącie i by go obudzić, potrzeba nie pańskiego słabego głosu, ale mego okrzyku, głośnego, jak dźwięk rogu... Powiedziałem już, że muszę stąd wyjść, nawet gdybym zostawił tu pańskiego trupa. Niech pan nie wzywa dozorcę, ręka moja to straszliwy knebel i, na zbawienie duszy, jeśli będzie pan cicho, nie spotka pana nic złego.

Gregory Tempie pochylił głowę. On także był człowiekiem nieugiętym i zdawał sobie sprawę ze swej słabości, ale nie był jeszcze pobity, gdyż wróg gardził użyciem siły. Często zabija ten, który wydaje się pokonany. Gregory Tempie szukał gorączkowo odpowiedniej broni. Badał ograniczone pole walki. Między przeciwnikami była tak wielka różnica, pomagając siłę młodszego i słabość starszego. W tej walce bez broni, podobnej do walki, jaką prowadzi sędzia z oskarżonym, były intendent podobny był do oskarżonego, a winowajca, zbiegły więzień, reprezentował spokój i autorytet przedstawiciela prawa.

– Panie Tempie – podjął Henryk po krótkiej chwili – tak się złożyło, że wywarł pan wielki wpływ na moje życie. Nie powiem, by ten wpływ był dobroczynny. Przez pana

wiele wycierpiałem, ale cierpienie hartuje ducha, być może więc, że część mojej siły panu zawdzięczam. Panie Tempie, pan kochał moją matkę, markizę de Belcamp.

– Ja, kochać Helenę Brown? – zawołał z oburzeniem detektyw.

– Nie Helenę Brown, tę piękną dziewczynę, którą zhańbili i zgubili mężczyźni i kobiety z angielskiej arystokracji, nie upadłego anioła, stojącego nad brzegiem przepaści, którego ostatni z rycerzy, mój ojciec markiz de Belcamp, okrył nieskalanym płaszczem swego honoru; nie tę kobietę, która wciągnięta przez niskie namiętności odrzuciła precz ślubną suknię i podeptała zbawienie, która w porywie zimnego i ohydneho szaleństwa zanurzyła się z okrzykiem rozkoszy w bezdennym bagnie rozpusty, nie tę legendarną Helenę Brown... ale czarownicą istotę, kobietę ukazującą się jak meteor na pańskim zamglonym horyzoncie... Kreolkę... czy już pan rozumie?... czarodziejkę...

Pan kłamię powiedział twardo Gregory Tempie.

– Lady Karolinę Dudley – dokończył Henryk.

– Pan kłamię – powtórzył detektyw.

– Matkę bandyty Toma Browna, mego brata, a pańskiego syna.

Po raz trzeci Gregory Tempie powiedział: "Pan kłamię", ale padł

na krzesło zakrywając twarz. Po raz trzeci hrabia Henryk spojrzał na zegarek.

– Panie Tempie, czas i miejsce wydają się niewłaściwie wybrane na rozmowę tak poważną i uroczystą, jaką musimy odbyć, ale mogą upłynąć lata, zanim znowu staniemy naprzeciwko siebie. Pan będzie więźniem, ja zaś wolnym człowiekiem, gdy natomiast będzie pan woliny, misja, (której poświęciłem życie, położy między «nami ocean...

– Przede wszystkim proszę o dowody tego, ico pan mówi – zawołał detektyw.

– Dowód znajduje się w pańskim sumieniu oraa. w nienawiści.

– Nie ma pan innych dowodów?

– Owszem. Nosił pan niegdyś, a może i dziś jeszcze nosi na szyi medalion zamykający kropelkę zaschłej 'krwi, dziwną relikwię miłosnej nocy. Na złotej pokrywce medalionu Karolina Dudley, igłą, którą się ukłuła, narysowała serce oraz litery oznaczające...

"Heart's blood"! (Krew mego serca) – powiedział cicho Gregory Tempie. – H. i B.

– Tak, H. i B. – powtórzył hrabia Henryk – Helena Brown.

Pan Tempie rozpiął gwałtownie koszulę, wyjął medalion, pamiątkę przechowywaną od tyłu lat, i izgniół obcasem mówiąc:

– Należy zniszczyć wątpliwość.

– To odruch złego serca – odrzekł Henryk, w którego oku zapaliła się iskra. – Nie o tym mamy mówić. Nie jestem tu w roli petenta, ale rozkazodawcy, a rozmowa nasza jeszcze się nie zaczęła. '

– Czy może pan wskazać mi Toma Browna? – spytał Gregory Tempie.

– Być może, w oznaczonej godzdmie.

– A Helena Brown, o której mówią, że umarła, czy też wyjdzie jeszcze z grobu?

– Jeśli będzie potrzeba.

Zapadło milczenie, które przerwał hrabia Henryk.

– Panie Tempie – powiedział – był pan umierający w chwili, gdy Helenę Brown sądzono, skazano i wysłano do Australii wraz z Tomem, pańskim synem. Ona dochowała tajemnicy, licząc jednak na pana. W decydującej chwili był pan chory i sekret jej okazał się bezużyteczny. Urodził się pan, by zadawać ciosy, 1 nie po to, by wspomagać i ratować: każdy ma swoje przeznaczenie na tej ziemi. Pojechałem do Nowej Południowej Walii wolny, za chwilę pomówimy o podwójnej przyczynie mojej podróży. Spełniłem obowiązek oraz po-

zwoliłem dojrzeć wielkiej idei, po czym wróciłem do Londynu. Może pan się uśmiechać, ale muszę już liczyć minuty, więc pragnę, by mi pan nie przerywał. Zostałem panu przedstawiony przez lorda Payne'a, który znał pańskie zażyłe stosunki z sekretarzem admiralicji. Nie będę jednak mówił o admiralicji. Jeden fakt jest niezaprzeczony: oto policja, otoczona taką odrazą, wzbudza u swych adeptów nieprawdopodobne wprost oddanie. Spodobałem się panu pod nazwiskiem Jamesa Davy i nie będę przypominał wszystkich zabiegów, podejść, delikatnych objawów sympatii, jakie pan stosował, by pozyskać we mnie gorliwego prozelitę. Długo pozwoliłem się prosić, choć już byłem nawrócony, gdyż pański system podbił romantyczną stronę mojej natury i zrozumiałem, że w pańskim biurze większe mam pole do działalności niż w admiralicji. Pan mnie posądził o kradzież i o morderstwo, panie Temple...

– A pan jest tylko spiskowcem, prawda? – zadrwił detektyw. – Znam już tę śpiewkę.

– „Za kilka miesięcy – ciągnął Henryk, jak gdyby nie słysząc drwiny – będę pierwszym ministrem potężnego cesarstwa... a pan zrozumie bezsens swego sceptycyzmu.

– A gdyby tak było – Gregory Temple wzruszył ramionami – czy opowiadałby mi pan swe fpjemnice?

– Nie powiedziałem panu ani jednej z mych tajemnic, ale i na to przyjdzie czas. Siłą moją było znać to, co panu nde znane, gdyż pan jeszcze walczył. Teraz jest pan pokonany, a łańcuch, którym pana skułem, pójdzie za panem wszędzie. Gdybym chciał, byłby pan wolny, a ja powiedziałbym: „Proszę iść, oskarżać, uderzać!” Ale przygwoździłem pana do ziemi, sparaliżowałem pańskie ramię, skazałem pański język na milczenie.

– Proszę otworzyć te drzwi – zawołał detektyw – a zobaczymy, jaki efekt wywołają pańskie sztuczki!

– Drzwi się otworzą – odparł poważnie Henryk – ale jeszcze nie wszystko panu powiedziałem... W biurze Scotland Yardu wpadły mi w ręce. dwa listy Konstancji Bartolozzi; oba były dowodem zdrady. Wydaje mi się, że wie pan, o co chodzi, jeśli widział się pan z Fryderykiem Boehm?

Gregory Temple skinął głową. Wszystko, co dotyczyło aktorki, przykuwało jego uwagę.

– Znając cały mechanizm pańskiego systemu, nie wątpiłem ani na chwilę, że wcześniej czy później podejrzenia pana skoncentrują się na mojej osobie, gdyż przebywałem w biurze pod przybranym nazwiskiem. Przejąłem więc te listy i skierowałem pana na fałszywy trop. Wówczas pragnąłem tylko zyskać na czasie do chwili, gdy wielka sprawa mego życia pozwoli mi przenieść się do Francji. I wszystko miało być skończone między nami.

– Ul Więc kogo oskarża pan o zabójstwo Konstancji Bartolozzi? – przerwał Gregory Temple.

– Toma Browna, pańskiego syna – odparł Henryk, po czym ciągnął dalej: – We Francji fatalność postawiła mnie trzy razy wobec pana: spotkałem pańską córkę, poznałem Roberta Surrisy, pańskiego ajenta, wreszcie córkę śpiewaczki... pokochałem ją...

– Naturalnie nie dla milionów, które pana spryt miał jej dostarczyć – zadrwił Gregory Temple.

— Gdyby nie miliony, byłby pan uratowany. Proszę zauważyć, że moje postępowanie było wymierzone nie przeciwko panu, lecz przeciw pańskiemu systemowi, który nieuchronnie musiał pana naprowadzić na mój ślad.

I— Czy Tom Brown zabił generała O'Brien? — przerwał Gregory Temple.

— Tak, mordercą Maurycego O'Brien jest pański syn, Tom Brown; Tom Brown, spadkobierca Turnera i Robinsona, zamordował dwóch piwowarów. Wracam teraz do Thompsona i pańskiej córki. Przebaczyli mi oboje i kochają mnie, jestem ich dobroczyńcą. W procesie wersalskim znowu stanął pan przeciwko mnie. Lecz poruszając niebo i ziemię w obawie, by nie umorzono sprawy, znalazł pan we mnie sprzymierzeńca, a nie przeszkodę...

— W jaki sposób tłumaczy pan dwa paszporty, wystawione na nazwisko hrabiego Henryka de Belcamp? Czyż nie posłużył się pan moją metodą sprowadzenia do absurdu?

— Gdybym praktykował pańskie zasady, mógłbym wyciągnąć zupełnie inne wnioski z pańskich lekcji, mistrzu — odparł Henryk. — Toma Browna, pańskiego syna, usuwał w cień prawowity spadkobierca, jedyny syn Heleny zrodzony w małżeństwie, hrabia Henryk de Belcamp. I nawet jeśli Tom nie wiedział o zapisach na rzecz Janiny Herbet ani nie znał mego projektu małżeństwa z córką śpiewaczki, byłem jedyną przeszkodą dzielącą go od milionów. Nic o tym nie wiedząc, Tom Brown był pańskim narzędziem. Mistrzu, mam zaszczyt zawiadomić pana o moim małżeństwie z panną Herbet...

— W pańskiej sytuacji! Ośmielił się pan włożyć tak straszną broń w ręce Ministerstwa Sprawiedliwości?

— Nie... wyznaję, że się zawahałem. Odegrałem komedię. Poślubiłem pannę Herbet pod nazwiskiem Percy Balcomb.

— I mnie to pan opowiada?

— Raz jeszcze zwracam panu uwagę, że spowiadam się wobec umarłego. Detektyw drgnął i spojrzał na przeciwnika z nieufnością.

— Umarłego moralnie — podjął Henryk z uśmiechem. — Zanim stąd wyjdę, powiem panu jeszcze o wiele ważniejsze rzeczy. Broniłem się przed panem, jak umiałem, i napadnięty, nie uderzałem na ślepo. Ponieważ czeka mnie wysoka godność, nie mogłem zadowolić się półśrodkami. Minister Cezara, zarówno jak jego żona, «nie mogą być podejrzani! Jestem prawnikiem, więc przedsięwziąłem energiczne kroki. Nie pozostawiłem nic poza sobą. W Pradze mam wyrok królewskiego trybunału, w Londynie orzeczenie sądu przysięgłych przeciwko Thompsonowi. We Francji sprawa też będzie osądzona... Co się tyczy Toma Browna, który wydaje się zdecydowany zakłócać mi życie, mam przeciw niemu plac na Tivoli i trupy Nolla i 'Dicka, pomordowanych współników. Na tym kończy się pierwsza część mego przemówienia.

Czy w historii o Tomie Brownie był choć atom prawdy? Nie wiadomo. Rozdwojenie "to tłumaczyłoby wiele faktów nie wyjaśnionych. Rozbity medalion leżał na podłodze, połyskując złotem w chwiejnym blasku dopalającej się świecy. Kto mógł odkryć Henrykowi tajemnicę kropli krwi oraz inicjałów, będących wyznaniem miłości, a jednocześnie podpisem hańby?

— Przez przeszło rok widział pan z bliska moje życie — podjął Henryk. — Jestem światowcem i nie posiadam niezaspokojonych niskich namiętności. Byłem bogaty i mogłem żyć bez pracy. Cóż popchnęłoby młodego hrabiego de Belcamp po odbyciu studiów do zanurzenia się w londyńskim błocie przestępczego świata? Stamtąd bowiem, z samego dna występku, wyrok sądowy wydarł Toma Browna, by go zesłać do Australii. Gdyby pan nawet przyznał, że podczas zbrodniczej działalności Toma Browna w Londynie, ja studiowałem na różnych uniwersytetach, gdyby uwierzył pan,

że nie ja byłem skazanym Tomem Brownem, czy rozumie pan, co pchało mnie ku tej australijskiej ziemi, straszemu ściekowi naszej cywilizacji? Moja matka? Zgadł pan. Nigdy nie przestałem kochać matki. Ale to nie wszystko... { choćby pan uśmiechał się z pogardą, spiskowiec umknął, podczas gdy polował pan na złoczyńcę. Oczy panu błyszczą, mistrzu, jak za dawnych dobrych dni, gdy wpadliśmy na trop. Proszę jednak się nie cieszyć. Trop jest dobry, ale prowadzi do niezdobytej fortecy. Byłem ambitny, kochałem wolność, entuzjazmowałem się wojnami o niepodległość -amerykańską. Mój ojciec był jednym z bohaterów tych walk. Ja również pragnąłem zadać cios Anglii. Dlatego wyru-

szylem do Australii, by głosić wojnę krzyżową. Mówi pan, że to dzieciństwo? Byłem wówczas dzieckiem, Australia także. Ale dorosłem i jestem mężczyzną, a Australia też doczeka się pełnoletności. Między Australią i Londynem wznosi się skała zwana Wyspą Świętej Heleny... Nienawidzimy tych samych ludzi, mistrzu. Regent Anglii wraz ze swymi poplecznikami okrutnie pana obraził. Czy chce pan się zemścić?

Pan Tempie podniósł jasne spojrzenie i rzekł:

– Nie można mścić się na całym narodzie. Niech Bóg chroni regenta. Jestem Anglikiem.

– A także dżentelmenem; przykro mi, że jestem pańskim wrogiem.

Zapadła cisza, widocznie szubienica była już gotowa. Henryk chwilę nasłuchiwał.

– Jest pan Anglikiem – powiedział nagle – więc nie obrażę Anglii. To wielki naród, nawet przez to, że na całym globie ziemskim potrafił posiać nienawiść i lęk swego imienia. Studiowałem mapę. Z Afryki dolatywał ochrypły głos angielskich handlarzy niewolników i strofa pieśni: "Niszczmy niewolę, aby jednocześnie zniszczyć francuskie kolonie i plantacje jankesów". Pomyślałem, że mimo brzydkich pobudek zniesienie handlu niewolnikami będzie jednym z największych osiągnięć naszego wieku i największą chlubą Anglii.

Od strony Ameryki, od granic Meksyku po krańce Kanady, słyszałem hymn oswobodzenia śpiewany po angielsku. "Jesteśmy wolni, ale po wieczne czasy chcemy zachować niewolnictwo".

W Europie widziałem Francję z podbitym Paryżem, pełnym czerwonych mundurów, której historię sprowadzono do dwóch dat: bitwy pod Crecy i zdrady pod Waterloo...

A nad wszystkim górował orzeł, zawieszony na skale Świętej Heleny, spoglądający na Indie. Afrykański kontynent oddziela skałę orła od skarbcza świata, a na małym przylądku afrykańskiej ziemi ujrzałem słowa: Dobra Nadzieja.

– Jest to również Przylądek Burz – szepnął pan Tempie kryjąc wzruszenie.

Chciał teraz wiedzieć! Był przecież Anglikiem, a w owej epoce imię Napoleona brzmiało jak dzwon alarmowy w uszach każdego syna Wielkiej Brytanii.

– To dobra wróżba – odrzekł Henryk wstając. – Tym lepiej, jeśli burza nadejdzie. Chciałbym wszystkie pioruny mieć za sprzymierzeńców!

– Jeśli to pana jedyne wojsko... – zaczął prowokującym tonem detektyw.

Henryk odrzucił płaszcz Thompsona i przerwał gwałtownie:

– Czy ma pan pudełko ze szminkami?

Pan Tempie sam powiedział niedawno: "Mam wszystko, co potrzeba, aby cię przekształcić w starca". Cóż znaczyła szminka, jeśli drzwi więzienia oddzielały hrabiego Henryka od wolności? Bez słowa podał egzemplarz swego dzieła "Sztuki odkrywania winnych", które jak Biblia fałszywego pastora, było wewnątrz puste i zawierało szminki, pędzelki, pomady i lustro.

– Oby Bóg zesłał panu spokój, mistrzu – powiedział Henryk – gdyż czeka nas trudny moment, a pan ma gorącą głowę... Czy posunie pan uprzejmość tak daleko, by mi potrzymać lusterko?

– Nie – odparł pan Tempie.

Henryk postawił lichtarz z resztą świecy na łóżku, a sam ukląkł przed pryczą.

– Mam żołnierzy – powiedział zabierając się do charakteryzacji. – Im więcej pan się dowie, tym mniej stanie się niebezpieczny... Mam tysiąc dwustu żołnierzy w Afryce, uzbrojonych jak się patrzy. W pewnym forcie Stanów Zjednoczonych mam czterystu żołnierzy. We Francji i Anglii są tysiące i gdybym miał flotę, rozporządzałbym wielką armią... Opuszczać jednak Wyspę Świętej Heleny będzie nas nie więcej niż dwa tysiące. W Indiach oczekuje czterdzieści tysięcy żołnierzy... Jak pan sądzi, czy to wystarczy, by w miesiąc po przybyciu wystawić stutysięczną armię?

Przez ten czas pędzelek zręcznie posuwał się po jego twarzy. W starym detektywie wrzało, ale odpowiedział spokojnie, powstrzymując wybuch:

– Czy orzeł przeleci kontynent afrykański zdany wyłącznie na własne skrzydła?

Henryk cofnął się, by ocenić efekt malarskiej roboty.

– Dziś o mało nie zadał nam pan śmiertelnego ciosu.

– W Auction Mart?

– Tak... Patriotyzm to wielkie uczucie i jak każde wielkie uczucie, miewa natchnienia. Postąpił pan, jak gdyby wiedział, że maszyna Perkinsa to petarda przeznaczona do wysadzenia Anglii w powietrze.

– Maszyna piekielna! – wykrzyknął pan Tempie.

– Czy pracował już pan w Scotland Yardzie, gdy z Londynu przysłano maszynę, która wybuchając miała zabić pierwszego konsula? – spytał Henryk. – Panie Tempie, włożyłem pańską twarz, niech pan spojrzy:

Obrócił się magle i uniósł świecę.

– Wydaje mi się, że oglądam się w lustrze – wybełkotał detektyw.

– Maszyna Perkinsa – objaśniał spokojnie Henryk – nie jest podobna do tamtej. Stworzona do walki, nie do niszczenia. Przeznaczono ją dla wojennej fregaty, która czeka gotowa.

– Ach – szepnął pan Tempie – gotowa?

– I uzbrojona – dorzucił hrabia Henryk.

– We Francji?

– Bliżej Świętej Heleny...

– Opatrzność zesłała mnie do więzienia – szepnął Gregory Tempie, ocierając zroszone potem czoło.

Rozumie pan w pół słowa, panie Tempie – zauważył Henryk zajęty charakteryzacją – albo para jest utopią, albo wielkim wynalazkiem naszych czasów. W pierwszym wypadku przegramy i będziemy musieli zacząć (wszystko od nowa. W drugim zaś kpimy sobie z waszej ciężkiej floty.

– Tym razem mi uwierzą – zawołał pan Tempie składając drżące ręce – będą musieli uwierzyć, gdy im przedstawię maszynę na świadka!

Henryk kończył ostatnią zmarszczkę.

– Dzięki tej maszynie Napoleon znajdzie się w Pondichery, zanim wiadomość o jego ucieczce dotrze do Anglii. Tak, tak, panie Tempie, cesarstwo francuskie w Indiach! Czy pan zdaje sobie z tego sprawę? Czy miałem rację mówiąc, że zmienię oblicze świata?

– Nie dopuszczę do tego! Niech Bóg strzeże mojej ojczyzny! – zawołał pan Tempie ze łzami w oczach.

– Miałem tylko dwa miliony – powiedział Henryk – a za panem stał hrabia Boehm ze swą olbrzymią fortuną. Po cóż było walczyć? Dwa miliony przydadzą się na coś

innego i teraz, gdy tak przyjacielsko rozmawiamy, wyznam, że maszyna Perkinsa płynie Tamizą na żaglowcu.

Pan Tempie zerwał się, lecz Henryk zagroził mu drogę.

— Wariat ze mnie zawołał detektyw – przecież mam kwit firmy Staunton, gdzie maszyna jest na przechowaniu.

– Kwiit pewnie w portfelu?

– Naturalnie.

– A portfel w pańskim pokoju w hotelu Mivart, w apartamencie hrabiego Fryderyka Boehma... Zwolniono panów za kaucją, prawda? Wczoraj hrabia Boehm był pańskim sprzymierzeńcem i dał osiemdziesiąt pięć tysięcy funtów. Tej nocy jednak wszystko się zmieniło, za

cenę nadziei na uśmiech Sary kupiłem sobie hrabiego Boehma z duszą i ciałem.

Wiadomość ta spadła jak grom na pana Temple'a. Henryk zamknął pudełko. Na szczupłym, młodym ciele hrabiego de Belcamp tkwiła głowa starego detektywa, przykryta siwymi kosmykami.

–A teraz, mistrzu – powiedział rozkazująco – proszę o kurtkę i czapkę.

Starzec zadrżał, spojrział na przeciwnika i jak zamknięte w klatce zwierzę, pobiegł do drzwi. Stał i wybuchnął przerażającym śmiechem tak niespodziewanie, aż Henryk znieruchomiał ze zdumienia.

– Proszę mi dać kurtkę i czapkę – powtórzył rozkazująco hrabia. Gregory Tempie usłuchał.

–Pan by mnie zabił, gdyby to była prawda – powiedział piskliwym głosem i znowu wybuchnął śmiechem.

Henryk włożył czapkę i stał z kurtką w rękę. Był tak wysoki i sii-j ny, a wróg tak słaby i drobny, że sama myśl o morderstwie budziła: odrazę.

–Gdyby pan mi przeszkodził, musiałbym pana zabić. Ale i teraz pan mi się przysłuży, jak służy mi całe życie. Pańska nienawiść była moim ocaleniem. Czyż bez pana mógłbym wydostać się z tej celi? Pan zajmie moje miejsce, jak ja zająłem miejsce Thompsona. Pan dał mi plan, gdzie są zakopani Noll i Dick, dał mi pan klucz od swego arsenału dowodów, a jeśli zbudzi się jakieś podejrzenie przeciwko mnie, zostawiam tu pana, by je zniszczył.

– Będę krzyczał, ile starczy mi sił! – zazgrzytał Gregory Tempie nie mogąc dłużej opanować wybuchu wściekłości. – Będę krzyczał o wszystkim, co mi pan powiedział! Zdemaskuję pana tu, we Francji, wszędzie! Nędzny głupcze, jeśli pan marzył o podpaleniu świata, należało trzymać język za zębami! Nie zabije mnie pan bez walki, a wówczas mój głos przebiję ściany tej >celi: znajdą pana przy moim trupie. Jeśli mnie pan oszczędzi, będę mówił!

Nieubłagany uśmiech przewinął się po wargach Henryka.

– Nareszcie jest pan takim, mistrzu, jakim chciałem pana widzieć – powiedział wkładając kurtkę więziennego dozorca. – Nie walczymy jak inni i jeśli w końcu zabiję pana, użyję nieznanej broni. Niech pan mówi, nawet krzyczy. Gdy pana tu znajdą zamiast zbiegłego Thompsona, proszę, niech pan powie, że to wina Jana Diabła. Niech pan powie, że Jan Diabeł, to hrabia Henryk de Belcamp i że hrabia Henryk de Belcamp, zamknięty w więzieniu w Wersalu, rozmawiał z panem tej nocy w więzieniu Newgate! Niech pan napisze do Paryża, że hrabia ,de Belcamp i Percy Balcomb to jedna i ta

sama osoba, choć zaprzeczają temu ojciec Henryka i żona Percy'ego. Niech pan pošle ludzi, by rozkopali teren w Tivoli. Proszą kazać policji otworzyć swój pokój na rue Dauphine, skąd znikną wszystkie pańskie papiery. Niech pan do tego doda historią floty parowej i sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy gotowych na podbój Indii... Czy mówiłem o stu dziesięciu armatach? Mam sto dziesięć dział, słyszy pan, wraz z

amunicją! Niech pan niczego nie ominie, mistrzu. Trzeba, by pan to wszystko powiedział, by nagromadził pan te wszystkie bajki, by pan skupił te wszystkie niepodobieństwa. Czy poznaje pan swój system? Proszę mi odpowiedzieć, poznaje pan? Traktuję rząd angielski, jak pańscy bandyci traktują detektywa: rzucam mu w oczy pełnymi garściami piasek absurdu, który pan wynalazł. Stawiam między sobą a nim zasłonę niepodobieństwa. A tymczasem moja maszyna wyślizguje się, artyleria toczy, a ludzie idą... W obecnej chwili olbrzym z żelaza i miedzi powinien zbliżyć się do Gravesend, jest akurat przypyływ i wieje północny wiatr. Maszyna okrąży Ramsgate, wpłynie w La Manche, znajdzie się na oceanie... Do licha, system pański jest wielki, wspaniały i by przyniósł korzyści, wystarczy powierzyć swe tajemnice uczciwemu człowiekowi, oskarżonemu o szaleństwo!

Z ust detektywa dobył się charkot.

– Tak, szaleństwo, jeśli powie pan, że ktoś inny, a nie Thompson był zamknięty w tej celi. Szaleństwo, jeśli każe pan więźniowi z Wersalu odbywać podróże na promieniu księżycy! Trupy w Tivoli przywidzenia! Papiery na ulicy Dauphine – złudzenie! A flota? Och, flota! A armaty! Szaleństwo, szaleństwo! Ludzie będą się trzymać za boki ze śmiechu! To już nie obłąd, to furia!

Na usta Gregory Tempie'a wystąpiła piana. Wszystko to była prawda. Słyszał nieledwie śmiech swych prześladowców. Bezsilna wściekłość < o mało nie przeprowiła go o śmierć. Chciał coś powiedzieć i nie mógł, głos uwiązł mu w krtani. Zacisnął pięści, ostatnim wysiłkiem ruszył w stronę drzwi, po czym ciężko runął na kamienne płyty podłogi.

Henryk położył rękę na sercu detektywa i czekał minutę, a twarz jego wyrażała głębokie współczucie. Następnie podniósł pana Temple'a i ostrożnie złożył na pryczy, okrywając starannie płaszczem Thompsona,

– Hola, Ciarke! Józefie Ciarke! – zawołał waląc we drzwi, a wzrok jego nie schodził z detektywa, który nie dawał znaku życia.

W zamku zazgrzytał klucz.

– Zdrzemnąłem się powiedział dozorca. – Czy wie pan, że już najwyższy czas?

– W drogę, Ciarke – rozkazał Henryk popychając go przed sobą. – Późno już...

Wrócisz potem do więźnia, źle się czuje... Masz tu pięć gwinei.

– Dziękuję, panie Tempie. To dla żony i małego.

Gdy doszli do końca korytarza, mniemany pan Tempie powiedział prędko:

– Słuchaj, Ciarke, gdyby ci się zdarzyło nieszczęście, idź do pana Wooda, na Strandzie... jest łam dla ciebie kontrakt na pensję sześćdziesięciu gwinei... A teraz wracaj do więźnia!

Ciarke otworzył usta ze zdumienia. Słyszał, jak otworzyła się brama, a na ulicy zastukały szybkie kroki.

15. "Orzeł"

Mglisty i smutny ranek oświetlał scenę, na której miało się rozegrać widowisko na Old Bailey. Trudno opisać gorączkową ciekawość londyńczyków dla tych szubienicznych dramatów. Porównać ją można jedynie z ohydą wziętością, jaką cieszą się w Paryżu, wśród pewnej części mieszkańców nocne egzekucje.

Kimże jest publiczność uczęszczająca na podobne spektakle? Znaczący twierdzą, że to teatralni bywalcy. Widać spokojnych mieszczan, ciepło otulonych z obawy przed przeziębieniem, z cygarem w ustach, kobiety, a w oknach sąsiednich domów, wynajętych jak łoża na te okazje, spotyka się i młode dziewczęta. Słyszałem nawet, że rodzice przyprowadzają dzieci. Ciekaw tylko jestem, czy obiecują im, że jeśli będą grzeczne, to znowu zobaczą podobne widowisko?

Ciemny szkielec szubienicy wznosił się ponurą sylwetką nad ciasno zbitym tłumem. Okna otaczających domów, zatłoczone głowami, wyglądały jak przedziwne

mozaiki utworzone z twarzy ludzkich. Widzowie zdobili nawet okoliczne dachy. Oczekiwano tylko na ukazanie się głównego aktora. W zebranym tłumie panowała szczerza wesołość, a rubaszny śmiech nieraz głużył krzyk agonii.

Niedoszły wisielec ściśle wypełnił instrukcje wybawcy. Przechodząc mostem zrzucił wатовany kaftan pastora, po czym następne godziny spędził na opustoszałych ulicach. W chwili gdy ciekawscy oczeki-

wali jego pojawienia się na szubienicy, Ryszard Thompson wchodził do knajpy "Pod Szpadą Nelsona", koło doków Świętego Wawrzyńca naprzeciw wielkiego dźwigu. W chwilę po nim w szynku zjawił się wysoki młodzieniec o otwartej i szczerzej twarzy i podchodząc do byłego więźnia rzekł:

– Ku lepszemu!

Ryszard nie czuł się bezpieczny, dopóki znajdował się na angielskiej ziemi. Teraz, gdy miał nadzieję uściskać żonę i syna, życie było mu podwójnie drogie. Wyciągnął więc rękę do nieznanego odpowiadając z wahaniem:

– Czego szukasz, kuzynie?

– Biblii mego pana – odparł nieznajomy.

– A kto jest twoim panem?

– Wielebny John Gravesend, zastępca wikarego od Świętego Jakuba.

Ryszard rozpiął kurtkę pokazując Biblię.

– Chodź ze mną, kuzynie – powiedział nieznajomy. – Zaprowadzę cię do źródła. Przy nadbrzeżu stała niewielka łódź z dwoma wiosłarzami. Było już zupełnie jasno, ale mgła gęstniała. Nieznajomy wraz z Ryszardem wsiedli do łodzi.

– Panie poruczniku – odezwał się głos, pod wpływem którego Ryszard drgnął. – Przed chwilą minęła nas szalupa pełna ludzi... same morowe chłopcy... Nie mogłem wyraźnie zobaczyć, taka mgła, ale jeden zawołał: Dzień dobry, kapralu!

Ryszard skoczył do wiosłarza:

Piotr Louchet! – krzyknął ściskając go za rękę.

Na twarzy drwala odbiła się radosna niespodzianka.

– Mamy szczęście, panie poruczniku! Od rana spotykamy starych znajomych. To ten Anglik, co całował małego i płakał, wie pan, ten co się nazywa Ton... Son... co to nie jest ojcem...

– Czy zna pan moją żonę i dziecko?

– Wiosłuj! – odpowiedział nieznajomy ujmując ster. Po czym dodał: – Panie Thompson, jestem bratem Sary, pańskiej przyjaciółki, i przyjacielem pańskiej żony, która mieszka obecnie u mojej siostry. Uwaga, Piotrze, lewa burt! Kiepski z ciebie marynarz. Nazywam się Surrisy.

– Ach – powiedział tylko Thompson. – I jest pan bratem Sary?

– Mówiła pewnie panu o karneciku, który wyłowilem z morza? Tak jednak skończył się romans, ale zaczyna się dla niej coś innego i jeśli Bóg zechce, będzie szczęśliwa... pomówimy o tym na pokładzie.

Wkrótce łódź zrównała się z szalupą "Oswobodziciela", pełną zuchowatych twarzy, o których mówił Piotr Louchet. Niedaleko dymił komin parowca. Tym razem drwal poznał wielu dawnych znajomych.

– Kapitan Gauthier! Major Lointier! Porucznik Renault! Jest i pułkownik, do licha... Niech żyje, kto? Jak mamy krzyczeć?

Nagle spostrzegł na pokładzie parowca wyniosłą i chłodną twarz. Ścisnął ramię Roberta.

– To ten drugi Anglik... – szepnął – ten, co to napisał nazwisko matki na drzwiach... Pan Tempie mówi, że to morderca.

– Cicho – odparł Robert – to wódz.

W tej samej chwili niesamowity wrzask, w którym można było rozróżnić przekleństwa, wyrazy oburzenia i bluźnierstwa, zerwał się na Old Bailey. Odwołano bowiem widowisko i zamiast głównych aktorów zjawiał się cieśla, by rozebrać szubienicę. Londyńska gawiedź jest posłuszna i uległa prawu, ale nie należy pozbawiać jej ulubionej rozrywki. Piętnaście tysięcy obywateli straciło czas na próżno. To oburzające. Tłum zahuczał na placu.

"Oswobodziciel" ciągnął za sobą długi warkocz dymu, wymijając wszystkie napotkane po drodze żaglowce angielskiej marynarki, które dotąd nie miały sobie równych w całym świecie. Na pokładzie znajdował się tylko oficer pełniący służbę i ludzie niezbędni do nawigacji. W salonie zgromadzili się wszyscy na radzie. Po zakończeniu obrad Henryk ujął rękę Fryderyka Boehm i włożył ją w dłoń Roberta Sunisy.

– Oto człowiek, którego Sara kocha od dzieciństwa – powiedział do młodego porucznika. – Miał szesnaście lat, gdy umarł fański ojciec. Odtąd będzie panu bratem. Pragnie zwrócić dobra generała. Teraz, gdy hrabiowie Albert i Reymer nie żyją, ja jeden mogę wyjaśnić niektóre tajemnice. Jeśli Bóg pozwoli, wyświecę wszystko, a pan, panie Surrisy, będzie nosił nazwisko O'Brien, należne panu, zarówno jak Sarze. Jeżeli dotąd tego nie zrobiłem, niech brak czasu posłuży mi za usprawiedliwienie. Hrabia Fryderyk nie ma nic wspólnego z nieszczęściami, jakie spadły na pańską rodzinę, i proszę pamiętać, Robercie, że w naszej hierarchii jest on pańskim szefem. Gdy pożegnamy wkrótce Europę, on dostarczy nam sztandaru: dzięki Fryderykowi Boehm król Rzymu i cesarzowa Maria Ludwika znajdą się na pokładzie.

– Nie chowam urazy – odparł Robert patrząc prosto w twarz młodego Fryderyka. – Jeśli zechce, będę mu bratem, gdyż mówi pan prawdę i Sara już mi o nim opowiadała. Blade policzki Fryderyka pokrył słaby rumieniec. Minęli Thanet, znikło Ramsgate, mgła została w tyle, przed nimi błyszczało słońce. Jak okiem sięgnąć, na pustych wodach Kanału widać było tylko jeden duży statek pędzący ku południowi. Henryk kazał wszystkim zgromadzić się na pokładzie. Żołnierze przebrali się w mundury, hrabia zawiesił na piersi Wielką Wstęgę Legii Honorowej. Na boku statku można było przeczytać świeżo wymalowaną nazwę: "Orzeł". Na maszcie "Oswobodziciela" załopotał trójkolorowy sztandar, podobny sztandar wywiesił "Orzeł". Trwało to chwilę. Między wielkim masztem "Orła" a bezanem wyjęto deski pokładu na przestrzeni wielu metrów. W otworze błyszczał grzbiet metalowego smoka, maszyny Perkinsa, którego miedz i żelazo lśniły w słońcu. Pięćdziesięciu oficerów otaczało maszynę. Gdy oba statki zrównały się płynąc burta przy burcie, Henryk zdjął kapelusz i jeden okrzyk zabrzmiał na obu pokładach:

– Niech żyje cesarz!

Opadły trójkolorowe flagi. "Orzeł" pożeglował na południe, a "Oswobodziciel" pomknął ku brzegom Francji.

16. Drugie spotkanie

Minęło pięć dni od podpisania intercyzy. W Miremont, w domu ciotki Touchard, Jania i Żermena siedziały w altanie oplecionej ka- pryfolium, skąd rozciąga się prześliczny widok na dolinę rzeki Oise. Zapadał wieczór. Ciotka wraz z proboszczem, który przyszedł z wizytą do Opactwa, siedzieli na ławce pod ścianą domu, między oknami salonu.

Dziewczęta gawędziły półgłosem w altanie.

– Przecież kochałaś go – mówiła Żermena – dobrze to widziałam.

– Kocham go tak samo i dziś – odpowiedziała Jania. – Jest dla mnie jak gdyby bratem.

– Nikt nie wychodzi za mąż za brata, ty jednak godziłaś się na to.

– Wiem, jaki jest szlachetny i dobry. Jego żona będzie bardzo szczęśliwa.

– Tak – zawołała z gniewem Żermena – zawsze masz wymówki na usługi, odsunęłaś biednego Roberta jak gdyby nigdy nic...

Z ławki dochodziły strzępki rozmowy ciotki z księdzem:

– Nie mieli żadnej rodziny, księżę proboszczu. Naturalnie ludzie myślą nie wiadomo co... Ciągłe słyszy się o tego rodzaju testamentach. Moja nieboszczka siostra była kobietą jak się należy. Panowie Turner i Robinson mieli wspólnego spadkobiercę, jakiegoś podobno rzezimieszka. Widocznie w taki sposób pragnęli go wydziedziczyć.

– To jednak zadziwiająca historia – zauważył proboszcz.

– Robert jest najszlachetniejszym z ludu – mówiła tymczasem Jania iw altanie. – A mój biedny Laurent czyż nie ma powodów do niepokoju? O mało nie zakochałaś się w hrabi Henrykul

– Ja!– zawołała oburzona Żermena. – Nikogo nie kocham!

– Z wyjątkiem Laurenta, mani nadzieję?

– Odkąd zostaliście bogaci, nie jesteście już tacy jak przedtem – odpowiedziała Żermena z urazą.

– Tylko ja jestem bogata – odparła Jania.

– To jeszcze dziwniejsze.

– Myślałam, że formalności długo będą się ciągnęły – mówiła ciotka – ale wszystko poszło jak z płatka. Jania już przedtem była usamowolniona.

– Kto to pani poradził?

– Pan hrabia de Belcamp, od pierwszego dnia... W Londynie siostra miała dwóch prawników prowadzących jej interesy: jeden to pan Daws, u którego złożono oba testamenty, drugi pan Wood. Właśnie pan Wood zajął się wszystkim. Jania mogłaby podjąć cały spadek w każdej chwili.

– To raczej ty byłaś zakochana w Henryku de Belcamp – dowodziła Żermena. – Ja się go bałam. Był zbyt piękny, a cała ta historia z Georgelle w Australii... dla ciebie ją sprokurował. Ponadto uratował ci życie. Doprawdy, Janiu, wcale nie byłam zazdrosna i gdyby któryś z nas miał pokochać, to musiałby pokochać ciebie. I pomyśleć, wszystko po to, by poślubić pana Percy Balcomba! zawołała z udaną obojętnością. – Wyjaśnisz nam kiedyś całą tę tajemnicę, prawda, Janiu? – a zarzucając ramiona na szyję milczącej przyjaciółki, dodała: – Nie wiem, po co to mówię. Jesteś lepsza i ładniejsza ode mnie... Wbiłam sobie do głowy, że ty i Henryk jesteście dla siebie stworzeni. Gniewaj się, jeśli chcesz, ale gdyby mnie Henryk pokochał...

Jania ucałowała rozognione policzki dziewczyny.

– Nie mów tego nikomu, Żermeno – szepnęła.

– Od pierwszego dnia? – zdziwił się ksiądz, a jego słowa dolatywały do Jani. – Już pierwszego dnia powiedział pani o tej sukcesji?

– Jako o rzeczy możliwej do zrealizowania.

– I prosił panią o metryki urodzenia dzieci?

– Ksiądz proboszcz wie, jak mi było ciężko. Od śmierci matki siostrzeńcy stali się dla mnie ciężarem. Skarżyłam się mimo woli, człowiek przecież gada... Mówiłam to, czego nigdy bym nie zrobiła. Mówiłam, że nie mogę dłużej trzymać ich u siebie.

– I od pierwszej rozmowy poradził pani usamowolnić Janię?

– Nie pamiętam, czy od pierwszej, może następnego dnia...

– To bardzo ważne – powiedział proboszcz.

– Dlaczego ważne? Bywał przecież u mojej siostry w Londynie i znał jej interesy.

– Proszę pani – zawołał staruszek uderzając w wieko tabakierki – pani siostrę także zamordowano!

Ciotka Touchard odsunęła się od gościa.

- Co ci, Janiu? – pytała Żermena – masz tak zimne ręce.
 - Przysłano z domu po pannę Żermenę – zaanonsowała służąca.
- Proboszcz podniósł się.
- Nieszczęsna historia – zakonkludował. – Niech mnie Bóg strzeże, bym miał podejrzewać syna naszego czcigodnego sąsiada, ale...
 - Ale co? – spytała ciotka wojowniczo.
 - Drogie dziecko – zwrócił się proboszcz do Żermeny – czy przysłano po ciebie łódź?
 - Tak, księżę proboszczu.
 - W takim razie dobranoc drogiej pani. Dokucz mi reumatyzm i wolę skorzystać z łódki zamiast iść do mostu, ćwierć mili dalej. Życzę spokojnej nocy.
- Ciotka została milcząca i w złym humorze. Proboszcz ucałował Janię. Zeszli z Żermeną do łódki, w której czekał ogrodnik pana Po tela, ojca dziewczyny. W tej chwili na ścieżce ukazał się Briquet i Jania pobięła mu naprzeciw:
- Czy lepsze dziś wiadomości? – spytała ciotka.
 - Pan markiz bez zmian. Ale ci lekarze I Pontoise nic się nie znają na chorobach. Tylko w Paryżu są dobrzy lekarze!
 - Czy miał zły dzień? – zaniepokoiła się Jania.
 - Czy w tym domu można się czegoś dowiedzieć? Zupełnie jak w trupiarni. Służba wzdycha. Pani Etienne wygląda, jak gdyby po-

grzebała całą rodzinę. Lekarz nie wychodzi z domu. Piotr mówi, że jest trochę lepiej.

- Pytałeś, czy markiz chce mnie przyjąć?
- Nikt nie wchodzi do jego pokoju z wyjątkiem Magdaleny, matki pana Roberta.
- Czy nic nie wiadomo o hrabi Henryku? – spytała ciotka.
- Ani słowa!

Udzieliwszy wiadomości Briquet poszedł do kuchni na kolację.

- Jestem spokojna o pana Balcomba – powiedziała ciotka, gdy zostały same – i tak przed jutrzejszym wieczorem nie otrzymamy od niego listu z Londynu. Ale twój brat i reszta...

– Trzech roztrzępionych -^ szepnęła Jania, jak gdyby odsuwając konieczność odpowiedzi.

- No, tak – odparła ciotka – jednakże dom wydaje się taki pusty i duży.

Jania wzięła świecę.

- Idziesz już spać? – zdziwiła się pani Touchard.
- Jestem bardzo zmęczona.
- Chciałam porozmawiać z tobą o interesach, przechowujesz pieniądze w sekretarzyku...

– Jutro, ciociu, jutro. Jestem doprawdy zmęczona. Ucałowała ciotkę i poszła do siebie.

Pokój jej był równie skromny, jak pokój ubogiej sieroty, choć posiadała miliony i kontraktem ślubnym była żoną milionera. W starym sekretarzyku zamknęła dziś papiery wartościowe przedstawiające dwieście tysięcy franków renty. Jania postawiła świecę na komodzie i wyszła na balkon. Noc była zupełna. Za dalekimi wzgórzami podnosił się czerwony księżyc. Jania spłótła ręce na kolanach, a wzrok jej gubił się w mroku. W ciemnościach świeciły dwa jasne punkty: światło w domku Magdaleny Surrisy oraz okna w zamku Belcamp. Westchnienie podniosło pierś dziewczyny i wysyłając pocałunek w stronę zamku szepnęła:

- Ojczy!

Na dworze powoli zamierały wszelkie głosy, z domu dochodziły jeszcze szmery, ciężki krok ciotki i krzątania służby. Na niewidzialnej dzwonnicy zegar wybił dziewiątą. Młyn przestał pracować. Jania siedziała nieporuszona.

– Jeszcze cztery godziny – szepnęła, gdy przebrzmiało bicie kościelnego zegara. Weszła do pokoju i uklękła przed łóżkiem. Długo modliła się ze wzrokiem utkwionym w obraz Matki Boskiej. Gdy znowu siadła na balkonie, w całej okolicy paliły się już tylko dwa

światła: w zamku i w domku Magdaleny. Zerwał się lekki wiatr i księżyc wypłynął wysoko. W domu panowała zupełna cisza. Zegar wybił dziesiątą, następnie jedenastą. Północ nadbiegła szybko, a księżyc począł powoli kryć się za chmurami. Jania siedziała na balkonie, a dwa światła wciąż płonęły.

– Magdalena czuwa – szepnęła dziewczyna –» biedny ojciec, cierpi...

Za kwadrans pierwsza weszła do pokoju i wzięła z sekretarzyka plik papierów. Twarz jej wyrażała poważny smutek, ale ani krzty lęku czy niepokoju. Ostrożnie otworzyła drzwi i zeszła ze schodów, starając się stąpać jak najciszej. Gdy znalazła się za bramką, ogarnęło ją uczucie osamotnienia. Być może, poczuła chłód. Chwilę stała niezdecydowana, po czym odważnie poszła ku rzece w stronę młyna. Znalazłszy się na moście, przystanęła, opierając się o zmurszałą balustradę. Było prawie tak jasno jak w dzień. Po chwili skierowała się ku zamkowi. Dwieście kroków za młynem skręciła w lewo, na łąkę, gdzie kiedyś Magdalena Surrisy ujrzała dwa cienie, gdy odnosiła na pocztę list markiza do pana Temple'a. Jania zatrzymała się w alei i siadła na zwałonym pniu starego drzewa. Czekwała w tym samym miejscu, gdzie zamieniła pierwsze miłosne słowa, których echo, obudzone w ciszy, przyprawiło ją o szybsze bicie serca. W wieczór podpisania intercyzy Henryk powiedział przy pożegnaniu: "Za pięć dni, o pierwszej w nocy będę tam".

Noc była równie cicha i ciepła, jak przy pierwszym spotkaniu. Ten sam wiatr szumiał w tym samym listowiu. Dziwny niepokój ścisnął serce dziewczyny. Z oddali doleciał niewyraźny dźwięk, tak słaby, że ucho nie potrafiło jeszcze rozróżnić jego pochodzenia. Może był to ostrożny krok zwierzyny w lesie? Lecz brzmiał inaczej niż kopyto sarny, był to odgłos kopyt końskich uderzających o ubitą ziemię. Słysząc było wyraźnie rytm galopu. Droga pędził cień. Zadudniły deski mostu i szczeknął pies młynarza...

– Henryku!

– Najdroższa!

Pocałunek był długi i milczący.

I jak niegdyś usiedli na zwałonym pniu, a koń, którego dymiące boki okrywał płaszcz Henryka, skubał swobodnie trawę.

– Janiu, żono moja najdroższa – powiedział hrabia, a jego twarz mimo zmęczenia promieniowała entuzjazmem — dni doświadczeń dobiegają końca. Bóg jest z nami. Wszystko się udało: ludzie na statku, maszyna Perkinsa płynie ku wybrzeżom Gwinei... a ja wró-

ęciem poddać się ostatniej próbie, po której wolny i szczęśliwy stanę na czele armii!
Jania milczała, tuląc się do ukochanego.

– Wolny! – szepnęła z westchnieniem – dziś jesteś wolny, Henryku, ale jutro...

– Dziś trzyma mnie obietnica i obowiązek, jutro łańcuch ten będzie przerwany...

– Posłuchaj – powiedziała z wysiłkiem – mam przy sobie całą moją fortunę. Weź ją i uciekaj.

– ^ Uciekaj? – powtórzył Henryk odsuwając się od niej, jak gdyby go zraniła, a śmiertelna bladość pokryła policzki.

– Nie powiedziałaś nawet: uciekajmy! dodał z wyrzutem.

– Jeśli to cię przekona, w takim razie uciekajmy, Henryku, o tak, uciekajmy jak najszybciej; jestem gotowa.

Przysunął się do niej i zimną rękę Jani przycisnął do gorących warg.

A jednak wiesz już wszystko – powiedział tym wibrującym głosem, który działał jak czar. – Tobie jednej powierzyłem całą moją tajemnicę... i ty, Janiu, radzisz mi uciekać?

– Błagam cię, gdyż kocham cię i boję się o ciebie.

– Kto mi nie ufa, już mnie nie kocha – szepnął Henryk, pochylając głowę.

– O mój Boże – zawołała Jania, a dwie wielkie łzy spłynęły po jej policzkach – czy można dać więcej niż własne sumienie temu, którego się kocha! Nienawidzę mego majątku, życie moje mało warte! Kocham cię. Nienawidzę dnia, w którym cię ujrzałam. Jestem tak nieszczęśliwa, a jednocześnie tak pełna szczęścia, że obawiam się, że niebo będzie mi zazdrościć... Wszędzie pójdę za tobą na dobro i zło.

Po tych słowach oparła głowę o pierś Henryka.

– Janiu, nie tak chciałem być kochanym t- powiedział młody hrabia ze smutkiem.

– Boże, Boże! – szepnęła płacząc.

– Nie chciałem, by moja żona płakała, by cierpiała, nie chciałem, by wątpiła. Nie chciałem stanąć między nią a jej religią i wybrałem jej sumienie, by było zarazem moim sumieniem.

Jania zakryła sobie twarz.

– Gdy jesteś przy mnie, wierzę – szepnęła cichutko.

– Moja żona, by wierzyć, nie potrzebuje dźwięku mego głosu, gdyż może mnie zabraknąć, a któż wtedy podtrzyma jej chwiejne zaufanie? Mogę zostać uwięziony, mogę umrzeć... a chciałem, by ona

była moją wolą wolną i czynną, gdy mnie zabraknie. Pragnąłem miłości, ponieważ kocham, lecz między nami musiało coś zaistnieć: więcej niż miłość – wiara.

Jania zarzuciła ramiona na szyję Henryka.

– Przebacz – szepnęła wśród łez – przebacz i miej nade mną litość. Nie byłam godna twojej miłości.

– Te słowa mówi się wtedy, gdy miłość wygasa – powiedział gorzko i boleśnie.

Wówczas Jania osunęła się na kolana i zawołała wśród łkań:

– Jesteś zgubiony, Henryku! Powtarzam ci, że trzeba uciekać... Ale nie uciekniesz sam... my razem, o tak, razem, gdyż nie opuszczę cię nigdy i jeśli trzeba, zginę wraz z tobą!

17. Memento po raz drugi

Hrabia Henryk pochylił się i ucałował blade czoło dziewczyny. Gdy przemówił, w głosie jego nie było wzruszenia.

– Czemu nie powiedziałaś, że grozi mi nowe niebezpieczeństwo? Już pierwszego dnia wyznałem ci, czym jest moje życie. Zewsząd czyha na mnie hańba i śmierć. Uczyniłem to, byś z całą świadomością powzięła decyzję. Trudno jednak wpoić poczucie ciągłego niebezpieczeństwa dziecku tak nie znającemu życia jak ty, niebezpieczeństwa, które trwa i ciągle się odradza, gotowe w każdej chwili zalać nas i zniszczyć jak morze. Byłem zbyt surowy. Uspokój się, Jamiu, i pamiętaj, że odkąd przestałem być chłopcem, oddycham niebezpieczeństwem jak ty powietrzem. Nie wiem, czego się lękasz, ale zapewniam cię, że ja nie tracę nadziei. Opowiedz mi wszystko, gdyż nim odejdę, musisz być spokojna i szczęśliwa. Na ostateczną rozgrywkę chcę zabrać wspomnienie twego pocałunku i twój uśmiech.

Mówiąc to uśmiechał się tak pogodnie, z taką ufnością, że Jania przestała płakać.

–Henryku – powiedziała po chwili namysłu – musisz wiedzieć wszystko: od twego wyjazdu zaszło wiele rzeczy! Nie jesteś już oskarżony o podwójne morderstwo, niemożliwe do spełnienia jednocześnie w dwóch miejscach od siebie oddalonych; oskarżają cię, że zamordowałeś dwóch ludzi w restauracji "Pod Łakomczuchem", w nocy z 15 na 16 maja, w przeddzień imienin pana markiza.

Gdy to mówiła, wpatrywała się w twarz Henryka. Księżyc świecił jasno i najdrobniejsza zmiana rysowała się z niezwykłą wyra-

zistością. Gdyby nie zdradził wzruszenia, być może podejrzenie zagnieździłoby się w umyśle Jani, gdyż zdumienie jest rzeczą naturalną, a ukrycie go wymaga wysiłku. Zdziwienie Henryka pozbawione było niepokoju.

– Ach tak – szepnął – mam więc jeszcze jednego wroga!

– Czy Gregory Tempie...

– Nie, Gregory Tempie jest w Londynie, zostawiłem go w bardzo złym stanie. Lekarze orzekli, że jego szaleństwo jest nieuleczalne.

– Ale Gregory Tempie pozostawił w Paryżu dzielnego ajenta; pomocnik to czynny i nieugięty: Magdalena Surrisy, matka Roberta. ■ Racja – przyznał Henryk.

– Nie wiadomo, czy Magdalena działała według instrukcji pana Temple'a czy też samorzutnie; na nie zabudowanych terenach Tivoli kopiąc natrafiono na dwa trupy w głębokim dole, przykrytym dla niepoznaki kępami murawy. Znano dokładnie miejsce, nie kopano na ślepo, wskazówką były zeschnięte chwasty posadzone na grobie...

– Znam te szczegóły – powiedział zimno Henryk. – Tom Brown zrobił swoje. Co dalej?

– Tom Brown! – powtórzyła Jania drżąc cała.

– Czy słyszałaś już to nazwisko?

– O tak, od trzech dni wiele razy. Twoja sprawa jest na ustach wszystkich, zapełnia szpalty dzienników.

– Przy jakiej okazji mówiono o Tomie Brownie?

– Zaraz ci powiem. Najpierw chcę skończyć z tymi dwoma, zabitymi w Tivoli. Wszystkich nas badano jako iwiadków.

– I ciebie także? – (zawołał Henryk, tym razem szczerze zaniepokojony).

– Wszystkich, którzy byli w loży teatru Feydeau.

– Słusznie – odrzekł z gorzkim uśmiechem. – Lady Frances, Żermena, pan Potel i Zuzanna... no i ty. Musieliście powiedzieć, że były na mnie dwie plamki krwi, prawda? Jania schyliła głowę.

– Powiedziałaś to i dobrze zrobiłaś, Janiu – rzekł młody hrabia poważnie. – Tylko kłamstwo może mnie zgubić.

Westchnienie wyrwało się z ust Jani.

– Na zbawienie duszy przysięgam, Henryku, że wierzę w twoją niewinność! – zawołała.

– Rzeczywiście robisz mi tę łaskę?

– Och, nie drwij, proszę, i nie łap mnie za słowa... Kocham cię, zlituj się nade mną!

Przyciągnął ją do siebie.

– Najdroższa, całe szczęście, jakie dam ci w przyszłości, nie okupi tych łez.

Powinienem być walczyć sami

– Kochałabyto cię wbrew twojej woli – szepnęła w pocałunku. I wysuwając się z jego ramion rzekła: – Nie tyżko ja wierzę, że jesteś niewinny. Żermena, lady Frances, Zuzanna i moja ciotka, wszyscy stają w twojej obronie. Nie mówię o twym ojcu,

najlepszym, najbardziej kochającym i ufnym. Raz jeden tylko widziałam go po twym wyjeździe. On nie wie, że jestem tak blisko ciebie.

– Drogi ojciec – szepnął Henryk. – Ty, Janiu, i on to najlepsza część mego serca. Dlaczego jednak widziałas go tylko raz?

– Odpowiem na to na końcu, a odpowiedź moja będzie smutna. Pytałeś o Toma Browna, słuchaj więc, co się wydarzyło po twoim wyjeździe w Paryżu, na ulicy Dauphine numer 19, gdzie mieszkał pan Tempie.

Henryk nie ukrywał zainteresowania.

– Kulawy chłopiec, syn dozorczy, zameldował komisarzowi policji, że z pokoju jednego z lokatorów wydobywa się straszliwy odór. Lokator, Anglik, wyszedł przed tygodniem zabierając klucz. Komisarz udał się na miejsce, a rodzina dozorczy w takim świetle przedstawiła lokatora, którym był pan Tempie, że komisarz uwierzył w możliwość zbrodni, i kazał otworzyć drzwi. Wszyscy oczekiwali widoku rozkładającego się trupa. Ale przykry zapach pochodził od pozostawionego na stole mięsa, które zepsuło się po tygodniu. Władze stanęły jednak wobec innego odkrycia, znaleziono bowiem dokumenty, które wraz z ekshumacją zwłok w Tivoli nadały nowy i niebezpieczny tok twojej sprawie.

– Cóż więc tam było? – zapytał Henryk spokojnie.

– Siad dziwnego szaleństwa, opętania, wszędzie napisy "Memento – Konstancja Bartolozzi, 3 lutego 1817 roku", pokrywające ściany, meble, sufit, podłogę, wszystko. Henryku, ten człowiek jest naszym wrogiem, lecz jednocześnie mścicielem mojej matki!

– To był wielki umysł i niezwykła inteligencja. Nie jestem jego wrogiem. Za dwa dni córka tego człowieka odnajdzie męża i głośno powie, że dziecko, które pieści, jest jej synem. Zapytaj, co ryzykowałem dla ich szczęścia. Wiele mogę przeciwko ludzkiej niesprawiedliwości, ale każdy jest bezsilny wobec ręki bożej... A Bóg zsyła szaleństwo.

– To nazwisko i datę – podjęła Jania – "Memento – Konstancja Bartolozzi, 3 lutego 1817 roku" znaleziono w wielu papierach zawierających obliczenia, niezrozumiałe formuły i szyfry. Wszystko odnosiło się do ciebie lub do osobnika, którego sprawiedliwość utożsamia z hrabią de Belcamp, to znaczy Toma Browna.

– Człowieka, który zabił twoją matkę – powiedział wolno Henryk.

Jania zadrżała, nie spuszczając oozu z twarzy ukochanego, na której malował się pełen współczucia smutek.

– To szaleńcy! – zawołała. – Czyż można kochać mordercę matki?

– Czy zabójca uśmiechałby się do córki ofiary? – szepnął w odpowiedzi.

– Wśród papierów i obfitej korespondencji dwie rzeczy zwróciły szczególną uwagę władz – ciągnęła Jania. – Przede wszystkim duża czarna tablica pokryta zapiskami, reasumująca obliczenia i wnioski pana Temple'a, za pomocą których odkrył zabójcę Konstancji Bartolozzi. Poznano system, jemu tylko właściwy, który sam określił mianem "niepodobieństwa". Nie potrafię tego wyjaśnić, wiem tylko, że między innymi na tablicy zrobiono następujące zestawienie nazwisk:

HENRYK BROWN (Londyn) JAMES DAVY (Londyn – Paryż) HENRYK DE BELCAMP (Paryż) RYSZARD THOMPSON (Londyn – Paryż) OEOERGE PALMER (Praga) TOM BROWN (Londyn – Australia) (przeciw) JAN DIABEŁ zwany Kwalcrem

Tablicę zabrała policja. Jednym z dokumentów jest kompletna biografia Toma Browna czy Jana Diabła, dedykowana autorowi "Księgi zadziwiających przygód Jana Diabła, zwanego Kwakrem", wydanej w Londynie w marcu 1817 roku. Jest to straszliwy ciąg zbrodni, poparty dowodami, w których przewijają się dzieje Toma i jego

matki, Heleny. Potworny ten poemat kończy się okropną sceną, gdy Tom Brown opuszcza umierającą matkę wśród australijskiej pustyni...

Wzrok Jani nie schodził z oczu Henryka. W tym momencie twarz ukochanego zmieniła się, lecz chmura zakryła właśnie księżyc i w ciemności trudno było dostrzec zmianę. Gdy chmura przeszła, piękna twarz hrabiego tchnęła jak zwykle spokojem i pogodą.

– Niech cię tylko zobaczą – szepnęła – a zrozumieją, że nie potrafiłbyś być podłym ani tchórzem. Dowiedziałam się tego od pana de Boisruef, który wczoraj przybył do zamku, ale ojciec twój nie przyjął go.

- Jakie jest zdanie kuzyna?
 - Sam nie wie, obawia się o ciebie, jest zmartwiony.
 - Jestem mu wdzięczny za współczucie. Dlaczego ojciec go nie przyjął?
 - Henryku, ojciec jest bardzo chory.
 - Ojciec chory! – zawołał Henryk, którego spokój prysł – może niebezpiecznie?
 - Może – odparła cicho. – Lekarz nic nie mówi.
- Henryk zerwał się, jak gdyby chciał biec do zamku.

– Niemożliwe. – szepnęła. Tylko ty znasz moją tajemnicę. Ty i ci, którzy przysięgli posłuszeństwo. Nie należę do siebie. Błagam, mów prędko. Ty i ojciec to wszystko, co mam najdroższego na ziemi.

– Musisz go bardzo kochać, Henryku, gdyż on tobą żyje. Stale o tobie mówił, a wątpić w ciebie wydawało mu się bluźnierstwem. Lubił przebywać ze mną i z Żermeną, gdyż z nami mógł swobodnie mówić o tobie. Nawet uwięziony, był jego dumą i nadzieją. Stawiał cię ponad wszystkich i wspaniała przeszłość jego rodu wydawała mu się niczym wobec twojej chwały...

– Mówisz w czasie przeszłym – odezwał się wzruszony. – Czy możliwe, by zwłoki wydobyte z Tivoli oraz odkrycie w pokoju pana Temple'a wywarły na nim takie wrażenie?

- Nie wiem, czy fakty te są mu znane.
- Cóż więc?

– Jest coś jeszcze, Henryku, ale tego sama nie widziałam i powtarzam tylko to, co mi mówiono. W noc twego odjazdu, a raczej nad ranem, zastukano do Francuskiego Hotelu w Wersalu, gdzie mieszkał twój ojciec. Przed hotelem stał powóz, a w nim zawoalowana kobieta. Słabym głosem, tak cichym, że ledwie można ją było usłyszeć, zapytała o markiza de Belcamp. Obudzono ojca, który do niej zszedł. Kobieta bez słowa odstłoniła przed nim twarz, a markiz padł na bruk zemdłony. Gdy wrócił do przytomności, wsiadł do tejże samej dorożki, okazało się bowiem, że był to paryski fiakier,

1 kazał jechać do zamku Belcamp. Po południu przyjechał konno do Wersalu, w porze gdy udawaliśmy się do więzienia. Był tak zmieniony, że z trudem go poznałam. Wyglądał, jak gdyby wstał po ciężkiej chorobie. Ledwie rozumiał, co się do niego mówiło. Nie mógł też pojąć, że ministerialny rozkaz zabraniał ci kontaktu ze światem. Gdy przekonał się, że bramy więzienia są dla wszystkich zamknięte, zemdlał po raz drugi. Odzyskawszy przytomność powiedział mi;

– Nie wrócę już do Wersalu.

Chciał jechać -konno do zamku, ale nie pozwoliliśmy. Kazałam zaprząć do powozu i sama odwozłam go do domu. Milczał całą drogę. Usiłowałam mówić o tobie, ale gestem nakazał milczenie. Nie wpuścił mnie do zamku. Od tej chwili dom jego dla wszystkich jest zamknięty.

- A ta kobieta? – spytał Henryk zmienionym głosem.
- Powiedziałam ci wszystko, co o niej wiedziałam.

- Jak to? A służba?
- Służba nie widziała jej od chwili przybycia do zamku.
- Jednak lekarz...
- Ostatnie cztery noce lekarz spędził w zamku, nie widział jednak tej kobiety.
- Czy wyjechała?
- Nie wiadomo. iMożę umarła?
- Nikt nie widział trumny... ale Magdalena Surrisy odwiedza markiza i wie więcej niż lekarz.
- Magdalena! – powtórzył hrabia z bolesną skargą — zabije mnie w sercu ojca!
- Co jej uczyniłeś, Henryku? – szepnęła Jania.
- Lubiałem jej męża. Dzięki mnie jej syn będzie bogaty, odzyska nazwisko ojca. Na kościelnym zegarze w Mjremont wybiła trzecia. Henryk ucałował rękę Jani, musiał jechać dalej.
- Czy to, co ci powiedziałam, nie przeraża cię? – spytała wzdychając.
- Wiedziałem z góry, do czego zdolni są moi wrogowie – odrzekł ze smutnym uśmiechem
- A jednak oddajesz się w ich ręce! Henryk oparł dłoń Jani na sercu.
- Tylko winowajca może uciekać – powiedział zmęczonym głosem. – Jestem synem markiza de Belcamp, twoim mężem, Janiu, oraz wodzem armii. Ojciec, żona i żołnierze muszą być świadkami triumfu niewinności lub śmierci męczennika.
- Henryku, najdroższy – błagała – proszę cię, uciekaj!
- Czy kochasz mnie więcej niż honor? – spytał dziwnym tonem. Zamiast odpowiedzi oplotła szyję ukochanego, a w oczach jej błyszczało wielkie uczucie, gdy podała mu usta do pocałunku.
- Nie wiem, jak cię kocham, Henryku – szepnęła – wiem tylko, że dałabym ci więcej niż życie. O, mój najdroższy, postąp, jak ci nakazuje sumienie, ja nigdy nie będę przeszkodą na twojej drodze. Wybrałeś mnie na powiernicę, otworzyłeś przede mną szerokie horyzonty własnej myśli. Zrozumiałam i pełna jestem podziwu. Jeśli chcesz dowieść swej niewinności ojcu czy przyjacielom, światu całemu, idź swoją drogą, lecz powtarzam: ja nie potrzebuję dowodów. Cokolwiek zrobisz, kimkolwiek będziesz, zwycięzcą, czy zwyciężonym, jesteś moją miłością i dumą. Należę do ciebie i pójdę za tobą, jeśli trzeba będzie, na szafot.
- Zbliżała się chwila rozstania. Wstali i poszli wolno łąką ku miejscu, gdzie Henryk zostawił konia.
- Bóg winien ani szczęście ze względu na ciebie – szepnął hrabia. – Wrogowie są silni, lecz dali mi czas na obronę i dlatego zwyciężę.
- Przystanęli przy koniu. Henryk wkładał nogę w strzemień.
- Zwyciężę, Janiu – szepnął patrząc na nią z zachwytem. – A gdyby ten pocałunek był ostatnim pożegnaniem...
- Niepokój zgasił słowa na wargach Jani.
- Najdroższa, jest człowiek, który kocha cię prawdziwie rycerską miłością. Jeśli zginę, zostań jego siostrą lub żoną.
- Jania zachwiała się, aż musiał ją podtrzymać.
- Zabrałem mu ciebie i ciebie mu zostawiam. Dlaczego płaczesz? Czyż testament przyspiesza chwilę śmierci? Patrz, najdroższa, jestem pełen życia, a wśród tych, którzy będą mnie bronić w godzinie niebezpieczeństwa, należy umieścić w pierwszym rzędzie dzielnego Roberta Surrisy. W razie nieszczęścia, ciebie i jego obarczę wykonaniem mojej ostatniej woli. Czy mnie słuchasz?
- Słucham, Henryku – szepnęła przez łzy.
- Może to zarozumiałstwo, ale moje dzieło to ja. Jeśli zginę, całe to ogromne stowarzyszenie zostanie jak ciało bez duszy. Jeśli umrę jak Mojżesz, oglądając z

daleka ziemię obiecaną, pozostanie ci ostatni obowiązek do spełnienia. Czy go wypełnisz?

– Wypełnię.

– Daleko stąd czeka człowiek, któremu powiedziałem: "Zanim minie ten rok, spełni się przeznaczenie. Sire, ze szczytu swej skały proszę patrzeć na morze. Tam będzie odpowiedź. Pewnego dnia ujrzysz, Panie, mały statek bez żagli ni wiosła, pchany dymem. Jeśli popłynie pod angielską banderą, przyniesie wolność, przygotuj się, Panie. Jeśli natomiast na jego maszcie ujrzysz trójkolorowy sztandar, oznaczać to będzie, że Bóg zrzędził inaczej. A jeśli czarna krepa powiewać będzie przy fladze, żegnaj, Sire, w takim razie leżeć

będę pod marmurem grobowca". Jeśli umrę, Robert i ty, Janiu, popłyniecie dwumasztowcem zwanym "Oswobodzicie!" na wody Świętej Heleny i w miejscu dobrze z wyspy widocznym, w dwie godziny po wschodzie słońca, wywiesicie najpierw trójkolorową banderę, następnie czarny sztandar... Czy to uczynisz?

– Uczynię, przysięgam!

– Dziękuję i do widzenia, najdroższa. Głos jakiś woła we mnie, że zwyciężymy! Uniósł ją w ramionach, zalaną łzami. Raz jeszcze usta ich złączył pocałunek, po czym hrabia Henryk skoczył na siodło i oddalił się galopem. Gdy przejeżdżał mostem, odwrócił się i przesłał jej pożegnanie. Po chwili zniknął. Jania powoli skierowała się ku domowi. Resztę nocy spędziła na klęczkach, ale słowa modlitwy nie wypłynęły na jej wargi. Henryk pędził drogą do Wersalu.

18. Przed burzą

Tego ranka pan Roblot, zastępca dyrektora więzienia w Wersalu, wstał chory. Zburczał dzieci, gdy przyszły powiedzieć mu dzień dobry, i szukał sprzeczki z żoną. Wzrok miał błędny, twarz obrzmiała a głowę ciężką, jak nalaną ołowiem. Ponadto dręczyła go podagra. W rannych pantoflach i w szlafroku przeszedł do gabinetu i zamiast porannej kawy zażądał golonki i butelki wina. O większe drobiazgi wybuchały burze w rodzinie Roblot, tym razem jednak zastępca dyrektora zmierzył żonę tak wyzywająco, że mimo zuchwalstwa nie ośmieliła się podjąć walki.

Na biurku leżały trzy listy; jeden z nich był otwarty. Ten otwarty list, otrzymany poprzedniego dnia, wprowadził pana Roblot w taki stan. Sadowiąc się w fotelu mruczał z pasją:

– Dureń! I taki jest dyrektorem! Siostrzeniec modniarki kochanki męża bratanicy spowiednika ciotki ministra! Nepotyzm to rzecz straszna! Do Ucha! mnie nikt nie protegował, a wyrzucą za drzwi kopniakiem, zobaczysz. Wtedy pójdiesz napić się do źródła, głupcze! To cię nauczy rozumu!

Po tym melancholijnym monologu po raz drugi rozwinął fatalny list.

– Dyrektor rozkazuje, proszę, i jakim tonem! "Przyjadę jutro rano..." Doskonale się składa! Niech to wszyscy diabli! Chyba przed odejściem wygarnę, co o nim myślę! No cóż, trzeba zwijać manatki. Dobrze ci tu było, jak rybie w wodzie, ale zachciało ci się szukać drogi do źródła, idioto! – Zmiał ze złością list dyrektora. – Do licha! – wykrzyknął – dlaczego wraca dziś, a nie jutro, jak zapowiedział? Hrabia dał słowo honoru, że stawi się wieczorem. Wszystko więc byłoby w porządku i nikt nie wiedziałby o jego eskapadzie. To się nazywa los, fatalność! No cóż, wpadłem!

Machinalnie ujął jeden ze świeżo nadesłanych listów, ważąc go w dłoni.

– Założę się, że i ten kryje coś niedobrego, nieszczęścia zawsze chodzą w parze. "Sąd przysięgłych w Wersalu". No, zobaczymy, czego ode mnie chcą.

Gdy złamał pieczętkę i zapoznał się z treścią pisma, podskoczył na fotelu.

– Przesłuchanie oskarżonego! – krzyknął zduszonym głosem – i to dzisiaj.

Ramiona mu opadły, przygarbił się, a twarz z czerwonej stała się ziemistoszara.

– Przepadłem – szepnął – to koniec. Przecież nie powiem sędziemu śledczemu "Proszę przyjść jutro, dziś więzień nie przyjmuje". Do licha! – wrzasnął po chwili w paroksymie wściekłości. – Tylko tego brakowało! Czym nakarmisz dzieci, głupcze, idioto! Wyobrażam sobie, co zawiera trzeci list, pewnie coś równie przyjemnego.

Tak monologując rozwijał trzeci papier. List pochodził z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a nadszedł ekspresem. Zawierał tylko te słowa:

Wiadomość "przekazana z Londynu do Boulogne za pomocą telegrafu. Scotland Yard otrzymał ostrzeżenie, że rzekomy hrabia de Belcamp znajduje się to Londynie. Pod tym nazwiskiem ukrywa się niebezpieczny bandyta, Jan Diabeł. Na osobisty rozkaz ministra inspektor policji odwiedzi dziś więźnia.

Roblot zerwał się i zaczął szybko przemierzać gabinet

– Czego jeszcze brakuje? – szeptał gorączkowo. – Szkoda, że czwarta cegłą nie spadła mi na głowę. Dyrektor, inspektor i sędzia śledczy! Nie ma innej rady, trzeba jakoś wyjść z honorem. – Tak rozmyślając odsunął szufladę biurka, gdzie spoczywały dwa ciężkie pistolety.

– Jakiś człowiek do pana – w uchylonych drzwiach stanęła służąca.

– Czy to dyrektor, inspektor czy sędzia śledczy? – ryknął Roblot ogarnięty szaleństwem, kierując ku przerażonej kobiecie lufy pistoletów. – Nie zabiję cię, nie /bój się, sam skończę ze sobą! –(krzyczał za uciekającą. – Gdzie jest ten człowiek? Niech wejdzie. Przynies golonkę i kawę, i Wino, i /wódkę. Umrę i potem!

Wyczerpany wybuchem padł na fotel, opierając głowę o blat biurka.

– Wróciłem trochę wcześniej, panie Roblot – usłyszał za plecami znajomy głos.

Obrócił się błyskawicznie i ujrzał nieznanego starca, a gdy wpatrywał się zdumiony w pomarszczone policzki, starzec wyprostował zgarbione plecy, zdjął siwą perukę i stał szminkę z twarzy.

– Pan hrabia! – zawołał osłupiały zastępca dyrektora.

Łzy napłynęły mu do oczu, wstał chwiejąc się jak człowiek pijany i rzucił się w ramiona Henryka.

– Doprawdy – łkał – (jak to pięknie z pańskiej strony. Nie każdy wróciłby do więzienia. Ale się najadłem strachu! Teraz wsadzę pana pod klucz i niech mnie kule biją, jeśli choć na chwilę spuszczę pana z oka!

– Będzie to nagroda za moją punktualność –< uśmiechnął się Henryk.

– Niech będzie, co chce, trzymam pana i więcej nie puszczę. Do licha, wcale mi pan nie powiedział, że jest pan Janem Diabełem!

–Jan Diabeł? – powtórzył Henryk. – Słyszałem, że czasem uciekał z więzienia, lecz nigdy nie słyszałem, by wracał z własnej woli.

–Doskonale się udało! – wołał Roblot. – Dyrektor i sędzia śledczy, a także inspektor mogą przybywać spokojnie. Żona i dzieci bezpieczne. Od trzech dni byłem bardzo zdenerwowany, gdyż pańska sprawa przybrała obrót... Słusznie mówi przysłowie, że nie należy się zarzekać. Przedtem dałbym rękę uciąć, że jest pan niewinny. A tu ta historia z Tivoli, z ulicą Dauphine... To dopiero rebus do rozwiązania! A jeszcze gdy te trzy listy spadły mi na głowę... Pan naturalnie nie wie, o co chodzi?

– Owszem – przerwał Henryk – wiem wszystko.

– W dalszym ciągu odgrywa pan rolę wszystkowiedzącego pustelnika. Ale i z tym zrobimy porządek, dobrze pana przypilnuję, zbyt wielkiego najadłem się strachu. Mówiłem więc, gdy zrozumiałem, że stracę miejsce...

– Czyż zapomniał pan, co powiedziałem w razie nieszczęścia?

–Ha! – zaśmiał się Roblot. – Jan Diabeł mówił wiele rzeczy!

Gdyby wszystkim dozorcóm więziennym, którzy przez niego stracili miejsce, fundował dożywotnie renty... Pan wybaczy, miałem już strzelić sobie w łeb – to mówiąc pokazał

dwa wielkie pistolety. – Chciałbym tylko wiedzieć – zaśmiał się gburowato dlaczego pan wrócił?

– Dowiedziałem się, że dziś będzie przesłuchanie.

Eoblot wlepił w młodego człowieka okrągłe ze zdumienia oczy.

– No, jest w panu poczucie przyzwoitości – zamruczał. – Kryje się za tym, co prawda diabelska sztuczka! Już dawno mówiłem, że jak na zwykłego hrabiego, za dobrze potrafi pacykować sobie twarz. Przemienia się, jak chce. To wcale pochlebnie o panu nie świadczy. Ale wie pan? Koniec ze zdrojem, z kuzynami i Bractwem Oswobodzicieli, z Orłami Legii Honorowej, Wiarą, Nadzieją i Miłością. Kpię z tego teraz, gdyż udało mi się uniknąć katastrofy. Przez te trzy dni wiele myślałem i nieraz nazwałem siebie idiotą i głupcem. No, panie hrabio, czas wrócić do jaja jak grzeczne kurczątko.

– Jestem gotów, kochany panie Roblot – odparł Henryk.

Stary żołnierz nie posiadał się z radości. U większości ludzi radość wyzwala dobre uczucia, jak wyrozumiałość i miłosierdzie. U innych zwiększa wrodzony egoizm, objawy szczęścia stają się brutalne i bezwzględne. Nie są to źli ludzie, tylko w taki sposób okazują, że są szczęśliwi. Bezwiednie, nie zdając sobie sprawy z własnej niewdzięczności, Roblot mścił się za godziny straszliwego niepokoju, jakie przeżywał przez ostatnie dni.

– Do licha! – powiedział – jest pan gotów, mam nadzieję. Dość tych ceregieli. Pełnię swoją powinność i należy mnie słuchać. Ktoś, kto jak ja miał strzelić sobie w łeb, nie lęka się sztyletów bractwa. Niech się tylko odważą, przywitam ich dobrym śrutem! I uprzedzam pana, panie de Belcamp, gdyby zechciał pan spłatać mi jeszcze jednego figla, zastrzelę pana bez wielkiego gadania, taki mój obowiązek.

– Ależ drogi panie Roblot – odparł Henryk – jestem całkowicie na pańskie rozkazy.

– Dobrze pan to wyraził, słusznie, ale mamy czas – dodał czując niewyraźne wyrzuty sumienia zresztą wybawił mnie pan z kłopotu. Proszę szklaneczkę wina, proszę, drogi więźniu, lubię wszystko załatwić po ludzku.

– Tysiączone dzięki, panie Roblot, ale jestem tak zmęczony, że pragnę tylko odpocząć.

– Rozumiem, chce się pan przygotować do przesłuchania.

– Myli się pan, prawda jest prosta.

Roblot wybuchnął śmiechem, po czym spoważniał i przyjrzał się uważnie młodemu człowiekowi.

– Do licha! – mruknął – wygląda jak niewiniątko, ale ja znam się na fizjonomii i kiedyś opowiem dzieciom, jak znalazłem się oko w oko z Janem Diabłem, w moim własnym gabinecie. Co prawda mam tu parę pistoletów, ale zawsze...

Zatknął pistolety za szelki i wziął duży klucz ze specjalnej szafki.

– Nie zostawię panu na stole tych zabawek – powiedział. • Gdy odwrócił się, wydał okrzyk przerażenia. Henryk bawił się parą prześlicznych pistoletów, których dziwerowane lufy błyszczały jak słońce. Roblot upuścił klucz, podnosząc ręce ku szelkom, lecz okrągłe otwory znalazły się na wysokości jego oczu: prawie czuł uderzenie kul, które trafiają go w czoło. W chwili, gdy już umierał, hrabia Henryk powiedział łagodnie:

– Niepotrzebne mi pistolety, wziąłem je na podróż, pozwoli pan, że mu je ofiaruję, drogi panie Roblot.

Oczy zastępcy dyrektora prawie wyszły z orbit i odzyskując zimną krew ujrzał, że broń wymierzona była w niego ręką.

– Dobrze pan robi oddając broń – wykrztusił, a zrozumiałwszy, być może, śmieszność swej sytuacji, dodał: – Nie mogę nic przyjąć od pana. Jej miejsce w sądowej kancelarii.

Podniósł klucz i otworzył małe drzwi, prowadzące bezpośrednio na więzienny korytarz. Henryk na jego rozkaz poszedł pierwszy, a po chwili znalazł się w "jak najbezpieczniejszej celi", według zapewnień pana Roblot. Ponadto zastępca dyrektora oznajmił, że więźnia nie będzie obsługiwał Mestivier, któremu "postara się o awans". Zasunięto rygle i Henryk usłyszał miarowy krok wartownika pod drzwiami celi. Pan Roblot wpadł w doskonały humor

1 kazał zanieść golonkę i wino do jadalni, gdzie żona i dzieci miały wziąć udział w festynie.

W ciągu dnia wrócił dyrektor, zjawił się również sędzia śledczy, poddając więźnia przesłuchaniu. Przyjechał inspektor i wszyscy wieszowali panu Roblot nadzwyczajnej czujności i ścisłego wypełnienia rozkazów ministra.

Mijały dni, śledztwo toczyło się sprawnie. Hrabia Henryk był surowo strzeżony, bez prawa komunikowania się z kimkolwiek z zewnątrz. I chociaż Roblot lubił mówić przełożonym, że "śpi w poprzek drzwi celi", nie wiedział, że do Miremont przychodziły listy od Percy Balcomb, datowane z Londynu.

Miremont nie zajmowało się co prawda panem Balcombem ani opóźnionym ślubem Jani. Istniały większe emocje, dzięki Bogu! Od zamierzonych czasów nie przeżywano takiej gorączki! Nie znana jeszcze wczoraj miejscowość stała się ośrodkiem zainteresowania całej Francji, nawet Europy; Miremont zaabonowało dzienniki, by ujrzeć w druku swe imię.

Gdy sprawa młodego hrabiego de Belcamp przybrała nowy obrót, opinia mieszkańców również uległa zmianie. Mimo tajności śledztwa wiele rzeczy przedostało się do publicznej wiadomości. Legenda

o Janie Diable cieszyła się ogromnym powodzeniem. Młodsze dzieci państwa Chaumeron bawiły się w zakopywanie zwłok na terenach Tivoli. Co prawda odczuwano pewien rodzaj litości dla starego markiza, ale była to litość z domieszką zaspokojonej zemsty. Jakże szanowano niegdyś tego człowieka! Czy nie zmusił wszystkich, by wielbili jego syna? Tego bandytę? Naturalnie, był nieszczęśliwym ojcem, ale posiadał powóz i osiemnaście tysięcy franków dochodu. Nikt oczywiście nie posądzał go o współnictwo w tych okropnościach. Właściwie znano go dopiero od trzech lat, w jego życiu były też tajemnice. Na przykład ta kobieta przybyła nocą do Wersalu, zawoalowana dama, którą markiz przywiózł do zamku nie pokazując nikomu.

Między Miremont a Isle-Adam, siedzibą komisarza Godinot, bez przerwy krążyli mieszkańcy miasteczka. Codziennie Jeden z członków "towarzystwa" jeździł do Wersalu, by zasięgnąć języka. Powracał z koszem pełnym plotek. Zbierano się u państwa Morin omawiając przywiezione wiadomości. Była to wspaniała epoka w życiu Miremont!

Nie tylko zamek Belcamp krył tajemnice. Nowy zamek oraz domek wdowy Touchard przedstawiały nie lada zagadkę. Robert Surrisy kursował na drodze do Paryża. Zuzanna, ta nieśmiała, jasnowłosa Angielka, spacerowała po parku wraz z przystojnym młodzieńcem, ściskając co chwila małego Ryszarda, który nazywał ich tatusiem

1 mamą. Miss Zuzanna wydawała się szczęśliwa, mimo że pan Tempie, zwolniony w Londynie za kaucją, przebywał w domu wariatów.

A lady Frances Elphinstone? Według raportu komisarza Godinot, w hotelu Meurice w Paryżu zamieszkał pewien austriacki hrabia umierający na suchoty. Lady Frances spędzała noce przy jego łóżku. Młodzieniec ten, hrabia Fryderyk Boehm, przyjmował

również Roberta Surrisy oraz Anglika, towarzysza Zuzanny. Mimo ciężkiej choroby poruszył niebo i ziemię, by widzieć się z hrabią Henrykiem w więzieniu.

Robert bywał u Jani, jak gdyby nic nie zaszło. Laurent cieszył się wyraźnie względami uroczej Żermeny. Férandeau dziwnie tego ważył, a pewnego dnia najstarsza panna Chaumeron po powrocie

z Wersalu opowiedziała, pałając oburzeniem, jak to na ulicy de la Paroisse gromada gapiów tłoczy się przed sklepem sprzedawcy rycin. Całe Miremont było wystawione w karykaturze i Niewdzięczny Férandeau tak odpłacił za gościnę, jaką mu okazywano. Magdalena Surri- sy była jedyną istotą bywającą w zamku Belcamp. Pewnej nocy polowy Blondeau słyszał głosy w domku Magdaleny. Matka i syn 'kłócili się. Matka mówiła: "To morderca!"

Jakie miało być zakończenie rozwijającego się dramatu? Papa Chaumeron wyrażał bez ogródek swój pogląd: "Gdybym był przysięgłym, miałby za swoje!" Dwaj bracia Bondon nigdy nie widzieli gilotyny i żyli nadzieją ujżenia interesującego przyrzędu przy pracy "w dniu hrabięgo Henryka". Pani Morin liczyła godziny dzielące ją od egzekucji i szykowała ciemną suknię na tę uroczystość.

W obozie przyjaciół nic nie zachwiało wiary w Henryka. Żermena kpiła ze wszystkich przepowiadając, że całe Miremont będzie się jeszcze nisko kłaniać panu hrabiemu. Zbierano się u Jani lub w nowym zamku, a o Henryku mówiono z uwielbieniem. Zuzanna uczyła małego Ryszarda imienia dobroczyńcy. Mąż jej żywił dla Henryka rodzaj kultu. Nikt nie wątpił w szczęśliwe zakończenie procesu.

Tak dawniej gwarny, otwarty gościnnie dla wszystkich, zamek Belcamp stał teraz cichy i milczący. Wyglądał, jak gdyby był nie zamieszkały. Pozamykano szczelnie okna. Żywej duszy nie widać w parku. Co się działo w okrytej żałobą siedzibie? Oszukana miłość, głęboki ból czy bezbrzeżna rozpacz? Mury nie przepuszczały ani łez, ani jęków. Największą tajemnicą była kobieta, która weszła do zamku, ale nie opuściła jego progów. Co kryły okna osłonięte ciężkimi firankami? Markiz raz tylko opuścił zamek, niepewnie trzymając się na nogach jak człowiek 'bliski śmierci, bledszy od widma, lecz wyprostowany, z wysoko podniesionym czołem. Zjawił się w kościele, wysłuchał mszy i przystąpił do sakramentów. Co to było? Zamek otaczała atmosfera tragedii, cisza przed burzą.

19. Pałac Sprawiedliwości

Szóstego dnia procesu od piątej rano nieprzebrany tłum zgromadził się przed Pałacem Sprawiedliwości. Czekano na otwarcie drzwi, by zająć miejsca na rozprawie przeciw hrabiemu Henrykowi de Belcamp. Wśród zebranych krążyły najsprzeczniejsze wieści; mówiono między innymi, jakoby oskarżony odrzucił pomoc adwokata, gdyż

zamierza bronić się sam. Ludzie, którzy nigdy nie słyszeli o Janie Diable, dowiadawali się straszliwych rzeczy o tym bandycie.

Okolo siódmej pan Huchon, urzędnik dysponujący kartami wstępu na rozprawę, wszedł do swego biura. O ósmej w korytarzu rozległ się tubalny głos pana Chaumeron, który żądał jedenastu miejsc, twierdząc, że jest sąsiadem ojca oskarżonego.

– Młodzieńcze – mówiła wyniośle pani Morin do urzędnika – jestem żoną zastępcy mera w tej samej miejscowości.

– Miejsce dla pana prezesa – komenderował olbrzymi lokaj.

– Miejsce dla pana generała! – wtórował jego kolega.

– Tu z prefektury!

– Wysłannik ministerstwa!

– Panie Huchon, pańska małżonka obiecała mi, jestem piekarz.

Biedny pan Huchon dwoił się i troił.

O dziewiątej otwarto posiedzenie sądu. Publiczność tryskała humorem, gdyż sala sądowa to najweselsze miejsce na ziemi! Gdy wprowadzono oskarżonego, zapanowała cisza. Odczytano akt oskarżenia, przesłuchano Henryka de Belcamp oraz świadków, wysłuchano mowy prokuratora. O trzeciej zawieszono rozprawę, publiczność potrzebowała bowiem antraktu. Rzucono się do wyjścia. W korytarzach huczało od wrażeń.

- Miał lekką rękę, nie ma co!
- A pomysł z dwoma paszportami, hę? Wcale dobry.
- Kochanie, ma tak piękne oczy jak kobieta. Czy znasz historię Józefa Lesurques?
- Jak on to robił, gdy kładł rękę na szyi ofiary?
- Prawdziwy Kain!
- Jest niewinny, to jasne... Sąd przysięgłych nie może go skazać!
- Potwór! – zajęczała najstarsza panna Chaumeron. – Zabić dwóch ludzi w przeddzień ślubu!

Gdy tak wrzały namiętności, Henryk pod eskortą żandarmów przeszedł do sąsiedniego pokoju, przeznaczonego na miejsce odpoczynku oskarżonego w przerwach rozprawy. W dniu procesu hrabia de Belcamp, trzymany w ścisłym odosobnieniu dla dobra śledztwa, spotkał wszystkich przyjaciół i otoczyły go kochające serca. Wśród żadnej taniej sensacji ciżby, ubranej zarówno w cienkie sukno, jak łachmany, w dziurawy perkal i w aksamit, w klejnotach, orderach i złotych haftach, wydającej »przykry zapach nędzy lub wytwornych perfum, Hen-Joseph Lesurques (1763–1798) – ofiara pomyłki sądowej, skazany na śmierć za morderstwo popełnione przez człowieka, do którego był podobny.

ryk rozpoznał wiele bliskich mu i drogich twarzy. W pierwszym rządzie siedziała Jania, jak zwykle w żałobnej sukni, kryjąc wzruszenie pod czarnym welonem i posyłając ukochanemu uśmiech przez łyzy. Dalej lady Frances, Zuzanna z Ryszardem, za ich plecami Fryderyk Boehm, a obok niego przekorna twarzyczka Żenmeny, na której malowały się wszystkie uczucia od oburzenia do entuzjazmu. Z tłumu wyróżniały się wysokie postacie o poważnych twarzach, w których bez trudu można było poznać wojskowych. Blisko drzwi prowadzących do kancelarii stali obok siebie Robert Surrisy, Laurent i Ferandeau.

Spojrzenie Henryka na próżno jednak szukało srebrnej głowy ojca. Markiza de Belcamp nie było na sali sądowej. Obecność ojca obok ławy oskarżonych to wielka siła dla oskarżonego. Sędziowie przysięgli są czuli na dowód ojcowskiego zaufania. Nieobecność markiza pozbawiała Henryka najmocniejszej broni. Lecz nie siebie żałował, gdy smutny wzrok więźnia z niepokojem obiegał salę. Nie nad sobą użalał się, powtarzając ze ściśniętym bólem sercem: "Mój ojciec! Mój biedny, drogi ojciec!" Nie stracił jednak nadziei, gdy odczytano akt oskarżenia. Czekał, gdy przemawiał prokurator, którego mowa była szczytem oratorskiego kunsztu. Opuszczając salę jeszcze się spodziewał. Przy drzwiach wiele rąk. wyciągnęło się, by mu uścisnąć dłoń. Ręka Fryderyka Boehma dłużej niż inne pozostała w dłoni Henryka. Młodzi ludzie wymienili znaczące spojrzenie.

Gdy oskarżony znikł w przyległym pokoju, przyjaciele opuścili salę sądową. Robert zbliżył się do Jania.

- Pańska matka zabije go – szepnęła dziewczyna.
 - Uratuję go – odpowiedział dodając: – Moja matka jest szlachetną kobietą, spełnia swój obowiązek, jak my.
 - Proszę mi wybaczyć – szepnęła Jania przez łyzy, wyciągając rękę – jestem niesprawiedliwa, ale tak cierpię.

- Oh! – wykrzyknęła Żermena. – Ten człowiek, prokurator, co występował przeciwko niemu... gdybym tak umiała władać szpadą!...
- Czy zgodził się? – spytała cicho lady Frances.
- Dopóki jest we władzy sądu, siostrzyczko – odpowiedział Robert – musimy słuchać wyłącznie Fryderyka Boehma, to nasz wódz.
- Bogu niech będą dzięki – westchnęła Frances rumieniąc się, po czym chwyciła rękę brata i przyciągając go do siebie, szepnęła: – Niech Fryderyk go uratuje, a wyjdę za niego.

Nieznajomi o poważnych twarzach rozproszyli się w ulicach otaczających Pałac Sprawiedliwości. Byli to najspokojniejsi widzowie procesu, nie dyskutowali i nie wyrażali sądów o winie oskarżonego, nie robili zakładów. Wśród nich było kilku Anglików, gdyż padły nazwiska i Perkinsa i kapitana Abercrombie, a przyjrawszy się bliżej, dostrzegało się kapitana Gauthier, porucznika Renault, Piotra Louchet i część dzielnej załogi "Oswobodziciela". Ciemna głowa Fryderyka Boehma górowała nad innymi.

- Panowie – mówił hrabia Boehm – Bóg jeden zna wynik tej walki; musimy być gotowi każdej chwili. Panowie Abercrombie i Perkins natychmiast udadzą się do Dieppe, by statek mógł od płynąć, jak tylko milord znajdzie się na pokładzie.
- Jesteśmy tu na rozkaz milorda – zauważył Perkins.
- Milord wie, co robi – dorzucił Abercrombie. – Te marionetki mają do odegrania rolę w komedii. Stawiam sto funtów, że milord wyjdzie z tego bielszy niż śnieg.
- Jako nasz wódz – powiedział Robert – pan hrabia de Belcamp ma prawo posiadać swoje tajemnice, lecz podczas pobytu w więzieniu pewne rzeczy mogły ująć jego uwagi. Wypadki potoczyły się dalej. Jeśli to rzeczywiście komedia, odegrana w nie znanym nam celu, deski tego teatru oparto na beczkach z prochem. Regulamin nasz mądrze przewiduje, że uwięziony wódz ma tylko honorową władzę. Znajdujemy się obecnie pod rozkazami hrabiego Fryderyka Boehm, chyba że zjawi się wśród nas członek rady najwyższej.

W tej chwili podszedł do nich niski mężczyzna o śmiałej inteligentnej twarzy i dotknął ramienia Fryderyka.

- Admirał! – szepnął Fryderyk Boehm zdejmując kapelusz.
- Nieznajomy położył palec na ustach.
- Mam prawo do dowództwa – powiedział krótko. – Jestem członkiem najwyższej rady. Inne tytuły mało znaczą. – A zwracając się do dwóch Anglików dodał: – Panowie, natychmiast wyruszajcie na statek. Ręka, która dosięgła wielkiego mistrza, jest potężna...

Perkins i Abercrombie odeszli z dwoma Francuzami, którzy mieli ułatwić im podróż.

- Czy wszystko gotowe? – spytał człowiek zwany admirałem.
- Wszyscy ludzie uzbrojeni są na stanowiskach – odparł Surri- sy. – Zaatakujemy eskortę w Alei Paryskiej, między sądem a więzieniem. Konie przygotowane na całej trasie.

W tej chwili usłyszeli ostrzegawcze hasło: "Ku lepszemu", i rozpierzchli się sploteni. Robert zamilkł, a nieznajomy opuścił rondo kapelusza na oczy i powiedział po angielsku:

- Wszystko w porządku.

Po czym znikł na zakręcie ulicy. Czarno ubrana kobieta zbliżała się ulicą Jouvencel, na której oprócz spiskowców nie było nikogo. Jej to nadejście wywołało popłoch wśród zebranych. Podeszła prosto do Roberta, a młody porucznik zmarszczył brwi i spytał:

- Czego chcesz, matko?

Magdalena wzięła go za ramię i odciągnęła na bok.

– Jest szpieg między wami – powiedziała. – Ryzykujesz, chłopcze, życie w nieuczciwej grze. Uważaj!

I poszła dalej.

Gdy Robert powrócił do towarzyszy, spytał hrabiego Fryderyka:

– Czy zna pan tego człowieka?

– To admirał M....

– Nie, do licha! – zawołał jeden z marynarzy “Oswobodzicie- la”. – Służyłem na statku admirała M. Głowę daję, że to nie on!

– Gdzie go pan poznał? – indagował Robert, a wszystkie twarze pokryły się bladeścią.

– W Londynie, u Konstancji Bartolozzi – odpowiedział Fryderyk.

– W obecności hrabiego Henryka?

– Nie – odparł Fryderyk po namyśle. – Nigdy nie widziałem go w obecności hrabiego de Belcamp.

– Panowie – rzekł Robert stanowczo – hrabia de Belcamp, mimo że uwięziony, ma lepsze oczy niż my. Na wszystkie nasze propozycje odpowiedział odmownie.

Przekazuję panom odwołanie rozkazu co do spotkania w Alei Paryskiej. Przed końcem procesu hrabia Boehm wyda nowe zarządzenia.

Otwarto następne posiedzenie sądu i ulice opustoszały. W Alei Paryskiej niedaleko merostwa siedział samotnie na ławce stary człowiek. Wartownicy zmieniający się przy bramie magistratu widzieli, jak tkwił tam od rana, zgarbiony, z rękami skrzyżowanymi na gałce laski. Był to wysoki starzec o siwych zupełnie włosach i bladej twarzy wyrażającej cierpienie. Oczy błyszczały gorączką, a ręce drżały, jak gdyby dreszcz przebiegał jego ciałem. Markiz de Belcamp, mimo że nie znajdował się na sali sądowej, siedział blisko ławy oskarżonych. Nie krył się, lecz widać było, że krępowały go spojrzenia rzadkich przechodniów i chwilami przez twarz przelatywał rumieniec. Nasłuchiwał odgłosów z gmachu sądu oraz bicia zegara. Czasami łza spływała po wychudłym policzku.

W Alei Paryskiej znajdował się jeszcze jeden człowiek, czarno ubrany, w białym krawacie, który chodził nerwowo wzdłuż ulicy. Poznać było, że należał do wyższych sfer sądownictwa. Chwilami ocierał chusteczką czoło i widocznie dyskutował sam ze sobą, gdyż gestykulował gwałtownie.

– “Właściwie nie ma żadnego świadka de visu – mówił sobie – jedynie okoliczności, które dziwnym przypadkiem mają pozory prawdopodobieństwa. Życie tego młodzieńca nie jest bez skazy, to jasne, jednakże... Są w nim tajemnice. Im bardziej zagłębiać się w ciemności, tym trudniej dostrzec prawdę. Lecz tak szlachetna twarz... co za duma i jaka inteligencja! Nikogo podobnego nie spotkałem w życiu! Ile godności! Nie sądzę, by był winien. Niech to wszyscy diabli! Intryga nie do rozwiązania. Nie, na honor, nie sądzę, by był winien”.

Ostatnie słowa wypowiedział głośno, mijając ławkę markiza. Pan de Belcamp podniósł wzrok i poznał kuzyna de Boisruel.

– Drogi, szanowny kuzynie – radca podszedł z wyciągniętymi rękami, poruszony wyrazem niemej boleści starca.

Markiz nie podał ręki, mimo że usiłował się uśmiechnąć. Głos miał tak zmieniony, że panu de Boisruel ścisnęło się serce:

– Dzień dobry, Boisruel, nie wstydzisz się mnie?

– Czy kuzyn już go opuścił? – spytał radca de Boisruel cofając się.

– Widzisz, kuzynie – głos markiza łamał się, jak gdyby powstrzymywał łzy – było we mnie tyle dumy! Czy należy aż tak kochać jedyne syna, ostatnią nadzieję w życiu?

Boisruel siadł obok nieszczęśliwego ojca.

– Wyszedł pan z sali sądowej? – spytał.
Markiz milczał.

– Szanowny kuzynie! – zawołał radca – nie należy tracić nadziei. Mówię panu zgodnie z sumieniem, wcale nie jestem przekonany o jego winie. Ja bym go nie skazał. Syn pański źle robi, że coś ukrywa. Założyłbym się, że jakieś względy... nie wiadomo tylko, jakiej natury... Tu jest sedno sprawy. Taki młody to nie wie, że wszelkie względy muszą ustąpić, gdy chodzi o honor. Przypuszczalnie wyolbrzymia swój obowiązek. To bardzo dziwna sprawa, nie ma nic pewnego, a wszyscy znamy maksymę: "Jeśli wątpisz, powstrzymaj się od sądu".

– Wątpliwość... – szepnął jak echo markiz.

– Rozumiem, jak nie podejrzewa się żony Cezara, tak samo i syna markiza de Belcamp... To jasne! Śledztwo bardzo dobrze prowadzone. Sędzia śledczy pisząc akt oskarżenia nie tyle szukał prawdy, ile winowajcy. To młodzi ludzie. Z czasem poprawią się. Prawdziwa sprawiedliwość poszukuje zarówno niewinnego, jak i winowajcy, ale

...
cóż, młodość... Niech mi pan wierzy, człowiek wychodzący zwycięsko z walki, w której przeciwnik użył wszelkiej, nawet niedozwolonej broni, wychodzi czysty i bez skazy. To próba wody.

– Tu potrzebna próba ognia – powiedział ponuro markiz.

– Jeśli wie pan coś więcej, (kuzynie... – zaczął pan de Boisruel patrząc przenikliwie na pana de Belcamp.

Starzec zachwiał się, a gdy radca wyciągnął ramię, by go podtrzymać, odsunął pomocną dłoń. mówiąc:

– Jeśli padnę, to po to, by umrzeć.

– Mój Boże – westchnął Boisruel – bez wątpienia, pochodzi pan z rycerskiej rasy, lecz dawni rycerze wspomagali jeden drugiego. Nie mogę zrozumieć, dlaczego złamał pan lancę jeszcze przed turniejem. W całej tej sprawie są fantastyczne rzeczy, zapewniam pana, którymi sąd nie może się zajmować, jak nie zajmuje się przygodami Donkiszota. Afera praska dotyczy tych napuszonych łotrów zwanych Rycerzami Róży i Krzyża, a sprawa londyńska to przecież Unia Irlandzka wraz z Bractwem Oswobodzicieli... Jest jeden świadek, rodzaj prorokini, na której widok dostają gęsiej skórki: to Magdalena Surrisy. Pół tuzina takich wariatek, a oskarżono by Ludwika XVIII o zamordowanie Robespierre'a! Po tylu latach poznać kogoś po głosie – to bzdura! Kiedy ledwie można odróżnić skrzypce Stradivariusa. Struny głosowe człowieka ulegają zmianie! Właściwie są dwie pary zamordowanych: piwowarzy i bandyci. To najmocniejsza część śledztwa. Nie chodzi już o sąd nad jakimś Janem Diabłem czy innym brytyjskim Fra Diavolo, ale nad hrabią Henrykiem de Belcamp. Na honor, niczego mu nie dowiedziono. Nawet tożsamość tych londyńskich opryszków...

– Londyńskich opryszków? – powtórzył markiz.

– No tak, dwa trupy odkopane w Tivoli...

– Ach! – szepnął markiz – dwa trupy...

– Świadek mający dostarczyć dowodów na to podwójne morderstwo nie pojawił się: to Gregory Temple. Bóg dotknął go szaleństwem. Gdy pierwszy raz ujrzałem młodego kuzyna, pamiętam, że spacerował pod rękę z panem Temple'em! Zresztą, to nie jest najważniejsze! Nie można ściąć głowy za dwa białe listy.

– Dwa białe listy – powtórzył powoli markiz.

– Tak, dwa listy, jeden ostemplowany w Paryżu, a drugi w Saint-Denis, które znalaziono w portfelach fałszywych hrabiów de Belcamp.

– Ach! – znowu powtórzył markiz, a jego twarz ożywiła się jak woskowa maska, w którą wstąpiło życie.

– Przecież pan wie: dwa listy, jak się przypuszcza, były umówionym znakiem, by ustalić datę podwójnego morderstwa w Lyonie i Brukseli.

– Nic o tym nie wiem – odrzekł markiz.

– W takim razie nic pan nie wie! – zawołał pan de Boisrueil z ukrywanym oburzeniem.

– Nic – odpowiedział jak echo pan de Belcamp.

– A więc, szanowny kuzynie – pan Boisrueil pomyślał ze współczuciem, że wiek i choroba osłabiły jasność myśli markiza – największy atut oskarżenia to te dwa listy. Sprawdzono, że urząd pocztowy w Saint-Denis, skąd wysłano jeden z nich, leży na drodze z Belcamp do Paryża. Ale nic nie wiadomo, poczwórne morderstwo okrywają ciemności i tylko Bóg i czas mogą przynieść wyjaśnienie.

– Tak, Bóg... – powtórzył mechanicznie markiz. Pan de Boisrueil wstał.

– Ponadto – dodał szykując się do odejścia – są jeszcze słynne ślady krwi z teatru Feydeau; ale pomoc okazana dziecku na ulicy jest właściwie dowiedziona. Za to nikogo nie skazuje się na śmierć. Kuzynie, zobaczę, co tam słychać w sądzie. Czy przynieść panu nowiny?

– Nie – odparł markiz.

Radca ukłonił się i odszedł. Markiz siedział bez ruchu jak kamienny posąg. Po kilku chwilach ożywił się.

– Białe listy – szepnął – pamiętam...

Z zapadnięciem mroku tłum podobny do opuszczającej teatr publiczności wysypał się na ulicę. Markiza przebiegło drzenie, lecz siedział nieporuszony.

Wkrótce usłyszał znajome głosy, kroki nadchodzących dudniły w ciemności.

– To bezczelność! – mówiła pani Morin.

– Wszyscy wiedzą, jak umie mówić, gdy zechce – dodała pani Celestin.

– Mężczyźni to oszuści – dokończyła najstarsza panna Chaumeron.

Całe Miremont zatrzymało się o dziesięć kroków od markiza, rozprawiając zawzięcie.

– Czy widzieli państwo, jak się kompromituje ta mała Żermena? – ciągnęła panna Chaumeron. – Bezwstydnica.

– A piękna Jania! Milady Balcomb! Gdy dostał prezent ślubny, to pan małżonek przestał się pokazywać.

I całe Miremont zaniosło się serdecznym śmiechem.

– Lady Frances i mass Zuzanna, której ojciec podobno zwariował, też zachowują się nie lepiej – zauważyła pani Morin. – Czy widzieli państwo trzech nicponiów?

Wyglądają, jak gdyby sprawa dotyczyła ich osobiście! Do czego może doprowadzić lenistwo!

– To nie przeszkodzi, by wytworny Henryczek dostał za swoje – zakonkludował pan Chaumeron. – Mówię, co myślę. Przykład potrzebny, by odstraszyć innych.

– O tak – odpowiedziały damy – przykład jest potrzebny.

– Mam myśl – wykrzyknął papa Chaumeron – a gdyby tak coś przekąsić?

– W Wersalu konsumpcja droga – oświadczyła pani Morin. – Ten proces i tak wiele nas kosztował.

– Znam pewną małą knajpkę, gdzie ceny przystępne – odparł pan Chaumeron.

– A więc naprzód, marsz!

20. Błogosławieństwo

Obrady sędziów przysięgłych są tajne, lecz w kularach sądu zawsze spotkać można osoby dobrze poinformowane, które potrafią opowiedzieć ze szczegółami przebieg głosowania. Sąd przysięgłych składa się z trzydziestu sześciu obywateli, odpowiadających pewnym wymogom społecznym. Los, wyłączenie pewnych osób z

grona przysięgłych na wniosek oskarżyciela czy też obrony zmniejszają tę liczbę do dwunastu nazwisk tworzących ostateczny areopag. Celem debaty nie mającej żadnego związku z kwestiami prawnymi to wyrobienie właściwego sądu o sprawie. Gdy przysięgli, wracając po naradzie na salę, wobec Boga i ludzi wypowiedzą swe straszliwe "tak" lub miłosierne "nie", nie jest to opinia dwunastu obywateli, lecz zgoda na taki czy inny wyrok wydarta poprzez elokwentne słowo, wspaniałą wymowę, talent oratorski lub przekonanie wybitnej jednostki, która przypadkiem znalazła się wśród nich, narzucając swą wolę pozostałym.

Dwunastu przysięgłych z Wersalu to najuczciwsi ludzie pod słońcem, przeważnie kupcy. W ich liczbie znajdował się adwokat, lekarz | profesor. Większość wyraziła niepewność co do winy oskarżonego.

Jedynie adwokat, lekarz i profesor mieli wyrobione zdanie w tej sprawie. Lekarz twierdził, że winien, profesor, że nie; adwokat gorąco wystąpił za winą, a zakończył uniewinnieniem. W połowie Jego przemówienia przysięgli potracili głowy. Gdy policzono głosy, dziesięć stwierdziło "tak", a dwa "nie". Po przemowie profesora sześciu wypowiedziało się za niewinnością oskarżonego, lecz mowa lekarza odebrała sześć głosów obronie, wznosząc szafot dla hrabiego Henryka. Adwokat wystąpił jeszcze raz i sześć głosów opowiedziało się za niewinnością oskarżonego, a sześć przeciw niemu.

Przysięgłym mąciło się w głowach. Dyskusja trwała już od godziny. Miremonckie towarzystwo zdążyło zjeść obiad w taniej knajpce. Lekarz i profesor zamienili przykre słowa. Adwokat krzyczał jak opętany, dowodząc, że wszystko jest jasne. Dziewięciu przysięgłych miało ból głowy, a każdy był innego zdania. Połowa opowiadała się ostatecznie za winą, druga połowa za niewinnością oskarżonego. Walka stawała się coraz zajadlejsza, lecz nie doprowadziła do niczego.

– Panowie – przemówił profesor – tu chodzi o życie człowieka! Nieszczęśnicy dobrze o tym wiedzieli i zimny pot pokrywał im skronie.

– Na wszelki wypadek lepiej uniewinnić – zaryzykował jeden.

– Panowie – wrzasnął lekarz – to groźba dla ludzkości!

– W takim razie skażmy – zaproponował inny.

Adwokat rzucił się jak ugryziony przez węża. I tak debatowali, obracając w kółko ten sam temat: uniewinnić, jeśli pozwala sumienie, skazać, jeśli sumienie tak nakazuje.

Minęła druga godzina jałowej dyskusji, a przysięgli dzielili się jeszcze na dwa równe obozy: sześciu przeciwko sześciu. Po wielu przemowach lekarz zarządził nowe głosowanie; wynik wypadł: skazany dziewięcioma głosami przeciw trzem. Wówczas profesor podszedł do przeciwnika z wyciągniętą ręką. Lekarz drgnął. Zamieniono półgłosem kilka słów, a ponieważ adwokat ciągle przemawiał, hasło "ku lepszemu" nie doszło do niepowołanych uszu.

W kilka minut potem przysięgli wchodzili na salę sądową, drżącą z niecierpliwości.

Łagodna twarz adwokata zdawała się mówić: "Udało mi się ich przekonać". W głębokiej ciszy lekarz, przewodniczący sądu przysięgłych, oznajmił wyrok.

– Jednomyślne "nie", oskarżony jest niewinny.

Oklaski pokryły okrzyki zawiedzionych. Płacząc i śmiejąc się Żermena padła w ramiona Jani.

– Zawsze mówiłem, że niczego nie było – zagrzmiął z głębi sali głos pana Chaumeron.

PGdy hrabia de Belcamp, spokojny i opanowany, zasiadł na ławie oskarżonych, by wysłuchać wyroku, wszyscy uznali, że wygląda jak prawdziwie niewinny człowiek. Damy powiewały chusteczkami w stronę pięknego więźnia, który tyle wycierpiał, mężczyźni tłoczyli się, by uścisnąć mu rękę. Entuzjastycznym okrzykiem przyjęto słowa przewodniczącego, który oświadczył uroczyście, że oskarżony jest wolny. Przyjaciele otoczyli Henryka, a Miremont stawilo się w komplecie, by złożyć gratulacje.

– Pan hrabia zna moje przywiązanie do rodziny pana mera – wdzięczyła się pani Morin. – To był dzień pełen wzruszeń!

– Zwycięstwo! – darła się pani Etienne, ile sił w nogach biegnąc Aleją Paryską, ku ławce, gdzie służba zamkowa otaczała markiza. – Ach, mój dobry panie, zwycięstwo!

Wszyscy przybyli z zamku, a ich radość była naprawdę szczera. Zapadał wieczór i na ulicach zapalono latarnie. Markiz dotąd nie zmienił pozycji, słuchając nowin z posępną twarzą. Nagle wśród zebranych pojawiła się Magdalena Surrisy.

– Pan hrabia de Belcamp został uniewinniony – powiedziała.

– Ach – przemówił markiz, a wargi mu drżały – uniewinniony i... wolny?

– Wolny – odparła Magdalena.

Markiz podniósł się z trudem. Podtrzymała go, każąc sprowadzić powóz.

– Czy nie poczeka pan na pana hrabiego? – spytała pani Etienne, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Gdy powóz nadjechał, markiz wszedł z trudem w towarzystwie Magdaleny.

– Wolny... – powtórzyła, gdy zamknięto drzwiczki – ale nie na długo. Zdradzono ich.

Po czym w powozie zapadło milczenie.

Tymczasem pan Chaumeron zwoływał całe towarzystwo.

– Coś mi mówi, że dziś wieczór będzie wielka uczta u pana mera! Zjemy wspólnie kolację! Zresztą dobrze na nią zasłużyliśmy.

Bohater dnia z przyjaciółmi pędził konno do domu, Jania jechała powozem lady Elphinstone. O jedenastej wieczorem salon nowego zamku był pełen gości. Hrabia Henryk stojąc pisał na blacie kominka.

– Nie wiem, czy winien mi pan majątek – mówił Robert Surrisy do Fryderyka Boehma. – Nie potrzebuję niczego d nic mi nie jest pan dłużny. Bądźmy braćmi, gdyż siostra moja pana kocha; jeśli ją pan uszczęśliwi, zapłaci mi pan z naddatkiem. Fryderyk trzymał w ręku portfel, który wręczył Frances.

– Saro – szepnął gorąco – szczęście wróciło mi życie. Oto majątek twego brata, Roberta. Niech otrzyma go z twojej ręki.

Jania tymczasem łączyła dłonie Zermeny i Laurenta.

– Wyjeżdżając was przynajmniej pozostawię szczęśliwych.

W tej chwili wszedł Billy, mały groom Henryka.

– Spenetrowałem szosę pół drogi do Wersalu – oznajmił. – Oszukano milorda, nie spotkałem ani żołnierzy, ani żandarmów.

Henryk podziękował skinieniem głowy, nie przestając pisać; w chwili gdy kładł podpis na papierze, wezwał Ryszarda.

– Wiele dla mnie wycierpiałeś – powiedział. – Niechcący też wyrządziłem wiele zła ojcu twej żony. Weź to, jesteś biedny i z dala od ojczyzny; to, co posiadam we Francji, mnie już niepotrzebne. A teraz, panowie,, zbliżcie się – rozkazał zebrany przyjacielom. – Proszę was, nie bierzcie zbyt tragicznie słowa zdrada. Nie ma tajnego stowarzyszenia, które by nie posiadało swych zdrajców. Do chwili obecnej los okazał nam wielką łaskawość i sama Opatrzność wydaje się być naszą współniczką.

Najtrudniejsze już poza nami i gdyby teraz ktoś mnie zatrzymał, nie poddam się bez

walki, a walczyć będę do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchnienia... Mamy potężnych przyjaciół, a nasi wrogowie znajdują się poza granicami Francji. Widzę uśmiech na waszych twarzach, jesteście szczęśliwi i cieszy mnie, że przyczyniłem się do waszego szczęścia. Tylko tobie, Robercie, drogi mój przyjacielu i bracie, nie mogę spłacić długu wdzięczności. Powiedziałeś mi dziś, że zaręczyłeś się ze szpadą. Niech więc ta szpada przyniesie ci sławę i zastąpi utracony skarb. Jesteś pierwszym po mnie, Surrisy, mianuję cię moim zastępcą.

To powiedziawszy, dwa razy ucałował młodego porucznika, a zwracając się do hrabiego Boehma, dodał:

– Nie mam dla pana innej nagrody niż moja siostra Sara O'Brien, towarzyszką młodości, pomocnicą w pierwszych zmaganiach z ukrytym wrogiem. Wiem, że jest pan godny posiadać ten diament... Przebaczył mi pan dawne podejrzenia oraz nadzór, jaki nad panem roztoczyłem za pośrednictwem Spiegła, Arnheima i Webera, trzech pańskich przyjaciół. Proszę wraz z nimi jechać do Wiednia. Niech za dni dziesięć cesarzowa i król Rzymu będą w Genui, osobiście po nich przyjadę.

Hrabia Boehm podniósł do ust rękę Frances i ucisnął dłoń Henryka ze słowami:

– Niech Bóg ma nas w swej opiece! Spełnię pański rozkaz lub zginę.

– Laurent – zwrócił się Henryk do brata Jani – nie potrzebujesz

± 'N' ¿z.

pomocy, by zdobyć urocze dziecko, które tyle serdecznego zainteresowania okazało mojej sprawie. Zależać będzie od woli Żerminy, czy zostaniesz we Francji czy będziesz moim adiutantem.

– Niech jedzie z panem! – zawołała -dziewczyna – będę na niego czekać lub później za nim pojedę... Chcę, jak Jania, być żoną żołnierza.

– Czy potrzebny będzie malarz obrazów historycznych? – spytał półgłosem Fćrandeau.

– Nieco później – odparł z uśmiechem Henryk. – Panowie, za godzinę znajdziemy się na drodze do Dieppe; chciałbym przed odjazdem pożegnać ojca... Potem ruszam z wami.

– Uwważaj, Henryku – odezwała się Jania. – Magdalena jest w zamku.

– Ojciec mnie kocha – twarz Henryka promieniała zaufaniem – i jeśli chmura okrywa niebo, rozproszę ją...

Była ciemna bezksiężycowa noc. Henryk wyszedł z nowego zamku i szybkim krokiem skierował się w stronę domu. Gdy przechodził most koło młyna, na kościelnym zegarze wybiła północ. Szedł już ścieżką ku zamkowi, gdy dobiegł go daleki tętent konia. Zatrzymał się nasłuchując. Poczł się nagle sam w ciemnościach nocy, a bolesne przecucie ścisnęło mu serce. Jeździec galopował przeciwległym brzegiem rzeki. Znalazłszy się przy młynie zeskoczył z konia i zbliżył się do domku młynarza.

– Hola! – zawołał – obudźcie się! Wskażcie mi drogę do zamku Belcamp, dobrze zapłacę.

Henryk poznał głos Neda Knoba. Włożył palce do ust i zagwizdał. Ned wziął konia za uzdę i przeszedł most.

– Gdzie jesteś, przyjacielu – mruzczał. – Ze dwadzieścia razy o mało nie skręciłem karku.

Henryk wyszedł z cienia.

– Milord! – zawołał Ned. – Sądziłszy, że jeszcze pan w więzieniu...

Przyjechałem zasięgnąć języka, jak przesłać panu nowiny.

– Mów – rozkazał Henryk.

– Na początek smutna wiadomość – zaczął Ned uroczyście. – Moja urocza Molly owdowiała, więc pobraliśmy się. Postawiłem wódkę dla całego towarzystwa, by okazać hojność. Moja Molly, zapalając fajkę, stanęła w płomieniach, nie wiem wprost, jak to się stało, ale nagle ujrzeliśmy, że pali się błękitnym ogniem. Zanurzyliśmy ją w studni i za długo widocznie trzymano ją pod wodą. Trzeba być czarownikiem, by stwierdzić, czy spaliła się czy też utonęła... Cóż za wieczór weselny! Wybrała mnie, gdy byłem w nędzy, milordzie, i nie znalazłbym drugiej takiej żony. – To mówiąc ocierał szczere łzy bólu. – Dziękuję, że milord pozwolił mi to powiedzieć. A teraz wiadomości. W Londynie upadło ministerstwo, zmieniono lorda najwyższego sędziego, wyrzucono sir Paulusa Mac Allana. Nowy intendent policji już dwukrotnie odwiedził Gregory Tempie'a w domu wariatów i pan Wood napisał mi do Paryża, że rząd angielski może wystąpić o pańską ekstradycję. Nie wszyscy podobni do mojej Molly, która milczała jak grób. Robotnicy Perkinsa szemrali, odkąd fabryka nieczynna. Najzdrowsze dla pana byłoby teraz morskie powietrze.

– Czy to wszystko? – spytał młody hrabia.

– Nie – odparł Ned. – Pan Wood kazał powtórzyć panu te słowa: "Helena Brown przybyła do Londynu".

Hrabia Henryk drgnął tak gwałtownie, że Ned zamilkł, po czym na rozkazujący gest młodego człowieka ciągnął dalej:

– Była bardzo chora i bardzo biedna i pan Wood dał jej pieniędzy, by zamieszkała na wsi.

– Czy to wszystko? – po raz drugi spytał Henryk, ale głos miał bardzo zmieniony.

– To wszystko, jeśli chodzi o Londyn, milordzie, gdyż myślę, że otrzymał pan korespondencję. Był list z Afryki... Naturalnie nikt nie zna jego treści. Co się tyczy Paryża, to na drodze koło Saint-Denis spotkałem cały zastęp żołnierzy... a dalej żandarmów... Zatrzymali mnie, pytając, kim jestem, więc odpowiedziałem, że jestem młodym lordem, osobistym sekretarzem ambasadora Anglii. Dobrze jest mieć elegancki wygląd. Żołnierze i żandarmi jechali w tym samym co i ja kierunku, pomyślałem więc, że powinien pan o tym wiedzieć.

Młody hrabia chwilę milczał, po czym wskazał oświetlone okna nowego zamku, po drugiej stronie rzeki.

– Niech wszyscy, którzy tam się znajdują, natychmiast siadają na kości. Każdy zna swoją drogę. Niech Robert Surrisy czeka na mnie w lesie, na rozstajach w Bueil. Zapamiętaj dobrze i idź zanieść im mój rozkaz.

To powiedziawszy odwrócił się i podążył do zamku. Na ścieżce minęła go ciemna postać. Poznał Magdalenę. Serce uciskał mu ciężar. Brama zamku mimo późnej pory była otwarta. Piotr stał na dziedzińcu, a obok niego pies węszył niespokojnie, wydając od czasu do czasu przeciągłe wycie.

– Pan markiz oczekuje pana hrabiego – rzekł Piotr.

W całym zamku oświetlone były jedynie okna sypialni pana domu. Henryk był odważnym człowiekiem i nieraz dał dowód żuchwa-
Płości i wprost nadludzkiej zimnej krwi. Tej nocy, przechodząc szereg salonów rodzinnego zamku, nasłuchując odgłosu własnych kroków, zdziwił się odczuwając lęk. Piotr otworzył drzwi sypialni markiza anonsując głośno: – Pan hrabia!

Henryk wszedł i ciężkie drzwi zamknęły się za nim. Poczł instynktownie, że drzwi te nigdy już nie otworzą się przed jego młodym sprężystym i krokiem. Szaleństwo! Każdy z nas ma takie godziny. Hrabia Henryk oburzył się na samego siebie za tę chwilę słabości. Gdy stanął przed ojcem, twarz miał uśmiechniętą i spokojną, choć widok markiza napełnił mu serce głębokim bólem. Pan de Bel- camp podobny był do człowieka, który za chwilę umrze...

Pokój markiza, bardzo duży, staroświecko umeblowany, pogrążony był w mroku. Zazwyczaj alkowa, udrapowana białym muślinem, rzucała jasną nutę na ponurą powagę sypialni; obecnie oddzielała ją kotara ze starego gobelinu. Markiz siedział przy stole z rękami skrzyżowanymi (na kolanach, z zagasłym wzrokiem wbiitym w próżnię. Przed nim paliła się lampa i leżały dwa nie rozpieczętowane listy. Światło lampy padało na poraną bruzdami twarz starca, na zapadłe policzki i zaczerwienione powieki. Henryk w pierwszym porwywie podszedł do ojca, lecz po chwili zatrzymał się, oddzielony stołem.

– Czy ufasz mi jeszcze, ojcze? – spytał cicho z głębokim smutkiem i wielkim szacunkiem.

– Dlaczego miałbym stracić do pana zaufanie? – spytał starzec, z którego oczu strzelił błysk.

Głos miał o wiele silniejszy, niż można się było spodziewać widząc śmiertelne drżenie członków, lecz brzmiał w nim ponury sarkazm, obcy dobrej i szczerzej naturze markiza.

– Drogi, kochany ojcze – szepnął Henryk – w mojej nieobecności oszkalowano mnie przed tobą.

– Oszkalowano!... – powtórzył z gorzką ironią pan de Belcamp. – Wiem, uniewinniono pana... lecz oprócz ludzkiej, istnieje jeszcze sprawiedliwość.

Hrabia Henryk obszedł dzielący ich stół i ukląkł przed ojcem. Markizem wstrząsnął dreszcz. Widać było, że walczy ze sobą, że jego ręce mimo woli wyciągają się do syna. I gest ten wyjaśnił, ile trzeba było cierpieć, by wysuszyć serce tego człowieka. Drżące ręce starca oparły się na ramionach hrabiego, a dwie wielkie łzy spłynęły po policzkach. Henryk sądził, że wygrał, i chciał objąć ojca, lecz dłonie markiza opadły, a pełne przerażenia oczy otworzyły się szeroko. – Morderca!... – szepnął przez zaciśnięte zęby, a widząc, że Henryk, pełen oburzenia, zrywa się z kolan, dodał: – Nie próbuj żadnej obrony ni kłamstw, widziałem Helenę Brown, twoją matkę!

Policzki młodego hrabiego zbieleły, lecz odpowiedział spokojnie:

– Zostałem ukarany za jedyne kłamstwo, jakie popełniłem w życiu; -

– Tchórz! — szepnął markiz – nędzny komediant! Wszystko kłamstwo... Helena Brown opowiedziała mi całe twoje życie, od tej nocy w Pradze aż do innej nocy, kiedy w australijskich piaskach porzuciłaś umierającą matkę.

– Skłamałem – powtórzył Henryk powoli – by pocieszyć twe serce, ojcze, by oczyścić pamięć matki. Kłamstwo zwraca się teraz przeciwko mnie i słusznie. Panie markizie de Belcamp, pewnej straszliwej nocy padłem nieprzytomny z wyczerpania obok zmarłej Heleny Brown... Obudziłem się w więzieniu, gdzie mi powiedziano: "Twoja matka nie żyje". To wszystko prawda, skłamałem jedynie mówiąc, że w ostatniej godzinie okazała skruchę. Ostatnia godzina Heleny Brown, podobna do wszystkich innych godzin jej życia, przeraziła moją agonię... Helena Brown umarła, gdyż sądziłem, że umarła, z przekleństwem i bluźnierstwem na ustach.

– Oszczyrcu! – rzucił markiz.

– Helena Brown jest tutaj, wiem o tym, nieznana kobieta weszła do zamku i tu przebywa. Wyzywam ją, niech się pokaże i zaprzeczy moim słowom!

Markiz wyprostował swą wysoką postać.

– Po co przyszedłeś? – rzucił.

– Pożegnać się z panem – odparł Henryk – czeka mnie długa i niebezpieczna podróż.

– Czy trzeba udusić kobietę w łóżku? — zapytał markiz sarkastycznie, lecz mimo tych słów podniósł rękę do serca. – Wyjdz,

• kara spotka cię za drzwiami...

Henryk znowu ukląkł.

– Wyjdź – powtórzył pan de Belcamp, po czym dodał: . Podły błazen!
Ł Szlachetna twarz Henryka zachowała wyraz bolesnej powagi. Jeśli grał komedię, rzeczywiście był z niego wzniosły komediant. Skierował się posłusznie w stronę drzwi, ale zatrzymał go głos ojca:

– Czy przed odejściem nie chcesz zapoznać się ze swą korespondencją? – markiz wskazywał dwa zapieczętowane listy na drugim końcu stołu. Rumieniec oblał bladą twarz Henryka.

– Może to białe listy? – spytał markiz prowokująco – czysta karta papieru, której perfidne milczenie oznacza: zaduś, otruj lub przebij sztyłem?

Henryk złamał pieczętkę pierwszego listu.

– W dniu moich imienin przyszła jedna z tych białych nie zapisanych kartek – powiedział gorączkowo markiz.

– Był to list od Heleny Brown – przerwał Henryk – i gdyby pan mi go wówczas dał, zażegnaliśmy wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na naszą rodzinę. Raz zgrzeszyłem kłamstwem, a raz milczeniem; nie chciałem mówić panu o Tomie Brownie, drugim synu Heleny... Gdyby przy mnie lub w moich papierach znaleziono którykolwiek z tych białych listów – była to bowiem pułapka – zostałbym skazany na śmierć.

Markiz uczynił kilka kroków, po czym usiadł przy oknie. Nasłuchiwał. Zaczynał wątpić. Uderzyły go ostatnie słowa syna i może oczekiwał mowy obronnej, której przedtem nie pozwolił wygłosić.

Henryk spojrział na pierwszy list, z Konga, datowany sprzed sześciu tygodni, i straszna udręka odmalowała się na jego twarzy. Korespondent hrabiego donosił, że tubylcy spalili w stoczni fregatę, gotową prawie do przyjęcia na pokład maszyny parowej o sile ośmiuset koni. W Henryka jak gdyby trafił grom.

– Czy to ważna wiadomość? – spytał markiz – a może usłyszałeś tętent koni?... Ja słucham już od dawna... Żandarmi są w parku.

– Żandarmi? – szepnął młody hrabia z uśmiechem rozpaczy i rozerwał kopertę drugiego listu. Było to pismo od Wooda, nadeszło wczoraj. Pan Wood pisał:

Przed chwilą dowiedziałem się na Gieldzie, że trójmasztowiec OrzeU zatonął ze wszystkim, co znajdowało się na pokładzie, na wysokości Azorów... .

– Idą – powiedział pan de Belcamp nasłuchując. – Magdalena miała rację.

Henryk padł na krzesło ściskając skronie.

– Bóg nie chce plamy na swym mieczu – szepnął.

Słyszał, jak ojciec podniósł się, słyszał kroki, otwieranie i zamykanie okna. Cóż go to już obchodziło? Klęska planów i zamierzeń przyprawiała go o zawrót głowy. Jeszcze wyraźniej ujrzał teraz całą wspaniałość swego marzenia. Kotara zasłaniająca alkwę rozsunała się.

Henryk myślami był daleko, nasłuchując echa swego imienia wraz z imieniem cesarza.

– Spójrz! – rozkazał markiz stając u wejścia do alkwy z lampą w ręku.

– Matka! – krzyknął Henryk budząc się z marzenia.

Na łóżku leżała martwa kobieta.

– Tak, to twoja matka z krucyfiksem na piersi – powiedział markiz, patrząc błędnie na umarłą – twoja matka, którą spotwarzyłeś.

Była jeszcze piękna w tym ostatnim śmiertelnym śnie, choć namiętności, które spaczyły jej życie, pozostawiły na twarzy niezatarte piętno. Henryk złożył ręce i chciał zbliżyć się do łóżka, ale markiz zastąpił mu drogę.

– Jest już oczyszczona – powiedział patetycznie. – Wyznała mi twe imię, Janie Diable. Spędziłem przy niej wiele dni i nocy. Spójrz na mnie: nigdy jej tak nie kochałem. Ale agonia jest zaraźliwa, rozumiesz? Umrę, gdyż zbyt kochałem was oboje.

– Ojczy, drogi, kochany ojczy! – przerwał Henryk, widząc, z jakim uniesieniem przemawia markiz.

– Zamilcz, jestem spokojny. Twój głos niszczy serce jak jad... Mielicie ten sam głos, więcej już go nie usłyszę... Gregory Tempie mówił prawdę... Jan Diabeł i Helena Brown... a ja jestem markizem de Belcamp.

Brakło mu tchu, głos wiął w krtani. W tej chwili głośny dzwonek zabrzmiał u bramy. Ojciec i syn skrzyżowali spojrzenia.

– To po ciebie – powiedział zimno markiz. – Tym razem byłbym zmuszony świadczyć przeciwko tobie. Nie chcę tego... Uniewinniono cię, ale w zamku Belcamp twoi przodkowie byli również sędziami, ja skazuję cię, a oto wyrok!

Gwałtownym gestem, którego nikt nie spodziewałby się po jego słabości, wyciągnął pistolet. Słysząc było, jak brama otworzyła się i zamknęła ze zgrzytem. W tej chwili Henryk, szybki jak myśl, skoczył ku ojcu, chwycił osłabłą rękę, a markiz padł wyczerpany, nie nacisnąwszy cyngla. Henryk ujął broń, podtrzymując ojca, który rzeził i miał krew na wargach.

– Bądź przeklęty, tchórze! — krzyknął pan de Belcamp ostatnim wysiłkiem. – Bądź przeklęty, ty ojcobójco!

Henryk złożył starca w fotelu przy łóżku i ukląkł przed nim.

– A ty, ojczy – powiedział z tym pięknym uśmiechem, którym podbił markiza – bądź błogosławiony, biedne udręczone serce, męczenniku honoru, bądź błogosławiony. Nie zdążę powiedzieć ci, kim jestem, przyszłość mnie rozgrzeszy; inni wyjaśnią ci, jakie było moje zadanie w tym życiu, misja godna naszych rycerskich przodków... To nie ludzie, ojczy, mnie zwyciężyli, ręka boża zaciążyła

na szali. Gdyby wielka bitwa nie była bezpowrotnie stracona, broniłbym się przed twą słabością i apelował od twego wyroku. Życie moje należy do mnie, tu jak i wszędzie, wyszedłem zwycięsko z większych niebezpieczeństw. Ale walka skończona, nie udało mi się wyprzedzić wroga. Anglia może teraz ukuć nową broń, a wówczas byłbym szaleńcem porywając się na cały naród... Chciałem, by Jania dzieliła ze mną szczęście i sławę; w upadku pragnę być sam. Niech moja najdroższa Jania będzie szczęśliwa z Robertem Surrisy, to dzielne i szlachetne serce. Powiedz im, że w ostatniej myśli połączyłem ich imiona. Tak, ojczy – to mówiąc wstał jg hrabiowie de Belcamp, którzy sprawowali sądy w tym zamku, nie byli katami. Krew moja pozostałaby na twym ręku, a chcę byś mógł żyć. Wydałeś wyrok, ojczy, niech stanie się zgodnie z itwą wolą, ja go wykonam.

Przyłożył lufę pistoletu do skroni i w chwili, gdy ostrogi żandarmów dźwięczały na kamiennych płytach korytarza, nacisnął cyngiel. Upadł, młody, piękny i wielki w swym marzeniu. Strzał nie zwichrzył nawet jasnych włosów. Padł, przeciwstawiając śmierci zwycięski uśmiech, którym niegdyś witał nadzieję, wolność i życie; padł powtarzając:

– Bądź błogosławiony, ojczy...

21. Rewelacje

Jania włożyła w Ałowi welon, a markiz de Belcamp nazywał ją córką. Niedługo jednakże otaczała go opieką, gdyż nigdy nie podniósł się po straszliwych ciosach tej

fatalnej nocy. Zgwał po kilku tygodniach z imieniem Henryka na ustach, w następujących okolicznościach:

Działo się to pod koniec września. Jania i markiz odbywali codzienną przechadzkę po parliu. Na zakręcie ścieżki ukazał się nagle człowiek, który bez słowa obnażył głowę przed panem de Belcamp.

– Poznaję cię, Gregory Temple – przemówił markiz. – Czego chcesz ode mnie?

– Przychodzę powiedzieć ci, Armandzie de Belcamp – odparł dawny intendent londyńskiej policji – że nasza pycha, to upokorzenie, mądrość szaleństwem, a światło ciemnością. W środę powieszono pewnego człowieka, który nazywał się Tom Brown. Oświadczył pod szubienicą, że jest winnym zabójstwa Maurycego O'Brien w Pradze

i Konstancji Bartolozzi w Londynie.... Ten człowiek był synem Heleny Brown.

Markiz zwił ciężko w ramionach płaczącej Jani.

– Och, Magdaleno, Magdaleno! – szepnął z rozpaczą.

Odpowiedział mu jęk. Czarno ubrana kobieta klęczała u wylotu alei, całując ziemię. Pana de Belcamp w ciężkim stanie odniesiono do domu. Żył jeszcze trzy dni. Śmierć Toma Browna odsłoniła część tajemnicy. Syn Heleny i Gregory Temple'a wziął na siebie zabójstwo generała i aktorici, lecz inne zbrodnie obciążające Jana Diabła? Nie do nas należy wyjaśnienie tej przedziwnej legendy dziewiętnastego wieku, poczętej w mroku i zakończonej tajemnicą. Możemy dodać, że Helena Brown, a przez nią syn Tom, byli spadkobiercami dwóch piwowarów, Turnera i Robinsona. Henryk de Belcamp stał na drodze do dziewięciomilionowej fortuny i jego zguba leżała jak najbardziej w ich interesie. Co się tyczy podwójnej zbrodni dokonanej w Paryżu, Noll Green i Dick z Lochaber znali tylko jednego pana, Toma Browna.

W miejscowości, gdzie rozegrały się wyżej opowiedziane wypadki, nie istnieje najmniejsza wątpliwość i pamięć hrabiego Henryka de Belcamp otacza kult tych wszystkich, których olśniło jego krótkie życie.

W końcu 1817 roku angielska admiralicja rozpoczęła budowę pierwszego wojennego statku parowego.

22. Testament Jana Diabła

W połowie października tego samego roku czterech czarno ubranych młodych ludzi i cztery piękne młode kobiety w żałobie, z których jedna niosła na ręku dziecko, wsiedli na statek przybrzeżnej żeglugi w małym porcie Saint-Valery-sur-Somme. Kilka mil od brzegu, na pełnym morzu, lawirował parowy dwumasztowiec pod amerykańską banderą, który przyjął na pokład młodych pasażerów. Parowiec nie nosił już dawnej nazwy "Oswobodziciel", na czarnym tle kadłuba widniały teraz dwa białe inicjały: J.D. Statek żeglugi przybrzeżnej podążył w stronę lądu, parowiec zaś buchnął dymem i pognął na zachód. Na pokładzie znajdowała się liczna załoga, a statek wydawał się w żałobie, pasażerowie tworzyli cztery pary, z których trzy łączył małżeński węzeł: Zuzanna Tempie i Ryszard Thompson, Żermena i Laurent, Sara O'Brien

mamm i Fryderyk Boehm. Młoda kobieta i młody człowiek, którzy nie byli mężem i żoną nazywali się Janina Balcomb i Robert Surrisy.

Przez następne dni parowiec pruć fale oceanu, opłynął Hiszpanię i wreszcie znalazł się na szerokim morskim szlaku wiodącym do Indii.

Daleko, za równikiem, na niezmiernych pustkowiach Oceanu Atlantyckiego, w pierwszych promieniach wschodzącego słońca wyłoniła się skalista wyspa. Był listopad, gdyż minęły trzy tygodnie, odkąd nasi podróżnicy opuścili brzegi Francji. Do skał wybrzeża tuliło się kilka domów o niskich kwadratowych dachach z brytyjską flagą na szczycie. W przystani stało parę wojennych okrętów, również pod angielską banderą. Ze smutnego domostwa Longwood wyszedł człowiek wyglądający na

ogrodnika. Szydłwach sprezentował broń: był to cesarz. Na jego prośbę nie było wartownika na terenie objętym ogrodzeniem, lecz poza domem i przylegającym ogrodem przy wszystkich drzwiach i bramach czuwała angielska gościnność. Cesarz trzymał w ręku książkę i lunetę pod pachą. Siadł w skąpym cieniu kępy paproci drzewiastych, by nie widzieć angielskiego munduru. Otworzył książkę próbując czytać, ale zamyślił się nad pierwszą kartą. Po godzinie wesołe okrzyki wyrwały go ze smutnej medytacji. Była to grupa dzieci francuskiej kolonii, roześmiana gromadka idąca wzdłuż ogrodzenia. Śliczna jasnowłosa dziewczynka spostrzegłszy cesarza oderwała się od towarzyszy i podbiegła do więźnia opierając złotą główkę o jego kolana. Była to córka wiernego B., ulubienica cesarza. Zawsze z sobą rozmawiali.

– Dlaczego jesteś dziś smutniejszy niż zwykle? – spytało dziecko.

– Gdyż wiatr wieje od strony Francji – odparł z uśmiechem cesarz, zanurzwszy ciągle piękne mimo tuszy ręce w jedwabistych | włosach dziewczynki.

Nadchodził generał Montholon z pozwoleniem na przechadzkę po nadmorskich skałach. Na opuszczenie bowiem granic małej posiadłości Longwood potrzebne było specjalne zezwolenie z podpisem gubernatora. Cesarz samotnie wspiął się ścieżką prowadzącą na szczyty wzgórz, skąd lubił spoglądać na morze. W dali iskrzył się ocean i na bezkresnym horyzoncie wody nie było ani jednego statku, z wyjątkiem angielskich okrętów zakotwiczonych w przystani. Cesarz usiadł ocieniając smutną twarz skrzydłami wielkiego słomkowego kapelusza.

Straszliwy mur odległości krył nie tylko widmo sławy i potęgi, nie tylko zew wolności, nie tylko uśmiech ojczyzny, lecz ponadto dwie największe miłości, jakie zdolne jest pomieścić ludzkie serce: młodą żonę i ukochane dziecko...

Czy to chmurka zarysowała się nagle między podwójnym lazurem nieba i morza? Czy nie był to raczej wytwór ludzkiego geniuszu, nadzwyczajne dzieło wynalazczego wieku, pierwszy steamer, "Oswobodzicie!", na czele flotyli wojennych okrętów, oznajmiający więźniowi: "bądź gotów"? Był to rzeczywiście statek i serce powalonego olbrzyma skoczyło w piersi.

Statek zbliżał się szybko, można już było odróżnić dwa maszty bez żagli, przedzielone ponurym kominem z buchającym warkoczem dymu. Parowiec rósł, widać już było białą pianę po jego bokach, a nawet podpływał zbyt blisk; po cóż ta niepotrzebna brawura? Zauważyły go statki w przystani. Zahuczała portowa armata, a statek ciągle się zbliżał.

Czy to złudzenie? Na maszt wciągano trzy kolory, sztandar tyłu zwycięstw! I armatni wystrzał, oddany tym razem z francuskiego działa, powitał salwą cesarską flagę.

Czy była to oficjalna sztafeta przybywająca z odkrytą przyłbicą, z oznajmieniem drugiej rewolucji francuskiej?

Angielska eskadra manewrowała, by wziąć parowiec w dwa ognie. Francuski statek nareszcie się zatrzymał. Był tak blisko, że cesarz dojrzał na pokładzie mundury swej gwardii. W pewnej chwili wszystkie głowy odkryły się i załoga z ręką na sercu, wzniosła przypuszczalnie okrzyk, którego echo nie dotarło do wyspy. Trójkolorowy sztandar powoli opadał, a na jego miejsce wciągnięto żałobną flagę. Następnie parowiec wykręcił się i śmignął oceanem, pozostawiając Anglików daleko w tyle.

Ostatnia wola hrabiego Henryka de Belcamp została wiernie spełniona.

Gdy chmurka dymu znikła na horyzoncie, cesarz spojrzął w górę. Powoli zszedł do Longwood.